

WERONIKA ANNA MARCZAK

RODZINA MONET

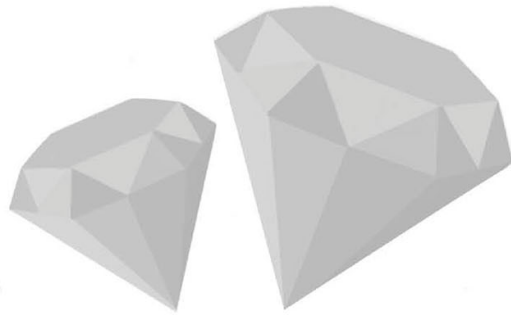
Skarb



WERONIKA ANNA MARCZAK

RODZINA MONET

Skarb



YOU &
YA

Ilustracja i projekt okładki: *Dixie Leota*
Redakcja: *Maria Śleszyńska*
Redaktor prowadzący: *Anna Wżykowska*
Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Marta Stochmiątek, Katarzyna Szajowska*

Droga Czytelniczko/Drogi Czytelniku,
ponieważ niektóre motywy i zachowania opisane w książce mogą
urazić uczucia odbiorców, zalecamy ostrożność podczas czytania. Wszystkie
wydarzenia i postacie przedstawione w powieści są fikcyjne.

Życzymy dobrej lektury,
Autorka i Wydawnictwo

© for the text by Weronika Anna Marczak

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2022

ISBN 978-83-287-2509-6

You&YA

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2022

Dla bliskich mi osób: Asi K., Dominiki M., Sylwii W., Nikoli M., Nikoli G., Karoliny K., Zuzi P., Basi A, za to, że Was mam, i że szczerze życzyście mi dobrze.

Dla moich ukochanych Rodziców, których wsparcie jest niezastąpione.

Dla Czytelników, którym zawdzięczam spełnienie marzenia.

Spis treści

- 1 Rezydencja Monetów
- 2 Roszpunka
- 3 „Nu, nu, nu”
- 4 Młodociany przestępca
- 5 Nazwisko Monet
- 6 Błahostki
- 7 Anioł
- 8 Imperium
- 9 Najciemniej pod latarnią
- 10 Wielki i głośny Dylan
- 11 Czas
- 12 Kretyn
- 13 Dwa złamane serca
- 14 Słodycz czekolady
- 15 Gra o najwyższe stawki
- 16 Mała siostrzyczka
- 17 Tony jest głupi
- 18 Beznadziejna akcja
- 19 Coś miłego
- 20 Różnica między bratem a rodzicem
- 21 Ładne oczy
- 22 Dziadek Vince
- 23 Piękna i inteligentna
- 24 Gest

25 Trzymaj się, młody

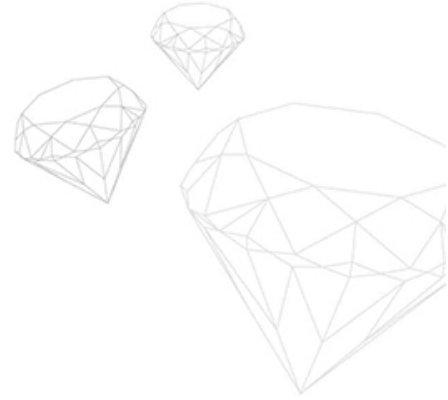
26 Zły sen

27 Nie ma za co

28 Parodia mężczyzny

29 Wszystko

30 Jak uważasz, Hailie?



1

Rezydencja Monetów

Wcześniej tamtego dnia moja kochana babcia zasłabła. Upadła z kubkiem gorącej herbaty w dłoniach. Zrobiło się zamieszanie. Mama wołała do mnie, żebym uważała na ostre skorupki rozbitego naczynia, sama klęcząc w nich przy babci, której szeroko otwarte oczy i upiornie zbieła twarz prześladowały mnie potem w koszmarach. Bardzo chciałam pomóc, ale ostatecznie poprzestałam na usuwaniu się mamie z drogi, gdy w pośpiechu szykowała się do wyjścia. Pamiętam, jak okrywała ramiona babci płaszczem i wyprowadzała jej słabą postać z mieszkania, rzucając do mnie przez ramię, bym nie czekała i najlepiej kładła się spać, bo już późno, a jutro mam przecież szkołę. Mówiła, że wszystko będzie dobrze, i na koniec nakazała zamknąć za sobą drzwi na klucz.

Kilka długich godzin później otworzyłam je dwóm ponurym panom policjantom. Stałam przed nimi w znoszonej koszulce i kraciastych spodenkach. Przecierałam ciężące mi powieki, gdy jeden z nich przekazywał napiętym głosem, że w samochód mojej mamy wjechał pijany kierowca. Po długich godzinach spędzonych w szpitalu wracały z babcią do domu.

Nie przeżył nikt.

Moje serce zatrzymało się na chwilę, a potem zabiło mocniej. Nagle moje próby rozbudzenia przerodziły się w głęboką rozpacz. Nawet nie wiem, w którym momencie zjawiała się opieka społeczna. Obcy ludzie uspokajali mnie łagodnymi głosami, gdy siedziałam na kanapie i płakałam. Wpatrywałam się tępo w podłogę i drgałam za każdym razem, gdy ktoś muskał moje ramię. Niekończący się potok łez spływał po moich policzkach, mocząc mi górę od pizamy. Czyjaś dłoń podała mi chusteczki, a ja nie wiedziałam za bardzo, co mam z nimi zrobić. Ból, jaki w tamtej chwili odczuwałam, nie powinien towarzyszyć nigdy nikomu, a już na pewno nie czternastoletniej dziewczynie. Straciłam mamę i babcię, najbliższe mi osoby, swoją jedyną rodzinę.

Byłam pewna, że będę się teraz błąkać po domach zastępczych jak te wszystkie sieroty, które znałam z książek i filmów. Zamiast tego wkrótce usłyszałam coś, co zmieniło moje życie jeszcze bardziej.

Vincent Monet będzie moim nowym opiekunem prawnym. Przez jedną bolesną chwilę myślałam, że odnalazł się właśnie mój biologiczny ojciec, o którym nie wiedziałam nic. Okazało się jednak, że Vincent to mój przyrodni brat. Usłyszawszy tę rewelację, aż zakręciło mi się w głowie. *Brat*. Miałam brata. Wychowywana przez całe życie jako jedynaczka, teraz dowiedziałam się, że mam starszego brata, który zgodził się przyjąć mnie pod swój dach.

Wkrótce siedziałam w samolocie, zmierzając ku nowej rzeczywistości. Wtedy dysponowałam już obszerniejszymi informacjami. Wiedziałam, że braci miałam aż pięciu, że wszyscy byli ode mnie starsi i wciąż mieszkali razem w rodzinnym domu w Pensylwanii. Czuję, że robi mi się słabo, bo do tej pory nie miałam w swoim życiu do czynienia z wieloma mężczyznami. Wychowywana bez ojca, chyba nigdy nie poznałam choćby jednego wujka. Jedyni dorośli przedstawiciele płci przeciwnej, których znałam i w miarę regularnie widywałam, to kilku nauczycieli w szkole, mój lekarz i sąsiad, który udawał, że nie widzi, jak podbierałam czereśnie z jego ogrodu.

Podróż minęła mi szybciej, niżbym sobie tego życzyła. Te niecałe osiem godzin spędzone nad Atlantykiem tylko spotęgowały moje zdenerwowanie. A gdy pilot oznajmił, że już za kilka minut podejmiemy do lądowania, mimowolnie zaczęłam się trząść. Siedząca obok mnie kobieta pomyślała zapewne, że ta reakcja to rezultat strachu przed lataniem, i rzuciła mi kojący

uśmiech. Cóż, dużo bym dała, żeby przyczyna mojego niepokoju była tak błaha.

Stałam w kolejce do kontroli celnej, zaciskając obie dłonie na pasku wiszącej na moim ramieniu sportowej torby. W uszach słyszałam dudnienie swojego spanikowanego serca i zdawało mi się, że jestem o krok od zawału. Od czasu do czasu starałam się brać dyskretne, głębokie wdechy, żeby się uspokoić. Gdyby ktoś z tłumu ludzi wokół uważnie mnie obserwował, na pewno pomyślałby sobie, że przemycam coś nielegalnego. A co, jeśli urzędnicy nie przepuszczą mnie przez granicę, bo wydam im się podejrzana?

Zagryzałam wargę tak mocno, że aż zabolalo. Skrzywiłam się i szybko oblizyłam spierzchnięte usta, które ostatnimi czasy były w opłakanym stanie. Od kiedy życie, które znałam, się skończyło, na przemian płakałam i dawałam pożerać się nerwom, dlatego mój brzydki nawyk żucia warg bardzo się nasilił.

Pomadka ochronna leżała gdzieś w kosmetyczce upchniętej w wielkiej walizie, do której musiałam spakować prawie cały swój świat. Okropne to było uczucie, gdy po wszystkim stanęłam w progu mieszkania, w którym żyłam z mamą i babcią niemal od zawsze, i rozumiałam, że oto straciłam dom w każdym tego słowa znaczeniu. Jego właściciel złożył mi najszczerze kondolencje, po czym od razu poprosił o opróżnienie go. Nie mieściło mi się w głowie, że moja noga stała w nim wtedy po raz ostatni. Bardzo doceniłam pomoc empatycznej pracownicy opieki społecznej, która z ogromną cierpliwością i łagodnością wyręczyła mnie w tej przykrej czynności, podczas gdy ja sama tylko rozglądałam się bezradnie po kątach, nie wiedząc, w co włożyć ręce.

Westchnęłam cicho i rozejrzałam się wkoło. Wśród otaczających mnie ludzi miałam nadzieję dostrzec kogoś tak samo samotnego jak ja. Zauważyłam kilku podróżników bez towarzystwa, ale żaden z nich nie sprawiał wrażenia podobnie zagubionego. Poza tym przeważały tu grupy – znajomych, par, a także rodzin z dziećmi, na których widok czułam ucisk w klatce piersiowej.

Wysunęłam z kieszeni komórkę i zerknęłam na ekran. Żadnych wiadomości ani nowych połączeń. Nikt nawet nie zapytał, czy doleciałam.

Wtedy okrutna rzeczywistość wyszeptała mi do ucha powód tego milczenia: *Hailie Monet, nie pozostawiłaś za sobą nikogo, kogo by to obchodziło.*

Kiedy wreszcie przyszła kolej na mnie, starszy urzędnik zerknął na moje zdjęcie w paszporcie, po czym zadał mi jakieś proste pytanie, na które odpowiedziałam drżącym, zachrypniętym głosem. Na szczęście nie był nadto podejrzliwy i z sympatycznym uśmiechem powitał mnie w Stanach Zjednoczonych.

Odczekałam swoje przy taśmie z bagażami. Gdy nadjechała moja ciężka walizka, pomógł mi z nią pewien mężczyzna, którego kojarzyłam z samolotu. Kiedy wymieniałam z nim uprzejmości, moje uszy ucieszył jego mocno brytyjski akcent. Po chwili ów człowiek zniknął w tłumie, przepadł na zawsze w tym wielkim kraju, a ja poczułam, że wraz z nim zerwały się moje ostatnie, symboliczne więzi z Anglią.

Zmęczonym wzrokiem omiotłam stojącą u mego boku ciemnozieloną torbę na kółkach, którą babcia zawsze zabierała na wyjazdy do uzdrowiska. Potrzebowałam chwili, by zebrać się w sobie i złapać za jej uchwyt. Gdybym mogła, położyłabym się obok, wpatrzyła w sufit i ignorując ludzi wkoło, zastygła tak już na wieki. Tak bardzo w tamtej chwili wszystko było mi obojętne. Nawet zaczęłam poważnie rozważać, by choć na chwilę sobie gdzieś przycupnąć, gdy nagle zawibrował mój telefon.

Mechanicznym ruchem wyciągnęłam komórkę, próbując ignorować lęk kotłujący się w moim sercu. Na widok wiadomości wysłanej z długiego, nieznanego mi numeru najpierw się ono zatrzymało, a potem zakołatało przeciągle. To mój brat napisał do mnie: „Czekam w hali przylotów, obok apteki”. Po prostu tyle, nic więcej. Żadnego przywitania, pozdrowień czy żartu dla rozluźnienia atmosfery, nawet głupiej emotki.

Jedną dłonią podtrzymywałam torbę na ramieniu, a palce drugiej zacisnęłam mocno na uchwycie walizki. Stawiałam powolne kroki w stronę rozsuwanych drzwi, a całe moje ciało napinało się z każdym kolejnym coraz mocniej i mocniej. Czułam, jakbym w nieśpiesznym tempie wkraczała do lwiej paszczy. Naczytałam się za dużo książek o złych macochach, surowych ojczymach i złośliwym przyszywanym rodzeństwie. A przecież ludzie, których miałam zaraz poznać, to moi przyrodni bracia. Nie ma powodu, żeby zakładać, że będą dla mnie niemili.

Właśnie tak, szeptałam do siebie w myślach, głowa do góry. Przed samym przejściem przystanąłam na chwilę, by odrzucić na plecy zawadzający mi warkocz i upewnić się, że na pewno wcisnęłam telefon do kieszeni bluzy, a potem jeszcze tylko wypuściłam powietrze z ust i ruszyłam dalej.

Hala przylotów to było potężne pomieszczenie pełne gwaru generowanego przez kręcących się tu podróżujących. W nozdrza uderzyły mnie mieszające się zapachy dochodzące z licznych restauracji i kawiarni, ludzie wpadali sobie w ramiona, śmiali się na widok swoich rodzin. A ja, gdyby to było możliwe, chyba wycofałabym się stąd i najlepiej znowu wsiadła do samolotu, żeby zabrał mnie z powrotem do rodzinnego kraju.

Wtedy obok witryny znanej na całym świecie sieci restauracji fastfoodowych dostrzegłam charakterystyczny symbol apteki i mrużąc powieki, pośpieszyłam w tamtą stronę. Mój wzrok przesunął się po twarzach stojących tam osób, ale nie zauważyłam, by czyjeś oczy rozbłysły na mój widok. Wszystkie spojrzenia obojętnie się po mnie prześlizgiwały, a ja nie wiedziałam nawet, za kim się rozglądać, więc w końcu spuściłam brodę, żeby przynajmniej skupić się na stawianiu przemyślanych kroków, aby czasem nie zahaczyć butem o kółko walizki i się nie wywrócić.

– Hailie.

Zatrzymałam się i odwróciłam gwałtownie. Pierwsze, co zobaczyłam, to szpic płytkiego dekoltu w serek granatowej polówki mężczyzny, który stał teraz tuż przede mną. Zadarłam głowę i spojrzałam w ciepłe błękitne oczy, które wpatrywały się we mnie zaskakująco przyjaźnie.

Otworzyłam usta, by się przywitać, ale zanim wydusiłam z siebie choćby słowo, ponownie je zamknęłam. Nawet nie znałam imienia tego człowieka.

– Dobrze cię widzieć – przywitał się, od razu częstując mnie próbką swojego amerykańskiego akcentu. Wyciągnął też ręce i zamknął mnie w uścisku. Wszelkie gesty wykonywał powoli, chyba z rozmysłem, bo nie chciał mnie spłoszyć, a jednocześnie nie brakło im naturalności. Jakbym naprawdę była jego siostrą. Taką, którą zna od zawsze i odbiera z lotniska po dłuższej rozłące.

Zaskoczył mnie tak miłym powitaniem i nie mogę powiedzieć, że mi się nie spodobało. Od śmierci mamy i babci nikt mnie nie przytulał. Na dodatek

on tak ładnie i świeżo pachniał, a w jego ramionach poczułam stabilność i siłę, na których poważny niedobór cierpiałam ja sama, zwłaszcza teraz.

– Jestem Will – przedstawił się, gdy już się ode mnie odsunął. Przechylał brodę w dół, zapewne, by widzieć wyraz mojej twarzy, który starałam się dyskretnie przed nim ukryć. Wyczuwałam bowiem, że jego oczy, poza ogólnym urokiem, charakteryzują się też nie lada bystrością.

Zajęłam się analizą stworzonej w głowie listy moich nowych braci, w której wciąż się gubiłam. O ile dobrze pamiętałam, Will nie był najstarszy z rodzeństwa.

– To Vince został twoim opiekunem prawnym – pośpieszył z wyjaśnieniami, jakby czytał w moich w myślach. – Miał cię odebrać, ale coś mu wyskoczyło w pracy. Często mu się to zdarza, jeszcze się przyzwyczaisz. Na pewno go dzisiaj poznasz.

Machnął też dłonią, podkreślając nieistotność tego tematu, a ja skinęłam ze zrozumieniem. Szczerze, w tym momencie było mi obojętne, który z nich po mnie przyjechał. Pragnęłam już tylko wydostać się z tego zatłoczonego lotniska, dlatego gdy Will zaoferował, żebym coś zjadła w jednej z knajpek, bo droga do domu miała nam zająć dobre dwie godziny, podziękowałam i uprzejmie, acz stanowczo odmówiłam.

Will otworzył usta, żeby postawić na swoim, ale ostatecznie się rozmyślił i ku mojej uldze odpuścił. Zerknął na tarczę wypasionego zegarka, który błyszczał elegancko na jego lewym nadgarstku, po czym tę samą rękę wyciągnął po mój bagaż. Nie dość, że przejął ode mnie walizkę, to jeszcze się uparł, żebym oddała mu również swoją torbę na ramię. Był głuchy na moje protesty i w końcu, po raz pierwszy od dłuższego czasu, mogłam odetchnąć, pozbywszy się całego podróznego balastu. Szłam za nim, obserwując, z jaką wprawą niesie moje bagaże.

Gdy wyszliśmy na dwór, wzięłam kolejny głęboki, głośny wdech. Przymknęłam powieki, czując lekką bryzę na twarzy. Pierwszy raz w życiu stałam na innym kontynencie i zdecydowanie wyczuwałam w powietrzu trudną do opisaną różnicę. Ameryka po prostu pachniała inaczej, wyraziściej.

Will zaprowadził mnie do swojego auta, które było czarne, wielkie i luksusowe. To musiał być jakiś jeep, ale wolałam nie wychylać się

z nazewnictwem, bo moja wiedza o motoryzacji oscylowała w okolicach zera. W każdym razie był to samochód, jakim zdecydowanie nie zwykłam podróżować. Przeżyłam też chwilę dezorientowania, gdy mężczyzna otworzył mi drzwi po prawej stronie, bym zasiadła na miejscu pasażera. Głupia zapomniałam, że w Stanach obowiązuje ruch prawostronny. To była pierwsza rażąca różnica między moją rodzinną Anglią a tym nowym dla mnie krajem, którą odnotowałam.

Will nie skomentował mojego zmieszania, ale uśmiechał się pod nosem, najwidoczniej wyrozumiały na wszelkie gafy, które miałam popełnić. Dodało mi to otuchy, bo teraz jak nigdy desperacko potrzebowałam łagodnego i wyrozumiałego traktowania. Tym milej zaskoczyły mnie drobne gesty brata, na przykład gdy upewnił się, czy klimatyzacja za bardzo na mnie nie dmucha, lub gdy podał mi zapieczętowaną butelkę wody. Zupełnie nie oczekiwałam nawet takiej podstawowej troski i od razu poczułam sympatię do tego nieznanego człowieka, który był moją rodziną.

Wyjazd z lotniska wiązał się z pokonaniem istnego labiryntu dróg, co wymagało od Willa chwili maksymalnego skupienia. Dzięki temu mogłam kilka razy zawiesić na nim dłuższe spojrzenie bez obawy, że je odwzajemni. Mój nowo poznany brat ciągle wprowadzał mnie w osłupienie. Nie wiedziałam wcześniej, czego się spodziewać, ale żadne z różnorodnych wyobrażeń mojego nowego rodzeństwa, które pojawiały się w mojej głowie, nie dorastało do pięt oryginałowi. Już nie chodzi o to, że Will był przystojny, bo przecież był moim bratem i nie poświęcałam czasu na szczegółową ocenę jego atrakcyjności, ale na przykład miał w sobie jakąś taką naturalną schludność, którą mój wrodzony perfekcjonizm bardzo doceniał.

Włosy w kolorze ciemnobłond może i sprawiały wrażenie rozczochranych, jednak coś mi mówiło, że ich właściciel sam ułożył je, by tak wyglądały. Byłam też uprzedzona do mężczyzn z brodami, bo budziły one mój niepokój, ale akceptowałam delikatny i idealnie zadbany zarost Willa. Swoje błękitne oczy przysłonił teraz szpanerskimi okularami przeciwsłonecznymi, choć na niebie raczej się chmurzyło.

Wkrótce wyjechaliśmy na prostą drogę i wtedy nawiązałam z nim coś na kształt rozmowy. Na jego uprzejme i bardzo ogólne pytania odpowiadałam krótko i cicho, z żalostí odkrywając, jak bardzo zachrypł mi głos, podczas

gdy jego własny był wyraźny i zdradzał nieskończone pokłady pewności siebie.

Dowiedziałam się, że Will ma dwadzieścia cztery lata i że z rodzeństwa starszy jest tylko Vince (dopiero po chwili zorientowałam się, że to skrót od Vincenta), który liczy ich dwadzieścia osiem. Najstarszy brat słynie też ze swojego pracoholizmu i wiecznie napiętego grafiku. Will wypowiadał się o nim jednak z szacunkiem, zaznaczając, że Vincent odwała kawał dobrej roboty jako główny zarządca rodzinnych interesów, które był zmuszony przejąć w młodym wieku. Potwierdził też, że całą piątką mieszkają w ich rodzinnej willi, a młodszy chłopcy jeszcze się uczą.

Jechaliśmy rzeczywiście ponad dwie godziny i przez zdecydowanie większą część drogi po prostu milczeliśmy. Moja wina, bo byłam wyjątkowo mało rozmowna, a Will chyba nie chciał na mnie naciskać, za co w głębi ducha bardzo mu dziękowałam. W pewnym momencie nawet dyskretnie pogłośnił muzykę. Leciała składanka największych hitów Depeche Mode i choć sama nie znałam ich piosenek za dobrze, to dziwnym trafem zdały mi się idealnym podkładem pod moje pierwsze chwile w Stanach. Dużo gapiłam się w okno, rozmyślając. Do niedawna odwiedzenie Nowego Jorku było moim największym marzeniem. Teraz gdy patrzyłam na majaczące w oddali manhattańskie wieżowce, robiło mi się niedobrze. To nie tak, że nie chciałam tu być. Po prostu okoliczności się nie zgadzały.

Na kolejnym etapie podróży po obu stronach drogi zaczął towarzyszyć nam ładny, choć na dłuższą metę nudny widok gęsto posadzonych drzew o złocistych koronach, kryjących w swoich szeregach z pewnością mnóstwo cudów natury. Jak się okazało, podobny las otaczał rezydencję, w której miałam zamieszkać wraz ze swoimi nowymi braćmi. Wkrótce zjechaliśmy z głównej drogi i zatrzymaliśmy się przed wielką bramą – bardzo wysoką i bardzo szeroką. Otworzyła się przed nami automatycznie, a potem jechaliśmy jeszcze kawałek dalej, aż zza drzew wyłonił się budynek.

Pojawił się jakby znikąd i natychmiast mnie przytłoczył. Wyglądał, jakby był integralną częścią lasu, tak idealnie wpasowywał się w scenerię. Nawet nie dało się ocenić jego rozmiarów; mogłam jedynie powiedzieć, że zdawał się naprawdę duży. Drzewa rosnące na jego tyłach sprawiały wrażenie wielkiej złocistej fali tsunami, która zawisła za nim na wieki. Nie była to nowoczesna, świeżo wybudowana willa, raczej coś o wiele bardziej

klimatycznego. Fasada budynku kolorem przypominała piasek na rajskiej plaży, strzelisty dach był zaś szary i w tak pochmurny dzień jak dziś niemal zlewał się z niebem. Podwórko było bardzo duże, ale oprócz tego nie robiło specjalnego wrażenia, przynajmniej nie od frontu. Ot, ładnie i równo ścięta trawa, którą w niektórych miejscach przyozdabiały krzewy lub kupki zgrabionych liści. Chodnik łączył się z podjazdem, tworząc przed domem spory placyk. Z lewej strony znajdował się garaż, który lekko się odróżniał od domu, przez co zgadywałam, że został dobudowany. Miał dwie pary szerokich drzwi w kolorze jasnego brązu i zapewne sporo miejsca w środku, ale nie było mi dane się dzisiaj o tym przekonać, bo Will zdecydował się zaparkować na zewnątrz.

Mrugnął do mnie z sympatią, gdy zgasił silnik.

– Witaj w domu.

Odpowiedziałam mu szybkim, zdenerwowanym uśmiechem. Will wysiadł, a ja zerknęłam przelotnie na swoje zwykłe czarne legginsy, takie z wielopaku, który mama dorwała dla mnie gdzieś w supermarkecie. Na granatową bluzę, która z kolei pochodziła z przeceny. Na ciemne włosy zebrane w luźny, długi i nieco wytargany po podróży warkocz. Co tu dużo mówić, czułam, że wyglądam jak mała zabiedzona dziewczynka i zupełnie nie pasuję do tego otoczenia.

A jeśli miałabym co do tego jeszcze jakieś wątpliwości, to rozwiązał je widok wnętrza domu. Byłam kiedyś na klasowej wycieczce w muzeum, którego korytarze prezentowały się równie ekskluzywnie, i w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że kiedyś zamieszkam w podobnie urządzonym miejscu. Bałam się wręcz stawiać kroki po błyszczącej marmurowej podłodze, jakbym miała ją zabrudzić lub uszkodzić. A największe wrażenie robiły tu chyba szerokie schody. Wyglądały jak klawisze pianina, które rozsypane niczym domino pięły się w górę łagodnym półkolem.

Zapatrzyłam się na wielki obraz wiszący na jednej ze ścian. Do namalowania go użyto chyba całej palety kolorów, ale wszystkie one były dziwnie wyblakłe. Dodawało to upiorności malunkowi mężczyzny, którego przystojna twarz widniała na pierwszym planie. Tuż za nim zaś czaiła się okropna kolorowa zmora, tak przerażająca, że gdy Will musnął moje ramię, bym poszła za nim, z ulgą odwróciłam od niej wzrok.

Na prawo znajdowało się przejście ze sklepieniem w kształcie łuku, prowadzące do kuchni, która lśniła czystością i świeżością. Zwłaszcza to pierwsze miłe mnie zaskoczyło, bo nie tego spodziewałam się po miejscu, w którym mieszkało aż pięciu chłopaków. Pomieszczenie było duże i urządzone w bieli. Szerokie blaty wyglądały jak oprószone śniegiem. Tuż za wysepką znajdował się wielki stół, a przy nim ładne i proste krzesła. Tę część kuchni oświetlało olbrzymie okno, za którym jesienne barwy pięknie kontrastowały z panującą tu jasnością. Moją uwagę jednak natychmiast przykuł chłopak, który zajmował jedno ze wspomnianych krzeseł. Wystarczyło szybkie spojrzenie i już wiedziałam, że to mój kolejny brat.

– Hailie, to Dylan. Dylan... to nasza siostra Hailie – przedstawił nas Will i odsunął dla mnie siedzenie, które z grzeczności zajęłam, choć gdyby to ode mnie zależało, wybrałabym inne miejsce niż to naprzeciwko Dylana, który zerknął na mnie znad laptopa i przez kilka długich sekund badał wzrokiem. Spodziewałam się, że chociaż uściśniemy sobie dłoń na powitanie, ale jemu nie śpieszyło się do inicjowania takich gestów, a mnie za bardzo speszyło już samo jego spojrzenie, bym pierwsza wyciągnęła do niego rękę.

Jego oczy były ciemne i o wiele mniej sympatyczne niż u Willa, chociaż między tymi dwoma istniało też kilka podobieństw, jak wysokie kości policzkowe czy też równie wyraziście skrojona górna warga. Chyba nigdy w życiu nie czułam się tak nieswojo jak w tamtej chwili, lustrowana intensywnym spojrzeniem Dylana. Miał w sobie coś, co mnie zaniepokoiło. Może onieśmiewała mnie jego imponująca muskulatura, uwypuklona przez obcisłą koszulkę? A może po prostu brak serdeczności, z jaką powitał mnie Will...

Zaczęłam rozglądać się po pomieszczeniu, byle uciec przed siłą jego oczu. Przy okazji zwróciłam uwagę na kilka rzeczy, jak ogromna dwudrzwiowa lodówka, która w moim starym mieszkaniu zajęłaby jedną trzecią powierzchni kuchni. Na blacie w rogu ustawiono nowoczesny ekspres do kawy z miliardem przycisków i pokręteł, a tuż obok niego kolejne wymyślne urządzenie, które wyglądało jak zmodyfikowana sokowirówka. Will stanął teraz przy mikrofalówce, która pracowała cicho, i skupił się na chwilę na swoim telefonie, wystukując coś energicznie na klawiaturze.

Gdy po chwili znowu ostrożnie zerknęłam na Dylana, ten na powrót wpatrywał się w ekran komputera, a na jego ustach błędził cień złośliwego

uśmiechu. Przeniosłam wzrok na wielkie okno, za którym widoczny był zielony, równo skoszony trawnik, w niektórych miejscach zasypyany zwiędłymi liśćmi, a nieco dalej w tle drzewa. Wśród nich można było wyróżnić te zielone, iglaste, a także liściaste, rude i złociste czy łyse i zbrązowiałe. Bawiąc się palcami swoich dłoni, gapiłam się na nie bezmyślnie, dopóki nie brzęknęła mikrofalówka.

– Nasza gosposia nie pracuje w niedziele, ale przygotowała to wczoraj specjalnie dla ciebie. Jeśli nie będzie ci smakowało, to śmiało mi powiedz. Zawsze możemy coś zamówić. Cokolwiek tylko będziesz chciała – oznajmił Will, gdy po chwili stawiał przede mną parujący talerz smacznie wyglądającej potrawy z zapiekany makaronem. Jak tylko przetrawiłam wzmiankę o pomocy domowej, złapałam za widelec.

Czułam się zestresowana, jedząc tak sama, w obcym miejscu, obserwowana przez obcych ludzi, dlatego szło mi to bardzo powoli. Żałowałam, że mój przełyk jest ściśnięty z nerwów i nie mogę się prawdziwie cieszyć smakiem obłędnego posiłku. Zdołałam jedynie poparzyć sobie język.

Starłam się być grzeczna i poukładana, tak jak zawsze uczyła mnie mama. Jadłam nożem i widelcem, siedziałam wyprostowana ze ściągniętymi łopatkami i pilnowałam, żeby nie nabrudzić. Uważałam nawet, żeby nie opierać łokci na stole. Will opuścił nas na chwilę, gdy zadzwonił jego telefon, a ja, zostawszy sam na sam z Dylanem, poczułam jeszcze większy dyskomfort. Żałowałam teraz, że nie przystałam na propozycję, by zjeść coś na lotnisku, bez krępującej obecności tego chłopaka. On nie odezwał się do mnie ani słowem, jedynie od czasu do czasu czułam na sobie jego spojrzenie. Nie wiedziałam, czy powinnam być zawiedziona jego chłodem, czy zadowolona, że mnie nie zaczepia. Tak czy inaczej, poczułam ulgę, gdy wrócił Will.

– Pokażę ci twoją sypialnię, dobrze? – zaproponował, gdy odłożyłam widelec.

Mimo szczyrych chęci nie udało mi się pochłonąć wszystkiego, co miałam na talerzu, bo naprawdę doświadczałam trudności z przełykaniem, a zaserwowana mi porcja była przesadnie ogromna. Na szczęście Will się nie obraził. Wstając, złapałam naczynie, by po sobie posprzątać, a on

natychmiast je ode mnie odebrał, prosząc, bym się nie kłopotą. Wydawał się jednak zadowolony z mojej postawy. To dobrze, bo naprawdę zależało mi na zrobieniu jak najlepszego wrażenia.

Wyluzowałam się, jak tylko wyszliśmy z kuchni, zostawiając sprawiającego nieprzyjemne wrażenie Dylana za sobą. Chyba nie zamaskowałam tych odczuć wystarczająco dobrze, bo Will od razu cicho skomentował:

– Dylan jest trudny, ale w ogóle się nim nie przejmuj. Potrzebuje chwili, żeby oswoić się z sytuacją. Wiesz, dla nas też jest ona zupełnie nowa.

Pokiwałam głową, starając się wykazać odpowiednią ilością empatii. Will chyba to docenił, bo kąciaki jego ust uniosły się wyżej, po czym wskazał za moje plecy.

– Tam, zaraz na prawo, jest salon. Dużo tam przesiadujemy. A jak pójdziesz prosto, znajdziesz łazienkę i bibliotekę. Lubisz czytać?

– Uwielbiam.

Po raz pierwszy tego dnia udało mi się zabrzmieć głośno i pewnie. Czytanie było moją prawdziwą pasją, a jako największa księżkara świata uznawałam posiadanie w domu osobnego pomieszczenia na książki za spełnienie najśmielszych marzeń.

– W takim razie świetnie się składa. Mamy całkiem pokaźne zbiory, może wkrótce je uzupełnisz? Nie krępuj się, zaglądaj tam, gdy tylko najdzie cię ochota. – Will gestem wskazał na ciągnący się korytarz. – Dalej dotrzesz do siłowni. Mamy tam też saunę i kolejną łazienkę. To wszystko też jest do twojej dyspozycji.

Domyślałam się, że ten cały Dylan musi być częstym gościem w tamtej części domu, przynajmniej sądząc po wielkości jego bicepsa, więc od razu sobie zaplanowałam, by omijać tamte rejony szerokim łukiem. Zresztą nie był to dla mnie problem – nie należałam do wielkich fanek sportu.

– Z siłowni i salonu można wyjść na taras – kontynuował Will. – Jest tam basen, ale niestety został już zabezpieczony na zimę.

Nawet gdybym chciała to jakoś skomentować, to nie wiedziałabym jak. Milczałam więc i pozwoliłam Willowi poprowadzić się na schody. Szłam,

przytrzymując się gładkiej czarnej balustrady, a gdy mijałam ten niepokojący, wspomniany wcześniej obraz, odwróciłam wzrok.

– Tutaj, na piętrze, wszyscy mamy swoje sypialnie. Na końcu są pokoje gościnne – wyjaśnił mi mój przewodnik, gdy stanęliśmy u szczytu schodów. Hol wyglądał dość prosto. Podłogę wyłożono ciemnym drewnem, ściany były białe, wisiały na nich gustowne świeczniki. – Korytarz z prawej prowadzi do innej części domu. Tam pracujemy, więc najlepiej by było, żebyś go omijała, dobrze? Często przyjmujemy klientów, potrzebujemy ciszy i nikt nie powinien się tam kręcić. – Błękitne oczy Willa błysnęły intensywnie.

Korytarz, o którym mówił, wyglądał niepozornie i zaraz zakręcał, nie było więc mowy, żeby zobaczyć, dokąd prowadzi, nie zapuszczając się w jego głąb. Pokiwałam obojętnie głową.

– Świetnie.

Następnie dotarliśmy do przydzielonej mi sypialni. Po drodze mijaliśmy rzędy drzwi, które odróżniały się od siebie tylko tym, że mniej więcej na wysokości twarzy mojego wyższego ode mnie przynajmniej o głowę brata przymocowane były literki, które, jak wytłumaczył mi Will, były pierwszymi literami imion lokatorów. Aż zadrżałam na widok tych oznaczonych dużym srebrnym „H”.

– To twój pokój. Zapraszam.

Moje palce trzęsły się lekko, gdy zaciskałam je na srebrnej klamce. Wstrzymałam też oddech i poczułam się, jakbym miała właśnie wkroczyć do Narnii. Brakowało jeszcze, żeby oślepiła mnie dolatująca ze środka tajemnicza poświata, choć gdy weszłam do swojego nowego, małego i bardzo jasnego królestwa, faktycznie zmrużyłam oczy.

Jednym z powodów tej jasności były kremowe ściany, innym – równoległe do wielkiego łoża okna, które ciągnęły się od podłogi aż po sufit. Dzięki nim wpadało do środka mnóstwo światła dziennego, nawet w tak mało słoneczne dni jak dziś. Białe muślinowe zasłony zbierały po bokach wstążki w kolorze zwiędłej zieleni związane w wielkie piękne kokardy. Meble nie zagracały tu przestrzeni, bo nie było ich za wiele. Białe biurko z giętymi nogami wzorowane na styl wiktoriański stało niedaleko okien, więc jego pusty blat był idealnie oświetlony. Spory fotel również stał

blisko okna i przyznam, że na sam jego widok zapragnęłam usadowić się w nim z kocem i książką, a pobliski niski stoliczek z namalowanymi techniką dekupażu różami wykorzystałam jako miejsce do odstawienia kubka z herbatą lub kakao. Przy łóżku stała oczywiście obowiązkowo szafka nocna, a na niej lampka z zupełnie białym szerokim kloszem pokrytym rysunkami złotych kwiatów.

Zanim zdążyłam zastanowić się, gdzie z kolei upchnę swoje ubrania, skoro nie ma tu żadnej szafy, dostrzegłam dwoje drzwi. Znajdowały się tuż obok siebie, na jednej ścianie, idealnie w nią wkomponowane i jeszcze zanim Will podszedł i przedstawił mi dodatkowe pomieszczenia, już wiedziałam, co się za nimi kryje. Jednym z nich była, oczywiście, garderoba. Nie onieśmielała niepotrzebnie wielkimi rozmiarami. Wręcz przeciwnie, była idealna, choć dla mnie i mojego ubraniowego dobytku i tak za duża. Naprzeciwko wejścia wisiało lustro w cienkiej złotej ramie, w którym będę mogła przeglądać się od stóp do głów, po jego bokach umocowano zaś drążki z dziesiątkami wieszaków, a także powieszono mnóstwo półek, szuflad, a nawet poustawiano kilka mniejszych szkatulek na biżuterię i dodatki.

– Twoje szkolne mundurki – poinformował mnie Will, gdy zauważył, że wpatruję się w komplet identycznych zestawów ubrań, schludnie zawieszonych jeden przy drugim w jednym z kątów garderoby. – Jest też piżama, coś wygodnego do noszenia po domu, bluza, na wypadek gdybyś zmarzła... – wymieniał, wskazując pojedyncze rzeczy, które zajmowały poszczególne miejsca w garderobie. – Powiedzmy, że to taki zestaw powitalny. Nic się nie martw, jeśli będziesz miała taką potrzebę, resztę ubrań zamówimy ci przez internet.

– Dziękuję – wymamrotałam uprzejmie, zerkając na sztywne ciemne marynarki, które przypomniały mi o kolejnej zmianie, jaką przyszykowało dla mnie życie. Sama myśl o nowej szkole sprawiała, że chwilowo uspięne nerwy z lotniska zaczęły się przebudzać, dlatego szybko się jej pozbyłam. Jeszcze przyjdzie czas, by się tym zamartwiać.

Pomieszczenie obok było nieco większe i okazało się łazienką. Kafle tu były duże, szare i połyskujące. Szklane drzwi prowadziły pod prysznic, gdzie znajdowały się miejsce, by usiąść, półka na żele i szampony oraz nawet wnęka do odłożenia ubrań i ręcznika tak, aby nie zamokły podczas

kąpieli. Wisiał tutaj też biały puszysty szlafrok, który wyglądał na tak delikatny, jakby miał się rozpaść w rękę. Oczywiście nie zabrakło prostej białej ubikacji, wbudowanej w ścianę szafeczki na kolorystycznie poukładane ręczniki, a także okrągłej białej misy, która robiła za umywalkę, z wiszącym nad nią lustrem.

Od razu poczułam ulgę, że w domu pełnym mężczyzn będę miała swoją prywatną łazienkę. Will co chwilę rzucał komentarze uzupełniające to, co widzieliśmy. Poinformował mnie na przykład, że sprząta tu i wymienia ręczniki gosposia, że w szafce powinnam znaleźć różne podstawowe przybory łazienkowe, ale zapewnił mnie, że dokupimy to, czego będę potrzebowała.

Kiwałam grzecznie głową na znak, że słucham i rozumiem, ale w mojej głowie kołatała się tylko jedna myśl. *Szaleństwo. To istne szaleństwo.* Chyba mam zamieszkać w jakimś luksusowym hotelu, bo jak inaczej wyjaśnić te szlafroki i wymianę ręczników? Rozmyślając nad tym, z powrotem stanęłam z Willem na środku sypialni.

– Zaraz przyniosę twoje bagaże. Odśwież się, prześpij... Cokolwiek zechcesz. Pamiętaj, że to twój dom. Czuj się tutaj swobodnie. – Z tymi słowami mój nowo poznany brat zostawił mnie samą.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. To mój dom. Ta chata rodem z programu *MTV Cribs* to mój nowy dom. W którym miałam się czuć swobodnie. Nie wierzyłam, że kiedykolwiek mi się to uda. Rozejrzałam się raz jeszcze. Na samą myśl, że będę codziennie zasypiać i budzić się w takim pomieszczeniu, chwilowo poczułam się jak księżniczka i nie mogłam pozbyć się mrocznego wrażenia niepokoju i obcości. Może jestem tu, bo we śnie podpisałam cyrograf z diabłem?

Zadrzałam.

Zamknęłam się w łazience, by wziąć prysznic, uprzednio przez jakieś pięć minut ucząc się jego obsługi. Z szafki wyciągnęłam pierwszy lepszy żel. A potem świeża i pachnąca zawinęłam się w ten cudownie miękki szlafrok i boso potruchtałam do garderoby obok. Wskoczyłam w nad wyraz komfortowe, подарowane mi dresy, a gdy nareszcie padłam na niezwykle wygodny materac, wciskając losową poduchę pod głowę, mój wzrok padł na

torby, które Will zdążył ustawić pod ścianą. To wszystko było niesamowite i koniecznie musiałam opowiedzieć o tym mamie.

Na szczęście zasnęłam, zanim zdążyłam przypomnieć sobie o tym, że ja przecież nie mam już mamy.

Obudziłam się w ciemności. Zamrugałam, po czym uniosłam się na łokciu, by przyśpieszyć w ten sposób procesy myślowe i przypomnieć sobie, co się wydarzyło. Gdy zalała mnie fala wspomnień o niedawnych wydarzeniach, a ja się z nimi oswoiłam, zwlekłam się z łóżka i po omacku poszukałam telefonu. Było już po dziewiątej wieczorem. Trochę pospałam. Will mówił, że jeszcze dzisiaj zobaczę Vincenta i choć nie miałam najmniejszej ochoty, by opuszczać swój pokój i poznawać kolejnych braci, wiedziałam, że byłoby to niegrzeczne.

Wyściubiłam nos za drzwi na pusty i pogrążony w mroku korytarz. Pomagając sobie latarką w telefonie, przemknęłam przez niego dość prędko, bo tak cichy i ciemny hol w nieznanym mi domu tylko prowokował moją i tak już nadto wybujałą wyobraźnię. Na całe szczęście na dole było jaśniej i zaraz usłyszałam dobiegające stamtąd głosy. Szybko jednak poczułam się nieswojo, bo brzmiały one na dość wzburzone. Wyłączyłam latarkę i znieruchomiałam, stojąc niepewnie pośrodku schodów i debatując w myślach nad tym, czy to aby dobry moment na zejście do salonu.

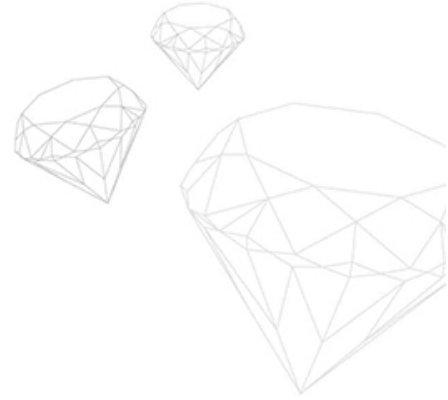
– Nigdzie się nie wałęsamy– powiedział jeden z głosów.

– I wcale nie po nocach – dodał drugi, brzmiący podobnie, ale bardziej mrukliwie.

– Mhm, jesteście nieostrożni i nie podoba mi się to – warknął trzeci, zdecydowanie najbardziej opanowany, ale i najchłodniejszy.

Przełknęłam ślinę i już na poważnie zaczęłam rozważać powrót do sypialni, gdy nagle usłyszałam szept za swoimi plecami.

– Podsluchujesz?



2

Rozpunka

Cała zdrętwiałam, ale odwróciłam się natychmiast i moje otwarte szeroko oczy spoczęły na twarzy Dylana. Jego usta wykrzywiały się w kpiarskim uśmiešku, ale wciąż promieniowała od niego mroczna aura.

Dopiero teraz zobaczyłam, jak był postawny. Pomijając już nawet jego imponującą muskulaturę, z powodzeniem udało mu się również mnie zawstydzić swoim wysokim wzrostem tak, że zupełnie zapomniałam o tym, że przecież nie zrobiłam nic złego.

Pokręciłam przecząco głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Dylan zaśmiał się cicho i wyminął mnie, drogę w dół pokonując leniwym truchtem. Patrzyłam za nim znieruchomiła. Prawdopodobnie zaraz powie pozostałym, że Hailie czai się po kątach i podsłuchuje cudze rozmowy. To im się na pewno nie spodoba, a ja nie takie wrażenie chciałam zrobić na swoich odnalezionych braciach, dlatego czym prędzej ruszyłam za nim, zdeterminowana, żeby się bronić.

– Wszyscy jesteście nieostrożni. Może od razu zechcecie wtajemniczyć naszą nową małą siostrzyczkę w swoje sekrety? – zawołał Dylan, rzucając się na ogromny narożnik w salonie, skąd dochodziły odgłosy rozmowy, której fragment usłyszałam. Po jego wejściu od razu się urwała.

Przystanąłam u progu. Po salonie w tak wielkim domu spodziewałabym się kolosalnych rozmiarów, ale ten pokój był zadziwiająco przytulny. Do kompletu wypoczynkowego oprócz narożnika należały jeszcze mała kanapa ustawiona z boku oraz fotel. Na środku znajdował się niski stolik kawowy, na którym Dylan przed chwilą ułożył nogi. Pomiędzy narożnikiem a fotelem piął się w górę nowoczesny smukły kominek, w którym tańczył wesoło kolorowy elektryczny płomień. Okna były ogromne, a ciężkie szare kotary najwyraźniej robiły tylko za ozdobę, bo mimo iż na dworze panowała już nieprzenikniona ciemność, nikt ich nie zasunął.

No ale rzeczą, która rzucała się tutaj w oczy najbardziej, był wielki telewizor. Wisiał na ścianie oprawiony w grubą rzeźbioną złotą ramę niczym dzieło sztuki. Na ekranie właśnie pojawiło się logo PlayStation, gdy Dylan wygrzebał wciśniętego w poduchy pada i go uruchomił.

Moje spojrzenie szybko przeniosło się na trzy osoby, które stały obok kominka. Jeszcze dobrze się im nie przyjrzałam, a już wiedziałam, że muszą to być moi pozostali bracia. W ich stylu bycia było po prostu coś takiego, co już wcześniej dostrzegłam u Willa i Dylana.

Aktualnie wszyscy przetrawiali słowa tego ostatniego. Dwaj z nich to byli niemal identyczni młodzi chłopcy. Wiedziałam, że najmłodszy z moich braci byli bliźniakami, ale z jakiegoś powodu nie spodziewałam się, że będą tak bardzo do siebie podobni. Tymczasem obaj mieli krótkie, gęste i raczej rozczochrane ciemne włosy, mocno zarysowane szczęki, dość grube brwi i jasne oczy. Chociaż nie byli ubrani tak samo, to ich stroje łączył podobny, luźny styl. Z ulgą dostrzegłam w brwi jednego z nich drobny czarny kolczyk. Postanowiłam się go ucześcić jako cechy charakterystycznej, która miała mi pomóc w odróżnianiu ich od siebie.

Trzecią osobą był mężczyzna najstarszy z obecnych. Stał do mnie tyłem, ale gdy słowa Dylana do niego dotarły, odwrócił się i wbił we mnie błękitne spojrzenie, pod którym momentalnie zaczęłam żałować decyzji o opuszczeniu sypialni.

Miał ciemne, schludnie zaczesane do tyłu włosy i był ubrany w klasyczną czarną koszulę i spodnie tego samego koloru. Był wysoki i postawny, co najwyraźniej zaliczało się do cech charakterystycznych wszystkich braci Monet. Biły też od niego naturalna elegancja i wyniosłość.

Po chwili byłam już centralną atrakcją wszystkich tu obecnych. Zapadła cisza, której towarzyszyły jedynie głupekowate odgłosy intro gry Dylana. O Boże, jak nieswojo się czułam! Trzeba było zostać w łóżku do rana. Prawie przytuliłam się do ściany, przygnieciona ciężarem tych wszystkich spojrzeń, które taksowały mnie od góry do dołu. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że jestem tu intruzem.

No dobrze, Hailie, wypada się odezwać.

– Nic nie słyszałam, naprawdę. – Odchrząknęłam, żeby pozbyć się chrypki. – Zatrzymałam się na schodach, bo nie chciałam przeszkadzać...

Patrzyłam głównie na najstarszego mężczyznę. To on tutaj dominował i to jego najbardziej chciałam przekonać o swojej niewinności, dlatego ulżyło mi, gdy skinął głową.

– W porządku, Hailie – odpowiedział. Dla kontrastu jego głos był spokojny i zimny, choć brzmiał nieco łagodniej niż wtedy, gdy zwracał się do bliźniaków. – Czekałem, aż zejdziesz. Chciałbym z tobą porozmawiać. Pozwól, proszę, za mną.

Sama wydedukowałam, że to musi być Vincent, mój prawny opiekun. Wypowiadając ostatnie słowa, rzucił spojrzenie w stronę Dylana. Odgłosy jego gry robiły się coraz hałaśliwsze i bardziej irytujące. Nie zwrócił mi jednak uwagi, a zamiast tego zbliżył się do mnie i gestem dłoni pokazał, bym szła przodem. Byłam cała spięta, ale starałam się udawać, że wszystko jest w porządku, dlatego bez żadnych oporów pozwoliłam mu pokierować się w stronę kolejnych drzwi.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że nawet nie przedstawił mi bliźniaków, ale opierając się na okrojonej wiedzy na temat swojej nowej rodziny domyślałam się, że musieli to być Shane i Tony. Nie wiedziałam tylko który to który.

Vincent zaprowadził mnie do biblioteki, o której już wcześniej słówko szepnął mi Will. Urządzona była całkiem gustownie: ciepłe drewniane akcenty przeplatały się z szarością i pastelową zielenią. Ściany praktycznie tu nie istniały, bo (poza oknami, sekretarzykiem i wciśniętym w kąt pianinem) całą powierzchnię pokrywały wysokie regały pełne książek. Podobało mi się, że było ich tak dużo. To jedyna rzecz, która mnie tutaj

uspokajała. Byłam ciekawa, czy któryś z chłopaków przeczytał przynajmniej kilka z nich. Na przykład ten cały Dylan.

Mężczyzna zajął fotel i eleganckim gestem wskazał mi kanapę, a wtedy po raz pierwszy w oczy rzucił mi się spory sygnet, który nosił na środkowym palcu prawej ręki.

– Przykro mi z powodu śmierci twoich bliskich – zaczął Vincent, gdy tylko się usadowiłam. Jego głos wyprany był z wszelkich emocji. Posmutniałam i starałam się nie myśleć o tym, że teraz jedną z najbliższych mi osób będzie ten lodowaty człowiek. – Jako twój najstarszy brat zostałem twoim opiekunem prawnym. O tym zostałeś już poinformowana, prawda?

Kiwnęłam głową.

– Dobrze. Jak się czujesz?

To pytanie mnie zaskoczyło i nawet byłabym gotowa się wzruszyć jego troską, gdyby nie fakt, że zostało zadane tym samym obojętnym tonem. Dlatego w odpowiedzi wzruszyłam tylko ramionami, mamrocząc oględne:

– W porządku.

Vincent odchylił się w fotelu, a ja pomyślałam sobie, że podobna atmosfera musi towarzyszyć sztywnym rozmowom o pracę. Nigdy się o żadną nie starałam, ale słyszałam, że to nic przyjemnego.

– Jestem świadomy tego, że sytuacja, w jakiej się znalazłaś, jest dla ciebie trudna. Obawiam się, że nie będę mógł ci jej zbytnio ułatwić – zapowiedział, po czym zaraz dodał: – Zrobię, co mogę, oczywiście, ale czeka cię wiele zmian, na które powinienem cię przygotować.

Jeszcze więcej? Słuchałam go w napięciu. Zupełnie nie wiedziałam, czego się spodziewać. Przez głowę przebiegało mi tysiąc myśli. Może zamknie mnie w mojej nowej sypialni jak Roszpunkę? Albo zmusi do sprzątnięcia i gotowania jak Kopciuszkę? Zerknęłam mimochodem na jego lśniące buty. Ktoś w końcu musi mu je pastować. Bo nie uwierzę, że robi to sam.

– Po pierwsze, chciałbym zapoznać cię z ogólnymi zasadami funkcjonowania tego domu. W naszej rodzinie bardzo dbamy o prywatność i bezpieczeństwo. – Tutaj zrobił krótką pauzę, żeby zaakcentować, że on sam dba o te dwie rzeczy najbardziej. – Na początek chciałbym, żebyś wiedziała,

że cała nasza posesja jest ogrodzona. Nasz dom jest obserwowany dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Dodatkowo w nocy na ogół spuszczone są psy. To bardzo ważne, żebyś pamiętała, by nie wychodzić wtedy na zewnątrz bez wcześniejszego poinformowania któregoś z nas. Nie żebym się spodziewał, że coś takiego w ogóle przyjdzie ci do głowy, rzecz jasna.

Znowu zamilkł, uważnie patrząc mi w oczy, a ja starałam się zachować tak neutralny wyraz twarzy, jak to tylko możliwe. W pierwszej chwili ucieszyłam się na wzmiankę o zwierzętach, ale szybko sobie uświadomiłam, że psy, o których mówił Vincent, to raczej nie puchate shih tzu.

– Pierwotnie planowałem zorganizować ci nauczanie indywidualne, tutaj, w domu...

Och, a więc jednak Roszpunka.

– ...jednak ostatecznie podjąłem decyzję o zapisaniu cię do szkoły. Jest to prywatne liceum z bardzo wygórowanymi standardami. – Splótł ręce i przekrzywił głowę, jakby oceniał naprędce, czy owym standardom zdołam sprostać. – Twoje dotychczasowe wyniki akademickie są odpowiednio wysokie, spodziewam się więc, że nie będziesz miała problemu z szybkim nadrobieniem ewentualnych braków. Gdyby okazało się, że jest inaczej, natychmiast mnie o tym poinformujesz, a ja zatrudnię prywatnego nauczyciela, który pomoże ci nadrobić zaległości.

Milczałam, starając się zapamiętać wszystko to, co mówił tym swoim monotonnym głosem, którego stalowy wydźwięk kazał mi nieustannie mieć się na baczności.

– Do tej samej szkoły uczęszczają Dylan, Shane i Tony. Ich zajęcia odbywają się w osobnym skrzydle, ale z całą pewnością będziecie widywać się podczas przerw na lunch. Będą również odpowiedzialni za twój codzienny transport z i do domu, chyba że zostanie ustalone inaczej. Czy na razie wszystko jest dla ciebie jasne?

Pokiwałam głową, godząc się z myślą, że będę musiała codziennie dojeżdżać na zajęcia.

– Nie będę wymagał od ciebie niemożliwego, Hailie. Istotnym jest jednak, żebyś wiedziała, że gardzę głupotą i bezmyślnością. Mam szczerą nadzieję, że jesteś inteligentna nie tylko na papierze. Liczę, że będziesz

trzymała się z dala od kłopotów. – Vincent pochylił lekko głowę do przodu i uniósł brwi. – Nie sądzę też, żebym musiał wspominać o oczywistych zakazach, takich jak na przykład żadnych używek. Czy muszę o nich wspominać, Hailie?

Jego spojrzenie stawało się jeszcze intensywniejsze, gdy oczekiwał na odpowiedź, a ja odruchowo przełknęłam ślinę.

– Nie – szepnęłam.

– Dobrze. – Wyprostował się w swoim fotelu. – Z pewnością zgodzisz się ze mną, że rozsądnie będzie z mojej strony zaznaczyć, iż w wieku czternastu lat twoje życie towarzyskie powinno być odpowiednio ograniczone. Nie zabronię ci bez powodu weekendowego wyjścia do kina z koleżanką, jednakże nie sądzę, żebyś była w odpowiednim wieku do umawiania się na potencjalne randki z płcią przeciwną. Wierzę, że rozumiesz, o czym mówię. Dlatego za każdym razem, gdy będziesz planowała jakieś wyjście, nie zapomnij poinformować któregoś z nas o miejscu spotkania, jego czasie i osobach ci towarzyszących. Nie chodzi tu o kontrolowanie ciebie, tylko o twoje bezpieczeństwo.

Od tego wszystkiego zaczynała boleć mnie głowa. Jego sposób wypowiedzi był naprawdę przytłaczający. Sprawił, że zrezygnowałam z zaznaczenia na głos, że lat mam już przecież prawie piętnaście.

– Ze względu na zupełnie różne plany dnia, rzadko kiedy udaje się nam wszystkim zasiąść razem do posiłku. Nie powinno to być dla ciebie przeszkodą w spożywaniu regularnych śniadań i kolacji, które codziennie przygotowywane są przez naszą pomoc domową. Z tego, co mi wiadomo, nie masz żadnych alergii, ale możesz poinformować ją o swoich ewentualnych preferencjach smakowych. W granicach rozsądku oczywiście. Jeśli potrzebujesz konkretnych produktów, mam na myśli te spożywcze bądź higieniczne, wpisz je na listę, która wisi w kuchni na drzwiach lodówki. Eugenie systematycznie ją realizuje.

Kiwałam głową.

– Powinnaś zwracać szczególną uwagę na swoje media społecznościowe. Prosiłbym, abyś dokładnie przemyślała swoje ustawienia prywatności, jak również to, co w nich publikujesz, a najlepiej byłoby, gdybyś najpierw to przedyskutowała z którymś z nas.

– Mam tylko bookstagrama – oznajmiłam, odchrząkując.

Vincent chciał mówić dalej, ale usłyszawszy moje wtrącenie, uniósł brew.

– Słucham?

– Konto, gdzie wrzucam recenzje przeczytanych książek. To takie hobby połączone z czytaniem. Obserwuje mnie całkiem sporo osób. Polecam im najlepsze, według mnie, historie – wyjaśniłam cierpliwie i rzeczowo, jako że bardzo zależało mi, abym została właściwie zrozumiana.

Mój nowy opiekun wysłuchał mnie, a po jego kamiennej twarzy przemknął cień czegoś, co mogłoby być nawet uśmiechem, choć nie chciałam zagalopowywać się w swoich przypuszczeniach. W każdym razie skinął głową i powiedział:

– W porządku.

Okej. Jak w porządku, to w porządku.

– Ufam, że jesteś na tyle duża, by sama wiedzieć, co jest dla ciebie dobre, dlatego nie zamierzam ingerować w każdą część twojego życia, dopóki nie zajdzie taka potrzeba. Mogę ci jedynie poradzić, byś chodziła spać o rozsądnych porach. To ważne, żebyś w ciągu dnia była wypoczęta. Nie zostawiaj nauki oraz prac domowych na ostatnią chwilę, w tej szkole to nie przejdzie, a liczę, że stanie się ona twoim priorytetem.

Telefon Vincenta zawibrował, ściągając chwilowo na siebie jego uwagę, którą szybko z powrotem przeniósł na mnie, podejmując kolejny wątek.

– Przez specyfikę mojej pracy często jestem nieosiągalny, dlatego miej na uwadze, że nasi pozostali bracia również będą czuwać nad twoją aklimatyzacją w nowej rzeczywistości. W świetle prawa oczywiście jesteś pod moją opieką i życzyłbym sobie, żebyś z ważnymi sprawami przychodziła do mnie, ale w razie potrzeby pozostali również będą za ciebie odpowiedzialni – tłumaczył i dodał, widząc moją minę: – Wiem, że bliźniacy są od ciebie starsi o jedyne dwa lata, ale jeszcze sama zobaczysz, że mogą okazać się pomocni.

Oficjalny sposób wypowiedzi Vincenta stresował mnie sam w sobie, jednak znowu, w pełni się z nim zgadzając, kiwnęłam głową. Właściwie to

w większą wątpliwość podawałam uczynność Dylana niż bliźniaków, ale nie zamierzałam teraz o tym mówić.

– Nie chciałym zabrzmieć nieprzyjemnie – zaczął, a ja w innych okolicznościach chyba parsknęłabym ironicznie – więc wspomnę o tym raz. Nie toleruję braku szacunku i bardzo nie lubię kłamstwa. Pamiętaj o tym, proszę.

Przez chwilę miałam ochotę odpowiedzieć mu coś w stylu: „Tak jest, proszę pana”. Brat czy nie brat, był dla mnie obcym facetem, który dyktował mi swoje warunki, podczas gdy ja wiedziałam, że niewiele mam tutaj do powiedzenia. Vincent nie sprawiał wrażenia osoby skłonnej do kompromisów. Nie żeby jego zasady jakoś szczególnie różniły się od tych, które bardzo dobrze znałam ze swojego domu. Po prostu moja mama nigdy nie recytowała mi ich w taki przytłaczający sposób.

– Wiem, że Will już cię o tym uprzedzał, ale myślę, że warto, bym wspomniał o tym raz jeszcze. Bez konkretnego powodu nie kręć się, proszę, po skrzydle pracowniczym. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, a nikogo nie będzie w pobliżu, najlepiej zadzwoń – mówiąc to, Vincent z kieszeni swoich eleganckich spodni wyjął zgiętą na pół karteczkę i nachylił się, by mi ją podać. Na papierze schludnym pismem zapisane było pięć numerów oznaczonych inicjałami moich braci. – Zapisz je sobie, proszę, w telefonie.

– Okej – mruknęłam i schowałam świstek do kieszeni swoich dresów. Znowu zapatrzyłam się na ten jego sygnet i w tym właśnie momencie uderzyło mnie, jaka przepaść dzieliła mój ubiór od stroju Vincenta. On wyglądał, jakby urwał się ze spotkania biznesowego, podczas gdy ja nadawałam się co najwyżej do owinięcia puszystym kocem i obejrzenia jakiejś mało ambitnej komedii obyczajowej.

W końcu nadszedł wyczekiwany przeze mnie moment, w którym zbliżyliśmy się do końca tej wymagającej sesji wprowadzającej. Vincent zasugerował, że to czas, bym zadała wszelkie pytania, jakie przyjdą mi do głowy. Niejasnych kwestii pozostało wiele, ale były to sprawy, o których nie myślałam na oczekaniu, i zaakceptowałam to, że na ich wyklarowanie trzeba było uzbroić się w cierpliwość.

Istniała jednak jedna rzecz, o którą zagadnąć musiałam.

– Mamę wspólnego ojca, prawda? – zapytałam miękko. Niełatwo było mi przywoływać jego postać. Vincent spodziewał się chyba, że poruszę ten temat, bo tylko skinął sztywno głową. – Co się z nim stało?

– Nie żyje. Cztery lata temu zginął w wypadku. – Mój brat nie odrywał ode mnie wzroku, całkowicie beznamiętnie przekazując mi tę tragiczną informację.

Bez cienia ironii pomyślałam sobie, że sporo tych wypadków w rodzinie.

Przełknęłam gorzko ślinę, kiwając ze zrozumieniem głową. Chciałam powiedzieć coś więcej, ale nic nie przychodziło mi na myśl, poza tym moje gardło się zacisnęło i stwierdziłam, że nie ma sensu roztrząsać kolejnej śmierci kolejnego rodzica, zwłaszcza takiego, który przegapił fakt, że oprócz synów ma jeszcze córkę.

– To wszystko?

– Chyba tak.

Mężczyzna podniósł się powoli i wygładził swoją i tak gładką koszulę. Jak na rozkaz ja wstałam również, naciągając na dłonie rękawy bluzy. Czekałam na jego sygnał, że nasza rozmowa dobiegła końca. Wydał mi się on potrzebny przez to, jak formalnie ją prowadził.

– Gdyby coś jeszcze zaprzętało twoje myśli, zawsze możesz przyjść z tym do mnie. Nie ma sensu, byś zaśmiecała sobie głowę wyssanymi z palca domysłami.

– Będę pamiętać.

– Dobrze – podsumował i wskazał na otaczające nas regały, mówiąc: – Przy okazji, może znajdziesz coś tutaj do recenzji na swoje konto.

– Na pewno się rozejrzę.

Nie mogłam się doczekać aż któregoś dnia, może nawet już jutro, będę mogła się tu zakraść i pomyszkować bez wiszącego nade mną, stresującego mnie Vincenta.

To był koniec mojej pierwszej i nie ostatniej rozmowy z najstarszym bratem. Gdy wychodziliśmy z biblioteki, zaprosił mnie do kuchni na kolację. Uprzedził, że niefortunnie grafik dzisiejszego dnia okazał się bardzo napięty, dlatego nie uda się nam wszystkim spotkać przy stole, ale zapowiedział, że jutro już na pewno zasiądziemy do posiłku w komplecie.

Tego wieczora towarzyszyli nam tylko bliźniacy. Z obecnej trójki braci najmilszy okazał się Shane, który starał się mnie zagadywać, żebym poczuła się choć odrobinę mniej niezręcznie. To ten z małą czarną obręczą w brwi. Siedział naprzeciwko mnie i objadał się purée ziemniaczanym, a potem mówił do mnie z pełną buzią, tak że ledwo go rozumiałam. Jego amerykański akcent nie ułatwiał sprawy, ale pocieszałam się, że przywyknięcie do niego to na pewno tylko kwestia czasu i zarazem mój najmniejszy problem. Doceniałam starania Shane'a, bo na przykład siedzący obok Tony ciągle milczał i ani razu nie uniósł wzroku znad swojego talerza.

Rzuciłam mu kilka przelotnych i nieśmiałych spojrzeń i dzięki temu dostrzegłam, że po pierwsze (tak jak Shane zresztą) miał bardzo długie rzęsy. Tak długie, że mogłabym podejrzewać, że są sztuczne, gdyby nie to, że chłopak zdecydowanie, mimo że był zadbany, nie sprawiał wrażenia kogoś, komu zależałoby na takich kosmetycznych ingerencjach. Drugą rzecz odkryłam, gdy zanim złapał za widelec, podwinął rękawy swojej czarnej bluzy. Na jego lewej ręce od dłoni piał się w górę imponujący tatuaż, który musiał sięgać aż do szyi, bo jego fragment wystawał zza kołnierza. Nie miałam odwagi analizować go zbyt długo, bo Tony nie wyglądał na sympatyczną osobę i nie chciałam, by przyłapał mnie na tym, że się na niego gapię. Zdołałam jedynie dostrzec i rozróżnić jakieś dziwne abstrakcyjne wzory i kawałek smoczego ogona, takiego pokrytego łuskami i kolcami, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że chłopak ma na ramieniu prawdziwe dzieło sztuki.

On i Vincent odzywali się niewiele, a już zwłaszcza do mnie, dlatego Shane naprawdę miło mnie zaskoczył. Opowiadał mi trochę o szkole, do której będę chodzić. Bliźniacy byli tam na przedostatnim roku. Dylan – na ostatnim.

– Nauczyciele są trochę upierdliwi, chyba jak wszędzie, ale że Vince przekazuje na szkołę kupę hajsu, to mamy taryfę ulgową. – Mrugnął do mnie psotnie i po raz pierwszy od wielu dni z moich ust wymknęło się coś, czemu nawet nie tak daleko było do chichotu.

– Nie mów jej takich rzeczy – upomniał go Vincent, a jego delikatnie zmarszczone brwi wyraźnie sygnalizowały lekką irytację.

Tony parsknął pod nosem, a Shane, zignorowawszy uwagę naszego najstarszego brata, mrugnął do mnie raz jeszcze. Tym razem jednak bałam się już zareagować, więc spuściłam wzrok i zapchałam sobie usta kolejnym kęsem jedzenia, którego znowu dostałam za dużo.

Nie potrafiłam się wyluzować po rozmowie z Vincentem. Zestresował mnie swoimi zasadami i oschłością, z jaką do mnie mówił. Zauważyłam, że podobnie odnosił się też do chłopaków, więc prawdopodobnie taki miał po prostu styl bycia, co jednak niezbyt podniosło mnie na duchu. Perspektywa bycia zależną od niego przez kilka następnych lat mojego życia trochę mnie dołowała.

Zaraz po posiłku bliźniacy zniknęli, a Vincent tłumaczył mi jeszcze różne drobiazgi, jak godziny pracy gosposi i inne szczegóły, które wcześniej przegapił albo po prostu były mniej istotne, by o nich od razu wspominać. Gdy skończył, wspieiliśmy się po schodach na górę i dopiero tam się rozdzieliliśmy. Ja poszłam do swojej nowej, królewskiej sypialni i rzuciwszy mu ostatnie spojrzenie, zdążyłam tylko zauważyć, jak jego sylwetka znika w korytarzu prowadzącym do skrzydła pracowniczego.



3

„Nu, nu, nu”

Szybko się nauczyłam, że Rezydencja Monetów przypominała pole minowe. Przez większość czasu panowała tu względna cisza, trochę zgubna, bo na każdym kroku istniało niebezpieczeństwo napatoczenia się na któregoś z braci. Starłam się ich unikać, zwłaszcza tych, którzy nie wzbudzali we mnie szczególnej sympatii. Ulżyło mi, gdy następnego dnia udało mi się pokonać drogę z mojej sypialni do kuchni bez przeszkód w ich postaci.

Najpierw obudziłam się około czwartej rano, bo jet lag dawał mi się we znaki. Mój organizm nie wypoczął w stu procentach, ale nie potrafiłam też ponownie zasnąć, więc leżałam długo w pościeli, obserwując, jak w mojej nowej pięknej sypialni robi się coraz jaśniej. W pewnym momencie wygrzebałam spod poduszki telefon, który zostawiłam tam podpięty do ładowarki. By to zrobić, musiałam się przeczołgać na brzeg materaca, co nie mieściło mi się w głowie. Chyba nigdy nie spałam w tak wielkim łożu.

Do około godziny siódmej sprawdzałam zaległości na książkowym koncie. Dodałam kilka pozycji do przeczytania do swojej listy oczekującej i odpisałam na parę komentarzy. Później z westchnięciem otworzyłam kilka prywatnych wiadomości, które wcześniej z jakiegoś powodu zdecydowałam się zignorować.

Jedna z nich była od cioci Marie, obcej tak naprawdę kobiety, siostry mojej babci, którą znałam jedynie z imienia. Mieszkała w Irlandii ze swoją rodziną, z którą nie utrzymywałyśmy nigdy kontaktu. Wiedziałam, że nie uśmiechało jej się przyjąć mnie pod swoje skrzydła, zwłaszcza że była już bardzo stara i nieco zgorzkniała, a jej dzieci oraz ich dzieci właściwie mnie nie znały. Była jedyną osobą z tamtych stron, która pofatygowała się na pogrzeb, i niemal widziałam ulgę wypisaną na jej pomarszczonej twarzy, gdy dowiedziała się, że mam już nowego opiekuna i ona sama nie musi tworzyć żadnych wymówek, dlaczego nie może się mną zająć, mimo iż tak bardzo przecież chce. Na jej suchą grzecznościową wiadomość odpisałam równie lakonicznie i przeszłam do kolejnej.

Ta była nieco bardziej rozbudowana. Nic dziwnego, bo dostałam ją od Roxane, swojej przyjaciółki z dzieciństwa. Smutna sprawa, bo niegdyś nie dało się nas rozdzielić, a potem ona wyprowadziła się z rodzicami z powrotem do rodzinnej Grecji, na czym niestety nasz kontakt bardzo ucierpiał. Mimo starań ciężko było nam pielęgnować znajomość tak jak dawniej. Wiedziałam jednak, że nawet jeśli nasza przyjaźń wyblakła, to wciąż mogę liczyć na wsparcie Roxane, zwłaszcza w tak tragicznych dla mnie momentach.

Ostatni nieodczytany SMS dostałam od znajomej ze szkoły, z którą nie łączyło mnie nic oprócz powierzchownego koleżeństwa. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że wiadomość tę napisała otoczona wianuszkami głodnych sensacji osób, których na korytarzach mojej byłej szkoły nie brakowało, dlatego w odpowiedzi przerobiłam nieco treść wysłaną do ciotki Marie i z kolejnym westchnięciem odłożyłam telefon.

I to by było na tyle. Z ciężkim sercem wygrzebałam się z łóżka, psychicznie nastawiając się na powitanie nowego, pełnego trudów i upiornych braci dnia. Wzięłam dokładny prysznic, schludnie się ubrałam i uczesałam, pościeliłam łóżko, otworzyłam okno, by przewietrzyć pokój, i rozpakowałam swoje bagaże. Mój dobytek zajął ledwie marną część powierzchni garderoby.

Spędziłam dobre pół godziny, wgapiając się w małe złote kolczyki w kształcie serc, które leżały sobie w eleganckim pudełeczku, wciśnięte w białą aksamitną poduszkę. To prezent od mamy, który wcześniej był jedynie wartościowy, a teraz stał się bezcenny. Pozwoliłam sobie na chwilę

rozczenia, ale gdy zebrałam się po niej do kupy, nie mogłam już dalej zwlekać i odważyłam się opuścić sypialnię.

Tego poranka poznałam Eugenie, gosposię, o której opowiadał mi Vincent. Nucąc pod nosem nieznane mi melodie, wycierała blaty przy akompaniamencie odgłosów pracującej zmywarki.

– Dzień dobry – przywitałam się uprzejmie, dłonią jednej ręki głaszcząc się nieświadomie po łokciu drugiej.

Kobieta zastygła w bezruchu, a potem nagle się odwróciła. Jej oczy na mój widok aż rozbłysły. Krótkie, acz bujne loki związane miała grubą kolorową frotką, przez co na jej głowie tworzyło się coś na kształt stogu siana, ale przegoniłam tę niemiłą myśl, bo natychmiast kupiła mnie niezwykle sympatycznym, szerokim uśmiechem, w którym pokazała cały rząd górnych zębów. Eugenie była starszą panią o dojrzałej, tłustej cerze. Najbardziej rzucały się w oczy zmarszczki, które tworzyły się jej na czole przy każdej, nawet najdelikatniejszej zmianie wyrazu twarzy. Ubrana była w bardzo luźną białą koszulę bez kołnierzyka, szare dresy i śmieszne białe klapki.

Jej wygląd bardzo mnie zaintrygował, bo po pomocy domowej w tak eleganckim domu spodziewałam się bardziej formalnego stroju. Ucieszyłam się, że było inaczej, bo od Eugenie bił blask zwyczajności, przez co poczułam, że już na wejściu mamy ze sobą coś wspólnego. Nie potrzebowałam kolejnych formułek, reguł i luksusów. Chciałam jedynie choć trochę normalności, a Eugenie wyglądała jak ktoś, kto mógłby przyjaźnić się z moją babcią.

Kobieta szybko zaczęła obsypywać mnie komplementami, zachwycając się moimi długimi włosami i – jak to ujęła – uroczą twarzą. Od razu odrzuciła też ścierkę na bok, przysięgając, że jest gotowa przygotować mi na śniadanie, co tylko sobie moja dusza zażyczy. Nieszczególnie miałam ochotę jeść cokolwiek, ale ostatecznie nieśmiało przystałam na propozycję amerykańskich naleśników.

Eugenie poruszała się po kuchni z niezwykłą wprawą i zaczęłam podejrzewać, że zna ją lepiej niż którykolwiek z mieszkających tu chłopaków. Siedziałam przy stole, obserwując jej poczynania i kilka razy oferując swoją pomoc, bo nie zwykłam przyglądać się beczynnemu, jak ktoś

mi nadskakuje, ale Eugenie nakazała mi siedzieć i niczym się nie przejmować. Przy okazji starała się wciągnąć mnie w rozmowę, pytając najpierw o moje ulubione potrawy i o to, za czym nie przepadam, a następnie zagadując o moje życie i zwyczaje w Anglii. Napomknęła też z dumą, że jej córka w przyszłym semestrze wybiera się na wymianę studencką do Newcastle. Nigdy nie odwiedziłam Newcastle, więc trudno mi było się do tego sensownie odnieść, ale uśmiechnęłam się na samą wzmiankę o mieście leżącym w moim rodzinnym kraju.

– Podobno trudny tam mają akcent – mówiła Eugenie, która sama posługiwała się dobrym angielskim, acz słyszalnie ubarwionym przez silną ekspozycję litery „r”, co zdradzało jej obce pochodzenie. – Ale mówię jej, że bardzo dobrze, bo niech się uczy. Nauki nigdy za wiele. – Kobieta przewracała naleśniki niemal automatycznie, uśmiechając się do własnych myśli. – Moja córka to mądra dziewczyna, wiesz, a brzmi jak prawdziwa Amerykanka.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Na pewno da sobie radę.

– A pewnie, że da. – Eugenie machnęła ręką, po czym nachyliła się w moją stronę. – Ja jej powtarzam, że dostała szansę, której nie wolno zmarnować. Bo gdy ja byłam młoda, studia były hen, poza moim zasięgiem. Mnie nikt nie oferował pokrycia czesnego – westchnęła. – Jakie to szczęście, że pan Vincent okazał się dla nas taki dobry. Myślałam z początku, że bardzo się różni od swojego ojca, pana Camdena, bo zawsze jest taki poważny i skupiony, takie sprawia wrażenie. Ale jak się okazuje, serce ma tak samo złote i nic mojego zdania nie zmienia.

Na dźwięk imienia mojego ojca aż ścisnęły mi się wnętrzności. Pierwszy raz ktoś wypowiadał się przy mnie o nim z taką swobodą. Nawet moja mama zmieniała temat, ilekroć ją o niego zagadałam. Eugenie po prostu nie wpadła na to, że wspomnianie go w mojej obecności to niemały nietakt, a ja robiłam, co w mojej mocy, by nie pokazać po sobie, że się tym przejęłam. Moje aktorstwo, choć biedne, chyba nie zawiodło, bo kobieta ciągnęła swój monolog, a ja zamiast jej przytakiwać, jak do tej pory, odpłynęłam zamyślona.

Camden Monet, człowiek, który niegdyś tu mieszkał, spał w jednej z licznych sypialni, jadał w tej kuchni, a Eugenie możliwe, że parzyła mu kawę i stawiała przed nim kubek na tym stole, na którym łokcie trzymałam teraz ja. Złote serce miał – tak o nim powiedziała. Tak bardzo, jak nie chciałam zwracać sobie głowy jego osobą, nie potrafiłam zignorować napływających do niej nieustannie pytań. Jaki był, jak wyglądał i, przede wszystkim, dlaczego nie chciał mnie poznać.

Zakodowałam sobie, że Eugenie może być cennym źródłem informacji na jego temat, zwłaszcza że przepadała za mówieniem i to nawet takim nieco bezmyślnym. Nie chciałam jednak zadawać jej żadnych pytań o niego przez zwykłą ostrożność. Jeszcze któryś z braci by usłyszał lub się o tym dowiedział. Moja ciekawość musiała poczekać.

Wkrótce na blacie przede mną stanął talerz pulchnych i rumianych, ułożonych w stosik naleśników, polanych syropem klonowym i posypanych owocami leśnymi. Marzyłam o takich, odkąd zobaczyłam je kilka lat temu w jakiejś amerykańskiej bajce, a mojej babci, choć kucharką była wspaniałą, zawsze wychodziły zbyt płaskie. Eugenie życzyła mi smacznego i zniknęła, by zająć się praniem, a ja pożegnałam ją uśmiechem, szczęśliwa, że w tym wielkim domu pełnym mężczyzn będzie kręcić się chociaż jedna kobieta.

Porcja była zbyt wielka jak na moje możliwości, więc spędziłam nad nią prawie godzinę. Gdy skończyłam jeść, umyłam po sobie naczynia, zapomniawszy o zmywarce, po czym stanęłam na środku kuchni niepewna, co zrobić dalej. Nie miałam absolutnie nic do roboty i boleśnie to odczuwałam w tym obcym dla mnie środowisku. Zupełnym przypadkiem mój wzrok padł na wielkie kuchenne okno, przez które wpadały promienie słoneczne, oświetlające całe to i tak jasne pomieszczenie. Pogoda zdawała się o wiele ładniejsza niż wczoraj i od razu pomyślałam sobie, że dzisiejsze słońce może zwiastować nadzieję na coś dobrego w mojej szarej rzeczywistości. Zachęcona zarzuciłam na ramiona grubszą bluzę i głównymi drzwiami wyszłam na dwór.

Kiedy wczoraj Will przywiózł mnie z lotniska, zostawił auto na podjeździe, na którym teraz zaparkowany był inny samochód, podejrzenie zwyczajny w porównaniu do luksusowego jeepa. Domyśliłam się, że należy do Eugenie, tylko dzięki lakierowi w kolorze buraczków. Po prostu nie

mogłam sobie wyobrazić żadnego ze swoich braci za kierownicą takiego auta.

Od podjazdu ciągnęła się droga, która znikwała pośród drzew, i wiedziałam, że gdzieś tam dalej przecinała ją brama wjazdowa. Zdecydowałam się nie iść w tamtą stronę, żeby nikt sobie nie ubzdurał, że rozglądam się po okolicy, rozważając ucieczkę. Zamiast tego zboczyłam na idealnie przystrzyżony zielony trawnik, decydując się obejść tę wielką rezydencję.

Od czasu do czasu wiał wiatr i musiałam wtedy szczelniej opatulać się bluzą, ale poza tym mój spacer był nie dość, że przyjemny, bo świeże powietrze wietrzyło mi głowę i pozwalało odetchnąć, to i potrzebny, jako że zdecydowanie czułam się przejeżdżona po obfitym śniadaniu i ruch dobrze mi robił. Ogród otaczający rezydencję był ogromny, choć niestety, po pewnym czasie wydał mi się nudny. Jak na mój gust potrzeba tu było kwiatów, a miejsca na nie zdecydowanie nie brakowało.

Minęłam wielkie okno kuchenne, przez które zerknęłam ukradkiem do środka, tylko by przekonać się, że pomieszczenie pozostało puste, tak jak je zostawiłam. Potem szłam dalej, mijając inne duże okna, aż wreszcie dotarłam do wyłożonego ciemnymi deskami tarasu, na którym znajdował się uroczy komplet wypoczynkowy ze sprzątniętymi już na zimę poduszkami. Wisiał tu też fotel dla dwóch osób, na którym nawet na chwilę nieśmiało przycupnęłam. Zawsze chciałam taki mieć.

Jak zdążyłam się zorientować, na taras wychodziło się rozsuwanymi drzwiami z salonu. Wkrótce ruszyłam dalej na swoją przechadzkę i po chwili odkryłam, że tuż obok znajduje się kolejny taras, tym razem taki z leżakami i wbudowaną weń wanną jacuzzi, oraz całkiem spory basen, z którego – tak jak mówił Will – spuszczone już wodę.

Spacerowałam sobie jego brzegiem, a nawet stanęłam na stopniach prowadzących w dół, wyobrażając sobie, jak zbiornik wygląda, gdy jest napełniony. Jak powierzchnia wody mieni się latem w słońcu. Mieszkam w domu z basenem, pomyślałam sobie, po raz setny kręcąc z niedowierzaniem głową. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek zaznam takiego poziomu zamożności.

Tutaj ściana domu na parterze składała się tylko ze szkła, w którym o tej porze dnia odbijały się drzewa i niebo. Na piętrze wystawał balkon, który tworzył małe zadaszenie. Zakradłam się pod niego, z ciekawością zbliżając się do uchylonych drzwi tarasowych, które dostrzegłam dopiero po chwili. Wsadziłam głowę do środka i odkryłam, że właśnie trafiłam do sportowej części domu, czyli tych okolic, których planowałam unikać.

Było to spore i jasne pomieszczenie z różnego typu przyrządami do ćwiczeń. Jedyna siłownia, w której moja noga kiedykolwiek stanęła, to ta w mojej starej szkole, gdzie sprzęt liczył sobie kilkanaście ładnych lat, a w powietrzu unosił się duszący zapach gumy. Siłownia moich braci, pełna lśniących nowością maszyn, była jej totalnym przeciwieństwem. Były tu bieżnia, ławeczki do podnoszenia ciężarów, kilka kolosów, które nawet nie wiedziałam, do czego mogły służyć, obręcze do podciągania się, maty i materace, worki treningowe oraz wypasione głośniki, z których zazwyczaj sączyła się zapewne muzyka, umilająca chłopakom treningi... Jedna ze ścian była w całości wyłożona lustrami i to właśnie gdy padło na nią moje spojrzenie, zorientowałam się, że nie jestem tu sama.

– Nadal wieszysz? – zapytał Dylan, który wyglądał, jakby przyglądał mi się już od dłuższej chwili.

Stał w kącie, gdzie w piramidę poukładane były butle wody. Jedną z nich trzymał w ręku, otwartą i do połowy opróżnioną. Zebrane w tył wilgotne włosy odsłaniały jego czoło, które błyszczało od potu, tak jak jego napakowane ramiona. Jego tors okrywała luźna koszulka bokserka, która wisiała na jego mięśniach jak worek. Przez szyję przewieszona miał czerwone słuchawki, w których – jak mi się zdawało – cichutko grała muzyka.

Natychmiast zestresowała mnie obecność tego niezbyt lubianego przeze mnie brata. Od początku wiedziałam, żeby unikać siłowni, a teraz przez swoje wszędobylstwo się doigrałam.

– Spaceruję – odparłam, starając się zachować spokój.

– Tak nazywasz zagłębienie do przypadkowych pokoi?

Jego złośliwy uśmiech tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że chłopak próbuje mnie sprowokować. Zacisnęłam dłoń na ledwo widocznej klamce tarasowego przejścia i wymamrotałam:

– Will powiedział, żebym czuła się jak w domu, więc po prostu się rozglądam. Skoro chcesz być sam, wystarczy powiedzieć, a pójdę sobie dalej.

Dylan nie spuszczał ze mnie wzroku, gdy podniósł butelkę do ust i w dwie sekundy wyłopał do końca jej zawartość, po czym zgniótł ją jedną ręką i odrzucił na bok, przetarł usta i wzruszył ramionami.

– To idź.

Ignorując lekkie ukłucie smutku, jakim obdarzył moje wrażliwe „ja” za sprawą swojej obojętności, wycofałam się z powrotem do ogrodu. Objęłam się ciasniej rękoma i przeszłam się wzdłuż domu jeszcze kawałek dalej, z jakiegoś powodu już mało zainteresowana tym, co mijałam. Bałam się patrzeć w okna budynku, bo nie chciałam znowu zostać niesłusznie oskarżona o podglądanie. Rozmiary Rezydencji Monetów mnie przerażały, sam dom też nie wzbudzał ciepłych uczuć. Zwłaszcza gdy dotarłam do kolejnego podjazdu. Ten był dużo mniejszy, a znajdujące się tu drzwi wejściowe solidne. Nie znałam budynku wystarczająco dobrze, żeby nawet próbować zgadywać, do której jego części prowadzą, więc po prostu je minęłam. Następnie szłam wzdłuż ogromnej przybudówki, która nie miała okien i robiła za garaż. Wtedy nareszcie skończyłam ten spacer, bo znów znalazłam się przy froncie domu. W tamtym punkcie mojej wycieczki bolała mnie już głowa od nadmiaru dotlenienia rześkim jesiennym powietrzem.

Z powrotem wkroczyłam do tego przypominającego mi niebezpieczną dżunglę domu. Brakowało tu tylko soczyscie zielonych barw i duszącego zapachu gleby, ale poza tym wszystko się zgadzało. Pod zasłoną względnego spokoju kryło się tu mnóstwo tajemnic i czułam to wszystkimi zmysłami.

Każdy krok, jaki stawiałam po marmurowych posadzkach rezydencji, był bezszelestny. Gdy miałam na stopach tylko skarpetki, trudno było mi to zmienić, mimo iż bardzo chciałam zmącić tę niepokojącą ciszę i przestać sprawiać wrażenie detektywa od siedmiu boleści.

Testując różne możliwości stawiania kroków, poszłam do sypialni, by odwiesić ciepłą bluzę, której już nie potrzebowałam. Prawie wywróciłam się na schodach, zapatrzywszy się znowu na dziwny obraz w holu, ale szybko odzyskałam równowagę, a do moich uszu nie dotarł żaden wredny chichot, więc chyba obyło się bez świadków.

Natknęłam się na kogoś, dopiero gdy zdecydowałam się po raz kolejny wyjrzeć ze swojego pokoju, tym razem w celu zaparzenia sobie herbaty. Ból głowy wolno odpuszczał, a nawet dostałam jesiennego kataru, i to właśnie wtedy postanowiłam odbyć kolejny wypad do kuchni.

– Zmarzłaś?

Właśnie nachylałam się nad nowo odkrytą szufladą pełną ziół i herbat i na dźwięk tego głosu, mimo iż brzmiał sympatycznie, gwałtownie podskoczyłam. W wejściu do kuchni stał Will i uśmiechał się do mnie. W pierwszej chwili przestraszyłam się, że to mój najstarszy brat, a wszystko przez oficjalne ubranie, w jakim jeszcze Willa nie widziałam. Miał na sobie koszulę perfekcyjnie podkreślającą głęboki błękit jego oczu i ciemne spodnie od garnituru. Gdybym miała opisać, jak wygląda człowiek sukcesu, zamiast strzepić język, po prostu wskazałabym na niego.

– Trochę. Byłam się przejść.

– Wiem – odparł, a gdy spojrzałam na niego zaskoczona, dodał z największą swobodą: – Widziałem cię przez okno.

Błagałam siebie samą w myślach, by mój wyraz twarzy nie zdradzał zmieszania, jakie czułam w duszy. Tak bardzo pragnęłam, by to nieswoje wrażenie przestało mnie w końcu tak nieprzerwanie dręczyć.

– Chcesz herbaty? – zapytałam, by zmienić temat, i zamachałam wybraną przez siebie saszetką.

– Nie, dziękuję. Muszę wychodzić. – Zerknął na nadgarstek, na którym miał zegarek, inny chyba niż wczoraj, ale na pewno tak samo elegancki. – Powinienem wrócić za parę godzin. Na wieczór wszyscy mamy rezerwację w restauracji. Naszej ulubionej.

– Ja też?

To pytanie wymyknęło mi się, zanim pomyślałam, a Will spojrzał na mnie, jakbym urwała się z choinki.

– Ty przede wszystkim. To z twojego powodu wychodzimy. Powiedzmy, że to będzie taka mała integracja.

– Och. Brzmi super – skłamałam.

Will na pewno wyczuł sztuczność mojej reakcji, jednak niczego nie skomentował, rzuciwszy mi tylko wyrozumiałe spojrzenie. Podobało mi się

to, że nie roztrząsał niepotrzebnie mojego zachowania, dając mi czas na oswojenie się z rzeczywistością.

– W razie, gdyby coś się działo, nie jesteś sama. Vince i Dylan są w domu. Zawsze możesz też zadzwonić do mnie. No i Eugenie gdzieś się tu kręci. Poznałaś już Eugenie?

– Zrobiła mi pyszne śniadanie.

– Gotuje nieziemsko – zgodził się Will, po czym musiał chyba dostać jakąś wiadomość, bo zerknął na ekran swojej komórki, którą trzymał w dłoni, i powiedział: – Dobrze, Hailie, naprawdę muszę już lecieć. Zobaczymy się później – rzucił i zrobił coś, czego zupełnie się nie spodziewałam. Wciąż na wpół skupiony na swoim telefonie zbliżył się, objął mnie przelotnie ramieniem i pocałował w czubek głowy. – Miłego dnia!

Po czym zniknął, zanim zdążyłam mu odpowiedzieć choćby głupie „nawzajem”. Zamiast tego przez następną minutę odzyskiwałam władzę nad zeszytowanymi kończynami, które zastygły mi z zaskoczenia na ten akt czułości. Will, choć najmilszy ze wszystkich osób, które ostatnio poznałam, wciąż był dla mnie obcym mężczyzną, po którym w życiu nie spodziewałabym się tak bezpośrednich gestów. Chwilę zastanawiałam się, co mam o tym myśleć, po czym stwierdziłam, że takie traktowanie chyba nawet trochę mi się podoba. Nie byłam jeszcze do końca pewna, ale przez moment miałam wrażenie, że Will przykleił mały plasterek na moje złamane serce.

Myślałam o tym dalej, gdy z wielkim kubkiem w ręku czekałam, aż zagotuje się woda. Zachodziłam w głowę, jak to możliwe, że na przykład tacy Dylan i Will mogą być aż takimi przeciwieństwami, mimo tak bliskiego pokrewieństwa.

Z towarzyszącym mi pomarańczowo-miętowym aromatem podreptałam najpierw w stronę stołu, ale w połowie drogi zmieniłam zdanie i ruszyłam na schody, do sypialni, a wtedy przypomniałam sobie o bibliotece i znowu obrałam nowy kierunek.

Podobało mi się, jak prawie każda ściana tutaj zastawiona była wysokimi, ciemnobrązowymi regałami pełnymi książek. Tworzyło to w pokoju niepowtarzalny, magiczny klimat.

Z ciekawością przyjrzałam się bliżej pianinu, które choć proste, prezentowało się elegancko. Miałam ochotę je otworzyć i zerknąć na jego klawiaturę, ale bałam się, że rozstroję je samym dotykiem. Zamiast tego zainteresowałam się prostą ramką ze zdjęciem, która samotnie sobie na nim stała. W Rezydencji Monetów nie natknęłam się do tej pory na żadne fotografie, więc ta od razu przyciągnęła moją uwagę. Nie przedstawiała żadnego z chłopaków, tylko dwie kobiety. Obie były blondwłose. Jedna z nich uśmiechała się szeroko i uroczo, podczas gdy druga zdawała się bardziej powściągliwa, ale również raczej zadowolona. Wyciągnęłam palce, by złapać za ramkę i przyrzeć się zdjęciu bliżej, ale okazała się cięższa, niż się spodziewałam, i prawie bym ją upuściła na ziemię. Od razu odsunęłam od niej rękę i uciekłam złęknioma na drugi koniec pokoju, ganiąc się w myślach. Lepiej dla mnie będzie, jeśli skupię się na książkach. Trudniej je zniszczyć.

Wiele tutejszych tomów to były poradniki biznesowe, niektóre bardzo stare i z zapewne przeterminowanymi mądrościami. Znalazłam też kilka tych z rodzaju psychologicznych, trochę (acz niewiele) motywacyjnych, coś o bieganiu, o zdrowej kuchni, a nawet kilka erotyków, które ominęłam szerokim łukiem. Wreszcie natknęłam się na powieści fabularne dla osób w moim przedziale wiekowym i przy tym właśnie regale zawisłam na wieki. Miło zaskoczył mnie fakt, że znajdowało się tu od groma fantastyki, i to na pierwszy rzut oka dobrej. Niektóre z tych książek już znałam, lubiłam i doceniałam.

Szczególnie kiedy było mi źle, kiedy miałam paskudny dzień, ktoś sprawił mi przykrość albo zrobiłam coś żenującego, czego wspomnieniem mój mózg torturował mnie przez kolejne godziny, lubiłam zatopić się w ciekawej lekturze, która pozwalała mi wejść w inny świat, sprawiając, że kompletnie zapominałam o rzeczywistości. Na takie okazje wybierałam zwykle właśnie dobrze zapowiadającą się fantastykę.

Znalazłam w końcu pozycję, w której dosłownie zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Twarda, lśniąca okładka przedstawiała czarnego smoka z zielonymi ślepiami, wstążka w środku tomu przypominała cienki, krwistoczerwony jęzor gada, a opis na odwrocie kupił mnie już po pierwszym zdaniu. Miałam zamiar przeczytać tylko pierwszy rozdział, ale

powieść pochłoneła mnie do reszty i łykałam każde słowo jak oczarowana, zwinęta w kulkę w fotelu, który wcześniej zajmował Vincent.

Skłamałabym jednak, gdybym powiedziała, że na samym początku nie miałam problemów z koncentracją. To był pierwszy raz od śmierci mamy, gdy zdobyłam się na oddanie tej dawnej przyjemności, i miałam wrażenie, że minęły wieki, odkąd przeczytałam jakąś książkę. A od tragicznych wydarzeń, które wywróciły moje życie do góry nogami, upłynął przecież jedynie niecały tydzień. Zanim więc zanurzyłam się w nowym świecie, musiałam poradzić sobie z wyrzutami sumienia i smutkiem. Mama zawsze lubiła słuchać, jak opowiadam o książkach, które szczególnie mi się spodobały. Dobijała mnie świadomość, że o tej nie opowiem jej nigdy.

Z przygnębieniem, które mną zawładnęło, mogła poradzić sobie tylko naprawdę doskonała fabuła. Całe popołudnie przesiedziałam nad nowym znaleziskiem, zmieniając tylko pozycje, totalnie pochłonięta tym, co czytałam.

Dopiero po kilku dobrych godzinach mój spokój został zakłócony. Leżałam w poprzek fotela z wygiętymi plecami, trzymając książkę tuż nad twarzą, gdy drzwi do biblioteki się otworzyły i stanął w nich jeden z bliźniaków. Poczulałam ulgę, gdy rozpoznałam, że był to Shane, czyli ten miłszy.

– Tutaj jest – rzucił przez ramię do kogoś, po czym odwrócił się z powrotem do mnie i ruchem głowy wskazał za siebie. – Hej, zbieramy się powoli do wyjścia.

Nie udało mi się zbyt dobrze ukryć ciężkiego westchnięcia. Niechętnie odłożyłam książkę na stolik, jako zakładki używszy krwistoczerwonej wstążki, dołączonej do tego pięknego wydania.

Pusty kubek zaniiosłam do kuchni, gdzie spotkałam Willa i Tony'ego, którzy na mój widok przerwali rozmowę. Will spojrzał na mnie dobrodusznie i powtórzył to, co przekazał mi już Shane, natomiast Tony zerkał gdzieś w bok, jakby celowo nie chciał patrzeć w moją stronę.

Bez entuzjazmu wspięłam się po schodach do sypialni, całym sercem żałując, że nie mogę po prostu walnąć się na łóżko i zasnąć. Albo kontynuować czytania. Nie miałam ochoty na wyjście, a już na pewno nie

z całym kompletem swoich braci, z których ponad połowa miała do mnie wątpliwy stosunek.

Wyciągnęłam z szafy najbardziej elegancką sukienkę, jaką miałam. Była prosta, granatowa, z rękawem trzy czwarte i lekko rozkloszowaną spódnicą, która sięgała mi tuż przed kolano. Nic specjalnego, dlatego nie martwiłam się, że będę wyglądała na zbyt wystrojoną. Wręcz przeciwnie – gdy stanęłam przy odstawionych chłopakach, poczułam, że mocno od nich odstaję. Próbowałam się przekonać, że to tylko moje kompleksy, ale trudno mi było kłócić się z ponurym głosem w mojej głowie, który szeptał: *Nie dorastasz im do pięt, Hailie Monet. Wyglądasz jak sierota. Którą zresztą jesteś.*

Nikt jednak nie skomentował mojego wyglądu. Bracia rozeszli się po garażu, uzgadniając, kto będzie jechał z kim i którym samochodem. Przez chwilę wszyscy wyglądali dla mnie identycznie i musiałam zmrużyć oczy, by ich rozróżnić. Ubrani byli w ciemne garnitury i jasne koszule, niektórzy mieli krawat, a inni nie. Każdy z nich miał dopieszczoną fryzurę i poruszał się z luzem charakterystycznym dla ludzi obytych z luksusem. Aż nie mogłam uwierzyć, że wychodzę na miasto z grupą mężczyzn, którzy tak wyglądają.

Jednak to nie na ich widok zaniemówiłam. Przeżyłam niemały szok, ujrawszy garaż, do którego, śladem braci, wkroczyłam teraz po raz pierwszy. Jego przepastne wnętrze robiło jeszcze większe wrażenie niż widok z zewnątrz. Przez chwilę miałam poczucie, że drzwi to portal, który przeniósł nas do ekskluzywnego salonu samochodowego.auta stały w schludnym rzędzie i widać było, że ich właściciele szczególnie dbają tu o ład. Szare lśniące posadzki pokrywały rysy i ślady opon, które – o dziwo – wcale podłogi nie szpeciły, a wręcz przeciwnie – dodawały jej i całemu garażowi swoistego uroku. Ściany również były szare, ale w trochę innym odcieniu, a przecinały je biegnące gdzieś podłużne wąskie pasy, które ciągnęły się aż po sufit i robiły tu za rodzaj nowoczesnego oświetlenia ledowego.

To nie był typowy garaż przeciętnej rodziny – zagracony wszystkim i niczym, pełen kartonów i od lat nieużywanych sprzętów. Tutaj cała – spora – powierzchnia zarezerwowana została wyłącznie dla aut. A jeśli ktoś już ma taki garaż, to tylko dlatego, że stać go na utrzymanie w nim pojazdów z najwyższej półki – i tak też było w tym przypadku.

Znajdowały się tutaj między innymi takie samochody, które dotychczas widziałam tylko w formie zabawek albo w bajkach dla dzieci, czy ewentualnie jakichś filmach. Ze trzy z nich były z rodzaju tych dziwacznych, wręcz kosmicznych – jaskrawych, spłaszczonych, sportowych, które rozpędzały się zapewne do setek kilometrów na godzinę w sekundy. Inne dwa były bardziej eleganckie i smuklejsze – jedno srebrne, a drugie czarne, do którego właśnie od strony kierowcy podszedł Vincent. Był tutaj też ogromny, wysoko zawieszony jeep, którym Will przyjechał po mnie na lotnisko, oraz jakieś zwyczajniejsze i mniej rzucające się w oczy auto w kolorze białym.

W tamtym momencie mój brak wiedzy o motoryzacji naprawdę mnie zawstydził. Nie potrafiłam nazwać ani jednej marki! Mogłam tylko segregować je w głowie na podstawie koloru niczym stereotypowa kobieta z seksistowskich kawałów.

Bracia Monet dość sprawnie zapakowali się do swoich samochodów (opadła mi szczęka, bo po raz pierwszy na żywo miałam okazję zobaczyć pojazd z drzwiami, które zamiast otworzyć się wahadłowo, w tradycyjny sposób, po prostu uniosły się wysoko) i już po chwili dwa auta opuściły posesję. Jednym, tym czarnym i smukłym, kierował mój prawny opiekun, a obok niego siedział Will. Ja wylądowałam z tyłu, razem z – niestety – Tonym, który przez całą jazdę nie zaszczycił mnie nawet spojrzeniem.

Drugie auto prowadził Shane. Wybrał jedno z tych sportowych, o pięknym ciemnoniebieskim kolorze, to właśnie z tymi niezwykłymi drzwiami, i wraz z Dylaniem popisywali się rykiem silnika, gdy wyprzedzali nas na drodze. W odbiciu bocznego lusterka widziałam, jak Vincent wywraca na to oczami, a Will kręci głową. Ich reakcje przywiodły mi na myśl sfrustrowanych wygłupami swoich dzieci rodziców i nie powiem, lekko rozbawiła mnie ta myśl.

Swój pierwszy wypad na miasto z nową rodziną pamiętam jak przez mgłę. Może byłam zbyt zestresowana i mój mózg uznał to wspomnienie za zbyt traumatyczne, takie, o którym chciałabym zapomnieć. A może po prostu nie pomieścił tak wielkiej ilości przepychu, który już na powitanie wręcz wylewał się głównymi drzwiami restauracji.

Wiem na pewno, że Vince oddał klucze ubranemu we frak parkingowemu, ktoś mi się uklonił, ktoś inny pytał Willa, czy wybrany stolik aby na pewno nam odpowiada, a w wejściu minęliśmy się z dosłownie obwieszoną złotem, młodą i zakochaną parą, widocznie delikatnie upojoną alkoholem.

Czułam się zagubiona, patrząc na czerwone dywany, świeczniki na ścianach, znowu błyszczące posadzki i sufit w kształcie kopuły, na którym wymalowano fresk, taki wystylizowany na renesansowy. Wisiały tu obrazy pulchnych aniołów w grubych złotych ramach, a jakiś elegancki pan wygrywał na skrzypcach spokojną melodię.

Drgnęłam zaskoczona, gdy ktoś położył rękę na moich plecach, ale zobaczywszy, że to Will, wyluzowałam się. Nie zamierzałam gardzić jego wsparciem w tym miejscu, bo nie wiedziałam nawet, gdzie podziąć wzrok.

– W porządku, Hailie? – upewnił się szeptem, gdy zajęliśmy swoje miejsca przy kameralnym okrągłym stole.

Pokiwałam głową, może trochę zbyt energicznie, posyłając bratu nikły uśmiech, który z całą pewnością zdradzał fakt mojego podenerwowania. Pogłębiło się ono, gdy Vince usiadł na krześle po mojej drugiej stronie. Zastanawiałam się, czy będę w stanie cokolwiek przełknąć, znajdując się tak blisko niego.

Czułam też presję tego eleganckiego otoczenia, która wpływała na każdy mój ruch, czyniąc je nienaturalnie sztywnymi, czego nie mogłam powiedzieć o sposobie bycia moich braci. Oni byli całkowicie swobodni, odchylali się w wygodnych, rzeźbionych krzesłach, przejmując karty dań od kelnera i co chwila sobie z czegoś żartując. Coś, co dla mnie było wielkim wydarzeniem, dla nich było codziennością, i miałam wrażenie, że to wyjście tylko pogłębia przepaść między nami zamiast ją zmniejszać.

To wtedy po raz pierwszy zobaczyłam w nich prawdziwe rodzeństwo. Takie, które zna się od urodzenia i które ma tę specyficzną więź. Śmiali się i gawędzili, gdy siadali do stolika, gdy składali zamówienie i gdy czekali na jedzenie. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że ja do nich nie pasuję. W naszych żyłach płynęła po części ta sama krew, ale oni stanowili jedność, a ja byłam obca. Posmutniałam, gdy sobie to uświadomiłam.

– Jak twoja lasagne, Hailie? – zapytał mnie Will, gdy wszyscy już dostaliśmy swoje zamówienia i zaczęliśmy ucztę.

– Przepyszna – odparłam z nieśmiałym uśmiechem.

Naprawdę mi smakowała, ale przez większość czasu tylko dłużałam w niej widelcem, bo nie lubiłam jeść, gdy czułam się nieswojo. Wszystko związane z tym wyjściem mnie krępowało – okoliczności, miejsce oraz towarzystwo.

Zauważyłam, że ci z braci, którzy nie byli dzisiaj kierowcami, zamówili sobie piwo. Nawet ci niepełnoletni, co dosyć mnie zdziwiło, ale nikt zdawał się nie robić tutaj z tego problemu, nad czym dumałam przez chwilę, popijając swoją colę.

Atmosfera sprzyjała coraz lepszej zabawie. Zabawie, w której ja raczej nie uczestniczyłam, aż do czasu, gdy rozmowy na chwilę ucichły, a wtedy Shane przypomniał sobie, że to jest przecież nasz wieczór integracyjny, i zaczął mnie zagadywać.

– Hailie, czemu się nie odzywasz?

Oczywiście spojrzenia wszystkich obecnych powędrowały w moją stronę, co tradycyjnie mnie zestresowało, dlatego uśmiechnęłam się swoim typowym uprzejmym, acz na dłuższą metę już nudnym uśmiechem i spojrzałam na swój talerz, na którym wciąż spoczywało pół porcji lasagne.

– Bo... jem.

– Jak nie jadła, też nic nie mówiła – mruknął Dylan.

– Bo ją peszycie, idioci – rzucił do nich Will, piorunując braci karcącym spojrzeniem.

– Ja? Przecież nic nie robię – zaprotestował Shane, po czym spojrzał na mnie, dłońmi wskazując na swoją klatkę piersiową. – Ja cię peszę?

Pokręciłam głową, w duchu wyjątkowo nieszczęśliwa, że drążą ten temat.

– Ona ciągle jest speszona – ciągnął Dylan.

– Ty byś nie był?

– Nie.

– Ale ej, wyobraź sobie, że jesteś małą dziewczynką...

– Spierdalaj.

– Nie, ale czekaj, serio. Wyobraź sobie, że jesteś małą dziewczynką i nagle dowiadujesz się, że masz pięciu starszych braci. – Shane patrzył

wymownie na Dylana. – No ja bym ześwirował.

– Nie jestem małą dziewczynką – wtrąciłam. Miałam zamiar rzucić te słowa w eter, ale rozbrzmiały one aż nadto wyraźnie, bo akurat głosy wszystkich przycichły.

– Jesteś – odpowiedzieli mi jednocześnie Shane z Dylaniem.

Uniosłam brwi.

– Mam prawie piętnaście lat.

– Czyli wciąż czternaście – zauważył Vincent, odstawivszy szklanę wody z powrotem na stół. Zerkał na mnie z lekko uniesionymi brwiami, a swoim wtrąceniem rozbawił pozostałych.

– Ale nie jestem dzieckiem.

– Jesteś – zaprzeczyli chóralnie, tym razem prawie wszyscy. Nawet Tony.

Rozejrzałam się z niedowierzaniem po otaczających mnie twarzach mojej nowej rodziny. Nie każdy z nich wyrażał chęć nawiązania ze mną kontaktu wzrokowego, ale na ustach niemal wszystkich błędziły głupie, kpiarskie uśmieški.

– To jest... nie fair – wymamrotałam, a gdy uświadomiłam sobie, że faktycznie zabrzmiałam trochę jak dziecko, dodałam: – Jest pięciu na jedną.

– Przyzwyczaj się – mruknął Dylan, po czym wrzucił sobie do ust oliwkę z sałatki, którą zaserwowano mu wcześniej jako przystawkę.

– Nie fair – powtórzyłam dobitniej.

– Takie jest życie.

– W takim razie jest do dupy.

W tamtym momencie naprawdę nie byłam fanką życia, jak depresyjnie by to nie brzmiało. Zwłaszcza własnego, w którym skumulowało się ostatnio tyle tragicznych zmian. Takie podsumowanie wymknęło mi się wręcz automatycznie, nie sądziłam więc, że ktoś w ogóle cokolwiek odpowie, ale reakcje moich braci mnie zaskoczyły.

Dylan pogroził mi palcem, mówiąc: „Nu, nu, nu”, Shane i Will skrzywili się z dezaprobatą, a Tony parsknął.

– Nie mów tak brzydko – upomniał mnie Vincent, marszcząc brwi.

Przez chwilę myślałam, że sobie żartują, i zamrugałam, gdy zrozumiałam, że są poważni.

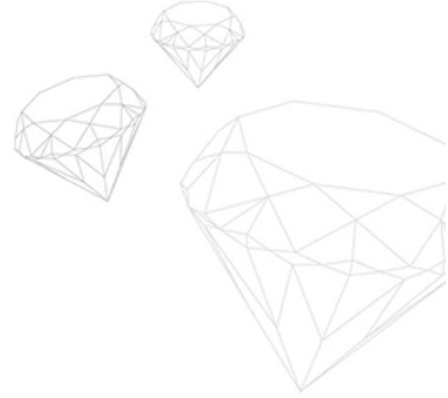
– To było brzydko?

Chciałam powiedzieć dużo rzeczy, na przykład, że są gorsze słowa niż „dupa” albo że już nieraz zdążyłam usłyszeć, jak chłopaki przeklinają, i jakoś nikogo to nie gorszyło, ale siła spojrzenia mojego najstarszego brata powstrzymała mnie przed tym i sprawiła, że spuściłam wzrok. Z Vincentem się nie dyskutuje i powoli się tego uczyłam.

Na koniec zamówiliśmy deser, co było dla mnie kolejną nowością. Z mamą rzadko chodziliśmy do restauracji, bo w domu zawsze gotowała babcia, a jeśli już, to poprzestawaliśmy na daniach głównych. Dla moich dobrze sytuowanych braci pieniądze najwyraźniej nie były problemem, dlatego zamówiłam sobie pucharek lodów czekoladowych. Chłopcy również jedli i pili, dużo i szybko, o wiele szybciej niż ja, więc na końcu czekali, aż zmęczone swój deser, który ostatecznie i tak dokończył za mnie Shane, zaskakując mnie tym, że w ogóle nie brzydził się po mnie jeść.

Ostatecznie musiałam przyznać, że było miło i wesoło. Parę razy nawet szczerze się zaśmiałam, ale głównie przysłuchiwałam się tylko dyskusjom między chłopakami, sama rzadko wtrącając swoje trzy grosze. W pewnym momencie Dylan i bliźniacy aż wyli ze śmiechu i mimo iż nie rozumiałam wszystkich ich żartów, to ta ich wesołość w dużej mierze udzieliła się i mnie. Bracia Monet po prostu roztaczali dziś wokół siebie pozytywną aurę, w której obrębie miałam zaszczyt znaleźć się i ja.

Nawet jeśli nie czułam się częścią tej rodziny.



4

Młodociany przestępca

Naprawdę trudno mi było obiektywnie ocenić, jak bardzo zintegrowałam się ze swoimi nowymi braćmi podczas naszego wspólnego wyjścia. Na pewno jednak to, co osiągnęliśmy, było tak naprawdę jedynie kroplą w morzu czekającej nas pracy nad relacją, jaką w moim odczuciu jako rodzeństwo powinniśmy mieć.

Czasami myślałam sobie, że gdybym była pogodniejsza i bardziej towarzyska, to może łatwiej byłoby mi przełamać z nimi lody i dać im się polubić. Tymczasem ja nie potrafiłam nawet normalnie się do nich odezwać, a co dopiero zażartować, ciągle hamowana wizją ewentualnej gafy, jaką mogłabym palnąć. Każda interakcja z chłopakami budziła we mnie niepokój i stres, bo taki miałam głupi charakter.

Broniłam się jednak tym, że przechodziłam właśnie przez okres żałoby, i nie zamierzałam tłumaczyć się z tego, że moja rozrywkowość ograniczała się do minimum.

Najlepiej czułam się zamknięta w swojej bezpiecznej skorupce. Zwinięta jak krewetka przesiedziałam w fotelu prawie cały następny dzień, chłonąc historię o losach bohaterów książki, którą zaczęłam czytać wczoraj. Nikt mnie nie niepokoił. Vincent rzeczywiście pracował prawie non stop, zresztą

niewiele mniej zajęty był Will. Bliźniacy i Dylan zaś jeździli rano do szkoły i wracali dopiero popołudniami.

Chociaż ja sama należałam do osób, które lubią się uczyć, ta chwilowa przerwa od szkoły wcale mi nie przeszkadzała. Wręcz przeciwnie, cieszyłam się, że Vincent zdecydował się posłać mnie do niej dopiero od przyszłego tygodnia. W moim życiu wszystko teraz działało się tak szybko, że ten darowany mi czas na adaptację był mi bardzo potrzebny.

Poza tym to była dla mnie najlepsza terapia – spokój i książka z chwilowymi przerwami na zaparzenie sobie herbaty i toaletę. Nic dziwnego, że gdy tylko przeczytałam ostatnie zdanie pierwszego tomu, natychmiast poczułam smutek i pustkę. Nie minęło wiele czasu i zaczęłam szukać kolejnej części, spragniona, by znowu przenieść się w ten magiczny świat.

Półtorej godziny spędziłam, przeglądając książki na licznych tu regałach. Wygooglowałam sobie nawet wygląd okładki drugiej części, by łatwiej mi się jej szukało, ale nic to nie dało. Przepadła, a byłam pewna, że musiała gdzieś tu być, bo znalazłam jeszcze dalsze części należące do tej samej serii. Wkrótce zmęczona poszukiwaniami udałam się do kuchni, by tradycyjnie odnieść do zmywarki kubek po herbacie. Tam natknęłam się na najmilszego z moich braci, Willa, który obierał właśnie owoce na swój odżywczy koktajl. Ucieszyłam się na jego widok. Jego nie bałam się poprosić o pomoc.

– Hm – mruknął, ze zmrużonymi powiekami wpatrując się w ekran mojego telefonu, gdy pokazywałam mu zdjęcie. – Zapytaj Tony’ego, coś mi się wydaje, że to jego książka.

Niezbyt zachwycił mnie fakt, że to akurat do Tony’ego musiałam się zwrócić. Nawet rozważałam rozpoczęcie lektury czegoś innego, ale kurczę, naprawdę się wciągnęłam. Weszłam w tamten świat i jeszcze nie byłam gotowa, by z niego wyjść. Jeśli więc moje czytelnicze potrzeby wymagały poświęceń, to niech tak będzie.

Gdy stanęłam pod drzwiami do sypialni Tony’ego, pewność siebie i zdecydowanie już mnie opuściły. Prawą dłoń zwinęłam w pięść, gotowa, by zapukać, ale unosiłam ją powoli. Do samego końca biłam się z myślami, czy warto wchodzić w interakcję z tym wredniejszym z bliźniaków tylko po to, żeby dowiedzieć się, gdzie jest jakaś tam książka.

W końcu jednak wzięłam się w garść, wypuściłam powietrze z płuc i w przypływie nagłej odwagi zadudniłam do drzwi oznaczonych srebrną literą „T”. Wstrzymawszy oddech, czekałam, aż się otworzą, a gdy minęło kilka długich sekund, zastukałam znowu. Byłam pewna, że słyszałam wcześniej, jak moi bracia wrócili ze szkoły, i nie wydawało mi się, by zdążyli gdzieś wyjść. Gdy już zwątpiłam, że Tony jest u siebie, zrezygnowana zapukałam ostatni raz, gotowa, by odejść, a wtedy usłyszałam leniwe mruknięcie, które doleciało ze środka:

– Co?

Oblizalam wargi.

– Yyy, cześć... Cześć, Tony. To ja, Hailie – mówiłam do drzwi, a głos drżał mi jak poruszone struny. – Otworzysz? Pytanie mam.

Westchnięcie, które następnie usłyszałam, było tak głośne, że nawet nie próbowałam wmawiać sobie, że się przesłyszałam.

– Czego chcesz?

Jego głos brzmiał sucho i bez krzty empatii czy chęci jakiegokolwiek pomocy, co zdemotywoowało mnie do proszenia go o cokolwiek, ale było już za późno, więc sama odetchnawszy ciężko, kontynuowałam.

– Zapytać.

Tony znudził się taką formą rozmowy, bo po chwili powiedział z pobrzmiewającą w głosie łaską:

– Wejdz.

Większą ochotę miałam kopnąć w te drzwi i odejść, ale zdecydowałam się zignorować humory chłopaka i skupić się na swoim celu.

Pierwsze, co zanotowałam, wkroczywszy do pokoju, to panująca tu ogólna schludność. Sypialnia była jasna, tak jak i moja, ale o wiele bardziej spersonalizowana, jako że jej lokator mieszkał tu przez, cóż, zapewne całe swoje życie. Zadrżałam, bo od razu uderzyło mnie zimne powietrze. Tony intensywnie tu wietrzył – okno wychodzące na balkon było otwarte prawie na oścież, a lekka szara kotara powiewała na wietrze.

Tak jak u mnie, pomieszczenia nie zagracały zbędne meble i były tu drzwi do garderoby oraz łazienki. Moją uwagę przyciągnęła najbardziej jedna ze ścian – ta, przy której stało biurko z wypasionym fotelem w kolorze

jaskrawego fioletu, dokładnie takim, jakimi mogą się pochwalić profesjonalni gamerzy. Ściana była wielka i niemal w całości obklejona szkicami. Kartki różnej gramatury i wielkości wisiały w artystycznym nieładzie, przedstawiając imponujące rysunki, głównie różne dziwadła i fantastyczne stworzenia.

Nie zabrakło też wielkiego obrazu z gołą, niezwykle krągłą kobietą, od którego od razu odwróciłam wzrok.

– Mów – burknął Tony, a wtedy odnalazłam go wzrokiem rozwalonego na wielkim, ustawionym w jednym z rogów pokoju łóżku. Leżał na plecach z głową podpartą na rękach, oczy miał zamknięte. Wciąż był w mundurku, więc najwyraźniej odprężył się po ciężkim dniu w szkole. Stałam tak przez chwilę zapatrzona na niego, a wtedy on dodał: – Szybko.

– Szukam jednej książki. Will mówił, że możesz wiedzieć, gdzie jest.

– Co to za książka? – jęknął, jakby nie mógł uwierzyć, że nachodzę go z taką głupotą, ale gdy przekazałam mu tytuł, rozchylił powieki i zmierzył mnie wzrokiem. Studiował chwilę moją twarz, a potem wskazał głową na jedną z szafek. – Zobacz tam. Na górze.

Zbliżyłam się do mebla zgodnie z jego instrukcjami i otworzyłam górne drzwiczki. Tam panował już mniejszy porządek, ale nie interesowało mnie to, bo od razu dostrzegłam charakterystyczną okładkę poszukiwanego przeze mnie tomu i stanęłam na palcach, by po niego sięgnąć.

Nie byłabym sobą, gdybym nie narozrabiwała. Coś leżało na książce, coś, czego nie zauważyłam, bo znajdowała się zbyt wysoko. Ta rzecz spadła na podłogę z łoskotem, a ja, przestraszona, wydałam z siebie głuchy okrzyk i odruchowo przytuliłam grube i ciężkie tomisko do piersi, cofając się o krok.

Usłyszałam w tle poirytowane cmoknięcie Tony'ego, który w jednej chwili zerwał się z łóżka. Zrozumiałam, czemu zareagował tak gwałtownie, gdy przyjrzałam się przedmiotowi, który z mojej winy narobił tyle rabanu. Jak tylko go rozpoznałam, włos zjeżył mi się na głowie, a palce ciaśniej oplotły twardą okładkę trzymanej przeze mnie książki.

To był pistolet.

Z szafy na podłogę wypadł pistolet, czarny i niewielki, podobny do tych, które widywałam w filmach akcji.

– Odsuń się – syknął Tony, przepychając się obok, by podnieść z ziemi swoją własność.

Posłusznie wykonałam jego polecenie, gdy on wściekłym ruchem wrzucił broń z powrotem do szafki, a potem o wiele za głośno trzasnęła jej drzwiczkami. Skrzywiłam się, a moje rozszerzone strachem oczy napotkały spojrzenie Tony’ego, które aktualnie nabrało złowrogiej wręcz ostrości.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie wiedziałam co, więc tylko rozchyliłam nieświadomie wargi, czekając na jego ruch. Nie panowałam nad swoim ciałem wystarczająco, by zgrywać odważną i nie cofnąć się znowu, gdy on poruszył się, jakby z zamiarem podejszenia do mnie bliżej.

Tony dostrzegł chyba mój strach, bo odetchnął, choć wciąż był nabuzowany.

– Nie jest mój, okej? Należy do znajomego. Ma strzelnicę i czasem tam jeździmy.

Gapiałam się na niego, kiwając skwapliwie głową. Marzyłam o tym, by mówił prawdę, choć z przyjemnością łyknęłabym teraz wszystko – nawet najbanalniejsze kłamstwo.

– Nie panikuj – dodał.

Przestałam kiwać głową.

Tony wyglądał na poirytowanego już samym faktem, że musi mi się tłumaczyć, nie pomagała też moja reakcja na to, co zobaczyłam; na pewno uważał, że przesadzam. Ale ja nie mogłam nic na to poradzić. Przeraził mnie i dlatego potrafiłam jedynie stać, jeszcze mocniej zaciskając palce na książce i modląc się, żeby serce nie wyskoczyło mi z piersi.

On patrzył na mnie jeszcze przez chwilę z zaciśniętą szczęką, po czym wciąż zdenerwowany, wytatuowaną dłonią odgarnął włosy z czoła i warknął:

– Spadaj już.

– Okej – wychrypiałam i postawiłam kilka przesadnie ostrożnych kroków do tyłu, po czym obróciłam się na pięcie, by czmychnąć czym prędzej na korytarz.

– Hailie.

Z jedną stopą postawioną już za progiem odwróciłam głowę.

– Nie mów nikomu, że go widziałas.

Przełknąwszy ślinę, skinęłam i nareszcie mogłam stamtąd wyjść.

Gdy drzwi do pokoju Tony’ego się zamknęły, głośno wypuściłam powietrze z płuc. Ze zmarszczonym czołem i uniesionymi brwiami zakrywałam usta dłonią, drugą ręką wciąż zaś przyciskałam do swojej unoszącej się raptownie klatki piersiowej książkę.

Właśnie zobaczyłam pistolet w pokoju swojego niespełna osiemnastoletniego brata.

Potałam czoło, przypomniawszy sobie, że znajduję się w holu, i rozejrzałam się, by sprawdzić, czy aby na pewno jestem tu sama. Przestraszyłam się, że musiałabym tłumaczyć się komuś ze swojego chwilowego ataku paniki. Na szczęście było tu pusto, więc skierowałam się od razu do swojej sypialni, żeby tam się uspokoić.

Książkę odłożyłam na łóżko, w tym momencie niezainteresowana czytaniem. Zamiast tego objęłam się rękoma i zaczęłam spacerować po pokoju, mocno zagryzając wargę.

Przesadzasz, mówiłam do siebie w myślach, bardzo przesadzasz. To Ameryka. Słyszałaś przecież, że tutaj ludzie mają o wiele łatwiejszy dostęp do broni. To pewnie normalka, a ty robisz wielkie halo.

Wielkie halo?! Czy naprawdę „normalką” jest broń w sypialni licealisty? Nie wydaje mi się. No i dlaczego Tony miałby kazać mi o tym milczeć, gdyby to było takie normalne?

Może zareagował tak, bo ty sama spanikowałaś. Widział, że się przejęłaś i wiedziałby, że reszta braci miałaby do niego pretensje, że cię niepotrzebnie straszy.

Westchnęłam. Nie ma co zaprzeczać, w rzeczy samej byłam strachliwa. Taka moja natura, że nie przepadałam za agresją i przemocą. Ba, przecież czułam się nieswojo, nawet gdy ktoś na mnie krzywo spojrział, co w tym domu zdarzało się nagninnie. Fakt, że gburowaty Tony trzymał w swoim pokoju pistolet, jeszcze bardziej podkopywał moje i tak wątłe poczucie bezpieczeństwa.

Z czasem, gdy trochę sobie powzdychałam, uspokoiłam się na tyle, by przestać o tym tak intensywnie myśleć. Wreszcie rzuciłam się na łóżko z książką. Znowu miałam trudności z rozpoczęciem czytania i brnęłam przez pierwszą stronę chyba z pół godziny. Tymczasem wyciągnęłam telefon, by wyszukać w internecie informacje na temat prawa dotyczącego posiadania broni palnej w stanie Pensylwania. Niewiele zrozumiałam z tego, co przeczytałam, bo zbyt mi było śpieszno, żeby się doinformować, co skutkowało raczej chaotycznym przejrzeniem kilku artykułów naraz. Rzeczywiście prawo w Stanach różniło się znacznie od tego w Wielkiej Brytanii i ogólnie w Europie, ale jedna rzecz pozostawała niezmienna – niepełnoletnia osoba nie mogła legalnie być w posiadaniu pistoletu. A według moich obliczeń Tony kończył osiemnaście lat dopiero w przyszłym roku.

Na ponowne opuszczenie sypialni odważyłam się dopiero wieczorem, kiedy to musiałam, zgodnie z instrukcjami Vincenta, zejść na kolację. Szybko śmignęłam obok drzwi przerażającego mnie bliźniaka, jakbym obawiała się, że nagle się otworzą, a jego pokój wciągnie mnie do środka.

Rezydencja Monetów straszyla najbardziej właśnie takim późnym wieczorem, kiedy to z pozoru zdawała się już smacznie spać, podczas gdy mroczne sekrety harcowały śmieiej po jej kątach. Co prawda czytałam sporo książek o duchach i mogłam spokojnie uznać, że akurat ten dom nie sprawiał wrażenia nawiedzonego. Nie był stary, nic tutaj nie trzeszczało złowrogo, przeciągi nie hulały po korytarzach, a drzwi i okna samoistnie nie trzaskały. Rodzaj mrocznej energii, jaki tu panował, był zdecydowanie inny – mniej nadprzyrodzony, a mimo to budzący grozę.

W głównym holu minęłam się z Eugenie. Ubrana w prochowiec i z przewieszoną przez zgięcie w łokciu znoszoną czerwoną torebką wychodziła już z domu. Życząc mi naprędce dobrej nocy, obiecała, że spotkamy się na śniadaniu. Z przyzwyczajenia spodziewałam się, że skoro ona skończyła już pracę, to będę w kuchni sama.

A tu proszę – niespodzianka. Przy stole siedział wyprostowany Vincent. Zamarłam, zatrzymawszy się na chwilę na progu, po czym odchrząknęłam cicho, by zawiadomić go o swojej obecności. W pełnym skupieniu klikał coś w laptopie i nawet na mnie nie spojrzał. Z przygotowaną wcześniej przez Eugenie kanapką zasiadłam naprzeciwko niego, zerkając ukradkiem najpierw

na srebrny, elegancki tył jego cienkiego niemal jak papier komputera, a potem w okno, za którym o tej porze jawiła się głęboka czern.

W mieszkaniu, gdzie się wychowałam, zawsze zasłaniaлиśmy na noc okna, żeby żaden wścibski sąsiad z naprzeciwka nie zaglądał nam do domu, ale tutaj nikt tego nie robił, co pogłębiało mój niepokój i poczucie bycia inwigilowaną.

– Hailie – zagadnął zniecka Vincent swoim tradycyjnie chłodnym głosem, wrywając mnie z zadumy.

Spojrzałam na niego, oderwawszy wzrok od pożartego przez ciemność dworu. Zerkał na mnie znad laptopa. Twarz miał nieco poblada, a pod oczami zaczynały formować mu się lekkie cienie, co dowodziło, że chyba jednak nie jest robotem i też czasami odczuwa zmęczenie.

– Tak? – zapytałam, przełknąwszy kęs bułki, który akurat przeżuwałam.

– Pytałem, czy wszystko w porządku.

– Och. Tak. Tak, tak. Wszystko dobrze – zreflektowałam się, kiwając głową i myśląc sobie, że jeśli nie przestanę robić tego tak gwałtownie za każdym razem, gdy ktoś coś tutaj do mnie mówi, to wreszcie mi się ona urwie.

– To dobrze – westchnął Vincent i potarł sobie powieki otwartą dłonią. – Jak mniemam, dostałaś hasło do wi-fi?

– Will wszystko mi pokazał.

– Mhm. W takim razie wiesz pewnie, że strony, które przeglądasz, zapisują się w historii wyszukiwarki?

Zaskoczył mnie tym pytaniem, więc milczałam przez chwilę, zanim udzieliłam mu odpowiedzi.

– T-tak... Wiem to – wymamrotałam ostrożnie, właśnie w tamtym momencie uświadamiając sobie, do czego on pił. Błyskawicznie przeszedł mi apetyt na jedzenie.

– Dziś w proponowanych wyszukiwaniach wyskoczyły mi zapytania o prawo do posiadania broni w stanie Pensylwania – oznajmił Vincent. – Nie powiem, zainteresowało mnie, który z domowników szuka informacji na ten temat. I wygląda na to, droga Hailie, że to ty.

Świdrowana intensywnym spojrzeniem swojego najstarszego brata poczułam, jak robi mi się słabo. Głupia, przecież wiadomo nie od dziś, że istnieje coś takiego jak historia wyszukiwań, skarciłam się w myślach, choć na wszelkie tego typu uwagi było już za późno. Ja po prostu o tym nie pomyślałam, bo nigdy nie musiałam przejmować się ukrywaniem takich rzeczy. Moja mama pozbawiona była jakichkolwiek detektywistycznych zapędów, nie wspominając już o babci, która nawet nie potrafiła włączyć komputera.

– To... to mogłam być ja – przyznałam wymijająco, pod stołem z nerwów skubiąc skórki przy paznokciu.

Vincent uniósł brwi.

– Mogłaś?

– To byłam ja.

– Co skłoniło cię do wyszukiwania takich informacji?

– Yyy... ja... – zawahałam się. Tony wyraźnie nie życzył sobie, bym komukolwiek mówiła o tym, co widziałam. – Ciekawa byłam.

– Rozumiem, że byłaś ciekawa, ale pytam o to, co tę ciekawość rozbudziło.

– A no, właściwie to nic takiego konkretnego. Wiem, że jest tu, wiesz, inaczej niż w Anglii – mamrotałam, wściekła w duchu na swój głos, który mocno chrypiał. – Dużo rzeczy jest innych. Sprawdzam sobie tak o, dla rozwiania wątpliwości, różne rzeczy, gdy coś mi przyjdzie do głowy...

– I pierwsze, na co wpadłaś, to prawo do posiadania broni?

– No...

– Nie kłam, Hailie. Mówiłem, że tego nie lubię.

Zorientowałam się, że wodzę dłonią po szyi, a zębami przygryzłam nerwowo wnętrze policzka. Nie potrzeba było wykrywacza kłamstw, by wiedzieć, że nie mówiłam prawdy.

Opuściłam ręce.

– Przepraszam, ja... nie kłamię, to tylko... – westchnęłam i odchrząknęłam – Widziałam pistolet w pokoju Tony’ego.

Na twarzy Vincenta odbił się cień zrozumienia, jakby właśnie otrzymał brakujący puzzel do swojej układanki.

– Nie chciał, żebym o tym mówiła. A w Anglii trzeba mieć pozwolenie na broń, no i być pełnoletnim, żeby móc legalnie ją trzymać we własnym domu. A to i tak tyczy się chyba tylko tej myśliwskiej. Dlatego szukałam w internecie, jak to jest tutaj – wyjaśniłam.

– Kiedy i gdzie dokładnie go widziałaś?

– Dziś po południu, gdy poszłam do Tony’ego po książkę. Wypadł z szafki.

– Co ci powiedział?

– Że... nie jest jego. Że jest znajomego. Że jeżdżą czasem na strzelnicę.

Vince skinął głową.

– Mówiłem mu, żeby jej nie zabierał – powiedział. – Dlatego nie chciał, żebyś komuś o tym wspominała, aczkolwiek dobrze, że wyznałaś mi w końcu prawdę. Jeśli już doszło do tego, że cię o coś pytam, proszę, bądź szczerą. Ja i tak zawsze dotrę do prawdziwej wersji, z twoją współpracą czy bez niej.

– Okej – mruknęłam cicho. – Przepraszam, nie wiedziałam, co mam zrobić.

– Nic się nie stało, Hailie – uspokoił mnie sztywno i dodał: – Tym razem.

Zamilkliśmy oboje. Doszczętnie już pozbawiona apetytu sięgnęłam po resztki swojej kanapki i wzięłam ostatni wyzbyty przyjemności z jedzenia kęs. Czuję się ociężała, jakbym nałykała się cementu, który teraz utwardzał się w moich wnętrznościach. Wydałam Tony’ego, który i tak mnie nie lubił. Teraz na pewno już całkiem miał mnie znieawidzić, i bardzo się tego obawiałam, dlatego przez chwilę karmiłam się nadzieją, że Vincent nie poruszy z nim tego tematu, ale niestety zdawałam sobie sprawę, że to mało prawdopodobne.

Gdy wreszcie ewakuowałam się do swojej sypialni, stanęłam na środku i złapałam się za włosy, tuż przy cebulkach, wydając z siebie bezgłośny, pełen frustracji krzyk.

Jak ja mam funkcjonować w tym domu? Każda rozmowa z Vincentem sprawia, że jestem o krok od zawału. Tony jest jakimś cholernym

młodocianym przestępcą, a Dylan traktuje mnie jak popychadło. Na dodatek muszę uważać na to, jakie hasła wyszukuję w internecie.

Westchnęłam, żałując, że przeszła mi ochota nawet na czytanie. Zamiast tego owinęłam się starym, przydużym swetrem mamy, który wciąż pachniał trochę jak ona, i wyszłam na balkon, żeby odsapnąć od panującej w tym domu ciężkiej atmosfery. Było tu niewiele miejsca, chyba niewystarczająco nawet, by wstawić jakieś krzesło i stolik, za to w sam raz dla nastolatki, by mogła przycupnąć na betonowej ziemi i skulić się przy ścianie.

Gapiłam się na spokojny ciemny las przez rzeźbione tralki betonowej balustrady, która znajdowała się teraz na wysokości mojej twarzy. Cisza wcale mnie nie uspokajała. Zdawała mi się nienaturalna. Może dlatego, że mieszkałam dotychczas na dużym osiedlu, otoczona ludźmi. Zawsze ktoś tam hałasował. Ktoś słuchał muzyki, ktoś coś krzyknął, czymś rzucił, przeklął lub odjechał z parkingu z piskiem opon. Tutaj brakowało tych dźwięków. Od czasu do czasu jedynie szumiał złowrogo wiatr, podkreślając tym samym panujący tu spokój.

Oparłam głowę o ścianę, nie czując potrzeby zbliżenia się do barierki. Owinęłam się maminy swetrem jeszcze szczelniej, zakrywając nim nawet połowę twarzy. Wmawiałam sobie, że to taka namiastka przytulenia się do mamy. Tak bardzo mi tego brakowało. Do tego stopnia, że w pewnym momencie zwinęłam się w kłębek i tuliłam się sama do siebie, naciągając sweter najbardziej, jak mogłam.

Wtedy rozległ się dźwięk otwieranych drzwi, najpewniej z balkonu obok. Na hałas składały się kroki i przyciszone głosy, po których rozpoznałam od razu, że to bliźniacy stali się moimi nieświadomymi towarzyszami.

Przytuliłam się ciasniej do ściany, wiedząc, że w tej pozycji jestem dla nich niewidoczna. Nie miałam najmniejszej ochoty się z nimi witać, więc zastygłam w bezruchu i milczałam, licząc na to, że wyszli tylko na chwilę.

Rozległy się kliknięcia zapalniczek.

– ...jest wkurwiająca.

To Tony rzucił te słowa zachrypniętym głosem, zaciągając się przy tym dymem papierosowym. Serce zabiło mi mocniej, bo wiedziałam od razu, o kim mowa. A gdybym miała jakieś wątpliwości, to słowa Shane'a skutecznie by je rozwiąły.

– To młodsza siostra, czego się spodziewałeś – zaśmiał się.

– Niczego. Nadal nie widzę sensu w trzymaniu jej tutaj.

Och. Zabolało.

Patrzyłam przed siebie na ponure drzewa królujące w tej nocnej scenerii i nie potrafiłam przestać słuchać.

– Daj spokój, jest urocza. Spokojna taka i zupełnie nieszkodliwa.

– Wkurwiająca. To nie miejsce dla niej.

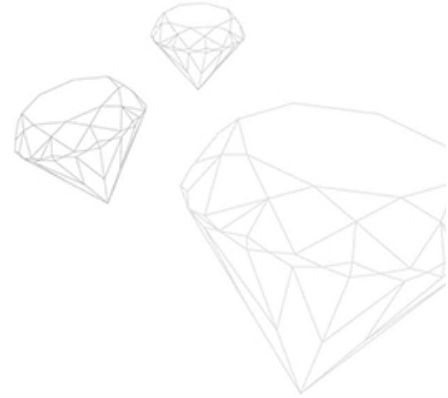
– Jesteśmy rodziną, gdzie indziej ma być jej miejsce?

Zanim Tony odpowiedział, wypuścił powietrze z ust, zapewne wraz z dymem.

– Jej obecność tutaj komplikuje nam życie.

Potem jeden z nich dostał wiadomość od jakiejś dziewczyny i bracia zajęli się komentowaniem jej biustu, więc wykorzystałam tę okazję, by po cichutku wrócić do środka. Przeszła mi ochota na cokolwiek. Było mi najzwyczajniej w świecie przykro i przeklinałam się za swoją wrażliwość. Przecież ci ludzie są dla mnie obcy, powinnam mieć gdzieś to, co sobie o mnie myślą. Czyż nie?

Tony mnie nienawidził, a powiedzieć, że Shane stanął w mojej obronie, to poważne wyolbrzymienie. Byłam im obojętna. Z tą ponurą myślą położyłam się na łóżku, nieszczęśliwa jak nigdy. Tego wieczora zasnęłam w swetrze mamy, rozpaczliwie zaciskając na nim pięści.



5

Nazwisko Monet

Jako osoba porządna i zorganizowana nawet z największym bólem potrafiłam zmusić się do zwleczenia się rano z łóżka i doprowadzenia do stanu używalności. Szczególnie w dni szkolne. To dlatego gdy nadszedł poniedziałek, kiedy to miałam po raz pierwszy przekroczyć bramy prywatnego liceum, do którego posłał mnie Vincent, byłam gotowa do wyjścia grubo przed czasem.

Mundurek leżał na mnie jak ulał. Kraciasta spódniczka w kolorze khaki sięgała tuż przed kolano, wpuszczona w nią biała koszula pachniała nowością, a sztywna ciemna marynarka dostojnie ciążyła mi na ramionach. Co chwila zerkałam na moją prawą pierś, gdzie na kieszonce wyszyto logo szkoły. Na nogach miałam zaś lakierki i długie białe podkolanówki. Nie mogłam się przyzwyczaić do tego, że wyglądam jak ci wszyscy bohaterowie książek i seriali o bogatych dzieciakach w prywatnych akademiach. Naszła mnie jednak taka myśl, że wolę o nich czytać, aniżeli sama się w nich wcielać. W takim wydaniu po prostu czułam się nieswojo.

Zapragnęłam włożyć na siebie coś znajomego, coś, co sprawiłoby, że wciąż będę pamiętała o tym, że jestem tą samą osobą, Hailie. Zaczęłam rozglądać się po garderobie w poszukiwaniu takiej rzeczy, ale mundurek był

tak kompletny, że wszelkie dodatki byłyby zbędne. To wtedy mój wzrok padł na pudełko z kolczykami od mamy. Sięgnęłam po nie powoli, otworzyłam i zapatrzyłam się na dwa błyszczące serduszka.

Z zadumy wyrwał mnie Will, który zapukał do mojego pokoju, by mnie obudzić. Moją samodyscyplinę skwitował zaskoczeniem, ale i aprobatą, a potem podszedł do mnie i zerknął mi przez ramię na trzymany przeze mnie w ręce skarb.

– Piękne.

– Od mamy – szepnęłam. Sporo kosztowało mnie, żeby powstrzymać łzy. Lubiły pojawiać się w moich oczach w momentach takich jak ten, zupełnie niespodziewanie. A nie chciałam jechać do szkoły z zapuchniętą buzią.

– Dlaczego ich nienosisz?

– Nie pozwalała mi. Chyba na początku bała się, że jestem za mała i je zgubię. – Uśmiechnęłam się lekko.

– Dlaczego więc ci je podarowała? – Will uniósł brew.

– Nie podarowała. Sama znalazłam je kilka lat temu, gdy bawiłam się u niej w pokoju. Była na mnie trochę zła. Zrobiła mi długi wykład o grzebaniu w cudzych rzeczach.

– Ukrywała je przed tobą? – zaciekawiał się Will. Ależ ten jego głos był miły, taki łagodny i spokojny. Przynosił mi pocieszenie, którego potrzebowałam, zwłaszcza tego stresującego poranka. Podobało mi się też jego szczere, ale nienachalne zainteresowanie.

– Kupiła mi je z okazji moich narodzin, ale chciała mi je podarować, dopiero gdy już będę pełnoletnia. Jako taki symboliczny prezent, wiesz. Lubiła takie rzeczy.

– Rozumiem. – Will pokiwał głową i w zamyśleniu wpatrywał się w moje kolczyki. – Chciałabyś założyć je teraz?

Zawahałam się.

– Hm... Chyba... chyba nie – szepnęłam i utwierdziwszy się w tej decyzji, zamknęłam pudełko, a następnie odłożyłam je na półkę w garderobie. – Naprawdę nie chciałabym ich zgubić, więc może lepiej nie.

Will pogłaskał mnie po ramieniu, pokazując, że wspiera moją decyzję. Wiem, że to tylko sprawa głupich kolczyków, ale tym gestem dodał mi otuchy.

Następnie zostałam wysłana przez niego do kuchni, gdzie z opaską we włosach i błyskiem w oku jadłam śniadanie, gdy dołączył do mnie Shane. Dla kontrastu on był rozczochrany i nieprzytomny, a krawat od mundurka zarzucony miał luźno na ramiona, jeszcze niezawiązany. Zauważyłam, że posłał mi długie spojrzenie, ale nie skomentował mojego wyglądu, tak różnego od jego własnego. Ewidentnie był nie w sosie; wzdychał głośno, czekając niecierpliwie, aż ekspres przygotuje mu kawę.

Następny ze schodów do kuchni wtoczył się Tony. Bez dwóch zdań wygrywał konkurs na bardziej naburmuszonego bliźniaka. On nawet nie włożył koszuli w spodnie, nie wspominając o tym, że w ogóle posiał gdzieś swój krawat. Nawet też na mnie nie popatrzył ani nie pofatygował się, żeby odpowiedzieć na moje zachrypnięte „cześć”. Nie żebym sama miała wielką ochotę się z nim witać, zwłaszcza po zasłyszanej ostatniego wieczora rozmowie. Wiedziałam, że go zdenerwowałam, i domyślałam się, że mnie zignoruje, ale cóż mogłam rzec – moja mama wychowała mnie na osobę kulturalną.

Tego samego nie można było powiedzieć o nim. Wtedy po raz pierwszy zastanowiłam się nad dzieciństwem swoich braci. Nasz wspólny ojciec zginął podobno kilka lat temu w wypadku i choć czułam do tego człowieka wielką niechęć, to zaczęłam rozmyślać o tym, jakim rodzicem był dla swoich synów. A potem poszłam o krok dalej i spróbowałam wyobrazić sobie, jaka mogła być ich matka. Bardzo mnie to zaciekało, ale niestety nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek odważę się, by zadać któremuś z nich pytanie na jej temat.

Myślałam tak o tym i niechcący zapatrzyłam się na Tony’ego, bo gdy się ocknęłam, on siedział już przy stole i łypał na mnie spode łba – marszczył ponuro brwi, wytatuowaną ręką wrzucając sobie do miski garście cynamonowych płatków śniadaniowych.

– Co? – zapytałam, wspinając się na wyżyny swojej pewności siebie.

Miałam z nim nie zadzierać, ale nie chciałam, żeby myślał, że może mnie zastraszyć jednym głupim spojrzeniem. Nawet jeśli to była prawda. Poza tym

z naszej dwójki to on tutaj kipiał wrogością.

– Gówno.

Jak dojrzałe.

Skutecznie mnie tym uciszył, bo choć znałam kilka odzywek, które mogłam w tej sytuacji zastosować, to nie chciałam się z nim przekomarzać, nie gdy on nie robił tego dla zabawy. Widocznie serio go irytowałam. Trochę mnie to zabolalo, nie ukrywam, ale próbowałam kazać samej sobie go ignorować. Wszak w tym okresie swojego życia miałam o wiele poważniejsze powody do smutku.

– Nie mów tak do niej – upomniał go Will, który przekroczył próg kuchni akurat, żeby usłyszeć naszą krótką wymianę zdań. Ucieszyłam się, że do nas dołączył, bo w jego obecności czułam się najbezpieczniej i najswobodniej. Chociaż w tej chwili akurat wyglądał dosyć groźnie, ale to tylko dlatego, że częstował Tony’ego surowym spojrzeniem.

Niedługo później do kuchni zawitał także Dylan, zaskakująco energiczny w porównaniu z bliźniakami. On też ubrał się już w mundurek, ale z włosów kapala mu jeszcze woda, a gdy zaczął przygotowywać sobie koktajl z odżywką, domyśliłam się, że zaliczył już poranny trening, i nie powiem, byłam trochę pod wrażeniem jego motywacji. Może i bym go o nią zagadnęła, gdyby nie to, że byłam pewna, iż odpowie mi w nieuprzejmy sposób. Zupełnie jak Tony niezbyt za mną przepadał i dało się to wyczuć.

Z tego powodu ucieszyłam się, że do szkoły miałam pojechać z Shane’em jego samochodem. Tym lśniącym, w kolorze jaskrawego granatu, który wyglądał jak żywcem wyciągnięty z jakiegoś filmu o wyścigach. W środku znajdowały się tylko dwa miejsca i nie rozpaczałam nadto, że Tony i Dylan się nie zmieścili. Oni chyba też nie, bo Tony z widoczną przyjemnością odpalił swój imponujący motocykl, na którego widok jednocześnie zaciekawiałam się i przerażałam. Z taką maszyną mój nastoletni brat mógłby śmiało dołączyć do gangu motocyklowego i kto wie, czy faktycznie do jakiegoś nie należał. Wcale nie byłabym zaskoczona. Mimo niechęci do Tony’ego w mojej głowie zaczynał się rysować jego całkiem intrygujący obraz.

Chłopcy wyprzedzili nas bez żadnych ceregieli, jak tylko wyjechaliśmy poza teren posesji Monetów. Prosta, otoczona lasami i rzadko uczęszczana

droga sama się prosiła o przekroczenie dozwolonej prędkości i czułam to nawet ja, a wcale nie jestem jakąś wielką fanką szybkiej jazdy. Dlatego też przytrzymałam się kontrolnie przebiegającego przez moją klatkę piersiową pasa, czekając, aż Shane dociśnie pedał gazu, co się nie działo. Auto toczyło się miarowo ze zwyczajną prędkością, a silnik od czasu do czasu mruczał tylko niecierpliwie. Shane trzymał ręce luźno na kierownicy, a ja gapiłam się przed siebie. Przy okazji na desce rozdzielczej dostrzegłam spory, rozciągający się elegancką, zawiłą czcionką napis „Lamborghini”.

Okej, siedziałam w sportowym aucie marki Lamborghini i nawet ja wiedziałam, że wielu miłośników motoryzacji oddałoby nerkę, żeby znaleźć się na moim miejscu. Wnętrze samochodu błyszczało elegancją najwyższej próby – fotele były skórzane i popielato-czarne, na środku, tuż przy desce rozdzielczej wmontowano dotykowy ekran, na którym Shane przerzucał muzykę i włączył klimatyzację, choć wcale nie było tak ciepło, byśmy, moim zdaniem, jej potrzebowali.

– Debile – mruknął, obserwując sylwetki naszych braci na motocyklu, znikające daleko przed nami.

– Nie zdołałbyś ich dogonić? Takim autem? – zagałam, w rzeczywistości bardziej zainteresowana nawiązaniem z nim jakiegokolwiek rozmowy niż możliwościami jego samochodu.

– Może i bym dogonił, nie wiem. – Wzruszył ramionami i zerknął na mnie ostrożnie. – A ty nie masz jakiejś traumy czy coś?

Och, a więc o to mu chodziło. Zmarszczyłam brwi, poważnie się nad tym zastanawiając, bo jak by nie było, zadał dosyć dobre pytanie.

– To nie prędkość zabiła moją mamę. Zrobił to pijany kierowca.

Shane pokiwał głową i myślałam, że to skłoni go do przyśpieszenia. Nie żeby tak bardzo zależało mi na gonieniu Dylana i Tony’ego, ale chciałam, żeby czuł się przy mnie swobodnie i zachowywał naturalnie. Tak się jednak nie stało, a wyjaśnienie brzmiało następująco:

– Vince i tak kazał mi podwójnie uważać, gdy jadę z tobą.

Uśmiech, który pojawił się na mojej twarzy, był jednym z tych najbardziej wymuszonych, jakie kiedykolwiek na niej zawitały. Zaraz jednak inna kwestia w jego wypowiedzi przykuła moją uwagę i to na niej się skupiałam.

- Czyli Vince prawnie jest także twoim opiekunem?
- Nie, on po prostu lubi rozkazywać.
- Ale ty i Tony nie macie jeszcze osiemnastu lat, prawda? – Udawałam, że właśnie to do mnie dotarło.
- Prawda.
- No to kto w takim razie jest za was odpowiedzialny? – zapytałam wprost.

Miałam nadzieję, że nie popełniam jakiegoś ogromnego faux pas. Shane wpatrywał się w jezdnię spode łba, ale to chyba nie była jego reakcja na moje wścibstwo, bo – jak zanotowałam – chmurzył się tak przez cały poranek.

– Wujek Monty.

Jego lakoniczne odpowiedzi zaczynały mnie męczyć i tym razem nie zamierzałam dłużej ciągnąć go za język, choć pojęcia nie miałam, kim ta osoba, u licha, mogła być. Wyjątkowo jednak Shane cudem sam się zreflektował i objął swoje słowa:

– Brat taty. Ale bywa u nas rzadko. Czasami pomaga Vince’owi z biznesem i tyle. Jest naszym opiekunem tylko na papierze, nie ingeruje w nasze życie.

– Czyli w rzeczywistości sami za siebie odpowiadacie?

– W rzeczywistości Vince wcina się we wszystko, ale no tak, mamy dużo swobody. Całe szczęście, bo gdyby to on miał być moim opiekunem, to chybabym jebnął.

Spojrzałam w bok na otaczającą drogę gęste lasy, które przewijały się za oknem jak film na taśmie. Ten stan chyba składał się z samych drzew, słowo daję.

– W sensie – odezwał się po chwili znowu Shane, chyba uświadomiwszy sobie gafę, którą strzelił. – W sensie, wiesz, z tobą jest inaczej. Ja go znam całe swoje życie, zawsze był dla mnie wkurwiającym starszym bratem, więc byłoby dziwnie, gdyby nagle został moim opiekunem. Ojciec też to wiedział, dlatego... taka była jego... ta, wola. Żeby wujek Monty miał władzę. W rzeczywistości wiadomo było, że i tak zostaniemy w domu z Vince’em i resztą.

– Skąd było to wiadome?

Shane zerknął na mnie, marszcząc brwi.

– No bo... jesteśmy rodziną, nie? Trzymamy się razem.

– No tak – szepnęłam.

– Ale ty się nie masz o co martwić.

– Nie? – mruknęłam, wyjątkowo zainteresowana, bo o sprawach, o które aktualnie się martwiłam, mogłabym napisać długą książkę.

– Vince może i ma w cholerę braci, ale brakuje mu doświadczenia z siostrami. Na dodatek młodszymi. Dlatego myślę, że nie będzie dla ciebie tak wredny jak dla nas.

Do teorii Shane’a, choć interesującej, podeszłam dość sceptycznie ze względu na dotychczasową surowość, z jaką się ze strony Vincenta spotkałam. Już wkrótce jednak całą moją uwagę pochłonął widok wyblakłych murów Akademii Northeast Pennsylvania. Najpierw dostrzegłam tabliczkę z nazwą szkoły i już wtedy żołądek skurczył mi się żałością. Z nerwów zaczęły mi się nie tylko pocić, ale też trząść ręce i wcisnęłam je pod uda, żeby Shane przypadkiem tego nie zauważył.

Tutaj na drodze wyznaczony był specjalny pas dla aut, które zjeżdżały do szkoły. Ustawiał się na nim w tej chwili wężyk samochodów, co musiało być normalne o tej porze, na krótko przed rozpoczęciem zajęć. Kolejka jednak poruszała się sprawnie, a ja wykręcałam szyję, żeby dostrzec jak najwięcej. Shane za to niecierpliwie bębnił palcami o kierownicę, bez ekscytacji wyglądając przez boczną szybę.

Mimo iż samochód mojego brata bez wątplenia królował swoją elitarnością, to jak na moje oko w ogóle nie było tu brzydkich aut. Wyjątkowo mnie to zadziwiło, bo o ile rozumiałam, że niektórzy z kierowców to byli rodzice odwożący do szkoły swoje dzieci, tak wypatrzyłam również wielu nastolatków – ludzi niewiele starszych ode mnie – którzy siedzieli za kółkami takich cacek, na jakie nie mogłoby sobie pozwolić wielu dorosłych, ciężko pracujących ludzi.

Wtedy mniej więcej zrozumiałam, do jakiej szkoły właśnie szłam, i zadałam sobie proste, ale ważne pytanie. Jak ja się tu odnajdę?

Kolejka tworzyła się przez szlaban. By go przekroczyć, należało użyć własnego dokumentu, zapewne wydanego przez szkołę. Po jego zeskanowaniu przez automat barierka sama się unosiła do góry. Gdy przyszedł czas na Shane'a, ten wyciągnął z kieszonki w drzwiach swoją plakietkę i po chwili wjechaliśmy na teren mojej nowej szkoły.

Mój brat leniwymi ruchami obracał kierownicą, ze znużeniem lawirując między innymi uczniami. Ci zaś zdawali się sami schodzić z drogi niebieskiemu lamborghini. Już przestałam się wiercić i rozglądać, tylko wręcz przeciwnie, przyłgnęłam do oparcia fotela, jakby z nadzieją, że pochłonie mnie i zniknę, dzięki czemu nie będę zmuszona do stawienia czoła temu straszemu dniu.

Już wtedy zarejestrowałam pierwsze oznaki zainteresowania moją osobą. Ludzie zerkali najpierw na dobrze im znany samochód, potem na równie dobrze im znanego Shane'a, a na końcu zawieszali spojrzenia na mnie. Unikałam wszelkiego kontaktu wzrokowego z kimkolwiek z nich, a to dlatego, że wyczuwałam w nich niezdrową ciekawość. A może tylko uznałam ją za niezdrową z prostego powodu – nigdy wcześniej nie byłam przedmiotem tak wzmożonej uwagi.

Shane zajął miejsce parkingowe, przy którym już stała maszyna Tony'ego. Choć inne wolne przestrzenie w mig się zapełniały, ta jedna jakby na niego czekała. Najwyraźniej musiały to być stałe miejsca braci Monet. Tuż w pobliżu znajdowało się boczne wejście do szkoły, a zaraz obok ciągnął się też niski murek, o który opierali się już Tony z Dylanem i kilkoma innymi chłopakami. Zgadywałam, że zbierali się tutaj każdego ranka.

Od tej ekipy również oberwało mi się wścibskimi spojrzeniami. Zanim wysiadłam z samochodu, wzięłam głęboki wdech. Cóż, przynajmniej zawsze mogłam liczyć na obojętność Tony'ego. On jako jedyny patrzył na mnie, jakbym była duchem.

– Oho, przybyła sławna siostra Monetów.

Komentarz wyrwał się jednemu z kumpli chłopaków. Ów rzucił mi drwiący uśmiech, który dostrzegłam, zanim spuściłam nieśmiało oczy na asfalt, zarzucając sobie torbę na ramię. Przez to, że wszyscy tu nosili identyczne mundurki, cała kompania moich braci jawiła mi się jako klony. Każdy z chłopaków był na pierwszy rzut oka taki sam. Dwaj z nich mieli

ciemniejszą karnację, a jeden miał włosy białe prawie jak mąka, ale to by było na tyle różnic między nimi.

– E – warknął na niego Dylan, nagle dziwnie podminowany. – Nie odzywaj się do niej.

– Okej, okej, sorry. – Chłopak wzruszył ramionami i odwrócił się ode mnie na dowód, że wcale nie zależy mu, by do mnie mówić.

Ta ostra reakcja mojego brata trochę mnie zdziwiła, ale szybko się domyśliłam, że Dylan nie kwapi się po prostu do wprowadzania mnie w grupę swoich znajomych. Szczerze mówiąc, ja z kolei w ogóle nie czułam się na tyle komfortowo, by tutaj z nimi stać i udawać, że jestem jedną z nich. Oni wszyscy byli chłopakami, na dodatek starszymi ode mnie. Co więcej, biła od nich podejrzanie onieśmielająca aura szkolnych gwiazdorów, w którą naprawdę wolałam nie wkraczać.

W mojej starej szkole też wyróżniało się kilka popularniejszych grup. Tak to chyba już w szkołach bywa, że zawsze znajdują się osoby bardziej interesujące i lubiane od innych. Zwykle są to dzieciaki, które mają trochę większe kieszonkowe, dzięki czemu stać je na ładne ubrania. Jednak bycie popularnym w tej konkretnej akademii zdawało mi się dziwnie niepokojącym osiągnięciem. Po prostu na ile, jak dalece zdążyłam się zorientować, większość uczęszczających tu uczniów, jeśli nie wszyscy, pochodziła z zamożnych rodzin. Pieniądze więc nikomu tu nie imponowały.

No chyba że ktoś miał ich tak dużo, że jeździł do szkoły sportowym lamborghini. Wszak ja jako dziewczyna z prostej rodziny, żyjąca dotąd prostym życiem, nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że bogactwo też ma swoje poziomy. Są ludzie, którzy są po prostu solidnie zabezpieczeni finansowo, a są także tacy, którzy mają całe obrzydliwe tony pieniędzy. Powoli zaczynałam rozumieć, że moi bracia należą najwidoczniej do tych drugich, i wciąż to wszystko zdawało mi się senną mrzonką.

– Hailie, słyszysz? Mówię, że powinnaś iść do sekretariatu, najlepiej tamtędy – poinstruował mnie Shane, wyrywając mnie z zamyślenia. Zarówno on, jak i jego koledzy, a nawet Dylan i Tony patrzyli teraz na mnie. –

Dostaniesz tam plan lekcji i takie tam. Przedstaw się i wszystko za ciebie ogarną.

Patrzyłam w kierunku, który wskazywała mi ręka Shane'a. Nie do końca rozumiałam, jak tam dojść, ale już ruszyłam w tamtą stronę, chcąc jak najszybciej odłączyć się od braci. Wciąż przez chwilę czułam na sobie spojrzenia innych osób, ale gdy zniknęłam za rogiem budynku, zaznałam chwili wytchnienia, gdyż ludzie przestali zwracać na mnie uwagę. Wiedziałam jednak, że jej brak był spowodowany wyłącznie chwilową niewiedzą, że ta zwykła dziewczyna jest zaginioną siostrą braci Monet.

Do sekretariatu trafiłam bez problemu i bez konieczności proszenia nieznanymi o pomoc, na czym wyjątkowo mi zależało. Przez myśl przeszło mi, że gdyby moi bracia byli bardziej serdeczni, to sami pokazaliby mi drogę, ale jeśli w ich towarzystwie zawsze miałam znajdować się pod ostrzałem spojrzeń, to może i lepiej, że ich zachowanie wyzbyte było takich uprzejmości.

Tutejszy sekretariat różnił się bardzo od tego w mojej starej szkole. Jakimś cudem pracownicy potrafili utrzymać tu względny ład, podczas gdy w moim poprzednim liceum sekretarki próbowały wmówić wszystkim, że jest to niemożliwe przez ilość papierologii, z jaką musiały się mierzyć każdego dnia. Tutaj widocznie posiadano lepszy system albo większy rygor, bo każda teczka i każdy segregator miały swoje miejsce, a ciemnobrązowe meble w połączeniu z jasnymi ścianami dodawały pomieszczeniu powagi i schludności.

Podeszłam do biurka, za którym siedziała pani sekretarka. Popijała kawę z kubka przyozdobionego różowymi flamingami i klikała coś w komputerze, którego monitor był poza zasięgiem moich oczu. Przedstawiłam się uprzejmie, na co zostałam obrzucona kolejnymi spojrzeniami przez każdą obecną akurat w pokoju osobę, która usłyszała mój cichy głos. Ucieszyłam się, że przynajmniej pracownicy szkoły próbują być profesjonalni, bo ostatecznie zostałam obsłużona w najzwyczajniejszy sposób i z uśmiechem życzone mi udanego pierwszego dnia szkoły.

To właśnie w tym sekretariacie zyskałam nadzieję, że może jednak będę traktowana tutaj normalnie. Uczniowie byli mnie bardzo ciekawi, ale tak to przeważnie jest, gdy ktoś dołącza półtora miesiąca po rozpoczęciu roku szkolnego. Zwłaszcza w tak kameralnej szkole jak ta. Nie trzeba być zaginioną siostrą popularnych braci, by przykuwać uwagę.

Wskazówki, które otrzymałam od pani sekretarki, okazały się tak jasne, że bez problemu trafiłam pod salę, w której miałam mieć swoje pierwsze zajęcia. Korytarze dobrze oznakowano, a sam budynek nie był molochem jak moja stara szkoła, w której każda nowa osoba czuła się jak w labiryncie.

Wczytałam się w swój plan lekcji i musiałam się już porządnie skupić, bo zaczęły się schody. Sam jego zapis różnił się mocno od tego, do którego byłam przyzwyczajona w Anglii. Stałam pod salą i wgapiałam się w jedną z wielu kartek, które otrzymałam porządnie zapakowane w kartonową teczkę z logo szkoły, wciskany chyba wszędzie, gdzie się dało. To wtedy zagadała do mnie pierwsza osoba.

Dziewczyna o imieniu Tanya, drobna i z prostokątnymi okularami w kolorze fiołków, które spoczywały na jej długim prostym nosie. Dałam jej zerknąć na swój plan, bo była ciekawa, czy mamy więcej wspólnych lekcji poza nadchodzącym językiem francuskim. Potem dołączyła do nas inna dziewczyna, z którą na drugiej godzinie miałam mieć matematykę, a potem jeszcze jedna i jeszcze kolejna.

- Więc to prawda, że mieszkałaś w Anglii?
- Przecież to słychać nawet po jej akcencie. Tak w ogóle to jest cudowny!
- A jak przeprowadzka? Jejku, to musiało być takie trudne, nagle całe życie przenieść na inny kontynent...
- Jak ci się u nas podoba?
- Hej, a w ogóle, to ja też jestem pół-Angielką, często bywam w Londynie, mam tam rodzinę, wiesz...

Starałam się wyłapywać wszystkie pytania i odpowiednio na nie reagować. Wkrótce zostałam dosłownie otoczona. Dziewczyny mówiły jedna przez drugą jak przekupki na targu. Niektóre mi się przedstawiły, a ja na koniec nie zapamiętałam żadnego z imion, poza tym należącym do Tanyi, a to tylko dlatego, że zaczęła mnie pierwsza. Mojej pamięci nie pomagał fakt, że wszystkie te dziewczyny wyglądały dla mnie tak samo przez identyczne ubrania, zupełnie jak koledzy moich braci. Ich włosy, figury, rysy twarzy i kolor skóry jakoś dziwnie nie miały dla mojego mózgu znaczenia – liczyły się tylko czarne marynarki, koszule i kraciaste spódniczki.

- Czekaj, to ty teraz mieszkasz z braćmi Monet? – zapytała jedna z nich.

– Głupie pytanie – ofuknęła ją druga. – Widziałas przecież, że przyjechała z Shane'em.

Na szczęście zanim dziewczyny zdążyły się na siebie poobrazić albo zaczęły za bardzo wnikać w moje relacje ze starszym rodzeństwem, o których opowiadanie byłoby dla mnie mocno kłopotliwe, zadzwonił dzwonek. Przynajmniej to było coś, co moja stara szkoła miała wspólnego z tą nową. Dzwonki zapowiadające lekcje i przerwy.

Na tym chyba kończyły się podobieństwa. Sale, w których odbywały się zajęcia, były większe od tych w moim byłym liceum, a grupy uczniów mniej liczne. Ciekawość nauczycieli ledwo ustępowała tej prezentowanej przez uczniów i na każdej lekcji prosili mnie o publiczne przedstawienie się. Spodziewałam się, że pierwszego dnia nie obędzie się bez tej formy autoprezentacji, więc miałam wyćwiczone kilka banalnych zdań, które za każdym razem powtarzałam aż do znudzenia.

– No, zobaczymy, czy uda ci się uratować wizerunek Monetów – zażartował pan Dalton od angielskiego, który był młodym mężczyzną, takim typowo dowcipkującym i chyba lubianym przez większość szkoły. Był też niebrzydki, raczej niski, a niektóre dziewczyny rzucały mu nawet zalotne spojrzenia, które on z pełnym profesjonalizmem ignorował.

Od razu polubiłam też panią Roberts, która już od pierwszych chwil zrobiła na mnie wrażenie nauczycielki mojego ulubionego sortu – zdawała się wyrozumiała, ciepła i bardzo spokojna, a każde jej słowo przyjemnie dźwięczało w uszach, dzięki czemu słuchanie, jak mówi o fotosyntezie, stawało się wręcz terapeutyczne. Poza tym ja sama też wyczuwałam, że mam w sobie potencjał, by stać się jej ulubienicą. Dziś jeszcze byłam cicha i nieśmiała, ale jeśli miałabym wskazać coś, w czym czułam się dobra, to tym czymś na pewno była nauka.

Pierwsza bardziej niezręczna sytuacja, w której się znalazłam, nadeszła podczas przerwy na lunch. Dotarłam na stołówkę, która zaskoczyła mnie swoją przestronnością i wysoką szklaną ścianą, która wychodziła na kolorowe korony gęsto posadzonych pensylwańskich drzew. Żłota jesienna luna wdzierwała się do środka, ubarwiając jadalnię.

O ile na przerwach wszyscy mnie wręcz obłazili, o tyle, jakby na złość, teraz gdy najbardziej potrzebowałam jakiegoś kompana, nagle każdy był

zajęty sobą i swoją grupką znajomych. Już zaczynałam godzić się z tym, że będę musiała albo bezceremonialnie przysiąść się komuś do stolika, albo znaleźć jakieś ustronne, opuszczone miejsce, gdzie zjem w samotności. Szczególnie ta druga opcja wprawiała mnie w dyskomfort, bo wkrótce spostrzegłam oblegany kąt, w którym znajdowała się najwyraźniej stała miejscówka braci Monet. Oczywiście za żadne skarby świata bym się tam do nich nie dosiadła, ale nie chciałabym, żeby wypatrzyli, jak sterczę gdzieś zagubiona, samotna i niezdolna do nawiązania prostej relacji koleżeńskiej.

Ulżyło mi, kiedy mój mały problem rozwiązał się sam, bo gdy obsłużona przez jedną z dwóch sprawnych pań kucharek odchodziłam od lady z tacą zapełnioną jedzeniem, na które nie miałam nawet ochoty, podeszła do mnie dziewczyna, którą już kilka razy dziś widziałam. Coś do mnie nawet wcześniej mówiła, ale nie pamiętałam już co. Miałam z nią albo matematykę, albo nauki ścisłe.

– Hej, tak tylko chcę ci powiedzieć... – zaczęła, splatając przed sobą ręce i bawiąc się palcami. – Że jak coś, to siadaj z nami. Tam o, przy tamtym stoliku. Jeśli chcesz.

Kamień, który spadł mi z serca, uruchomił jednocześnie uśmiech na mojej twarzy.

– Jasne, z przyjemnością się dosiadę – odparłam. – Dziękuję.

Mona, bo tak przedstawiła się moja nowa koleżanka, zaprowadziła mnie do stolika, przy którym siedziała jeszcze inna dziewczyna. Uprzejmie się z nią przywitałam i natychmiast nawiązałyśmy rozmowę. To była pierwsza sensowna konwersacja, jaką udało mi się przeprowadzić dzisiaj w tej szkole. Stanowczo łatwiej mi było skupić się na dwóch osobach niż na połowie populacji akademii. Dziewczyny pytały mnie o wrażenia na temat nauczycieli i potwierdziły moje przypuszczenia co do dobroduszości pani Roberts oraz rozrywkowości pana Daltona.

– Audrey się w nim kocha – zdradziła Mona, tylko trochę ściszej głoś, a zażenowana koleżanka mocno ją szturchnęła.

– Głupia jesteś – mruknęła i niby to przypadkowym ruchem zagarnęła do przodu swoje włosy. Były proste i długie, zupełnie jak moje, ale dużo cieńsze, no i tak ciemne, że prawie czarne, co bardzo kontrastowało z jej

bladą jak pochmurne niebo cerą. – Lubię go po prostu, bo nie jest nudziarzem ani mściwym frajerem, jak na przykład trener Mendoza.

– Ach, ten to po prostu nienawidzi każdego, kto nie jest dobry w sporcie – przekazała mi rzeczowo Mona. – Za mną nawet przepadał, dopóki nie obliczył, że zbyt często zgłaszam mu niedyspozycję z powodu okresu.

– Ja tam nie cierpię sportu, a w zamian sport i Mendoza nie cierpią mnie. – Audrey wzruszyła ramionami, pogodzona ze swoim losem.

– Hm, ja chyba też nie przepadam za sportem – wyznałam z wyraźnie pobrzmiewającą nutą zmartwienia w głosie.

– Ale coś ty, ty się w ogóle nie masz czym przejmować! – Mona machnęła ręką, na której nadgarstku dyndały srebrne bransoletki. – Mendoza kocha twoich braci. Już na samo wspomnienie o Monetach ma kisiel w gaciach. Tego uwielbienia jest tak dużo, że starczy i dla ciebie za samo nazwisko, nawet jeśli będziesz słaba.

– A co, oni serio są aż tacy dobrzy?

– Najlepsi.

– W sumie to zawsze mnie ciekawiło, jak Tony godzi sport z fajkami – zastanawiała się na głos Audrey.

– Ej! – zagadnął jakiś chłopak, jakby znikąd pojawiwszy się przy naszym stoliku. Miedziane włosy sięgały mu za uszy i lekko się kręciły, a teraz były też mocno roztrzepane. Miał pełną buzię i sporo piegów, a wesołe oczy w kształcie migdałów śmiały się do nas nawet jeszcze serdeczniej niż usta. – Słuchajcie, obgadałem sprawę i możemy robić projekt do Roberts razem.

– No i super, to po problemie – skwitowała Mona, a potem otwartą dłonią wskazała na mnie: – Przy okazji, poznaj Hailie Monet.

Miałam ochotę westchnąć na widok zmiany, jaka zaszła w chłopaku. Zamurowało go i zamrugał powiekami, nagle dziwnie spięty.

– O kurczę, nie zauważyłem cię, sorki – wytłumaczył się i niezgrabnie wyciągnął do mnie dłoń. – Marshall. Miło poznać.

– Wzajemnie – odparłam, przechylając głowę. Zastanawiałam się, dlaczego rozgląda się tak nerwowo.

– Jak ci mija pierwszy dzień? – zapytał.

– Dużo nowości, ale chyba po prostu muszę się wdroić i będzie dobrze.
– Fajnie. Wiesz, z twoim nazwiskiem wszystko powinno pójść jak po maśle.

– Jeno no, dajcie jej spokój z tym nazwiskiem. Biedna dziewczyna na pewno czuje przez nie presję – upomniała ich Audrey, za co, przyznaję, byłam jej wdzięczna.

– Racja, sorry.

– Dobra, zmiana tematu, siadasz z nami? – Audrey poklepała wolne krzesło obok siebie.

– Albo z nami?

To był przesadnie przyjazny głos, którego nie rozpoznałam od razu. Chyba potrzebowałam trochę czasu, żeby przyzwyczaić się do faktu posiadania braci. Pierwsze, co zobaczyłam, to wybałuszone oczy Marshalla, które gapiły się na kogoś, kto właśnie zaczął się za moimi plecami. Mona i Audrey również zastygły, a wtedy ja drgnęłam i obróciłam się akurat w momencie, gdy Dylan kładł palce na oparciu mojego krzesła. Aż zatrzeszczało, kiedy przeniósł na nie ciężar swojego umięśnionego ciała, a mnie przed twarzą zawisł jego krawat, gdy lekko pochylił się do przodu.

Marshall, Mona i Audrey milczeli, wpatrując się w niego z rozchyłonymi ustami, a nowy kolega dodatkowo pobladł niezdrowo.

– Z-z wami? – powtórzył, nerwowo drapiąc się w tył głowy.

Dylan wzruszył ramionami.

– Skoro nie możesz znaleźć innego miejsca i nachodzisz dziewczyny, to chętnie przyjmujemy cię przy swoim stoliku.

Wszyscy skierowaliśmy oczy na kącik Monetów, w którym każdy obecny zerkał teraz z kolei na nas. Niektórzy tam mieli znudzone miny, inni zaś drwiące. Na twarzach Shane'a i Tony'ego malowało się coś pomiędzy.

Zmarszczyłam brwi i odwróciłam się z powrotem do Dylana, żeby przemówić mu do rozsądku. Tym razem uniosłam głowę i odchyliłam ją nieco, by jego krawat nie merdał mi się przed ustami, gdy je otwierałam.

– Nikt tu nikogo nie nachodzi.

On zerknął na mnie z góry, po czym uniósł dłoń i poufale poklepał mnie w czubek głowy.

– Cicho, mała siostrzyczko.

Zamrugałam, zbita z tropu jego protekcyjnym traktowaniem. Nawet odwróciłam się z powrotem w stronę swoich nowych znajomych i przez kilka sekund patrzyłam na nich pełna niedowierzania, po czym ocknąłam się i z głośnym, pełnym irytacji cmoknięciem znowu wykręciłam szyję.

– Poważnie mówię, słyszysz? Daj spokój.

Ale on już na mnie nie patrzył. Zamiast tego wzrokiem świdrował biednego, niewinnego Marshalla.

– To jak będzie?

– Mam gdzie siedzieć – odpowiedział mój nowy kolega z wyraźnym napięciem w głosie. Potem zerknął na nas, a właściwie to na Monę i Audrey, i z pozornym luzem rzucił: – Pójdę już. – Na koniec wyprostował się i powiedział sztywno do Dylana: – Ale dzięki za propozycję.

Mój brat mrugnął do niego wesoło.

– Żaden problem.

Gdy Marshall ulotnił się w trybie natychmiastowym, Mona i Audrey siedziały cicho, wyraźnie zaskoczone przebiegiem tej sceny. Ja wpatrywałam się w plecy odchodzącego chłopaka, czując w ustach kwaśny posmak skutków tego niepotrzebnego zamieszania, dopóki sterczący nade mną brat nie dotknął mojego ramienia.

– Jak tam pierwszy dzień, wszystko okej?

Spojrzałam na niego. Chciałam mu powiedzieć w tym momencie masę rzeczy, a żadna z nich bynajmniej nie była odpowiedzią na jego pytanie. Cóż, to okazało się dla niego zerowym problemem, bo w rzeczywistości nawet na nią nie czekał.

– Przy okazji, mamy z Shane’em plany po lekcjach, więc dzisiaj wracasz do domu autem z Tonym.

I znowu, nie dbając o moją odpowiedź, potargał mi włosy, po czym machnął do mnie i do moich nowych koleżanek, odchodząc z powrotem do stolika Monetów.

Przysięgam, że przez chwilę nie śmiałam nawet na nie spojrzeć. Najlepszą rzeczą, jaką mogłam wtedy zrobić, było wzięcie głębokiego wdechu i spróbowanie wyzbycia się z duszy wszystkich negatywnych uczuć, które pojawiły się w niej podczas tej krótkiej sceny. Byłam rozzłoszczona, bezsilna, trochę też upokorzona. Poprawiłam włosy, które rozczochrał mi brat. Uparcie nie podnosiłam wzroku, wbijając go w tacę z jedzeniem. Zamówiłam sobie frytki i sałatkę. Teraz wyobraziłam sobie, jak ciskam nimi Dylanowi w twarz.

– Ehm... A więc to naprawdę są twoi bracia – podsumowała Audrey.

Skinęłam głową, wciąż zaciskając usta i patrząc w dół.

Niestety, tak sobie pomyślałam. Bo nikt nie będzie chciał się kumplować z dziewczyną, która ma takich braci. A pierwsze dni w nowej szkole były dla mnie wystarczająco trudne, naprawdę. Nie potrzebowałam dodatkowych przeszkód w nawiązywaniu znajomości.

– Aż strach z tobą siedzieć – zazartowała Mona, próbując rozładować atmosferę.

Wtedy spojrzałam na dwie dziewczyny, które przyglądały mi się z mimo wszystko delikatnymi uśmiechami.

– Przepraszam za niego... – wymamrotałam. – Nie wiem, o co mu chodziło i po co w ogóle się wtrącał.

– Spoko, potwierdził w sumie tylko to, co każdy już wie. – Mona wzruszyła ramionami.

– Co takiego?

Kąciki ust Audrey zadrżały.

– No, że żaden typ nie ma prawa się do ciebie zbliżyć.

– Słucham?

– Z iloma chłopakami dziś rozmawiałaś?

Zamrugałam znowu. Nowe rewelacje zdawały mi się tak idiotyczne, że natychmiast zamyśliłam się, by odpowiedzieć Audrey na pytanie i jednocześnie zbić zaistniałą tezę, ale wtedy uderzyło mnie, że tak naprawdę to przez cały dzień towarzyszyły mi tylko dziewczyny. Gdy sobie to

uświadomiłam, moje oczy się rozszerzyły, a nowe koleżanki cierpliwie czekały, aż przepracuję tę informację.

– Co oni... Jak? – sapnęłam, najpierw kładąc dłoń na czole, a potem opuszczając ją razem z ramionami, przez co brzydsko się zgarbiłam i prychnęłam: – Wydali jakieś oficjalne oświadczenie czy co?

– Nie musieli.

Na widok mojej udręczonej miny Mona w końcu się ulitowała.

– Dobra, słuchaj. Widzę, że sporo rzeczy nie wiesz, więc ci wyjaśnię. Twoi bracia cieszą się złą sławą – mówiła cicho i raz po raz zerkała ostrożnie w stronę ich stolika.

– Co to znaczy?

– Krążą o nich różne plotki, a oni nawet nie próbują ich dementować.

– Jakie plotki?

– Och, no wiesz... Nazwisko Monet jest tutaj dość znane.

– I wpływowe – dodała Audrey.

– I budzi postrach.

Mona przekrzywiła głowę, jakby próbowała rozszyfrować, czy ja naprawdę jestem taka niedoinformowana, czy tylko udaję, aż wreszcie powiedziała:

– Jej, ty naprawdę nie masz o tym pojęcia.

– Nie mam, o niczym – mruknęłam cicho, chowając twarz w dłoniach.

– Nie przejmuj się, w sumie to nawet urocze – pocieszyła mnie Audrey.

– No właśnie, Dylan nazwał cię „siostrzyczką” – przytaknęła jej Mona.

Spojrzałam na nie spode łba.

– No dobra – westchnęła Audrey – był też straszny.

– Ale jaki przystojny.

Skrzywiłam się, a dziewczyny zachichotały, jakby porozumiewawczo. Cóż, mnie nie było do śmiechu. Zamiast tego złapałam się za głowę, bo właśnie sobie przypomniałam, co Dylan przekazał mi, gdy zgrywał nadopiekuńczego brata. Miałam wracać do domu z Tonym! No naprawdę, jeszcze tego mi brakowało. To niesprawiedliwe, że ze wszystkich moich

braci musiało paść akurat na niego. Nie uśmiechało mi się to, zwłaszcza po tym, co właśnie usłyszałam od dziewczyn.

Tony'ego zobaczyłam znowu dopiero po lekcjach, gdy niechętnie udałam się w stronę parkingu. Stał sam, w białej koszuli i bez marynarki. Opierał się o lamborghini Shane'a, paląc papierosa. Idąc w jego stronę, czułam, że odprowadzają mnie ciekawskie spojrzenia, do których po całym dniu spędzonym w tej szkole powoli się już przyzwyczajałam. Bez słowa zajęłam miejsce pasażera i czekałam posłusznie, aż mój brat skończy się truć. Dziwiłam się jednocześnie, jak to możliwe, że on nawet nie próbował się z tym kryć. Przecież ciągle znajdowaliśmy się na terenie szkoły.

W końcu drzwi od strony kierowcy się otworzyły i Tony wszedł do środka. Zmarszczyłam nos, szykując się na odór papierosów, ale cokolwiek palił, zaskakująco nie śmierdziało tytoniem, a przynajmniej nie intensywnie. Tony wrzucił zapalniczkę do przegródki w drzwiach, podciągnął rękawy koszuli od mundurka, odsłaniając kawałek swojego tatuażu, i zdawał się już gotowy do jazdy, jednak nie odpalił silnika od razu. Zamiast tego obrócił głowę w moją stronę, a jego błękitne oczy wbiły się we mnie groźnie.

– Skoro już jesteśmy sami, to coś sobie wyjaśnimy – zaczął złowrogo. – Naskarżyłaś na mnie.

Patrzyłam na jego poirytowaną minę i aż przełknęłam ślinę, mając nadzieję, że robię to najdyskretniej, jak się da.

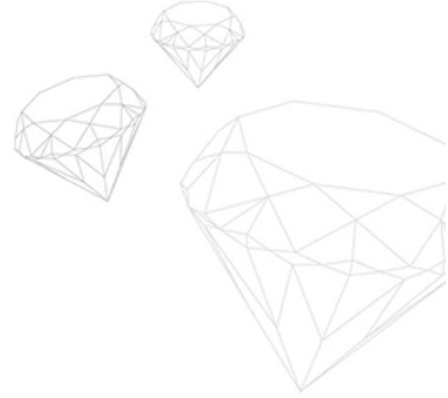
– Ja...

– A kazałem ci siedzieć cicho – kontynuował i pokręcił głową z nieskrywanym niesmakiem. – Słuchaj, następnym razem lepiej, żebyś robiła, jak mówię. Kapujesz, młoda?

Gdyby nie chłód, który mnie w tym momencie aż zmroził, z wielką przyjemnością napyskowałabym Tony'emu i zapytała, co niby robi, jeśli się go nie posłucham. Naprawdę chciałam to wiedzieć, bo to, czy byłby w stanie wyrządzić mi jakąś realną krzywdę, zdawało mi się informacją dość istotną. Jednakże może to przez nieprzyjemne spojrzenie, jakie mi rzucił, a może przez to, co o braciach Monet przekazały mi Audrey z Moną na przerwie, wolałam na razie nie zachodzić Tony'emu za skórę bardziej niż do tej pory i wreszcie jedynie wolno pokiwałam głową.

Chyba go usatysfakcjonowałam, bo wtedy uruchomił silnik, wytatuowana dłoń spoczęła na kierownicy, a ja siedziałam sztywno, przez całą drogę zerkając w bok. Myślałam, czy nie przeprosić za wsypanie go przed Vincentem albo chociaż wyjaśnić mu, jak do tego doszło, ale ostatecznie nie miałam odwagi się odezwać, dlatego kiedy tylko zaparkował w rozległym garażu willi Monetów, wysiadłam i ulotniłam się jak najdalej od tego wyjątkowo zniechęconego przeze mnie brata.

Tego wieczoru ze wszystkich moich braci tylko Will pofatygował się, żeby zapytać, jak minął mi pierwszy dzień w nowej szkole.



6

Błahostki

Po tym małym ostrzeżeniu od Tony'ego bałam się go jeszcze bardziej. Najprościej było go unikać, co szło mi doskonale, jako że on sam też nie zabiegał o spędzanie ze mną czasu.

Szczęśliwie do szkoły przeważnie jeździłam z Shane'em. Podróże z nim lubiałam najbardziej, bo dało się z nim przynajmniej porozmawiać, nawet jeśli nie zawsze były to dyskusje wysokich lotów. Tony przeważnie przy mnie milczał, Dylan zaś za każdym razem nie mógł się powstrzymać przed rzuceniem jakiejś wrednej uwagi.

Co do życia w szkole, to męska część akademii nadal bała się zagadnąć mnie choćby o zwykłą głupotę. Każdy chłopak poprzedzał interakcję ze mną (których nie inicjowano wiele) dyskretnym rozejrzeniem się wkoło, by upewnić się, że bracia Monet akurat nie kryją się gdzieś w pobliżu.

Zacząło mnie to poważnie irytować. Dylan, Shane i Tony byli w swoim zachowaniu bezkarni, a cała szkoła zdawała się ich dopingować i tylko usuwała się im z drogi. Miałam wrażenie, że cofnęliśmy się do średniowiecza, a oni wcielali się w przedstawicieli rodziny królewskiej. To jeden z powodów, dla których unikałam ich między lekcjami. Nie utożsamiałam się z ich gwiazdorskim stylem bycia i wystarczyło mi, że

mieszkam z nimi pod jednym dachem. Niestety, mimo iż starałam chować się w cieniu, zupełne odcięcie się od nich było niemożliwe.

Długie przerwy spędzałam w towarzystwie Mony i Audrey, dziewczyn, z którymi udało mi się zakumplować. Ta pierwsza nad wyraz zabiegała o moją uwagę, a jej charakteryzujący się nadmiernym ekscytowaniem się wszystkim sposób bycia zdawał się na tyle szczery, że sama też Ignęłam do niej, w końcu nie mniej pragnąc należeć do choćby jednej jedynej grupki znajomych. Nawet takiej małej, trzyosobowej.

Tamtego dnia postanowiłyśmy skorzystać z ostatnich już ładnych momentów w tym roku i na lunch wyszłyśmy na dwór. Nie tylko my wpadłyśmy na ten pomysł. Szkolne podwórko wypełnione było uczniami i niemal wszystkie ławki piknikowe zostały zajęte. Udało nam się dorwać jedną z nich i wygrzewałyśmy się w ciepełku, relaksując się przed drugą częścią dnia, gdy nagle do naszych uszu dobiegły odgłosy jakiegoś zamieszania.

Otworzyłam oczy i osłoniłam je przed słońcem, by zerknąć w stronę grupki gapiów, która utworzyła się kawałek od nas. Mona też już wyciągała szyję i z naszej trójki to ona zrobiła pierwsze kroki w stronę gromadzącego się tłumu. Ja i Audrey podążyłyśmy jej śladem i po chwili znałyśmy już powód tego nagłego zbiorowiska.

Dwóch chłopaków zaczęło się bić, a ja znieruchomiałam, gdy w jednym z nich rozpoznałam Tony'ego. „Bić się” to za dużo powiedziane; ciosy tak naprawdę zadawał tylko mój brat, a jego ofiara nieudolnie próbowała się bronić. Z przerażeniem patrzyłam, jak jego wytatuowana ręka szarpie poszkodowanego za krawat. Powiodłam po twarzach zgromadzonych wokół osób. Niektórzy śmiali się i dopingowali Tony'ego, inni krzywili się na brutalność rozgrywającego się show, ale chyba mało kto był tak przestraszony i zniesmaczony jak ja.

Gdy po wyjątkowo mocnym uderzeniu mojego brata z nosa chłopaka trysnęła krew, miarka w moim odczuciu się przebrała i nie myśląc wiele, ruszyłam w sam środek afery. Odwagi dodawał mi fakt, że Tony to jednak, jak by nie było, mój brat, inaczej pewnie stałabym jak słup soli, tak jak pozostali obserwujący. On może mnie nie lubić, ale raczej nie pobije własnej siostry, prawda?

Nie było mi dane się tego dowiedzieć, bo zanim zdążyłam wpakować się pomiędzy niego a chłopaka z krwawiącym nosem, ktoś złapał mnie za ramię i zatrzymał. Odwróciłam się, wiedząc, że nie była to żadna z moich nowych koleżanek – uścisk był zbyt mocny.

No i miałam rację, bo przed wmieszczeniem się w bójkę powstrzymał mnie Dylan. Spojrzałam mu w oczy. Zobaczyłam w nich ostrzeżenie z domieszką niedowierzania, ale byłam zbyt zaaferowana, by wziąć je na poważnie i wycofać się z podkulonym ogonem – jak bym zrobiła w innej sytuacji.

Nie mogłam patrzeć, jak mój brat, z którym jeszcze dziś jadłam śniadanie przy jednym stole, teraz tak agresywnie i bezdusznie leje kogoś po twarzy, zostawiając na niej siniaki, które utrzymywać się będą przez długie tygodnie. Próbowałam się wyrwać, ale z marnym skutkiem, bo z masywnym ramieniem Dylana nie miałam szans, dlatego w końcu dałam za wygraną i spróbowałam użyć perswazji słownej.

– Powstrzymaj go!

W odpowiedzi otrzymałam od niego puste spojrzenie.

– Proszę, przecież on robi temu chłopakowi krzywdę...

Nic.

– Będzie miał problemy...

W tle słyszałam przeciągły jęk ofiary Tony’ego. Osoby stojące najbliżej mnie i Dylana zaczęły się interesować również naszą konfrontacją. Niektóre nawet bardziej niż samą bijatyką.

– Dylan, zrób coś! – wykrzyknęłam w końcu histerycznie.

– Cicho bądź, nie wtrącaj się.

Teraz to na mojej twarzy odmalowało się niedowierzanie. Nie udało mi się nic zaradzić, bo gdy zerknęłam na Tony’ego, chcąc tym razem krzyknąć do niego, żeby się opamiętał, pobity chłopak leżał już na ziemi, ledwo kontaktując. Tony pochylił się nad nim i wyszeptał mu coś do ucha, po czym ostatni raz szarpnął jego marynarkę, z pogardą patrząc na niego z góry.

Właśnie wtedy pojawiła się czerwona na twarzy kobieta z nastroszonymi brwiami i mocno zaciśniętymi ustami, wokół których utworzyły jej się wyjątkowo głębokie zmarszczki. Ktoś z boku szepnął, że to pani dyrektor.

Cóż, brawo, w samą porę, bo Tony właśnie skończył robić z innego ucznia miazgę.

Mój brat natychmiast został zaciągnięty na dywanik, na miejsce zdarzenia zawołano pielęgniarkę, a trener Mendoza, wysoki mężczyzna o ciemnym zaroście, zaczął rozganiać tłum, pokrzykując i raz po raz gwizdząc na nas gwizdkiem, który dyndał mu na szyi jak u każdego szanującego się wuefisty. Krzywiłam się, gdy Dylan ciągnął mnie za sobą w stronę budynku szkoły. W połowie drogi zatrzymał się na uboczu i obrócił mnie tak, że stanęłam z nim twarzą w twarz.

– Po cholere żęś się między nich pchała? Jeszcze byś sama oberwała.

– Dlaczego Tony tak go pobił? – zapytałam z wyrzutem.

Miałam porządnie posortowane wartości, więc dobrze wiedziałam, kto tu naprawdę zasługuje na reprimendę i tą osobą bynajmniej nie byłam ja.

– To w ogóle nie jest twoja sprawa.

– To dlaczego ty go nie powstrzymałaś? Tamten chłopak krwawił!

Założyłam ręce na piersi. Próbowалаm ignorować ludzi, którzy przechodząc obok, nasłuchiwali, jakby w nadziei na kolejną dramę w wykonaniu Monetów. Dylan patrzył na mnie z góry przez chwilę w taki dziwny sposób, jakby nie rozumiał po angielsku, po czym pokręcił głową i westchnął.

– Wracaj na lekcje, Hailie.

Opuściłam ręce wzdłuż tułowia.

– Ale...

– Żadnych „ale”.

Posłuchałam go przez ten ostry ton. Moja relacja z Dylanem nie była najlepsza, więc wolałam jej dla własnego dobra nie pogarszać. W drodze do klasy wstąpiłam jeszcze do łazienki, żeby spojrzeć w lustro. Moja twarz z pewnością nosiła ślady przejęcia sprzed kilku minut – oczy wciąż błyszczały, a kąciuki ust nie chciały się unieść ani nawet wyprostować. Dalej byłam też blada, więc uszczypnęłam się w policzki, licząc, że doda im to trochę koloru. Czytałam kiedyś o szlachciankach, które robiły tak w dawnych czasach.

Gdy już uznałam, że prezentuję się wystarczająco zadowolająco, by iść na lekcje, zarzuciłam torbę na ramię, a wtedy z otwartej przegródki wyslizgnął się mój telefon. Zanim zdążyłam zareagować, upadł na kafelki i jego ekran popękał na milion kawałków. Uszkodzenie musiało być poważne, bo nawet nie chciał się z powrotem włączyć.

Spanikowałam. W pierwszej chwili pomyślałam o mamie, która nie byłaby zachwycona, gdybym przyniosła ze szkoły nowinę, że zniszczyłam telefon. Na pewno przez jakiś czas musiałabym obejść się bez niego. Zwłaszcza że ten był stosunkowo nowy, dostałam go jakieś cztery miesiące temu. Nie był z najwyższej półki, ale spełniał moje podstawowe wymagania i lubiałam go. Wiedziałam też, że dla mamy był nie lada wydatkiem.

Ostatecznie zostałam w łazience dłużej, najpierw błagając wszechświat, by telefon magicznie zadziałał, przekładając go z jednej dłoni do drugiej, pocierając i wciskając raz po raz guziki na obudowie. Niestety nikt nie wysłuchał moich modłów. Nikt ich nigdy nie słucha. Wtedy od nowa zaczęłam proces przygotowywania się do wyjścia do ludzi. Tym razem musiałam też osuszyć załzawione oczy.

Świetnie, będę wyglądać, jakbym płakała z powodu bójki Tony'ego.

Przebrnięcie przez resztę zajęć było dla mnie absolutnie okropne. Co chwila sprawdzałam, czy komórka jednak samoistnie się nie naprawiła. Smuciłam się, bo w telefonie znajdował się cały mój bookstagramowy świat i nie byłam gotowa, żeby go stracić. Stresowałam się też, że może akurat właśnie dzisiaj ktoś – na przykład Vincent – postanowi do mnie zadzwonić, a ja nie będę mogła odebrać. Jasno się wyraził, że zawsze chce być ze mną w kontakcie. Jednocześnie bałam się powiadomić chłopaków o szkodzie. Ciągle miałam nadzieję, że może jednak jeszcze ten telefon się włączy. Albo że nie wiem, to wszystko mi się śni.

Jakby tego było mało, zmuszona byłam też do końca dnia wysłuchiwać, jak ludzie omawiają po kątach bójkę Tony'ego. Broniałam się rękami i nogami przed plotkami, bo naprawdę, analizowanie tego wydarzenia to nie była dla mnie żadna przyjemność, a nic, co dotarło do moich uszu, nie brzmiało jak potwierdzona informacja. Ot, głównie były to strzępki wyssanych z palca domysłów, jakoby poszkodowany chłopak wisiał coś Tony'emu albo nawet dostał „to, na co zasłużył”. Wersja, która najbardziej

mnie zmartwiła, to słowa jednej z dziewczyn z roku moich braci, która szeptała gorączkowo swoim koleżankom, że Tony pobił chłopaka, który chamsko wypowiedział się o jego siostrze. Wątpiłam w to, żeby Tony'ego obchodziło, co ktoś mógłby mieć do powiedzenia na mój temat, ale i tak aż przeszły mnie ciarki i zdecydowałam, że definitywnie nie będę drażyć tego tematu.

Po ostatniej lekcji wychodziłam z klasy razem z Moną. Mój podły nastrój musiał ode mnie wręcz promieniować. Nawet nie próbowała mnie zbytnio zagadywać, co było do niej niepodobne. Nie chciałam zrażać do siebie jednej z niewielu osób, którą w tej szkole mogłam nazwać koleżanką, więc wyznałam jej prawdę o zniszczonym telefonie, jednocześnie pełna nadziei, że może jakimś cudem podsunie mi rozwiązanie.

– A próbowałaś go wyłączyć i włączyć?

Nieważne.

– Próbowałam wszystkiego.

– W sumie wiesz, nawet jak jakimś cudem się włączy, to przecież ma taką pajęczynę na szybcie, że i tak nic nie będzie widać – powiedziała, z niewielkim zainteresowaniem zerkając na trzymaną przeze mnie komórkę. – Może powiedz po prostu braciom, ogarną ci nowy. To tylko telefon, nie?

Słuchając jej, poczułam, jak zaczyna drzeć mi broda. Żeby nie wyjść na rozstrojoną emocjonalnie płaczkę, która nie potrafi nad sobą zapanować z powodu głupiego telefonu, zacisnęłam szczękę.

– Mhm, masz rację – rzuciłam, siląc się na uśmiech, który wątpiłam, by z uśmiechem miał cokolwiek wspólnego. – To do jutra, nie?

I nie czekając na odpowiedź, skierowałam się w stronę lamborghini, jedną ręką przyciskając książki do piersi, a palcami drugiej ściskając w kieszeni zepsutą komórkę. Czułam, jak smutek i zdenerwowanie przenikają moje serce. Było mi przykro, że zniszczyłam telefon, który dostałam od mamy. Pamiętam, jak się cieszyłam, gdy mi go dała. To była kolejna rzecz, która mi się z nią kojarzyła, a którą prawdopodobnie straciłam.

Co więcej, teraz będę musiała powiedzieć o wszystkim Vincentowi, co delikatnie mówiąc, również nie nastrajało mnie optymistycznie.

Dylan i Tony stali obok miejsc parkingowych Monetów i z czegoś się śmiali. Nie widziałam ich od czasu bójki i nie tęskniłam za ponownym spotkaniem. Na dodatek nigdzie nie widziałam Shane'a. Shane nie był wielkim oparciem, bo przy braciach raczej nie trzymał mojej strony, ale jednak zawsze mogłam liczyć, że będzie miłszy od tej dwójki.

Gdy zbliżyłam się do nich na tyle, by Dylan mógł zmierzyć mnie dokładniejszym, niżbym sobie życzyła spojrzeniem, szybko zaczęłam oglądać asfalt. Nie lubiłam w moich braciach tej spostrzegawczości. Jej mistrzem był Vincent, ale pozostali też nie mieli się czego powstydić. Nawet Tony, który zdawał się zupełnie obojętny na to, co się ze mną dzieje. Teraz zmarszczył brwi na pytanie, które od razu zadał mi Dylan.

– Czemu płakałaś?

– Nie płakałam – odparłam szybko.

– Ktoś ci coś powiedział?

Pokręciłam głową, przystając przy drzwiach od strony pasażera. Palcami odszukałam ukryty guzik i wcisnęłam go, by otworzyć drzwi, ale auto było zamknięte i musiałam unieść wzrok na stojącego po drugiej stronie pojazdu Dylana. Na jego napiętej twarzy malowała się determinacja. Zrozumiałam, że nie odjedziemy z parkingu, dopóki nie wyciągnie ze mnie informacji o powodach mojego smutku. Żałowałam, że nie woli załatwić tej sprawy w samochodzie, gdzie mielibyśmy więcej prywatności, a na kark nie chuchałby mi Tony.

– Na pewno? – Dylan zacisnął pięści na dachu auta. – To przez bójkę Tony'ego?

Kiwnął głową w stronę naszego brata, który usiadł okrakiem na motocyklu, a w owiniętych bandażem dłoniach obracał kask. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że nawet nie został odesłany do domu. Uświadomiłam sobie, jak bardzo to było dziwne i niewiarygodne. Pani dyrektor na własne oczy widziała przecież, co się stało! Powinien zostać co najmniej zawieszony.

– Nie, to nie przez bójkę.

– Nie kłam, Hailie.

– Nie kłamię!

Westchnęłam i drżącymi rękami, z niechęcią, sięgnęłam do kieszeni mojego mundurka, z której wyjęłam potłuczony telefon. Nie planowałam przyznawać się do tego, co się stało, Dylanowi i Tony'emu. Nie musieli tego wiedzieć. Jeśli jednak mieli posądzać mnie o kłamstwo, to wolałam wyjawić im prawdę.

– Upadł mi.

Nastąpiła chwila ciszy. Dylan patrzył na telefon w mojej ręce, jakby to było jakieś przedziwne ustrojstwo, które pierwszy raz widzi na oczy, po czym uniósł brwi i przeniósł wzrok z powrotem na mnie.

– Płakałaś, bo upadł ci telefon? – upewnił się.

– Nie działa.

Znowu poczułam, że łzy chcą napłynąć mi do oczu. Za chwilę zaczną spływać mi po policzkach, a ja poczuję się jeszcze bardziej zażenowana. Odwróciłam głowę i dostrzegłam, że Tony też patrzy na mnie z ogłupiałą miną. Marszczył czoło i krzywił się dziwnie, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi, chociaż przecież trzymałam w ręku przedmiot, który dowodził prawdziwości moich słów. Bracia wymienili spojrzenia.

– Wsiadaj – polecił mi Dylan. Jego głos brzmiał inaczej niż jeszcze przed chwilą. Łagodniej. Nawet zaryzykowałabym stwierdzenie, że dosłyszałam w nim pobłażliwość. Jak u rodzica, który czuje się wymęczony nieszkodliwymi wybrykami swojego dziecka.

Cóż, nie musiał mi tego dwa razy powtarzać. Pociągnęłam nosem, schowałam telefon do kieszonki w swojej marynarce i tym razem, gdy nacisnęłam na guzik, drzwi uniosły się bez przeszkód.

Podczas drogi do domu czułam ulgę, że nikt jeszcze na mnie nie nawrzeszczał. Nie miałam telefonu, w którego ekranie mogłabym podziąć wzrok, więc patrzyłam na coraz lepiej mi już znany gęsty las. Lasy zajmują ponad pięćdziesiąt osiem procent stanu Pensylwania, tak przynajmniej gdzieś przeczytałam. Zdziwiło mnie to, bo z moich dotychczasowych obserwacji wynikało, że tych procent było bliżej stu.

Całą drogę rozmyślałam o drzewach i nie odzywałam się, podobnie jak Dylan, który tylko czasem zerkał na mnie z miną, jakby chciał o coś zagadnąć, a potem zmieniał zdanie. Gdy tylko dojechaliśmy do domu, gdzieś

zniknął, a ja poczłapałam do kuchni, gdzie Eugenie jak zwykle zaserwowała mi zbyt wielką porcję obiadu.

Lubiłam gosposię moich braci, ale wyjątkowo opornie szło jej przyswojenie faktu, że nie jestem aktywnym fizycznie chłopaczyskiem w wieku dojrzewania, a drobną dziewczyną z wiecznie ściśniętym żołądkiem. Skubałam nuggetsy bez przyjemności, od czasu do czasu zapominając nawet zamoczyć je w miseczce z sosem barbecue.

Gdy zjawili się bliźniacy, najpierw mimowolnie spięłam się na widok Tony'ego. Uświadomiłam sobie, że naprawdę się go boję, zwłaszcza będąc z nim sam na sam. Jakby się zastanović, to trochę bałam się każdego ze swoich braci, ale Tony zdawał się najbardziej nieprzewidywalny z nich wszystkich.

Patrzyłam, jak nakłada sobie obiad. Nie potrafiłam odwrócić wzroku od jego muskularnego, wytatuowanego ramienia i silnych rąk. Bandaż z jego dłoni zniknął i aż zrobiło mi się słabo na widok jego poobdzieranych kłykci, które jeszcze niedawno były ubabrane we krwi.

Natomiast Tony zupełnie nie zwracał na mnie uwagi. Shane z kolei może i byłby bardziej skory do rozmowy, gdyby nie to, że oczy zaświeciły mu się na widok nuggetsów. Porwał na swój talerz całą ich górę i nawet nie zauważył, gdy dorzuciłam mu resztę swoich.

Wymknęłam się do swojej sypialni, zadowolona, że wreszcie mogę skryć się w jej zaciszu. Przebrałam się w domowe ubrania i zasiadłam za biurkiem, gotowa do odrabiania lekcji. Dziś rozwiązywałam zadania dużo wolniej i dokładniej niż zwykle, starając się jak najbardziej odsunąć w czasie nieuchronne udanie się na misję poszukiwania Vincenta.

Czekała mnie jednak niespodzianka i jakiś czas później, gdy wciąż ślęczałam przy biurku i głowiłam się właśnie nad wyborem odpowiedniego koloru zakreślacza, rozległo się pukanie do moich drzwi. Bardzo ciche i pojedyncze, trochę jakby ktoś niechcący w nie stuknął, ale jak już kiedyś wspomniałam, Rezydencja Monetów była bardzo cicha i takie dźwięki nie rozlegały się w niej bez powodu. Miałam rację, bo gdy z wahaniem w głosie zaprosiłam gościa do środka, u progu mojej sypialni pojawił się mój opiekun prawny.

Natychmiast spięłam się na jego widok. On nie tylko nie zwykł do mnie dzwonić, ale i nigdy nie odwiedzał mnie w pokoju. Twarz miał zmęczoną, ale wciąż fantastycznie prezentował się w białej koszuli i ciemnych spodniach od garnituru.

Przysiadł na moim fotelu, a ja odwróciłam się na krzesło, żeby siedzieć do niego przodem. Milczał długo, ale czekałam cierpliwie na jego ruch, bo on zdawał się typem człowieka, który sam wolał zdecydować nie tylko o momencie, w którym rozmowa powinna się zakończyć, ale także o tym, w którym powinna się rozpocząć.

– Hailie, chcę z tobą porozmawiać o bójkę Tony’ego – powiedział. Po dniu pełnym biznesowych spotkań brzmienie jego głosu wciąż było chłodne.
– Dylan przekazał mi, że ją widziałaś.

– Cała szkoła widziała.

Wykręcałam tułów i zaciskałam pięści na oparciu krzesła. Na jednej z nich oparłam też podbródek, zerkając na swojego najstarszego brata najniewinniej, jak potrafiłam.

– Powiedział mi też, jak na nią zareagowałaś.

– Vince – zaczęłam, chyba pierwszy raz w życiu zwracając się do niego jego imieniem, i to jeszcze zdrobnionym. Starłam się, by mój głos zabrzmiał sensownie i rzeczowo. Wiedziałam, że aby osiągnąć taki efekt, powinnam kontrolować swoje emocje, ale niezwykle trudno było mi ostudzić przejęcie.
– Tamten chłopak leżał i nie potrafił się bronić. Tony nie miał dla niego litości, nawet gdy z nosa poleciała mu krew!

Vince patrzył na mnie przez chwilę w ciszy, a potem zaczął pocierać sobie podbródek.

– Nie twierdę, że teren szkoły to właściwe miejsce na załatwianie takich rzeczy, a Tony zdecydowanie ma problem z agresją. Z całą pewnością powinien być lepiej nad sobą panować. Jeszcze będę mu o tym przypominał – obiecał. – Natomiast jestem tutaj, bo chciałbym wyrazić się jasno, że życzę sobie, żebyś w przyszłości trzymała się z daleka od takich incydentów. A już na pewno nie rzucała się w samo ich centrum. Nieważne, czy któryś z twoich braci bierze w nich udział, czy nie. To jest po prostu niebezpieczne.

– Ale...

– To nie była prośba.

– Ale to przecież poważna sprawa! Jeśli ja kogoś pobiję, to też machniesz na to ręką?

Oczy Vincenta pociemniały.

– Nie, nie machnę na to ręką, możesz być tego pewna, droga Hailie. A teraz obniż, proszę, ton i zrozum, że nie próbuję być złośliwy. Nigdy, cokolwiek by się działo, nie mieszaj się w sprawy swoich braci. Zarówno w szkole, jak i poza nią.

– Czyli co, następnym razem po prostu mam stać i się przyglądać?

– Najlepiej się oddalić.

Skrzywiłam się sfrustrowana i spojrzałam w bok.

– Hailie, posłuchaj mnie uważnie – kontynuował Vincent. Wstał z tą swoją elegancją nie do podrobienia. Gdy patrzył na mnie z góry, efekt jego słów zyskiwał na mocy. – Obracamy się w takim, a nie innym świecie, dlatego nie mogę ci zagwarantować, że czyny twoich braci zawsze będą dla ciebie przykładem, niestety. I żebyśmy mieli jasność... nie chciałbym być w twojej skórze, gdybym dowiedział się, że sama dobrowolnie wzięłaś w jakimś incydencie udział.

Czy takie słowa można już uznać za groźbę? Czy moje rodzeństwo nie potrafi normalnie rozmawiać? Jedyne, na co zdobyłam się po tej przemowie Vincenta, to odpowiedź rzucona na wpeł zachrypniętym z emocji głosem:

– Nie biorę udziału w bójkach. I w tej też nie wzięłam! To Tony zbił jakiegoś chłopaka na przerwie; jakim cudem to ja za to obrywam? I co w ogóle oznacza ta wzmianka o świecie?

Vince przechylił lekko głowę, jakby zafascynował go fakt, że w ogóle śmiem ciągnąć tę rozmowę.

– Tłumaczę ci, że Tony nie jest twoim zmartwieniem. Jestem tutaj, żeby wyjaśnić tę sytuację z tobą, tylko i wyłącznie. Gdybyś zrobiła coś, za co powinnaś, jak to określiłaś, oberwać, to nasza konwersacja wyglądałaby inaczej, zapewniam cię. Czy to, co mówię, jest dla ciebie jasne?

Zacisnęłam mocniej palce na oparciu krzesła, dyskretnie biorąc głęboki wdech. Jeśli Vincent naprawdę był taki spostrzegawczy, na jakiego

wyglądał, to zauważył na pewno, ile kosztowało mnie opanowanie emocji. Przy odrobinie szczęścia może nawet doceniał moje wysiłki.

– Jasne – rzekłam wreszcie. Miałam, rzecz jasna, dużo zastrzeżeń do słów Vincenta, ale rozmowy z nim były nieprzyjemne, a ja wiedziałam, że szybciej skończymy, jeśli postawi na swoim. Nie myliłam się, w jego oczach mignął ślad aprobaty.

– Cieszę się, że wreszcie się zrozumieliśmy. Czy masz coś jeszcze do dodania? – zapytał, zerkając jednocześnie na białą tarczę zegarka na swoim nadgarstku.

– Uh, właściwie to tak – szepnęłam. Na chwilę zapomniałam o sprawie swojej komórki, ale właśnie sobie o niej przypomniałam i może nie był to dobry moment, żeby o niej napomknąć, ale czułam, że lepszego nie będzie. –

Zepsuł mi się telefon. Tak mówię, w razie gdybyś, nie wiem, próbował się do mnie dodzwonić. Wiesz... – Wydałam z siebie jakby zniekształcony nerwowy chichot. – ...jak coś, to nie odbiorę.

Vince uniósł brew, a wtedy ja westchnęłam znowu.

– To moja wina, sama go zepsułam – przyznałam się. – Upadł mi, ale to było niechcący, naprawdę, nie wiem jak...

– Mhm, już, już. Wiem o tym. Chłopcy mi przekazali.

Zbliżył się do krzesła, na którego oparciu wciąż wisiałam, i spojrzał na mnie z góry, a w jego oczach zamajaczyła łagodność, której doszukałam się u niego po raz pierwszy od początku naszej dzisiejszej rozmowy. Drgnęłam pod jego dotykiem, gdy dwoma palcami uniósł lekko mój podbródek. Akurat na jednym z nich lśnił jego mroczny sygnet.

– Hailie, nigdy więcej nie przejmuj się takimi błahostkami.

Wpatrywałam się w niego zaskoczona, gdy odchodził, a on jeszcze na chwilę zatrzymał się z dłonią na klamce.

– Mam dla ciebie nowy telefon. Zejdź do kuchni na kolację, to ci go przekażę.

I wyszedł.

Podsumujmy to. Dostałam reprimendę za próbę ocalenia poturbowanego chłopaka, którego chciałam uchronić przed poważniejszym uszkodzeniem

przez mojego agresywnego brata, ale za to, że przez swoją nieuwagę zniszczyłam telefon komórkowy, już nie?

Odwróciłam się z powrotem do biurka, wreszcie pozwalając swoim plecocom spocząć na oparciu krzesła. Przejechałam sobie nawet dłonią po twarzy, pocierając trochę oczy. Dlaczego wszystkie rozmowy z Vincentem musiały być tak wielowarstwowe, nieprzewidywalne i skomplikowane? Nie do tego mnie przyzwyczajono przez piętnaście lat mojego życia. Zasady mojej mamy, na przykład, były oczywiste, a kary za ich nieprzestrzeganie proste i logiczne. Dzięki temu zawsze wiedziałam, kiedy mam kłopoty i jakiej reakcji mamy mogę się mniej więcej spodziewać. Z Vincentem natomiast to była wieczna gra w ruletkę.

Nie chcąc zirytować swojego opiekuna ani przegapić obiecanego telefonu, punktualnie w porze kolacji zesłam na dół. Uprzednio pożegnałam się ze swoją zniszczoną komórką i schowałam ją do szuflady, nie mając serca, by ot tak wyrzucić do kosza podarunek od mamy.

W kuchni zastałam tylko Vince'a. Siedział przy stole i wyglądał na tak samo zmęczonego jak jeszcze kilka chwil temu. Popijał sobie w spokoju herbatę i przewijał palcem strony na tablecie, a na blacie naprzeciwko niego stało małe białe pudełko.

Z kanapką od Eugenie zajęłam swoje miejsce, odsuwając to pudełko nieco na bok, ale nie za daleko, i zerkając na nie z zaciekawieniem. Już po samym opakowaniu można było wywnioskować, że to nie byle jaki model. Przez chwilę obracałam w dłoni kromkę, walcząc ze sobą, by nie zachować się jak narwane dziecko i cierpliwie doczekać do końca kolacji, by rozpakować nowy gadżet, ale szybko przegrałam wewnętrzny pojedynek. Odłożyłam kanapkę na talerz i złapałam pudełko w rękę, upewniając się jeszcze u Vincenta:

– To dla mnie, tak?

Mój brat uniósł na mnie wzrok, mrugnął, po czym skinął głową, jakby odpowiedź na moje pytanie była oczywista. Tak, to był podarunek dla mnie i zawierał najnowszy model telefonu. Dopracowany do perfekcji, przynajmniej wizualnie. Jego kolor został opisany przez producenta jako srebrzysty granit skąpany w świetle gwiazd, czy coś w tym stylu. Urządzenie było płaskie i lekkie, ale nie za lekkie, by nie sprawiać wrażenia podróbki

albo chińskiej zabawki. Rety, aż bałam się trzymać telefon w dłoni, a jednocześnie pragnęłam poznać wszystkie funkcje, które miał do zaoferowania, teraz, zaraz. Wzięłam go w rękę, patrząc na brata.

– Wow – szepnęłam.

Zerknął na mnie i podarował mi swój firmowy uśmiech, który miałam przyjemność oglądać niebywale rzadko.

Vince się uśmiechał.

Podwójne wow.

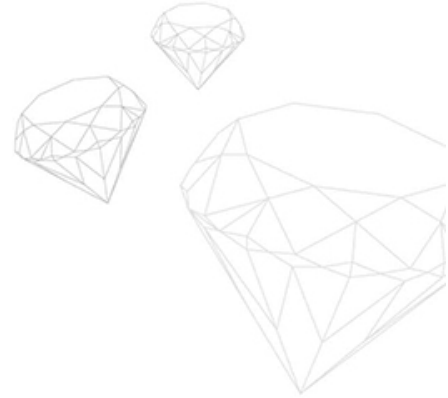
W nagłym przypływie śmiałości, o którą bym sobie nie podejrzewała, ostrożnie odłożyłam telefon z powrotem do pudełka i wstałam. Słyszając szurnięcie mojego krzesła, Vincent uniósł głowę i zobaczyłam, jak już otwiera usta, by skomentować to, że jak ja w ogóle mam czelność wstawać od stołu, podczas gdy nawet nie ruszyłam kolacji, ale zamknął je, gdy zobaczył, że tylko okrążam mebel po to, by stanąć obok niego. Nie uszło mojej uwadze, że się spiął, no bo kto to widział, by młodsza siostra naruszała jego prywatną sferę.

Zaplotłam rękę wokół jego ramion.

– Dziękuję – szepnęłam mu do ucha, ignorując bijący od niego chłód, a nawet uścisnęłam go mocniej. Dziwne to było uczucie – jakbym przytuliła nadmorską skałę albo martwy konar drzewa. Poza tym, że konary nie odwzajemniały takich uścisków, a Vince to zrobił, i wcale nie musiałam długo na to czekać. Objął mnie i poklepał leciutko po plecach.

– Proszę.

To był dzień, kiedy po raz pierwszy przytuliłam Vince'a, i poczułam, że nasza siostrzano-braterska więź odrobinę się zacieśnia.



7

Anioł

Lubiłam swoje idealnie proste włosy. I choć kiedyś często marudziłam, że chciałabym mieć bujne loki, to przynajmniej to, co miałam na głowie, mogłam łatwo kontrolować. Moja uporządkowana fryzura współgrała z dopasowanym mundurkiem. Któregoś dnia zabrałam sobie nawet żelazko do pokoju, żeby zawsze mieć pewność, że moje koszule pozbawione są wszelkich zmarszczek. Wiązanie krawata opanowałam zaś do perfekcji dzięki tutorialom na YouTube.

Za każdym razem, gdy wyszykowana już do szkoły rzucałam ostatnie kontrolne spojrzenie w lustro przed zejściem na śniadanie, wyobrażałam sobie, jak moja mama zareagowałaby na mój widok. Pewnie najpierw zmrużyłaby oczy, żeby lepiej widzieć (wiecznie odkładała wizytę u okulisty), potem pokręciłaby głową, a następnie gwizdnęła żartobliwie. Zawołałaby coś żenującego, coś, co tylko mamy potrafią powiedzieć swoim dzieciom, gdy są pod ich wrażeniem. A następnie otworzyłaby szeroko ramiona i uważając, by mnie nie rozczochrać ani nie pognieść mi marynarki, przyciągnęłaby mnie czule do siebie.

Wtedy czym prędzej opuszczałam sypialnię w obawie, że moje fantazje pójdą za daleko i oczy zajdą mi łzami. Już kilka razy tak się stało i walka

z doprowadzeniem do ładu spuchniętej od płaczu twarzy była zbyt czasochłonna, by pozwalać sobie na takie chwile słabości.

W kuchni śniadanie do połowy jadłam w samotności. Tam przeważnie witała mnie w biegu Eugenie, która o tej porze pędziła wstawić pierwsze pranie. W zlewie niemal za każdym razem stał kubek z motywem *Gwiezdnych wojen*, który należał do Vincenta, dowodząc, że mój najstarszy brat był na nogach pierwszy z rodzeństwa. On albo Will, który często wracał z porannego biegu na krótko po tym, jak z góry staczali się zaspani bliźniacy. Czasem też miałam nieprzyjemność natknąć się na Dylana, który przynajmniej trzy razy w tygodniu wstawał wcześniej niż ja, a nawet Will tylko po to, żeby poćwiczyć w siłowni.

Moim skromnym zdaniem braciom Monet nie mogła odnaleźć się siostra wygodniejsza w obsłudze niż ja. Nie musieli pilnować, żebym odrabiała lekcje, bo sama to sumiennie robiłam. Nie zajmowałam im kanapy ani telewizora, bo zwyczajnie nie miałam ochoty walczyć z nimi o konsolę albo pilota, z góry i tak zakładając, że bym przegrała. Nie wyjadałam im przekąsek, bo od jakiegoś czasu nie miałam w ogóle apetytu i musiałam w siebie wmuszać nawet podstawowe posiłki. Nie zadawałam zbyt wielu pytań, spodziewając się, że jak zwykle nie dostanę wyczerpujących odpowiedzi. A gdy płakałam, to robiłam to w zaciszu własnej sypialni, i to późnymi wieczorami, więc nie musieli czuć się winni, skrupowani albo zażenowani. Co tu więc dużo mówić – była ze mnie siostra idealna.

Wkrótce moi bracia przekonali się jednak, że ideały nie istnieją.

Okazało się, że w poniedziałki i środy Shane miał po lekcjach treningi bokserskie, a ja wtedy zwykle stałam przed wyborem, żeby albo na niego zaczekać, albo wrócić do domu z Dylanem i Tonym, jeśli akurat tego dnia przyjechali takim pojazdem, do którego bym się z nimi zmieściła. Motocykl oczywiście odpadał, ale ostatnimi czasy coraz częściej padało i Tony z coraz mniejszą chęcią sięgał po kask.

Ustaliłam z Shane'em, że na czas treningów będę chodziła do biblioteki. Stokroć bardziej wolałam zaszyć się między regałami książek niż znosić towarzystwo swoich dwóch najwredniejszych braci w tak małej, zamkniętej przestrzeni jak samochód. Poza tym szkolna biblioteka miała jedną bardzo ważną przewagę nad tą w Rezydencji Monetów – marne były szanse, że

wpadnę w niej na Vincenta. Tutaj, przez jedną godzinę lekcyjną, mogłam rozkoszować się wolnością.

Zwykle zasiadałam do odrabiania zadań domowych, pisałam recenzje na bookstagrama albo szukałam ciekawych książek do wypożyczenia. Dzisiaj skupiłam się na tej pierwszej czynności i usiadłam na swoim ulubionym miejscu, przy ławce skrytej pomiędzy szeregiem wysokich regałów pełnych przestarzałych, zapomnianych książek. Były to w większości grube tomiszczą o tematyce zbyt skomplikowanej dla licealistów, dlatego przeważnie nikt się tu nie zapuszczał, dzięki czemu miałam spokój.

Tego dnia jednak ktoś tu zajrzał i tak rozpoczął się ciąg kłopotów, w które wpadłam.

W tej konkretnej alejce, w której siedziałam sobie samotnie, zjawił się pewien chłopak. Kojarzyłam go z niektórymi zajęciami, więc wiedziałam, że jest z mojego rocznika. Wydawało mi się, że mogłam mieć z nim matematykę, ale byłam też pewna, że chodziliśmy razem na francuski, a to dlatego, że pamiętałam, jak ostatnio był odpytywany i – krótko mówiąc – nie zabłysnął.

Starałam się skupić na swoim zadaniu, ale nie mogłam powstrzymać się przed zerkaniem na chłopaka. Nie pamiętałam, jak mu na imię, i z jakiegoś powodu bardzo chciałam sobie przypomnieć. Z wielką uwagą szukałam czegoś na półce, na której leżały jakieś opasłe tomiska, po które nikt nigdy nie sięgał. A on właśnie przesunął palcem po zakurzonej grzbiecie jednej z najgrubszych książek.

– Hm – mruknął do siebie, a ja coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że bynajmniej nie znalazł się tu po to, by wybrać sobie lekturę.

Postanowiłam go zignorować i skupić się na rozwiązywaniu równań, ciągle jednak byłam świadoma jego obecności. Wreszcie najwyraźniej znudził się swoją grą aktorską, bo nagle usłyszałam, jak mówi:

– O, hej.

Wywróciłam oczami, ale pohamowałam się, bo byłam zbyt uprzejma na takie gesty, więc tylko zerknęłam na niego i uśmiechnęłam się kulturalnie. Przynajmniej wreszcie mogłam otwarcie mu się przyjrzeć.

– Hej.

Z wyglądu przypominał anioła. I wiem, że brzmi to żałośnie podniosłe, ale wcale nie chodzi mi o to, że był jakoś nadnaturalnie przystojny. Po prostu z tymi jasnymi włosami, układającymi się w urocze loczki, okrągłymi oczętami i dołeczkami w policzkach brakowało mu tylko skrzydeł i aureoli. Jako dziecko musiał być przesłodki. Wyobrażałam sobie, że na jego widok dorosłym zawsze miękły serca. Pewnie zawsze dostawał to, czego chciał, a teraz, będąc już nastolatkiem, nadal nie zapominał o swoich atutach.

– Ty jesteś... Hailie, nie? – zagadnął, wskazując na mnie obydwoma palcami wskazującymi i przymykając jedną powiekę, jakby te gesty miały mu pomóc wyszukać moje imię w pamięci.

Skinęłam głową.

– Tak właśnie myślałem. Mamy razem francuski. Jason jestem, może kojarzysz.

– Kojarzę.

– Super – skwitował wyraźnie zadowolony. – Szukałem właśnie, wiesz, książki.

– Jakiej? Może pomogę – zaoferowałam, obracając w rękę długopis.

Jason machnął ręką.

– Nie ma jej tu.

Pokiwałam znowu głową, powstrzymując się przed parsknięciem.

– Ale dobrze się składa, że na ciebie wpadłem. – Skrzyżował ręce na piersi i oparł się bokiem o regał. Irytował mnie jego poluzowany krawat.

– Czemu? – zapytałam, unosząc brew, ale i uśmiechając się lekko, bo chłopak nawet trochę bawił mnie tą swoją gadką. No i tylko dwa razy obrócił głowę, by sprawdzić, czy ktoś, na przykład jeden z braci Monet nie czai się za jego plecami. Może. A może to wcale nie dlatego zerkał za siebie, trudno powiedzieć. Istnieje możliwość, że to ja byłam zbyt przewrażliwiona.

Moje rozbawienie chyba dodało Jasonowi śmiałości, bo kąciki jego ust podniosły się jeszcze wyżej.

– To ty ostatnio dostałaś na jednej lekcji aż trzy plusy za aktywność, prawda?

Tak, to ja.

– Hm, no może, a co?

– Dobra jesteś.

– Ty chyba nie bardzo.

– Nie mam talentu do języków obcych.

– Ani do matmy? – spytałam znowu kąśliwie, przypomniawszy sobie, że w rzeczy samej chodziliśmy też razem na matematykę i, cóż, tam także nie bryłowałam. Szybko się jednak zreflektowałam, widząc jego zaskoczoną minę.
– Przepraszam, to było chamskie.

– Ale w sumie prawdziwe. – Wzruszył ramionami, po czym się ożywił. – Słuchaj, Hailie, chodzi o to, że pani Dubois powiedziała mi, że muszę się ogarnąć i bla, bla, bla, nie zostawiać wszystkiego na ostatnią chwilę.

Pokiwałam głową, wcale niezaskoczona.

– A wiesz, średnio ogarniam ten francuski. Umiem powiedzieć, że lubię ser, i to w sumie byłoby na tyle.

Zachichotałam.

– Naprawdę – ciągnął coraz odważniej, widząc, że się śmieję i połykam jego haczyk. – *J'aime le fromage*. Widzisz?

– Brawo, ale musisz popracować nad akcentem.

– Wiem, dlatego potrzebuję pomocy. Pomożesz mi, co, Hailie?

Moja mina od razu zrzedła, a oczy rozszerzyły się trochę, jakby Jason właśnie poprosił mnie o ukrycie ciała pani Dubois, którą zamordował za postawione mu minusy.

– Co? Eee, no nie, przykro mi, ja nie...

– No proszę, proszę. – Jason złożył ręce jak do modlitwy.

– Nie mogę, ja...

– Proszę. – Zamrugnął błagalnie.

– Ja...

– Proszę! – zawołał, tym razem do swojej pozy dorzucając lekki uśmiezek, który pogłębił te cholerne dołeczki w jego cholernych policzkach.

A potem jeszcze dodał: – Jesteś moją jedyną nadzieją, inaczej będzie po mnie.

Wtedy tak tego nie analizowałam, ale gdybym odmówiła, to nic absolutnie by się nie stało, bo po pierwsze, wcale nie byłam jego jedyną nadzieją, a po drugie, wcale nie byłoby po nim. Po prostu zdecydował się nadać swoim prośbom nieco dramaturgii, żebym w końcu się zgodziła, i wstyd się przyznać, ale to naprawdę zadziałało.

– Z czym potrzebujesz pomocy? – zapytałam, wzdychając i odkładając długopis na blat.

Jason rozłożył ręce z triumfalnym uśmiechem błakającym mu się po ustach.

– Ze wszystkim.

– Okej, słuchaj, możemy umówić się tutaj na przykład na środę, chyba że wolisz przyszyły ponie... Co jest?

– W jedną środę nie stanę się geniuszem.

W ogóle nim nie będziesz. To sobie pomyślałam, ale nie wypowiedziałam tych niemiłych słów na głos. Zamiast tego rozłożyłam ręce, a wtedy Jason zaczął sugerować regularne spotkania i nie wiem, jak to się stało, ale ostatecznie umówiłam się z nim na korepetycje dwa razy w tygodniu. Dwa razy w tygodniu! Celowo wybraliśmy dni i porę, kiedy Shane był na treningu, a pozostali bracia Monet poza terenem szkoły i dopiero potem zaczęłam się zastanawiać, czy zasada „żadnych chłopców”, którą moi bracia zdawali się tak pieczołowicie wyznawać, obowiązywała także w tym przypadku. W końcu spotkania moje i Jasona to miała być tylko koleżeńska pomoc. Nie zamierzałam paść mu w ramiona, a jednak miałam nieodparte wrażenie, że mojemu rodzeństwu ten układ by się nie spodobał. Wiedzioną tym przeczuciem zdecydowałam o niczym im nie mówić. Nie czułam się winna, bo nie robiłam nic złego. Nawet przecież nikomu nie skłamałam. Chodziłam do biblioteki, tak jak zostało ustalone, i się tam uczyłam. Po prostu dodatkowo towarzyszył mi w tym kolega z zajęć...

Trwało to ze trzy tygodnie. W tym czasie odkryłam, że zaczęłam czerpać ze spotkań z Jasonem dużo przyjemności. Do tego stopnia, że nawet po cichu ich wyczekiwałam. Po raz pierwszy w życiu tak na poważnie zakolegowałam się z chłopakiem. W swoim starym życiu byłam zbyt nieśmiała, by zwrócić

na siebie czyjaś uwagę, a nawet gdy już tak się stało, to nie potrafiłam tej uwagi utrzymać. Wolałam czytać książki i wyobrazać sobie, że ktoś zainteresuje się mną ot tak, przypadkiem, jak to było opisywane w fabule najbanalniejszych niewinnych romansów dla młodzieży. Ale najlepiej było mi w ogóle o tym nie myśleć. W końcu przecież książki są o niebo lepsze od chłopaków. Przed nimi nigdy się nie zbłąźniałam, nigdy nie były dla mnie niemiłe i zawsze poprawiały mi humor.

Gotowa byłam zmienić zdanie, bo Jason dawał mi coś, czego teraz bardzo potrzebowałam, a czego nie miałam za wiele: uwagę. Taką prostą i niewymuszoną. Nie mogła równać się z tą miłą na razie znajomością, jaka kiełkowała sobie powoli między mną a Moną i Audrey. Dziewczyny w końcu znały się i przyjaźniły od dawna, a ja, mimo iż były wobec mnie w porządku, czułam się czasami jak piąte koło u wozu. Nie miałam nic do powiedzenia, gdy wspominały wydarzenia z przeszłości, w których nie brałam udziału. Nie czułam się też gotowa, by spotykać się z nimi poza szkołą. Wymagałoby to wcześniejszych ustaleń z braćmi, a ja wciąż unikałam niepotrzebnych kontaktów z nimi, zwłaszcza jeśli miałam ich facytować prośbami o podwózki, co – zważywszy na to, że mieszkaliśmy w środku lasu – byłoby konieczne, gdybym zaplanowała sobie jakieś wyjście.

Z Jasonem natomiast wszystko było jakieś takie prostsze. Polubił mnie, o czym wiedziałam, bo mówił o tym otwarcie, a ja tylko się rumieniłam, bo w głębi duszy ja także go polubiłam. Nie przeszkadzało mi nawet, że był wyjątkowo opornym uczniem. Non stop musiałam walczyć o jego skupienie podczas swoich wykładów z francuskiej gramatyki. Nie chciało mu się też wkuwać słownictwa, a ja udawałam, że robię mu z tego powodu wyrzuty, ale tak naprawdę nie miałam nic przeciwko, gdy tematy naszych rozmów schodziły ze szkolnych na te bardziej prywatne.

Któregoś dnia siedzieliśmy wciśnięci w swój ulubiony kątek, otoczeni książkami i zapachem papieru. Ze zmarszczką między brwiami przyglądałam się jego testowi, z którego dostał marną tróję. Z minusem.

Westchnęłam.

– Czy ty się w ogóle czegokolwiek ze mną nauczyłeś?

– No jasne, hej, przecież zdałem – odparł.

Spojrzałam mu uważnie w oczy, by przyłapać go na nieszczerości, ale on zdawał się mówić prawdę. Co więcej, był w ogóle niezainteresowany ponownym przerobieniem materiału, który ledwo udało mu się zaliczyć. Nawet nie chciał słyszeć o poprawce. To wtedy mniej więcej zrozumiałam, że Jasonowi w ogóle nie zależało na ocenach.

– Myślisz, że gdybyśmy usiedli razem na lunchu, to twoi bracia mieliby coś przeciwko? – zagadnął znienacka, bezlitośnie mnąc ten swój nędzny sprawdzian, który oddałam mu do ręki.

– Moi bracia? – powtórzyłam głupio, jakbym po raz pierwszy usłyszała o tym, że mam rodzeństwo.

– No, bracia Monet.

– Yyy, no... – zawahałam się i zagryzłam wargę. – Nie wiem. Możliwe. Chyba... chyba nie byliby zadowoleni.

– Kurczę, to trochę przerąbane... że gdybym chciał spędzić z tobą więcej czasu, tobym nie mógł.

Serce zabiło mi mocniej na jego słowa. Przez chwilę miałam ochotę zacisnąć palce na jego marynarce i obiecać, że to nie problem i że w ogóle to możemy zaaranżować jakieś dodatkowe spotkania, ale rozsądek wygrał. Wiedziałam, że skoro nie czułam się na tyle komfortowo, by poprosić braci o podwózkę na spotkanie z dwoma kumpelami ze szkoły, to nie było szans, bym wywalczyła czas z kolegą, który moi bracia z automatu zapewne potraktowaliby jako randkę.

– Lepiej, żeby nie wiedzieli, że się widzimy – zarządziłam zdecydowanie. – Dla mojego dobra, no i twojego.

Tym akcentem zakończyłam rozmowę na temat swojego rodzeństwa. Wtedy też zastanowiłam się, co by się tak naprawdę stało, gdyby ktoś nas nakrył. Nie widywaliśmy się często, jedynie dwa razy w tygodniu od niecałego miesiąca. Biblioteka zdawała się bezpiecznym terytorium, naturalnie otulonym aurą dyskrecji. Tak mi się wtedy wydawało.

Zawiedzionemu, ale i rozumiejącemu, jak trudna jest nasza sytuacja, Jasonowi wystarczała więc częsta wymiana wiadomości. Na tyle często, że z ostrożności wpisałam go na listę kontaktów jako „Jenny z francuskiego”, żeby żaden z moich braci nie podejrział przypadkiem, że piszę z chłopakiem.

Nawet chyba nie znałam żadnej Jenny, ale to nieistotne. Ważniejszy był uśmiech na mojej twarzy i ciepło w sercu, jakie powodowało każde słowo wystukane przez tego chłopaka. A ileż to razy musiałam ukrywać rozbawione parsknięcia na widok memów, które mi wysyłał! Szybko się od takiego stanu rzeczy uzależniłam, mimo iż na ogół rozmawialiśmy o samych głupotach, bo długo nie otwierałam się przy nim na poważniejsze tematy.

Zmiana nastąpiła po wydarzeniu, które miało miejsce w jeden z późnych wieczorów w tygodniu. To musiał być wtorek, bo nazajutrz na pewno odbyło się jedno z moich spotkań z Jasonem, podczas którego wreszcie wyjawiałam mu to, co stanowiło czubek góry lodowej moich obaw.

Szłam do kuchni po szklanek wody na noc. Zwykle pilnowałam, żeby mieć przy sobie butelkę z filtrem, ale tym razem musiałam zostawić ją w szkolnej szafce lub samochodzie, dlatego wyszłam na ponury, słabo oświetlony korytarz i cichutko stawiając kroczek za kroczkiem, kierowałam się w stronę schodów. Wtedy go zobaczyłam.

Tony szedł w szybkim tempie z naprzeciwka, ze skrzydła pracowniczego. Jego brwi były zmarszczone, a dłonie zaciskały się w pięści. Wyglądał na groźnego i poirytowanego. Można by rzec, że groźny i poirytowany Tony to nic nowego. Tym razem jednak moją uwagę przykuła jego zaczerwieniona kość policzkowa oraz koszula. Jasna rozpięta koszula odkrywająca jego umięśniony brzuch i kolejne tatuaże. Koszula, która miejscami umazana była czymś bordowym.

Żałowałam, że nie żyję w kreskówce, wtedy bez problemu mogłabym założyć, że to zaschnięty keczup, tymczasem po całym moim ciele rozbiegły się ciarki grozy. Gdy się zbliżył, zobaczyłam, że jego koszula była na w pół rozpięta, a na w pół rozerwana. Na twarzy jednak oprócz zaognionego policzka i widocznej wściekłości nie nosił więcej śladów bójki. W ogóle nie widziałam u niego żadnej poważnej rany oprócz kilku zadrapań i – jak się okazało – poranionych kłykci.

Przez chwilę czułam, że powinnam go zapytać, co się stało. Może coś poważnego i potrzebował pomocy. Jednakże im dystans między nami się zmniejszał, tym bardziej udzielała mi się promieniująca od niego niechęć, dlatego ostatecznie nie odezwałam się ani słowem.

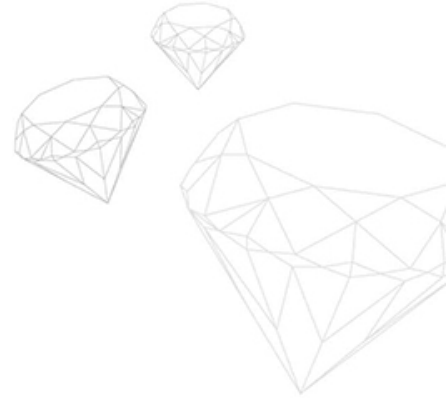
Wkroczyłam na schody, modląc się, by Tony zmierzał prosto do swojej sypialni. Zrozpaczona zacisnęłam powieki, gdy usłyszałam jego głośne kroki tuż za swoimi plecami. Jednak szedł na dół. Szedł za mną. Instynktownie przyspieszyłam, choć w głowie krzyczałam na siebie, żeby zachowywać się naturalnie. Cóż, chyba nic na to nie mogłam poradzić, bo przecież wyraźnie wściekły, wielki chłop w prawdopodobnie zakrwawionej koszuli deptał mi po piętach. Miałam prawo trochę spanikować.

Gdy był tuż za mną, noga ześlizgnęła mi się ze stopnia. Straciłam równowagę, nie zdążyłam złapać się barierki i runęłam w dół. Serce podeszło mi do gardła i już tylko czekałam na uderzenie o podłogę oraz ból, które jednak nie nastąpiły. Zamiast tego na ramieniu poczułam mocny uścisk. Taki, który zapewne pozostawi siniaka, ale będącego niczym w porównaniu z tym, czego bym się nabawiła, spadając ze schodów. Tony przytrzymał mnie ręką, na której miał ten swój upiorny tatuaż, i przez ułamek sekundy, z sercem uderzającym szaleńczo w piersi, patrzyłam w puste oczodoły tuszowej czaszki. Zanim jednak zdążyłam unieść wzrok i spojrzeć bratu w twarz, on już mnie puścił i wyminął.

– Patrz pod nogi – warknął, po czym zniknął w kuchni.

Prawie wisiałam teraz na poręczy, chwytając się jej tak desperacko, jakbym stała właśnie nad przepaścią. Przestraszyłam się upadku i Tony'ego, a to było dla mnie za wiele, więc odetchnąwszy głęboko, żeby się uspokoić, zdecydowałam, że tak naprawdę wcale nie potrzebuję tej wody na noc. Przecież do jutra nie wyschnę.

Kiwnęłam do siebie głową, jakby przyklaskując sobie tej decyzji, a potem powoli, wciąż wiernie trzymając się poręczy, zawróciłam i wspięłam się z powrotem na górę. Gdy zamknęłam za sobą drzwi sypialni, opadłam miękko na podłogę obok łóżka i wplątałam palce we włosy. Miałam ochotę krzyknąć.



8

Imperium

Tony słowem się do mnie nie odezwał, by wyjaśnić sytuację z poprzedniego wieczora. Nie żeby mnie to zdziwiło, bo przecież to już stało się tradycją, że unikał nawiązywania ze mną jakiegokolwiek kontaktu. Tym razem mógłby jednak uznać, że należy mi się chociaż najogólniejsze wytłumaczenie. Żebym nie musiała się martwić, że żyję pod jednym dachem z psychopatą. Albo z piątką psychopatów.

Takie myśli zaczęły mi bardzo ciążyć i jestem pewna, że odpowiadały za przynajmniej kilka migren, które mnie w ostatnim czasie męczyły. Zdecydowałam więc, że wreszcie nadszedł czas, by z kimś o tym porozmawiać, wyzalić się i nieco sobie ulżyć. Niestety, gdy przeprowadziłam w myślach mały casting na najodpowiedniejszego słuchacza, nie wygrał nikt.

Moi bracia odpadli już w pierwszej rundzie. Dylan i Tony nawet nie zdążyli wystartować. Mona i Audrey to zaś tylko koleżanki. Gdybym zaczęła opowiadać im o zakrwawionych koszulach, mogłyby nie przyjąć tego dobrze. Pewnie przerażyłyby się i powtórzyły to swoim rodzicom, a ja trafiłabym do rodziny zastępczej. U moich braci może i nie panowała przytulna, rodzinna

atmosfera jak z reklamy, ale nie wiem, czy przeżyłabym kolejne przeprowadzki i poznawanie nowych opiekunów prawnych.

Dlatego ostatecznie o tym, co się wydarzyło, opowiedziałam Jasonowi. On też nie był najodpowiedniejszym kandydatem, ale przegrał jako ostatni, więc wybrałam jego i po prostu zdecydowałam, że nie będę zbyt wchodzić w szczegóły. Po prostu nakreślę mu sytuację...

– Ja nie wiem, czy on się znowu z kimś pobił, czy co – mówiłam, wpatrując się w swoje dłonie. – Może to dla niego normalka, że chodzi po domu w zakrwawionych ciuchach...

– Może to była farba? Wiesz, może coś malował? – zachichotał Jason. Reagował na moją opowieść z o wiele mniejszym przejęciem, niż oczekiwałam. – No co? Podobno jest dobry w te... artystyczne sprawy. Słyszałem, że sam zaprojektował sobie te kozackie tatuaże.

– Ta koszula była porwana! – podkreśliłam, po czym zmarszczyłam brwi. – Chwila, naprawdę sam je zaprojektował?

– No! Nieźle mu wyszło. – Jason pokiwał głową. – A co do porwanej koszuli, to może pozowała mu jakaś dziewczyna, z którą potem wylądował w łóżku, co ty na to?

Posłałam mu kwaśne spojrzenie. Z jednej strony głupie pomysły Jasona mnie irytowały, bo umniejszały powagę sytuacji, która była dla mnie naprawdę realnym problemem, jednak z drugiej jego luźne podejście trochę mnie uspokajało.

– Wyglądał na wściekłego – dodałam.

– Może seks był słaby.

Patrzyłam na Jasona przez dłuższą chwilę, po czym parsknęłam śmiechem. Może tego potrzebowałam. Śmiechu. Cieszyłam się też, że znalazło się jakieś wytłumaczenie zachowania Tony'ego. Nawet jeśli było beznadziejne, bezsensowne i mało prawdopodobne, to wolałam wierzyć w nie niż w wersję z krwią i kolejną bijatyką.

Gdy już zaczęłam rozmawiać z Jasonem o swoich braciach, to trudno mi było przestać. Desperacko potrzebowałam wyzalić się komuś, opowiedzieć o życiu z piątką mojego nowego, podejrzanego rodzeństwa i – och, Boże – ależ to była ulga tak zwyczajnie ich poobgadywać.

– Mona i Audrey powiedziały mi kiedyś, że o moich braciach krążą różne plotki – oznajmiłam. – Wiesz może... jakie?

– Mam uwierzyć, że nie pociągnęłaś ich wtedy za język?

– Nie chciałam się przyznawać, że wiedzę o własnym rodzeństwie muszę czerpać od przypadkowych osób – wyznałam, oplatając się ramionami. – To trochę upokarzające, zwłaszcza że i tak cała szkoła wie o tym, że dopiero co ich poznałam.

Jason pokiwał głową, a nawet przysunął się bliżej i mnie objął, co było tak miłym gestem, że aż się rozluźniłam i dopiero poczułam, jaka spięta byłam przez cały ten czas.

– Czaję, to faktycznie lipna sytuacja – przyznał i odchrząknął. – Z Monetami jest tak, że nie wiadomo, w co wierzyć, a w co nie. To zawsze wygląda tak, że pojawia się plotka, ludzie nadmuchują ją do niewiadomych rozmiarów, a wtedy oni śmieją się im w twarz, nie potwierdzając jej ani nie zaprzeczając. To dlatego wszystko, co jest nimi związane, jest takie... tajemnicze. Całkiem nieźle to sobie ustawili.

– Ta, nieźle – westchnęłam i na chwilę przylgnęłam do boku swojego towarzysza. Może i odważyłabym się położyć mu głowę na ramieniu, gdyby nie odrzucający mnie zapach papierosów, którym przesiąknięty był kołnierz jego koszuli.

– A próbowałaś zrobić jakiś research? Wygooglować ich czy coś?

– Eee... no nie – zawahałam się, zanim przypomniałam sobie, dlaczego tego nie zrobiłam. – Nie chcę, żeby się dowiedzieli.

Wciąż pamiętałam, jak na samym początku mojego pobytu u Monetów Vince jeszcze tego samego dnia odkrył, że przeczesywałam internet w celu uzyskania informacji o prawie do posiadania broni. Z racji tego, że aktualnie używany przeze mnie telefon również dostałam od niego, obawiałam się, że jakimś cudem mógł mieć dostęp do wyszukiwanych przeze mnie treści, nawet jeśli nie korzystałam z wi-fi w domu.

– Mojej komórki raczej nie sprawdzą – zaśmiał się Jason, z figlarnym błyskiem w oku wyławiając z kieszeni swój telefon i machając mi nim przed twarzą. Następnie go odblokował i otworzył wyszukiwarkę internetową, a jego palec zawisł nad klawiaturą. – To co wpisać najpierw?

Przełknęłam ślinę i znowu się spięłam. Pełna obaw – tych realnych oraz tych wyssanych z palca – obejrzałam się wkoło, ale chyba nikt nas nie podglądał. Znajdowaliśmy się w perfekcyjnie ukrytym zakątku biblioteki, a gniazdko, które sobie tu uwiliśmy, było tak przytulne, że nie mogłabym wybrać lepszego miejsca do przeprowadzenia tego internetowego śledztwa.

– Vincent Monet – szepnęłam z mieszaniną ekscytacji i strachu. Czułam, jak na ramionach pojawia mi się gęsia skórka.

Palce Jasona posłusznie wstukały imię i nazwisko mojego brata.

Nie wiem, co spodziewałam się znaleźć, ale naszym oczom ukazała się lista artykułów. Pojedynczych artykułów, i to głównie takich biznesowych, z których jedyne, co rozumiałam, to że wpływy Vincenta bez przerwy i sukcesywnie się rozrastają. Do jednego z nich dołączono nawet zdjęcie mojego brata w czarnym garniturze i z typową dla siebie twarzą bez emocji, ściskającego rękę jakiegoś łysiejącego blondwłosego mężczyzny, na oko starszego od niego o dobre trzy dekady. Facet miał na sobie szary kraciasty garnitur, który przy eleganckim garniturze Vince'a wyglądał ekstrawagancko.

– Imperium – wymruczałam do siebie. Słowo to przyciągnęło moją uwagę, jako że kilka razy zostało powtórzone w różnych miejscach. Imperium Monetów. Moi bracia mieli imperium. Brzmiało to tak podniosłe, że znowu przeszły mnie ciarki.

– Może lepiej wpisać właśnie coś takiego? – podłapał Jason, widocznie zmęczony grzebaniem w powtarzających się artykułach o sukcesach młodego biznesmena. – Imperium Monetów.

Zmieniłam pozę, by wygodniej mi się siedziało, i oblizałam wargi, stresując się naszym małym dochodzeniem chyba nawet bardziej niż rozmowami z Vince'em i Tonym razem wziętymi.

– Pokaż ten, pokaż ten! – wyszeptalam gorączkowo, gdy wśród kolejnych podobnych artykułów wyskoczył taki, który informował o śmierci głowy rodziny Monetów.

Napisany był krótko i lakonicznie. Nie zawierał absolutnie żadnych szczegółów. Informował o wypadku samochodowym, wskutek którego Camden Monet poniósł śmierć na miejscu. Na zamieszczonym zdjęciu znajdował się zmiądzony samochód, jeden z tych sportowych. Napisano też notkę o tym, że w związku z tragedią kontrolę nad wszystkimi interesami

zmarłego przejmie jego najstarszy syn, Vincent Monet, a pomocną dłoń wyciągnie do niego młodszy brat i wspólnik Camdena, Montague „Monty” Monet. Na dole dopisano jakiś banał w stylu „Na zawsze pozostanie w naszych sercach”. Podobną inskrypcję wyryli mu zapewne na nagrobku. A potem Jason przewinął stronę jeszcze niżej, gdzie widniało czarno-białe zdjęcie mężczyzny, który był moim ojcem.

Nieświadomie wyjęłam telefon z rąk chłopaka, a on mi na to pozwolił, milcząc. Trzymałam komórkę obiema dłońmi, wpatrując się z bliska w fotografię. Wodziłam wzrokiem po twarzy pooranej już trochę zmarszczkami typowymi dla wieku średniego i chłonełam każdy jej szczegół. Ojciec wszystko miał ciemne – włosy, zarost i oczy. Uśmiechał się lekko, unosząc jeden kącik ust. Czasami moi bracia uśmiechali się podobnie i było coś takiego w tym mężczyźnie, co przypominało mi każdego z nich. A może wcale nie, ale tak tylko dopowiadał to sobie mój umysł, trudno stwierdzić. Camden Monet, mimo tej wyraźnej drwiny błędzącej mu po twarzy, miał też w rysach jakąś surowość. Coś takiego, przez co żołądek zacisnął mi się boleśnie.

– Hailie – szepnął Jason i gwałtownie wysunął zza mnie swoje ramię.

Podniosłam wzrok, od razu zawiedziona, bo ja naprawdę potrzebowałam tej bliskości, ale szybko zrozumiałam, dlaczego tak nagle postanowił mi ją odebrać i się ode mnie odsunąć. Wystarczyło, żebym spojrzała jeszcze wyżej, a dostrzegłam Shane’a, który stał jakieś trzy metry dalej i wpatrywał się prosto w nas.

Natychmiast oddałam telefon jego właścicielowi i zaczęłam niezdarnie się podnosić, zapominając w jednej chwili o zdjęciu ojca, które tak bardzo mnie poruszyło.

– Shane! – zawołałam zbyt piskliwie, przełykając jednocześnie ślinę. – Już po treningu?

Mordercze spojrzenie, jakim mój brat częstował Jasona, przeniosło się na mnie.

– Zwichnąłem nadgarstek.

Jedną ze swoich dłoni zaciskał wściekle w pięść, a drugą rzeczywiście owiniętą miał bandażem. Włosy miał rozczochrane i wilgotne, pewnie

jeszcze mokre od potu, a swoją czarną jesienną kurtkę zarzucił na sportowy strój.

– Och. To nic poważnego, prawda?

– Co ty do cholery wyprawiasz? – zapytał.

– Eee, pomagam Jasonowi z francuskim – wyjaśniłam o wiele zbyt szybko, żeby zabrzmieć wiarygodnie.

– Z francuskim, co?

Shane skrzywił się, a jego nadwyrężona dłoń drgnęła.

– Wiem, ja wiem, co sobie myślisz, ale to naprawdę tylko nauka, słowo...

– Hailie bardzo mi pomaga. Odkąd się spotykamy, zaliczam bez problemu – wtrącił Jason, a ja mogłabym przysiąc, że na jego czole błysnęły kropelki potu, gdy dodał ciszej: – Testy zaliczam, w sensie.

Oczy Shane'a przypominały teraz cieniutkie szparki i nawet zrobił krok w przód.

– Czyli to nie pierwszy raz, tak?

– Jaki pierwszy raz? – Jason przełknął ślinę, na moje oko orientując się, że totalnie się właśnie pogryzał. – To znaczy...

Shane wyrwał do przodu, a ja bez namysłu rzuciłam się w jego stronę. Na szczęście oboje panowaliśmy nad sobą jeszcze na tyle, by oba nasze nagłe zrywy ostudziły nasze wzajemne emocje. Zatrzymaliśmy się naprzeciwko siebie, ja gotowa całym ciałem naprzec na brata, by go w razie potrzeby pohamować, a on wskazał palcem na Jasona gdzieś ponad moim ramieniem.

– Jeszcze jedno słowo, tłoku, i rozwalę ci głowę.

– Shane, jemu nie chodzi o żadn...

– A ty milcz, dziewczynko – syknął na mnie, przechylając brodę w dół, by uciszyć mnie jeśli nie słowami, to samą powagą spojrzenia.

Posłusznie się przymknęłam, nie chcąc pogarszać sytuacji. Usłyszałam szuranie, gdy Jason zaczął się pakować, i wkrótce, upewniwszy się najpierw, że Shane trzyma swoją złość na wodzy, cofnęłam się, by zabrać swoje rzeczy. Oboje z Jasonem mieliśmy spuszczone głowy i tylko ukradkiem złapałam jego spojrzenie. Otworzył na moment usta, a ja

nadstawiłam uszu, ale nie dowiedziałam się, co chciał do mnie szepnąć, bo mój brat warknął od razu:

– Nawet się nie waż do niej odzywać.

Zacisnęłam szczękę, zwłaszcza gdy Jason na odchodnym dostał od mojego brata mocno z barka. Zachciało mi się płakać i zaczęłam mnożyć szybko w głowie jakieś horrendalne liczby. Wyczytałam kiedyś, że dzięki temu można pohamować łzy, bo podczas obliczeń budzi się inna półkula mózgu czy coś takiego. Trochę to podziałało, choć gdy szłam bez słowa przez parking z depczącym mi po piętach bratem, czułam, jak drży mi broda.

Przez całą podróż do domu się nie odzywałam, nie chcąc dolewać oliwy do ognia. Shane też nie miał ochoty na pogaduchy, bo włączył jakąś rapową playlistę na Spotify, uznałam to więc za zielone światło do odpłynięcia myślami. Zastanawiałam się, czy Shane powie wszystko Vincentowi. Zadrżałam na samą myśl. Kogo ja oszukuję, oczywiście, że mu powie.

W domu niechętnie skierowałam się do kuchni, żeby zjeść obiad, ale nie potrafiłam przełknąć ani kęsa. Shane gdzieś zniknął, więc wyszło na to, że siedziałam sama przy wielkim stole i zastanawiałam się, co dalej ze mną będzie. Przynajmniej nie musiałam długo czekać na rozstrzygnięcie swojego losu, bo po jakichś dziesięciu minutach do pomieszczenia wkroczył Vincent.

Perfekcyjny jak zawsze. Przeciętny obserwator mógłby zauważyć, że Vince zawsze wygląda tak samo – poważnie i elegancko. Tak naprawdę zmieniały się tylko kolory jego koszul i one też raczej nie szokowały ekstrawagancją. Najczęściej zakładał białe, czasem popielate, kilka razy widziałam go w błękitnej czy granatowej, rzadko w bordowej, a dziś, niczym mroczny sędzia przybywający z wyrokiem śmierci dla mnie, wybrał czarną.

Zadrżałam i wlepiłam oczy w talerz z rozgrzebanym jedzeniem, nie śmiąc spojrzeć mu w twarz. Wiedziałam, że już wie. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że naprawdę złamałam jedną z jego zasad. Spotykałam się z chłopakiem, a on podczas swojego wykładu powitalnego wyraźnie zastrzegł, że sobie tego nie życzy. Na dodatek Shane widział, jak się obejmujemy!

Vince podszedł do krzesła ustawionego naprzeciwko mnie. Podwinąwszy najpierw powolnym ruchem mankiety swojej koszuli, odsunął je i zasiadł na

nim, wyprostowaną dłonią, tą, na której nosił sygnet, przytrzymując sobie na wysokości mostka krawat. Na początku nie zauważyłam nawet, że go ma, bo zlewał się zupełnie z czernią jego koszuli. Przysunął się do stołu, tak aby usiąść prosto i móc swobodnie złożyć ręce na blacie przed sobą. Potem odchrząknął i wreszcie uniósł brodę, po czym rozpoczął torturowanie mnie chłodnym spojrzeniem swoich błękitnych oczu.

Boże, niech on po prostu na mnie nawrzeszczy.

– Co chcesz mi powiedzieć, droga Hailie? – zapytał całe wieki czasu później niskim, stalowym głosem.

Byłam beznadziejna, bo nie potrafiłam udźwignąć jego wzroku, więc swój własny skryłam w talerzu z jedzeniem i nie będąc w stanie wydusić z siebie nawet słowa, rozgrzebywałam je widelcem jeszcze bardziej. Vincent, mimo iż na ogół zdawał się cierpliwym, to niezbyt dobrze znosił bycie ignorowanym, dlatego szybko się zirytował. W pewnym momencie nachylił się nad stołem i gwałtownym jak na kogoś, kto na co dzień jest oazą spokoju, ruchem odsunął mi talerz sprzed nosa. Przestraszyłam się i wypuściłam z ręki widelec. Opadł na blat z głośnym brzdękiem.

Bądź co bądź Vincent uzyskał pożądaną efekt, bo w końcu podniosłam głowę i odwzajemniłam jego spojrzenie.

– Jak zadaję pytanie, oczekuję na nie odpowiedzi – powiedział.

Chyba najbardziej niepokoiło mnie w nim to, jak dobrze potrafił kontrolować swój gniew. Nie działał spontanicznie, a raczej wszystko chłodno kalkulował. Nawet odsunięcie mojego talerza było celowo raptownym działaniem. Gdy sobie to uświadomiłam, włos zjeżył mi się na głowie, choć cichutki głosik szeptał mi do ucha, że lepiej mieć do czynienia z tak perfekcyjnie opanowanym człowiekiem niż ze zwykłym oszołomem.

– Nic – odparłam zachrypniętym głosem. Odchrząknęłam. – Nic nie chcę do ciebie mówić.

Była to chyba najszczerza rzecz, jaką do tej pory się z nim podzieliłam.

– Dobrze. – Vincent skinął głową. – W takim razie sformułuję to inaczej. Powiedz mi, proszę, którą z zasad, przedstawionych ci przeze mnie po twoim przyjeździe, ostatnio złamałaś?

Wiedziałam, że tak czy inaczej będzie próbował zmusić mnie do przyznania się do spotkań z Jasonem, więc wzdychając tylko z lekką frustracją, odparłam:

– Przecież już na pewno wiesz.

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

W tym momencie do kuchni weszli bliźniacy. Z jednej strony cieszyłam się, że nie dołączył do nas Will, a z drugiej brakowało mi jego obecności, bo ze wszystkich braci to u niego mogłam liczyć na największe wsparcie i na to, że się za mną wstawi. Natomiast zdecydowanie cieszyłam się, że nie ma tu z nami Dylana. On na pewno w niczym by mi nie pomógł – no, chyba że w pogrążeniu mnie.

Chłopcy nałożyli sobie góry makaronu na talerze i zasiedli przy stole jak gdyby nigdy nic, a ja chciałam zaczerpnąć głęboko powietrza, ale wyszedł mi z tego urywany, spazmatyczny wdech.

– Jakiś czas temu Jason, zwykły kolega z francuskiego – zaczęłam, kładąc nacisk na słowo „zwykły” – poprosił mnie, żebym pomogła mu nadgonić materiał. Mógł oblać przedmiot, więc musiałam się zgodzić, by mu pomóc.

– Daruj sobie, Hailie, przecież widziałem te wasze lekcje – wtrącił Shane znad swojego talerza.

– Uczyła go francuskiego... pocałunku – rzucił drwiąco Tony i zapchał sobie usta makaronem.

Jako że nie miałam odwagi spojrzeć na Vincenta, posłałam poirytowane spojrzenie w stronę bliźniaków.

– Przecież my się wcale nie całowaliśmy!

– Mhm, wyjaśnijmy to. Spotykałaś się potajemnie z jakimś... chłopcem...
– zaczął mój najstarszy brat.

– Widuję czasem tego frajerka na fajce. Nie wydaje się zbyt rozgarnięty.

Tony sprawiał trochę wrażenie, jakby czerpał przyjemność z gnębienia mnie.

– Właśnie że naprawdę jest w porządku! – zaprotestowałam.

– Serio? Nie no, daruj sobie, Hailie... – powtórzył Shane, patrząc na mnie niemal ze współczuciem, co tylko podjudziło mój gniew

i sprowokowało mnie do uderzenia pięścią w stół tak mocno, że aż się zatrzęsł.

– Sam sobie daruj, Shane, do cholery jasnej!

Łatwo mnie było wyprowadzić z równowagi, oj, zbyt łatwo. W momencie, w którym te słowa wyszły z moich ust, już tego żałowałam. Wiedziałam, że w ten sposób nie wybronię się z sytuacji, a wręcz ją pogorszę. Tak też się stało, bo po mojej odpowiedzi nastąpiła cisza. Shane zamilkł, uniósł brwi i spuścił wzrok, postanowiwszy jednak skoncentrować się na obiedzie, Tony gapił się na mnie z wrednawym uśmiechem, a Vincent... podniósł się i bardzo powoli ruszył w moją stronę.

Na widok jego górującej nade mną sylwetki zeszywniałam, a w myślach powtarzałam tylko jedno słowo. *Głupia!*

Po co chodzę przy nich na paluszkach, no po co, czy po to, żeby teraz tak bez sensu dać się ponieść emocjom i pozbawić się wszelkiej ewentualnej pobłażliwości, z jaką Vincent mógłby mnie potraktować? Zamiast go udobruchać, przekonać, uspokoić, ja naprawdę musiałam pójść po linii najmniejszego oporu i zacząć gasić ogień... ogniem? Rzadko kiedy pyskowałam mamie czy babci, bo wiedziałam, że po prostu nie było szansy, bym wyszła na tym dobrze. A już na pewno nie mogłam niczego ugrać takim zachowaniem w stosunku do swoich braci, którzy od początku zdawali się nie tolerować podobnego odszczekiwania.

No to świetny sobie znalazłaś moment na testowanie ich, Hailie.

Krzesło obok mnie zaszurało. Nie podnosiłam wzroku, ale wiedziałam, że Vincent właśnie na nim usiadł. Przesiadł się tak, żeby znaleźć się tuż obok mnie, zdecydowanie naruszając moją bezpieczną przestrzeń. Był tak blisko, że czułam jego mocną wodę toaletową. Pachniał jak lód albo to po prostu moja wyobraźnia już ścirowała.

– Wyjaśnijmy sobie coś, Hailie – zaczął złowrogo, a dwoma smukłymi palcami uniósł mój podbródek, tym razem zmuszając mnie do ponownego nawiązania kontaktu wzrokowego. – Nie jesteś na dobrej pozycji do pyskowania, więc uważaj, proszę, na słowa. I na gesty. W porządku?

W ogóle nie w porządku, ale gdy już tak zapatrzyłam się w jego błyszczące intensywnie tęczówki, nie mogłam odwrócić wzroku. Jakby wpędziły mnie w pułapkę. To dlatego pokiwałam głową.

– Dobrze – rzekł i zabrał rękę. Moja szyja jednak zamarzła wyciągnięta pod narzuconym przez Vincenta kątem, jakby zaklął ją swoim dotykiem. – Teraz powiedz mi, co zrobisz, żeby nie naruszać więcej zasady, którą wcześniej postanowiłaś zignorować.

Próbowałam jednocześnie odwzajemniać spojrzenie brata i nie pogubić się we własnych myślach, gdy szukałam w nich właściwej odpowiedzi.

– Nie... – zaczęłam, ale kontrast między silnym i władczym głosem Vincenta a moim skomleniem był tak żenujący, że najpierw odchrząknęłam. – Nie będę spotykać się więcej z Jasonem?

– Dokładnie tak. Bardzo nie lubię, gdy moje słowa są bagatelizowane. Zapamiętaj to na przyszłość.

Następnie wstał nieśpiesznie i kulturalnie zasunął za sobą krzesło, nie szczędząc mi kolejnego spojrzenia z góry.

– Jako że taki błąd zdarzyło ci się popełnić pierwszy raz, uznajmy to za upomnienie – mówił, po czym zwrócił się do bliźniaków, którzy wciąż pochylali się nad swoimi talerzami, oglądając show, jakie za darmo im zorganizowaliśmy. – A wy będziecie mieć na nią oko w szkole.

Bliźniacy skinęli głowami, obaj równie leniwie. Oni też wiedzieli, że dyskusje z najstarszym bratem nie mają najmniejszego sensu.

– I żadnych więcej posiedzeń w bibliotece – dodał, z powrotem zwracając się do mnie. – W dni, kiedy Shane ma treningi, możesz czekać na niego w sali. Tam, gdzie będzie mógł cię dobrze widzieć. Albo wrócić od razu do domu, z Dylanem i Tonym.

Patrzyłam na niego z niemym sprzeciwem. W końcu tak lubiłam tę bibliotekę. Przykro mi się zrobiło, że nie będę mogła już tam chodzić. Od jakiegoś czasu wyłącznie tego wyczekiwałam w tygodniu.

Vincent opuścił wreszcie kuchnię, na odchodnym omiatając ją jeszcze oziębłym spojrzeniem, a ja zostałam z bliźniakami, nie mając odwagi nawet ruszyć się z miejsca. Ta rozmowa kosztowała mnie tyle nerwów, że teraz gorące łzy, może złości, a może po prostu smutku, zaczęły mi spływać po policzkach i mimo iż ścierałam je na bieżąco, to ich potok uparcie nie chciał się skończyć.

– Dojedz obiad – mruknął do mnie Shane. Jego ton nie był rozkazujący, a wręcz łagodny. Nawet podniósł się lekko znad krzesła i pochylił nad blatem stołu, by przesunąć talerz z powrotem pod mój nos.

Zanim zebrałam się w sobie i byłam w stanie przełknąć więcej niż dwa kęsy na krzyż, minęło wystarczająco dużo czasu, żeby chłopcy skończyli jeść, a Tony zdążył też już się ulotnić. Do tego czasu nikt się do mnie nie odzywał, choć po wyjściu Vincenta między bliźniakami nawiązała się luźna rozmowa.

Planowałam nie odzywać się do Shane'a, cóż, już nigdy, po tym jak to z jego winy do Vincenta dotarła informacja o korepetycjach, których udzielałam Jasonowi. Niestety, gdy zostaliśmy sami, on zaczął mnie zagadywać. Żałowałam, że sobie nie poszedł, bo miałam przed sobą jeszcze całą furę jedzenia, którego pragnęłam się pozbyć jak najszybciej. Spożywanie jakichkolwiek posiłków po płaczu uważałam za obrzydliwe. On jednak był żarłokiem i nałożył sobie podwójną porcję dokładki.

– Nie martw się, Hailie – odezwał się, gładząc kciukiem rączkę srebrnego widelca. – Ja wiem, że Vince potrafi być straszny. Mnie też czasem przeraża, poważnie. Ale on taki dla ciebie jest, bo zależy mu na twoim bezpieczeństwie. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał ciszej: – Nam wszystkim na nim zależy. Spróbuj to zrozumieć.

Pokręciłam głową, powstrzymując pogardliwe prychnięcie, w razie gdyby miało zostać przez kogoś jeszcze w tym domu usłyszane i odebrane jako pyskowanie.

– Nie mam ochoty rozmawiać – mruknęłam.

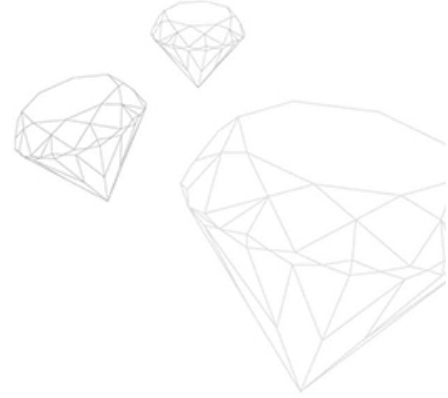
– Jason... nie nadaje się na twojego kolegę.

Tym razem spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– I to ty niby jesteś od decydowania o tym, kto się na niego nadaje, a kto nie?

To powiedziawszy, wstałam. Czym prędzej posprzątałam po sobie niedojedzoną porcję i wyszłam z kuchni, nie pozwalając Shane'owi na ciągnięcie tej dyskusji. Wytrzepując wściekle ręce, wspięłam się po schodach na górę, ale moje wzburzenie bardzo szybko minęło. W jego miejsce pojawił się smutek i znowu uroniłam kilka łez, jeszcze zanim zdążyłam zamknąć za sobą drzwi sypialni.

Uwazałam, że Shane jest w porządku, i miałam go za tego lepszego bliźniaka. Teraz jednak myślałam sobie, że wszyscy bracia Monet są sobie warci.



Najciemniej pod latarnią

Zwykle na francuskim Jason puszczał do mnie oczka z drugiego końca sali, gdy tylko złapał akurat moje spojrzenie. Lubiłam tę subtelną relację, jaką mieliśmy. Zawsze się wtedy uśmiechałam i uciekałam wzrokiem do tłumaczającej coś pani Dubois, żeby nikt nie miał szansy o cokolwiek mnie oskarżyć, ale w środku czułam to przyjemne ciepło. Teraz to uczucie zostało mi odebrane i jego brak był wręcz bolesny.

Co chwilę zerkiałam w stronę chłopaka, ale notował słowa nauczycielki pilnie jak nigdy. Jego oczy wędrowały od tablicy do zeszytu i ani razu nie próbowały nawet ukradkiem zezować w moją stronę. Najpierw skumulowałam wszystkie negatywne emocje, które jego obojętna reakcja we mnie obudziła, i skierowałam je na moich braci, do których w tym konkretnym momencie poczułam szczerą nienawiść. Potem oberwało się Jasonowi, którego wyzwałam w myślach od tchórzy. Następnie znowu powyżywałam się trochę na braciach i kiedy zadzwonił dzwonek, czułam, jak ta szkodliwa energia mnie wymęczyła. Nawet zaczęły ciążyć mi powieki, ale kiedy dostrzegłam, jak Jason czym prędzej rzuca się do wyjścia z sali, natychmiast się rozbudziłam. O, nie, niedoczekanie.

– Co, nawet nie spojrzysz mi teraz w oczy?

Był już jedną nogą na korytarzu, ale usłyszawszy moje warknięcie, zawahał się, rozejrzał i cofnął z powrotem do klasy. Przepychając się między uczniami wychodzącymi tłumnie na korytarz, westchnął ciężko. Odsunął się ze mną na bok i rzucił ostre spojrzenie dwóm dziewczynom, które specjalnie zwolniły i widocznie nadstawiły uszu, podniecone perspektywą dramy, szczególnie takiej z udziałem siostry Monetów.

– Nie mogę na ciebie patrzeć, Hailie, a co dopiero z tobą rozmawiać – szepnął Jason, pochylając się nade mną.

Uniosłam jedną brew, a gdy nie powiedział nic więcej, do oczu zaczęły napływać mi łzy. Usłyszeć takie słowa z ust chłopaka, którego towarzystwo dawało mi radość i ukojenie przez ostatnie kilka tygodni, to było naprawdę paskudne uczucie. Odwróciłam głowę w bok, żeby ukryć przed nim pierwsze oznaki płaczu, ale on je chyba zauważył, bo obliznął wargi, rozejrzał się, a także wznosił panicznie oczy do góry, jakby z desperacji szukał rozwiązania naszego problemu nawet na suficie.

– Dobra, okej, spotkajmy się w toalecie. Tej obok szatni – zaproponował i przeczesał swoje loki, gdy dodawał niechętnie: – Damskiej.

I odszedł, a ja przymknęłam z ulgą powieki, próbując opanować drżenie ciała. To straszne, jak bardzo bałam się stracić Jasona, jedyną osobę, która potrafiła przytulić mnie bez powodu i której odważyłam się wyznać swoje obawy dotyczące braci.

Otarłszy łzy, mentalnie przygotowana na tę ważną dla mnie rozmowę, wymaszerowałam na korytarz, kierując się do wskazanej przez Jasona łazienki. Damskiej zapewne dlatego, żeby zminimalizować możliwość pojawienia się w niej moich braci, a koło szatni, bo te były najrzadziej odwiedzane.

Spodziewałam się, że Jason już na mnie czeka, ale gdy weszłam do środka, nie zastałam tam żywej duszy. Dopiero po kilku sekundach drzwi się otworzyły i chłopak wpadł do środka, jakby ktoś go wrzucił tam siłą. Oglądał się za siebie, lękając się przyłapania nie tylko przez braci Monet, ale i przez kogokolwiek innego, kto mógłby się zainteresować jego wycieczką do łazienki dla dziewczyn.

– Słuchaj, Hailie, przykro mi, że tak wyszło... – zaczął, gdy już się uspokoił. Oparł się o ścianę, ale cały czas trzymał się w pobliżu drzwi, żeby

na wszelki wypadek nikt nie odciął mu drogi ucieczki.

– Nie no, to ja przepraszam – odparłam szybko, korzystając z ułożonej już wcześniej w głowie formułki. – Za Shane’a. Zachował się jak idiota, nic nie wiedział o naszej relacji.

– Gdybym miał wskazywać na kogoś palcem, to bardziej przegiął Tony.

– Tony? Co Tony ci zrobił?

– Jeszcze nic, ale zaczepił mnie dziś rano i powiedział, że jak znowu się do ciebie odezwę, albo nawet na ciebie spojrzę, to coś mi złamie. Szczękę najprawdopodobniej, ale jak będzie w dobrym humorze, to pozwoli mi wybrać.

Złapałam się białej kanciastej umywalki, bo aż ugięły się pode mną kolana.

– Co? Jak można w ogóle mówić komuś takie rzeczy! Ja... ja muszę z nimi porozmawiać. Muszę to wyjaśnić...

Nie miałam siły do tych braci. Nie mogą przecież ot tak sobie grozić moim znajomym, czy ludziom w ogóle! Co jest z nimi nie tak?

– Hailie, pomyśl! – zawołał Jason. Spanikował na widok mojej reakcji. – Jak z tym do nich pójdziesz, to będą wiedzieli, że znowu rozmawialiśmy... Ja będę miał przesrane, no i ty pewnie też.

Miał rację. W końcu ostatnie, czego bym chciała, to ryzykować kolejną pogadankę z Vincentem. Westchnęłam głęboko, starając się uspokoić. Jason, widząc, że odpuszczam, z powrotem oparł się o ścianę i nieco się rozluźnił.

– Naprawdę słabo, że tak wyszło – mruknął po chwili milczenia.

Oparłam teraz obie dłonie na krawędzi umywalki i zapatrzyłam się w lustro. Nie podobał mi się wysnuty z emocji wyraz twarzy dziewczyny, którą widziałam przed sobą. Nawet jej wzrok był jakiś pusty.

– No słabo.

– Szczerze, to w sumie, jakkolwiek to zabrzmie, to nie spodziewałem się tego po siostrze Monetów, ale jesteś naprawdę spoko.

– Dzięki... chyba. – Uśmiechnęłam się smutno do swojego odbicia. – Ja też niespodziewanie cię polubiłam...

Jason się poruszył, odszedł od ściany i zrobił kilka kroków w moją stronę. W tym samym momencie ja oderwałam ręce od chłodnej umywalki i się odwróciłam. Patrzył na mnie tymi swoimi okrągłymi oczętami, osadzonymi w twarzy okolonej loczkami. Nie chciałam tracić uwagi, jaką te oczy mogły i chciały mi dać. Pociąg, jaki czułam do tego chłopaka w tej chwili, był większy niż kiedykolwiek. Wiedziałam, że pewnie podsycala go świadomość tego, jak bardzo zakazanym owocem się dla mnie okazał. Zadając się z Jasonem, sprzeciwiałam się woli Vincenta. Aprobata mojego najstarszego brata była czymś, czego może i skrycie pragnęłam, ale jednocześnie chciałam samej sobie udowodnić, że mi na niej nie zależy. Najciekawsze było to, że Jason sam ewidentnie miał do mnie słabość. Inaczej sekundy później nie stalibyśmy w tej damskiej łazience, oplatając się nawzajem ramionami, tak mocno, jakby od tego zależało nasze życie.

Oczywiście z tyłu głowy kołatała mi się myśl, że ponowne przyłapanie mnie przez braci na nieposłuszeństwie to kwestia czasu. Był to jak najbardziej sensowny i ostatecznie trafny tok rozumowania, ale zanim ów czarny scenariusz się napisał, przez kolejne piękne tygodnie spotykałam się beztrudnie z Jasonem w opustoszałej damskiej łazience.

Mało kto tutaj przychodził, bo tuż obok, w szatniach, znajdowały się toalety o dużo wyższym standardzie. A jeśli już się tutaj przypalały jakieś pojedyncze osoby, to na nasz widok zwykle peszyły się i czym prędzej uciekały. Jason czuł się coraz swobodniej w ubikacji dla dziewczyn, z powodu czego ciągle mu docinałam, ale ostatecznie żadne z nas nie potrafiło wymyślić bezpieczniejszej kryjówki na terenie szkoły. Moglibyśmy teoretycznie ukryć się gdzieś w krzakach, ale ten pomysł wypaliłby prędzej latem lub wiosną, a na pewno nie w listopadzie, gdy Pensylwania zamieniała się powoli w Antarktydę.

Zimę w moim nowym miejscu zamieszkania znosiłam dość ciężko, bo byłam przyzwyczajona do chłodu, ale na pewno nie musiałam się nigdy wcześniej oswajać z przenikającym mnie do kości mrozem ani nie czułam, że zaraz odpadnie mi nos. Całe szczęście w tym ziąbie pozostały mi chociaż małe przyjemności, jak picie gorącej czekolady z piankami (jedyne słodczyce, które godziłam się w siebie bezmyślnie wrzucić, i to tylko dlatego, że miały niezastąpione rozgrzewające właściwości), czy oglądanie śniegu przez okna biblioteki, gdy siedziałam ukryta w fotelu, pod ciepłym kocem i z ciekawą

książką na kolanach... Któregoś dnia Will podał mi swój komputer i zmusił mnie do zrobienia wielkich zimowych zakupów. Wybrałam sobie całą masę swetrów, ciepłe buty i ze dwie porządne kurtki. Gdy zobaczyłam, ile to wszystko kosztowało, aż zrobiło mi się słabo.

Nie powinnam może tak reagować, wiedząc, że moja rodzina stworzyła imperium, którego wartości najwyraźniej nie podjął się jeszcze oszacować nikt z zewnątrz. Wiem to, bo podczas kolejnych spotkań z Jasonem zdążyłam przeczesać internet wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu informacji o Monetach. Tak przynajmniej sądziłam do czasu. W końcu przestałam się ekscytować każdym znalezionym artykułem, gdy Jason któregoś dnia coś mi uświadomił.

– Wiesz, Hailie – zaczął, gdy siedzieliśmy na wyłożonej kaflami podłodze, opierając się o drzwi jednej z kabin. Zaczął bawić się swoją czapką z daszkiem, jak zawsze, gdy akurat miał ją na głowie i trudno mu było ubrać swoje przemyślenia w słowa. – Tak się zastanawiałem ostatnio, że te artykuły... One wszystkie wyglądają jakoś tak podobnie, nie sądzisz?

Wzruszyłam ramionami, zerkając na ekran jego komórki, którą zawsze pozwalał mi trzymać w rękach na czas mojego dochodzenia.

– Chyba wszystkie tego typu artykuły są do siebie podobne, co nie?

– Nie wiem, te zdają się napisane na jedno kopyto. Bo zobacz, informacje są praktycznie te same, nigdzie nie ma żadnych szczegółów. Tak jakoś sobie pomyślałem, że trochę to dziwne.

Jason porzucił ten temat, a ja z powrotem skupiłam się na czytaniu, ale zauważyłam, że od tej pory stałam się bardziej krytyczna wobec napotykanych treści. Niestety, w końcu musiałam przyznać mu rację. W artykułach mielono ciągle te same informacje i nawet zdjęcia przewijały się te same, ze dwa lub trzy na krzyż.

– Myślisz, że to możliwe, że oni... – przerwałam, opuszczając telefon.

– Co? Kontrolują to, co znajduje się na ich temat w internecie?

Wzruszyłam ramionami, a jego ręka, która – jak zwykle – mnie obejmowała, pogładziła je lekko.

– Hm... – zawahał się. – Trudno powiedzieć...

Już miałam się zadowolić tą szczątkową odpowiedzią, gdy Jason dorzucił:

– Ale no, w takiej rodzinie na pewno zdarza się od czasu do czasu skandal. Nie wierzę, że nikt nie pisze o Dylanie, Shanie czy Tonym. Wiesz, nieźli z nich agenci... No i... – Jason przerwał na chwilę, wpatrując się we mnie z zakłopotaniem. – Dlaczego nikt nie napisał o tobie?

Przełknęłam ślinę, przez chwilę odwzajemniając jego spojrzenie. A potem, niemal automatycznie, uniosłam jego komórkę, odblokowałam ekran, wpisując kod, który wcześniej sam z własnej woli mi podał, i w pole do wyszukiwania wpisałam własne nazwisko. Coś, czego z jakiegoś powodu nie odważyłam się zrobić do tej pory. Gdy oczekiwałam na załadowanie strony, zdawało mi się, że echo mojego głośno dudniącego serca odbija się od ścian łazienki i dociera nawet do uszu Jasona.

Brak wyszukiwań.

Podana fraza nie została odnaleziona.

Spróbuj jeszcze raz.

– Wygląda na to, że nie istniejesz.

– Czy to nie jest... dziwne? – zapytałam szczerze zmartwiona.

– Niby nie masz żadnych social mediów na własne nazwisko, więc może nie... Chociaż to trochę podejrzanę, że o tobie, jako o siostrze Monetów, nie ma ani wzmianki. Zwłaszcza że to był duży temat, jak cię odnaleziono, nie?

Potałam czoło. Zaczynała mnie boleć głowa.

– Ktoś na pewno ma wpływ na to, że informacje o tobie nie pojawiają się w wyszukiwaniach – kontynuował Jason. – Może po prostu zapytaj o to braci.

Opuściłam dłoni.

– Wtedy dowiedzą się, że googlowałam samą siebie.

– To co, każdy siebie googluje.

– Domyślą się, po co i że szukałam informacji również na ich temat. Wiem to.

Jason znowu pogłaskał moje ramię w uspokajającym geście.

– A rozglądałaś się po domu?

– Za czym na przykład? – westchnęłam.

– Bo ja wiem... Dokumentacją, wycinkami z gazet, nie wiem, starymi, zakurzonymi dziennikami...

– Przestań sobie żartować.

– Ale ja mówię poważnie. Poszperaj po domu. Najciemniej zawsze jest pod latarnią.

– Nawet nie wiem, gdzie miałabym zacząć. – Zamyślona wodziłam palcem po brudnej fudze między kaflami. – Jeśli rzeczywiście coś ukrywają, to na pewno będzie to w części domu, w której Vincent pracuje i do której nie mam prawa wstępu.

– Jak uważasz.

Zostawiłam ten temat, wciąż nieprzekonana. I nadal nie byłam, gdy później tego dnia siedziałam zwinięta w fotelu w bibliotece, tradycyjnie z książką w ręku. Dziś wyjątkowo nie potrafiłam skupić się na tekście. Lektura była średnio porywająca. W moich myślach utkwiły słowa Jasona. Oczy co chwila uciekały mi na boki, w stronę regałów, pianina albo sekretarzyka. Potem zerkałam na drzwi, a następnie znowu w dół, na kartki. I tak w kółko.

Czytałam powieści o starych domach, w których za pomocą ukrytego guzika regały z książkami przestawiały się tak, że w ścianie pojawiała się przejście do osobnego pomieszczenia, i aktualnie próbowałam wybić sobie z głowy prawdopodobieństwo, że w Rezydencji Monetów skrywa się gdzieś podobny mechanizm.

W głębi ducha wiedziałam, że skoro Vincent posiadał całe osobne skrzydło pracownicze, nie miał potrzeby montować takich rzeczy w bibliotece, ale może naprawdę – jak mówił Jason – najciemniej jest pod latarnią?

W pewnym momencie zsunęłam książkę z kolan i niby od niechcenia wstałam. Odłożyłam ją na stolik, przeciągnęłam się, westchnęłam i zerknęłam najpierw przez wielkie okno wychodzące na ciemny dwór, a potem w stronę zamkniętych drzwi. Następnie przeszłam się do najbliższej ściany książek. Powiodłam palcem po grzbietach tych, które umiejscowione były mniej więcej na wysokości moich oczu, po czym obeszałam fotel, po drodze podpierając się o jego oparcie. Minęłam pianino i stojącą na nim fotografię dwóch wesołych kobiet. Zatrzymałam się przy innym regale

i sięgnęłam po jedną ze starszych grubych ksiąg. Otworzyłam ją. Nie wiem po co. Nie wypadł z niej żaden pożółkły list ani kod do sejfu. Nie znalazłam też żadnego tajemniczego przycisku pod niewielką białą figurką anioła bez głowy, która stała na sekretarzyku. A w znajdującym się w szafce notesie o wyświechtanej czarnej okładce nie zapisano ani jednej strony.

Moje poszukiwania nabierały intensywności. Coraz odważniej przetrzepywałam powierzchnię biblioteki, wiedząc w duchu, że mam marne szanse, by coś tu znaleźć. Vincent nie należał do nieostrożnych osób. Nie do końca potrafiłam też odpowiedzieć na pytanie, czego szukam. A jednak przeszłam w końcu do bezceremonialnego odsuwania szufladek w sekretarzyku, jedna po drugiej. Znalazłam w nich typowe biurowe bzdety jak puste koperty, długopisy, spinacze. Inna wypchana zaś była po brzegi zwitkami banknotów, na których widok aż przełknęłam ślinę. Natychmiast ją zasunęłam. Takie ilości pieniędzy przechowywane w tak przypadkowym miejscu wprawiły mnie w spore zakłopotanie.

Jednak jeszcze bardziej zafrapowała mnie zwartość kolejnej szufladki. Była wyjątkowa, bo obok rzeźbionego uchwyty znajdowała się maleńka dziurka na klucz. Spodziewałabym się, że to dobry znak sugerujący istnienie jakiegoś sekretu, gdyby nie to, że tkwił tam już drobny, połączony kluczyk, jakby podany mi na tacy. Nawet nie musiałam go przekręcać. Wierzyłam więc, że sterczał tak dla ozdoby, i obojętnie, bez wielkich nadziei wysunęłam szufladkę. Pierwszą ujrzałam dużą białą kopertę. Uniosłam ją lekko jednym palcem, by spenetrować wzrokiem przedmioty leżące na dnie. No i pomimo że celem mojego szperania było teoretycznie odnalezienie czegoś podejrzanego, to na pewno nie sądziłam, że los zagra mi na nosie i sprawi, że ot tak znajdę kolejną broń.

No nie.

Gapiłam się na nią w chwilowym bezruchu, po czym jak oparzona zabrałam rękę i koperta z powrotem przykryła moje znalezisko. Rozejrzałam się w popłochu po pokoju, wypuszczając powietrze z płuc, i zaraz znowu zajrzałam pod kopertę, tym razem unosząc ją z przesadną ostrożnością.

Ta spoczywająca sobie jak gdyby nigdy nic na dnie sekretarzykowej szuflady broń była trochę inna niż pistolet, który znalazłam u Tony'ego –

miała smuklejszy kształt i była dużo mniejsza. Bardzo poręczna, wręcz idealna do wrzucenia do kobiecej torebki na przykład.

Zaskoczyło mnie, jak szybko mój mózg zaczął wzbraniać się przed kolejną traumą i zamiast uwierzyć własnym oczom, zaczęłam podważać prawdziwość tego, co widzę. Bo może to tylko zabawka, jeszcze z czasów dzieciństwa chłopców Monet? Albo jakiś rekwizyt? Może któryś z braci interesował się aktorstwem? Tony na przykład, który przecież miał w sobie coś z artysty...? Jakkolwiek żałośnie brzmiały te wymówki, łyknęłam je zaskakująco łatwo, pragnąc po prostu znaleźć sensowne wytłumaczenie faktu, że w moim ulubionym pomieszczeniu w tym domu znajdował się pistolet. Aby przekonać samą siebie o jego nieszkodliwości jeszcze skuteczniej, nawet po niego sięgnęłam. Bardzo ostrożnie, bo jednak pojawiła się w mojej głowie obawa, że może wystrzelić, gdy tylko go dotknę. Unosząc go, pilnowałam, by nie celować lufą w siebie, no i żeby trzymać palce z dala od spustu. Chciałam zobaczyć, czy jest ciężki.

Ledwo potrafiłam go utrzymać. Jego chłód mroził mi ręce, choć to nie dlatego się trzęsły. Z pewnością też mi w nich ciążył, więc nie było szansy, bym mogła dłużej wmawiać sobie, że to tylko zabawka. Trzymałam w dłoni prawdziwą broń i gdy nagle to sobie uświadomiłam, gwałtownie odłożyłam ją z powrotem. Narobiłam trochę hałasu i spanikowana odwróciłam się za siebie, bo z przewrażliwienia wyczułam czyjąś obecność za plecami. Na szczęście wciąż byłam tu sama, a przerażające wrażenie musiało zostać sprowokowane przez moją wyobraźnię.

Przykryłam broń z powrotem kopertą, zasunęłam szufladkę, wyprostowałam się i odeszłam od sekretarzyka. Stałam przy oknie, ale widziałam niewiele, tylko czerń i moje własne odbicie. Spojrzałam w swoje oczy, były duże i złęknione. Wpatrywałam się w nie przez chwilę, niezdolna nawet do przełknięcia śliny. Szukałam w nich czegoś więcej niż strachu. Pragnęłam znaleźć w nich odwagę lub determinację, czyli coś, co doda mi otuchy i sprawi, że przestaną mi się jeżyć włosy na karku i rękach.

Znalezienie pistoletu Tony'ego zrodziło w mojej głowie wiele pytań, a odpowiedzi, które otrzymałam, usatysfakcjonowały mnie tylko częściowo. Widok kolejnej broni znowu mnie zdezorientował, tym razem z podwójną mocą. Czy znowu się dowiem, że to tylko ekwipunek na strzelnicę? Gdybym była mniej przerażona, parsknęłabym teraz ironicznie.

Jeśli jednak nie poruszę tej sprawy z którymś z braćmi – z Vincentem najprędzej – to tym bardziej nie znajdę rozwiązania. Będę się kąpać we własnej zupie podejrzeń i zmartwień, aż w końcu zagotuję się w niej na śmierć. A jeśli zagadam, zrobię krok, będę z braćmi szczerza i podzielę się z nimi swoimi wątpliwościami, może zyskam, może potraktują mnie poważnie i może dowiem się, czemu ludzie o nich plotkują, a oni po domu mają pochowane pistolety?

Ucieszyłam się, dostrzegłszy błysk, który pojawił się w moich odbitych w oknie źrenicach. A przynajmniej tak sobie wmówiłam, że on tam jest i dowodzi, że czas zadziałać. To moje rodzeństwo, chyba nie powinno się więc stać nic złego, jeśli wypytam ich o kilka rzeczy. Vincent sam mówił, żeby nie zawracać sobie głowy bezcelowymi rozmyślaniami – lepiej przyjść do niego. Więc tak zrobię. Pójdę.

Wyprostowałam się i odgarnęłam włosy na plecy. Odetchnęłam i zapominając o swojej niedokończonej książce, wyszłam z biblioteki. Idąc schodami na górę, stawiałam zdecydowane kroki. Po raz pierwszy od dawna czułam, że podjęłam wreszcie jakąś konkretną, dojrzałą decyzję i cieszyłam się siłą, jaką mi to dawało.

Towarzyszył mi dreszcz emocji, gdy wkroczyłam do tajemniczego korytarza, który był długi i zakręcał w prawo. Szłam, pewnie stawiając krok za krokiem. Przed zakrętem przystanąłam i ostrożnie wychyliłam się zza niego. Kolejny hol, na którego horyzoncie widoczne były drzwi. Tam powstawała też wnęka, na tyle duża, że pomieściła dwie niewielkie skórzane kanapy i spory kwiat w donicze. Jego zieleń miło ożywiała ten koszmarne surowy wystrój. Hol, co prawda, ciągnął się też dalej i z tego, co udało mi się dostrzec, było tam jeszcze więcej drzwi, ale nie byłam pewna, co kryje się w dalszej części tego skrzydła. Nie docierało tu światło dzienne, liczyć można było jedynie na przyćmione światło lamp. Już samo to było dziwne. Stałam tak przez chwilę i nie wiedziałam, co zrobić dalej.

Drzwi znajdujące się najbliżej były podwójne, a rzeźbione klamki dodawały im dostojności. Sugerowały tym samym, że prowadzą do ważnego pomieszczenia, dlatego założyłam, że właśnie tutaj znajduje się biuro Vincenta. Wtedy też się zawahałam, bo mimo iż zjawiłam się tu zdecydowana, by z bratem porozmawiać, to nagle przypomniało mi się jego

upomnienie, żeby jednak lepiej tu nie przychodzić. Żeby w razie czego dzwonić, pisać albo poprosić kogoś innego o asystę.

Dopadły mnie wątpliwości. Może nie powinnam tak się tutaj wdzierać? Nagle pomyślałam, że to z mojej strony głupota, nie odwaga. Jak zwykle podjęłam niewłaściwą decyzję. Wpatrywałam się w masywne drzwi. Podejść i zapukać, skoro już tu jestem, czy odwrócić się na pięcie i uciec, póki nikt mnie tu jeszcze nie przyłapał?

Niespodziewanie okazało się, że na decyzję mam ułamek sekundy, bo mroczną ciszę zakłóciły przytłumione przez potężne drzwi głosy. Na moje czoło wstąpiły krople potu. Dawno nie zestresowałam się tak jak teraz, nawet gdy napatoczyłam się na kolejny pistolet. Widziałam, jak klamka w drzwiach gabinetu Vincenta się porusza, a wtedy w mgnieniu oka przez moją głowę przeleciało ze sto myśli. Rzucić się biegiem z powrotem, stać w bezruchu czy może usiąść na kanapie i udawać, że czekam tu grzecznie już od wieków, aż mój brat znajdzie dla mnie chwilę?

Drzwi zaczęły się otwierać, więc najpierw zdecydowałam się na ostatnią opcję i gorączkowo popędziłam w stronę jednej z kanap, a wtedy uświadomiłam sobie, jak bardzo to było bez sensu, i jednak zapragnęłam uciec stąd gdzie pieprz rośnie, więc w ostatniej chwili zmieniłam kierunek i wystartowałam w stronę domowej części rezydencji.

Niestety, było już na to za późno, a ja zapłaciłam cenę za swoje niezdecydowanie. Moje ruchy były mało precyzyjne – w rezultacie poślizgnęłam się i upadłam. Udało mi się podeprzeć dłońmi na podłodze, więc krzywda mi się nie stała, ale straciłam cenny czas na złapanie równowagi. Gdybym teraz zmarnowała go jeszcze więcej, by się podnieść, Vincent na pewno by mnie przyłapał, dlatego zrobiłam inną głupotę i postanowiłam zostać na ziemi – więc jednym susem rzuciłam się za kanapę.

Tak, przybyłam tu cudownie silna i zdeterminowana, by nareszcie porozmawiać ze swoim opiekunem prawnym jak dorosła, a skończyłam, żałośnie kuląc się za meblem. Gdyby nie to, że byłam zajęta modleniem się do niebios, by nikt nie zajrzał za oparcie sofy, to spaliłabym się ze wstydu. Co za beznadziejna sytuacja.

Rozległy się odgłosy kroków, które zaraz szybko ucichły, i wiedziałam, że Vincent wraz ze swoim gościem przystanął jeszcze pod gabinetem.

Oznaczało to, że znajdowali się tuż obok mnie, a więc na bank słyszeli walenie mojego serca, innej opcji nie widziałam. Ja sama chyba od niego ogłuchłam, bo w uszach mocno mi szumiało i prawie nie dosłyszałam, jak gość mojego brata żegna się z nim bardzo zachrypniętym głosem.

– Dziękuję za wysłuchanie, Vincencie.

– Sonny, odprowadź pana do wyjścia. – Vincent wypowiedział te słowa tak chłodno, że zabrzmiały niczym rozkaz rzucony przez władcę świata, i jeśli myślałam, że to w rozmowach ze mną był przesadnie formalny i poważny, to właśnie zmieniałam zdanie. Cieszyłam się, że z mojej kryjówki nie mogę go obserwować, bo nie wiem, czy na jego widok po prostu bym tu nie padła. Już i tak byłam niewygodnie zgarbiona i cała odrętwiała.

– Proszę za mną – rzucił ktoś inny spokojnie i wyraźnie. Ten ktoś pojawił się w towarzystwie odgłosów trzeciej pary kroków, która brzmiała na bardziej ociężałą, wskazując może na inny rodzaj butów? Gdybym bardzo chciała wiedzieć, jakie buty nosił wspomniany Sonny, kimkolwiek on był, mogłabym wyrzucić za nimi zza kanapy, ale wbrew pozorom, nie miałam zapędów samobójczych. Naprawdę ich nie miałam. Sytuacja, w której się znalazłam, to wynik chwilowego zaćmienia umysłu, złej decyzji, błędu.

Do pewnego momentu nie wierzyłam, że wyjdę z niej cało. A jednak mi się upiekło – można tak powiedzieć. Gość odszedł, posłusznie odprowadzony przez Sonny'ego, który – jak wydedukowałam – musiał być po prostu jakimś pracownikiem mojego brata. Czekałam, cierpiąc z nerwów katusze, aż drzwi do biura Vincenta klikną na znak, że mój brat wrócił do pracy. Zanim to się stało, usłyszałam, jak znowu się odzywa, i oblały mnie zimne poty, bo myślałam w pierwszej sekundzie, że mówi do mnie. Gotowa już byłam wyskoczyć zza kanapy i zasypać go losowymi i totalnie nieskładnymi wymówkami. Na szczęście się powstrzymałam, bo okazało się, że po prostu odebrał telefon.

– Tak? – Jego głos nie stracił na ostrości. Milczał przez chwilę, słuchając, co druga strona ma do przekazania, po czym odpowiedział: – Rozumiem. Informuj mnie na bieżąco.

A potem rozległ się wyczekiwany przeze mnie odgłos zamykanych drzwi i Vincent zniknął w swoim gabinecie, a ja zostałam sama w zakazanym dla

mnie korytarzu. Koniec. Przymknąwszy powieki, przyłożyłam sobie dłoń do ust. Czułam niewyobrażalną ulgę. Boże, już, koniec. Nic się nie stało.

Przez moment jeszcze tkwiłam za meblem, nie tylko obawiając się wyjścia, ale też fizycznie nie będąc w stanie się podnieść po tak intensywnej gimnastyce. Nie mogłam jednak zostać tu dłużej. Bałam się, że Vincent znowu opuści swój gabinet albo że wróci ten cały Sonny, więc wreszcie zmusiłam się do wykonania szybkiej misji powrotu do części domowej Rezydencji Monetów. Najpierw ostrożnie wyjrzałam zza kanapy, potem podniosłam się na klęczki, a następnie zachwiałam się, gdy zbyt szybko stanęłam na równe nogi. Kiedy tylko złapałam równowagę, wstrzymując oddech, wystrzeliłam w kierunku swojej sypialni i wypuściłam go z płuc, dopiero gdy znalazłam się bezpieczna za drzwiami własnego pokoju.

Drżałam z ulgi, ale i krzywiłam się z zażenowania. Żałowałam, że nie mam magicznej gumki, którą mogłabym wymazać wspomnienie swojej wycieczki do zakazanego korytarza. Teraz miałam torturować się nim przez całą noc, a może nawet i kolejne. Cieszyłam się oczywiście, że nie zostałam przyłapana, ale z tego wszystkiego aż zrobiło mi się słabo. Musiałam nawet przytrzymać się ściany.

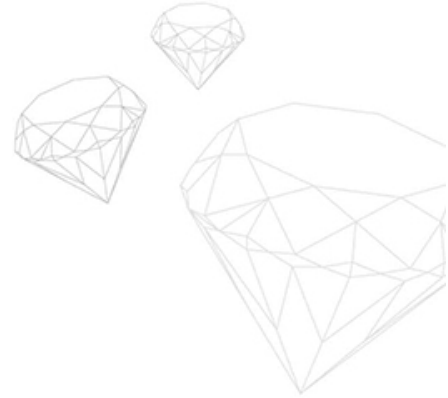
Idiotka, idiotka, idiotka.

Po co się tam pchałaś?

Miałam głupie szczęście nie tylko dlatego, że Vincent mnie nie nakrył, ale również dlatego, że przemykając do siebie, nie wpadłam na innego ze swoich braci. Moja misja była wyjątkowo idiotyczna i im więcej o niej myślałam, tym mocniej miałam ochotę uderzyć się w policzek. Co ja świruję? Czego szukam? Co spodziewałam się tam zwojować?

Nawet przestałam się już przejmować tym głupim pistoletem w bibliotece. To nie na moje nerwy. Musiałam przestać węszyć. Żaden ze mnie detektyw, a moje życie to nie powieść kryminalna. W zakazanym korytarzu Vince po prostu pracuje. Rzeczywiście przyjmuje klientów, sama byłam tego świadkiem. I jest zapracowany. Ledwo ktoś od niego wyszedł, a już zadzwonił ktoś następny. Ciężko pracuje, dzięki czemu stać go na różne rzeczy takie jak wypasione auta, wielki dom albo utrzymanie młodszej siostry.

A ja jestem niewdzięczna.



10

Wielki i głośny Dylan

Następnego dnia wciąż walczyłam z wyrzuceniem z głowy wspomnienia swoich dzieciennych zachowań, którymi byłam ogromnie zażenowana. Tak jak podejrzewałam, węszenie w okolicach gabinetu Vincenta nie dało mi nic prócz bezsennej nocy. Nienawidziłam tego, że zawsze się tak wszystkim przejmuję. Na dodatek to pierwszy raz, gdy usłyszałam dobiegające z dworu szczekanie psów. Ich ujadanie bardzo mnie dekoncentrowało, bo uzbdurałam sobie, że na terytorium Monetów szukają intruza, czyli mnie, i na pewno nie pomagało mi to w próbach zaśnięcia.

Nieco lepiej zrobiło mi się w szkole, bo mogłam zrzucić część ciężącej mi na wątrobie winy podczas rozmowy z Jasonem. Rechotał z tego, że wystarczyło, bym otworzyła pierwszą lepszą szufladę, i znalazłam w niej pistolet.

– Oni się nawet nie kryją – parsknął. – Gdybyś chciała naprawdę poznać tajemnicę swojej rodziny, to udałoby ci się to bez trudu, jestem o tym przekonany.

Zaczął mnie trochę irytować, bo jego dotychczasowe podjudzanie wcale nie wyszło mi na dobre. Poza tym zdawał się wcale nie przejmować tym, że szperanie, do którego mnie namawiał, naraża mnie na niebezpieczeństwo.

Moi mroczni bracia byli nieprzewidywalni i chciałabym, żeby Jason zaczął traktować ich choć trochę poważnie. Mógł mieć rację, że odkrycie ich tajemnicy nie musi być skomplikowane, ale na pewno bagatelizował fakt, że choć i bywali czasem nieuważni, z pewnością byli też niegłupi, co zresztą potwierdziło się już tego samego dnia po południu.

Siedziałam przed telewizorem. Korzystałam z okazji, bo widziałam, jak bliźniacy gdzieś wyszli, Dylana nie było nigdzie w zasięgu wzroku, napotkania Willa się nie obawiałam, a Vincent przecież i tak zawsze pracował. Nie spodziewałam się więc, że przeszkodziłby mi w oglądaniu telewizji.

Leżałam rozłożona na wygodnej kanapie, ciesząc się, że mam salon tylko dla siebie. Co prawda trudno mi było powstrzymać się przed zezowaniem co rusz na boki, bo wciąż nie czułam się zbytnio komfortowo w tym domu i tak naprawdę mogłaby mnie stąd wypłoszyć byle bzdura.

Włączyłam sobie pewien hiszpański serial na Netflixie i całkiem się w niego wciągnęłam, gdy nagle u mojego boku pojawił się Vincent. Podskoczyłam, gdy swoim zimnym tonem wymówił moje imię. Od razu zatrzymałam odtwarzanie, niczym na rozkaz, który wcale nie padł, i posłusznie poświęciłam mu swoją pełną uwagę. Widziałam go po raz pierwszy od czasu swojej wczorajszej wycieczki w zakazane rewiry domu i przez to dodatkowo czułam się onieśmielona, mając na sumieniu coś, co zrobiłam za jego plecami. Co więcej, miałam wrażenie, że widać to było po mnie doskonale. Niczym po dziecku, które z buzią wysmarowaną czekoladą stara się ukryć przed rodzicami fakt wyjedzenia ciasteczek.

– Chcę ci coś pokazać – zapowiedział Vincent i z tą swoją elegancją pozwolił sobie przysiąść obok mnie.

Szybko się wyprostowałam, żeby zrobić mu miejsce, i zachodziłam w głowę, co takiego, na Boga, Vincent mógłby chcieć, żebym zobaczyła. Wtedy dopiero dostrzegłam, że w rękę trzymał tablet.

Znajdował się bardzo blisko mnie, a Vince będący tak blisko mnie zawsze sprawiał, że moje ciało spinało się z nerwów. On sam był zupełnie wyluzowany. Siedział sobie zwyczajnie, jak to on pełen gracji, i wręczył mi swoje urządzenie, od razu naciskając przycisk play.

Za bardzo zdezorientowana, żeby się zaintrygować lub zaciekawić, skupiłam się po prostu na ekranie, próbując rozgryźć, co on mi właściwie pokazuje. Jakiś korytarz. Nagrany z góry, z dziwnego kąta. Drzwi, lampy, podłużny hol...

Znieruchomiałam.

Właśnie wtedy na ekranie pojawiła się jakaś dziewczyna i minęły dobre dwie sekundy, zanim zrozumiałam, że to ja. Hailie z nagrania wyglądała zza winkła. Patrzyła na drzwi, a potem chwilę stała przed nimi. Gdy się przewróciła i uciekła za kanapę, jednocześnie zniknęła sprzed oka kamery. Wiadomo było jednak, że ciągle tam siedziała, nawet gdy w polu widzenia zjawili się Vincent i jego niewysoki, łysiejący gość, który kłaniał mu się nisko.

Czułam, że zaczynam drzeć. Bliskość prawdziwego Vincenta nie pomagała. Byłam bardziej niż pewna, że szczegółowo obserwuje moją reakcję. Zrobiło mi się gorąco. Wiedziałam, co jest dalej na nagraniu, ale wciąż je oglądałam, nie mając chyba specjalnie innego wyjścia.

Na filmiku pojawił się trzeci mężczyzna. Sonny – jak się domyśliłam – był blondynem, wysokim i szerokim w barach. Ubrany był w garnitur, a gdy stanął bokiem do kamery, zobaczyłam, że w uchu ma słuchawkę. Oglądałam teraz wszystko to, czemu wcześniej mogłam się tylko przysłuchiwać. Vince stał przez chwilę pod swoim gabinetem, odprowadzając gościa wzrokiem, gdy ten odchodził eskortowany przez Sonny'ego, a potem wyciągnął telefon i przyłożył go do ucha.

Prawdziwy Vince nachylił się ku mnie.

– To wtedy jeden z moich ludzi, ochroniarz, zadzwonił do mnie i przekazał, że tuż obok za kanapą siedzi jakaś dziewczynka.

Przymknęłam powieki, nie będąc w stanie poradzić sobie z uczuciem zażenowania tak głupią wpadką.

No oczywiście, że miał tam kamery. I najwyraźniej ochroniarza, który bacznie obserwował transmitowany przez nie obraz. Gdyby więc Vince zechciał przyłapać mnie na gorącym uczynku, mógł to zrobić bez problemu. Dlaczego więc wtedy mi odpuścił?

Nie będąc w stanie się ruszyć, czekałam, aż filmik się skończy. Vince uprzejmie wyciągnął swój tablet z moich rąk chwilę po tym, jak kamera zarejestrowała moją ucieczkę. Odłożył go na bok. Ja patrzyłam w dół, na swoje splecione palce.

– Zamieniam się w słuch.

– Ja... – zaczęłam, ale kompletnie nie wiedziałam, co powiedzieć.

Mój brat czekał cierpliwie. Oddałabym wszystko, byle móc się od niego odsunąć. Onieśmiał mnie brak dystansu między nami, ale nie miałam za bardzo jak się ruszyć, bo siedziałam wciśnięta między niego a ogromną poduchę.

– Ja się źle czułam – wypaliłam, a brwi Vince’a powędrowały do góry.

– Co to za wytłumaczenie?

W jego głosie pobrzmiwała irytacja. Nie lubił, gdy ktoś wciskał mu głupoty. Odchrząknęłam, by kupić sobie chwilę na zebranie myśli.

– Rozłądował mi się telefon, a ja się źle poczułam, chciałam poprosić o tabletkę. Zdawało mi się, że nikogo innego nie ma w domu... Dlatego tam poszłam, do ciebie.

– Dlaczego więc do mnie nie dotarłaś?

– No... gdy już tam byłam, to zmieniałam zdanie... Pomyślałam sobie, że może jednak nie powinnam była tam przychodzić. – To akurat zabrzmiało dobrze, bo było szczerze.

– Nie powinnaś była – zgodził się chłodno. – W tym samym czasie Dylan był w garażu, a Tony w swojej sypialni. Gdybyś ich poszukała, znalazłabyś.

– Zamilkł na chwilę, po czym poczułam na sobie jego pełen dezaprobaty wzrok. – Nie rozumiem, dlaczego twoim pierwszym wyborem był mój gabinet, zwłaszcza że wyraźnie prosiłem cię, byś nie kręciła się w jego pobliżu.

– Ja... ja... nie wiem – wyjąkałam, rozdrapując do krwi skórę przy swoim kciuku. Och, przecież gdybym tylko mogła cofnąć czas, to w życiu bym się tam nie wpakowała. – Przepraszam, więcej tam nie pójde bez powodu, słowo.

Nastąpił znowu moment ciszy i czekałam, spodziewając się, że Vince da mi zaraz szlaban na telewizję w ramach kary lub coś w tym stylu. On jednak

chyba nie miał takich planów, a mnie zrobiło się głupio, że znowu go okłamałam. Nigdy chyba jednak nie odważyłabym się powiedzieć mu prawdy, gdyby nie nagła myśl, która przyszła mi do głowy.

A co, jeśli w bibliotece też były kamery?

Co, jeśli Vincent wie, że znalazłam broń na chwilę przed swoją próbą wtargnięcia do jego gabinetu? Może czeka, aż sama się do tego przyznam? Bo inaczej dlaczego wciąż tu siedzi?

– Czy chciałabyś powiedzieć mi o czymś jeszcze?

To pytanie zadał chłodnym i spokojnym tonem. Zorientowałam się, że obserwował mnie uważnie, prawdopodobnie widząc ślady wewnętrznej walki na mojej twarzy. Teraz już trudno mi było stwierdzić, czy wiedział o pistolecie wcześniej, czy może dopiero teraz odkrywał, że coś kręcę.

– Hailie, ja nie mam całego dnia.

– Nic takiego. – Spróbowałam się uśmiechnąć, co było błędem, bo stres sprawił, że bardziej się skrzywiłam.

Teraz to już na pewno wiedział, że coś jest na rzeczy. Zmrużył lekko oczy, świdrując mnie wzrokiem. Im dłużej się nie ruszał, tym bardziej byłam przekonana, że popełniłam błąd i że nie było sensu dalej brnąć w zaparte.

Wzięłam głęboki wdech i pokiwałam głową, za nic nie mogąc spojrzeć mu w oczy.

– No może jest coś, o czym powinnam ci powiedzieć.

– Słucham.

Wtedy cichym głosem opowiedziałam mu o tym, jak wczoraj wieczorem w bibliotece przerwałam w pewnym momencie lekturę i przeglądając szuflady, natknęłam się na broń. Zerkając na niego nieśmiało raz po raz, mogłam rzec, że wciąż trudno mi było ocenić, czy znał prawdę już wcześniej, czy dopiero się o niej dowiedział.

– Czekaj, co?!

Vincent miał twarz jak z kamienia i za bardzo nad sobą panował, nie musiałam więc nawet na niego patrzeć, by wiedzieć, że to nie jemu wyrwał się ten okrzyk. Niestety, na moje nieszczęście świadkiem moich tłumaczeń okazał się też Dylan, który pojawił się właśnie w salonie. Miał wilgotne,

rozczochrane włosy i ręcznik przerzucony przez barki. Nie pofatygował się, by założyć koszulkę, ale już się przyzwyczaiłam, że często pomykał po domu półnago. Skończył chyba właśnie trening w siłowni i musiał przystanąć w holu.

Miałam ochotę wytknąć mu, że podsłuchuje, ale brakowało mi odwagi, no i to chyba nie był dobry moment. Wreszcie Vince zareagował na moje słowa – zmarszczył brwi, widocznie niezadowolony z tego, co ode mnie usłyszał. Zignorował też Dylana i była to kolejna umiejętność, której mu pozazdrościłam, bo ja nie potrafiłam udawać, że mój wielki, wredny brat nie wgapia się we mnie właśnie ze złością.

– Mówisz o pistolecie w bibliotece? – upewnił się, robiąc kilka gwałtownych kroków w przód.

Miałam nadzieję, że nie było widać tego, jak się w sobie skuliłam. Kiwnęłam głową i kątem oka zerknęłam na Vincenta, niemo błagając o ratunek przed wściekłym Dylanem. Nie rozumiałam, dlaczego on w ogóle się tak denerwuje.

– Zgaduję, że ty go tam zostawiłeś – powiedział mój opiekun ze względny spokojem. Widać było, że pojawienie się Dylana nie zrobiło na nim szczególnego wrażenia.

– Nawet jeśli, to nie leżał przecież na widoku, a w szufladzie, i to z jebanym kluczem. – Zrobił jeszcze kilka dużych kroków, wkraczając tym samym na środek salonu, niczym aktor, który pojawia się na scenie w idealnym momencie, by wypowiedzieć swoją kwestię. – Nieźle musiałaś tam szperać, co?

Przełknęłam ślinę i spuściłam wzrok, wystraszona powagą i furią widoczną w jego ciemnych źrenicach.

– Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak wyglądało...

– Ale tak to właśnie wygląda.

– Uspokój się, Dylan. Rozumiem, że zapomniałaś zabrać klucz i zostawiłaś go w zamku? Skoro tak, to pretensje możesz mieć do siebie – stwierdził Vincent, po czym zwrócił się do mnie: – Mam nadzieję, że zostawiłaś broń tam, gdzie ją znalazłaś.

Skinęłam prędko głową.

– I nie dotykałaś jej?

Zawahałam się.

– Żartujesz sobie?! – huknął Dylan, a ręcznik zsunął mu się z barków. – Wzięłaś ją do ręki? Z jakiej niby racji, co?!

Głos uwiązał mi w gardle i znowu kątem oka spojrzałam na Vincenta.

– Dylan – upomniał go.

– Co? Chcę wiedzieć, co nasza mała siostra ma w głowie. – Spojrzał na mnie. – Co ty sobie myślałaś?

– Nie wiem... – wyszeptałam, a głos mi się załamał. Dylan, taki wielki i głośny, wyjątkowo mnie przerażał.

– Nie wiesz? Nie pierdol mi tu teraz kocopołów! Nie masz prawa ruszać takich rzeczy i lepiej to sobie zapamiętaj. Wiesz chociaż, jak ich używać? Pistoletów? Wiesz? No właśnie, tak myślałem! To nie jest zabawka dla dzieci!

– Dylan.

– Dawno nikt mnie tak nie wkurwił... Masz szczęście, że jesteś moją siostrą, bo przysięgam...

– Dylan – syknął Vincent, tym razem lodowato i z mocą, po czym dodał tylko trochę spokojniej, gdy nasz brat wreszcie zamilkł: – Wystarczy.

Dylan kipiał złością, a ja z kolei nie znosiłam dobrze jego agresywnego wykładu. Rozpłakałam się, tym razem nie przejmując się trzymaniem fasonu nawet w obecności braci. Zawsze bardzo źle znosiłam to, gdy ktoś na mnie krzyczał. Zwłaszcza tak głośno i wulgarnie. Zwłaszcza kiedy był to mój starszy, niezbyt dobrze znany mi brat, którego trochę się obawiałam. No i zwłaszcza kiedy wiedziałam, że miał rację. Nie powinnam była dotykać tego pistoletu.

– Hailie, to, co zrobiłaś, było niemądre. Popatrz teraz na mnie – rozkazał mi Vincent. To niesamowite, jak bardzo potrafił się kontrolować i być cały czas tak chłodny i opanowany, podczas gdy Dylan wybuchł jak bomba. Uniosłam oczy na swojego najstarszego brata, a obraz jego surowej twarzy rozmywał się przez łzy w moich oczach. – Jeśli jeszcze raz kiedykolwiek znajdziesz w tym domu pistolet, a nie ukrywam, że jest to bardzo możliwe, nieważne, jakbyśmy się starali temu zapobiec, nie wolno ci go dotykać ani

najlepiej nawet na niego patrzeć. Masz go zostawić, tam gdzie jest, i poinformować o nim któregoś z nas, rozumiano?

Pokiwałam głową, pociągając nosem i unikając patrzenia na Dylana.

– Prosiłbym, żebyś użyła słów, droga Hailie. Zależy mi, żeby twoja odpowiedź była możliwie jak najbardziej czytelna i dla mnie, i dla ciebie samej.

– Tak, rozumiano – odmruknęłam ledwo słyszalnie, pocierając policzki.

– Wnioskuje, że wcale nie przyszedł wczoraj do mnie, bo się źle czuł?

– Chciałam porozmawiać o tym, co zobaczyłam, ale stchórzyłam – przyznałam.

– Mhm, czyli skłamałaś?

Nie podnosiłam głowy.

– Rozumiem. – Chwila ciszy. – Jak prosiłem cię na początku, nie przychodź więcej do skrzydła, w którym pracuję.

– Nie będę.

– Nie zamierzam się powtarzać, więc zapamiętaj te proste zasady, bo jeśli nie będziesz potrafiła ich przestrzegać, to zadbam o to, żeby ktoś pilnował tego za ciebie. A jesteś chyba już za duża na opiekunkę, czyż nie?

Zacisnęłam szczękę, sfrustrowana protekcyjnością jego słów. I to jeszcze wypowiedzianych przy Dylanie, który wciąż stał nad nami nabuzowany, jakby czekał tylko na okazję, by jeszcze trochę powrzeszczeć.

– Tak – potwierdziłam.

– Dobrze więc. Pamiętaj, proszę, że nie rzucam słów na wiatr – podsumował beznamiętnie Vincent. Wyprostował się i podniósł, jedną ręką przyciskając do piersi tablet, a drugą chowając do kieszeni. Rzucił mi spojrzenie z góry, po czym przeniósł je na Dylana i syknął cicho: – A ty bądźże na przyszłość ostrożniejszy.

Zignorowałam ciarki na plecach, uszczęśliwiona, że w tak nieprzyjemny sposób Vince przynajmniej nie zwracał się do mnie. Natomiast reakcją Dylana na słowa starszego brata było demonstracyjne wyjście z salonu wzburzoną krokiem. Vincent nie przejął się tym w ogóle i z godnością ruszył za nim.

– Vince? – zawołałam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Przystanął na progu.

– Tak?

– Eee... Tak właściwie, to... dlaczego udawałeś, że nie wiesz, że siedzę za tą... kanapą? – Zarumieniłam się ze wstydu, ale ciekawość wygrała. – No i dopiero teraz przyszedłeś porozmawiać ze mną o tym wszystkim.

Po raz pierwszy tego popołudnia kącik jego ust się uniósł, świadcząc o niewielkim rozbawieniu.

– Cóż... powiedzmy, że byłem ciekaw, jak to rozegrasz. I należało ci się trochę stresu za karę.

Z tymi słowami zostawił mnie w salonie samą, a ja utwierdziłam się w przekonaniu, że Vincent ma zadatki na sadystę. I choć to jego ze wszystkich braci bałam się chyba najbardziej, do sypialni uciekłam głównie w obawie przed tym, że do salonu mógłby wrócić rozdrażniony Dylan.



11

Czas

Końcówka listopada oznaczała kilka rzeczy.

W Pensylwanii zawitała zima i absolutnie nikogo nie oszczędzała. Temperatury bardzo się obniżyły, niebo zrobiło się ponure, a wichry huczały złowrogo prawie co noc. Wstawanie rano do szkoły stało się prawdziwie bolesne.

Zbliżało się też Święto Dziękczynienia, o czym dowiedziałam się przez przypadek, gdy Mona i Audrey ekscytowały się wizją długiego weekendu. Słyszałam o nim, ale sama naturalnie nigdy go nie obchodziłam. Jedyne, co mogłam powiedzieć o tym święcie na podstawie filmów i książek, to że ludzie dziękują wtedy za różne rzeczy, a na obiad podaje się indyka. Pomijając już fakt, że nie wiedziałam nawet, czy przepadam za indykiem, większym i bardziej zatrważającym problemem był mój brak pomysłu, za co mogłabym podziękować. Przeżywszy niedawno tak wielką tragedię, nie potrafiłam się zmusić do odczuwania jakiegokolwiek wdzięczności.

Mona powiedziała mi, że to słodkie rodzinne święto. Audrey podkreśliła, że jego piękno polega na zjednoczeniu się na ten jeden dzień wszystkich Amerykanów, którzy na co dzień przecież różnią się od siebie tak bardzo

pochodzeniem czy wyznaniem. Gdy zagadnęłam o to Willa, nakreślił mi zaplecze historyczne, a Shane obiecał po prostu górę pysznego jedzenia.

To pogrzebało moje nadzieje, że w domu Monetów się tego święta nie obchodzi. Wręcz przeciwnie, zgodnie ze słowami Audrey czwarty czwartek listopada okazał się dniem, który chyba naprawdę miał w tym kraju specjalne znaczenie dosłownie dla wszystkich. Życzliwa atmosfera dotarła więc nawet do rezydencji moich braci. Tony z Shane'em żartobliwie przepychali się od rana, a nawet Vincent zdawał się mniej spięty. Dylan zapytał wesoło, „jak leci”, gdy po swoim porannym treningu natknął się na mnie w kuchni. Potem z pół godziny zajęło mi wyjście z ciężkiego szoku, zwłaszcza że wciąż pamiętałam mu, jak na mnie nakrzyczał za sprawę z bronią.

Eugenie spisywała się na medal, przygotowując dla nas prawdziwą ucztę, a do pomocy tego dnia ściągnęła nawet swoją córkę. Spędziłam z nimi całą pierwszą połowę dnia, zafascynowana towarzystwem kobiet w rezydencji. Córka Eugenie przez cały czas była dość nieśmiała, peszyło ją zwłaszcza, gdy któryś z moich braci zaglądał na chwilę do kuchni, ale uciełyśmy też sobie kilka miłych pogaduszek. Nauczyłam się piec tartę dyniową i jedynym minusem przebywania z nimi dwoma było patrzenie na matczyną czułość, z jaką Eugenie odnosiła się do córki. Świadomość, że ja nie zaznam jej już nigdy, bolała za bardzo.

Obawiałam się usiąść z braćmi przy jednym stole i zjeść tak oficjalny obiad. Przyzwyczaiałam się, że oni jak koty podążają swoimi ścieżkami i lubiłam to nawet, bo przynajmniej mogłam na spokojnie być ignorowana przez Tony'ego lub uciekać przed wrednymi uśmieszkami Dylana czy badawczym spojrzeniem Vincenta. Już zapomniałam, jak w przeszłości pozytywnie zaskoczyło mnie nasze wyjście do restauracji – a Święto Dziękczynienia okazało się podobną niespodzianką.

Usiedliśmy wszyscy przy suto zastawionym stole w kuchni, gdzie poza masą dań na środku znajdował się imponujący, wysoki świecznik, taki z grubą rzeźbioną nóżką. Podczas gdy moim braciom ciekła ślinka na widok wielkiego, świeżo upieczonego indyka, ja swoją przełknęłam dyskretnie, gdy Vincent złapał w dłoń ogromny nóż, żeby tego indyka pokroić. Nie wierzyłam, że zniknie tego dnia prawie w całości, ale nie doceniłam swoich żarłocznych braci. Mnie też nawet posmakował. Skubałam delikatne mięso,

zagryzając je purée ziemniaczanym i sosem z żurawiny, i przysłuchiwałam się rozmowom chłopaków. Zaczynałam coraz bardziej łapać ich humor i rozumiałam coraz więcej amerykańskich wyrażań, którymi się posługiwali. Ulżyło mi też, że ostatecznie wcale nikt nie kazał mi na głos spowiadać się z tego, za co chcę podziękować.

Mimo iż było to moje pierwsze Święto Dziękczynienia, miałam wspominać je raczej z uśmiechem i ulgą. Niestety, czas leciał dalej i wkrótce uderzyło mnie, że przecież niedługo nadejdzie Boże Narodzenie. Święta, które znałam i obchodziłam co roku w towarzystwie dwóch najważniejszych osób w swoim życiu, a osób tych po raz pierwszy w tym wyjątkowym okresie miało przy mnie nie być.

Bezlitosne bombardowanie mikołajami i choinkami na każdym kroku zaczęło się wcześniej, niż powinno. Odczuwalne to było nawet dla mnie, mimo iż przez większość czasu przesiadywałam w Rezydencji Monetów, która na szczęście była tutaj wyjątkiem i której długo nikt nie pofatygował się tknąć bożonarodzeniowym czarem. Nie wiedziałam nawet, w jaki sposób odbywa się tutaj celebrowanie tych szczególnych świąt, ale tym razem nie zamierzałam pytać. Święta Dziękczynienia się bałam, bo go nie znałam. Gwiazdkę zaś, przeciwnie, znałam, i to aż za dobrze.

Drżałam na samą myśl, że miałabym ubrać choinkę, upiec ciasto, rzucić się w wir poszukiwania prezentów i znowu zasiąść wspólnie ze swoją nową rodziną przy stole. Żeby nie została źle zrozumiana, zwykle uwielbiałam święta. Teraz po prostu przypominały mi one o jednym smutnym fakcie – że te tegoroczne odbędą się bez mamy.

Na widok reklam w telefonie chciało mi się płakać, na widok lampek i bombek w szkole wymiotować. A jakby tego cierpienia było mi mało, trzydziesty listopada wiązał się z jeszcze jedną smutną dla mnie okolicznością.

Moimi piętnastymi urodzinami.

Dawniej uwielbiałam urodziny nie mniej niż Gwiazdkę. Mama zawsze dbała o to, żebym tego dnia była traktowana wyjątkowo, i stawała na rzesach, by umilić mi każdą chwilę. Nie oczekiwałam, że moi bracia także będą nosić mnie na rękach. Na dobrą sprawę wolałabym, żeby wszyscy zapomnieli o tym wydarzeniu.

O tym jednakże, jak bracia Monet miesza mi w głowie, mogłabym nagrać z dziesięć filmów. Nie wiedziałam, co o nich myśleć, jak ich traktować. Kiedy zagadywał mnie Will, czy nawet Shane, często udawało mi się poczuć sympatię do nowego rodzeństwa i wierzyłam, że chłopcy jednak nie są tacy źli. Potem zwykle pojawiał się Tony lub Dylan, którzy swoją złośliwością na powrót sprawiali, że podawałam w wątpliwość kwestię swojej przynależności do tej rodziny. No a na koniec wkraczał Vincent, którego prawdziwych myśli odgadnąć nie potrafił nikt.

To z powodu tej niekończącej się sinusoidy wzlotów i upadków jeszcze bardziej obawiałam się swoich urodzin, zwłaszcza gdy Will zapowiedział, bym nic sobie na ten wieczór nie planowała.

Nie żeby mój kalendarz był już wypełniony. Jediną osobą, od której spodziewałam się dostać wiadomość z życzeniami, była Roxane. Właściwie byłam zdeterminowana, by ukryć przed światem fakt, że ostatniego dnia listopada kończę piętnaście lat. Początkowo udało mi się nawet zataić to przed Moną i Audrey, które mimo swojego przyjaznego nastawienia wiedziały o mnie tyle co nic, a nawet jeszcze mniej. Istniała jednak jedna osoba, której dobrowolnie przyznałam się do nadchodzących urodzin.

Jason wybałuszył oczy, a jego zarzucona luźno na moje ramiona ręka lekko opadła, gdy wygiął się tak, by spojrzeć mi w twarz.

– O kurczę, serio? Nic nie mówiłaś.

– Teraz mówię – odparłam ze wzrokiem wbitym w łazienkowe kafle. – Ale nie chcę robić z tego żadnego halo.

– Nie? – Jason uśmiechnął się psotnie. – To po co mi o tym powiedziałaś?

Rzuciłam mu zaskoczone spojrzenie, a on się zaśmiał, przybliżając nieco swoją twarz do mojej i bardzo mnie tym dekoncentrując.

– Chciałabyś dostać ode mnie prezent? – zapytał szeptem, a na moje policzki natychmiast wstąpiły rumieńce i odsunęłam głowę od niego tak gwałtownie, że gdyby ściana za mną znajdowała się choć trochę bliżej, to niezłe bym się uderzyła.

– Jason! – zawołałam. – Przestań, to nieprawda. Wiesz, że w ogóle nie o to chodzi. Jak mogłeś tak pomy...

– No już – zaśmiał się, a jego dłoń musnęła mój policzek, jakby chciała się przekonać, czy jest tak gorący, jak czerwony. – Przecież żartuję tylko.

– Słabe masz te żarty.

– Hej, no, nie bądź taka. Obrażalska.

– Nie chcę żadnych głupich prezentów.

– Dobrze, żadnych głupich prezentów – zgodził się. – A jedna mała głupia randka może być?

Serce zabiło mi szybciej na samo słowo „randka”. Może jego wydźwięk brzmiał dla mnie tak dojrzałe i egzotycznie, bo jeszcze nigdy na żadnej nie byłam? Randka kojarzyła mi się z kolacją i świecami, czerwoną szminką i muzyką klasyczną. Natomiast żadna z tych rzeczy nie pasowała mi ani do mnie, ani nawet do Jasona.

– No co tak patrzysz – zadrwił. – Do końca życia chcesz się widywać w kiblu?

– Nie – zaprotestowałam, starając się zebrać w sobie i zareagować na propozycję Jasona z nieco większą gracją niż rozdziawiona buzia. – Nie, tylko że przecież nie bez powodu się tutaj ukrywamy. Moi bracia, pamiętasz?

– Nie widzę problemu.

– Ja za to widzę ich aż pięć.

– Spójrz no, nie musisz przecież mówić im wszystkiego. Spotkamy się na przykład w galerii handlowej. Równie dobrze możesz udawać, że umówiłaś się w niej po prostu z koleżankami.

– Ja nie mam koleżanek.

– A Mona i ta druga? Aubrey?

– Audrey – westchnęłam. – Nigdy nigdzie z nimi nie wychodziłam. Od czasu... gdy zamieszkałam z braćmi, moje życie towarzyskie nie istnieje.

– Cóż, no to czas najwyższy je odbudować, co nie? – Jason złapał mnie za ramiona i pochylił się, a okrągłe oczy świeciły mu się z podekscytowania. I bardzo utrudniały mi protesty.

– Może... – odparłam wymijająco.

– Wiem, pójdziemy do kina, bo tam jest ciemno i nikt nas nie rozpozna – zaplanował na poczekaniu, uśmiechając się coraz szerzej do swoich

postanowień.

– Ale... A to Monę i Audrey też mam tam zaprosić? – Zmarszczyłam brwi.

– Hailie, to ma być randka, a nie spotkanie klasowe. One mają robić tylko za przykrywkę. Niech sobie pochodzą po galerii, a my pójdziemy na film. Sami. To naprawdę dobry plan, nie ma co się w nim nie udać.

– Nie wiem, czy chcę ich tak okłamywać... – wymamrotałam.

– Nie musisz kłamać – przekonywał mnie Jason. Teraz już klęczał naprzeciwko mnie i trzymał mnie za nadgarstki, swoją lekką nachalnością sprawiając, że żałowałam, iż w ogóle mu się o tych urodzinach wygadałam. – Powiesz im, że chcesz zobaczyć się z dziewczynami, i naprawdę się z nimi zobaczysz. Gdzie tu kłamstwo? Powiesz, że idziesz do kina. Nie musisz precyzować z kim. I w ogóle, że ja tam będę. No i co, nie brzmi to genialnie? Moim zdaniem brzmi.

Westchnęłam nieco pokonana. Część mnie uważała, że ekscytacja Jasona jest urocza. Inna część naprawdę szczerze ją nawet podzielała. Wyobraziłam sobie choć przez sekundę, jak wspaniale byłoby pobyć z Jasonem w miejscu innym niż ta niezbyt czysta łazienka. Dałam się ponieść tej wizji za bardzo i w rezultacie trudno było teraz mi się jej tak po prostu pozbyć.

Czekająca mnie w związku z tymi postanowieniami misja bardzo mnie stresowała, poczynając od zaangażowania w mój niecny plan Monę i Audrey. Nie chciałam ich okłamywać, dlatego zdecydowałam się zaryzykować i wyłożyć kawę na ławę podczas lunchu. Przyznałam im się do tego, że czasem widuję się z Jasonem, na co one zaczęły piszczeć jak nienormalne. Chyba jeszcze na nic, co kiedykolwiek im powiedziałam, nie zareagowały tak energicznie i hałaśliwie. Musiałam je uspokajać, żeby nie przyciągnęły ciekawskich spojrzeń, na przykład tych ze stolika Monetów.

– Jason? Jason, serio?

– O kurczę, twoi bracia by go rozszarpali, gdyby wiedzieli!

– Dlatego nie chcę, żeby wiedzieli – syknęłam, starając się uciszyć je groźnym spojrzeniem. Nie udało mi się jednak wymazać nim głupkowatych uśmiechów z ich twarzy.

– Ale że serio Jason?

– Jak wam się udaje widywać bez ich wiedzy?

– A czemu nie on? No i... dobrze się ukrywamy – odpowiadałam, jednocześnie rzucając trochę nazbyt nerwowe spojrzenia za siebie.

– Jason ma podejrzaną reputację – poinformowała mnie natychmiast Mona tonem znawczyni.

– Według was w tej szkole każdy ma podejrzaną reputację.

Nawet jeśli zabrzmiałam nieco niegrzecznie, to dziewczyny chyba tego nie zauważyły, bo w tym samym czasie Audrey drgnęła, jakby coś sobie przypomniała, po czym zwróciła się do Mony:

– To on gapił się wtedy tak długo na twoje piersi? Wtedy, na wuefie?

– Nie wiem, może. – Mona zagryzła wargę, zerkając na mnie niepewnie.
– Nie pamiętam.

– Och, to nic – zreflektowała się szybko Audrey i machnęła lekceważąco w stronę przyjaciółki. – Jakby wiesz, to nieważne, wszyscy gapią się na jej piersi, są wielkie. To pewnie w ogóle nie był Jason.

Spuściłam wzrok, żałując trochę, że poruszyłam ten temat. Te dziewczyny nie były mi na tyle bliskie, by to robić. Nie spodobał mi się też ten supeł, który zacisnął mi się w żołądku na myśl o Jasonie patrzącym na Monę. Ostatecznie jednak zapoznałam je z uknutym przez nas planem, bo skoro już przyznałam im się do tego, że się widujemy, to chciałam chociaż zrobić z tego użytek. Dziewczyny zareagowały jeszcze głośniejszym piskiem, gdy niechętnie poinformowałam je o swoich urodzinach. Zdawały się też nie mieć większego problemu z faktem, że chciałam je wykorzystać. Cieszyły się, że pojawiła się przed nimi perspektywa ciekawego planu na weekend. Ku mojemu niepokojeniu poszły też o krok dalej i zaczęły myśleć o wspólnym nocowaniu, które mogłybyśmy zaaranżować sobie po mojej randce. Już od jakiegoś czasu próbowały niećnie mnie do tego przekonać, a ja oczywiście zawsze się wymigiwałam. Tym razem nie wypadało mi odmówić, biorąc pod uwagę to, jak wielką przysługę mi robiły. Poza tym, jak słusznie zauważyła Mona, wtedy jeszcze łatwiej będzie mi ukryć prawdę przed braćmi.

Gdy przyszło co do czego, stanęłam przed najtrudniejszym, w swoim odczuciu, punktem tej misji. Poszłam do Willa, upewniwszy się wcześniej,

że porozmawiam z nim sam na sam. Bawiłam się palcami, prosząc go o pozwolenie spędzenia weekendu na spotkaniu z koleżankami, a w ustach zaschło mi nie tylko od stresu, ale też od wyrzutów sumienia, które zaatakowały mnie, jak tylko kłamstwo wyszło z moich ust.

Will wyglądał, jakby się ucieszył, że jednak mam jakieś życie poza szkołą. Nie obyło się bez wypytania o Monę i Audrey oraz program naszego wyjścia, ale generalnie nie miał problemu z moimi sobotnimi planami. Polecił mi jednak poinformować o nich Vincenta tak szybko, jak to możliwe. Tak też zrobiłam i było to zdecydowanie jeszcze bardziej stresującym doświadczeniem niż rozmowa z Willem.

Vincent wbił we mnie poważne i intensywne spojrzenie. Nie uśmiechał się, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że najchętniej zamknąłby mnie w domu na cztery spusty i nigdy nigdzie nie wypuszczał. Gdybym wychodziła częściej, może by mnie to zdenerwowało, ale tak tylko zignorowałam jego lekkie niezadowolenie, zwłaszcza że ostatecznie niczego mi nie zabraniał, a wręcz przeciwnie, wyraził zgodę nawet na nocowanie.

Dobrą kartą przetargową okazał się argument o moich urodzinach. Jak się szybko przekonałam, w rodzinie Monet ten koncept poruszano nieco inaczej, niż byłam przyzwyczajona. Nie otrzymałam ani jednego prezentu od swoich braci i może dziewięcioletnia wersja mnie, hołubiąca długą listę pożądanych podarków byłaby zawiedziona, ale obecnej Hailie z całą pewnością taki stan rzeczy odpowiadał. Oszczędziło mi to zakłopotania, wymuszonych uśmiechów i tysiąca uprzejmych podziękowań, które wreszcie na pewno stanęłyby mi w gardle.

Will jako jedyny poczuł potrzebę wyjaśnienia mi ich tradycji i – nie powiem – zwyczaję mojej nowej rodziny na pewno zdołały mnie co najmniej zafascynować.

– Nigdy nie dostawaliśmy rzeczy na żadne okazje. Zamiast tego świętujemy wszelkie uroczystości wszyscy razem. Nasz ojciec zawsze uważał, że najlepszy prezent, jaki możemy podarować komuś na urodziny czy w święta, to czas.

Gdzieś tam w środku złapało mnie to za serce i na powrót zaczęłam męczyć samą siebie wyobrażeniami Camdena Moneta, człowieka, który przecież był i moim ojcem. Jakim cudem, będąc taki oddany rodzinie i mając

tak głębokie wartości, zupełnie ignorował fakt posiadania córki? Co z czasem poświęconym mnie? Tak okropnie mi się to gryzło. Camden mnie jednocześnie fascynował i degustował.

Co mnie miło zaskoczyło, to faktyczny przebieg mojego urodzinowego wieczoru. Tak jak Will zapowiedział, spędziłam go z braćmi. Pozwolili mi wybrać, czy życzę sobie wyjść do restauracji, czy może wolałabym zostać w domu, i bardzo chętnie zdecydowałam się na tę drugą opcję, pamiętając, że następnego dnia czekało mnie spotkanie z Jasonem. Co za dużo wyjść w jednym tygodniu, to niezdrowo.

Tak, wiem, nudziara ze mnie.

Tych decyzji, które kazano mi podjąć, było zbyt wiele i zupełnie nie wiedziałam, co zaproponować, gdy Will zapytał, skąd chciałabym zamówić jedzenie. Nie wiedziałam, co chłopcy lubią, a czego nie, i ciągle się wahałam, nawet gdy Will przysiągł, że nasi bracia pożrą absolutnie wszystko, co tylko nadaje się do zjedzenia. Wreszcie jednak uznałam, że chyba wszyscy przepadają za pizzą, więc ostatecznie wybrałam właśnie to neutralne danie.

Moim skromnym zdaniem był to strzał w dziesiątkę, bo moje rodzeństwo rozwaliło się w salonie z pudełkami pizzy w tak naturalny sposób, że aż – dla odmiany – miło było na nich popatrzeć.

Will przyniósł nam napoje z lodówki, Tony wybierał ze swojej pizzy pieczarki, Shane złożył jeden kawałek na pół i połknął go na raz, Dylan ufajdał się sosem pomidorowym i zaczął przeklinać, a wtedy Vince rzucił w niego rolką ręczników papierowych.

Nawet on się wyluzował, słowo daję. Nie zerkał wечно na zegarek ani nie siedział w telefonie. Czas, który mi podarował, był w stu procentach poświęcony celebrowaniu moich urodzin, co sprawiło, że poczułam się ważna i doceniona, i to właśnie za to uczucie byłam mu najbardziej wdzięczna.

Nie mogłam się powstrzymać i w głowie cały czas wyobrażałam sobie, jak by ten dzień wyglądał, gdybym była teraz z mamą i babcią. Ta druga upiekłaby mi wypasiony tort i narobiła masę jedzenia, z mamą zagrałybyśmy pewnie w jakąś grę, no i oczywiście dostałabym prezent, taki materialny. To

też nie był najgorszy scenariusz. Moja mama w końcu też zawsze dawała mi swój czas. Tylko że teraz niestety już go nie miała.

Co pewien moment, atakowana takimi myślami, smutniałam, ale wtedy Shane mówił coś głupiego albo Dylan robił coś zabawnego, a ja pozwalałam się tym rozśmieszyć.

Na deser pojawił się tort, taki z piętnastoma świeczkami i świeżymi truskawkami ułożonymi na wierzchu. Wniosła go Eugenie, która odpowiadała za jego przygotowanie, i tak bardzo rozczulił mnie ten widok, że trudno było mi ukryć łzy. Może głupio to teraz przyznać, ale ja naprawdę nie spodziewałam się po swoich strasznych braciach takiego zaangażowania. Zostały mi złożone oficjalne życzenia i podziękowałam każdemu, zdmuchując na koniec świeczki, a kupiona chwilą rozczulenia zażyczyłam sobie w myślach poczucia przynależności do rodziny Monet.

Po uczcie deserowej znowu zabraliśmy się za dojadanie pizzy, tym razem przy akompaniamencie filmu, który za moją zgodą wybrali bliźniacy. Był to jakiś durnowaty horror i udawałam, że wcale się nie boję. Dylan rechotał co chwila z idiotycznych scen, a Vince wywracał oczami, jakby sam nie dowierzał, że zamiast pracować, ogląda takiego gniota.

Pod koniec już przysypiałam, bo gdy zaczął morzyć mnie sen, wolałam go zaakceptować niż niszczyć sobie swoją i tak słabą psychikę kolejnymi traumami. Moi starsi bracia zadbali jednak o to, żeby tak łatwo mi się to nie udało, bo w pewnym momencie naprawdę zaczęłam odpływać, a wtedy ktoś pacnął mnie gwałtownie, wykrzykując coś do mojego ucha.

Wydarłam się wniebogłosy i otworzyłam oczy, przerażona taką pobudką, a zaraz potem zawstydzona. Popatrzyłam po twarzach swoich braci, które w większości były zaczerwienione po potężnej salwie śmiechu, wywołanej moim komicznym zachowaniem.

– To nie jest śmieszne – zaprotestowałam piskliwie, głaszcząc się po wierzchu ręki, na której pojawiła się gęsia skórka.

– Jest – odparł Shane, ciągle rechocząc.

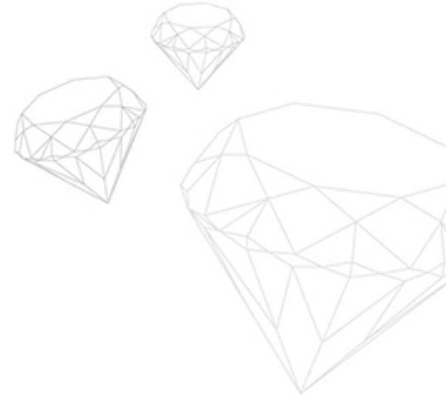
– Totalnie jest – zawtórował mu Tony.

– Jesteś śmieszna, dziewczynko – dodał Dylan, a ja zamilkłam niepokieszona, kątem oka dostrzegając, że nawet Vince wzniósł oczy do

sufitu rozbawiony moją reakcją.

Wtedy już wiedziałam, że czas kłaść się spać. Byłam bardzo zmęczona, film zaczął przekraczać granice przyzwoitości, moi bracia wpadli w psotny nastrój, a ja nie zamierzałam być ich wieczną ofiarą. Pożegnałam się z nimi wszystkimi i podziękowałam szczerze za ten wieczór, bo choć obawiałam się swoich urodzin, to muszę przyznać, że spędziłam je w zaskakująco przyjemnej atmosferze. Nie wiedziałam, że ci chłopcy potrafią taką stworzyć.

To zupełnie nie ich wina, że gdy przebrałam się w piżamę i przykryłam kołdrą, chwilę przed zaśnięciem poświeciłam na płacz. Smutek i pustka towarzyszyły mi gdzieś tam cały czas i po prostu musiały dać im upust.



12

Kretyn

Następnego dnia wstałam w dobrym humorze. Nie pamiętałam już smutku, który dopadł mnie przed snem. Żyłam pozytywnym wspomnieniem świętowania moich urodzin z braćmi oraz majaczącego na horyzoncie spotkania z Jasonem. Tak podekscytowana swoją randką nie potrafiłam ukrywać emocji przy śniadaniu, które zjadłam w towarzystwie Willa. Mój ulubiony brat dołączył do mnie w kuchni, gdy tylko wrócił ze swojego porannego biegu, a jego oczy śmiały się na widok mojego pogodnego nastroju.

Wyrzuty sumienia zaczęły zgniatać mnie jak wielka masywna podeszwa, dopiero gdy Will wiozł mnie do centrum handlowego. Aż ścisnęło mnie w gardle, gdy odpowiadałam na jego pytania dotyczące mojego wyjścia, tylko w połowie będąc z nim szczerą. Co prawda lawirowałam tak, aby go wprost nie okłamywać, ale kogo ja tak naprawdę oszukiwałam. Mama wpajała mi, że ukrywanie prawdy równa się kłamstwu, zawsze i wszędzie.

Mona i Audrey już czekały w umówionym miejscu i odgrywając swoje role najlepiej, jak potrafiły, machały do mnie i szczyrzyły się do Willa. Zerkałam na niego nerwowo, zastanawiając się, czy czasem nie zaczyna

czegoś podejrzewać, ale on nie wydawał się posądzać mnie o nieszczerłość. Tym gorzej się czułam ze swoimi wyborami.

Już chciałam wysiąść z samochodu, gdy poczułam, jak jego ręka łapie mnie za łokieć, i znieruchomiałam, a panika w moim sercu sięgnęła zenitu. W ułamku sekundy w mojej głowie pojawiły się tysiące scenariuszy i nawet kilka gotowych wyjaśnień, ale gdy napotkałam oczy Willa, nie było w nich wcale zawodu czy złości. Wręcz przeciwnie, patrzyły na mnie dobrotliwie, a po chwili skierowały się w dół. Podążyłam za jego spojrzeniem, a wtedy zobaczyłam, że w drugiej dłoni trzyma plik zielonych banknotów.

– Może się przydadzą, co? – rzucił i mrugnął do mnie, a ja uśmiechnęłam się nieśmiało, w duchu klepiąc się w czoło.

Ależ ty jesteś głupia, Hailie.

Skinęłam głową i odebrałam gotówkę, od razu orientując się, że jest jej o wiele za dużo jak na zwykłe wyjście do kina i galerii handlowej. Jednak Will nie miał raczej problemów z liczeniem i całkiem świadomie zabezpieczył mnie odpowiednią, według niego, ilością pieniędzy. Na koniec życzył mi dobrej zabawy, rzucił swój piękny uśmiech moim koleżankom i odjechał.

– Jezu, Hailie, to był jeden z twoich braci, nie? Ten z tych starszych, ale nie najstarszy, nie? – wyszeptła podekscytowana Mona, zanim nawet zdążyłam się z nią przywitać.

– Eee, tak. Tak, drugi najstarszy, Will – przytaknęłam. – Jest bardzo w porządku.

Mona powachlowała się dłonią, choć to na twarzy Audrey rumieńce były bardziej widoczne.

– Kim mi o nim wspominała, wiesz? Moja siostra – wyznała Mona. – Chodziła z nim przez jakiś czas do szkoły, on był chyba ze dwa roczniki wyżej. Totalnie na niego leciała, teraz już wiem dlaczego.

Rzuciłam jej wymuszony uśmiech, naciągnęłam rękawy swojej kurtki i odchrząknęłam – niby zwyczajnie, ale jasno akcentując, że może nie do końca mam ochotę wysłuchiwać takich rzeczy. Zresztą naprawdę nie miałam. Ekscytowałam się wizją spotkania z Jansonem i to tylko o nim potrafiłam teraz myśleć.

– Hailie, tak w ogóle, to wyglądasz ekstra.

Cieszyłam się, że Audrey wykazała się trzeźwością umysłu i spróbowała zmienić temat. Fakt, że mnie skomplementowała, również został przeze mnie doceniony, choć tutaj muszę przyznać, że byłam nieco bardziej podejrzliwa. Mój wygląd nie do końca mnie zadowalał. To znaczy nie żeby coś z nim było nie tak, ale ani nie miałam kosmetyków, by się pomalować, ani jakichś szalowych ubrań. W Rezydencji Monetów na próżno też było szukać choćby lokówki. Można to dodać do listy minusów mieszkania z samymi mężczyznami. Choć może to nawet i lepiej wyszło, że się za bardzo nie odstawiałam. W ten sposób nie wzbudzałam podejrzeń.

Z Jasonem miałam spotkać się pod kasami biletowymi. Na początku, starając się nie zwracać uwagi na świąteczne dekoracje i rozbrzmiewającą w głośnikach, irytującą melodyjkę *Jingle Bells*, która w zamyśle zapewne miała umilać klientom zakupy, rozglądałam się nerwowo, czy aby w pobliżu nie kręci się ktoś znajomy. Nie wiedziałam nawet, kto potencjalnie mógłby nas przyłapać, ale jako że z natury jestem panikarą, nie mogłam pozbyć się złego przeczucia. Może ktoś mnie obserwuje? Na tamtym etapie byłam przekonana, że to po prostu mój irytujący mózg potęguje wyrzuty sumienia. Myślałam tak, bo wierzyłam, że ich przechytryłam. Że przechytryłam wszystkich swoich braci i że plan Jasona naprawdę zadziałał.

Poziom mojej paranoi znacznie się obniżył, gdy tylko zobaczyłam anielską twarz swojej randki. Jason stał w kolejce, a na mój widok jego usta wygięły się w uśmiechu. Zaczęłam iść w jego stronę, a on wyciągnął ręce z kieszeni swojej kurtki, żeby mnie objąć. Delektowałam się tym uczuciem przyjemnym jak pierwszy łyk gorącej czekolady zimą. Już nie rozglądałam się po twarzach innych osób. Teraz liczyła się tylko ta przede mną, z tymi słodkimi dołeczkami.

Zignorowałam nawet ciągnący się za nim zapach nikotyny. Wiedziałam, że sobie popała, ale i tak w moich oczach był niemal idealny. No i nawet założył koszulę, co totalnie rozłożyło mnie na łopatki. Wszystko było w nim jakimś cudem tak wspańiałe, że mogłam przymknąć oko na ten jeden papierosowy szczegół.

Film, na który się wybraliśmy, był komedią romantyczną, o której wcześniej nawet nie słyszałam. Wybrał go Jason, twierdząc, że to dobra

propozycja na randkę. Ja ostatni raz byłam w kinie wieki temu, dlatego w sumie obojętne mi było, co obejrzymy. Zresztą nie przyszłam tutaj dla repertuaru. Mimo to planowałam skupić się na filmie, a było to niełatwe zadanie, bo Jason non stop mnie dekoncentrował. Miejsca, które zarezerwował, znajdowały się w najciemniejszym kącie sali kinowej i na początku chciałam zaproponować, żebyśmy się przesiedli na te bardziej centralne, jako że większość z nich była pusta, ale szybko zrozumiałam logikę kryjącą się za jego wyborami. Bardzo szybko, bo jeszcze zanim skończyły się reklamy, poczułam jego dłoń na swoim udzie.

Zaskoczył mnie swoją bezpośredniością i na początku wstrzymałam oddech i napięłam mięśnie. Byłam przyzwyczajona do dotyku Jasona, ale zwykle po prostu się przytulaliśmy i nigdy żadne z nas nie przeniosło pieścizot na wyższy poziom. Zanurzyłam palce w popcornie, którego całe wielkie pudło trzymałam przy piersi. Czułam się zdezorientowana – chyba powinno mi się to podobać, prawda? Jason mi się w końcu podobał. Powinam się wyluzować.

Jason ruszył ręką – przejechał nią od środka mojego uda do kolana i potem z powrotem w górę. Musnął też kawałek jego wewnętrznej części i aż mnie załaskotało w żołądku. Nadal nie wiedziałam, czy lubię to uczucie, ale miałam wrażenie, że zbytnio to wszystko analizowałam. Jason to nie jakiś pierwszy lepszy chłopak, to ktoś, kogo zdążyłam już nieco poznać i polubić. Spróbowałam więc się rozluźnić.

Automatycznie drgnęłam, gdy jego palce odgarnęły kosmyki moich włosów za ucho. Chłopak zamienił dłonie, bo teraz jedna znajdowała się na moim kolanie, a druga głaskała włosy. Rozkojarzyłam się już totalnie, gdy jego nos dotknął zmysłowo mojego policzka, a potem poczułam jego oddech na uchu, gdy szepnął:

– Podoba ci się?

Film? Czy film mi się podoba, czy chodziło mu może o te jego gesty? Cokolwiek to było, pokiwałam twierdząco głową, a on zaśmiał się cicho i złożył mokry pocałunek na płatku mojego ucha, a zaraz też poczułam na nim jego zęby. Nie ugryzł mnie na szczęście, ale delikatnie i psotnie skubnął, co było dosyć dziwne, więc zachichotałam nerwowo. On odsunął ode mnie twarz na pewną odległość i też się uśmiechnął. Zanim zdążyłam cokolwiek

zrobić, przybliżył się do mnie znowu, tym razem kładąc dwa palce na mojej zuchwie z przeciwnej do siebie strony. W ten sposób odwrócił moją głowę ku sobie i złożył na moich ustach pełnoprawny pocałunek.

Wiem, że musiał myśleć o tym od momentu, kiedy zajęliśmy swoje miejsca w sali kinowej, ale i tak udało mu się mnie zaskoczyć. Mrugałam powiekami, próbując nadążyć za tym, co się dzieje. Moje ciało zastygło, a pojedyncze ziarna popcornu zaczęły wysypywać się z pudełka, które przekrzywiło się na moich kolanach. Para aktorów na ekranie odgrywała właśnie pikantną scenę zmysłowej gry w tenisa, ale ja zajęta byłam namiastką własnego romansu, który mnie tutaj tak niespodziewanie zaatakował.

Jason nie nasycił się zwykłym złączeniem się naszych ust i choć dla mnie to była wielka sprawa – mój pierwszy pocałunek! – on od razu poszedł o krok dalej i znowu wpił się w nie, tym razem z zamiarem ich rozwarcia. Poczułam jego język w buzi i kompletnie nie wiedziałam, co z nim zrobić. Z wahaniem odwzajemniłam pieśczętę, nie będąc nawet pewna, czy robię to we właściwy sposób. Starłam się zdać na instynkt, w tej sytuacji bowiem i tak nie pozostało mi nic innego.

Po dłuższej chwili Jason odsunął się ode mnie i widziałam, jak w ciemności błysnęły jego zęby, które pokazał w kolejnym szybkim uśmiechu. Na koniec cmoknął mnie jeszcze w usta i wtedy odchylił się, oddając mi trochę przestrzeni, którą wcześniej tak niespodziewanie mi odebrał. Zabrał też rękę z mojego kolana, którą podczas naszego pocałunku na przemian na nim zaciskał i rozluźniał.

Zupełnie zszokowana wpatrywałam się ekran. Cieszyłam się, że jest ciemno i większość moich reakcji nie było widocznych. Miałam ciarki na całym ciele i czułam, że palą mnie policzki.

– Twoje usta smakują jak słodyczne... i popcorn – rzucił do mnie Jason ściszone, zachrypniętym głosem i zaśmiał się, gdy nieświadomie oblizałam wargi. Jakiegolwiek smaki się na nich rzekomo wcześniej znajdowały, chłopak musiał zlizać je wszystkie, bo ja wyczułam jedynie ślinę.

Gdyby ktoś po wyjściu z kina kazał mi napisać recenzję filmu, który właśnie obejrzałam, nie potrafiłabym odnieść się chyba do żadnej sceny. Żadnej w pełni nie prześledziłam i nie zrozumiałam. Opuściłam salę

w towarzystwie wyluzowanego Jasona, który na koniec dojadł popcorn, najwyraźniej usatysfakcjonowany wyjściem, choć byłam pewna, że sam ani razu nie zerknął na ekran. Pocałował mnie za to jeszcze kilka razy i dużo się przytulał. W pewnym momencie nawet zaczęło mi się to chyba podobać.

Jasne, po tak długim czasie w klimatycznej i ciemnej sali sztuczne światła centrum handlowego aż mnie oślepiły. Poczułam się naga i nie chciałam odwracać się do Jasona, który deptał mi po piętach, bo z jakiegoś powodu wstydziłam się tego, co mógł wyczytać z mojej twarzy. Musiałam jednak to w końcu zrobić i na moje szczęście on w ogóle nie badał moich emocji, za to z usatysfakcjonowanym uśmiechem złapał moje spojrzenie i pozbywszy się wcześniej pudła po popcornie, położył mi rękę na ramionach.

– Robimy coś jeszcze? – zagaił, a ja sięgnęłam do torebki po telefon. Miałam kilka nieodczytanych wiadomości od Mony, ale nie zdawały się one pilne. Pytała, czy jesteśmy grzeczni, i ostrzegła nas przed rozrabianiem.

Jezu, czy to tylko ja jestem tak naiwna, że naprawdę myślałam, że idziemy obejrzeć film?

– Eee... chyba nie mamy już czasu... Muszę znaleźć Monę i Audrey, jestem od nich zależna, wiesz – odparłam, rozkładając ręce.

– Jasne, luz.

Popatrzyłam na niego, żeby się upewnić, że naprawdę rozumie. Nie chciałam mu odmawiać, bo wiedziałam, że się starał. W końcu zabrał mnie na pierwszą w moim życiu randkę, narażając się moim braciom. No i mnie pocałował. Miałam dziwne, niekomfortowe wrażenie, że niewystarczająco to doceniam.

– Dzięki, że mnie tu zabrałeś – powiedziałam szczerze, bo jak by nie było, to wyciągnął mnie na pierwsze od miesięcy towarzyskie wyjście, w którym miałam przyjemność uczestniczyć. Chyba dobrze mi ono zrobiło. Zrobi.

Kąciki jego ust unosiły się wysoko – Jason był najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. Zdawał się nieco inny niż na co dzień. Był dużo śmielszy niż w damskich łazienkach.

– Spoko, fajnie było się spotkać gdzieś poza szkołą.

– Prawda. Chociaż, jeśli mam być szczerą, to niewiele zapamiętałam z tego filmu.

On parsknął, a ja się uśmiechnęłam, bo skrycie liczyłam właśnie na to, że tymi słowami uda mi się go rozbawić.

Staliśmy pod strefą kinową, niedaleko ruchomych schodów i dwóch sklepów znanych ubraniowych sieciówek. Przy fontannie na środku stały ubrana choinka i sanie Świętego Mikołaja, na których można było usiąść i zrobić sobie zdjęcie. Kręciło się tu mnóstwo osób, a ja wiedziałam, że na pożegnanie Jason znowu będzie chciał mnie pocałować i mimo iż w głowie kłębiły mi się obawy co do tego, kto w tak zatłoczonym miejscu mógłby przypadkiem zostać świadkiem naszej namiętności, to znowu mu na to pozwoliłam. Tym razem byłam przygotowana i wiedziałam już, czego się spodziewać. Całowanie zdawało mi się śmieszne i niezbadane, ale przyznaję, że poczułam też małą iskierkę przyjemności. Jak by nie było, to piękne, że ktoś był mi na tyle bliski, że doszło między nami do czegoś tak intymnego jak wymiana śliny.

Co było w ogóle świetne w Jasonie, to fakt, że nie traktował mnie jak małej dziewczynki. Ani jak dziecka. Traktował mnie jak dorosłą dziewczynę, kobietę nawet. Zabrał mnie w końcu na randkę i całowaliśmy się, jak ta dorosła para w komedii romantycznej, i to sprawiało, że czułam się tak dojrzała jak jeszcze nigdy wcześniej.

Ostatni raz pomachałam Jasonowi, gdy wchodziłam na schody ruchome. On stał przy windach i w rękę trzymał już przygotowanego papierosa. A gdy zniknął z zasięgu mojego wzroku, westchnęłam do siebie, kompletnie oszołomiona wydarzeniami sprzed chwili. Może przeżywałam wszystko podwójnie, bo to były moje pierwsze miłosne doświadczenia, a może dlatego, że to było moje w ogóle pierwsze towarzyskie wyjście, od kiedy rozpoczęłam nowe życie pod dachem swoich braci.

Na myśl o nich zrzędała mi mina. Gdyby przyłapali mnie w kinie, nie byłiby zadowoleni. Vincent wyraził się jasno: żadnego randkowania. Poczulałam ukłucie winy i trochę się też zdenerwowałam. Znowu wyjęłam telefon, by zerknąć na ekran, jakby spodziewając się pełnej wyrzutów wiadomości od mojego opiekuna. Niczego takiego jednak nie dostałam i wypuściłam powietrze z ust. Powinnam serio wyluzować.

Dziewczyny znalazłam w supermarkecie. Stały w kolejce z jakimiś oranżadami, czipsami i żelkami, które miały służyć za przekąski na naszym wspólnym nocowaniu. Na mój widok od razu się ożywiły, a mnie udzieliła się ich ekscytacja i nawet chętniej, niżbym się jeszcze niedawno spodziewała, zaczęłam zdawać im relację ze swojej randki.

Wypytywały mnie o Jasona i moje uczucia, a ja odpowiadałam im szczerze, bo potrzebowałam się komuś wygadać. A poza ich uszami nie znałam żadnych, które nadawałaby się do wysłuchiwania tego typu relacji. Dziewczyny analizowały zachowanie Jasona na swój własny, wyolbrzymiony sposób, a ja się im przysłuchiwałam, decydując się na ten jeden wieczór pozwolić sobie kąpać się w ich uwadze. Zawsze starałam się stać w cieniu, a może posiadanie tak gadatliwych koleżanek wcale nie musiało być takie złe?

Z centrum odebrała nas mama Audrey. Dużo się uśmiechała i nie uszło mojej uwadze, że często zerknęła na mnie w lusterku z nieskrywanym i trochę onieśmielającym zaciekawieniem. W domu szybko pokazała, gdzie przygotowała nam kolację, i dwa razy upewniła się, że nie mam żadnych alergii, po czym pożegnała nas i wyszła do pracy na wieczorną zmianę. Tato Audrey natomiast przebywał akurat w delegacji i gdy już myślałam, że oznacza to, iż zostaliśmy same w domu, do kuchni, w której aktualnie siedzieliśmy, wszedł jakiś chłopak.

Od razu rozpoznałam w nim Jerry'ego, starszego brata Audrey. Mimo że podobno chodziliśmy razem do szkoły, nie znałam go nawet z widzenia. Nigdy nawet nie zauważyłam, żeby rozmawiał z Audrey w stołówce czy na korytarzu. Poznałam go teraz tylko dlatego, że od razu rzuciło mi się w oczy podobieństwo między nim a siostrą. Jerry miał co prawda mysie, króciutkie włosy, nie czarne jak ona, ale za to był tak samo blady, chudy i kościsty. Teraz jego anemiczną aparycję tylko podkreślały proste, znoszone jeansy i wypłowiała koszulka z logo jakiejś gry komputerowej, o ile się nie myliłam.

Audrey często się na niego skarżyła i chyba nie mieli najlepszego kontaktu. Nie żebym oceniała czyjekolwiek relacje z rodzeństwem, bo sama nie byłam w tej dziedzinie żadnym ekspertem, ale moja kumpela powtarzała, że Jerry całymi dniami tylko siedzi przed komputerem, jest nieporadny życiowo, a przy okazji nad wyraz przemądrzały. Pomimo tak niekorzystnej

charakterystyki starałam się nie być do niego uprzedzona już na starcie, jednak on mi tego nie ułatwiał. Od razu rzucił mi pogardliwe spojrzenie zza swoich okularów w grubych czarnych oprawkach. Wykrzywił twarz, a potem złapał szybko za paczkę czipsów i wyszedł bez słowa.

– Cześć, Jerry, ciebie też miło było zobaczyć! – zawołała Mona, wykręcając się za nim na obrotowym stołku.

Audrey, przyzwyczajona do aspołeczności brata, prychnęła tylko lekceważąco, zajęta wkładaniem do piekarnika lasagne jej mamy.

– Czy on się skrzywił, jak mnie zobaczył, czy mi się wydawało? – zapytałam.

Mona zagryzła wargę i rzuciła niepewne spojrzenie Audrey, która westchnęła, a potem, nastawiwszy już piekarnik, wyprostowała się i oparła o szafki.

– Nie bierz tego do siebie, Hailie. Jerry jest dziwny. Ma jakieś swoje różne głupie przekonania.

– Jakie przekonania?

– No wiesz... – zaczęła niepewnie, ale moje spojrzenie wymusiło na niej kontynuację wyjaśnień. – Na przykład jak pytałam rodziców, czy mogę was tu zaprosić, to ten głupek się wtrącił, że to... niebezpieczne ściągać pod nasz dach siostrę Monetów.

Poprawiłam się na wysokim stołku, ręce opierając o blat. Co proszę?

– Co? – powiedziałam na głos.

Audrey machnęła ręką.

– Jerry to kretyn. Naprawdę nie masz się czym przejmować. – Podeszła do lodówki i wyjęła z niej puszkę coli, jakby szukała byle zajęcia, żeby nie patrzeć mi w oczy, ale nie przestawała też się przede mną tłumaczyć: – Jest uprzedzony do twoich braci. To dlatego. Powiedział rodzicom, że nie wiadomo, czego się można po nich spodziewać, i lepiej „nie igrzać z ogniem”. – Postawiła napoje na barku i wzruszyła ramionami, podsumowując na koniec: – Kretyn.

– Czy... czy on rzeczywiście dobrze zna moich braci? – zapytałam bezbarwnym głosem.

– Eee, no... Jest z tego samego rocznika co Shane i Tony. Chyba mają wspólnie niektóre zajęcia... Chodzi z nimi do liceum od zawsze, więc no, znają się od dawna i zdążył wyrobić sobie o nich zdanie. – Audrey zagryzła wargę. – Ale trzeba wziąć na nie poprawkę, bo pamiętaj, że to Jerry. A on naprawdę jest kretynem.

– Sama jesteś kretynką.

Jerry usłyszał naszą rozmowę, bo wrócił się po coś do kuchni. Stał teraz w jej progu i świdrował spojrzeniem swoją siostrę. Końcówki uszu mocno mu poczerwieniały, a okulary zjechały z nosa.

– Ta? A jak inaczej mam wyjaśnić twoje durnowate zachowanie wobec Hailie? – syknęła Audrey. Uważałam ją za wieczną oazę spokoju, ale jej brat najwyraźniej potrafił wyprowadzić ją z równowagi jak nikt inny.

Jerry wbił we mnie wrogi wzrok. Poczułam się bardzo głupio i niekomfortowo, będąc w gościach, gdzie jeden z domowników otwarcie pałał do mnie tak wielką niechęcią, ale poza tym niewiele robiłam sobie z jego zachowania. Mieszkałam z pięcioma starszymi braćmi, którzy potrafili zabić samym spojrzeniem, gdy byli źli. Niby-groźne łypanie Jerry'ego naprawdę nie robiło na mnie wrażenia.

– Teraz nazywasz to durnowatym zachowaniem, bo jesteście wielkimi przyjaciółczkami. – Ostatnie słowo wręcz wypluł prześmiewczo, wpatrując się z politowaniem w siostrę. Dłonie co chwilę ścisnął w pięści. – Poczekaj. Pewnego dnia zrozumiesz, że od Monetów lepiej trzymać się z daleka.

– Może byś tak podał choć jeden sensowny argument, co?

Jerry zrobił krok w jej stronę, a ja się spięłam. Widziałam też, jak Mona marszczy brwi.

– Są niebezpieczni?! Uważają się za nie wiadomo kogo, nadużywają przemocy, myślą, że pieniądze zawsze wszystko załatwią, są przekonani o własnej wsapaniałości, bezwzględni... – zaczął wymieniać, a każde kolejne słowo było jak wystrzał z karabinu. W gardle uformowała mi się i stanęła wielka gęź, bo każdy jego zarzut to wypowiedziana na głos myśl, która zdążyła pojawić się w mojej głowie już wiele razy. – Nie udawaj głupiej, sama dobrze wiesz, że ta rodzinka jest szemrana.

– Jak możesz w ogóle mówić takie rzeczy, zwłaszcza przy Hailie? – wtrąciła się z oburzeniem Mona.

– Och, wasza biedna Hailie zawsze spadnie na cztery łapy z Monetami po swojej stronie. W tej waszej pseudoprzyjaźni, w razie konfliktu, to wy słono zapłacicie.

Wybałuszałam oczy, a usta same mi się rozchyliły w szoku, tak że nie byłam w stanie wyjąkać słowa na swoją obronę.

– Co ty opowiadasz? Jakiego konfliktu? Nawet nie znasz Hailie! Powinieneś się leczyć! – krzyczała Audrey, teraz już nie zarumieniona, a czerwona jak dojrzały pomidor.

– Sama będziesz musiała się leczyć, jak bracia Monet dobiorą ci się do tyłka!

– Ty jesteś nienormalny.

– O co ci w ogóle chodzi? – warknęła Mona, kręcąc głową z niesmakiem.

Było mi miło, że obie tak zawzięcie mnie broniły.

– Kiedyś się przekonacie – zapowiedział Jerry i poprawił okulary. – Jeszcze zobaczycie.

Na dosłownie sekundę zrobiło się cicho (choć gęsta atmosfera nie przestała nam ciążyć ani na chwilę), a potem nagle w kuchni rozbrzmiał suchy śmiech Audrey.

– Ja wiem – powiedziała, już spokojnie, ale i z jadem. – Wiem, dlaczego masz taki problem z Hailie. Może opowiesz jej o tym, jak kiedyś Tony prawie włożył ci głowę do sedesu?

Obie z Moną zamarłyśmy. Jerry zaś gapił się na swoją siostrę, wargi miał tak mocno zaciśnięte, że aż mu pobieleały. To był dla niego cios poniżej pasa, a Audrey z wysoko uniesionym podbródkiem odwzajemniała jego wrogie spojrzenie.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał w końcu cicho.

Miałam wrażenie, jakby mnie tam nie było. W tej chwili w kuchni obecni zostali tylko Jerry i Audrey. Razem uczestniczyli w siostrzano-braterskiej potyczce, do której nikt inny nie miał prawa się wtrącać.

– Słyszałam rozmowę rodziców.

– To było lata temu.

– Dwa.

Jerry dyszał i wyglądał, jakby już zaraz miał potrzebować inhalatora, ale nagle wziął się w garść i rzucił swojej siostrze spojrzenie przepełnione obrzydzeniem. Aż mi się autentycznie zrobiło przykro i pomyślałam sobie, że gdyby którykolwiek z moich braci popatrzył w ten sposób na mnie, to chyba popłakałabym się na miejscu. Już nawet Tony był dla mnie miłszy. Było mi szkoda Audrey, że ma tak paskudną relację z kimś, z kim wychowywała się od zawsze.

– Po co w ogóle to wspominasz? – Jerry zmrużył na chwilę oczy, po czym uniósł brwi i ciągnął: – Wiesz co, nieważne. W sumie to dobrze, że o tym powiedziałaś, bo to tylko dowodzi, jak nisko jej... – Jerry zniemacka wycelował palcem we mnie – ...superbracia upadli już dawno, dawno temu.

– Czyżby? A dlaczego nie opowiesz całej historii? – Audrey uśmiechnęła się złośliwie. – Czy nie odrabiałaś matmy za Tony’ego przez cały jeden semestr na pierwszym roku?

Nie znałam jej z tej strony.

– Bo mnie do tego zmuszał?!

– Gównu prawda! Chciałeś mu zaimponować, żeby się z nim kumłować!

Ukryte za szklami okularów oczy Jerry’ego ciskały błyskawice. Audrey odważnie znosiła to spojrzenie, czekając na jakąś kontrę, która nie nastąpiła. Jerry poruszył ramionami, jakby próbował strzepnąć z nich całe napięcie, a potem znowu poprawił okulary i potarł dłonie o jeansy.

– Wiesz co, rób sobie, co chcesz, mam to gdzieś. I tak jeszcze zobaczysz – powiedział chłodno, po czym odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Zostawił nas w grobowej ciszy. Wpatrywałam się w swoje dłonie, nie mając odwagi, by się odezwać. Od początku nie byłam zbyt pozytywnie nastawiona do tego całego nocowania, ale nie spodziewałam się aż takich nieprzyjemności.

– Uff! – odetchnęła głośno Mona. Wywróciła oczami i powachlowała się ręką, wyraźnie próbując rozluźnić atmosferę.

– Przepraszam cię za niego – powiedziała do mnie Audrey. Ona wciąż była poważna. – Jest okropny i nie mogę uwierzyć, że tak się zachował.

Jeszcze przy tobie! Jesteś naszym gościem! – Pokręciła głową ogarnięta nową falą złości. – Gdyby mama go usłyszała...

– Nie szkodzi, nic nie szkodzi – przerwałam jej, unosząc głowę. Dla uspokojenia podarowałam jej blady uśmiech. – On ewidentnie ma problem tak naprawdę nie ze mną, a z moimi braćmi. Jego sprawa.

Osobiście uważałam, że Jerry zachował się wobec mnie zupełnie nie fair, stawiając mnie w tak negatywnym świetle tylko dlatego, że miał nieprzyjemne wspomnienia związane z moimi braćmi. Trochę zepsuł mi humor swoimi oskarżeniami, ale na szczęście jeszcze tego samego wieczora zaczęłam stopniowo go odzyskiwać. Najpierw dostałam wiadomość od Jasona, w której życzył mi dobrej nocy i która wywołała uśmiech na mojej twarzy. Sprawiała też, że na powrót zaczęliśmy rozmawiać z dziewczynami, analizując moją randkę, co pomogło nam zapomnieć o tym niepotrzebnym incydencie.

Następnego dnia rano mama Audrey przyrządziła gofry na śniadanie, do którego zasiedliśmy wszyscy razem. Wszyscy to wszyscy, a więc pojawił się i Jerry, ale w obecności matki nie był już taki chętny do robienia mi wyrzutów, więc przeżuwał tylko w ciszy, widocznie naburmuszony, unikając wszelkich spojrzeń, a zwłaszcza mojego.

Przy stole przypomniało mi się, że próbował nastawić rodziców Audrey przeciwko mnie, a przynajmniej tak wynikało z tego, co mówiła moja koleżanka, więc trochę bałam się, że z jakiegoś powodu nagle zacznę odczuwać niechęć ze strony ich mamy, ale ona nie mogłaby być bardziej gościnna. Nawet rzekłabym, że do przesady. Znała już Monę i była dla niej sympatyczna, ale zdawało mi się, że mnie nadskakiwała wręcz nad wyraz. Co chwila pytała, czy dolać mi herbaty, pilnowała, żeby kosz z owocami i dzbanek z syropem klonowym znajdowały się w zasięgu mojej dłoni, i to mnie głównie zagadywała, z przesadnym zainteresowaniem chłonąc każde słowo, które padło z moich ust.

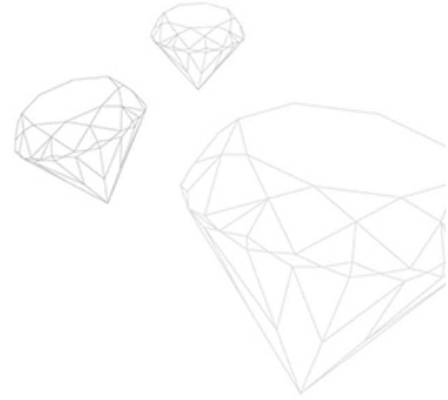
Największy dyskomfort odczułam, gdy przybył Vincent. Najpierw dostałam od niego wiadomość, która sprowadziła mnie na ziemię. Napisał, że wraca z miasta, więc po drodze planuje mnie odebrać i żebym się już szykowała. Oczywiście nie pozostawił zbędnego pola do dyskusji. Trochę

się zdziwiłam, że to akurat on ze wszystkich chłopaków po mnie przyjedzie. Zwykle zdawał się zbyt zajęty, by załatwiać takie przyziemne sprawy.

Dyskomfort jednak odczułam wcale nie przez swojego najstarszego brata, a przez reakcję mamy Audrey na jego widok. Zbladła, oczy wychodziły jej z orbit, ciągle też mrugała, a wszystkie jej gesty były przesadnie gwałtowne. Cóż, jak mogę jej się dziwić? Vincent pojawił się na progu ich wprawdzie raczej zamożnego, ale jednak zwyczajnego domu, już na wejściu nie pasując do otoczenia. W swoim eleganckim czarnym płaszczu, z ciemnymi włosami ulizanymi jak zwykle do tyłu, z chłodnymi oczami i jasną cerą kontrastował z obitymi ciepłym drewnem podłogami, kwiecistymi tapetami i wiszącymi na ścianach obrazami martwej natury – niektórymi koszmarne kiczowatymi. A jeśli dodać do tego posturę mojego opiekuna, jego grację i ten drogi zegarek wystający spod rękawa... Powiedzmy, że jego osoba naprawdę robiła niezapomniane wrażenie.

Na początku mama Audrey w ogóle stanęła tylko jak wryta, ale trzeba jej przyznać, że szybko się otrząsnęła i zaprosiła go na kawę, na co Vince krótko, uprzejmie i po dżentelmeńsku odmówił. Nie uszło mojej uwadze, że jej oczy co chwila zezowały na dłoń mojego brata, ściągane niczym magnes przez sygnet na jego palcu.

A gdy wychodziliśmy, żegnała nas widocznie wymuszonym uśmiechem.



13

Dwa złamane serca

Smurkłe czarne auto Vincenta lśniło w słońcu i kontrastowało z białym śniegiem zalegającym na trawnikach wkoło. Dłoń mojego brata zacisnęła się na klamce drzwi od strony pasażera, aby je dla mnie otworzyć, niby to szybkim i niedbałym ruchem, ale mimo to niepozbowionym gracji.

Ruszył, dopiero gdy upewnił się, że zapięłam pasy. Tymczasem włączył ogrzewanie, za co byłam mu dozgonnie wdzięczna, bo ziąb panujący dziś na dworze i ten promieniujący od mojego brata mroziły mnie aż do kości. Zaczęłam nawet odczuwać niepokój, ale próbowałam przekonać się w myślach, że to tylko typowy sposób bycia Vincenta i że tak naprawdę to mogłabym się poważnie obawiać, dopiero gdyby nagle zaczął wesoło mnie zagadywać.

Starłam się skupić się na czymś pozytywnym. Spędziłam noc z koleżankami. Dawno nie byłam na żadnym nocowaniu, nawet gdy jeszcze żyła mama. Odkąd Roxane, moja jedyna przyjaciółka, wyprowadziła się do Grecji, z nikim nie trzymałam się aż tak blisko i byłam nieco samotna. Zapomniałam już, jak miło jest napchać się śmieciowym jedzeniem i pochichotać z głupot. Nie wiem nawet, dlaczego tak się wzbraniałam przed spędzeniem czasu z Moną i Audrey. One naprawdę nie były takie złe.

Pomijając tego dzikiego brata Audrey, który na dzień dobry obraził mnie i moją rodzinę.

Gdyby nie dziewczyny, nie miałabym też z kim obgadać swojej pierwszej randki z Jasonem. Mona dosłownie piszczała, gdy opisywałam pocałunek. Widząc jej ekscytację, sama utwierdziłam się w przekonaniu, że była to rzecz naturalna i dobra, a ja tylko na początku reagowałam dziwnie, zapewne przez to, że brakowało mi doświadczenia.

– Chciałbym zaprosić cię do biblioteki, dobrze?

Spojrzałam na Vincenta, zaskoczona, że tak nagle się odezwał. Nie patrząc na mnie, odpiął pas. Nie trzymał już rąk na kierownicy i dopiero wtedy zorientowałam się, że odpłynęłam myślami tak bardzo, że nie zauważyłam nawet, kiedy zaparkowaliśmy już w garażu.

– Uhm, teraz? – zapytałam głupio, przełykając ślinę.

– Tak, teraz – odparł krótko i wyszedł, cicho zatraskując za sobą drzwi.

Też zaczęłam natychmiast wygrzebywać się z auta, choć najchętniej zostałabym w środku i może wturlała się pod fotel. Prośba Vincenta wzbudziła we mnie panikę. No bo czego on ode mnie może chcieć w tej bibliotece? Właśnie spędziliśmy ponad dwadzieścia minut sam na sam w samochodzie. Jeśli pragnął rozmowy, to dlaczego jeszcze jej nie przeprowadził?

Nie pokazywałam po sobie, że się denerwuję, gdy odwijałam z szyi szalik i ściągałam kurtkę. Staralam się zapanować nad drżącymi dłońmi, gdy walczyłam z zamkiem przy jednym z butów. Jakiegokolwiek zamiary miał Vincent, prawdopodobnie były one niewarte moich nerwów, ale jeśli swoim byстрыm okiem dostrzeże moje paranoiczne zachowanie, to od razu nabierze podejrzeń, dlatego upominałam się w myślach, żeby się uspokoić.

Po drodze do biblioteki ani razu się nie odwrócił, by zobaczyć, czy za nim idę. Wpatrywałam się w jego odziane w czarną koszulę proste plecy, zastanawiając się, w co on będzie teraz, u licha, ze mną grał. Znowu pokaże mi jakiś filmik? Och, Boże, a co, jeśli dostał w swoje ręce nagranie z kamer z centrum handlowego? To byłoby straszne. Zaczynałam świrować.

Zwolniłam na chwilę, gdy Vincent przystanął na progu salonu, skąd dochodziły odgłosy telewizora.

– Tony, pozwól – rzucił władczo, a moje serce stanęło.

Rozmowa z Vincentem to jedno, ale rozmowa z Vincentem i Tonym to już wyższy poziom udręczenia.

– Usiądź sobie, Hailie – rozkazał z kolei mnie, gdy weszliśmy do biblioteki.

Łaknąc bezpieczeństwa, zaszyłam się w moim ulubionym, przytulnym fotelu, w którym zawsze czytałam. Nie usadowiłam się w nim jednak tak wygodnie, jak zwykle, a usiadłam sztywno, splatając dłonie na brzuchu. Serce zaczęło kołatać mi nawet szybciej, gdy do pomieszczenia wszedł wcześniej przywołany Tony. Wyraz twarzy miał znudzony i zmęczony, jak to bywa, gdy za długo sterczy się przed ekranem, ale na mój widok lekko się uśmiechnął. W jego minie jednak nie znalazłam nic przyjaznego – uśmiechnął się jak to on, złośliwie. Przetarł oczy, jakby szykował się do obejrzenia kolejnego ciekawego programu, i rozwalił się na kanapie.

Vincent w tym czasie zdążył rzucić okiem na swój telefon, coś w nim poklikać, a w następnej chwili odłożył go na niski stolik i odchrząknął, poluzowując sobie lekko krawat. Potem podszedł do kanapy i też na niej usiadł, ale na samym jej brzegu, trzymając rozsądny dystans od rozłożonego na niej Tony’ego. Patrząc na obydwu braci, nie mogłam uwierzyć, jak podobni i różni od siebie byli jednocześnie.

Vince siedział w rozkroku, ręce opierał o uda, składając je razem, i chwilę jakby się namyślał, zanim przemówił. Udało mu się dzięki temu zgotować nieznośnie gęstą atmosferę i byłam pewna, że jeśli dalej tak pójdzie, to zacznę się tutaj dusić. To byłoby doprawdy piękne i tragiczne, gdybym umarła w bibliotece.

– Jak ci minął weekend? – zapytał wreszcie mój najstarszy brat, swoimi bladoniebieskimi oczami uważnie obserwując nawet najmniejszą moją reakcję. Ciekawe, czy dostrzegł, że drgnęłam.

Nagle stało się dla mnie jasne, że on musi wiedzieć o moim spotkaniu z chłopakiem. Musi, inaczej nie zadałby mi sztucznie zwyczajnym tonem tak przyziemnego pytania. On wie.

Wie?

Na pewno wie. Co innego ja bym tutaj robiła?

Uśmiezek na ustach Tony'ego powiększał się z każdą sekundą mojego milczenia. Po co on w ogóle nam towarzyszył?

– Dobrze – odparłam cicho, gdy uświadomiłam sobie, że cisza przeciąga się koszmarnie nienaturalnie.

Vince skinął głową, akceptując moją odpowiedź.

– Polecasz więc wybrać się na... – Tutaj przerwał i potarł na chwilę skroń, jakby pomogło mu to odzyskać utraconą myśl. – *Dwa złamane serca*?

Przez chwilę nawet nie połączyłam faktów, że wypowiedziana przez mojego brata nazwa to był istotnie tytuł tej idiotycznej komedii romantycznej, na którą zabrał mnie wczoraj Jason. Brzmiała wyjątkowo zabawnie w jego ustach. Aktualnie nie było mi jednak w ogóle do śmiechu. Skąd on, do cholery, wiedział, że ja byłam na tym filmie? Przecież nie wspominałam o tym żadnemu z braci. Nawet nie mówiłam im, że idę do kina!

O Boże, ktoś mnie widział, prawda?

Sama na pewno im nie mówiłam, bo chciałam zataić przed nimi jak najwięcej szczegółów dotyczących swojej randki. Oprócz mnie wiedziały o niej jedynie Mona i Audrey. No i Jason, ale w jego interesie było utrzymać to w tajemnicy, tak samo jak w moim. Czy ktoś nas widział? W kolejce do kas może? Albo już po seansie? Dlaczego nie byłam ostrożniejsza?

Rozegraj to na spokojnie, Hailie.

Przeniosłam ciężar z jednej nogi na drugą, wciąż chowając pod nimi dłonie. Nie wiem, co lepszego mogłabym z nimi w tym momencie zrobić.

– Nie wiem, chyba ci się nie spodobał... – odparłam, decydując się grać głupią.

– Ach tak? – zainteresował się Vincent. – Co dokładnie według ciebie by mi się nie spodobało? Film, czy może fakt, że poszłaś na niego z...

Zawiesił głos i pstryknął dwa razy palcami, przymykając lekko powieki.

– Jasonem Eevegreenem – pośpieszył mu z pomocą Tony.

Vincent otworzył oczy i skinął sztywno głową, opuszczając dłoń.

– Dokładnie tak.

Przełknęłam ślinę na dźwięk tego nazwiska w ustach Tony'ego. Czy to taką właśnie rolę ma odgrywać w naszej rozmowie? Uzupełniać brakujące

elementy układanki Vince'a? Zmarszczyłam brwi, a moje spojrzenie powędrowało w dół. Jak ja niby mam się z tego wyplątać?

– Czy to ten sam dzieciak, z którym spotykała się wcześniej? – Vince zerknął pytająco na Tony'ego.

– Ten sam, któremu wyjaśniłem, co będzie, jak nie odpuści – przytaknął.

– Ach tak.

Boże, Boże, Boże. Co robić? Co mam im powiedzieć? Wiedziałam, że muszę zacząć się bronić, ale jedyne, na co aktualnie starczyło mi odwagi, to nerwowa zabawa palcami. To i tak był sukces, że byłam w stanie nimi poruszyć.

– A więc, Hailie, jak to jest? – drążył Vince swoim monotonnym tonem, w którym zbyt wyraźnie pobrzmiwała złowroga nuta.

Zdecydowałam się otwarcie wziąć głęboki wdech. Teraz albo nigdy.

– Tak – powiedziałam szczerze, unosząc oczy tak śmiało, jak tylko dałam radę. – Poszłam z Jasonem do kina. To było przyjacielskie spotkanie, bo lubimy się i chcieliśmy się zobaczyć. Nic wam nie powiedziałam, bo wiedziałam, że wtedy prawdopodobnie nie pozwolicie mi wyjść.

Liczyłam, że stawiając sprawę jasno, może uda mi się zyskać trochę wyrozumiałości, ale z pewnością nie doszukałam się jej ani grama w oczach Vincenta. Wręcz przeciwnie, te pociemniały i pozbawiły mnie wszelkiej nadziei.

– Hailie, jesteś mądrą dziewczynką, więc niezwykle zadziwia mnie twoje rozumowanie, a może i raczej jego brak. Skoro ci czegoś zabraniam, to oznacza, że nie wolno ci tego robić. Ot tak, po prostu.

– Mówiliście, że Jason jest zły, a to nieprawda. Ja go poznałam i wiem, że jest w porządku... – tłumaczyłam. Staralam się brzmieć rozsądnie, ale mój głos był zbyt rozedrgany.

Rozległo się głośne prychnięcie Tony'ego.

– Ten dzieciak to napalony prawiczek, który tylko chce cię bzyknąć.

Zagapiłam się na niego z otwartą buzią i wybałuszonymi oczami.

– Tony – warknął na niego Vincent, rzuciwszy mu pełne dezaprobaty spojrzenie, które następnie przeniósł z powrotem na mnie, i odchrząknawszy,

przełożył kulturalnie: – Twój brat miał na myśli, że młodzi chłopcy z ładnymi buziami bardzo łatwo mogą manipulować piętnastoletnimi dziewczynkami.

– Ale... Jason taki nie jest!

– Jason dokładnie taki jest – odparł lekceważąco Tony, wpatrując się w sufit.

Już otworzyłam usta, by po raz kolejny stanąć w obronie tego chłopaka, którego naprawdę przecież poznałam i lubiłam, ale w tym momencie Vince wycelował palcem w Tony'ego.

– A wy mieliście mieć na nią oko w szkole i pilnować, żeby trzymał się od niej z daleka.

– Mieć oko to jedno, ale przecież nie łąziłem za nią krok w krok jak jakiś jebany piesek – odburknął Tony.

– Proszę, Jason jest naprawdę dobry i chciałabym nadal utrzymywać z nim kontakt... – zaczęłam znowu, ale przerwałam, gdy obaj moi bracia spojrzeli na mnie, jakbym spadła z kosmosu.

– Weź daj se spokój, ten niewyżyty chłystek gapi się na każdą dupę w zasięgu swojego wzroku.

– Kłamiesz – syknęłam na Tony'ego, wyprowadzona z równowagi przez tę jego leniwie wyciągniętą na poduszkach kanapy pozycję, ciągłe wywracanie oczami i drwiąco wykrzywione usta. – Nie znasz go nawet.

Tony zaśmiał się i pokręcił głową.

– Jesteś taka naiwna...

Usta mi drżały i nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc pozwoliłam sobie na jedyną rzecz, jaka mi w tym momencie mogła wyjść. Dałam ciche przyzwolenie, aby łyzy dramatycznie pociekły po moich policzkach, od razu żałując okazania tej oznaki słabości przed braćmi.

Tony natomiast kontynuował:

– Niby nas unika, ale i tak go czasem widzujemy z Shane'em na przerwach, jak chodzi na fajkę. Pali jakieś tanie kapciuchy. Pierdoli głupoty ze swoimi pizdowatymi kolegami. Ślini się na widok każdej małolatki...

– Sam palisz papierosy i oglądasz się za dziewczynami... – wytknęłam ze ściśniętym gardłem. Tak bardzo pragnęłam powiedzieć mu coś, co sprawi, że w końcu się zamknie.

– Nie chodzi o to, co robię ja, a o to, że ktoś taki jak on nie będzie odpowiednim chłopakiem dla ciebie, dziewczynko.

Wezbrała się we mnie złość na tę „dziewczynkę”, a jednocześnie nie mogłam zaprzeczyć, że w istocie rozkleiłam się przed chłopakami jak prawdziwe dziecko. Było mi przykro i nienawidziłam Tony’ego. Nienawidziłam go. I Vincenta też. I wszystkich swoich braci. Z Jasonem czułam się lepiej niż z nimi, a oni chcieli mi to zabrać i zniszczyć. Poza tym nie mówili o nim prawdy. Bazowali na lichych plotkach.

Może skoro zwykłe pogłoski uważają za tak wartościowe źródło, powinnam zdradzić im, co ludzie rozgadują na ich temat?

Na razie nie byłam jednak w stanie sformułować porządnie żadnej wypowiedzi, dlatego nagle zapagnęłam stąd uciec, wybiec, cokolwiek. Ledwo powstrzymałam ten instynkt i zamiast tego wtuliłam się bardziej w oparcie fotela, patrząc w podłogę.

Vincent przysłuchiwał się mojej i Tony’ego wymianie zdań, gładząc się po brodzie. Patrzył na mnie cały czas. Wiedziałam o tym, mimo że ja nie patrzyłam na niego. Po prostu czułam na sobie jego wzrok, bardzo wyraźnie.

– I co ja mam teraz zrobić, Hailie? – zapytał wreszcie cicho, nie oczekując odpowiedzi.

Najlepiej mnie zamorduj, pomyślałam gorzko, zirytowana już tym jego sposobem bycia.

Udręczona odwróciłam głowę, tym razem w bok, i powoli zaczynało mi być naprawdę wszystko jedno. I pomyśleć, że moi bracia robili taką wielką aferę z powodu tego, że znalazłam sobie kolegę. Zadziwiające było to, jak swobodnie pozwalali sobie na tak przesadną reakcję. Moja mama w życiu by się tak nie zachowała.

– Nie wiem, jak mogę zaakcentować to dosadniej – wyznał Vincent, wzdychając. – Zabraniam ci widywać się z tym dzieciakiem. Jak mu tam...

– Jason – mruknął Tony.

– Jasonem. – Vincent mlasnął cicho, jakby smakował jego imię w ustach, i lekko się skrzywił, co akurat zobaczyłam, bo uniosłam na niego zapłakane oczy. – Nie patrz tak na mnie i nie udawaj zaskoczonej. Po pierwsze, to nieodpowiednie towarzystwo dla ciebie. Po drugie, masz piętnaście lat, a to o wiele za wcześnie na randkowanie. Czy to jest dla ciebie jasne?

– Kto powiedział, że piętnaście lat to za wcześnie?

– Ja tak mówię. I wcale nie musisz się z tym zgadzać, ale musisz to zaakceptować.

Zacisnęłam usta w prostą linię, odmawiając wymaganej przez niego akceptacji. Wytrzymałam spojrzenie Vincenta, nie myśląc wiele o konsekwencjach. Chciałam tylko pokazać, że też mam prawo do wyrażenia swojej opinii. Nie był to dobry sposób. Wzbudzenie niezadowolenia w moim opiekunie prawnym nie mogło nim być.

– Drogie dziecko, możesz się buntować, ile chcesz, ale ostatecznie i tak stanie się po mojemu. Lepiej, żebyś już teraz się tego nauczyła.

Teraz patrzyłam gdzieś w bok, policzki miałam mokre od łez. Wargi zacisnęłam mocno, trochę jak uparty bobas, który odmawia jedzenia. W duchu byłam przerażona. Nie chciałam testować Vincenta, ale poczucie niesprawiedliwości, które mną zawładnęło, było silniejsze.

– Czy to jest jasne? – powtórzył swoje wcześniejsze pytanie.

– A co, jeśli powiem, że nie? – zapytałam nieco opryskliwie, zbierając w sobie w końcu siły, by odwzajemnić jego spojrzenie, zmęczona tym władcym tonem i wiecznym stawianiem mnie pod ścianą.

A Vince po raz pierwszy dzisiaj się uśmiechnął. Uśmiechnął. I to nie żadnym cierpkim uśmiechem, tylko takim jakby rozbawionym. Położył oba łokcie na swoich udach, a brodę podtrzymał na splecionych dłoniach, pochylając się nieznacznie w moją stronę. Uśmiechał się i spoglądał na mnie spod przymrużonych powiek.

– Rzucasz mi wyzwanie, Hailie?

– Co zrobicie, pobijecie mnie? Zamkniecie na zawsze w pokoju? – zapytałam. Chciałam zabrzmieć prześmiewczo, ale zdradził mnie mój drżący głos.

– Jeśli będzie trzeba – wtrącił drugi brat. Nie patrzyłam akurat na niego, ale doskonale słyszałam, jak przemawia przez niego drwina.

– Cicho, Tony – upomniał go Vincent, nie odrywając ode mnie wzroku. – Nikt cię nie pobije, bo nikt nie ma prawa cię choćby tknąć, droga Hailie, a to przywilej, jakim możesz się cieszyć, będąc moją młodszą siostrą. Jednakże... inni niewiele mnie obchodzą. Na przykład twój kolega.

Zamarłam.

– Tony, czy pamiętasz, co mu powiedziałaś, gdy ostrzegałeś go, by nie zbliżał się do naszej siostry?

– Coś tam w stylu, że go połamię, nie wiem dokładnie.

Vince nadal patrzył na mnie.

– Rozumiesz, o czym mówię?

Rozumiałam aż za dobrze. Do moich szeroko otwartych, przestraszonych oczu znowu napłynęły łzy. Moja odwaga opuściła mnie tak szybko, jak się pojawiła. Zawsze się tak działo. Przychodziła, namawiała mnie do stawiania się, a potem się ulatniała i zostawałam sama z całym bałaganem.

– Chyba go nie skrzywdzicie?

– Hm? – Vince nadstawił ucho.

– Proszę, nie krzywdźcie go – powtórzyłam głośniej.

– Nie będziesz spotykała się więcej z tym chłopcem ani w ogóle z żadnym, na pewno nie w wieku piętnastu lat. Czy to jest jasne?

– Tak, jasne – odpowiedziałam słabo.

– Dobrze, że się w końcu zrozumieliśmy – podsumował mój brat, odchylając się wreszcie na oparcie kanapy. Po raz pierwszy od początku naszej rozmowy usiadł wygodnie.

– Zaraz, ale co z tym typkiem? Jakby tu nie chodzi tylko o Hailie, ale o sam fakt, że nas nie posłuchał. Powinien dostać nauczkę – odezwał się Tony i nawet podniósł się do pozycji siedzącej.

– Dobrze więc, niech dostanie.

Zaalarmowana uniosłam gwałtownie głowę.

– Co?! Ale chwila, powiedziałaś, że...

– Należy mu się upomnienie – powiedział Vincent, a gdy Tony strzelił kłykciami tak głośno, że aż się wzdrygnęłam, dodał z naciskiem: – Niewielkie.

– Ale ja nie chcę być niesłowny.

– Mhm, ty z kolei lepiej naucz się wreszcie hamować, słyszysz? – warknął Vince, świdrując wzrokiem młodszego brata. – Czas najwyższy, żebyś zaczął panować nad tymi bezsensownymi wybuchami agresji. Wszyscy mamy ich dosyć.

– Przecież panuję.

– Ten chłopak ma poznać swoje miejsce, ale to dzieciak i spodziewam się, że niewiele potrzeba, żeby go przestraszyć. Właściwie to on w ogóle nie będzie twoim zmartwieniem, Tony, bo zamierzam porozmawiać o tym z Dylanem. Za twoją pomoc mogę już podziękować, jak i za rzucenie światła na postać...

– Jasona – podpowiedział mu Tony z uśmiechem.

Vince skinął głową.

– Właśnie.

Czułam się, jakbym się znalazła w innej rzeczywistości. Czy ja naprawdę dobrze słyszałam? Czy Vince powiedział to, co myślę, że powiedział? Obraz przed moimi oczami zamienił się w rozmazaną plamę. Tłumiłam łkanie, żeby nie robić z siebie jeszcze większej ofiary, ale bardzo chciało mi się głośno płakać. Nie wiedziałam już, co powiedzieć, co zrobić, jak powstrzymać swoich braci. Bezsilność mnie zabijała. Nie potrafiłam też dłużej wysłuchiwać, jak beztrudnie namawiają się na skrzywdzenie Jasona. Chciałam ich zwzywać od psychopatów, ale potrafiłam tylko się mazać.

– Chyba czas zakończyć tę rozmowę – odezwał się Vincent. – Zaprowadzę ją do łóżka, a ty znajdź Eugenie. Niech zaparzy jej ziółek i pomoże się uspokoić.

Następnie poczułam uścisk na ramieniu. Instynktownie chciałam strzepnąć z siebie dotyk swojego bezdusznego opiekuna, ale jego palce trzymały moją rękę mocno i nie puszczały, nawet gdy się zaszamotałam. Zanim się poddałam, zebrałam w sobie siłę na słowny protest.

– Czeka! Czeka, nie!

Nie chciałam jeszcze stąd iść. Pragnęłam zostać i przekonać Vincenta, żeby odpuścił Jasonowi. Nasza rozmowa poszła w tak tragicznie złym kierunku! Nikt jednak mnie już nie słuchał albo nie silił się na zrozumienie mojego płaczliwego bełkotu. Vincent bez trudu nawigował mną do korytarza, a następnie na schody. Wywróciłabym się na nich, gdyby nie on, bo nadal widziałam niewiele więcej niż rozmyte kształty. Bez jego pomocy nie byłabym też w stanie o własnych siłach dojść do mojej sypialni. Nie żebym odczuwała szczególną wdzięczność. Gdy wreszcie opadłam na łóżko, poczułam odrobinę szczęścia, że mogę przytulić się do pościeli i nie muszę polegać więcej na wsparciu brata.

Nawet nie wiem, kiedy zniknął, a na jego miejsce zjawiała się Eugenie. Głaskała mnie po głowie, przyniosła mi wody i jakiejś herbaty, a potem proponowała jedzenie. Nawet nie miałam energii, by jej odpowiadać. Kręciłam tylko przecząco głową, gapiąc się pustym wzrokiem w przestrzeń i od czasu do czasu pociągając nosem. Gdy mój płacz zmienił się w ciche chlipanie, pozostawił po sobie pulsujące uczucie w czaszce. Jedyna oferta Eugenie, którą w końcu zgodziłam się przyjąć, to tabletki przeciwbólowe.

Pamiętam, że w pewnym momencie odwiedził mnie Will. Jego błękitne oczy patrzyły na mnie ze zmartwieniem. Jak to możliwe, że były tak podobne do oczu Vincenta, a jednocześnie tak od nich różne? Stwierdzenie, że oczy są odzwierciedleniem duszy, nigdy jeszcze nie miało tyle sensu.

Will usiadł na brzegu materaca. Uśmiechał się do mnie łagodnie, a nawet odgarnął niesforny kosmyk włosów z mojej twarzy i schował go za moim uchem.

– Jak się czujesz?

Przymknęłam powieki, rozkoszując się jego łagodnym, cichym głosem. Dla mnie samej wydobyć z siebie jakiegokolwiek artykułowanego dźwięku to było nie lada wyzwanie. Pragnęłam jednak podzielić się z kimś swoją krzywdą, a Will zdawał się odpowiednią do tego osobą, więc wysiliłam się, by wydusić z siebie przynajmniej jedno słowo.

– Źle.

– Cóż, jak to po ataku histerii, hm?

Zerknęłam na niego, wciąż przytulając jeden policzek do poduszki.

– Uważaj na siebie, malutka, bo się jeszcze rozchorujesz – powiedział i pocałował moją skroń. Zaskoczył mnie nie tylko gestem, ale też pieścizotliwym przezwiskiem. Mimo iż brzmiało infantylnie, to niespodziewanie sprawił mi nim wiele przyjemności. Nie dałam jednak tego po sobie poznać.

– Will? – zapytałam po chwili ciszy.

– Tak?

– Co... będzie z Jasonem? – Gdybym nie wypłakała wszystkich łez, to chyba znowu napłynęłyby mi do oczu.

On westchnął i kojącymi, kolistymi ruchami dłoni masował moje ramię.

– Nie przejmuj się tym.

– Nie stanie mu się nic złego? Proszę, nie pozwól im...

Zabrakło mi właściwych słów, więc oderwałam policzek od poduszki, by mieć pewność, że Will rozumie, jak ważna to dla mnie sprawa.

– Nie, Hailie. Nic mu nie będzie – powiedział szybko. Delikatnie pokierował moją głowę tak, by z powrotem się położyła. Pozwoliłam mu na to, ale wcale nie poczułam żadnej ulgi.

– Nie chcę, żeby stała mu się krzywda.

– Nic mu nie będzie – powtórzył. – Hailie, no już. No co ty, przecież Jason to dzieciak, Vincent ma to na uwadze. Nie przejmuj się.

Oczywiście wciąż się przejmowałam, ale musiałam przyznać, że obecność Willa była bardzo uspokajająca. On był dla mnie taki dobry, że łaknęłam jego towarzystwa, nawet jeśli przeważnie milczał.

– Hailie, wiem, że teraz myślisz inaczej, ale Vincent nie jest taki zły. Zależy mu na tobie, nawet jeśli nie wie jeszcze, jak z tobą postępować. Postaraj się go nie nienawidzić.

W tym momencie jego prośba zdawała się zbyt trudna do spełnienia. Myślałam o tych wszystkich razach, gdy Vince zjawiał się przy mnie, żeby dać mi wykład. Te wszystkie rozmowy, które prowadził tak, że groziły mi zawałem, nie robiły z niego opiekuna roku.

Zignorowałam więc ten komentarz Willa, za to przyszło mi do głowy inne pytanie.

– Jak Vincent się w ogóle dowiedział o kinie?

– Tym... też się nie przejmuj.

Zacisnęłam zęby. Jego odpowiedzi były bezużyteczne i żałowałam doprawdy, że nie potrafię się z nim kłócić. Odetchnęłam cicho i gapiąc się w słabo oświetloną światłem nocnej lampki ścianę, zamyślona rzuciłam nagle:

– Chcę do mamy.

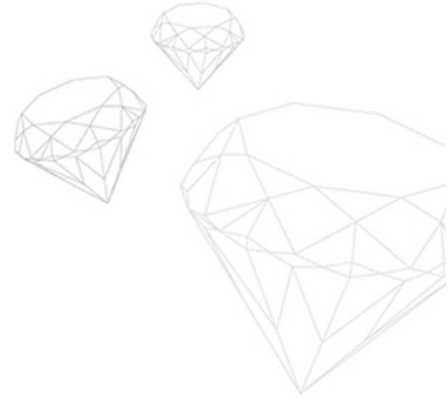
Nie wiem, skąd taka myśl przyszła mi do głowy i dlaczego zdecydowałam się wypowiedzieć ją na głos, zwłaszcza przy Willu. Może mój mózg sobie zapamiętał, że za każdym razem, gdy czułam się tak fatalnie jak teraz, moja mama była przy mnie, potrafiła mnie pocieszyć i o mnie zadbać jak nikt inny? Kolejna fala bólu zalała mnie, gdy uświadomiłam sobie, że to już niemożliwe, żeby moja mama choćby pottrzymała mnie za rękę. Nigdy już nie zaznam takiego komfortu.

A potem pomyślałam, że gdyby żyła, to przecież mój tak zwany atak hysterii nawet by się nie wydarzył. Ona nigdy nie groziłaby skrzywdzeniem Jasona czy kogokolwiek. Była dobrym człowiekiem.

Dłoń Willa, którą muskał mnie wciąż od czasu do czasu, zeszywniała.

– Wiem, malutka, wiem – wyszeptał i znowu złożył delikatny pocałunek na mojej skroni.

Nie ma pojęcia, kiedy wreszcie udało mi się zasnąć. Ale Will był przy mnie, dopóki nie odpłynęłam.



14

Słodycz czekolady

W poniedziałek już z samego rana dotarła do mnie informacja, że Jason spadł ze schodów. Trochę się poturbował i na resztę dnia został zwolniony z zajęć do domu, ale nic poważnego mu się nie stało.

Wysłuchałam tej nowiny z kamienną twarzą, a potem poszłam do łazienki i zamknęłam się w jednej z kabin. Usiadłam na toalecie i wbiłam sobie paznokcie w głowę, krzycząc bezgłośnie z frustracji i bezsilności.

Przez całą pierwszą połowę dnia byłam przygnębiona, zmartwiona i dosłownie zażenowana tym, co spowodziłam na pierwszego chłopaka w swoim życiu, który tak mi się spodobał. Nie miałam ochoty oglądać swoich braci, do których poza nienawiścią nie czułam w tym momencie nic. Oczywiście nie sądziłam, by ich samych to obchodziło. Podczas przerwy na lunch, już przy samym wejściu na stołówkę, Shane jak gdyby nigdy nic zwerbował mnie do słynnego stolika Monetów.

– Dzisiaj siedzisz z nami – oznajmił, odsuwając dla mnie krzesło. – Polecenie Vince’a.

Nie odzywałam się ani na nikogo nie patrzyłam. Zajęłam wskazane miejsce, w głowie tworząc dziesiątki scenariuszy na sposób, w jaki Vincent mógłby się wypchać. Pokręciłam głową też do zdezorientowanych Audrey

i Mony, próbując im zakomunikować, że sama jestem poirytowana tym, że nie mogę z nimi usiąść. Prawda była taka, że w tym momencie było mi to obojętne, bo ostatnio, gdy z nimi rozmawiałam, chichotałyśmy o Jasonie, a teraz sytuacja tak niespodziewanie obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, że nie miałam ochoty im tego wszystkiego tłumaczyć.

Zostałam wciśnięta między Shane'a a Tony'ego i gapiłam się na swoją tacę z jedzeniem, na które i tak brakowało mi apetytu. Wolałam jednak to, niż patrzeć na innych członków wianuszka adoracji moich braci, którzy okupowali ten stolik i rzucali mi wścibskie spojrzenia. W ogóle się na tych ludziach nie skupiałam. Nie słuchałam nawet, o czym rozmawiali, do czasu.

– Co jest?

To było nienaturalnie głośno wypowiedziane pytanie, które rozbrzmiało za moimi plecami. Odwróciłam się obojętnie, ale zastygłam zaskoczona, gdy okazało się, że tuż za mną stanęła jakaś dziewczyna. Długie czarne włosy miała zaplecione w milion warkoczyków. To po tej fryzurze rozpoznałam w niej towarzyszkę Shane'a. Nie wiem, jak inaczej mogłabym ją nazwać. Bo jego partnerką nie była na pewno, sądząc po znudzonym spojrzeniu, jakim ją właśnie obdarował.

– Eee? To moje miejsce? – Rozłożyła dłonie z wyrzutem, a jej różowe jak balonowa guma usta wykrzywiły się w brzydkim grymasie.

– Sorry, Marge, nie dzisiaj – rzucił Shane przez ramię i z powrotem odwrócił się do swojego jedzenia.

– Co? – Wbiła we mnie wrogie spojrzenie. – Ty. Wypad.

– Ogarnij ją albo ja to zrobię – warknął cicho Dylan do Shane'a, który westchnął poirytowany, że ktoś ciągle odciąga go od frytek.

– Marge, powiedziałem, że nie dzisiaj. Nie ma miejsca. Idź sobie.

– Właśnie, że jest miejsce. Ta dziwka na nim siedzi.

Uniosłam brwi.

Shane odłożył widelec, wyprostował się i zmierzył Marge spojrzeniem – już nie znudzonym, a chłodnym i zde gustowanym.

– To moja siostra, głupia pizdo.

– Wypierdalaj – dorzucił Tony.

Z zaskoczeniem rozpoznałam w jego głosie pogardę, a wytatuowaną dłoń zacisnął na stole w pięść tak mocno, że już pewnie zapoznawałby ją z twarzą Marge, gdyby tylko ta nie była kobietą.

Jaskraworóżowe wargi dziewczyny zadrżały, jej pewność siebie zniknęła. Zaboląły ją słowa moich braci i żałowałabym jej bardziej, gdyby nie to, że wcześniej sama mnie obraziła. Naprawdę to ona powinna była tu siedzieć, nie ja. To towarzystwo było siebie warte.

Marge, czerwona ze wstydu i świadoma swojej porażki, odwróciła się, a jej warkoczyki podskakiwały, gdy szybkim krokiem opuszczała stołówkę.

– Z kim ty się zadajesz? – prychnął do Shane’a Dylan i z niesmakiem pokręcił głową, zanim z powrotem skupił uwagę na swoim lunchu.

– Ona ciągle ma jakiś problem. – Shane wzruszył ramionami. – Ale tak poza tym to się czasem dogadujemy. Jest niegroźna.

– Czyli nie gryzie, tylko głośno szczeka? – zachichotał jeden z kumpli, a ja się skrzywiłam.

– Wiadomo, kiedy najgłośniej – zażartował drugi.

– Jak to suka.

– Dobra już, przymknijcie się – zarządził w końcu Dylan, obrzuciwszy zirytowanym spojrzeniem swoich kolegów, prezentujących to jakże wątpliwej klasy poczucie humoru. Żaden z moich braci akurat nie śmiał się z tych idiotycznych żartów, chociaż na ustach Tony’ego błędził ten typowy dla niego złośliwy uśmiech.

– Współczuję ci, Hailie, że musisz tego wysłuchiwać – zwrócił się do mnie chłopak siedzący blisko Dylana, który nieco mojej sympatii zdobył sobie tym, że też wywracał oczami na padające tu głupie teksty. Co mi się natomiast nie spodobało, to fakt, że swoimi słowami zwrócił uwagę wszystkich przy stole na mnie, czego starałam się do tej pory za wszelką cenę unikać.

Dylan prychnął ponownie.

– Gdyby nie narozrabiała, toby nie musiała.

– Och, odpuść jej – powiedział ten sam miły kolega moich braci. Nawet do mnie mrugnął, gdy przyłapał mnie na spojrzeniu, jakie mu rzuciłam,

zaintrygowana tym, że ktoś tutaj śmie stawać w mojej obronie. – Co wy, nie pamiętacie, jak to było jeszcze parę lat temu? Pierwsza miłość i te sprawy...

– Chyba pierwsze bzykanko – mruknął Shane, na co rozległy się parsknięcia.

– No pamiętamy, jak to było, właśnie dlatego dzieciak oberwał, a młoda siedzi z nami – odpowiedział Dylan.

– Też mi oberwał. Nic mu się w sumie nie stało, nie?

– Przez tę tutaj, bo narobiła dramatu – wyjaśnił Shane, szturchając mnie lekko ramieniem. W jego mniemaniu to chyba miał być psotny kuksaniec, ale ja od razu odsunęłam się na bok i zmierzyłam go wrogim spojrzeniem.

– Ale żeby oddać sprawiedliwość twoim braciom, Hailie, muszę przyznać, że z tego Jasona rośnie niezły gnojek – powiedział do mnie jeden z członków Monetowej sekty.

– Do tego to pizdeczka, jakich mało – dorzucił Tony, a Dylan pokiwał głową.

– Dokładnie. Zdążył się posikać, jak tylko zobaczył, że idę w jego stronę.

Opuściłam rękę na blat tak gwałtownie, że wszystkie leżące na nim tace się zatrzęsły. Nie było przy tym stole ani jednej pary oczu, która by na mnie wtedy nie spojrzała.

– O, wow, pobiłeś młodszego od siebie chłopaka, jakie to imponujące – syknęłam, odzywając się tu, na forum, po raz pierwszy. Poczułam, że obelgi rzucone w stronę Jasona są wyjątkowo niesprawiedliwe, i najwyraźniej byłam jedyną tutaj osobą, która tak uważała.

– Nikogo nie pobiłem – odparł chłodno Dylan. – Gdyby tak było, nie dotarłby o własnych siłach do pielęgniarki. Tylko go upomniałem, mała siostró.

Stoczyliśmy krótki pojedynek na spojrzenia – moje było pełne nienawiści, a jego niewzruszone i ostrzegawcze. Przed czym mnie ostrzegało? Nie wiem i nawet mnie to nie obchodziło. Przerwałam tę niemą walkę, gotując się ze złości. Porzucając swój nietknięty prawie lunch, wydostałam się spomiędzy bliźniaków, zanim zdążyli zareagować. Kipiąc wściekłością, ruszyłam do wyjścia ze stołówki krokiem jeszcze szybszym niż wcześniej Marge.

– Ej, a ty gdzie? – zawołał za mną Shane.

Zignorowałam go i wpadłam do pierwszej lepszej i na szczęście pustej łazienki, gdzie zawisłam nad umywalką i chłodną wodą przemyłam sobie twarz, żałując, że nie jestem w domu, gdzie mogłabym wskoczyć pod relaksujący prysznic.

Nie wytrzymam z nimi. Psychicznie nie wytrzymam, przysięgam. Wzięłam kilka głębokich wdechów i zamarłam, gdy dostrzegłam swoje odbicie w lustrze. Wilgotne teraz policzki różowiły mi się od złości, a moje źrenice trochę jakby się powiększyły, pompowane tłumionymi w duchu emocjami. Chciało mi się ryczeć z bezsilności, ale buzowała też we mnie wściekłość, która zdawała się pomagać mi blokować łzy. To na niej polegałam całkowicie, gdy wreszcie zebrałam się do opuszczenia łazienki. Zdecydowałam się nie wracać na stołówkę, tylko pójść pod salę od biologii, gdzie miałam kolejną lekcję, i poczytać tam książkę, dopóki przerwa się nie skończy. Dziwnym trafem jednak ciężkie, zdecydowane i wyrażające moją obecność, wzburzoną postawę kroki poniosły mnie do głównej części szkoły, a następnie – do wyjścia.

Nie planowałam ucieczki ani nie wiedziałam, dokąd idę. Wyglądałam za to na pewną siebie i chyba tylko dlatego nikt z pracowników szkoły mnie nie zatrzymał ani nie skontrolował. Udało mi się opuścić teren akademii bez żadnego problemu, ale z racji dziwnego transu, w jakim się teraz znajdowałam, nie zadziwiło mnie to ani nie ucieszyło.

Szłam chwilę wzdłuż wysokiego muru otaczającego obręb szkoły, który po chwili się skończył, i weszłam w las. Ruszyłam drogą, która wiodła wśród gęstych drzew. Trzymałam się pobocza, bo nie było tu nawet chodnika. Najwyraźniej nikt nigdy nie chodził tędy pieszo. Samochodów także niewiele mnie mijało. Pewnie ruch zwiększał się w godzinach szczytu, ale teraz auta przejeżdżały sporadycznie i byłam pewna, że każdy kierowca obracał się za mną zdezorientowany, widząc zbłąkanego przechodnia. Zwłaszcza takiego w mundurku szkolnym i bez kurtki. Wiedziona bowiem swoim genialnym impulsem, nie pomyślałam, że warto byłoby chociaż zadbać o swój komfort i pofatygować się do szafki po okrycie wierzchnie.

A było chłodno, o wiele za chłodno na takie przechadzki. Co z tego, że świeciło słońce, nie wiało i nie sypał śnieg, skoro wkoło leżało go mnóstwo i było zimno?

Miałam szczęście, bo rozgrzewała mnie krew, wrząca z furii w moich żyłach. Nie żartuję, szłam przed siebie, nie tracąc buntowniczego ducha, mimo iż powinnam raczej panikować, bo nie dość, że uciekłam ze szkoły, to jeszcze kroczyłam na oko średnio bezpieczną drogą, i to ubrana nieodpowiednio do pogody. No i znowu łamałam święte zasady Vincenta.

Na samą myśl o nim niemal bezwiednie zacisnęłam palce w pięści, a potem zaczęłam chłodne kalkulacje. Mam piętnaście lat, więc będę od niego zależna przez przynajmniej trzy następne. Trzy lata bez kompromisów i możliwości wyrażenia własnego zdania. On nie przyjmował słowa „nie”, nie bawił się też w negocjacje. Nawet z własną siostrą. Jak ja mam niby to wytrzymać? Nie wspominając o tym, że reszta mojego rodzeństwa też nie była lepsza. Trafiłam pod dach pięciu apodyktycznych buców. Dobrze, może oprócz Willa i Shane’a, oni nie byli aż takimi bucami. Apodyktycznymi tak, ale nie bucami.

Westchnęłam, potrząsając głową. Objęłam się ramionami, naciągając mundurkową marynarkę tak, by grzała mnie jak najefektywniej.

I co ja niby mogę zrobić? Przecież ich nie zmienię, bo im gwałtowniej się im przeciwstawiam, tym bardziej nieprzyjemni się stają, a jestem zbyt tchórzliwa, by uciec raz na zawsze. Ta, ucieczka. Zawsze dziwiłam się, gdy słyszałam o zbuntowanych nastolatkach, którzy uciekli z domu. Nie dlatego, że podważałam ich powody, ale dlatego, że ja sama nie wyobrażałam sobie, dokąd, będąc na ich miejscu, potencjalnie mogłabym uciec i jak w ogóle przetrwać. Zwłaszcza teraz, w mojej obecnej sytuacji życiowej. Nie miałam rodziny, a gdybym chciała się zatrzymać u kogoś znajomego, to (jako że znajomych miałam garstkę) byłoby to zbyt oczywiste, gdzie mnie szukać. Poza marną resztą z pieniędzy, którymi zapłaciłam za i tak niedojedzony lunch, nie miałam żadnych funduszy na przetrwanie. Wylądowałabym na ulicy.

Tak jak teraz. Nadal jednak szłam przed siebie bez celu w pogrążonej w ciszy zimowo-leśnej scenerii. Śnieg topniał brzydko i nie pokrywał już mokrego asfaltu, ale jego resztki wciąż zbierały się w maleńkie górki na poboczu drogi. Raz potknęłam się i włożyłam nogę w jedną z nich, co przyplącałam zmoczeniem skarpetki. Uczucie to było okropnie nieprzyjemne i to był chyba pierwszy moment, w którym zaczęłam wątpić w sens swojej małej wycieczki. Po czasie też odkryłam, że łyse, posępne drzewa

i wszechobecna pustka zaczynają mnie przerażać. Wtedy do głowy przyszło mi po raz pierwszy pytanie: jak długo mogłam tak iść?

Niecałe dwie godziny. Tak brzmiała odpowiedź. Tyle zajęło mi pokonanie odległości od szkoły do najbliższego miasteczka po obraniu drogi z południowej strony kampusu. Nie śpieszyłam się, to prawda, ale i tak zdziwiłam się, bo pomimo z czasem odczuwanych niedogodności miałam wrażenie, że czasu minęło znacznie mniej.

Gdy zobaczyłam pierwsze zabudowania, bardzo mi ulżyło. Wychodząc ze szkoły, podświadomie zaczęłam iść w stronę przeciwną do tej, z której zawsze przyjeżdżałam z braćmi. Co za tym idzie, nie znałam tych rejonów i przyznam, że już powoli zaczynałam obawiać się, że to jedna z tych niekończących się dróg, która w najlepszym razie zaprowadzi mnie do sąsiedniego stanu, na przykład prosto do Ohio. Gdy dotarłam do małego centrum, najpierw ogarnęła mnie ulga, bo dobrze było znów znaleźć się wśród cywilizacji. Zanim zdążyłam poważnie się zmartwić tym, że tak naprawdę owo miasteczko niewiele w mojej sytuacji zmienia, bo i tak nie miałam się gdzie podziać, a ono samo było raczej małe i pogrążone chyba we śnie zimowym, oczy zaświeciły mi się na widok kawiarni. Naprawdę byłam przemarznięta i bardzo się zmęczyłam, dlatego wejście do ciepłego i przytulnego lokalu to najlepsze, co mogło mi się w tej chwili przytrafić.

Zignorowałam podejrzliwe spojrzenie rzucone mi przez baristkę zza lady. Pewnie zastanawiała się, co o tej porze robi tu nastolatka w szkolnym mundurku i bez kurtki. Staralam się nie zachowywać dziwnie, żeby nie pomagać jej w budowaniu w myślach niekorzystnej zapewne dla mnie teorii.

Zajęłam miejsce przy stoliku w dyskretnym kącie kawiarni z wielką filiżanką gorącej czekolady w rękach. Wydałam na nią wszystkie pieniądze, jakie znalazłam w kieszeni. Myślałam, że mam ich trochę więcej, a to dlatego, że wciąż trudno mi było się przyzwyczaić, że w Ameryce istniały banknoty o wartości tak małej jak jeden dolar. Przez to ciągle nie mogłam pozbyć się mylnego wrażenia, że mam więcej pieniędzy niż w rzeczywistości. Tymczasem nawet zabrakło mi kilka centów na bitą śmietaną z posypką, ale nie zamierzałam rozpaczać. Zależało mi w końcu najbardziej na tym, żeby się rozgrzać.

Właśnie wtedy wyjęłam telefon. Chciałam przede wszystkim sprawdzić godzinę, ale po odblokowaniu ekranu, oprócz zegara, moim oczom ukazał się szereg powiadomień.

Osiemnaście nieodebranych połączeń od Dylana.

Sześć nieodebranych połączeń od Willa.

Jedno od Vincenta.

Na to ostatnie gapiałam się najdłużej. To było jak wisienka na gorzkim torcie mojej porażki. Vincent chyba jeszcze nigdy do mnie nie dzwonił. Żeby było zabawniej, miałam przecież włączone wibracje w telefonie, a więc usłyszałabym albo przynajmniej poczuła w kieszeni, że ktoś do mnie tarabani tyle razy. Domyślałam się, że w takim razie podczas mojego spaceru musiałam nie mieć zasięgu.

Zagryzłam wargi, zastanawiając się, czy powinnam oddzwonić.

I co im powiesz?

Powiem, gdzie jestem. I tak jakoś muszę stąd wrócić, nie?

Wyobraziłam sobie ich poirytowanie. Dylana, który atakuje mnie za to, że nie odbierałam telefonu, Tony'ego z tym jego złośliwym uśmieszkiem, no i na koniec – moje ulubione – rozmowa z Vincentem. Mimo obaw ledwo powstrzymałam chęć wywrócenia oczami.

Ostatecznie postanowiłam zignorować te wszystkie nieodebrane połączenia do czasu, aż dokończę swoją czekoladę. Wtedy dopiero planowałam złapać z powrotem za telefon i zadzwonić do któregoś z chłopaków. Powinnam chyba wybrać numer Vincenta, ale nie byłam pewna, czy mam wystarczająco dużo odwagi. Dobrą opcją był Will, chociaż potem pomyślałam sobie, że może być nieprzyjemnie słyszeć jego zawiedziony moim zachowaniem głos.

Czekoladę piłam bardzo wolno, starając się odwlec rozmowę, która mnie czekała. Bałam się dotykać telefonu i tego, że jak coś będę w nim robić, to nagle zadzwoni do mnie znowu któryś z braci, a ja przez przypadek odbiorę. Dlatego odłożyłam urządzenie na bok i zapatrzyłam się w szklaną witrynę kawiarni, obserwując przez nią pustą uliczkę na zewnątrz.

Rozmyślałam trochę o Jasonie, o swoim lubującym się w przemocy rodzeństwie i o tym, jak wszystko by wyglądało, gdyby żyła moja mama. Ona

zaprosiłaby Jasona do domu na obiad i wypytała o jego ulubione przedmioty w szkole. Pozwoliłaby nam iść do kina, prosząc jedynie, żebym wróciła przed zmrokiem. Po wszystkim usiadłaby ze mną w salonie z herbatą i zagadnęła o szczegóły, których większość bym przed nią zataiła, a ona wiedziałaby o tym, ale i tak by się uśmiechnęła, przypominając sobie czasy, gdy sama była w moim wieku.

A przynajmniej chciałam myśleć, że tak by było.

Rozmarzona tą wizją dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że na ulicy pod kawiarnią zatrzymał się radiowóz. Samochód przystanął dwoma kołami na chodniku, prawie blokując wejście do środka, a gdy z jego wnętrza wyłonili się dwaj policjanci, serce zabiło mi mocniej.

Czy oni...?

Nie, nie było nawet takiej opcji. To niemożliwe, że ci dwaj mężczyźni zjawili się tu w związku ze mną. To byłaby przesada.

Funkcjonariusze weszli do kawiarni, dumnie wyprostowani w swoich mundurach. Jednemu z nich, niższemu i przysadzistemu, od razu zaświeciły się oczy na widok wystawionych słodkości. Drugi zdawał się spięty i lekko poirytowany. Był dużo młodszy od swojego partnera i bardzo wysoki, jak Dylan, chociaż dużo mniej napakowany. Stał z założonymi rękami, gdy starszy policjant w pełnej luzu manierze podszedł do lady i powitał baristkę jak dobrą znajomą. Obserwowałam jego poczynania, dłońmi ciasno obejmując filiżankę, żeby nie zdradzić się z ich drżeniem.

Policjant rozważał na głos, które donuty wybrać, chwając głośno każdy ich rodzaj, a jego współpracownik, znudzony przedłużającym się zamówieniem, zaczął skanować wzrokiem pomieszczenie. Oprócz mnie siedziały tutaj tylko dwie starsze kobiety pogrążone w poufalej rozmowie, dlatego nie udało mi się pozostać niezauważoną, ale starałam się udawać, że wcale nie jestem nastolatką w mundurku na wagarach, która dodatkowo boi się własnego cienia. Przybrałam obojętny wyraz twarzy, trochę zerkając przez okno, a trochę rzucając spojrzenie na ekran telefonu, jakbym czekała na jakąś ważną wiadomość. Chyba udało mi się zagrać to dobrze, bo spojrzenie młodszego policjanta prześlizgnęło się po mnie bez większego zainteresowania.

Użyło mi najpierw, że to tylko przypadek i policjanci nie zjawili się tutaj w ramach akcji poszukiwawczej. A gdy już udało mi się uspokoić nerwy, przełknęłam ślinę, bo w mojej głowie zakiełkował nowy pomysł.

A gdybym tak...

A gdybym tak spróbowała uwolnić się od swojego rodzeństwa?

Przeszło mi wcześniej przez myśl, żeby porozmawiać z kimś o swojej sytuacji, ale znalezienie odpowiedniej osoby wydawało mi bardzo trudne, zważywszy że chciałam donieść na braci Monet, którzy byli tu dość popularni. Pierwsi nasunęli mi się na myśl nauczyciele. Pani Roberts swoim anielskim usposobieniem zdobyła tyle mojego zaufania i sympatii, że byłabym w stanie zostać w jej sali po lekcji i opowiedzieć jej o swojej mrocznej sytuacji, potem jednak uzmysłowiłam sobie, że ona musiałaby pójść z tym gdzieś wyżej. Do dyrektora zapewne – tego samego, który co jakiś czas odbierał od Vincenta tłuste czekki.

Poinformowanie policji o mojej sprawie wydawało mi się zbyt drastycznym posunięciem, ale nic nie poradzę, że patrząc teraz na obu mundurowych, zaczęłam to rozważać.

Drżałam na samą myśl, co by się stało, gdybym teraz do nich podeszła i wyznała, że mieszkam z ludźmi, których się boję. Czy wpakowałabym w kłopoty ich, czy raczej siebie? No i równie ważne, jeśli nie ważniejsze było pytanie – czy naprawdę tego chciałam? Vincent nie był wymarzoną opiekunem, a moi pozostali bracia różnili się bardzo od idealnego, rodzinnego obrazka, ale nie mogłam im odmówić tego, że byli przy mnie, a sam Vince dbał, by niczego mi nie zabrakło. Kiedykolwiek czegoś potrzebowałam – dostawałam to ot tak.

Czy naprawdę więc chciałam donieść na niego policji?

Siedziałam tam ze swoją ostygłą już czekoladą i patrzyłam na funkcjonariuszy jak zahipnotyzowana.

Czekali teraz na swoją kawę i ten starszy mówił coś wesoło do swojego naburmuszonego partnera. Machał mu przed nosem papierową torbą z pączkami, namawiając go do kupna paru dla siebie. Obserwowałam go, wyobrażając sobie, że do niego podchodzę. Przedstawiam się, odchrząkuję, a potem proszę o pomoc. Wystarczyłoby wstać od stolika i zrobić dosłownie kilka kroków.

Nagle jego brwi się uniosły, a zaraz w ślad za nimi powędrowały kąćki ust, wyginając się w szerokim uśmiechu. W tym samym momencie młodszy policjant zeszywniał jeszcze bardziej.

– Oho ho, dzień dobry, dzień dobry! – zawołał przyjaźnie starszy funkcjonariusz na widok mężczyzny, który pojawił się właśnie w drzwiach wejściowych.

Jedno spojrzenie i moje serce przestało bić. Do kawiarni w tej małej miejscince wkroczył Vincent we własnej osobie.

W swoim płaszczu i ulizanych włosach wyglądał dostojnie jak zawsze, a bijąca od niego aura była tak władcza, jakby był właścicielem tego lokalu i przyszedł porozstawiać tu wszystkich po kątach. Powiodł spojrzeniem po pomieszczeniu, aż jego oczy o skutych lodem tęczówkach zatrzymały się na mnie, ale tylko na chwilę. Potem odwrócił się do policjanta i skinął do niego głową, wciąż spoglądając surowo.

– Dzień dobry, szeryfie.

Zatrzymał się przy nim i uściśnił dłonie. Na palcu Vincenta błysnął sygnet, na który zapatrzył się młodszy z policjantów, ten spięty.

– A co ty tu do cholery robisz, hm? – zapytał zaczepnie, ale przyjaźnie szeryf, szeleszcząc papierową torbą.

– Spotykam się z siostrą – odparł po prostu Vince, szybkim ruchem dłoni wskazując na mnie.

Przełknęłam ślinę pod badawczym spojrzeniem szeryfa.

– A czy ona nie powinna być w szkole?

– Powinna.

Wtedy baristka zawołała: „Cyrus!” i policjant rzucił się do lady, by odebrać zamówienie. Jego partner stał ciągle obok, napięty jak struna. Teraz przyglądał mi się z o wiele większą intensywnością, jednocześnie wyraźnie unikając spojrzenia mojego brata.

– No cóż, my musimy uciekać. Trzymaj się, Vincencie – powiedział Cyrus, mrugając, a potem zerknął jeszcze na mnie i machnął do mnie ręką, w której trzymał pączki. – Ukłony dla siostry.

Następnie wpatrzony łakomie w swoją kawę skierował się na zewnątrz, a jego partner podążył za nim, wyraźnie zadowolony, że w końcu może stąd wyjść.

Wtedy spuściłam głowę i wbiłam wzrok w swoją do połowy pustą filiżankę czekolady. Słyszałam miękkie i bardzo ciche kroki Vincenta. Jak podchodzi do mojego stolika, odsuwa krzesło i siada naprzeciwko mnie. Rozpina płaszcz, podciąga mankiety. Nie śpieszyło mu się.

– Pamiętasz, kiedy powiedziałem ci na początku, że oczekuję, iż będziesz się trzymała z daleka od kłopotów?

Skinęłam głową. Naszą pierwszą rozmowę pamiętałam bardzo dobrze.

– W takim razie co to ma znaczyć? – zapytał, rozkładając ręce.

Prawie automatycznie gotowa byłam wymamrotać przeprosiny, ale się powstrzymałam. *Nie daj się zastraszyć, Hailie. Nic tutaj nie jest twoją winą. To oni skrzywdzili Jasona.*

Może i zabrzmiało to niepokojąco, ale przyznam, że odwagi dodawał mi fakt, że znajdowaliśmy się w miejscu publicznym.

– Potrzebowałam chwili samotności – odparłam cicho.

Vince pochylił się lekko w moją stronę.

– Więc trzeba było znaleźć sobie ustronne miejsce w naszym domu – warknął lodowato.

Upiłam łyk czekolady. Jej słodycz dodała mi otuchy.

– Jason spadł ze schodów...

– Nie chcę więcej słyszeć imienia tego chłopaka – przerwał mi, unosząc dłonie.

Znowu napiłam się z filiżanki.

– Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem?

Vince wyprostował się i obserwował mnie przez chwilę w milczeniu. Następnie uniósł powoli dłonie i sięgnął nią do mojego telefonu, który wciąż leżał na stoliku. Na początku myślałam, że chce mi go zabrać, ale on tylko postukał palcem wskazującym w ekran.

Minęła chwila, zanim zdążyłam zrozumieć, co to znaczy. Otworzyłam szeroko oczy.

– Śledzisz mnie?!

Byłam oburzona, ale zwracając się do Vincenta, nigdy nie potrafiłam brzmieć zbyt groźnie, nieważne, jak bardzo się starałam.

Wyraz jego twarzy pozostał kompletnie niewzruszony.

– Oczywiście.

– Nie masz prawa!

– Oczywiście, że mam.

Zabrakło mi słów. Nowe odkrycie nie pomogło w zmianie mojego i tak negatywnego już stosunku wobec najstarszego brata.

– Na przyszłość zapamiętaj, proszę, że gdy do ciebie dzwonię, oczekuję, że odbierzesz od razu – upomniał mnie.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie śledzisz.

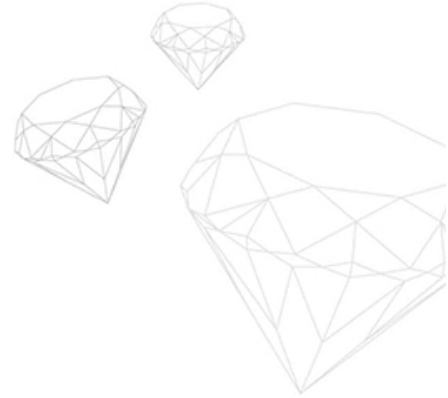
Przekrzywił głowę, czekając, aż przetrawię tę informację.

– Skąd wiedziałaś, że w sobotę spotkałam się z Jasonem? – zapytałam wolno.

Złość to było chyba jedyne paliwo, które napędzało moją odwagę w dyskusjach z Vincentem. Przez chwilę nawet poczułam się, jakbym to ja rozdawała tutaj karty i miała prawo ciągnąć go za język. Było to złudne uczucie, w ogóle nieprawdziwe. Vincent bowiem sam decydował, kiedy i co chciał powiedzieć.

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby się zastanawiał, w co warto mnie wtajemniczyć, aż w końcu odparł:

– Od twojego ochroniarza.



15

Gra o najwyższe stawki

Właśnie unosiłam filiżankę do ust, gdy dotarł do mnie sens jego słów. Upuściłam ją i rozległ się głośny brzdęk. Cudem się nie potłukła, choć resztki czekolady wylały się na stół. Ściągnęłam na siebie uwagę każdej z nielicznych osób obecnych w kawiarni, ale nie mogłabym się tym mniej przejmować, bo aktualnie gapiłam się na brata.

Vince z typową dla siebie elegancją sięgnął po serwetki z dozownika na środku blatu i ułożył je przede mną, zachęcając mnie, abym posprzątała swój bałagan.

Chciałam zadać mu jakieś bezsensowne pytanie typu: „O czym ty mówisz?” albo „Jakiego ochroniarza?”, ale zamiast tego po cichu wypowiedziałam inne, takie, które podpowiedziała mi moja podświadomość.

– Po co mi ochroniarz?

Vincent obserwował mnie uważnie. Widziałam po nim, że rozmyśla nad tym, jak dużą część swojej tajemnicy może przede mną odkryć. Wytrzymywałam jego spojrzenie, a swoją postawą starałam się pokazać, że jestem gotowa usłyszeć prawdę, a przynajmniej jej część. Poza tym starałam

się dyskretnie ją na nim wymusić, zaciskając usta. Wiedziałam, że mi się należy.

Mój brat gładził się dłonią po brodzie, na jednym z jego palców ponownie groźnie błysnął sygnet. Jeszcze zanim znowu się odezwał, przeszło mi przez myśl, że może wcale nie chcę wiedzieć tego, co mi zaraz powie.

– Co wiesz na temat tego, czym się zajmuję?

Mówił czystym i wyraźnym głosem, ale też na tyle cichym, żebym tylko ja mogła go usłyszeć. Zastanowiłam się chwilę nad odpowiedzią.

– Will mówił, że macie rodzinny biznes – odparłam wreszcie bez przekonania.

Na ustach Vincenta zamajaczył cień uśmiechu.

– Will bardzo ładnie to nazwał.

– Czyli to nieprawda?

– Ależ prawda.

Zamilkłam. Vince wydawał się poważny, jednak nie mogłam pozbyć się wrażenia, że tak naprawdę jest trochę rozbawiony. To było coś nowego.

– Co jeszcze Will ci powiedział?

Wtedy się zawahałam, marszcząc czoło i próbując wyteńczyć swoje szare komórki.

– Że... po tym, jak... wasz ojciec zmarł, ty zająłeś jego miejsce w firmie, a chłopcy trochę ci tak jakby... pomagają?

Było to absolutne maksimum mojej wiedzy na temat ich interesów. Czyli praktycznie nic. Niełatwo w końcu przychodziło mi zagadywanie o cokolwiek moich braci, z którymi naprawdę ciężko prowadziło się jakiegokolwiek poważne rozmowy. Nawet Will ucinał moje pytania.

– To również twój ojciec, Hailie.

Pokiwałam głową, uciekając przed nim wzrokiem. Nie sądziłam, by istniała konieczność, żebym oficjalnie uznawała tego człowieka za swojego ojca. Nie miałam ochoty tego robić, ale też nie chciałam tłumaczyć się na ten temat Vincentowi.

– Dobrze – westchnął mój brat i odchylił się w fotelu. Ręce oparł na podłokietnikach i siedząc tak przy stoliku w zwyczajnej kawiarni, wyglądał

jak król w sali tronowej. Jak on to robił, nie miałam pojęcia. – Historia naszej rodziny jest długa i ciekawa, moja droga Hailie. Nasz dziadek i pradziadek ciężko pracowali, żeby zapewnić nam pozycję, którą obecnie zajmujemy.

Przed oczami znowu stanęły mi te wszystkie artykuły z internetu. Imperium Monetów, tak nazywano tam ten biznes lub może raczej biznesy, o których opowiadał teraz Vince...

– Nie wszystkie aktywności, w które się angażowali, były legalne. Rozumiesz, co mam na myśli? – zapytał wolno.

– Na przykład? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie i przełknęłam ślinę, bo z wrażenia zaschło mi w gardle.

Vincent pokręcił głową.

– Opowiadam ci o tym, żeby naszkicować ci tło przeszłości naszej rodziny. Nie zamierzam natomiast wchodzić w szczegóły.

– Ale...

– Nie.

Zniecierpliwiona zacisnęłam zęby, żeby nie mruknąć czegoś, co na pewno by mu się nie spodobało. Musiałam się pilnować, żeby nie popsuć mu nastroju. Poza tym, mimo że chwilowo zrobił się taki rozmowny, wierzyłam, że nadal stąpałam po cienkim lodzie. Łatwo było o tym zapomnieć, ale w końcu siedzieliśmy razem przy stole w kawiarni w jakiejś nieznanej mi miejscowości tylko dlatego, że zdecydowałam się uciec ze szkoły. Na pewno czekały mnie jakieś konsekwencje.

– Kiedy nasza rodzina pięła się w górę, wraz z osiąganymi sukcesami rosła też nasza konkurencja. Stawała się coraz poważniejsza i bezwzględna – kontynuował mój brat. – To cena, jaką się płaci za powodzenie.

– Co to za konkurencja? Czy oni nadal istnieją?

– Hailie, przystopuj, proszę, to nie wywiad. Powiem ci tyle, ile uznam za stosowne.

Akurat rozglądał się dyskretnie, a zaraz potem spojrzał na mnie z dezaprobatą, gdy głośno i demonstracyjnie westchnęłam. Wtedy wyprostował się nagle i zarządził:

– Wychodzimy.

Byłam zdezorientowana tym nagłym zwrotem w rozmowie. Nie chciałam, żeby przerywał. Chciałam, żeby kontynuował, bo po raz pierwszy czułam, że mnie w coś wtajemnicza. Nawet jeśli było to złudne wrażenie, skoro – jak sam podkreślił – dzielił się ze mną tylko wybiórczymi informacjami, to i tak był to niezaprzeczalny progres w naszych relacjach.

Vince nie marnował czasu. Bez chwili wahania podniósł się i zaczął zapinać swój elegancki płaszcz. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że tracę szansę na odkrycie choć części sekretu swoich braci. A to przecież było coś, z czym zmagalam się od miesięcy.

– Nie! – zawołałam szybko. – Nie, czekaj, jeszcze chwilę. Będę cicho, będę tylko słuchać, słowo. Powiedz mi coś jeszcze, proszę.

– Wstawaj – rozkazał tylko, patrząc na mnie wyczekująco.

Wstałam, ale tylko po to, żeby się do niego zbliżyć i złapać za rękę, powstrzymując go od zapięcia ostatniego guzika. Sama się zdziwiłam, że odważyłam się na taki poufały gest wobec Vincenta, ale to tylko dowodziło, jak desperacko pragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej.

– Proszę – pisnęłam, zadzierając głowę i spoglądając błagalnie w jego oczy, które zdawały się obojętne. Ponownie omiótł nimi kawiarnię i pokręcił głową.

– Wychodzimy – powtórzył w końcu, a gdy przejęta otworzyłam usta, by spróbować dalszych protestów, dodał: – Dokończymy w aucie.

Najpierw poluzowałam swój uścisk z ulgą, a następnie pozwoliłam, by moje dłonie już same ześlizgnęły się z jego nadgarstka. Czyli jeszcze nie wszystko stracone. Tak bardzo się ucieszyłam, że nie zaprzepaściłam swojej szansy. Vince wykorzystał moje rozkojarzenie i szybkim ruchem sprzątnął ze stolika mój telefon. Bez słowa wsunął go sobie do kieszeni. Nie skomentowałam tego.

Podążyłam za nim do wyjścia, a na zewnątrz od razu skierowaliśmy się w stronę jego samochodu. Znowu powoli zaczynał prószyć śnieg i Vince kolejnym spojrzeniem pełnym dezaprobaty obrzucił moje zbyt cienkie okrycie. Czym prędzej otworzył dla mnie drzwi od strony pasażera, a ja równie prędko wślizgnęłam się na fotel, drżąc od podmuchów lodowatego

wiatru. W czasie, gdy siedziałam w kawiarni, albo opadły moje emocje, albo temperatura powietrza – a może jedno i drugie. Na pewno teraz odczuwałam chłód bardziej niż podczas swojego spaceru przez las. Jeszcze ciaśniej opatuliłam się marynarką, gdy obserwowałam przez przednią szybę, jak Vince okrąży auto i zasiada za kierownicą obok mnie. Na niewielkim parkingu stało kilku starszych mężczyzn, chyba okolicznych mieszkańców. Tłoczyli się z papierosami w zgrabiących dłoniach i rozmawiali, hałaśliwie się przekrzykując. Wszyscy bez wyjątku umilkli na widok Vincenta i gapili się na niego, dopóki nie odpalił silnika i nie odjechał.

To moje całkiem niedawne odkrycie – pojawianie się w miejscach publicznych z moim najstarszym bratem przyciągało uwagę wszystkich wokoło. Ci, którzy znali lub kojarzyli Vincenta, chcieli się upewnić, że to na pewno on, a ci, którzy nie wiedzieli, kim on jest, i tak się nim interesowali, bo w końcu Vincent wyglądał jak ulizane i wypieszczone milion dolarów.

Niecierpliwiłam się. Chciałam już, żeby kontynuował, ale go nie poganiałam, żeby fałszywym ruchem nie zaprzepaścić swoich szans na poznanie choćby ułamka prawdy. Gdy już zaczynałam powoli wierzyć, że mnie okłamał, że tak naprawdę nic mi więcej nie zdradzi, i po prostu wracaliśmy prosto do domu, Vincent zjechał na pobocze w miejscu, gdzie było ono na tyle szerokie, by mógł bezpiecznie się zatrzymać. Jak wszędzie w tej okolicy, ta raczej pusta droga prowadziła przez gęsto posadzone drzewa o bezlistnych koronach. Mając przed oczami tak ponury krajobraz, pomyślałam, że stokroć bardziej wolałabym być teraz w kawiarni lub w jakimkolwiek innym miejscu publicznym, i zadrżałam.

– Są ludzie, którym nie podoba się to, co robię – oświadczył znenacka Vince, jakby zaplanował sobie, że najpierw pozwoli idealnej ciszy, która zapadła po wyłączeniu silnika, osiąść wokół nas, a potem z efektem zaskoczenia zmaści ją swoim chłodnym głosem. Siedział tak i patrzył przed siebie z jedną ręką spoczywającą na kierownicy, a drugą na podłokietniku. Popatrzyłam na nią i zagapiłam się na jego sygnet. Był koloru stali, z wielkim wygrawerowanym M i jakimiś mniejszymi rzeźbieniami wkoło. By dokładniej się im przyjrzeć, musiałabym się mocno nachylić. Nie wiedzieć czemu pierścień napawał mnie dziwnym niepokojem.

– Masz na myśli policję? – zapytałam naiwnie, podnosząc oczy, by spojrzeć mu w twarz.

Uśmiechnął się jakby z politowaniem, ale dalej patrzył przez przednią szybę na las.

– Och nie, Hailie, z policją mam doskonałe relacje. Warto, żebyś o tym pamiętała.

Zamurowało mnie i zalała mnie fala wstydu wymieszanego z przerażeniem, bo przypomniałam sobie, że jeszcze chwilę temu naprawdę rozważałam, żeby donieść na niego funkcjonariuszom. Ależ to byłby błąd! Vincent i ten cały szeryf zdawali się żyć w nad wyraz dobrych stosunkach. Nie wiem, czy mój brat potrafił czytać w myślach i dzięki temu zgadł, co wcześniej chodziło mi po głowie, czy po prostu ostrzegął mnie na przyszłość. Wiem tylko, że naprawdę zamierzałam zapamiętać tę przestrożę.

– Mamy wielu przyjaciół, bardzo potężnych przyjaciół, ale nie tylko. Nie przepadam za słowem „wrogowie”, bo kojarzy się infantylnie, a to poważne sprawy, na które chcę cię uczulić, jednakże, jak by nie było, w prosty sposób charakteryzuje ono relację, jaka nas łączy z niektórymi osobami. To różni ludzie z różnymi motywacjami i granicami postawionymi w różnych miejscach. Nigdy nie można zakładać, czego się po nich spodziewać. To właśnie dlatego za każdym razem, gdy jesteś gdzieś sama poza szkołą, mam człowieka, który pilnuje twojego bezpieczeństwa. Nie chcielibyśmy, żeby ktoś nam cię porwał.

– Chwila, słucham? Ktoś chce mnie porwać? – wyjąkałam słabo.

– Och, wiele osób.

– Ale dlaczego, przecież ja nic nie zrobiłam, przecież...

– Twoje nazwisko, Hailie. To wystarczy.

Vince nie patrzył na mnie ani ze zmartwieniem, ani ze współczuciem, mimo iż na pewno widział, jak bardzo przeraziły mnie jego słowa. Mnie samej daleko było do jego opanowania i nawet nie zauważyłam, kiedy panika zaczęła brać górę nad rozsądkiem.

– Trzeba to zgłosić na policję!

Vince pokręcił przecząco głową.

– Gra o najwyższe stawki zawsze toczy się poza zasięgiem policji.

Namiętnie zagryzałam usta, zastanawiając się nad jakimś prostym rozwiązaniem, naiwnie wierząc, że w ogóle istniało jakieś, na które Vince

sam do tej pory nie wpadł.

– Czemu chcą porwać tylko mnie? Co z tobą i resztą chłopaków? – zapytałam cicho. – Wszyscy mamy to samo nazwisko.

– To oczywiste, Hailie – odparł. – Ty jesteś najłatwiejszym celem. Fakt, że nie wychowywałaś się w naszej rodzinie od zawsze, dodatkowo nadaje ci wartości w oczach potencjalnych osób o nieczystych intencjach. Jesteś młodą, ładną dziewczyną, a co najważniejsze, nieobytą w naszym świecie, co czyni cię bezbronną i naiwną...

– Wcale nie jestem naiwna.

Vince zacisnął usta, niezadowolony, że weszłam mu w słowo. Przez moment patrzył na mnie w milczeniu, dając mi do zrozumienia, że mam tak więcej nie robić. Wymamrotałam ciche przeprosiny, żeby go udobruchać, i wtedy kontynuował.

– Ależ oczywiście, że jesteś naiwna. I masz pełne prawo taka być, jako że nie masz o niczym pojęcia. Dlatego też musisz postępować według zasad, które ci dyktuję. Bo są sprawy, bardzo dużo spraw, o których nie wiesz. Możliwe, że o większości z nich nie dowiesz się nigdy.

Nie wszystko, co mówił, mi się podobało. Zamiast jednak skupić się na negatywnych reakcjach, próbowałam ruszyć głową i poukładać sobie w niej pytania, których nasuwała mi się cała masa.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej, że mam ochroniarza?

– Żeby cię nie wystraszyć.

– Dlaczego więc mówisz mi o tym teraz?

– Żeby cię wystraszyć.

Uniosłam brwi, czekając na wyjaśnienia, a Vince odetchnął i zacisnął dłoń na kierownicy.

– Hailie, nie możesz sobie tak po prostu opuszczać terenu szkoły. W ogóle nie powinnaś nigdzie chodzić bez wcześniejszego poinformowania mnie bądź kogoś z chłopaków. Gdybyś dzisiaj przypadkiem napatoczyła się komuś niepożądanemu, mogłoby się to źle skończyć. – Twarz Vincenta pociemniała, gdy wpatrywał się gdzieś w dal, a potem wbił wzrok we mnie i dodał: – Dlatego jeszcze raz pójdziesz na wagary, a już więcej nie wrócisz

do szkoły. Jeśli będzie taka potrzeba, załatwię ci nauczanie indywidualne i zamknę cię w domu, nie żartuję. Jasne?

Ostatnie słowa zabrzmiały jak pełnoprawna groźba i zadrżałam na samą myśl, co by było, gdyby się spełniła. Wtedy już w ogóle nie miałabym żadnego życia.

– Jasne.

Przez moment żadne z nas się nie odzywało. Vince wyciągnął telefon i zerknął na powiadomienia.

– Wracamy do domu – oznajmił, chowając go z powrotem.

– Jeszcze chwila, proszę. Powiesz mi, czym ty się w takim razie tak dokładnie zajmujesz? – zapytałam, ożywiając się nagle. Nie chciałam jeszcze kończyć naszej rozmowy i pragnęłam wycisnąć z niej, ile się da.

– Nie.

To była krótka odpowiedź, ale wypowiedziana w tak zdecydowany i nieznoszący sprzeciwu sposób, że zamilkłam i z ciężkim sercem ją zaakceptowałam. Vince odpalił silnik i nie strzepił więcej języka. Ja też nie odezwałam się aż do momentu, gdy zaparkowaliśmy w garażu Rezydencji Monetów. Przez całą pozostałą drogę analizowałam informacje, którymi mój brat się ze mną podzielił, i teraz aż rozboleła mnie głowa z ich nadmiaru.

– Vince, proszę, powiesz mi coś jeszcze? – zawołałam. Ostatni raz próbowałam szczęścia, gdy on odpiął pas i otworzył drzwi, jedną nogą wysiadając już z auta. Odwrócił się w moją stronę i przez chwilę patrzył na mnie, a ja (trochę nieświadomie, a trochę tak), spróbowałam skłonić go do odpowiedzi, robiąc piękne oczy.

– Słucham, Hailie?

Sukces.

– Co, jeśli ktoś naprawdę mnie porwie?

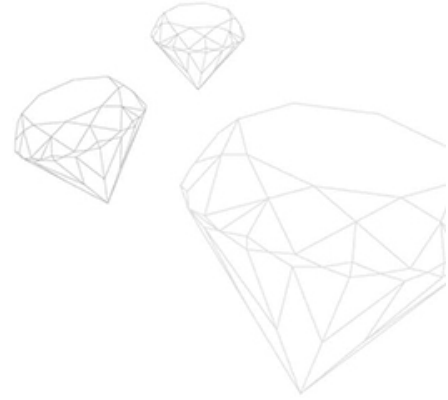
Analizowałam wszystko, co Vince mi powiedział, ale to do tej kwestii wracałam co chwilę i to co do niej miałam największe wątpliwości. Bałam się usłyszeć odpowiedź.

Vince lustrował mnie spojrzeniem swoich bladych oczu.

– Wtedy osobiście go zabiję.

Wysiadł, zamknął za sobą drzwi auta i zniknął w mieszkalnej części domu.

A ja zostałam w samochodzie jeszcze przez następne kilka minut, czekając, aż ustąpią ciarki, które rozbiegły się po całym moim ciele.



16

Mała siostrzyczka

Gdy wkroczyłam do kuchni, nogi wciąż miałam jak z waty. Nie wiem, czemu akurat tam mnie poniosły, nie czułam się głodna. Chyba po prostu nie chciałam tak od razu podążać śladem Vincenta, więc zdecydowałam się odczekać chwilę na dole, zanim pójdę do swojej sypialni.

Urwałam sobie kilka winogron z rzeźbionej misy, która stała obok ekspresu, i przeżuwałam je wolno, opierając się o blat. Pustym wzrokiem wpatrywałam się w okno, wychodzące na szarobure podwórze. Po głowie krążyła mi wyłącznie rozmowa z Vincentem i nie mogłam przestać o niej myśleć, a szczególnie o tych jego ostatnich słowach. Wciąż nie schodziła mi gęsia skórka.

Wtedy właśnie dołączył do mnie nie kto inny jak Dylan. Pojawił się znikąd, nawet nie słyszałam jego kroków. Popatrzyłam na niego, gdy wszedł do pomieszczenia, i poczułam, jak momentalnie moja twarz tężeje. On też nie zignorował mnie tak jak zwykle, tylko przystanął przesadnie blisko i uruchomił ekspres do kawy. Nie podobało mi się to spojrzenie pełne wyrzutu, które we mnie wbił.

– Co miała znaczyć ta twoja ucieczka, co? – zapytał.

Powoli rozgryzłam ostatnie winogrono.

– Nie mogłam już was słuchać – wyznałam szczerze.

Rozległ się odgłos mielonych ziaren kawy, a Dylan zbliżył się do mnie jeszcze bardziej, swoją wielką sylwetką znacząco ograniczając moją przestrzeń.

– Jak masz z nami siedzieć, to masz z nami siedzieć, i kropka. Nieważne, czy ci się to podoba, czy nie.

Wyprostowałam się i uniosłam brwi.

– Tak, ale... Nie. Mogłam. Już. Was. Słuchać – powtórzyłam.

Naprawdę próbowałam nie brzmieć chamsko. Przecież dobrze wiedziałam, że nie warto pyskować Dylanowi. Nie potrzebowałam wchodzić z nim teraz w żadne konflikty. Mówiłam normalnie, tylko może trochę się broniłam.

On zrobił jeszcze jeden krok w moją stronę i gdybym miała jak, tobym się cofnęła.

– To następnym razem zatkaj sobie uszy.

– Przepraszam, czy teraz też mam je zatkać?

No dobra, to akurat mi się wymknęło. Wiedziałam, że się zagalopowałam, już w momencie, gdy pierwsze słowa wyszły z moich ust, ale liczyłam, że uda mi się prześlizgnąć pod ramieniem Dylana i zwać do pokoju. Niestety, zatrzymała mnie jego dłoń na moim łokciu.

– Zrobiłaś się wygadana, mała dziewczynko, co?

– Puść mnie.

– Najpierw coś sobie wyjaśnimy...

Cmoknęłam językiem w nagłym przypływie irytacji.

– Rozmawiałam już z Vince'em.

– Wspaniale. Teraz porozmawiasz ze mną.

– Nie zamierzam.

Spróbowałam wyrwać się z jego uścisku, ale nie byłam dla niego godnym przeciwnikiem.

– Tak strasznie boczysz się o tego swojego chłoptasia? – zapytał prześmiewczo.

Aż drgnęłam z oburzenia.

– Puszczaj mnie!

– Miejmy nadzieję, że w przyszłości będzie patrzył pod nogi, hm? Szkoda by było, gdyby znowu potknął się na schodach.

Nie. Nie powiedział tego.

Co za człowiek mówi takie rzeczy?

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem. Co za arogancki dupek! Moje wcześniejsze oznaki złości były pojedynczymi ukłuciami, jakby użądliło mnie tylko kilka pszczoł, ale teraz, po jego ostatnich słowach, poczułam, że wkroczyłam w cały ich rój.

– Puść mnie, puść mnie, puść!!! – wrzasnęłam i tym razem włożyłam całą energię w próby wyszarpięcia się, jednocześnie odpychając go pięściami, co szybko przemieniło się po prostu w okładanie go nimi.

Dylan na początku patrzył na mnie totalnie zaskoczony, potem zmarszczył brwi, jakby próbując zrozumieć, co ja, u licha, wyprawiam. Nie miałam dość siły, by swoimi atakami go skrzywdzić lub sprawić mu choć trochę dotkliwy ból. Nawet się nie cofnął, ale w pewnym momencie lekko się zachwiał. W końcu, kiedy jedno z moich wymierzanych na ślepo uderzeń trafiło niebezpiecznie nisko, Dylan mnie odepchnął.

Poleciałam na szafki i upadłabym na ziemię, gdyby nie to, że stały tak blisko. Dzięki nim podparłam się łokciem o blat, a drugą ręką przytrzymałam się uchwyty szuflady, która trochę się rozsunała. Poczułam niewielki ból na wysokości łopatki i wyrwało mi się ciche „auć”. To na pewno pomogło mi otrząsnąć się z transu, w który przed chwilą wpadłam. Podniosłam głowę, by spojrzeć na Dylana, który górował nade mną z rozchyłonymi w zaskoczeniu ustami.

– Co się tutaj dzieje?

Mogłam tylko zgadywać, że Will pojawił się na progu kuchni ściągnięty moimi krzykami. Zignorowawszy jego pytanie, wciąż świdrowałam Dylana spojrzeniem. On z kolei gapił się na mnie jak zaczarowany, aż wreszcie westchnął.

– Wstawaj – powiedział.

Z niechęcią zerknęłam na jego dłoń, którą do mnie wyciągnął, i odwróciłam wzrok, zbierając się, żeby podnieść się o własnych siłach.

– Noż do cholery – warknął. Nachylił się, złapał mnie za ramię i podciągnął. Gdy już stałam prosto, odsunęłam się od niego najdalej, jak mogłam, pocierając łokieć, w który się uderzyłam.

– Hailie, co ci się stało? – Tym razem ton Willa był niski i surowy.

Wciąż nie odpowiadałam, spojrzeniem spod nastroszonych brwi wyzywając do tego Dylana. On gładził się po karku i o dziwo był spokojniejszy. Patrzył gdzieś w bok i wreszcie burknął niechętnie:

– Popchnąłem ją.

– *Popchnąłeś* ją? – powtórzył natychmiast Will, całą uwagę koncentrując na swoim młodszym bracie, który tylko wzruszył ramionami i zaraz je rozłożył.

– Nie wiedziałem, że od razu tak polecą.

Will gapił się na niego, jakby nie wierzył w jego ciężkie rozumowanie. Przez chwilę chyba zapomniał, że ja nadal tu jestem, i całą swoją złość skumulował na Dylanie, co wcale mi nie przeszkadzało.

– Ty zdajesz sobie sprawę, że ona nie jest jak Shane albo Tony, z którymi możesz się łączyć dla zabawy? Popatrz na nią, a potem na siebie. Oczywiście, że gdy ją popchnąłeś, to upadła – warknął. Błękitny odcień jego oczu stał się niezwykle chłodny i w tym momencie przypominał trochę Vincenta. Tylko trochę, oczywiście, bo Vince jest jedyny w swoim rodzaju.

– Wiem, ale żeby nie było, ona pierwsza rzuciła się na mnie z pięściami.

Teraz Will patrzył na mnie, a ja wciąż kipiłam wściekłością, więc moja odpowiedź była adekwatna do stanu, w jakim się znajdowałam.

– Bo zacząłeś pieprzyć głupoty o Jasonie!

Mnie samą zadziwił mój własny dobór słów. Nigdy wcześniej takie rzeczy mi się nie wyrzywały i mogłam tylko zgadywać, od kogo je podłapałam.

– Ej! Uważaj sobie – syknął Dylan, unosząc na mnie palec.

– Słownictwo, Hailie – upomniał mnie w tym samym momencie Will.

Teraz obaj patrzyli na mnie. I znowu byłam tylko ja kontra bracia. Poczułam, że taki obrót spraw jest wyjątkowo niesprawiedliwy, i z frustracją przywitałam znajome uczucie piekących oczu. Czemu to ja zawsze muszę płakać?

Milczałam i po paru długich sekundach Will odezwał się znowu.

– Nie chcę słyszeć takich słów z twoich ust, dobrze?

Will to zwykle ten z braci, który był dla mnie miły i dobry, ale w chwilach takich jak teraz przypominałam sobie, że on też ma swoje dziwne, nie do końca zrozumiałe zachowania. Też jest jednym z Monetów i lepiej nie psuć sobie z nim stosunków głupimi sprzeczkami. Niestety, w tej chwili byłam w zbyt bojowym nastroju, dlatego zdecydowałam się kontynuować kłótnię.

– W tym domu cały czas ktoś przeklina.

– W tym domu dzieje się też dużo innych rzeczy, których tobie nie wolno – odparł Dylan.

– Jakim prawem w ogóle mówisz mi, co mi wolno? Tylko Vincent jest moim opiekunem prawnym.

Taka prawda, Dylan nawet nie był wiele starszy ode mnie. A jego zachowanie mogłoby wskazywać nawet, że jest młodszy. Fakt, że ktoś taki może dyktować mi warunki, był doprawdy kuriozalny.

Niefortunnie dla mnie, tym razem moje pyskowanie nie spodobało się również Willowi, który uniósł brwi.

– W takim razie czy mam go tu zawołać?

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Will wskazywał kciukiem za siebie, na schody, i szybko przegrałam walkę z jego intensywnie błękitnym spojrzeniem. Spuściłam oczy, kręcąc przecząco głową. Will nie żartował. Naprawdę był gotów ściągnąć tu Vincenta, a ja miałam już dość interakcji ze swoim najstarszym bratem jak na jeden dzień. Poza tym byłam pewna, że stanąby po stronie chłopaków.

– Jestem zmęczona, chcę odpocząć – wymamrotałam w końcu.

Miałam nadzieję chociaż wziąć Willa na litość i tak też się stało. Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową i pozwolił mi się

wyminąć. Zanim jednak opuściłam kuchnię, zatrzymał mnie jeszcze na moment.

– Nic ci się nie stało? Nie uderzyłaś się?

– Nie.

Nie zaszczyliłam już więcej spojrzeniem ani jego, ani tym bardziej Dylana. Wspięłam się po schodach na górę i odczułam tylko małe, maleńkie ukłucie satysfakcji, bo dosłyszałam, jak Will robi młodszemu bratu wyrzuty. Świadomość, że przynajmniej Dylanowi za coś się oberwało, trochę mnie pocieszyła.

W sypialni z utęsknieniem przywitałam łóżko. Nie dane mi było jednak się zrelaksować, bo po krótkim epizodzie w kuchni mój mózg znowu zaczął przetrawiać informacje, którymi dziś podzielił się ze mną Vincent.

Po pierwsze, moi bracia prowadzą jakieś dziwne interesy z niebezpiecznymi ludźmi i to już nie były tylko głupie plotki czy domysły zasłyszane w szkole – to był fakt potwierdzony przez samego Vincenta.

Po drugie, groziło mi niebezpieczeństwo. Nie wiem, jak wielkie. Na pewno na tyle spore, że potrzebowałam ochroniarza i nadajnika w telefonie. Na samą myśl o tym aż drżałam ze strachu. Do tej pory tego typu problemy znane mi były jedynie z książek, które z zafascynowaniem pochłaniałam. Nigdy jednak nie przypuszczałam, że sama wcielę się w bohaterkę thrillera.

Po trzecie, z całych sił starałam się przekonać samą siebie, że ostatnie słowa Vincenta, wypowiedziane do mnie w samochodzie, musiały być tylko żartem, który miał mnie odwieść od zadawania dalszych pytań, choć wszystko – jego wyraz twarzy, spojrzenie i ton głosu – wskazywało na to, że był w stu procentach poważny.

Po czwarte, Dylan to wredny dupek.

Swoją złość skierowałam właśnie na niego, i to za sytuację sprzed chwili. No i za to, że ostatecznie to on rozprawił się z Jasonem. Biedny Jason, wiedziałam, że nic poważnego mu się nie stało, i nie potrafię opisać, jak wielką ulgę czułam, ale jednocześnie cierpiałam przez to, jaki wpływ ta sytuacja miała na naszą relację. Jeszcze nie wiedziałam, jak ona teraz będzie wyglądać, ale nie byłam optymistką.

Nawet nic do mnie nie napisał. Automatycznie chciałam zerknąć na telefon, a wtedy przypomniałam sobie, że Vincent mi go zabrał, i westchnęłam. Nie denerwowałam się jednak na niego. Człowiek ma w sobie tylko ograniczoną ilość złości, a moja obecnie, jak wspominałam, skupiła się na Dylanie.

Niespodziewanie zmieniłam o nim zdanie pod wieczór. Nadrabiałam lekcje, które opuściłam. Siedziałam przy biurku, skupiona nad zeszytami, w towarzystwie kolorowych karteczek i markerów, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Spodziewałam się, że to Eugenie albo może Will, ale do mojego pokoju wszedł właśnie Dylan. Momentalnie pożałowałam swojego zaproszenia i się spięłam. Udałam też, że jestem wielce zaczytana w jednym z rozdziałów z książki do historii, i planowałam czym prędzej odprawić swojego wrednego brata, zanim znowu zdoła wyprowadzić mnie z równowagi.

On zbliżył się do mojego biurka i oparł się o nie luźno, rozglądając się po pokoju.

– Nie masz tu żadnych lalek? – zdziwił się.

– Mam piętnaście lat, nie bawię się już lalkami – odburknęłam.

Poczułam na sobie jego wzrok.

– Ej, Hailie, przepraszam.

Powiedział to tak zwyczajnie, że przez dłuższą chwilę prosty sens jego słów do mnie nie trafiał. W moim wyobrażeniu Dylan nie był zdolny do wypowiedzenia takiego magicznego słowa, więc gdy zorientowałam się, że ono naprawdę padło z jego ust, ostrożnie uniosłam na niego oczy. Spodziewałam się złośliwego uśmiechu na jego twarzy, który by sugerował sarkazm wypowiedzi, ale minę miał poważną.

Czyżby to był mój szósty brat? Bliźniak Dylana, który jest jego zupełnym przeciwieństwem? To głupie, ale prędzej byłam w stanie uwierzyć w taką historyjkę niż w fakt, że Dylan przyszedł do mnie, żeby mnie szczerze przeprosić.

– Nie za to, co zrobiłem twojemu chłopakowi, żeby było jasne – podkreślił. No dobra, może jednak to jest Dylan. – Tylko za to, że byłem dla

ciebie wredny. Miałem ochotę z kimś się podrażnić, no i padło na ciebie. A jesteś łatwym celem, dziewczynko.

Zrobiłam kwaśną minę, na co kąciki ust Dylana powędrowały do góry. Już drugi raz dzisiaj zostałam nazwana łatwym celem.

– Nie powinnaś była wagarować. Trochę się wkurw... wkurzyłem, jak się dowiedziałem, że wyszłaś sobie ot tak ze szkoły. To dla ciebie niebezpieczne wałęsać się samej. No i tak wyszło, że zaczepiłem cię w kuchni.

Milczałam, więc gdy po chwili nie miał już nic do dodania, odepchnął się od biurka i skierował do wyjścia.

– Dylan... – szepnęłam cicho.

Zatrzymał się w połowie drogi i odwrócił w moją stronę.

– Hm?

– Trochę się chyba... boję.

Głos mi zadrżał, oczy znowu zaczęły się pocić i nawet niechcący upuściłam długopis na podłogę. Wszystko to dlatego, że z jakiegoś powodu właśnie w tym momencie moja samokontrola prysnęła jak bańka mydlana. Nie mogłam już dłużej tłumić w sobie uczuć, musiałam się ich pozbyć. Z jakiegoś powodu pokojowa wizyta Dylana uruchomiła ten proces.

Mógł mnie wyśmiać, zlekceważyć, zignorować albo pocieszyć i naprawdę nie wiedziałam, co wybierze, ale w tym momencie o to nie dbałam. Chciałam uwolnić emocje.

On patrzył na mnie przez chwilę, po czym westchnął i się zawahał, a potem wrócił do mnie, wyjął ręce z kieszeni, odgarnął włosy z czoła do tyłu i rozchylił lekko ramiona.

– Chodź no tu.

Najpierw zadarłam głowę, żeby upewnić się po jego twarzy, że nic mi się nie wydaje i prawidłowo odczytuję jego komunikat, a potem, wiedzona głęboko skrywanymi potrzebami przynależności i akceptacji, wstałam.

Ramiona Dylana oplotły moją drobną sylwetkę i zamknęły w mocnym i stabilnym uścisku. Taki gest automatycznie dał zielone światło łzom w moich oczach, bo zaczęłam płakać i nawet nie przejmowałam się tym, że

robię to w jego obecności. Pilnie domagałam się jakiegokolwiek pocieszenia i nie dbałam o to, od kogo je dostanę.

Przytulił mnie tak mocno, że moje czoło spoczęło na jego muskularnej klatce piersiowej, a łzami zmoczyłam mu koszulkę. W pewnym momencie zaczął gładzić mnie po plecach, a ja w pierwszej chwili zaczęłam płakać jeszcze bardziej, z wdzięczności za pocieszenie, jaki mi to dało, a jakiego tak bardzo i żałośnie potrzebowałam.

– Czego się boisz?

Ciebie, między innymi. Was.

– Że na przykład ktoś mnie porwie...

Ogólnie to mogłabym napisać książkę o tym, czego się bałam. Bałam się własnego rodzeństwa, bałam się tego, że byłam w niebezpieczeństwie, tego, że naprawdę skrzywdzą Jasona, tego, że mają szemrane interesy, które załatwiają z szemranymi ludźmi, i chociażby tego, że używają broni palnej.

Dylan objął mnie mocniej.

– Nie pozwolimy, żeby ktoś zrobił ci krzywdę – obiecał cicho. – Jesteś naszą małą siostrzyczką.

– Jestem dla was obcą dziewczyną. – Spod moich powiek trysnęła jeszcze obfitsza fontanna. Powiedziałam właśnie na głos to, o czym nieśmiało zdarzało mi się myśleć już od samego początku.

Wtedy Dylan odchylił się tak, żeby złapać mnie za podbródek, i uniósł go, zmuszając moje zapłakane oczy, by spojrzały mu w twarz.

– Hailie, ty jesteś naszą siostrą. Jesteś naszą rodziną, a my rodzinę cenimy ponad wszystko.

– Nie jestem jedną z was.

Dylan zacisnął dłoń na moim barku. Marszczył też brwi, a jego ciemne oczy były poważne jak nigdy.

– Ej, jasne, że jesteś.

– Zawsze będą tą, która dołączyła do was po kilkunastu latach. Nigdy nie będę miała z wami takiej relacji, jaką wy macie ze sobą.

– Gówno prawda, dziewczynko. Zginęłaś nam na chwilę, no i co? Wielkie mi rzeczy. Już się znalazłaś, więc jest dobrze.

Potok łez na moich policzkach nie miał końca. Kręciłam głową i czułam, jak wypłakuję wszystkie smutki.

– Jestem jak obca.

– Jesteś jak skarb.

Uniosłam na niego spojrzenie, zszokowana i niepewna, czy się właśnie nie przesłyszałam. Dylan uśmiechał się lekko i zadziornie.

– Zagubiona i odnaleziona, jesteś jak skarb. – Kciukiem przejechał po moim mokrym policzku. – I tak masz się czuć, dziewczynko. Wyjątkowo. Jasne?

Broda drżała mi tak bardzo, że prawie zaczęłam szczękać zębami. Pokiwałam głową, kurczowo łapiąc się nadziei, że może naprawdę Dylan mówi to wszystko szczerze.

– Zasmarokałaś mi całą koszulkę.

Parsknęłam cicho, pociągając nosem.

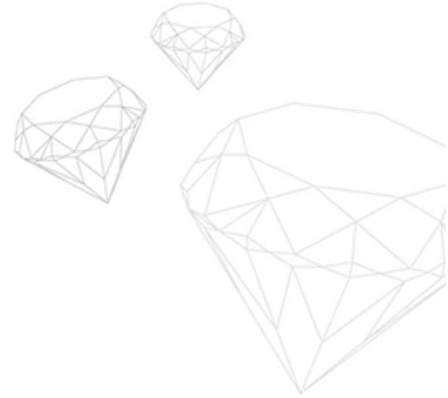
– Wiesz... – zaczęłam po chwili, gdy wreszcie odzyskałam głos. – Fajnie by było, gdybyś zawsze był dla mnie taki miły.

– Możesz sobie pomarzyć.

Westchnęłam. Wciąż wisiało nade mną milion pytań i niepewności. Rozmowa z Dylanem przyniosła mi jednak ulgę. W końcu mogłam zaznać nieco spokoju.

Zabawne, jeszcze kilka godzin temu pragnęłam wydrapać mu oczy, a teraz tak chętnie szukałam pocieszenia w jego ramionach. Nie obchodziło mnie, jak to wyglądało z zewnątrz. W tamtej chwili najważniejsze było dla mnie zachowanie równowagi psychicznej, a Dylan niespodziewanie bardzo mi w tym pomógł.

I kto by pomyślał, że ze wszystkich członków mojej nowej rodziny to on okaże się tą osobą, której w kilku zdaniach uda się zawrzeć tak cenny dla mnie przekaz.



17

Tony jest głupi

Istniał na tym świecie jeszcze jeden chłopak, który wciąż był dla mnie ważny, a który, dzięki „uprzejmości” moich braci okazał się dla mnie nieosiągalny. Tutaj zaczynał się mój wewnętrzny konflikt. Ilekroć dopuszczałam do siebie przekonanie, że moi bracia może wcale nie są tacy źli, to przypomiinałam sobie, że nastraszyli mojego kolegę tylko dlatego, że odważył się zabrać mnie na randkę. W życiu nie miałam w głowie takiej sieczki.

Już następnego ranka Vincent oddał mi telefon, a ja miałam poczucie, że zrobił to nie tyle dla mnie, a prędeż z powodu nadajnika, którego istnienia już byłam świadoma. Dziwnie się czułam, wiedząc, że noszę ze sobą sprzęt szpiegowski, ale to najwyraźniej był dla Vincenta temat szalenie ważny i niepodlegający negocjacji, więc się nie kłóciłam. No i akceptowałam argument, że jest to dodatkowy środek mający zapewnić mi bezpieczeństwo. Nie zamierzałam protestować, szczególnie po tym, co usłyszałam od Vincenta wczoraj.

Stresowałam się wyjściem do szkoły. Szkoda mi było zaprzepaścić relację z Jasonem, ale po rozmowach z Vincentem i Dylanem rozumiałam wreszcie, że nie mam za bardzo wyboru. Nie zgadzałam się z braćmi, wciąż

miałam żal, że zmusili mnie do zakończenia relacji z chłopakiem w taki sposób, ale nie istniało chyba nic, co mogłabym zrobić, żeby go zaakceptowali.

Gotowa więc byłam się poświęcić. Postanowiłam być grzeczną siostrą i nie prowokować więcej braci Monet dla dobra wszystkich wkoło. Zrobiłam z siebie męczennicę i podejmując tę decyzję, poczułam się przez chwilę jak bohaterka narodowa. Może spróbujemy z Jasonem za jakiś czas? Może w drugiej klasie? Może gdy będę miała szesnaście lat, to według Vincenta będzie to już odpowiedni czas na randki? To planowałam przekazać Jasonowi w ostatniej na tę chwilę rozmowie, jaką chciałam z nim przeprowadzić. Oczywiście szykowałam się, żeby go przeprosić za reakcję Dylana oraz żeby go pocieszyć, że w sumie to im dłużej będziemy na siebie czekać, tym bardziej ekscytująca będzie ewentualna wizja naszego pojednania. Chyba że nie będzie chciał czekać, to wtedy też w porządku. Byłam gotowa na takie rozstanie. Wyobrażałam sobie, że wtedy będę płakać nie tylko ja, ale i on.

Och, jak ja się pomyliłam.

Mona i Audrey wyczekiwały mnie już od rana, ciekawe mojej relacji z wczorajszych wydarzeń. Po naszym nocowaniu czułam, że trochę się zbliżyłyśmy, więc opowiedziałam im wszystko, zadowolona, że mój głos nareszcie brzmi stabilnie i pewnie po tym, jak zdążyłam już sobie wszystko poukładać w głowie.

Dziewczyny chłonęły każde moje słowo i właśnie mówiłam im, jak zakończenie znajomości z Jasonem jest dla mnie trudne, ale najwyraźniej nieuniknione, i że nie wiem jeszcze do końca, jakich słów użyć, żeby nie zranić jego uczuć. Byłam pewna tych uczuć. Wierzyłam, że po naszych pocałunkach i tylu godzinach spędzonych razem one musiały gdzieś tam być.

Twarze Mony i Audrey skupiały się na mnie, gdy im to wszystko tłumaczyłam, dlatego od razu dostrzegłam, gdy się zmieniły. Zmarszczyłam brwi, bo nagle pobladyły, a ich wargi rozchyliły się w przerażeniu. Nie patrzyły już na mnie, a na coś za moimi plecami, dlatego czym prędzej się odwróciłam i sama doznałam szoku.

Najpierw poczułam, jak moje serce się zapada gdzieś w okolice żołądka, a potem z niezwykłą trudnością przełknęłam ślinę, pozwalając sobie na

zakodowanie tego, co zobaczyłam.

Jason, o którym właśnie mówiłam, przemierzał szkolny korytarz, nawet na chwilę nie odklejając dłoni od talii blondwłosej dziewczyny, którą nagle przyciągnął do siebie jeszcze bliżej. Ona zaczęła chichotać, gdy prawie straciła równowagę. Nie upadła, niestety, bo ją podtrzymał.

Zamrugałam, bo nie wierzyłam w to, co widziałam, gotowa własnym oczom zarzucić kłamstwo. Jason nawet na mnie nie spojrział, ale miałam dziwne przeczucie, iż wie, że na niego patrzę. Nad brwią przyklejony miał plaster, ale poza tym po spotkaniu z Dylanem nie odniósł chyba większych obrażeń. Choć chyba jednak mocno musiał uderzyć się w tę głowę, skoro w pewnym momencie tak bezwstydnie i soczyście ucałował swoją towarzyszkę.

Byłam prawie pewna, że mam zwiady, i potrzebowałam, żeby ktoś to potwierdził, dlatego spojrzałam na dziewczyny. Milczały, a ja poczułam, jak zaczynam drzeć i się pocić. Straciłam koncentrację i wydawało mi się, że w tym całym oszołomieniu zaraz opuszczę własne ciało i stanę gdzieś obok. Przestraszyłam się tej reakcji i panicznym ruchem wyciągnęłam telefon, żeby mieć w zanadrzu coś, na czym mogę skupić uwagę. Zaczęłam otwierać losowe aplikacje, udając, że coś sprawdzam, a widoczność rozmywała mi się przez łzy, które zaczęły napływać do moich oczu.

Gdy Jason się oddalił, cieniutkim głosem oznajmiłam dziewczynom, że muszę do łazienki, i odeszłam od nich szybkim krokiem, do samego końca udając, że wszystko jest w porządku, choć jak nic widać po mnie było, że to nieprawda.

Wylądowałam w pierwszej lepszej kabinie, gdzie najpierw dostałam takich mdłości, że na wszelki wypadek kucnęłam przy toalecie. Nie udało mi się zwymiotować, ale zostałam tak już na posadzce. Usiadłam sobie, podciągnęłam kolana pod brodę i wycierałam łzy papierem toaletowym. Drzwi do łazienki kliknęły, gdy ktoś wszedł do środka, a ja próbowałam słumić szloch, dopóki nie usłyszałam Mony i Audrey. Najpierw wołały mnie, a potem przystanęły przy drzwiach kabiny, w której się zamknęłam, i namawiały mnie łagodnie, żebym je otworzyła. Po kilku próbach zapewniania ich zduszonym głosem, że nic mi nie jest, wreszcie dałam się przekonać.

Mona uklękła przy mnie, a Audrey oparła się bokiem o ścianę. Obie dziewczyny marszczyły ze zmartwieniem brwi i widać było, że z trudem szukają słów, które by teraz ukoili mój ból i zawód. Ja oprócz tego czułam też upokorzenie, tak olbrzymie, że nie potrafiłam spojrzeć im w oczy.

– Musiał serio wystraszyć się Monetów – odezwała się cicho Audrey.

– To żadna wymówka – odparła ostro Mona.

– Pewnie, że nie, tak tylko mówię. Zachował się jak frajer, bo co, zaledwie kilka dni temu był z Hailie na randce! Szybko sobie znalazł nową zdobycz.

– Nie taką nową. Kręcił już przecież z Lavinia wcześniej. Dużo flirtowali, nie pamiętasz?

– Nie pamiętam.

– Było tak, że ona jest z roku wyżej, i to mu chyba wtedy nie pasowało.

– Najwyraźniej zmienił zdanie.

– Najwyraźniej.

Uniosłam głowę. Była ciężka, a umysł miałam tak otępiały, jakbym nałykała się prochów. Nigdy żadnych nie brałam, ale mogłam sobie wyobrazić to uczucie. Już nie kryłam łez przed koleżankami, nie było sensu. Nawet włosy przy twarzy mi od nich wilgotniały.

– Lavinia? – zapytałam przez ściśnięte gardło.

Mona przeniosła wzrok z Audrey na mnie i w jej oczach zamajaczyło współczucie.

– Lavinia Linden – odpowiedziała mi od razu, przyjmując swój ton znawcy. Zmarszczyła też czoło i wyglądała, jakby sortowała w głowie najważniejsze informacje na podstawie zgromadzonych teczek i segregatorów dla każdej spotkanej w swoim życiu osoby. – Jest taką trochę, wiesz, gwiazdeczką. Genialnie tańczy i nawet chyba wygrywa jakieś medale czy coś. Poza tym ma najszcuplejszą talię w całej szkole. Kiedyś widziałam, jak przebierała się w szatni, i to...

– Jezu, Mona, nieistotne – przerwała jej Audrey.

– Hailie zapytała, to odpowiadam, nie?

– Hailie nie pytała o jej talię.

Mona otworzyła usta, żeby klócić się dalej, ale tym razem to ja weszłam jej w słowo.

– A czy ona... jest miła? – zapytałam, pociągając nosem.

– Ogólnie to jest bardzo miła i ja tam ją lubię, ale mogę przestać, jeśli miałabyś poczuć się dzięki temu lepiej...

Westchnęłam i pokręciłam głową, ukrywając ją w dłoniach.

– To raczej nie jej wina – powiedziała Audrey. – Nikt nie wiedział, że się spotykacie, ona pewnie też nie. To z Jasona jest świnia. Wykorzystał ciebie, a teraz wykorzysta ją.

Dziewczyny rozmawiały między sobą, gdy ja próbowałam wysmarkać nos, który za sekundę znowu się zapychał, i tak w kółko.

– Całowałam się z nim jeszcze w weekend! – wybuchłam nagle. – Całowałam się z nim! Trzymał mi rękę na kolanie i na udzie i... I się całowaliśmy!

Wściekłym ruchem zgmiotłam i wrzuciłam do muszli obok przemoczony od łez papier toaletowy.

– Dziś jest wtorek, minęły niecałe trzy dni. Trzy dni! A on obejmuje sobie na korytarzu inną dziewczynę? Co się dzieje?

Martwiłam się, że zranię Jasona i że moi bracia go zranili, a tymczasem on zdaje się być w perfekcyjnie świetnym nastroju. Leczy swoje smutki nową dziewczyną. Jakim cudem on tak szybko się uwinął? Wczoraj opuścił większość dnia szkoły, a dziś już od rana paraduje sobie z tą całą Lavender, czy tam Lavinią?

Ja nigdy nie miałam okazji iść z nim przez korytarz. Nie obejmował mnie w talii, gdy ja chichotałam, nie zwracając uwagi na nikogo wokół. Nie mogliśmy być tak słodko beztroscy.

– Myślałam, że będzie smutny. Albo zły. Złość też by była w porządku. Ale on... – zawahałam się – on ma mnie gdzieś.

Prawda smakowała paskudnie gorzko i aż się skrzywiłam, gdy przełykałam ślinę. Dziewczyny próbowały zaprzeczyć, może żeby mnie nie dobijać, choć przecież potwierdzenie moich słów nadal błąkało się teraz gdzieś po szkolnych korytarzach.

Wreszcie musiałam się pozbierać. Żeby to zrobić, znalazłam w sobie siłę i odprawiłam swoje koleżanki, przekonując je, że czuję się dobrze, a nawet zdobyłam się na żart, że halo, to przecież sytuacja idealna, bo bałam się, że będę musiała zranić Jasona, a teraz ten problem sam się rozwiązał.

W głębi duszy jednak do końca zajęć nie potrafiłam skupić się na niczym innym poza dręczeniem się myślami na temat obecnej sytuacji. Jason mnie znienawidził. Skoro udało mu się to tak szybko, to czy w takim razie kiedykolwiek mnie szczerze lubił? Musiał, no przecież tyle czasu spędziliśmy w tych łazienkach, chowając się przed moimi braćmi. Teraz pewnie boi się ze mną rozmawiać. Albo jego męska duma została zraniona i próbuje wyjść z twarzą z całej tej historii. Może w ogóle chce uśpić czujność Monetów, pokazując się z inną dziewczyną? A jeśli tak, to czemu nie wtajemniczył mnie w swój plan?

Pytanie, odpowiedź, wątpliwość – tak wyglądała reszta moich lekcji tego dnia. Nie skupiałam się na ani jednym słowie, które padło z ust nauczycieli, ale nikt nie zwrócił mi uwagi. Jedynie pan Dalton posłał mi może kilka spojrzeń, gdy nie dołączałam do klasowych salw śmiechu w reakcji na jego żarty. Każdy po prostu wiedział, że jestem dobrą uczennicą, więc kiedy zdarzył mi się zły dzień i popadłam w rozkojarzenie, pozwolono mi odpłynąć myślami tak daleko, jak miałam ochotę.

Po swoich lekcjach miałam całkiem sporo czasu na dalsze zadreczanie się, bo musiałam czekać, aż Shane skończy trening. Siedziałam w sali gimnastycznej, w kącie, i starałam się odwracać wzrok, żeby nie gapić się na starszych, spoconych chłopaków z rękawicami bokserskimi na dłoniach i widoczną chęcią mordy w oczach. Takie zajęcia dodatkowe powinny być nielegalne.

Dopiero w drodze powrotnej do domu, w sportowym aucie Shane'a, udało mi się wyartykułować jakieś konkretniejsze przemyślenia. Na początku wizja spędzenia z jednym z moich braci prawie pół godziny w małej przestrzeni samochodu mi się nie uśmiechała, bo mój mózg bezlitośnie podsyłał mi masę powodów, aby obwiniać rodzeństwo o sprawę z Jasonem. Kiedy jednak dowlokłam się na parking i znowu gdzieś w oddali zobaczyłam, jak ręka tego chłopaka nadal obejmuje chudą jak patyk talię Lavinii Linden, uczucie smutku po prostu wygrało ze złością.

Zajęłam swoje stałe miejsce obok Shane'a i chyba nawet nie odpowiedziałam nic na wesoły żarcik, jaki do mnie rzucił. Przez paskudny mętlik w głowie aktualnie miałam ochotę nawrzeszczyć na niego oraz mu się wypłakać, dlatego uznałam, że lepiej będzie po prostu siedzieć cicho.

– Co ty taka ponurzasta? – zagadnął, gdy już któryś raz z kolei oderwał na chwilę wzrok od jezdni, żeby na mnie zerknąć.

Wzruszyłam ramionami. Gapiłam się niemrawo w boczną szybę, patrząc, jak mijamy te same drzewa co zawsze. Nie miałam dziś ochoty doceniać ich uroku. Ba, nawet uznałam je za nużące, a może i brzydkie, jak i wszystko inne. Głos Shane'a też był nużący.

Sam był ponurzasty.

– Co, dalej gniewasz się o tego tamtego chłopaka?

– Nie gniewam się o żadnego chłopaka! – syknęłam nagle głośno.

Mój brat uniósł brwi, teraz zapewne przekonany, że właśnie o niego się gniewam. Wiedziałam, że moja odpowiedź niepotrzebnie była taka gwałtowna, odetchnęłam więc głęboko i przymknęłam powieki.

– To był frajer, Hailie – powiedział Shane.

Ton jego głosu brzmiał dość rzeczowo, a nie prześmiewczo, dlatego może nie wywołał we mnie należytej agresji. Trudno mi też było bronić Jasona po dzisiejszym dniu. Milczałam, patrząc na drzewa i zastanawiając się, czy on naprawdę jest frajerem. Czy wytłumaczenie jego zachowania i czynów mogło być tak proste?

– Serio, nie wiem nawet, co w nim widzisz, on...

– ...mnie słuchał – dokończyłam cicho i poczułam na sobie kolejne spojrzenie Shane'a.

Dobrze, że prowadził, bo inaczej pewnie lampiłby się na mnie cały czas po tym, co powiedziałam. Szczerze, wymusnęło mi się to i natychmiast pożałowałam, że tak się uzewnętrzniłam.

– Co masz na myśli, że cię słuchał? – zapytał, marszcząc brwi. – A kto cię nie słucha?

– Był kimś, kto lubił ze mną rozmawiać.

– Ja przecież też mogę z tobą rozmawiać...

- Ale on...
- No co on?
- On chciał.

Tym razem Shane zapatrzył się na mnie o sekundy za długo, bo w pewnym momencie aż zwątpiłam w to, że nadal kontroluje sytuację na jezdni, i krzyknęłam głośno: „Uważaj!”, gdy prawie wjechał w auto jadące z naprzeciwka.

Usta mojego brata zaciskały się mocno, a na drogę łypał spode łba, gdy posłusznie skoncentrował się na jeździe tylko po to, żeby przy pierwszej lepszej okazji zjechać na zaśnieżone leśne pobocze. Od razu przypomniała mi się rozmowa z Vincentem, którą zaledwie wczoraj odbyliśmy w podobnych warunkach, i nie było to najmiłsze wspomnienie.

- Co robisz? Czemu stoimy?

Shane oparł jedną rękę na kierownicy i odwrócił się w moją stronę.

- O co ci chodzi?

- O co tobie chodzi?

– To ty powiedziałaś, że nie chcę... nie chcemy z tobą rozmawiać. Dlaczego tak powiedziałaś?

- Nie powiedziałam, że wy nie chcecie, tylko że Jason chciał...

- Przestań filozofować, co? – zdenerwował się. – Dobrze cię słyszałem.

Spuściłam wzrok, palcami skubiąc pas, który oplatał mnie na wysokości bioder.

– Wiem, że generalnie Vince jest trudny, Dylan i Tony trochę w sumie też, no i ja święty może nie jestem, ale gdybyś chciała porozmawiać, nikt z nas by cię nigdy nie odtrącił.

Ponure parsknięcie, które mi się wyrwało, brzmiało bardziej prześmiewczo, niż wypadało.

- O tak, Shane, dobrze wiem, że wszyscy rwiecie się do rozmów ze mną.

- Hej, co to ma znaczyć? – Zmarszczył brwi i nachylił się lekko.

– To – warknęłam, unosząc głowę – że nie jestem głupia. Wiem, kim dla was jestem.

– No siostrą przecież, nie?

– Problemem! Niewygodnym problemem, z którym trzeba się użerać, dopóki nie osiągnie pełnoletności. Problemem, który zmaćcił wasze spokojne życie.

– O czym ty w ogóle mówisz? Skąd ci się to wzięło? – Shane kręcił głową.

Wiem, że urocza rozmowa z Dylanem powinna zmienić nieco mój pogląd na moje miejsce w tej rodzinie, ale Dylan nie mógł mówić za wszystkich, to raz, a dwa – byłam na tyle niepewna siebie i swojej przynależności do rodzeństwa Monet, że bardzo łatwo wracało mi się do punktu wyjścia.

No i nie ma co ukrywać, miałam ku temu dość mocne argumenty.

– Nie udawaj – westchnęłam udęczona. – Słyszałam choćby Tony’ego na balkonie.

– Jakim balkonie?

– „To nie miejsce dla niej” – powtórzyłam bezbarwnym głosem wyryte w głowie zdania, które niegdyś padły z ust jednego z bliźniaków. – „Jej obecność tutaj komplikuje nam życie”.

Shane zamrugał dwa razy. Bardzo wolno, jakby sam uczestniczył w procesie przywoływania tych wspomnień, i zastygł, gdy uświadomił sobie, że wcale nie zostały zmyślane.

Opuścił najpierw wzrok, a ręka zsunęła mu się z kierownicy. Oblizął też wargi, co wyglądało, jakby chwilowo grał na czas. Czekałam cierpliwie na to, co powie, wiedząc, że w gruncie rzeczy chyba nie istnieje sposób na to, żeby zmienić lub chociażby załagodzić mój odbiór tych słów.

– Okej – zaczął, odchrząkując. – Słuchaj, sprawa jest taka, że...

– Że co?

– Że Tony jest głupi.

Prychnęłam na tak beznadziejną wymówkę.

– Nie, serio. Tony naprawdę czasem nie myśli. Był wkurzony, bo Vince opierdolił go za ten pistolet, na który napatoczyłaś się w jego pokoju – wyjaśnił Shane. – Gdy Tony jest wkurzony na przykład na mnie, mówi dużo gorsze rzeczy, uwierz.

– To nie to samo – zaprotestowałam, opierając tył głowy o zagłówek fotela.

– Dla niego to samo, serio, on...

– Shane, możemy już jechać? – przerwałam mu. – Proszę. Mam dużo pracy domowej, chciałabym zacząć jak najszybciej.

– Okej, ale chciałem ci tylko powiedzieć, że serio, Tony...

– Okej, rozumiem – ucięłam.

Shane trzymał jeszcze przez chwilę otwarte usta, usilnie pragnąc dokończyć obronę swojego bliźniaka. Ostatecznie jednak je zamknął, dostrzegłszy na szczęście, że nie ma sensu silić się na wywody. Nie trafiły do mnie.

Reszta drogi minęła nam w ciszy. Zdążyłam pożałować, że tak się otworzyłam przy Shanie. Z tego nie mogło wyjść nic dobrego, zwłaszcza wnioskując po jego skonfundowanej twarzy. Wydawał się obrażony na boży świat, a ja bałam się, że będzie to miało później jakieś konsekwencje.

Nie myliłam się.

Nie wiem, czy to złośliwość losu, czy zwykły zbieg okoliczności, ale gdy Shane zaparkował w garażu, od razu skierowaliśmy się do kuchni, gdzie powitał nas Tony. „Powitał” w cudzysłowie, bo nawet nie uniósł na nas wzroku znad grubego komiksu, nad którym ślęczał, raz po raz wpychając sobie do ust łyżkę chili. Nie odpowiedział, nawet gdy ja, jedyna kulturalna w tym pomieszczeniu osoba, automatycznie rzuciłam „cześć”.

– Ej – warknął Shane. – Odpowiedziałbyś.

Tony nie zareagował.

– EJ – powtórzył Shane, tym razem z hałasem odstawiając na blat miskę ze swoim obiadem.

Naczynie cudem się nie potłukło, a Shane’owi nawet udało się zdobyć uwagę Tony’ego, który podniósł ze znużeniem głowę.

– Co?

– Hailie powiedziała „cześć”.

Tony rzucił mi przelotne spojrzenie, gdy z chochelką w dłoniach stałam zaskoczona przy garze z chili.

– No i?

– No i gównu, odpowiedz jej.

Tony się skrzywił, jakby Shane zawracał mu głowę bez sensu, i wrócił do czytania. W ogóle mnie to nie zaskoczyło. Zajrzałam do garnka pełnego pikantnej potrawy i poczułam szczypanie w nosie, ale ani trochę burczenia w brzuchu. Chyba nie czułam się zbyt głodna, więc...

Rozległ się trzask i natychmiast odwróciłam się w stronę stołu, nad którym nachylał się teraz Shane. Tony gapił się na niego oniemiały; komiks zniknął sprzed jego nosa. Shane najwidoczniej mu go wyrwał i wyrzucił gdzieś w powietrze, a jego bliźniak właśnie oswajał się z tym, co stało się tak nagle. Bardzo szybko jego zaskoczenie zmieniało się w złość. Raptownie podniósł się z krzesła.

– Co jest?!

– Jak ci, kurwa, mówi „cześć”, to wypada odpowiedzieć, nie? – krzyknął na niego Shane, palcem wskazując prosto na mnie, kulącą się teraz przy kuchennych szafkach. – Nie zachowuj się jak buc!

Tony znowu rzucił mi trwające sekundę spojrzenie i nawet nie starał się ukryć tego, jak bardzo naładowane niechęcią było.

– I po co się przypierdalasz? – syknął do Shane’a. – Nie muszę srać tęczę na jej widok.

– Bo to są podstawy kultury, dzwonie?

Odpowiedź Tony’ego była prosta i bardzo wulgarna. Dzięki niej zarobił też pchnięcie od Shane’a. Lekkie, bo ten wciąż nachylał się nad szerokim blatem stołu, ale wystarczająco wyzywające, żeby Tony potraktował je poważnie. Nie musiałam długo czekać, żeby bliźniacy rzucili się sobie do gardeł.

Gapiłam się na nich z przerażeniem. Stół przekrzywił się, gdy Shane zahaczył o niego swoim bokiem, a Tony wyleciałby przez okno, gdyby szyba, na którą wpadł, była mniej wytrzymała. Chłopcy popychali się, tarłosili i okładali pięściami. Wszystko to w relatywnie małej przestrzeni, jaką była część jadalniana kuchni.

Obaj obrywali, ale obaj też oddawali wiele ciosów, więc walka była wyrównana. Może Shane bił się bardziej jak bokser, podczas gdy styl walki

Tony'ego nazwałabym ulicznym, ale mówię to jako osoba kompletnie niezaznajomiona ze sztukami walki. W rzeczywistości wyciągałam swoje wnioski raczej z wiedzy o treningach Shane'a niż z samych obserwacji.

– Shane, stop, przestań! – zawołałam, gdy dostrzegłam, że bijatyka moich braci staje się coraz intensywniejsza. Napierali na siebie coraz agresywniej i żaden z nich nie wyglądał, jakby miał pójść po rozum do głowy.

Oniemiałam. Nie dowierzałam, że w mgnieniu oka leniwa pora obiadowa mogła zmienić się w czas krwawej jatki. Dosłownie krwawej, bo gdy Shane szarpnął Tonym, ten najpierw poleciał na bok i przeklął głośno, gdy kant stołu wbił mu się w brzuch, a potem w furii zwinął palce w pięści i wyjątkowo mocno uderzył Shane'a w twarz. Rozległo się ciche chrupnięcie, a wtedy po ustach i brodzie starszego z bliźniaków rozlała się czerwona ciecz.

– Shane! Tony! – pisnęłam przez palce dłoni, którą przykryłam sobie buzię. Zrobiłam krok do przodu i od razu się zatrzymałam. Bałam się stawać między nimi, gdy obaj wyglądali jak w transie. Shane nawet nie przejął się swoją kontuzją, tylko zaatakował Tony'ego zarówno w walce wręcz, jak i słownie, obrzucając go jakimiś wyszukаныmi bluzgami. Obaj bliźniacy mieli bowiem ciekawy słownik, to trzeba im było przyznać.

– Hej! – zawołał Will, który zajrzał do kuchni, by sprawdzić zapewne, kto łąci ciszę, w której zwykle była pogrążona Rezydencja Monetów. Na widok siłujących się braci wystrzelił w ich stronę, od razu wzywając też Dylana.

Obaj z Willem byli w stanie siłą odciągnąć od siebie bliźniaków, upominając ich ostrymi, podniesionymi głosami. Ja stałam wciąż jak wryta, z sercem bijącym jak szalone i uczuciem ulgi, że zjawiał się ktoś, kto powstrzymał tych idiotów przed pozabijaniem się.

– Co się dzieje?

Vincent pojawił się u mojego boku tak niespodziewanie, że aż podskoczyłam na dźwięk jego władczego tonu.

– Też chciałbym wiedzieć – warknął Will, szarpnąwszy Shane'em we wcale niedelikatny sposób.

– Zaczął się do mnie przywalać – burknął Tony. On z kolei starał się wyswobodzić z uścisku Dylana.

– Bo jesteś debilem!

– Obaj jesteście debilami – powiedział Dylan.

– Kto zaczął? – zapytał Vincent. Minął mnie i zbliżył się do chłopaków, a ja czułam niepokój, obserwując jego plecy.

– Ten gniot – splunął Tony.

– Sam, kurwa, jesteś...

– Kto zaczął, pytam – warknął Vincent głośniej i wyraźniej. Jego postawa wiele mówiła o jego irytacji, aż przeszły mnie ciarki. Biegły po kręgosłupie w dół, zupełnie jakby miały dotrzeć do samych stóp i zmotywować je do ruchu tudzież ucieczki.

– Tony zaczął swoim buractwem... – poskarżył Shane i zrobił ruch, jakby chciał wytrzeć sobie krew z twarzy o rękaw, ale uścisk Willa mu to uniemożliwił.

– Kto zaczął bójkę? – sprecyzował Vincent.

– On – odparł Tony.

W przeciwieństwie do swojego bliźniaka nieco się rozluźnił. Shane miał zdecydowanie większe trudności w zapanowaniu nad sobą, czemu przyglądałam się z zaskoczeniem. Nie znałam go od tej strony. Szamotał się i mimo iż Will zdawał się panować nad jego zrywami, to Vince ewidentnie stracił cierpliwość, bo stanął przed nim i zacisnął palce na kołnierzu jego mundurkowej koszuli.

– Co się z tobą dzieje, do cholery?

To niesamowite, jak potrafił operować swoim głosem. Tak mocnego i pełnego autorytetu tonu nie słyszałam nigdy u nikogo wcześniej ani później. On nie musiał krzyczeć, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Trochę się spłoszyłam i zrobiłam kilka małych kroków do tyłu. Miały być ciche, ale uderzyłam biodrem o szafkę, na której stał kubek. Ten się przewrócił i narobił hałasu, przez co uwaga moich braci na chwilę skupiła się na mnie.

– Do swojego pokoju, Hailie – rozkazał mi Vincent.

Chciałam posłuchać i się wycofać, naprawdę. Wszystko jednak działało się bardzo szybko, a ja czułam, jakby moje stopy przykleiły się do podłogi.

Zostałam więc, wielkimi oczami obserwując ciąg dalszy tego brutalnego show.

Tony z lubością patrzył na skrępowanego przez naszego najstarszego brata Shane'a i dość mocno bawił go ten widok, bo zaczął się złośliwie cieszyć i rzucił:

– Co za zjeb.

Prowokowanie swojego bliźniaka było dla niego wręcz za proste. Shane w odpowiedzi znowu się poderwał, i to z przygotowanymi do bicia pięściami, ale zapomniał, że Vince przyszpilał go teraz do ściany.

Szybko został przystopowany przez okrutnie silny, siarczysty policzek, jaki Vince wymierzył mu prawą dłonią, podczas gdy lewa wciąż zaciśnięta była na jego ubraniu.

Aż skrzywiłam się na sam odgłos plaśnięcia. Głowa Shane'a natychmiast odleciała w bok, a na policzku pojawił się czerwony odcisk. Vince nie czekał, od razu złapał go mocno za szczękę tą samą ręką, którą go uderzył, i odwrócił jego głowę z powrotem w swoją stronę. Zaciśnął palce na jego zuchwie mocniej, tak żeby rozbiegany wzrok Shane'a mógł się skupić na nim.

– Przestań się kompromitować.

Szczerze współczułam Shane'owi. Jak by nie było, stanął w mojej obronie. Może i niepotrzebnie, ale i tak było to urocze i godne podziwu. Gdybym to ja znajdowała się tam na jego miejscu, chyba umarłabym ze strachu. Nawet obserwując tę całą scenę z miejsca, w którym stałam, z bezpiecznej odległości, czułam, jak robię się mała za każdym razem, gdy Vince otwiera usta.

Nastąpiła cisza. Tony wciąż się szczyrzył, ale już nie śmiał się odezwać.

– Zejdź mi z oczu i nie pokazuj się, dopóki nie weźmiesz się w garść. Już, Shane – rozkazał nasz najstarszy brat, pchnąwszy go w stronę wyjścia.

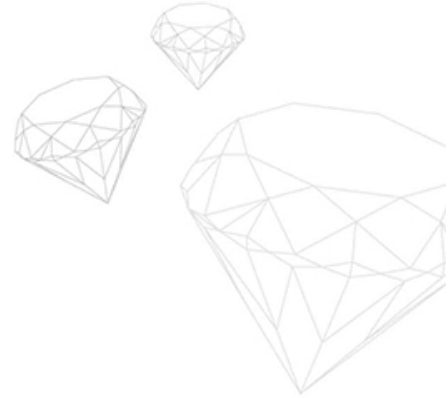
Shane zaciśnął dłonie w pięści, ale już nie przejawiał agresji. Starał się nie patrzeć więcej na Tony'ego, ale też nie kwapił się do opuszczenia kuchni, więc Will złapał go za ramię, żeby go wyprowadzić, a gdy mnie mijali, słyszałam, jak szeptem prawił mu kazanie do ucha.

– A ty – odezwał się Vincent i drgnęłam, myśląc w pierwszej chwili, że zwraca się do mnie. Na szczęście patrzył na Tony'ego. – Ile jeszcze razy

dasz się tak idiotycznie sprowokować?

Tony wyraźnie miał ochotę coś odpyskować, ale ostatecznie tylko wywrócił oczami, zadowolony zapewne z faktu, że mimo wszystko wyszedł z tego starcia zwycięsko. Dylan już przestał go osaczać, więc schylił się i zaczął zbierać papierosy, które mu wypadły i rozsypały się z paczki na kuchennej podłodze, nawet nie zauważyłam kiedy. A potem wyprostował się i był kolejnym bratem, który mnie wyminął. Od razu w jego ślady poszedł Dylan. On jako jedyny rzucił mi przelotne spojrzenie, ale nie odezwał się ani słowem. Zaraz potem drzwi wejściowe trzasnęły cicho, gdy obaj panowie wyszli na dwór.

Zanim się zorientowałam, w kuchni zostaliśmy tylko ja i Vince.



18

Beznadziejna akcja

Kiedyś ukradłam kawałek kredy. To nie żart. Miałam może pięć lat i wyszłam z mamą na długi spacer. Dotarliśmy do placu zabaw, gdzie dziewczynka w zielonej sukience i z mnóstwem spineczek we włosach malowała na asfalcie. Miała na imię Daisy. Pamiętam zazdrość, jaka mnie ogarnęła i na chwilę zniknęła, gdy Daisy zaprosiła mnie do zabawy, ale powróciła, kiedy musiałam już wracać do domu. Upewniwszy się, że nikt nie widzi, wsunęłam jeden kawałek kredy do kieszonki swoich ogrodniczek. Dziewczynka miała jej mnóstwo i nawet nie zauważyła, że coś zniknęło. Nie traktowałam tego jak kradzież.

Moja mama uważała inaczej. Bardzo się zdenerwowała, gdy już w domu odkryła, że przywłaszczyłam sobie cudzą własność. Zabrała mnie wtedy z powrotem na plac, żeby odszukać Daisy i oddać jej to, co do niej należało. Przez całą drogę w tę i z powrotem robiła mi wykład, tak szczegółowy, że zapamiętałam go po dziś dzień. Nigdy więcej nikomu niczego nie zabrałam. Do teraz.

A powinnam była posłuchać Vincenta od razu, gdy polecił mi pójść do pokoju. Wtedy nic by się nie stało. Teraz stałam, starając się nie ruszać, żeby znowu nie narobić niepotrzebnego hałasu i nie zwrócić na siebie jego uwagi.

On westchnął i pokręcił głową. Chyba nadal był wściekły. Zauważyłam, że Vince nie czerwienił się ze złości jak większość ludzi, tylko bladł, co było kolejnym punktem do odhaczenia na liście rzeczy, które mnie w nim przerażały.

Przyglądałam się w milczeniu, jak unosi prawą rękę i ogląda ją dokładnie, nieznacznie się krzywiąc. Była ubabrana krwią Shane'a. Musiał się ubrudzić, gdy go spoliczkował. Wtedy skierował się w stronę zlewu, by ją opłukać. No i zobaczył mnie, wciąż sterczącą na miejscu zbrodni.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, byłabym martwa.

Opuścił dłoń i znowu zmarszczył brwi.

– Co ja ci powiedziałem?

Przełknęłam ślinę. Nie byłam w stanie wyjąkać nawet słowa. W swojej głowie wyobrażałam już sobie, jak łapie mnie za koszulę i wymierza policzek, tak jak Shane'owi.

Mój strach był tak widoczny, że aż zenujący. Vince musiał wiedzieć, jak bardzo się go boję, i może właśnie to sprawiło, że nie drażył już kwestii mojego nieposłuszeństwa. Wiadomo, że jest to temat wyjątkowo dla niego drażliwy, i choć wyraz jego twarzy wcale nie złagodniał, to jednak darował mi odpowiedź.

– Jadłaś? – zapytał, zerkając na garnek z chili i moją pustą miskę, która stała obok.

Pokręciłam głową.

– To zjedz teraz.

Automatycznie sięgnęłam po chochelkę. Moje ruchy były sztywne, wolne, no i trochę drżały mi palce, ale z przyjemnością skupiałam się na jakiegokolwiek czynności, zwłaszcza takiej, która wymagała ode mnie odwrócenia się do Vincenta plecami. Słyszałam, jak odkręca wodę w kranie i nim się obejrzałam, zostałam w kuchni sama.

Powitałam tę samotność z wdzięcznością. Mieszkanie pod jednym dachem z piątką rodzeństwa to nie spacer w parku. Zwłaszcza jeśli tym rodzeństwem byli bracia Monet. Niby podążali własnymi ścieżkami, ale gdy się one nagle krzyżowały, dochodziło nawet do rękoczynów – jak dziś.

Usiadłam z miską chili na krześle obok miejsca, które wcześniej zajmował Tony, i mieszałam łyżką w potrawie, bezmyślnie rozsmarowując ją po bokach naczynia. Niewiele jej sobie nałożyłam i niewiele też zjadłam. Trudno było przełknąć mi cokolwiek, gdy zbierało mi się na łzy i wymioty jednocześnie. Tony prawdopodobnie nienawidził mnie jeszcze bardziej, Shane musi żałować, że wdał się w bójkę przeze mnie, Vincent jest mną zirytowany, a na domiar złego Jason zaczął spotykać się z inną dziewczyną zaledwie kilka dni od naszej pierwszej randki i pocałunku.

Przyzwyczajałam się do oschłości swoich braci, więc to ten ostatni fakt bolał mnie najbardziej. Miałam ochotę sobie popłakać i żeby nie robić tego w kuchni, do której w każdej chwili ktoś mógł znowu zajrzeć, wstałam od stołu z zamiarem jej opuszczenia. Zatrzymałam się, gdy zasuwałam krzesło i prawie nadepnęłam na leżący na ziemi papieros. Jeden z tych, które wysypały się Tony'emu z paczki.

Najpierw nie zamierzałam go dotykać, ale szybko zdecydowałam, że lepiej będzie go podnieść i odłożyć na stół, żeby nikt go nie zdeptał. Gdy już trzymałam go w dłoni, rozejrzałam się szybko i wiedzioną nieznany mi impulsem ostrożnie wsunęłam go sobie do kieszeni marynarki.

Zgarniałam jedzenie do śmieci, czując, jak robi mi się coraz goręcej ze stresu, jakbym właśnie popełniła jakieś przestępstwo. Czy posiadanie papierosa przez osobę nieletnią jest nielegalne? Papieros to nie narkotyk, ale kto wie, jak widzą to Amerykanie. Na pewno nie było opcji, żebym mogła to wygooglować.

Uspokoiliłam się nieco, gdy wreszcie zamknęłam za sobą drzwi do swojej sypialni. Przebrałam się w luźniejsze ubrania i usiadłam na łóżku, chowając papierosa obok poduszki tak, żebym mogła go widzieć i nad nim rozmyślać, ale jednocześnie żeby nie rzucił się w oczy nikomu, kto zechciałby niespodziewanie odwiedzić mnie w pokoju. Patrzyłam na niego i zastanawiałam się, co ja robię i dlaczego.

Czytałam kiedyś, że papierosy mogą przyspieszyć przemianę materii. Wiedziałam, że to idiotyzm i nie do końca prawda, ale gdy tak gapiłam się na ten biały, smukły patyczek, moje myśli zaczęły się kręcić wokół talii Lavinii Linden. Nie potrafiłam wyrzucić z głowy widoku ręki Jasona, która oplatała ją jak wąż. Tej samej ręki, która w kinie pieściła moją nogę.

A ja nie byłam przecież głupia. Dobrze wiedziałam, że nikotyna to trucizna i że ma szkodliwy wpływ na organizm człowieka. Przecież miałam piątkę zarówno z chemii, jak i z biologii. Tutaj jednak chodziło o coś innego. O cichy głos w mojej głowie, który mówił mi, że może warto spróbować, a może akurat zadziała.

Nie wiem, co ja sobie wyobrażałam. Że zapalę, schudnę, a wtedy Jason rzuci Lavinie, wróci do mnie i znowu będę miała kogoś, komu będę mogła skarżyć się na swoich braci? Co to był za rodzaj pokręconego myślenia, ja się pytam?

Daj spokój, Hailie, może przynajmniej uda ci trochę się odstresować.

Problem z papierosem był taki, że sama wizja zapalenia go kosztowała mnie tyle nerwów, że ta teoria z odstresowaniem upadła prawie od razu. Ostatecznie niedługo zajęło mi dojście do wniosku, że zwinięcie własności Tony'ego było idiotycznym ruchem. Nawet gdybym się tak nie bała i naprawdę chciała zapalić, to i tak nie miałabym gdzie tego zrobić. Teren posesji Monetów nie wchodził w grę. Zbyt duże prawdopodobieństwo, że natknęłabym się na chłopaków lub została uwieczniona na kamerach. W łazience? Absolutnie, wszystko śmierdziałoby dymem tytoniowym i dopiero bym wpadła. W szkole? Znowu – z moim szczęściem przyłapałoby mnie bliźniacy albo jakiś nauczyciel. Już nie wiem, co gorsze. Poza szkołą? Z ochroniarzem ciągnącym się moim śladem to też nie byłoby mądre.

Ukryłam papierosa w łazience, za zwiniętymi w rulon, czystymi ręcznikami na półce. Odrabiając lekcje, non stop o nim pamiętałam, a żołądek co chwila boleśnie mi się kurczył. Byłam zawiedziona swoim brakiem umiejętności oceny sytuacji. Jednak nie tylko dlatego źle się ze sobą czułam – wiedziałam, że moje czyny podyktowane były impulsami, które wysyłał mój mózg. Jeśli to nie jest dowód na to, że coś złego dzieje się z moją psychiką, to ja nie wiem, co nim było.

Im dłużej analizowałam tę myśl, tym większy niepokój czułam. Musiałam się skupić i odnaleźć dawną siebie, bo miałam wrażenie, że tracę osobowość, swoje prawdziwe ja. Zabrałam papierosa Tony'emu! Moja mama byłaby mną rozczarowana. A jeśli Will się dowie? Też będzie zawiedziony.

Zasypiałam w katorgach, z ogromnym bólem głowy.

Następnego dnia Shane wyklócił się o dzień wolny od szkoły w związku ze swoim rozwalonym nosem. Nic mu tak naprawdę nie było, ale Vincent nie czuł potrzeby marnowania czasu na zbędne dyskusje z młodszym bratem i odpuścił sprawę. Lubiłam myśleć, że miał wyrzuty sumienia, że go spoliczkował. W każdym razie w związku z tym miałam nieprzyjemność odbycia przejażdżki do szkoły z Tonym. Na jego widok głowa rozboleła mnie znowu. Nie tylko z nerwów, ale też z poczucia winy. Może to głupie, bo Tony miał mnóstwo papierosów, ale Daisy też miała wtedy sporo kredy.

Papierosa wzięłam do szkoły ze sobą i jeszcze nie zdecydowałam, co z nim zrobię. Nie chciałam zostawiać go w domu, bo – wiedziona paranoją bałam się – że ktoś się na niego natknie, na przykład Eugenie. Postanowiłam, że może po prostu go wyrzucę, ale przez cały dzień spinałam się na widok każdego kosza na śmieci. Tak jakby mama patrzyła na mnie z góry i próbowała mi przekazać, że ona takiej decyzji nie pochwala.

Ciągle prześladowało mnie też wrażenie, że Tony o wszystkim wie i że czeka, aż się przyznam. Zupełnie jak to było z Vincentem, gdy zakradłam się do zakazanego korytarza.

Zaczynałam tracić przy nich rozum.

Przez cały dzień w szkole czułam się więc źle. Przeklinałam się za kolejną fatalną decyzję, która teraz przysparzała mi tyle stresu. Drażniły mnie współczujące postawy Mony i Audrey, które zupełnie nie wiedziały, jak się przy mnie zachować. Jason również nie ratował sytuacji. Ignorował mnie na potęgę, a podczas lunchu trzymał sobie Lavinie na kolanach i nawet wpychał jej do gardła język, skutecznie obrzydając mi jedzenie.

Dodatkowo przygnębiały mnie świąteczne dekoracje, którymi oblepione były chyba wszystkie ściany i szyby w naszej szkole. Przysięgałam sobie, że jeśli jeszcze raz usłyszę *All I Want For Christmas Is You*, to założę słuchawki i puszcze sobie coś ze swojej melancholijnej playlisty. Jakies dołujące dźwięki pianina. Pasowałyby do mojego nastroju.

Próbowałam uciec w naukę, ale nie było to łatwe, bo nie mogłam się skupić. Z biologii zawsze dostawałam łatwe piątki. Dziś przy odpowiadaniu bardzo się zamotałam, a potem zestresowałam i prawie popłakałam, przerażona, że zaczynam mieć problemy nawet ze szkołą. Pani Roberts mrugała zaskoczona i poleciła mi usiąść i ochłonać. Potraktowała mnie

ulgowo, bo nie wstawiła mi żadnej oceny, ale nie zmieniło to faktu, że poczułam się źle i mogłam być tylko wdzięczna za to, że na te zajęcia nie chodzi Jason.

– Wszystko w porządku, Hailie? – zapytała nauczycielka, gdy po lekcji poprosiła mnie, bym została w sali. Jej gładkie zwykle czoło szpeciła pionowa zmarszczka, gdy z trwogą się we mnie wpatrywała.

– Tak, przepraszam – odparłam prędko. – Uczyłam się, przysięgam. Nie wiem, co się stało. Znałam odpowiedzi.

– Wiem, że je znałaś. I to mnie martwi.

– Zdekoncentrowałam się – wymamrotałam, bawiąc się palcami.

– Czy na pewno wszystko w porządku?

– Na pewno, na sto procent.

Pani Roberts nachyliła się lekko i musnęła dłonią moje ramię, gdy palcami drugiej przytrzymała swoją zarzuconą na barki chustę w kolorze pudrowego różu.

– Pamiętaj, że jeśli masz jakiś problem, zawsze możesz ze mną porozmawiać...

Kiwałam lekko głową, patrząc na jej średniej długości, zadbane paznokcie pomalowane lakierem indygo. Moja mama uwielbiała ten kolor.

– ...jeśli chciałabyś zaangażować w tę rozmowę swojego brata, również mogę to zaaranżować...

– Nie – powiedziałam nieco zbyt pośpiesznie. Oderwałam wzrok od jej palców. Zalała mnie fala gorąca, spróbowałam się uspokoić. – Nie trzeba.

Pani Roberts patrzyła na mnie nieprzekonana i naprawdę przestraszyłam się, że poleci zaraz do dyrektora, który zwoła przesłuchanie z pedagogiem szkolnym i moim prawnym opiekunem na czele. Nie przetrwałabym tego, zwłaszcza w tym momencie swojego życia, dlatego dostrzegłszy wymalowaną sztucznym śniegiem na oknie gwiazdkę, dodałam:

– Smutno mi, bo idą święta.

Dopiero wtedy nauczycielka pokiwała głową ze zrozumieniem, a rysy jej twarzy złagodniały. Znowu wyraziła chęć pomocy, którą ja znowu uprzejmie odrzuciłam, a gdy wychodziłam z sali, myślałam sobie, że to niewiarygodne,

jaka musiałam być ostrożna. Każdy mnie obserwował. Bracia, nauczyciele, ochroniarz.

Chciałam pozbyć się tego ciężącego mi papierosa Tony'ego. Zerkałam na mijane na korytarzu śmietniki, zastanawiając się, który byłby odpowiedni, a jednocześnie prześladowało mnie wrażenie, że ktoś to zobaczy. Ktoś go znajdzie albo upadnie mi na ziemię, gdy tylko wyjmę go z piórnika. Nakryją mnie nauczyciele, pójdę do dyrektora, zjawią się moi bracia, zamkną mnie w Rezydencji Monetów, a Tony nigdy już się do mnie nie odezwie, nawet tym swoim burkliwym tonem.

Takim sposobem minął mi cały dzień w szkole, a ja nie pozbyłam się skradzionej własności swojego brata. Czułam się żałośnie, tak bardzo obawiając się takiej, jak by nie było, błahostki. Przecież nie zabrałam mu telefonu, zegarka czy innej drogocennej rzeczy. Przecież to był tylko wypchany tytoniem papierowy rulonik. Sytuacja z kredą Daisy była inna. Byłam dzieckiem.

Tony opierał się o samochód i palcem przewijał ekran w telefonie. Myślałam z początku, że pochłonięty tą czynnością nie zauważył, iż zdążyłam już się pojawić i nawet wsiąść do auta, ale on po prostu ignorował mnie jak zawsze. Czekał na jednego ze swoich kumpli, tego o prawie białych, roztrzepanych włosach. Gdy go dostrzegł, machnął na niego i z kieszeni spodni wyjął paczkę papierosów. Wysunął z niej dwa, poczęstował kolegę, a potem nachylił się, otworzył drzwi auta i wrzucił ją razem z telefonem na siedzenie kierowcy.

– Czekaj tu – rzucił do mnie, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Drzwi wróciły na swoje miejsce i znowu byłam sama, zamknięta w środku. Patrzyłam na paczkę, którą tu zostawił, a w tle słyszałam przytłumione dźwięki rozmowy, którą prowadził. Kliknęły też zapalniczki. Tony śmiał się, a jego kumpel opowiadał coś głośno.

To było jak znak. Papierosy patrzyły na mnie niewinnie, a ja zaczęłam wiercić się w fotelu, zastanawiając się, czy to wszechświat robi mi psikusy, czy Tony. Oczami pięcioletniej siebie zobaczyłam niezadowoloną twarz mamy, gdy tłumaczyła mi, że nie wolno zabierać cudzych rzeczy, a jeśli już popełni się taki błąd, to trzeba je oddać jak najszybciej.

Pragnąc ulżyć sobie wreszcie w tych męczarniach, zdecydowałam się zaryzykować i zrobić tę właściwą rzecz.

Garbiłam się w tym niskim samochodzie, żeby widzieć przez szybę, czy Tony wciąż jest zajęty, i jednocześnie grzebałam na oślep w torebce, aż wyłowiłam z niej piórnik. Uważnie śledziłam każdy ruch swojego brata. Każdy jego krok, każde uniesienie ręki, każdy nawet najmniejszy obrót głowy. Najdyskretniej, jak potrafiłam, rozsunałam zamek i wśród długopisów, ołówków i kolorowych zakreślaczy moje palce wyczuły gładką powierzchnię bibułki. Wtedy rozejrzałam się po parkingu, żeby się upewnić, że nikt inny na mnie nie patrzy, a potem szybkimi ruchami wsunęłam papierosa do paczki. Zabrałam od niej czym prędzej ręce, ale po całej akcji wydawała mi się podejrzanie przekrzywiona, więc naprostowałam ją trochę, pocąc się przy tym tak, że gdy Tony wsiadł wreszcie do auta, byłabym w stanie uwierzyć, że widzi lejące się ze mnie strugi potu.

Skórki przy paznokciach rozdrapałam sobie prawie do krwi, gdy patrzyłam, jak Tony chwyta za paczkę, otwiera ją leniwie kciukiem i wsuwa do środka zapalniczkę. Zapatrzył się na zawartość, zmarszczył brwi, a potem parsknął do siebie cicho i już wiedziałam, że na pewno zrobiłam coś bardzo głupiego.

Wstrzymałam oddech, gdy Tony odchylił się w swoim fotelu, a głowę oparł na zagłówek. Przymknął nawet powieki. Gdy już sobie westchnął głęboko, wyprostował się z powrotem i spoglądając w dół, wyciągnął w moją stronę dłoń z otwartą paczką.

– Chcesz?

Gapiałam się na to, co mi podsuwał, nie śmiać nawet otworzyć ust.

– Pytam się. – Potrząsnął paczką i podniósł na mnie wzrok.

Zaczęłam kręcić głową z ponurym wyrazem twarzy. Wiedziałam, że mam kłopoty, a Tony zamierzał się najwyraźniej nade mną poznęcać.

Nie minęło nawet kilka minut, a on się zorientował. Co za beznadziejna akcja.

Ależ ze mnie idiotka. Ależ to upokarzające.

– No tak, przecież już sama się poczęstowałaś – mruknął i teatralnie klepnął się w czoło.

Milczałam, czując ciarki na całym ciele. Powoli, powoli docierało do mnie, co się dzieje. Chciałam dobrze, a wyszło jak zawsze. Było wyrzucić tę głupią fajkę do kibla. Albo połknąć ją i się zadławić. Byłoby po kłopotcie.

Tony cofnął rękę, pociągnął nosem i wolną dłonią przejechał sobie po włosach. Na dźwięk jego kolejnych słów miałam ochotę wysiąść i puścić się ślepo biegiem w pobliski las.

– Wiesz, że masz przejebane, nie?

– Tony, ja...

– To – zaczął, wysuwając z paczki dokładnie tego samego papierosa, którego mu oddałam. Uniósł go i wtedy popatrzył na mnie jak na kretynekę, którą niezaprzeczalnie byłam. – To jest inna fajka. Z innej paczki. Geniuszu.

Tony był tym bratem, z którym miałam zdecydowanie najsłabszą więź, o ile w ogóle można było tu mówić o więzi. Był też najmniej przewidywalny ze wszystkich, co skutkowało tym, że bałam się go prawie tak samo jak Vincenta. Z tym że Vincent był spokojny i inteligentny, a Tony raczej lekkomyślny.

Miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Ciężko mi było uwierzyć, że popełniłam aż taką głupotę. Te wszystkie jego papierosy wyglądały tak samo! Były białe, tej samej wielkości. Zorientowałam się, że są inne, dopiero gdy Tony obkręcił tego, którego trzymał w ręce, i wskazał na ledwo widoczny, cieniutki i pochyły napis tuż obok filtra, którego najwidoczniej pozostałe papierosy nie miały.

Zaśmiał się. Pewnie nie mógł uwierzyć, że sama mu się tak głupio podłożyłam.

– Tony, ja przepraszam. Znalazłam go wczoraj w kuchni, po tym jak ty z Shane'em... Po prostu chciałam ci go oddać.

– Ta? – zapytał. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby miał podczas rozmowy ze mną tak dobry humor. Szkoda, że moim kosztem. – Dopiero teraz?

– Ja po prostu... nie wiedziałam... myślałam...

– Ja to widzę tak, że skubnęłaś mi fajkę, żeby ją sobie zapalić, ale ogarnęłaś, że za chuja nie ujdzie ci to na sucho, co akurat jest prawdą, więc ją teraz oddałaś.

- Nie chciałam jej zapalić.
- Co innego miałabyś zrobić z papierosem? – Uniósł brew, a potem parsknął. – Chyba nie chciałaś się przypodobać tamtemu chłoptasiowi?
- W ogóle nie o to chodziło!
- Ja pierdołę. – Tony zaśmiał się znowu, tym razem głośniej, i pokręcił głową. – Nieźle.
- Tony, mówię prawdę, ja...
- Ale po co mi się tłumaczysz? Masz, weź sobie tę fajkę, chętnie zobaczę, jak pakujesz się w jeszcze większe szambo. – Mówiąc to, podał mi wygniecionego już przez to wszystko papierosa, na którego tylko spojrzałam z niechęcią.
- Nie chcę go, dlatego ci go oddałam.
- No bierz – zachęcił mnie i wyciągnął rękę jeszcze bardziej, a ja drgnęłam, gdy próbując wcisnąć mi używkę w dłoń, dotknął jej. – I co tak skaczesz? Ogarnij się, przecież cię nie zamorduję.
- Och, jak ja bardzo nie podzielałam tego rozbawienia. Miałam wrażenie, że się mną bawi. Byłam już tego pewna, gdy nagle znowu głośno parsknął, pokazując proste białe zęby.
- A wszyscy tak strasznie spuszczaali się nad tym, jaka to ty jesteś idealna – wymruczał do siebie. – No to się zdziwią.
- Zwiesiłam głowę pod ciężarem mojej porażki i głupoty, sama nawet nie wiem czego bardziej.
- Tony, proszę, nie mów im – wyszeptałam.
- Brat spojrzał na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, ale po chwili znowu stopniowo zaczął pojawiać się na niej uśmiech.
- To się nie powtórzy, obiecuję, proszę cię.
- Na moje próby wzbudzenia w nim litości wywrócił oczami.
- Ale z ciebie dziecko.
- Przełknęłam tę uwagę, choć mi się nie spodobała. Musiałam udobruchać Tony’ego, a nie go denerwować.
- Proszę.

– Czego ty się tak boisz? Vince’a?

Popatrzyłam na swoje kolana, a Tony uniósł brew.

– Pomyśl trochę, co? Co on ci niby zrobi? Popierdoli, popierdoli i przestanie.

Zagryzłam wargi. Część mnie pomyślała sobie, że Tony ma w zasadzie rację, i chciała się wyluzować, ale druga część przypomniała mi, że to całe, jak to Tony nazwał, „pierdolenie Vince’a” było w rzeczywistości bardzo nieprzyjemne i naprawdę to w moim interesie było, żeby mieć dobre relacje ze swoim opiekunem.

– Możesz mu nie mówić? – spytałam błagalnie.

Tony patrzył na mnie chwilę jakby zamyślony. Potem rozejrzał się po pustoszejącym już parkingu i wreszcie odwrócił się z powrotem do mnie.

– Niech ci będzie.

Kamień, który spadł mi z serca, musiał ważyć chyba z tonę. Wzięłam głęboki wdech, powstrzymując się przed chęcią zamknięcia Tony’ego w ogromnym i pełnym wdzięczności uścisku. W aucie byłoby to trudne, a on raczej nie ucieszyłby się z mojej czułości.

– Dziękuję – odparłam cicho.

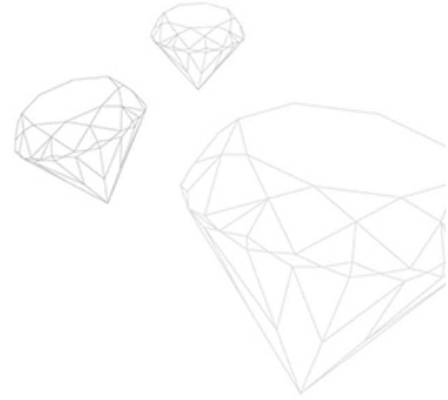
Nie odpowiedział, tylko wrzucił wreszcie papierosy do schowka przy skrzyni biegów i podwinął rękawy kurtki. Uruchomił silnik i ruszył, a w drodze do domu nie odzywał się już do mnie w ogóle. Sama go nie zagadywałam, wymęczona naszą poprzednią rozmową. Potrafiłam jedynie myśleć o tym, że jakimś cudem mi się upiekło. I to z Tonym. Trochę zmarzłam i byłam wdzięczna za to, że mój brat włączył ogrzewanie. Może nie był taki zły, za jakiego go miałam.

Inne myśli, jakie mi wtedy towarzyszyły, opierały się głównie na poczuciu winy. Zwykle gdy wspominałam mamę, to było z tęsknoty albo gdy nie podobały mi się pewne decyzje moich braci i wtedy wyobrażałam sobie, jak ona rozwiązałaby sprawę. W tej sytuacji wiedziałam, że by nie odpuściła. Byłaby bardzo zawiedziona i na pewno chciałyby mnie ukarać. Po raz pierwszy cieszyłam się, że któryś z moich braci postanowił załatwić coś inaczej niż ona.

Weszliśmy do domu, gdzie od progu przywitali nas nasi dwaj najstarsi bracia. Vince stał w połowie schodów, a Will u ich podnóża i pogrążeni byli w jakichś ustaleniach. Ten drugi rzucił mi miły uśmiech, a ja grzecznie podreptałam do kuchni, żeby tradycyjnie odbębnić kolejny posiłek, gdzie spotkałam siedzącego już przy stole Dylana.

Tony natomiast najpierw poszedł na górę. Tak przynajmniej myślałam, ale nagle usłyszałam jego głos:

– Ej, bo nie uwierzycie, co Hailie zrobiła.



19

Coś miłego

Zastygłam ze szklanką w jednej dłoni i palcem drugiej wiszącym nad przyciskiem na maszynie do filtrowania wody. Wyteżyłam słuch. Rozmowa Willa i Vincenta ucichła.

– Ktoś tu ma kłopoty, hm?

Spojrzałam na Dylana. Przekrzywił głowę, przyglądając mi się z zainteresowaniem. Łokcie opierał na stole, trzymając oburącz wielką, trzypoziomową kanapkę z masłem orzechowym.

Pokręciłam głową, sama nie wiem czemu.

– Hailie? – Do kuchni zajrzał Will. Nie uśmiechał się do mnie jak jeszcze przed chwilą. Jego brwi były zmarszczone, a w błękitnych oczach kryło się zdezorientowanie.

– Tak?

– Tony twierdzi, że zabrałaś mu papierosa. Czy to prawda?

– *Co zrobiłaś?* – wciął się natychmiast Dylan. Nawet odłożył swoją kanapkę i cały zeszywniał, gotów wstać, nie wiadomo po co.

– Ja... Nie.

Nie wiem, czy spłoszyła mnie reakcja Dylana, czy surowość na posępniejącej z każdą sekundą twarzy Willa. Nie poczułam się też lepiej, gdy dołączył do nas Vincent. Kiedy weszłam dziś do rezydencji, podobało mi się, że nie zwrócił na mnie zbytnio uwagi, i ja naprawdę nie pragnęłam tego zmieniać.

– Kłamie.

Tony zawitał w kuchni jako ostatni. Patrzył mi prosto w oczy z chorym rozbawieniem. Mnie nie było do śmiechu. Jak on mógł! Jeszcze przed sekundą obiecywał, że się nie wygada.

– Nie wiem, o czym mówisz – warknęłam. Pusta szklanka stuknęła, gdy odstawiłam ją raptownie na blat. Założyłam ręce na piersi, szykując się na stawienie czoła czterem z pięciu moich braci. Powiodłam wzrokiem po ich twarzach. Wszyscy się we mnie wpatrywali. Brakowało tylko Shane’a. Szkoda, lepszy byłby Shane niż na przykład Dylan. Wymieniłabym go też za Tony’ego.

Tony był najgorszym bratem.

Z rękoma w kieszeni spodni pochylił się w moją stronę i powiedział wolno i głośno:

– Mówię o fajce, którą wsunęłaś mi z powrotem do paczki, gdy nie patrzyłem, dziewczynko.

Poczułam przyływ żalu. Bardzo się na nim zawiodłam. Szybko jednak musiałam się pozbierać. Will i Vincent czekali na to, co mam na swoją obronę, a ja zdecydowałam się skłamać, nie mogłam więc za długo się zastanawiać.

– Co mnie niby obchodzą twoje papierosy?

– Mała kłamczucha.

Moje słowo przeciwko twojemu, Tony.

– Dlaczego Tony miałby mówić nieprawdę? – zapytał mnie Will. Nie podobało mi się, że jest taki poważny. Sytuacji nie polepszał fakt, że tuż obok niego stał Vincent. On też założył sobie ręce na piersi i w takiej pozie prezentował się zdecydowanie pewniej niż ja.

– Bo – przełknęłam ślinę – mnie nie lubi?

W środku już się łamałam pod ciężarem tych wszystkich spojrzeń. Nie potrafiłam dobrze kłamać. W ogóle nie potrafiłam kłamać. Zwykle tego nie robiłam. A jeśli miałam kłamać swoim czterem onieśmielającym braciom, to już w ogóle byłam na przegranej pozycji.

– No i dlaczego ja miałabym mówić nieprawdę? – dodałam.

Ze wszystkich moich obecnych braci to akurat Vince zdecydował się mi odpowiedzieć.

– Ze strachu przed konsekwencjami, oczywiście. – Już sam jego stalowy głos brzmiał jak zapowiedź tych całych konsekwencji.

Wdech, wydech. Nie panikuj.

– Podejź, proszę, do mnie, Hailie.

Przywołał mnie też dłonią, zginając palce w powolnym, pełnym gracji ruchu. Moje nogi poruszyły się posłusznie, choć w duchu wszystko krzyczało do mnie i błagało, żebym została na miejscu. Zatrzymałam się dopiero w rozsądnej, jak na moje obliczenia, odległości od Vincenta i prawie jęknęłam, gdy tym samym gestem ponaglił mnie, bym zbliżyła się jeszcze bardziej.

Gdy tylko znalazłam się w zasięgu jego dłoni, złapał mnie za nadgarstek. Znajdowałam się teraz tak blisko niego, jak chyba nigdy dotąd. Starłam się grać rolę niewinnej młodszej siostry najlepiej, jak potrafiłam, choć bardzo dekoncentrował mnie mocny uścisk jego chłodnych palców i równie chłodne, badawcze spojrzenie.

– Czy ukradłaś Tony’emu papierosa? – ponowił pytanie.

– Nie.

Vincent docisnął kciuk na moim nadgarstku. Nie zabolalo mnie to, ale z pewnością było niekomfortowe, więc spróbowałam cofnąć rękę.

– To czym się tak denerwujesz?

Dopiero wtedy zrozumiałam, że mówi o moim aktualnie galopującym grubo ponad normę pulsie. Tak mnie to wytrąciło z równowagi, że teraz jego tempo wzrosło chyba jeszcze bardziej. Chciałam szybko rzucić jakimś kolejnym kłamstwem, ale jak na złość nic nie przychodziło mi do głowy, dlatego szarpnęłam znowu ręką. Tym razem wyrwałam mu się aż za łatwo, bo mi na to pozwolił.

– Bo mnie stresujecie! – zawołałam.

Zrobił krok w moją stronę – bardzo mały, ale wystarczający. Uniósł dłoń i delikatnie złapał mnie za podbródek, zmuszając, bym spojrzała głęboko w jego jasne, przeszywające oczy. Zaczęłam drżeć, próbując znieść to niezwykle intensywne spojrzenie.

– Zapytam jeszcze raz. Czy zabrałaś Tony’emu papierosa?

Milczałam, a wargi samoistnie mi się rozchyliły, gdy tak odwzajemniałam spojrzenie swojego najstarszego brata.

– Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz – poradził.

Tyle mi wystarczyło. Vince złamał moją pewność siebie jak lichą gałązkę i ledwo zauważalnie pokiwałam głową. Zalała mnie ogromna fala ulgi, gdy wreszcie mogłam uwolnić się od jego spojrzenia i spuścić wzrok na ziemię. O Boże, jakie to było wspaniałe uczucie.

W tle usłyszałam śmiech. Przynajmniej Tony dobrze się bawił. Nie miałam odwagi, by się odwrócić i spojrzeć na Dylana i Willa.

Vince przestał trzymać mój podbródek. Usłyszałam też, jak wzdycha.

– W porządku. Skoro więc kwestię twojej prawdomówności mamy za sobą, powiedz mi teraz, skąd ten pomysł.

Niby mówił spokojnie, ale byłam przekonana, że – wbrew jego słowom – wcale nic nie jest w porządku.

No i co ja miałam mu rzec? Sama nie wiedziałam, co mną wtedy kierowało. Wzruszyłam więc ramionami, ale jak wiadomo, Vince nie akceptował takich odpowiedzi, więc znowu zaczął drażnić i zadawać pytania, a ja odpowiadałam, unikając jego spojrzenia. Pozostali bracia milczeli, a ich obecność jedynie potęgowała mój stres. Nawet Dylan mi nie przerywał, choć gdy raz przypadkiem na niego zerknęłam, widziałam, jak ściąga brwi ze złości.

Ostatecznie wyznałam prawie wszystko. Zaczynając od znalezienia papierosa na podłodze w kuchni po bójce Shane’a i Tony’ego, przez wyrzuty sumienia, aż po dzisiejszą wtopę. Gdy Vince otrzymał już potrzebne elementy układanki, zamilkł i czułam na sobie jego świdrujące spojrzenie, jakby zastanawiał się, co teraz począć. Z pomocą przyszedł mu Dylan.

– Sposób ojca na obrzydzenie papierosów jest całkiem dobry.

– Nie, nie jest dobry – wtrącił od razu stanowczo Will i dodał przyciszonym głosem, tak że ledwo go usłyszałam: – I nie mów o nim przy niej.

– Ja tam się zgadzam z Dylanem – rzucił Tony.

– Hailie nie ma problemu z papierosami, nie trzeba więc ich jej obrzydzać – zauważył Vincent. – Nie można tego samego powiedzieć o tobie, więc skoro tak podoba ci się ten sposób, to nie krępuj się i sam go przetestuj.

Ku mojej małej satysfakcji tymi słowami oraz wymownym spojrzeniem skutecznie zamknął Tony’emu usta.

– Muszę jednak przyznać, Hailie, że martwią mnie te twoje impulsywne działania. To nie pierwszy raz, gdy podjęłaś nieprzemyślaną decyzję, przez którą narobiłaś sobie problemów. W związku z tym powinnaś popracować nad swoimi odruchami.

Pokiwałam głową, bo bez dwóch zdań się z nim zgadzałam.

– Cieszę się też, że nie uległaś chęci zapalenia. Wiem, że w tej kwestii niektórzy z chłopców – tutaj znowu zerknął na Tony’ego – nie świecą przykładem, ale i tak uznałbym to za poważne przewinienie. Nie chciałbym, żebyś niszczyła sobie zdrowie takim świństwem.

– Nie zamierzam – wymamrotałam.

– Dobrze.

– I to wszystko? – prychnął Tony. – Nie potrafisz jej porządnie opierdzielić, bo co, bo to mała dziewczynka?

– Potrafię, ale w tej sytuacji nie widzę ku temu podstaw.

– Wszystko jej odpuszczasz. Rozmawiasz, zgrywasz złego glinę i odpuszczasz. Ciągłe to samo.

– A ty co, zazdrosny? – spytał Dylan, unosząc brew.

– Ta, mhm, w chuj zazdrosny.

– Po co w ogóle powiedziałaś mi, że nikomu się nie wygadasz? – zapytałam miękko, przygotowana na to, że Tony mnie zignoruje.

Ale odpowiedział.

– Naprawdę myślałaś, że będę cię krył? To papierosy, a nie, kurwa, cukierki. Małe dziewczynki nie powinny się nimi interesować i ja w takich sytuacjach nie będę ci przyklaskiwał.

– Nie musiałeś mnie oszukiwać, że jesteś po mojej stronie – mruknęłam. Mimo iż chciałam zamilknąć, to czułam potrzebę wypowiedzenia tego na głos, bo jak by nie było, trochę mnie zranił tym, że tak bez skrępowań zdecydował się zawieść moje zaufanie.

– Jesteś jeszcze głupiutka, więc nie wiesz, że gdybym nie był po twojej stronie, to dopiero miałbym wyjebane.

Prychnęłam i odwróciłam od niego obrażona głowę, nie dopuszczając do siebie myśli, że Tony właśnie mógł między wierszami powiedzieć mi coś miłego.

– Po co w takim razie skłamałaś, że nikomu nie powiesz? – zapytałam jeszcze, nie dbając już nawet o to, że pozostali bracia też przecież wszystko słyszą.

Tony przestał się uśmiechać.

– A ty czemu nakablowałaś na mnie jemu? – Wskazał głową na najstarszego brata. – O pistolecie? I to po tym, jak zgodziłaś się siedzieć cicho?

Zagapiłam się na niego z otwartą buzią.

Tony jeszcze raz wrednie się uśmiechnął.

– No to teraz jesteście kwita.

I wyszedł.

Sama też najchętniej uciekłabym do sypialni, ale ja nie miałam chyba takiej swobody. Stałam więc nadal w centrum kuchni, czekając na jakiś sygnał świadczący o tym, że spotkanie jest zakończone.

– Chwila, bo jednego nie ogarniam – odezwał się Dylan. Marszczył wciąż brwi i ewidentnie coś mu nie pasowało. – Dlaczego nie wyrzuciłaś tej fajki? Przecież Tony nie zauważyłby jej braku.

Odetchnęłam.

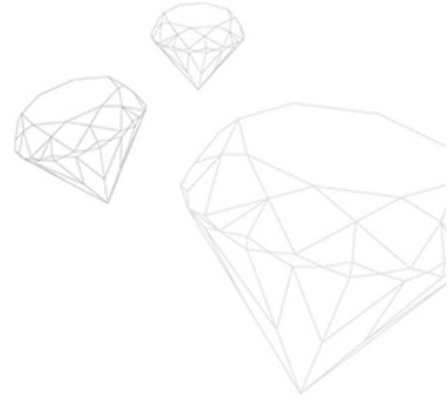
– Nie wiem, jakoś tak wyszło – odparłam cichutko. – Chyba po prostu chciałam oddać mu jego własność.

Bracia spojrzeli po sobie, a każdy z nich myślał chyba o tym samym. Will, w którego oczach po niedawnej surowości nie było już śladu, zbliżył się do mnie, wyciągnął ręce i przytulił mnie do swojej klatki piersiowej, kręcąc lekko głową.

– Ty jesteś za dobra, malutka.

Pozwoliłam sobie na przyjęcie tego gestu czułości i z lubością przymknęłam powieki, opierając policzek o jego koszulę.

Will był kochany.



20

Różnica między bratem a rodzicem

Przerwę świąteczną powitałam, o dziwo, z ulgą, bo oznaczała ona dla mnie chwilę wytchnienia od widoku Jasona i Lavinii. Obserwowanie romansu tej dwójki, toczącego się na szkolnych korytarzach i stołówce, cały czas sprawiało mi przykrość. Nawet gdy śmiałam się z czegoś z Moną i Audrey, przypadkowe zerknięcie na Jasona obmacującego Lavinie powodowało, że pochmurniałam i musiałam czym prędzej odwrócić od nich wzrok. Za to podczas wspólnych lekcji Jason mnie ignorował – zupełnie jak wtedy, gdy Shane przyłapał nas w bibliotece. Jediną różnicą było to, że tym razem i ja nie zabiegałam o jego uwagę. Naprawdę się na nim zawiodłam i to powstrzymywało mnie przed bieganiem za nim jak idiotka. Tłamsiłam w sobie całą żalność i czasami też nienawiść.

Ta nienawiść dotyczyła głównie Lavinii. Dziewczyna miała to, czego ja mieć nie mogłam. Wiedziałam, że to Jason powinien być głównym obiektem mojej niechęci, jednak cały czas coś do niego czułam, jakiegoś rodzaju przywiązanie. Lavinia jedynie wpędzała mnie w kompleksy.

Święta pozwoliły mi zapomnieć o tej dwójce. Co więcej, minęły mi tak wspaniale, jak to tylko było możliwe bez mamy i babci. Kilka razy tęsknota sprawiła, że poczułam ogromne przygnębienie, ale w takich chwilach nigdy

nie byłam sama. Zawsze znalazł się przy mnie ktoś, kto mnie rozbawił albo odwrócił moją uwagę od smutków.

Bracia Monet po raz kolejny zdali egzamin. Coraz wyraźniej dostrzegałam, jak rodzinni byli naprawdę. Fascynowało mnie to niesamowicie, bo z początku sądziłam, że na przykład młodszy z rodzeństwa niezbyt przepadają za Vincentem, a ten z kolei gardzi wszystkimi poza Willem. Dopiero z czasem przekonałam się, że to wrażenie było mylne i wynikało z faktu, że chłopcy czuli się w swoim towarzystwie wyjątkowo swobodnie. Niczego nie udawali i, jejkę, to musiało być cudowne uczucie.

Po raz pierwszy nie dostałam prezentu na święta. Will ponownie upewnił się, że rozumiem sens ich rodzinnej tradycji. Bracia Monet, mogąc sobie pozwolić niemal na wszystko każdego dnia roku, nie przykładali wielkiej wagi do tradycji kupowania prezentów pod choinkę. Wielkie drzewko zagościło w salonie i jeszcze jedno, mniejsze, w holu, niedaleko schodów. Pod tym pierwszym znajdowały się tylko atrapy paczek, owinięte dekoracyjnym papierem i pięknymi wstążkami, ale w środku skrywające kawałki styropianu i nic więcej. Nie rozpaczałam, bo znowu: byłam wdzięczna, że nie muszę dziękować braciom za żadne podarunki i głowić się nad zorganizowaniem własnych.

Upiekłam za to ciasteczka mince pies pod czujnym okiem Eugenie. To coś, co każdego roku przygotowywałam na wigilijny stół wraz z babcią. Uwielbiałam je piec, a jeszcze bardziej zdobić. W tym roku tych ozdób zakupiono dla mnie całą masę, ale i ciastek trzeba było zrobić dużo, bo przy stole miało zasiąść dwóch dorosłych facetów i trzech żarłocznych nastolatków.

Celebrację rozpoczęliśmy w salonie. W telewizji leciał mecz futbolowy, którym w towarzystwie wielkiej deski serów ekscytowali się wszyscy moi bracia poza Vincentem. Jego przyłapałam, jak na do widzenia wręczał Eugenie grubą kremową kopertę. Byłam prawie pewna, że to jej świąteczny bonus, i miałam nadzieję, że był spory, bo zasługiwała na premię jak nikt – przygotowała nam niepowtarzalną kolację.

Zasiedliśmy do niej już w jadalni. Podobnie jak podczas Świąta Dziękczynienia, tym razem też sami obsługiwaliśmy się przy stole. Starłam się pomagać, kiedy tylko mogłam, bo potraw było dużo i trzeba było w kółko

wynosić jakieś półmiski i wnosić nowe. Chętnie podejmowałam się tych zadań, bo dzięki temu miałam szansę uniknąć przejedzenia.

Deski serów w salonie nie tknęłam – nie byłam do nich przekonana, zwłaszcza do tych pleśniowych – i teraz podobne wątpliwości obudził we mnie koktajl krewetkowy. Zauważyłam już wcześniej, że Monetowie lubowali się w owocach morza, ale ja nie miałam do nich zaufania i dziwiłam się, że mieli coś takiego w menu na święta. Potem nareszcie pojawiła się sałatka cesar, którą zjadłam nawet chętnie, chociaż za dokładkę podziękowałam. Następny w kolejce był sorbet cytrynowy, który miał oczyścić nam podniebienia, byśmy mogli cieszyć się niezmaconym smakiem pieczonych żeberek z takimi dodatkami jak słodkie ziemniaki i szparagi zapiekane w serze.

Wymienialiśmy uwagi na temat jedzenia, chłopcy przez chwilę omawiali mecz, a Will delikatnie i z wyczuciem zagadywał mnie o moje świąteczne wspomnienia z rodzinnego domu i wszyscy słuchali, jak opowiadam o typowych angielskich potrawach wigilijnych. My z mamą i babcią nigdy nie szykowałyśmy ich tak dużo. Po prostu nie było takiej potrzeby, bo Wigilię spędzałyśmy we trójkę – czasem dołączała do nas samotna sąsiadka.

Shane był moim prywatnym śmietnikiem, któremu dyskretnie podsuwałam talerz, gdy nie miałam sił go wyczyścić. Pożerał wszystko, jak leci, z wyrazem rozkosznej satysfakcji na twarzy. Nie wcisnęłam nawet wiśniowej tarty na deser ani pierników, ale za to zjadłam kilka ciasteczek, które upiekłam, i skrycie się ucieszyłam, gdy każdy z chłopaków je pochwalił. Nawet Tony burknął, że są „spoko”.

Po tej długiej uczcie z powrotem przeszliśmy do salonu, gdzie rozsiedliśmy się wygodnie na meblach wypoczynkowych. Dylan włączył jakąś bijatykę na PlayStation i urządziliśmy sobie małe rozgrywki. Zajęłam ostatnie miejsce, ale miałam przy tym dużo frajdy, więc nie szkodzi.

Następnego ranka znowu spotkaliśmy się w salonie, gdzie w piżamach siedzieliśmy aż do lunchu. Zjedliśmy śniadanie na kanapie i podłodze, robiąc okropny bałagan. Dawniej ten dzień wprawiał mnie w ogromnie dużą ekscytację. Gdy byłam młodsza, budziłam się o nieludzkiej porze, żeby boso potruchtać do choinki i rzucić się na prezenty. Potem mama pozwalała mi zjeść śniadanie na ziemi, wśród nowych zabawek i rozszarpanego papieru

pakowego. U Monetów było podobnie, tyle że bez prezentów. No i mimo wszystko brakowało mi mamy, tak bardzo, że nawet uroniłam łzę, gdy Will zarządził maraton filmów świątecznych. Dylan chyba to dostrzegł, bo zaraz włożył mi we włosy opaskę ze sterczącymi rogami renifera, którą nosiłam już do końca dnia.

Vince kilka razy zniknął, ale zawsze zaraz pojawiał się z powrotem, telefon chowając do kieszeni. Will pilnował porządku i kazał nam po sobie sprzątać, Shane ciągle miał coś w buzi, Dylan podczas jednego z filmów zrobił sobie trening siłowy i przytargał do salonu ciężarkę, a Tony relaksował się szkicowaniem nagiej kobiety obwiązanej lampkami choinkowymi – tak mi się przynajmniej wydawało, bo zakrył szkicownik i kazał mi zjeżdżać, gdy spróbowałam zerknąć mu przez ramię.

W te święta więc moi bracia po raz kolejny pozytywnie mnie zaskoczyli. Aż zaczęłam się zastanawiać, czy Monetowie spędzają też wspólnie sylwestra, bo wtedy z przyjemnością zostałam z nimi w domu, ale okazało się, że chłopcy mieli plany – każdy inne. Dlatego też przyjąłam zaproszenie Audrey, by powitać nowy rok w jej domu.

Vincent nie był zachwycony moim wyjściem, ale nie zakazał mi go, więc ostatniego dnia grudnia wieczorem Will odwiózł mnie do domu koleżanki. Jako że posiadałam teraz większą wiedzę, byłam też trochę uważniejsza, dostrzegłam więc, że całą drogę jechało za nami jakieś wielkie ciemne auto, które zatrzymało się w niewielkiej odległości od podjazdu domu Audrey, na którym zaparkowaliśmy. Po wszystkich niedawnych wydarzeniach byłam przewrażliwiona, zapytałam więc Willa o tę tajemniczą eskortę.

– Nie przejmuj się tym – odparł tylko, po czym dał mi buziaka w czoło przykryte wełnianą czapką z pomponem. Myślałam, że tak się pożegnamy, ale on odprowadził mnie pod same drzwi, a nawet wszedł ze mną do środka.

Rodzice Audrey wyjechali na weekend do znajomych w Filadelfii, gdzie mieli w planach wybrać się na bal, i niespecjalnie spodobało się to moim braciom. Sytuację ratował fakt, że do czuwania nad naszą małą zabawą oddelegowany został starszy brat Audrey. Nie zdawali sobie chyba sprawy, jak nierozgarniętą osobą był Jerry, ale nie wyprowadzałam ich z błędu. Żaden z chłopaków też go nie kojarzył – nawet bliźniacy, którzy przecież

podobno mieli z nim niektóre zajęcia. Najwyraźniej Jerry nie był dla nich kimś godnym zapamiętania.

On był tak właściwie jedynym minusem tego spotkania. Po tym, co usłyszałam od niego ostatnio, nie potrafiłam go polubić. Martwiłam się, że będzie dla mnie niemiły, zwłaszcza skoro rodziców Audrey nie było w domu, ale moja koleżanka zapewniła mnie, że on sam zaproponował, żeby mnie do siebie zaprosił, i że jest mu głupio za jego poprzedni wyskok. Trudno mi było w to uwierzyć, ale rzeczywiście zachowywał się nienagannie. Przynajmniej przy Willu, choć wydawało mi się, że był nieco spięty, gdy rozmawiał z moim bratem... Ale przecież ludzie zawsze byli spięci, rozmawiając z którymkolwiek z moich braci.

Gdy Will zaaprobował wreszcie warunki naszej zabawy, życzył nam miłego świętowania i szczęśliwego nowego roku, a potem odjechał. Jerry zniknął natomiast w swoim pokoju, a my razem z Moną i Audrey rozsiadłyśmy się w salonie w otoczeniu stanowczo zbyt wielu przekąsek, gazowanych napojów i muzyki puszczanej z telewizora. Śmiałyśmy się głośno z głupich szkolnych plotek, dokuczaliśmy trochę Audrey, że kocha się w panu Daltonie, i nawet rzuciłyśmy klątwę na Jasona. Mona znalazła odpowiedni rytuał w internecie, więc czemu nie.

Nim się obejrzałyśmy, zbliżała się północ. Wtedy zjawił się Jerry i samą swoją obecnością wprowadził mnie w lekki dyskomfort. Ostatnio był bardzo spięty, a teraz sprawiał wrażenie aż nadto wyluzowanego. Oparł się nonszalancko o szklaną witrynę i kiwnął na nas głową.

– No co tam?

Właśnie się z czegoś śmiałyśmy, tak bardzo, że Mona dostała nawet czkawki, ale na widok Jerry'ego uspokoiliśmy się, a nasze spojrzenia stały się podejrzliwe.

– Czego chcesz? – zapytała Audrey.

– Sprawdzam, czy wszystko okej.

– Nie potrzebujemy niańki.

– William Monet przekazał mi co innego – rzucił Jerry, a mnie nie spodobało się to, że pełne imię mojego brata wypowiedział prześmiewczym tonem. Może przesadzałam, ale byłam po prostu na niego cięta.

– Od kiedy to słuchasz braci Hailie? – zapytała Mona złośliwie.

– Nie słucham. Właściwie to chciałem ci powiedzieć... – Jerry zwrócił się do mnie –...że sorry za wtedy. Zachowałem się jak kretyn, Audrey miała rację. Dlatego powiedziałem jej, żeby cię dziś zaprosiła. Chciałem, żebyś wiedziała, że to okej, że się przyjaźnisz z moją siostrą. Przecież to nie twoja wina, że twoi bracia to idioci.

Poczułam dziwną potrzebę bronienia swoich braci. Sama często myślałam, że zachowują się jak idioci, ale nie podobało mi się, że Jerry też tak o nich mówił. Czułam, że nie ma do tego prawa. Nie skomentowałam jednak tego wcale, bo postanowiłam docenić to, że Jerry zdobył się na przeprosiny. Byle jakie, ale zawsze. Nie spodziewałam się ich usłyszeć w ogóle.

– W porządku, Jerry, już nawet o tym zapomniałam – mruknęłam uprzejmie.

Mona unosiła sceptycznie brew, ale Audrey wyglądała na zadowoloną.

– A przy okazji... – kontynuował Jerry. – Sprawiają wrażenie trochę zaborczych, mam rację? Will rozmawiał ze mną, jakby był twoim ojcem, a nie bratem. To musi być męczące, nie?

Wzruszyłam ramionami. To nie był temat, na który chciałabym dyskutować akurat z nim.

– Bo wiesz, o czym mówię. Brat to jednak brat. – Zaśmiał się i mrugnął do Audrey. – Może pokażę wam różnicę między bratem a rodzicem?

Jerry opuścił nas na chwilę, a my wymieniliśmy spojrzenia. Mona i ja byłyśmy nieco spięte, a Audrey widocznie zdezorientowana. Nie zdążyłyśmy jednak porozmawiać, bo chłopak szybko wrócił z elegancką butelką szampana w ręce.

I to nie był szampan dla dzieci, tyle mogłam powiedzieć.

– Próbowaliście kiedyś?

Ja zagryzłam wargi i z dezaprobatą dostrzegłam, jak Monie zaświeciły się oczy. Audrey jednak trzymała się na dystans.

– Co robisz? – zapytała, mrużąc oczy.

– Masz piętnaście lat i to tylko kwestia czasu, zanim zaczniesz interesować się alkoholem. Lepiej, żebyś spróbowała go tutaj, w domu, ze mną, niż sama, chowając się po krzakach.

– Czy ty aby nie miałeś być naszym opiekunem? – zapytałam sceptycznie, nie wyobrażając sobie, żeby przykładowo Dylan albo Will, czy nawet Shane lub Tony zaproponowali mnie i moim znajomym alkohol. O Vincencie chyba nie muszę wspominać.

– To jest właśnie ta różnica między bratem a rodzicem. Brat jest odpowiedzialny jak rodzic, ale nie tak nudny.

Jeśli Jerry próbował zrobić na mnie wrażenie, to ewidentnie mu to nie wychodziło, ale nie mogłam tego samego powiedzieć o pozostałych dziewczynach. Mona szczyrzyła się na całego, a jeden kącik ust Audrey uniósł się w półuśmiechu, gdy zapytała:

– Dlaczego tak nagle zależy ci, żeby być fajnym bratem?

– Lepiej późno niż wcale. To co, gotowe?

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Mona przytaknęła energicznie, a Jerry, nie czekając, odbezpieczył korek, który wyskoczył i odbił się od sufitu z głośnym hukiem. Wszystkie krzyknęłyśmy, chowając głowy, żeby nim nie oberwać. Korek poturlał się gdzieś pod stół, a Jerry szybko rzucił się za nim i go złapał. Przy okazji trochę szampana wylało się na podłogę i chłopak przeklął pod nosem. Zdecydował się chyba nie sprzątać od razu, bo zaraz ominął kałużę i zawołał do Audrey:

– Tylko nie mów rodzicom, okej?

Uśmiechając się łobuzersko, sięgnął do witrynki, wyjął z niej cztery podłużne lampki i zniknął z nimi i butelką w kuchni. Przeszkadzał mi fakt, że tak po prostu zignorował ten rozlany alkohol. Przecież należało to posprzątać. Miałam teraz jednak inne zmartwienia niż załamywanie rąk na niechlujstwem Jerry'ego.

– Serio chcecie pić szampana? – wyszeptałam, gdy tylko wyszedł z salonu. Nie na to się pisałam. Może inaczej bym zareagowała, gdyby to nie brat Audrey był pomysłodawcą tego planu.

Mona wzruszyła ramionami, widocznie podekscytowana, a Audrey zagryzła wargę.

– Nie wiem, co w niego wstąpiło, ale stanowczo wolę tę wersję Jerry’ego. Myślę, że naprawdę mu głupio po tym, jak zachował się ostatnio – wyjaśniła.

Chociażby dla Audrey chciałam się wyluzować i ostrożnie przyjąłam pełny kieliszek, który wręczył mi Jerry. Gapiłam się przez chwilę na bąbelki. Były ładne, ale nadawały napojowi zdradziecki wygląd.

Dzierząc lampki, wyszliśmy na dwór, zarzuciwszy wcześniej w pośpiechu kurtki. Przez to całe zamieszanie z szampanem prawie przegapiliśmy moment, w którym wybiła północ. Jerry powinien był otworzyć go właśnie w tym momencie, jak na mój gust, tak przynajmniej robiłam do tej pory z bezalkoholowym. Nie chciałam jednak marudzić ani się skarżyć, zwłaszcza że moje koleżanki wyglądały na zadowolone.

– Szczęśliwego nowego roku, dziewczyny! – zawołał Jerry, gdy na niebie rozbłysły sztuczne ognie, i uniósł swój kieliszek. Audrey mieszkała na osiedlu, gdzie fajerwerki, choć były widoczne, to mało spektakularne, więc chwilę popatrzyliśmy w niebo, a potem skupiliśmy się na naszym alkoholowym doświadczeniu.

Wszyscy przechylili lampki, więc i ja to zrobiłam, ale właściwie to zamoczyłam tylko usta. Smak szampana był delikatny, ale nieco gorzkawy. Nie przeszkadzało to Monie, która całą zawartość kieliszka wlała w siebie jednym haustem.

– Jezus... – zachichotała Audrey, ale sama upiła całkiem duży łyk.

Jerry zauważył moje opory i skinął na mnie głową.

– Toast się nie liczy, jeśli nie wypijesz – powiedział, uśmiechając się do mnie niewinnie.

Odwzajemniłam jego uśmiech, mając nadzieję, że nie wyszedł zbyt fałszywie.

– Piję – mruknęłam i na dowód tego wzięłam malutki łyk, który natychmiast wypłułam z powrotem, gdy Mona ściągnęła na siebie uwagę wszystkich, odstawiając swój pusty kieliszek na kamienny stolik ogrodowy obok ze zbyt dużą siłą, skutkiem czego był głośny brzdęk, gdy się potłukł.

– Już jesteś pijana? – zarechotał Jerry i wycofał się do kuchni po zmiotkę. Audrey też się ruszyła, żeby poświecić na ziemię telefonem i znaleźć chociaż

większe odłamki szkła. To krótkie zamieszanie było tym, czego potrzebowałam, by przechylić lampkę i wyłączyć prawie całą jej zawartość na trawę. W rezultacie, gdy następnym razem Jerry na mnie zerknął, wyglądało, jakbym właśnie dopijała resztkę.

– Tyle wam chyba starczy – ocenił, z uniesionymi brwiami patrząc na Monę, na której twarzy natychmiast pojawiły się rumieńce.

Ulżyło mi, gdy Jerry sobie poszedł i zabrał ze sobą tę głupią butelkę. Nie byłam świętoszką, to znaczy trochę byłam, ale już dawno myślałam sobie, że fajnie byłoby spróbować alkoholu. Jednak tak jak wspomniałam wcześniej, na pewno nie w obecności Jerry'ego, któremu najzwyczajniej w świecie nie ufałam. Wiedziałam, że gdyby moi bracia się dowiedzieli, że piłam, miałabym kłopoty. Już mi wystarczyło ich upomnienie za skradzionego papierosa. Nie chciałam znowu tak głupio im podpaść. Zwłaszcza że ledwo mnie tu puścili, a Will prosił, żebym była odpowiedzialna. Bardzo nie chciałam go zawieść.

Wolałabym, żeby to się nie wydarzyło. Jerry powinien był zostawić nas w spokoju. Zepsuł nam trochę zabawę, bo Mona szybko zrobiła się irytująca. Na pewno nie upiła się jednym kieliszkiem, ale alkohol wprowił ją w upojny nastrój, kiedy to chce się tańczyć i śmiać z głupot, które niekoniecznie są śmieszne. Audrey starała jej się dorównać, najwyraźniej ciesząc się z faktu, że jej brat w końcu zmienił trochę swój wizerunek nadętego idioty. A przynajmniej tak jej się chyba wydawało, dla mnie tam wciąż był nadętym idiotą.

Dosyć szybko zdecydowałyśmy się włączyć film. Na moją prośbę dziewczyny zrezygnowały z oglądania horroru i zgodziły się na komedię. Całkowicie szczerze musiałam przyznać, że fabuła była średnio ciekawa, ale mimo to byłam zaskoczona, gdy nie minęła jeszcze połowa filmu, a Mona już zasnęła. Chciałam szturchnąć Audrey i razem z nią się z tego ponabijać, ale ona też powoli odpływała.

Nie mogłam w to uwierzyć. Było ledwo po północy. Ja też byłam trochę zmęczona, ale liczyłam, że wytrwamy chociaż do pierwszej. To na pewno ten głupi szampan tak na nie zadziałał. Poklepałam Audrey po ramieniu, ale brak reakcji z jej strony utwierdził mnie w przekonaniu, że zabawa się skończyła.

Westchnęłam i przez chwilę siedziałam nieruchomo, gapiąc się bez zainteresowania w ekran telewizora.

A potem usłyszałam ciche stapanie. Brzmiało zupełnie inaczej niż wcześniejsze kroki Jerry'ego, gdy człapał wesoło z kuchni do salonu i z powrotem, lejąc nam szampana. Wiedziałam jednak, że to on teraz czai się w pobliżu, bo usłyszałam, jak odchrząkuje. Ostatnie, czego pragnęłam, to rozmowa z nim, dlatego zamknęłam oczy i spróbowałam udawać, że też jestem pogrążona we śnie. Spodziewałam się, że Jerry zajrzy do salonu i sobie pójdzie, gdy zobaczy, że wszystkie odpłynęliśmy, on jednak zatrzymał się na chwilę na progu.

Całą siłą woli powstrzymałam się przez zmarszczeniem brwi. Staralam się panować nad oddechem i zachować naturalny wyraz twarzy, choć czułam potrzebę rozchylenia powiek i sprawdzenia, co on, u licha, wyprawia. W pewnym momencie już zwątpiłam, że Jerry wciąż stoi w salonie, ale wtedy usłyszałam, jak bierze głęboki, jakby niespokojny wdech. Nie wiedzieć czemu dostałam gęziej skórki. Co on tak długo tutaj robi? Gapi się na nas czy co?

Kiedy już poważnie rozważałam, żeby otworzyć oczy i coś do niego nieuprzejmie warknąć, usłyszałam jakiś szelest i zaraz potem sygnał połączenia. Powoli i po cichu Jerry ruszył do kuchni. Odważyłam się wtedy rozchylić powieki i zobaczyłam jego chude plecy. Telefon przyciskał do ucha.

– Tak jak obiecałam, Hailie Monet leży nieprzytomna w moim salonie.

Poczułam, że sztywnieję. Wręcz zastygam. Przeszły mnie ciarki, a serce zaczęło walić mi tak mocno, że gdyby Jerry nie skupiał się na rozmowie, chyba by je usłyszał.

– Tak. Prawie na pewno gdzieś w pobliżu kręci się człowiek Monetów.

Musiałam mocno wyęczać słuch, żeby zrozumieć, co mówi, bo gdy przeszedł do kuchni, już nie słyszałam go tak wyraźnie.

O Boże, co się właśnie dzieje?

Rozejrzałam się spanikowana. Okna były zasłonięte, w pokoju panował półmrok, w telewizji wciąż leciał film, który puściłyśmy, i jedynie z kuchni docierało tu jasne światło.

Czułam, że jestem w niebezpieczeństwie. Cokolwiek Jerry właśnie kombinował, jego intencje nie były dobre i to już nie tylko podszepty mojej intuicji, a obawy potwierdzone jego podejrzanym zachowaniem. Nie zdziwił się, że spałyśmy, nie próbował nas obudzić ani zgasić telewizora. Zamiast tego zadzwonił do kogoś i powiedział, że jestem nieprzytomna. Akurat ja. Nieprzytomna.

Dlaczego nieprzytomna?

Natychmiast zaczęłam potrząsać Audrey, błagając ją, by się obudziła. Nic z tego. Oddychała spokojnie i wyglądała, jakby była pogrążona w głębokim śnie. To był jakiś koszmar. Rzuciłam się w stronę Mony, starając się robić jak najmniej hałasu. Z desperacji prawie ją kopnęłam, wiedząc w głębi ducha, że i tak jej to nie obudzi. Obie moje koleżanki spały jak zabite.

Bo były nieprzytomne.

Zerknęłam na podłogę, gdzie wciąż znajdował się ślad po kałuży rozlanego alkoholu.

Szampan.

Tym razem mój mózg mnie nie zawiódł i całkiem szybko dodał dwa do dwóch. Przerazona patrzyłam na dziewczyny, a potem na przejście do kuchni, gdzie zniknął Jerry. Czy mi się to wszystko właśnie śniło?

Okej, oddychaj głęboko. Najlepiej, żebyś się stąd wydostała. I zawiadomiła kogoś o tym, co się dzieje. Rozejrzałam się za swoim telefonem. Zostawiłam go na stole. Spojrzałam w tamtą stronę. Tak, wciąż tam leżał. Podniosło mnie to na duchu, bo jeśli Jerry naprawdę próbował mi zaszkodzić, to nie był zbyt bystry.

Prawie zaśmiałam się na tę myśl. Prawie, bo tak naprawdę mnie przeraziła. Czy to możliwe, że Jerry naprawdę chce mnie skrzywdzić? Nie ufałam mu, nie lubiłam go, ale nie sądziłam, że byłby w stanie realnie mi zagrozić. To przecież brat mojej koleżanki. To musi być jakiś chory żart.

Ale Mona i Audrey naprawdę były nieprzytomne. A słów Jerry'ego, które wypowiedział do słuchawki telefonu, przecież sobie nie wymyśliłam.

Po cichutku podniosłam się z kanapy i na palcach podreptałam w stronę stołu, nie odrywając wzroku od przejścia do kuchni. Jeśli Jerry teraz się w nim pojawi, to po mnie. Wyciągnęłam rękę i nie robiąc najmniejszego

hałasu, zacisnęłam palce na swojej komórce. Uniosłam ją i ruszyłam w stronę kanapy, ale w pomieszczeniu obok coś zaszurało i zastygłam. Jerry mruknął pod nosem przekleństwo, dowodząc tym samym, że nigdzie daleko sobie nie poszedł, a ja natychmiast podjęłam kolejną decyzję. Miałam nieodparte wrażenie, że zaraz tu zajrzy, jeszcze zanim zdążę ponownie się usadowić i udać, że śpię. Zamiast więc wracać na miejsce, skierowałam się do drzwi, które prowadziły do przedpokoju.

Z salonu w domu Audrey można było wyjść na trzy sposoby. Przez kuchnię – to wyjście było najwygodniejsze i najczęściej używane przez domowników, przez taras – szybko stwierdziłam, że w tej chwili ta opcja odpadała, bo musiałabym narobić za dużo hałasu, rozsuwając drzwi. Trzecim sposobem było właśnie przejście do przedpokoju. Prowadziły do niego drzwi, których nikt zbyt często nie otwierał z tego, co było mi wiadomo. Ja jednak postanowiłam zaryzykować.

Skradałam się najciszej, jak potrafiłam, ale bicie mojego serca dudniło mi w uszach. Myślałam, że może mi się to wszystko śni, ale uszczypnęłam się parę razy i nic się nie wydarzyło. Czułam się jak bohaterka jakiegoś okropnego horroru. Palce spoczonej dłoni zaciskałam na telefonie, a drugą rękę wyciągnęłam ku klamce. Zanim za nią pociągnęłam, zawahałam się. Zerknęłam na dziewczyny, ale oczywiście wciąż spały i nawet nie zmieniły pozycji. Były jak nieżywe i zadrżałam, natychmiast tłumacząc sobie, że to niemożliwe, bo przecież unoszą im się klatki piersiowe. Miałam wyrzuty sumienia, że je tu zostawiam, ale tylko tak mogłam pomóc sobie i im. Poza tym Jerry najwyraźniej chciał skrzywdzić przede wszystkim mnie. Nic nie wspomniał o Monie, no i chyba nie tknęłyby własnej siostry.

Wielka ostrożność, z jaką otworzyłam drzwi, na nic się zdała, bo okropnie zatrzeszczały. Zacisnęłam powieki na ten okropny dźwięk, który jednoznacznie zdradzał moją porażkę. Moje koleżanki nawet nie drgnęły, ale w kuchni rozległ się raptowny szelest i do salonu wpadł zaalarmowany Jerry. Moje serce stanęło na moment, gdy odwróciłam się i nawiązaliśmy kontakt wzrokowy. Oboje wytrzeszczaliśmy na siebie oczy. Oboje też zdawaliśmy się tak samo przerażeni i spanikowani.

Natychmiast puściłam się biegiem przed siebie, jako cel obierając majaczące w oddali drzwi wejściowe. Na dworze podobno znajdował się mój ochroniarz, o ile dobrze kojarzyłam, niewiele więc potrzebowałam,

żeby otrzymać pomoc. Zanim jednak zdążyłam uciec, poczułam, jak Jerry łapie mnie za tył bluzki i przyciąga do siebie.

Wydarłam się głośno, ale on stłumił mój wrzask zbyt szybko, mocno przyciskając swoją dłoń do mojej buzi. Spróbowałam ją odciągnąć i zacisnęłam na niej swoje palce, ale mimo iż Jerry to chuderlak, to wciąż był starszym ode mnie chłopakiem, miał więc wystarczająco dużo siły, żeby w miarę sprawnie mnie uciszyć. Moje plecy dotykały jego klatki piersiowej, gdy pchał mnie przez przedpokój. Trochę się szamotaliśmy, ale niewiele mogłam zdziałać. W pewnym momencie ugryzłam go mocno w palec, a wtedy on pociągnął mnie za włosy tak silnie, że na chwilę przestałam się opierać, a w oczach stanęły mi łzy i pisnęłam z bólu.

– Zamknij się – syknął złowieszczo Jerry i wepchnął mnie do pokoju niedaleko schodów. Poleciałam od razu na podłogę z bezgłośnym okrzykiem, nabijając sobie siniaka. Od razu zerwałam się do pozycji siedzącej, ręce opierając na twardej wykładzinie. Podniosłam też głowę, by spojrzeć na swojego oprawcę, gotowa do ponownego wydarcia się na całe gardło.

A ten niepozorny chłopak, nastolatek, ześwirowany brat mojej koleżanki, właśnie wyciągnął zza paska swoich wiszących mu na biodrach spodni pistolet i niezdarnie wycelował go w moją stronę.

Krzyk uwiązał mi w gardle.

Ręka Jerry'ego, którą ścisnął broń stanowczo zbyt mocno, telepała się niebezpiecznie, a on sam wytrzeszczał na mnie oczy, mocno zaciskając szczękę. Dostrzegłam też kropelki potu na jego czole. Ja również zaczęłam się trząść.

– Jerry... – wyszeptałam miękko.

– Ani słowa.

Powoli wyciągnęłam przed siebie obie dłonie, pragnąc przekazać mu za pomocą mowy ciała, że chcę tylko wygodniej usiąść. Ścierpła mi noga, no i musiałam przestać opierać się o obolałe udo. Czułam, jak wyłazi mi na nim brzydki siniak.

Gdy myślałam, że zastygniemy tak już na wieczność – ja siedząca na podłodze w pokoju, który wyglądał na prostą sypialnię gościnną, w domu

Audrey z jej niezrównoważonym bratem stojącym nade mną i celującym do mnie z broni – zadzwonił telefon.

Jerry na chwilę otrząsnął się z transu, nerwowo oglądając się za siebie, ale jednocześnie nadal trzymał mnie na muszce. Ja spięłam się jeszcze bardziej, bo zwyczajnie bałam się, że zastrzeli mnie choćby niechcący.

– Ja pierdołę, ja pierdołę, ja pierdołę – powtarzał te słowa jak modlitwę, panikując na całego, a ja patrzyłam na niego przerażona jak jeszcze nigdy w życiu. Zachowywał się jak wyjątkowo poważnie schorowany pacjent zbiegły ze szpitala psychiatrycznego.

Był nieobliczalny.

– To twój telefon! – warknął nagle do mnie, aż podskoczyłam.

Tak, to mój dzwonek rozbrzmiewał w przedpokoju. Musiałam upuścić tam komórkę podczas naszej szamotaniny. Nawet nie zarejestrowałam tego momentu. To, że chłopak groził mi bronią, skutecznie mnie zdekoncentrowało.

Jerry, wciąż wyciągając przed siebie pistolet, wycofał się z pomieszczenia, nie przestając we mnie celować. Siedziałam grzecznie, nie widząc nawet cienia szansy na uciezkę. Nie w tym momencie. Wpatrując się ciągle we mnie, powoli ukucnął, nachylił się i sięgnął wolną ręką tam, gdzie zapewne leżał mój telefon. Na ułamek sekundy oderwał ode mnie wzrok, ale po chwili już wracał do sypialni.

– Odbierz i powiedz, że dobrze się bawisz – rozkazał. Podszedł na tyle blisko, żeby przekazać mi telefon. Wraz z nim zbliżył się do mnie i jego pistolet, tak że lufa była teraz na wyciągnięcie ręki. Cała drżałam. Zerknęłam na ekran.

Dzwonił Will.

To była moja deska ratunku.

– Jedno fałszywe słowo i strzełę, nie żartuję – zapowiedział Jerry, domyślając się zapewne, co mi chodzi po głowie.

Spojrzałam mu w oczy, aby sprawdzić, czy mówi poważnie. Ale widziałam w nich tylko czysty obłęd. Nie mogłam ryzykować. Nie z bronią praktycznie przystawioną do mojego czoła. On nie myślał racjonalnie. Dlatego skinęłam sztywno, sięgając po urządzenie. Jerry wtedy jeszcze

precyzyjniej wycelował pistolet prosto w moją twarz, próbując zrobić groźną minę. Normalnie na jej widok chyba bym go wyśmiała, ale teraz nie byłam rozbawiona.

Nacisnęłam zieloną słuchawkę i przyłożyłam sobie telefon do ucha. Ledwo mogłam oddychać, a co dopiero mówić spokojnie, ale robiłam, co w mojej mocy, by nad sobą zapanować.

– Tak?

– Cześć, malutka, wszystko w porządku? – zapytał mój ulubiony brat, a mnie łzy stanęły w oczach.

– M-hm.

Głos mi się załamał i Jerry zamachał z frustracją pistoletem. U mojego rozmówcy nastąpiło kilka sekund ciszy.

– Na pewno?

Will był bystry i nadopiekuńczy, a ja na pewno nie brzmiałam, jak spodziewał się, że będę brzmieć, spędzając fantastyczny wieczór w towarzystwie koleżanek.

– Tak – odparłam, siląc się na pewniejszy ton.

– Pisałem do ciebie chwilę temu z życzeniami. Nie zareagowałaś. Myślałem, że przespałaś północ.

– Eee... nie, po prostu nie słyszałam...

– Tak mnie coś tknęło i zadzwoniłem – mówił. – Hailie, na pewno wszystko dobrze?

– Tak, oglądamy film z d-dziewczynami, straszny wyciskacz łez... – wyjąkałam. Nawet zaśmiałam się lekko pod koniec, choć oczywiście głos mi drżał.

– No dobrze, w takim razie wam nie przeszkadzam – powiedział z wahaniem, a potem dodał: – Nie pijecie tam alkoholu, prawda?

Już otwierałam buzię, by zaprzeczyć, czując nawet ukłucie dumy, że nie skusiłam się na szampana, i mogłam mu na to pytanie szczerze odpowiedzieć prostym „nie”, ale zerknęłam wtedy na Jerry’ego, który marszczył brwi, wysilając się, by odczytać każdą moją reakcję. Patrząc na twarz brata Audrey, wpadłam na pomysł.

– Tak, całkiem dużo.

– Hailie? – Oczyma wyobraźni widziałam, jak Will marszczy brwi.

– I jest suuuper.

Jerry przyglądał mi się w napięciu, ale milczał i chyba był po prostu zadowolony z tego, że zachwalam imprezę.

– Hailie, czy ty jesteś pijana?

– Trochę zmęczona – odparłam, wymuszając ziewnięcie.

Jerry zaczął rzucać mi znaczące spojrzenia i potrząsnął niecierpliwie pistoletem. Czytelna sugestia, że mam kończyć rozmowę.

Will milczał, ale niemal czułam napięcie promieniujące ze słuchawki.

– Kończę już, pogadamy jutro, oki... doki? Pa! – zaśmiałam się sztucznie i rozłączyłam, zanim usłyszałam odpowiedź. Przed zwróceniem Jerry’emu telefonu przytrzymałam przycisk na obudowie, dyskretnie go wyłączając, żeby Will nie mógł oddzwonić. Jerry i tak nie zgodziłby się na drugą rozmowę.

Bratu Audrey widocznie ulżyło. Obojętnie rzucił mój telefon na łóżko, schludnie zasłane kiczowatą kwiecistą narzutą. Ja błagałam wszechświat, żeby Will zareagował na moją wiadomość w możliwie najbardziej przewrażliwiony sposób. Miałam nadzieję, że postanowi mi nie odpuszczać i nie zdecyduje się poczekać do rana, by wyjaśnić ze mną naruszenie zasady „żadnego alkoholu”.

Nie miałam czasu nad tym rozmyślać, bo Jerry całkowicie ściągnął na siebie moją uwagę. Siedziałam na ziemi, patrząc na górującego nade mną chłopaka, i zastanawiałam się, czy to możliwe, że na przykład zaraz umrę. Jakże abstrakcyjna była to sytuacja – nastoletni brat mojej koleżanki mógł ot tak odebrać mi życie.

– Dlaczego... – zaczęłam, żeby przerwać ciszę, ale Jerry prawie podskoczył z oburzenia.

– Nie odzywaj się do mnie, nie odzywaj!

– Dobrze, dobrze. – Uniosłam dłoń, żeby go uspokoić.

Chyba na kogoś czekaliśmy. Jerry co chwila patrzył na swój telefon, a ja byłam coraz bardziej przekonana, że z tej nieuwagi zaraz naprawdę

pociągnie za spust. Drżała mu stopa, a klatka piersiowa unosiła się tak szybko, że chłopak był chyba na skraju ataku paniki.

Biłam się z myślami, bo z jednej strony wierzyłam, że powinnam próbować go zagadać i może jakoś zmusić jego mózg do pracy, tak żeby wyperswadować mu jego plan, ale jednocześnie bałam się to zrobić. Jerry był zbyt rozstrojony emocjonalnie i nie byłam pewna, czy istnieją słowa, które mogłabym wypowiedzieć i nie zdenerwować go jeszcze bardziej.

Jerry coraz częściej zerkał w komórkę i wzdychał. Raz czy dwa razy odchylił głowę do tyłu, a nawet przez moment przestał we mnie celować, żeby nadgarstkiem zetrzeć sobie pot z czoła. Tak wtedy wymachiwał tym pistoletem, że omal sam się nie zastrzelił.

Nikogo tak nie pragnęłam teraz ujrzeć jak Willa czy któregokolwiek z moich braci. Oni jednak wszyscy byli daleko i nawet jeśli po mojej rozmowie z ulubionym bratem któryś z nich zamierzał tu przyjechać, to na pewno nie miało się to wydarzyć w ciągu najbliższych minut. Odetchnęłam głośno, a Jerry zerknął na mnie z irytacją i już otwierał usta, żeby zapewne znowu warknąć coś na mnie, gdy przerwał mu jakiś głos.

– Odłóż broń – zagrmiał. Należał do mężczyzny, który właśnie pojawił się w holu za plecami Jerry’ego.

Natychmiast wychyliłam lekko głowę, żeby go zobaczyć. Był to dorosły facet, o wiele starszy nawet od Vincenta. Onieśmielał swoją sylwetką – umięśniony prawie jak Dylan, ze trzy razy większy od Jerry’ego sprawił, że ten aż skulił się w sobie.

– Ty odłóż! – wrzasnął w odpowiedzi brat Audrey, podskoczywszy. Silił się na odwagę, ale zdradzał go drżący głos. Brzmiał trochę jak dzieciak i zdawał się nie robić żadnego wrażenia na nieznanym.

Gdybym tylko sama miała jakąś broń, mogłabym zaatakować Jerry’ego od tyłu, bo idealnie się teraz ustawił, ale w zasięgu ręki nie było nawet nocnej lampki.

Wielki mężczyzna wywrócił oczami. Namiętnie poruszał zuchwą, chyba dlatego, że żuł gumę i był bardzo skoncentrowany na Jerry’em.

– Synu, moja jedna kula podziurawi cię bardziej niż twój cały magazynek. Nie rób głupot. Odłóż to – powiedział spokojnie, a gdy nie doczekał się

reakcji, dodał: – Jeśli bardzo chcesz, to jasne, możemy sobie postrzelać. Tylko że ja mam kamizelkę kuloodporną. A ty?

Do moich uszu doleciał jakiś dziwny odgłos i dopiero po chwili zorientowałam się, że to dyszenie Jerry'ego. Gdyby nie jego młody wiek, to pewnie już dawno dostałby ataku serca. Odetchnęłam z niewyobrażalną ulgą, gdy Jerry w końcu upuścił broń, mimo iż już od kilku chwil wcale do mnie nie celował. Ta upadła z głośnym stukotem tuż obok jego stóp. Wciąż drżał i miał teraz spuszczoną głowę. Chyba zrozumiał, że poniósł porażkę, wyglądał, jakby zaraz miał się popłakać.

Miałam ochotę zerwać się na równe nogi, biegiem minąć jego i tego faceta i po prostu uciec z tego przeklętego domu jak najdalej, ale zdołałam jedynie podnieść się do klęczek, niepewna, czy wstać, czy lepiej cichutko siedzieć sobie z boku.

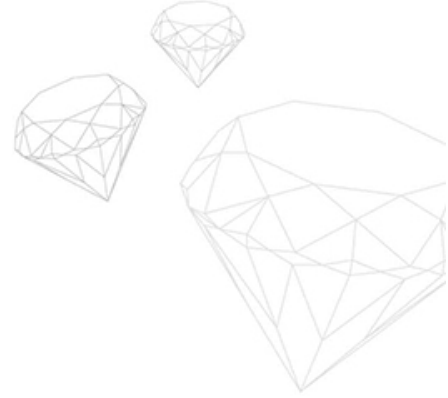
– Unieś ręce do góry i odsuń się od niej – polecił Jerry'emu mężczyzna.

Po tych słowach kamień spadł mi z serca, bo ten facet ewidentnie działał w mojej obronie. Teraz już byłam pewna, że to musi być mój ochroniarz. Zresztą nawet wyglądał jak ktoś taki. Will musiał poprosić go po rozmowie ze mną, żeby tu zajrzał. O Boże, jak dobrze.

Obserwowałam mężczyznę teraz z już większą śmiałością, wyczekując na moment, w którym będę mogła wyrazić mu swoją wdzięczność. Jerry już nie stał pomiędzy nami i ochroniarz nawiązał ze mną kontakt wzrokowy, wciąż mieląc w ustach gumę. Otwierał je właśnie, żeby coś do mnie powiedzieć, gdy nagle jego głowa odleciała do przodu, oczy się rozszerzyły, a wargi pozostały lekko rozchylone w niemym okrzyku. Następnie runął do przodu na ziemię i pozostał na niej bez ruchu, nieprzytomny.

Moje spojrzenie powędrowało na dół, w ślad za nim, a potem natychmiast z powrotem do góry. Próbowałam zrozumieć, co się właśnie wydarzyło. Wzięłam głęboki oddech, jeszcze bardziej przerażona. W drzwiach do pokoju stała Audrey z twarzą wykrzywioną gniewem, strachem i desperacją. Oburącz trzymała kij baseballowy, którym przed chwilą zamachnęła się i powaliła zniecka mojego ochroniarza.

Co ona narobiła.



21

Ładne oczy

Audrey!

– Wszystko okej?! – zapytała, patrząc to na mnie, to na Jerry’ego, który właśnie się prostował, mrugając w oszołomieniu.

Mój wielki ochroniarz leżał na ziemi pokonany przez nastolatkę.

– Nie, nie jest okej! – odpowiedziałam. – Coś ty zrobiła?!

Audrey uniosła brwi, zaskoczona moją wrogością, a Jerry zupełnie nas zignorował, rozglądając się gwałtownie. Jak tylko uświadomiłam sobie, czego szuka, sama oprzytomniałam i się po to rzuciłam. Wcześniej Jerry na rozkaz mojego ochroniarza opuścił pistolet na tyle blisko mnie, że teraz zdołałam dorwać go w swoje ręce przed nim, a on, widząc to, zacisnął ze złością szczękę.

– Hailie? Skąd to masz?! – wrzasnęła Audrey i się poruszyła. Chciała zrobić krok do przodu, ale leżący na drodze ochroniarz jej to uniemożliwił, więc tylko przestąpiła nerwowo z nogi na nogę.

– Właśnie, Hailie, co jest?! – podłapał nagle Jerry i wyciągnął do mnie dłoń. – Lepiej to oddaj, trzeba z tym uważać.

Zrobił krok w moją stronę, a ja się cofnęłam, ale też i w niego wycelowalam. Jerry uniósł ręce, a stojąca z tyłu Audrey wybałuszyła oczy.

– Hailie!

– Nie zbliżaj się do mnie – syknęłam do Jerry’ego.

Opuścił powoli jedną dłoń, żeby poprawić sobie okulary, które na spoconym nosie zjechały mu już bardzo nisko. Cały był czerwony i mokry od potu, jakby właśnie zaliczył trening życia w siłowni. Staralam się panować nad sobą lepiej niż on, gdy trzymał broń, ale niezbyt mi to wychodziło. Też trzęsły mi się ręce, a palce spoczywające na pistolecie sprawiały wrażenie, jakby należały do kogoś innego. Zastanawiałam się, czy wystarczy nacisnąć na spust, by strzelić? Czy może najpierw trzeba tę broń odbezpieczyć, by zadziałała? A jeśli tak, to jak to zrobić? Czy w ogóle są tam w środku naboje? Dlaczego nie znam odpowiedzi na te pytania? Mieszkam w Rezydencji Monetów, gdzie pistolety walają się po kątach, a ja nie mam na ich temat nawet podstawowej wiedzy.

Szybko jednak doszłam do wniosku, że wszystko to było nieistotne, bo ja zwyczajnie nie byłam w stanie strzelić. Nie w człowieka, który stał przede mną, ruszał się i na mnie patrzył. Jerry chyba też to wyczuł, bo powoli, niby to niepozornie, znowu zaczął do mnie podchodzić.

– Hailie, oddaj mu tę broń – powiedziała do mnie Audrey. Brzmiała na przerażoną, ale nie patrzyłam na nią, bo nie odrywałam wzroku od jej brata.

– Nie ma mowy.

– Bo jeszcze zrobisz sobie albo komuś krzywdę. – Jerry przechylił głowę, a mnie niezwykle zirytował jego protekcyjny ton.

– On mnie zaatakował pierwszy! – krzyknęłam do Audrey.

– Co? Jerry?

– Nieprawda – zaprzeczył i wskazał na leżącego wciąż bez ruchu ochroniarza. – Chciałem jej pomóc rozprawić się z tym gościem.

– Nieprawda! To mój ochroniarz, był po mojej stronie!

– Twój ochroniarz? – zdumiała się Audrey. – I co on tu niby robił?

– No mówię, chciał jej zrobić krzywdę. Próbowałem pomóc.

– Kłamie, to Jerry próbował zrobić mi krzywdę! Dosypał nam coś do szampana!

– Co ty gadasz? – prychnął Jerry.

– Okej, stójcie! – wydarła się Audrey. – Po prostu najpierw odłóżcie tę broń, do cholery! Hailie!

– Nie odłożę, bo on ją weźmie!

– Jest jakaś niezrównoważona, mówiłem ci! – zawołał Jerry do siostry, kręcąc głową. – Pozabija nas.

– Ty... – Zabrakło mi słów.

– Hailie, co z tobą? – Audrey patrzyła na mnie zdeglustowana. – Odłóż tę broń.

– Słuchaj, podaj mi ją, to wyrzucę amunicję i będziemy mieć pewność, że nikomu nic się nie stanie, dobra?

– Nie, nie oddam jej w twoje ręce – syknęłam.

– No pozwól mu zrobić z tym porządek! – jęknęła Audrey.

Pokręciłam głową, a łzy spłynęły mi po policzkach. Bolało mnie to, że Audrey patrzyła na mnie z tak wielkim zawodem i niechęcią. Wiedziałam, że musiała sobie o mnie teraz myśleć same najgorsze rzeczy, ale niestety nie mogłam spełnić jej prośby. Jerry próbował nas odurzyć, a mnie przekazać w ręce nie wiadomo kogo. Nie oddam mu do ręki pistoletu.

– Monet jak nic – prychnął Jerry, a ja spojrzałam na niego spode łba. Zapatrzyłam się na jego zakłamaną i nikczemną twarz i przegapiłam moment, w którym Audrey odłożyła kij, kucnęła i spod wielkiego ciała mojego ochroniarza wygrzebała jego pistolet.

– Odłóż tę broń, Hailie – wycedziła chłodno, unosząc go i celując we mnie.

– Audrey? – Zamrugałam.

– Nie wiem, co cię napadło, ale masz oddać Jerry’emu tę broń.

Zacisnęłam palce na uchwycie pistoletu.

– Audrey, ja naprawdę...

– Przestań grozić mnie i mojemu bratu. W tej chwili.

Słyszałam, jak drży jej głos, i widziałam, jak nieumiejętnie trzyma pistolet. Zupełnie jak ja. My, dwie nastolatki, stałyśmy w pokoju gościnnym. Mój ochroniarz leżał na podłodze, Jerry wił się pod wycelowaną przeze mnie w niego lufą, a ja patrzyłam zapłakana na to, jak moja koleżanka, z którą jeszcze przed chwilą śmiałyśmy się z głupot, celuje z kolei we mnie.

– Daj go mnie, Audrey, daj go mnie. – Jerry nie ruszył się z miejsca, ale kiwnął głową na siostrę i dużo większy pistolet mojego ochroniarza, który trzymała.

– Niczego mu nie dawaj, Audrey.

– Nie słuchaj jej, Audrey.

– Jego nie słuchaj! Audrey, wiem, najlepiej zadzwoń na policję! – zaproponowałam cała rozdygotana.

Audrey najwidoczniej wzięła ten pomysł pod uwagę, bo nawet rozejrzała się za telefonem, ale Jerry ponownie wtrącił swoje trzy grosze.

– Nie! No co ty, nie dzwoń nigdzie, Monetowie mają całą policję w kieszeni!

Przymknęłam powieki na widok zmarszczonych brwi swojej koleżanki. Ona naprawdę wierzyła swojemu bratu.

– Daj mi to, Audrey – ponaglił ją znowu, tym razem otwarcie wyciągając rękę po broń i coraz bardziej mnie lekceważąc.

Zdawał sobie sprawę, że raczej nie strzele, i miał rację.

– Lepiej będzie, jeśli jednak podasz to mnie, dobrze? – odezwał się Will zza pleców dziewczyny.

Na widok mojego brata prawie padłam z powrotem na ziemię, tak bardzo szczęśliwa, że on tutaj dotarł. Ubrany był w garnitur, a swoje bystre spojrzenie wbijał w dłonie Audrey, gdy delikatnie wyciągał z nich broń. Ona nie stawiała oporu, nagle poblądła jeszcze bardziej. Jerry natomiast zrobił kilka kroków w stronę przeciwną do Willa, krzywiąc się z żalością na jego widok.

Kolana mi zmiękły jeszcze bardziej, gdy tylko zobaczyłam, że tuż za Willem do pokoju wszedł Vincent. Jego lodowate spojrzenie natychmiast zatrzymało się na mojej postaci. Przez ułamek sekundy zdawał się chyba zaskoczony, a potem jego wzrok napotkał pistolet, którym nieświadomie

celowałam teraz prosto w jego klatkę piersiową. Mój mózg wołał do mnie, żebym opuściła broń, że to mój brat, że on mnie uratuje i wszystko będzie dobrze, ale wydarzyło się za wiele rzeczy, żebym tak po prostu teraz go posłuchała. Oszołomiona gapiłam się na niego, a ręce mi dygotały.

– Odłóż to – powiedział do mnie łagodnie, zbliżając się powoli, a do moich oczu napłynęły łzy, bo zaczęłam rozumieć, że to już chyba koniec, i ulga rozpoczęła zalewać mojego ducha. W życiu nie potrafiłabym skrzywdzić Vincenta, nie miałam nawet takiego zamiaru. Nie wiem, czemu moje zeszywniałe ciało nie potrafiło zrozumieć, że czas odpuścić.

Vince nie wyglądał na zachwyconego faktem, że nie wykonałam jego polecenia, ale ruszył w moją stronę bez wahania, nie przerywając kontaktu wzrokowego. Im bliżej był, tym wyżej musiałam zadzierać głowę. Gdy stanął tuż przede mną, przełknęłam ślinę, bo powoli docierało do mnie to, że nigdy nawet nie potrafiłam mu odpyskować, a teraz jednym strzałem z tak bliskiej odległości mogłabym go zabić.

Mój brat wyciągnął mi pistolet z rąk, tak zwyczajnie, jakby przejmował ode mnie pilota do telewizora. Następnie sprawnym ruchem go rozbroił. Amunicja z przytłumionym grzechotem wyleciała na pokrytą wykładziną podłogę. Samą nienabitą już broń odrzucił obojętnie na łóżko. Następnie położył jedną dłoń na moim ramieniu i uważnie zbadał wzrokiem moją twarz i całe ciało.

– Nic ci się nie stało? – zapytał.

Pokręciłam głową, a kilka moich łez spadło na jego lśniące buty. Spodziewałam się, że jest na mnie wściekły, jeśli nie za samo trzymanie pistoletu, to chociaż za to, że do niego celowałam, ale on mnie po prostu przytulił. Jedną ręką oplótł moje ramiona, a drugą dłonią przycisnął moją głowę do swojej piersi. Jego gest bardzo mnie zaskoczył, ale przyjęłam go z natychmiastową wdzięcznością, bo tylko zapłakałam raz jeszcze i straciłam nad sobą kontrolę. Byłam teraz jak szmaciana lalka, która runęłaby na podłogę, gdyby on się ode mnie odsunął.

Pocałował mnie w czubek głowy. Tak jak nieraz robił to Will. Vince nigdy nie okazywał mi uczuć, na pewno nie w taki sposób, więc podwójnie doceniłam ten gest. Nie zachowywałby się tak, gdyby był na mnie zły, prawda?

Chciałam trwać w tym uścisku na zawsze, ale choć był on niezwykle przyjemny, to niestety krótki, jak przystało na każdy moment bliskości, który kiedykolwiek dzieliłam z Vince'em. Następnie odchrząknął, zwracając tym uwagę wszystkich w pokoju.

– Musimy wyjaśnić sobie kilka rzeczy – przemówił.

Wtedy zauważyłam, że w drzwiach pojawiał się Dylan. Zaalarmowany uważnie obserwował scenę, jaka się tu rozgrywała, zerknął też przelotnie na mnie i zatrzymał się na Jerrym. Nad nieprzytomnym ochroniarzem pochylał się jakiś mężczyzna przybyły z moimi braćmi i właśnie badał mu puls. Will natomiast zerkał na Audrey, która z emocji nagle pozieleniała na twarzy i zwymiotowała tuż przy jego stopach.

Will przymknął oczy i się cofnął, a potem obrzucił szybkim spojrzeniem swoje buty i następnie lekko objął dziewczynę ramieniem, żeby zaprowadzić ją do najbliższej łazienki, która znajdowała się przy pokoju gościnnym. Bardzo jej współczułam, że tak źle się poczuła, i to jeszcze na oczach wszystkich. Mnie również było niedobrze.

– Przejdźmy do innego pomieszczenia, trochę tutaj... tłoczno – zarządził dyplomatycznie Vincent.

Wszyscy zaczęli marszczyć nosy, bo w ciepłym pomieszczeniu zapach świeżych wymiocin rozchodził się bardzo szybko.

– Ty, prowadź nas gdzieś, gdzie jest więcej miejsca, panie gospodarzu – warknął Dylan na Jerry'ego i nawet zbliżył się do niego specjalnie, żeby szarpnąć go za koszulkę.

Jerry prawie się wywrócił, ale jakoś udało mu się utrzymać równowagę i pobiegł w stronę kuchni, a my wolniejszym krokiem podążyliśmy za nim. Jak się okazało, nie było obaw, że chłopak zwieje, bo w domu Audrey kręciło się mnóstwo obcych mężczyzn, którzy najwyraźniej przyjechali tu jako obstawa moich braci. Większość z nich tłoczyła się w korytarzu, ale ktoś schodził nawet właśnie z piętra. Ktoś inny wychylił się zza drzwi salonu i rzucił, że jest tam nieprzytomna dziewczynka.

Audrey wciąż walczyła z mdłościami w łazience i tam ją zostawiliśmy pod okiem mężczyzny, który wcześniej pomagał ocucić ochroniarza. To był chyba lekarz, sądząc po zadaniach, jakie mu przydzielano. Cóż, najwyraźniej

był skuteczny, bo mój ochroniarz już się ocknął; siedział teraz pod ścianą, masując sobie tył głowy.

Vincent trzymał mnie blisko siebie, gdy przechodziliśmy za Jerry'ym do kuchni. Spoglądałam na wszystkich tych mężczyzn zdziwiona, jak liczna była grupa, którą przyprowadzili tu ze sobą moi bracia. W kuchni Vince usiadł sobie wygodnie na krześle, odsunawszy najpierw jedno dla mnie. Dylan przysiadł na stołku przy barku i otworzył sobie puszkę napoju, która stała obok, przez cały czas nie spuszczać z Jerry'ego oczu. On przystanął w kącie, jakby szukając tam schronienia przed moimi braćmi. Will oparł się o ścianę tuż przy korytarzu i założył ręce na piersi. Wszyscy byli poważni, w powietrzu wisiało coś ciężkiego.

– Dobrze więc, porozmawiajmy o tym, co się tutaj tej nocy wydarzyło, bo wciąż nie do końca rozumiem – zaczął Vincent swoim oficjalnym tonem.

Wyraźnie oczekiwał wyjaśnień od Jerry'ego, ale ten nie kwapił się do mówienia, delikatnie więc zasugerował, żebym to ja przejęła pałeczkę. Opowiedziałam o początku imprezy, o tym, jak się z dziewczynami dobrze bawiłyśmy, a potem o tym, jak Jerry zaproponował nam alkohol.

Rozległ się hałas, gdy Dylan zgniótł w dłoni pustą już puszkę.

– Miałeś się nimi opiekować, do cholery – warknął Will do Jerry'ego. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam go tak złego.

– Myślę, że czegoś nam dosypał – wymamrotałam. Przyglądałam się Jerry'emu z nieskrywaną niechęcią. Budził we mnie odrazę. On naturalnie unikał mojego spojrzenia. Kontynuowałam opowieść o tym, jak dziewczyny zasnęły jedna po drugiej, a ja zostałam przytomna, bo nie wypiałam zawartości swojego kieliszka. Widziałam aprobatę, która błysnęła w oczach każdego z trzech moich obecnych tu braci.

– To było bardzo odpowiedzialne z twojej strony – pochwalił mnie Will.

– A z twojej to było w chuj głupie – dodał Dylan i zsunął się ze stołka, ruszając w stronę Jerry'ego. Strzelił też kłykciami i aż się wzdrygnęłam, słysząc ten nieprzyjemny odgłos.

– Nie wiem tylko, jak to się stało, że Audrey się przebudziła... – dokończyłam, marszcząc brwi.

– Może też nie wypić wszystkiego albo Jerry zadbał, żeby dostała mniej środków nasennych – zasugerował Will. – Hm, Jerry? Powiedz nam, zlitowałeś się nad własną siostrą i podałeś jej mniejszą dawkę?

Jerry patrzył w podłogę, bo widoczność przesłaniał mu ze trzy razy większy od niego Dylan, ale ledwo zauważalnie pokiwał głową.

– Normalnie brat na medal – skomentował Dylan i zanim ktokolwiek zdążył mrugnąć, uniósł pięść i uderzył Jerry’ego prosto w twarz. A potem jeszcze raz. I znowu.

Odwróciłam głowę w drugą stronę. Nikt nie rwał się, żeby pomóc Jerry’emu. Nie powiem, sama byłam na niego zła i uważałam, że po tym, co przez niego przesłam, należy mu się lanie, ale może... może już wystarczy? Nie czułam się komfortowo, gdy patrzyłam, jak moi bracia się biją.

Jerry potrafił tylko jęczeć i chyba raz spróbował oddać cios, ale zrobił to zbyt nieudolnie, by w jakikolwiek sposób zaszkodzić Dylanowi. Przez resztę czasu starał się zasłaniać i nawet to niezbyt dobrze mu wychodziło, bo w pewnym momencie usłyszałam trzask i zerknęłam na twarz Jerry’ego, któremu ze złamanego teraz już nosa spływała krew, a pod okiem formowała się okropna czerwona śliwa. Długo nie trzeba było czekać, aż pięść Dylana rozwali mu też wargę tak, że teraz była rozcięta i dziwnie napuchnięta. Wyglądał okropnie. I nikt Dylana nie zatrzymywał. Nawet ja. Mimo wstrętu, jaki czułam do przemocy, nie potrafiłam na nią zareagować inaczej. Krzywiłam się i jednocześnie odczuwałam w środku małą satysfakcję, że Jerry dostaje za swoje. Zasługiwał na to, żeby mój brat go sprął.

– Stój!

A jednak wreszcie ktoś stanął w jego obronie.

Przeniosłam wzrok z kulącego się Jerry’ego na Audrey, która stanęła w drzwiach kuchni. Była wymizierowana na twarzy i miała poplątane włosy, trzymała się framugi, z przerażeniem w oczach patrząc na scenę, która rozgrywała się pomiędzy naszymi braćmi.

– Audrey... – szepnęłam, ale chyba zbyt cicho, by ktokolwiek mnie usłyszał. W pewnym momencie ruszyła w stronę Dylana i Jerry’ego, ale Will złapał ją za ramię. Próbowwała mu się wyrwać i nie mogła, bo był zbyt silny. Skąd ja to znam.

– Zostaw go! – wrzasnęła, piorunując wzrokiem Dylana, który uderzył Jerry’ego po raz kolejny, a ten po raz kolejny zaproteutował jękiem.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Vince nawet na nią nie patrzył. Will nic sobie nie robił z jej szarpaniny.

A ja zrozumiałam właśnie, że to musi być dla niej strasznie nieprzyjemny widok. Ktoś tłucze jej brata na jej oczach. Zreflektowałam się natychmiast. Musiałam coś zrobić.

– Dylan – szepnęłam. Chyba nawet nikt mnie nie usłyszał, więc odchrząknęłam i powtórzyłam głośniej: – Dylan, przestań, proszę.

Tym razem zobaczyłam, że się zawahał, więc mój głos na pewno dotarł do jego uszu, ale mimo to niespecjalnie chciał przerywać okładanie Jerry’ego. Spojrzałam więc znacząco na Vince’a, wiedząc, że jedno jego słowo potrafiłoby zatrzymać naszego narwanego brata. Ale on tylko niewzruszenie obserwował błagającego teraz o litość i leżącego na ziemi Jerry’ego.

Pozostała mi jeszcze ostatnia opcja. Obróciłam głowę w stronę Willa, prosząc go spojrzeniem, by stanął po mojej stronie. On je odwzajemnił. Nie był tak obojętny, w każdym razie nie na moje prośby. Ależ cudowne były te jego oczy! Wszyscy moi bracia mieli ładne oczy, ale te Willa były najpiękniejsze, bo widać w nich było dobro. Przynajmniej wtedy, gdy patrzyły na mnie.

– Will, proszę, to brat Audrey...

Will usłyszał żal, który krył się w moich prostych słowach. On rozumiał mnie jak nikt inny i pokiwał wolno głową.

– Dylan, wystarczy – przemówił głosem pełnym autorytetu, którego używał rzadko, a którym musiał w tym wypadku się posłużyć, by dotrzeć do naszego pogrążonego w transie brata.

Dylan zatrzymał się niechętnie, wciąż zaciskając jedną rękę na kołnierzu koszulki Jerry’ego, który był już półświadomy. Wyglądał, jakby zaraz miał dołączyć do grona osób, które tej nocy straciły pod tym dachem przytomność. Dylanowi chyba jeszcze było mało, bo spojrzał na Vincenta, szukając u niego przyzwolenia do kontynuowania swojego rękoczynu. Ja również wbiłam

spojrzenie w swojego najstarszego brata, próbując siłą umysłu wymusić na nim podjęcie właściwej decyzji.

Vince ledwo zauważalnie pokręcił głową. Wtedy Dylan z widoczną niechęcią puścił Jerry'ego, który już opadł bezwładnie na ziemię, zakrywając swoją okropnie potłuczoną twarz rękoma, skomląc i lamentując cicho. Dylan zaś jak gdyby nigdy nic podszedł do zlewu i nie dbając o to, że brudzi kran, odkręcił wodę i opłukał sobie ręce z krwi swojej ofiary.

Do Jerry'ego natychmiast podbiegła Audrey – jedyna osoba, która w tej chwili miała dla niego litość. Will najwyraźniej uznał, że już nie musi jej powstrzymywać, i ją puścił.

Audrey płakała. Nie wiedziała co robić, chciała pomóc Jerry'emu, jakoś mu ulżyć, ale nie potrafiła.

– Wyńście się stąd wszyscy! – zawyła, klęcząc nad nim i rozglądając się z nienawiścią wkoło.

Nikt się nie poruszył, a Dylan z powrotem zajął stołek za barkiem.

– To mój dom, wyńście się! – wrzasnęła znowu.

Ja także chciałam, żeby wszyscy stąd wyszli. Bardzo jej współczułam i chciałam jej pomóc. Trzeba było opatrzyć Jerry'ego, no i posprzątać. Jutro mieli wrócić jej rodzice, a w jednym z pomieszczeń w jej domu znajdowała się kałuża krwi, w innym alkoholu, a jeszcze innym – wymiocin.

Wstałam od stołu i ruszyłam w jej stronę, ignorując fakt, że wszyscy mi się przyglądali. Podeszłam do Audrey i ukucnęłam przy niej, obejmując jedną ręką jej ramiona.

– Nie dotykaj mnie! – syknęła, odpychając mnie o wiele agresywniej, niż kiedykolwiek bym się tego po niej spodziewała. Straciłam równowagę i poleciałam do tyłu, patrząc na nią zszokowana.

– Audrey...

– Zabieraj stąd swoich braci i won z mojego domu!

Przełknęłam ślinę, czując, jak palą mnie policzki. Znowu chciało mi się płakać. Audrey wstała, złapała za kuchenną ścierkę i zmoczyła ją, a potem kucnęła z powrotem przy Jerrym i zaczęła zmywać krew z jego twarzy. Przyglądałam się temu przez chwilę w milczeniu, a potem zrobiłam jedyną rzecz, jaką w tym momencie mogłam, żeby jej pomóc. Odepchnęłam się od

podłogi i podniosłam powoli. Podeszłam do Willa, który spośród tu obecnych był najbardziej skłonny spełniać moje prośby, obiema rękoma złapałam za jego marynarkę i spojrzałam w górę na jego twarz.

– Proszę, chodźmy stąd.

Will znowu mnie nie zawiodł. Skinął głową, pogłaskał mnie po włosach i zerknął na naszych braci. Chyba doszli do milczącego porozumienia. Will polecił mi zabrać swoje rzeczy, co zrobiłam, wyrażając po drodze zaniepokojenie o Monę. Uspokoił mnie lekarz, który przyjechał tu z chłopakami. Obejrzał ją i zostawił przy niej aspirynę, bo przewidywał, że obudzi się z bólem głowy, ale poza tym nie powinna mieć większych zmartwień. Audrey potwierdziła zaś szorstkim głosem, że jej przyjaciółka nadal jest, oczywiście, u niej mile widziana.

Opuściłam jej dom wraz z Willem, który mi obiecał, że pozostali też niedługo z niego wyjdą. Vincent chciał jeszcze zadać Jerry’emu kilka pytań, ale nie zdradził mi konkretnie jakich.

– Malutka, jestem z ciebie bardzo dumny – powiedział do mnie Will, gdy siedzieliśmy już w aucie.

Uśmiechnęłam się smutno.

Zrobiło mi się miło, ale tylko na chwilę, bo wiedziałam, że najprawdopodobniej właśnie straciłam jedną ze swoich nielicznych koleżanek.

No i przeżyłam właśnie najgorszego sylwestra w życiu.



22

Dziadek Vince

Gapiałam się na swoje odbicie w lustrze.

Moja twarz wyglądała na zaskakująco wypoczętą. Spałam prawie dwanaście godzin. Gdy się obudziłam, trudno było mi uwierzyć, że wydarzenia z ostatniej nocy to nie był tylko zły sen. Długi prysznic, który wzięłam, sprawił, że mój umysł otrzeźwiał na tyle, by przypomnieć sobie każdy potworny szczegół z poprzedniego wieczora.

Skończyłam właśnie suszyć włosy. Ależ mi urosły. Teraz były świeże, rozpuszczone i idealnie proste. Mogłabym z nimi zrobić wiele rzeczy, ale postanowiłam zostawić je w spokoju. Ubrałam się w dresy, bo zamierzałam się dziś relaksować, choć mój wymęczony umysł mi na to nie pozwalał.

Co chwilę sprawdzałam telefon. Wysłałam kilka wiadomości do Mony z pytaniem o jej samopoczucie, ale długo mi nie odpowiadała. Zgadywałam, że zanim się obudziła, a potem zorientowała się, że wszystko to, co opowiada jej Audrey, nie jest wcale żartem, minęło dużo czasu i potrzebowała oswoić się z aktualnym stanem rzeczy. Wyskrobałam też jakąś nędzną wiadomość do samej Audrey, ale jak można się było domyślać, zignorowała mnie.

No to fajnie było mieć przez chwilę koleżanki.

Usadowiłam się w salonie z książką w ręku, ale nie zdążyłam przeczytać nawet jednej strony, gdy znaleźli mnie tu moi bracia. Natychmiast wzięli mnie w obroty i wydusili ze mnie każdy najmniejszy nawet szczegół z ostatniej nocy. Tym razem nie zabrakło też Shane'a i Tony'ego. Po sylwestrowej zabawie byli skacowani i niemrawi, ale ożywili się, gdy opisywałam, jak Jerry celował do mnie z pistoletu.

Dylan mnie przerażał, bo w czasie mojej opowieści co chwila przysiadł gdzieś tylko po to, żeby zaraz ze złością się podnieść, wzburzonym krokiem przejść się dookoła i często też wtrącić coś przy tym z furją. Pamiętałam, że jego wiecznie zaciśnięte w pięści dłonie wczoraj zlały Jerry'ego prawie do nieprzytomności.

A myślałam, że to Tony ma problem z agresją.

On nie zerknął na mnie ani razu, przynajmniej nie wtedy, gdy ja patrzyłam na niego. Widziałam za to, jak zaciska szczękę, zwłaszcza gdy wspominałam, jak podczas mojej pierwszej wizyty u Audrey Jerry skarżył się właśnie na niego.

– Nie wiem nawet, który to ten Jerry – mruknął, zapytany o komentarz.

– Czekał... – Shane szturchnął swojego bliźniaka w ramię. Obaj marszczyli brwi w identyczny sposób. – Ty, a to nie ten taki chudy nerd, co to nawet bycie nerdem mu nie wychodzi, bo słabo się uczy?

– Aaa... ten, co nie trafia do pisuaru? – parsknął Tony i błysnął zębami w uśmiechu.

– Ta!

– Mam nadzieję, że dobrze się bawicie – warknął Vincent, swoim lodowatym głosem ucinając kpiny bliźniaków. – Ostatniej nocy ten chłopak mścił się na naszej siostrze.

Spuściłam wzrok, a oni spowaznieli.

– Idioci. – Dylan pokręcił głową i wskazał na mnie palcem, huknąwszy nagle: – Groził jej bronią!

– Skąd mieliśmy wiedzieć, że to niezrównoważony psychicznie śmieć? – oburzył się Shane.

– Może na przyszłość po prostu zastanówcie się dwa razy, zanim dokuczycie jakiemuś przypadkowemu dzieciakowi w szkole, co? – wtrącił

się Will, który stał przy kanapie u mojego boku. Cieszyłam się, że na wszelki wypadek mam go na wyciągnięcie ręki. – Nigdy nie wiadomo, co siedzi ludziom w głowach.

Sama poczułam się niekomfortowo na widok reszty braci, którzy swoimi pełnymi dezaprobaty spojrzeniami piorunowali właśnie bliźniaków.

– Ale Jerry nie działał sam, prawda? – odezwałam się, miętoląc w palcach koc, którym się okrywałam. – Dzwonił do kogoś, potem chyba pisał. Czekał.

– Zgadza się – przyznał niechętnie Will i dodał szybko: – Ale niczym się nie przejmuj, malutka.

– Wiadomo, dla kogo pracuje?

– Jeszcze nie. Ten chłopak sam nie ma pojęcia, z kim się kontaktował. Ta osoba bardzo pilnowała, żeby nie zdradzić swojej tożsamości.

Dylan, który przed sekundą przysiadł na oparciu fotela, znowu zerwał się do pozycji stojącej.

– I słusznie, bo jak się dowiem, kto to, to...

– Nic nie zrobisz – przerwał mu Vincent. Poczęstował go też znaczącym i surowym spojrzeniem, a następnie zwrócił się do reszty, łącznie ze mną: –

Osoba, która za tym stoi, jest mądrzejsza od tego nastoletniego chłopca. Dowiemy się, kto to, ale żadne z was nie ma prawa działać na własną rękę. Wasze bezpieczeństwo, szczególnie twoje, Hailie, jest priorytetem.

Nieprzyjemnie mi się tego słuchało, więc okryłam się ciaśniej kocem i wodziłam wzrokiem po podłodze, nie mogąc uwierzyć, że jeszcze jakiś czas temu Vincent napomknął o ewentualnym porwaniu, a teraz rzeczywiście ktoś próbował mi to zrobić. Przypomniało mi się też, jak mój najstarszy brat powiedział, że zareaguje, gdy komuś uda się mnie porwać, i podniosłam na niego zaalarmowana wzrok.

– Co będzie z Jerrym? – zapytałam.

Vince odwzajemnił moje spojrzenie.

– Co ma z nim być?

– To brat... mojej koleżanki.

– To śmieć – wtrącił Shane.

- Ale...
- Jerry dostał propozycję dożywotniego opuszczenia stanu – odpowiedział spokojnie Vincent.
- Zmarszczyłam brwi.
- Czekaj, czyli kazałeś mu się wyprowadzić?
- Skinął sztywno głową.
- Ale... on przecież chyba nie ma jeszcze osiemnastu lat!
- Osiągnie pełnoletność w tym roku, da sobie radę do tego czasu.
- Ale ma tu rodzinę, dom...
- Skoro jest taki zżyty z rodziną, to na pewno pomogą mu przetrwać, dopóki nie znajdzie sobie roboty – burknął Dylan.
- A szkoła? – ciągnęłam przejęta. – Nie skończył nawet szkoły.
- Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.
- Co ty, mamy go wygnać po tym, jak skończy liceum, studia i znajdzie superpracę? To nie koncert życzeń, dziewczynko. Typ próbował cię skrzywdzić, więc niech stąd lepiej spierdala i cieszy się, że ma do dyspozycji obie nogi, bo jakby to ode mnie zależało, tobym mu je ujechał już wczoraj.
- Dylan, słownictwo – syknął Vincent i odwrócił się do mnie. – Nic mnie nie obchodzi edukacja tego chłopca, Hailie. Mając na uwadze wagę jego przewinienia, wygnanie ze stanu to luksus. Teraz albo stoczy się na margines społeczny, albo weźmie w garść, poniesie konsekwencje swoich idiotycznych błędów i może jeszcze uda mu się uratować swoje życie przed kompletną porażką.
- Zakładam pierwszą opcję – mruknął Shane.
- Vincent wzruszył ramionami.
- Jak mówiłem, nie interesuje mnie to.
- To brat Audrey – szepnęłam cichutko.
- Zajebisty brat, który naćpał swoją młodszą siostrę i jej koleżanki – prychnął Dylan.

Znowu spuściłam wzrok, ale zaraz go uniosłam na Willa, gdy poczułam jego rękę na ramieniu.

– Powtórzę to raz jeszcze. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni, że nie wypijałaś tego szampana, malutka. Być może dzięki temu uratowałaś sobie życie.

– Nie no – zaczął Shane i zdawało mi się, że głos trochę mu zadrżał. Wielkimi oczami patrzył po twarzach braci i mrugał częściej, niż powinien.

– Przecież nic by jej nie było, co nie? Nic by się jej nie stało. To znaczy sprawy by się skomplikowały, jasne, ale to nie tak, że... mogłaby umrzeć. Nie wiadomo, czego od niej chcieli, no i ten... miała ochroniarza, nie?

– Ochroniarza! – parsknął prześmiewczo Dylan i zaczął klaskać. – Świetny ten ochroniarz, prawdziwy bohater. Brawo!

– No zajebał się w akcji akurat...

Shane wzruszył ramionami, a Dylan przestał klaskać i wychylił się do przodu.

– Załatwiła go nastolatka! Kijem baseballowym! – wydarł się. – Wyrąbałbym go ze stanu razem z tym powalonym Jerrym!

– Dobrze, Dylan, dziękujemy za tę opinię – odezwał się wreszcie Vincent, chyba skłonny przerwać te wymykające się powoli spod kontroli krzyki. Pomasażował sobie grzbiet nosa i podjął wątek: – Ochroniarz, naturalnie, stracił pracę. Przydzielę ci, Hailie, nowego. Tak jak do tej pory, będzie ci towarzyszył, gdy jesteś poza domem i nie w szkole.

Pokiwałam głową. Po ostatnich wydarzeniach nie byłam negatywnie nastawiona wobec idei posiadania ochroniarza. Mogłabym może mieć i ze dwóch.

– Myślę, że na razie możemy zakończyć tę rozmowę – zapowiedział Vincent i podniósł się powoli. On i Will wyróżniali się spośród nas, bo obaj mieli na sobie dopasowane garnitury. Eleganccy jak zawsze. – Uważajcie na siebie wszyscy. Zwłaszcza ty, Hailie. A póki co, nie panikujmy i żyjmy normalnie.

Moi bracia pokiwali głowami, a ja razem z nimi.

– Hej, skoro żyjemy normalnie, to ta rezerwacja na jutro jest aktualna? – zapytał Shane, trochę się odprężwszy. Tony schylił się, by sięgnąć po dwa

pady od PlayStation, które leżały rozrzucone pod wiszącym w ramie telewizorem.

Vince wywrócił oczami i wyszedł z salonu bez słowa, ale Will uśmiechnął się lekko i skinął głową.

– Oczywiście.

– Jaka rezerwacja? – zapytałam cicho, gdy i on już nas opuścił.

Shane mrugnął psotnie, rozsiadając się w fotelu ze swoim padem, podczas gdy Tony zaczął uruchamiać grę.

– W restauracji. Vince ma jutro urodziny.

Obróciłam się w stronę wyjścia salonu, tam gdzie zniknął Vince, jakbym nagle musiała zobaczyć go na własne oczy raz jeszcze i upewnić się, że ktoś taki jak on naprawdę może obchodzić tak przyziemne święto jak własne urodziny. Wydało mi się to jakoś dziwnie urocze.

Chwilę później z salonu wypłoszyły mnie głośne dźwięki gry bliźniaków. Najpierw zastanawiałam się, czy może nie zrelaksować się w stylu braci Monet i nie wypróbować wreszcie sauny w sportowej części rezydencji, ale gdy pomyślałam, ile kosztowałoby mnie to zachodu, zdecydowałam się jednak tradycyjnie wrócić do czytania swojej książki. Uciekłam więc do biblioteki, gdzie spędziłam czas aż do wieczora.

Ani Audrey, ani Mona do końca dnia mi nie odpisały i już trochę pogodziłam się z myślą, że straciłam nowe koleżanki. Jeśli Monetowie naprawdę wykopali Jerry'ego z Pensylwanii, to Audrey mogła nie znieść tego dobrze. Oczywiście najwidoczniej umknął jej fakt, że jej brat nie pozostawał bez winy, ale czy mogłam mieć jej to za złe? Samej trudno mi było otwarcie krytykować własne rodzeństwo, które też, cholera wie, co ma za uszami...

Gryzłam się tak tym wszystkim przez cały czas i następnego dnia wcale nie czułam się lepiej. Nie miałam ochoty jechać do restauracji i pewnie próbowałabym się jakoś od tego wymigać, gdyby nie to, że okazją były urodziny Vincenta. No a według tradycji Monetów najodpowiedniejszym prezentem, jaki mogłam mu dać, był czas.

Chłopcy zrobili rezerwację w restauracji, którą już poznałam – tej pełnej przepychu, do której zabrali mnie na kolację integracyjną. Jedyne, co wtedy

zapamiętałam, to że było tam bardzo luksusowo, spróbowałam więc ubrać się elegancko. To było wyzwanie, bo w mojej szafie przeważały dresy i mundurki, ewentualnie kilka swetrów. Moja jedyna odświętna sukienka została już przeze mnie raz założona, i to właśnie na wyjście do tej konkretnej restauracji. Byłam prawie pewna, że nikt by nie zauważył, gdybym ubrała się tak samo, ale żeby poprawić sobie samopoczucie, zdecydowałam się na inny strój.

Z wahaniem wybrałam żółtą sukienkę w drobną białą kratkę. Brak przekonania do tego ubioru wynikał z faktu, że była to sukienka w stu procentach letnia, a ja na siłę starałam się dobrać do niej akcesoria tak, żeby pasowała na okazję styczniową. Zarzuciłam na ramiona luźny biały sweter i obróciłam się przed lustrem, z zaskoczeniem stwierdzając, że nie wyglądałam aż tak źle. Co prawda cieliste rajstopy średnio pasowały do takiej raczej wakacyjnej kreacji, ale ja naprawdę nie miałam w czym wybierać, cieszyłam się więc, że w ogóle coś znalazłam. Przed wyjściem jeszcze odwróciłam się przed lustrem i upewniłam się, że nie widać mi majtek.

Zagryzłam wargę i naciągnęłam materiał, a potem jeszcze bardziej, i stawiając ostrożne kroki, zeszłam na dół. Wsunęłam na stopy półbuty, coraz bardziej świadoma tego, jak niedoskonale mój wyjściowy strój się prezentuje. Drzwi do garażu były otwarte, więc chwyciwszy jeszcze w przelocie płaszcz, weszłam tam i od razu zostałam przywitana słowami Shane'a:

– Przebierz się.

Opierał się o czarne auto Vincenta i grzebał w telefonie. Ubrany był w klasyczny garnitur. Dlaczego mężczyznom tak niewiele trzeba, żeby wyglądać elegancko? Nawet gdyby nie wypowiedział tych słów, i tak poczułabym się przy nim brzydko, co nie znaczy, że mnie nie zaskoczył swoją bezpośrednią uwagą. Totalnie zbита z pantałyku odwróciłam się nawet, żeby sprawdzić, czy może nie mówi tego do kogoś, kto stał za mną.

– Mówię do ciebie, Hailie. Idź się przebierz.

Następnie pomyślałam sobie może, że żartuje, ale miał zupełnie poważny wyraz twarzy.

– Dlaczego?

– Bo jest za krótka.

– Co?

– Sukienka – telefonem wskazał na jej dolną część – jest za krótka.

Spojrzałam w dół, zamrugałam i podniosłam głowę z powrotem.

– Mam ją od dawna. Przechodziłam w niej całe zeszłe lato.

Shane więcej się nie odezwał, ale do garażu wkroczył właśnie Vincent. Szedł w naszą stronę z kluczykami od auta w ręku i patrzył na mnie intensywnie. Byłam pewna, że słyszał naszą wymianę zdań. Co więcej, najwyraźniej podzielał opinię Shane'a. Milczał, ale jego spojrzenie mówiło wszystko. Spuściłam głowę i ruszyłam z powrotem do domu.

Żeby wyrazić wściekłość, od której aż buzowałam, wchodziłam po schodach, stawiając przesadnie głośne kroki. Moja sukienka była obcisła i króciutka, to fakt, ale żeby od razu ją tak zdyskwalifikować? Jechaliśmy do restauracji, nie do klubu nocnego. Przez większość czasu miałam siedzieć przy stole. Cóż za bezsens.

Stałam ponownie przed garderobą i westchnęłam głośno. Naprawdę, gdyby to nie były urodziny Vincenta, to bez skrpułów wymówiłabym się od tego wyjścia złym samopoczuciem. Chciało mi się płakać, bo nie miałam co na siebie włożyć. Shane i Vince kręcili się już na dole ubrani jak gwiazdorzy, a ja właśnie sięgałam po tę samą granatową sukienkę, którą włożyłam ostatnim razem. Po prostu nie miałam innego wyboru. Poza nią najbardziej odświętną rzeczą w mojej szafie był chyba mundurek.

Przełknęłam w gardle gulę o smaku goryczy. Teoretycznie było mi obojętne, jak wyglądam, bo wiedziałam, że i tak nie mam szans dorównać stylem braciom Monet. Ale bycie zmuszoną do założenia tej samej sukienki na drugie nasze wspólne wyjście teraz jakoś dziwnie mnie dotknęło. I to jeszcze w takich okolicznościach, gdy mój pierwszy wybór został tak bezpardonowo odrzucony.

Zatrzymałam się na chwilę, by nałożyć błyszczki. Na co dzień się nie malowałam, nie miałam nawet zbyt wielu kosmetyków, liczyłam więc, że może chociaż ten błyszczki zrobi jakąś różnicę, ale tak się nie stało. Co więcej, poczułam się dziwnie nieswojo i ostatecznie wróciłam się do łazienki, żeby zetrzeć go z ust chusteczką.

Gdy po raz drugi wkraczałam do garażu, towarzyszyli mi Will i zapach jego mocnych perfum, który wyczułam już na schodach. Tuż za nami podążał Dylan, zarzucając na swoje szerokie plecy marynarkę. Vincent właśnie kończył rozmawiać przez telefon. Już myślałam, że znowu się do mnie przyczepi, bo spojrzenie, które mi rzucił, było chyba jeszcze bardziej uważne i przeszywające niż wcześniej. Z przyjemnością schowałam się przed nim w aucie.

– Ej, nie masz o co się obrażać, Hailie. Tamta sukienka była po prostu nieodpowiednia – powiedział do mnie Shane, który jak na złość dołączył do mnie na tylnym siedzeniu samochodu Vincenta. Nachylił się lekko i dodał: – Ale ta za to jest śliczna.

Odetchnęłam. Ucieszył mnie ten komplement, nawet jeśli nie był do końca szczery. Kątem oka zerknęłam na jego szyty na miarę garnitur. Na pewno nie był szczery.

Nachmurzyłam się jeszcze bardziej.

– Co takiego nieodpowiedniego w niej było?

– Mówiłem ci: była za krótka. Nie powinnaś nosić takich ubrań.

– Nie twoja sprawa, co noszę, i nie rozumiem, dlaczego uważasz inaczej.

– Mam swoje powody – mruknął cicho.

Uniosłam brwi.

– Jakie niby?

Nie odpowiedział, a ja prychnęłam z irytacją. Tak myślałam.

Tymczasem z przodu zajęli swoje miejsca Vincent i Will. Dylan i Tony wybrali sobie jakieś inne auto i aż dziw, że Tony nie upierał się, by w tym swoim gajdzie wpakować się na motocykl. Fakt, że była zima, ale on zdawał się tak do tej swojej maszyny przywiązany, że odpalał ją każdego dnia, który zanosił się na choć trochę cieplejszy, a dziś na dworze było wyjątkowo słonecznie. Swoją drogą to dziwne; spodziewałabym się, że w urodziny Vincenta będzie szalał mróz albo rozpęta się burza.

W czasie jazdy Will i Vince przyciszonymi głosami prowadzili jakąś rozmowę, a Shane siedział w telefonie i gdy przypadkowo zerknęłam na jego ekran, zezłościłam się jeszcze bardziej. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie skomentować tego, co na nim zobaczyłam.

– Jej spódnica nie jest dla ciebie za krótka?

Shane uniósł głowę, z początku zaskoczony. Spojrzał na mnie, a potem na swoją komórkę. Właśnie oglądał na niej profil jakiejś dziewczyny. Miała kosmiczną liczbę obserwujących, a większość jej zdjęć eksponowała najbardziej kobiece części jej ciała. Uniosłam brew zaszokowana jego hipokryzją.

– Hailie... – zaczął cicho, po czym westchnął. – Z tą dziewczyną pójdę do łóżka, i to możliwe, że jeszcze dziś. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek myślał o tobie tak jak teraz ja o niej.

Zamrugałam i odwróciłam wzrok, zawstydzona jego bezpośredniością. Nie odezwałam się więcej. Przez całą dalszą drogę starałam się uspokoić, bo czułam, że cała się rumienię. Wchodząc do tej ekskluzywnej restauracji, byłam przekonana, że przy przystojnych i wymuskanych do granic możliwości braciach Monet wyglądam jak pomidor w znoszonej sukience.

Na dodatek, gdy ubrany w biały garnitur kelner wręczył mi kartę dań, przypomniało mi się, że przyjechaliśmy tu przecież po to, żeby zjeść, i znowu się zestresowałam. Nie chciałam marnować jedzenia, zwłaszcza że byłam przekonana, iż musi ono tutaj kosztować majątek. Nie wiedziałam ile, bo w menu nie było cen, ale nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że to miejsce, w którym przepłaca się nawet za wodę.

Pierwsza połowa naszego wyjścia była, mimo wszystko, udana. Humor mi się trochę polepszył – gdy siedziałam za stołem, moja kreacja nie rzucała się w oczy, więc czułam się odrobinę pewniej, a dzięki wygłupom chłopców dawno nie uśmieiałam się tak jak dziś. Prawie otrząsnęłam się z marazmu, w który wpadłam po sylwestrowych wydarzeniach. Moi bracia byli naprawdę zabawni i odkryłam, że w chwilach takich jak ta czerpałam niekłamaną radość z przebywania z nimi. To, jak swobodnie czuli się w swoim towarzystwie, było niesamowite. Ich więź była magiczna, potrafili sobie docinać, ale rozumieli się też bez słów. Przysłuchiwałam się ich dyskusjom i żartom niemal z fascynacją. Nawet Vince momentami zdawał się spuszczać z tonu.

– Sto lat, stary byku – zawołał Dylan. W pewnym momencie zarzucił swoją ciężką łapę na wyprostowane ramiona Vincenta, który właśnie unosił do ust kieliszek czerwonego wina i prawie oblał nim swoją nieskazitelnie

białą koszulę. Dylan oberwał się za to mroźnym spojrzeniem, z którego absolutnie nic sobie nie zrobił. Potem nasz najstarszy brat podobnym spojrzeniem zgromił mnie, gdy zaśmiałam się wyjątkowo głośno.

– Ile to już na karku, czterdziestka? – zastanawiał się Shane.

– Na oko co najmniej sześćdziesiątka – mruknął Tony.

– Widać, że jedną nogą już w grobie.

– Czy to siwy włos, dziadku Vince? – zapytał Dylan, nachylając się, by przyjrzeć się ciemnym, ulizanym do tyłu włosom Vince'a. Zachwiał się, gdy ten odepchnął go mocno.

– Na waszym miejscu pamiętałbym, kto wciąż ma pieczę nad waszymi kontami bankowymi – powiedział, unosząc kąciki ust w złośliwym uśmiešku.

Vince żartował! Wow!

– Nie nad moimi – wtrącił Will, drugi pod względem starszeństwa z braci Monet, i nachylił się, by szepnąć: – Dziadku Vince.

Puścił do mnie oko, gdy znowu się roześmiałam.

Vincent wywracał oczami, ale pozwalał chłopcom na trochę rozrywki własnym kosztem, spokojnie popijając wino. Niebawem i tak wszyscy zakończyli kpiny, bo przyniesiono nam zamówienia, które pochłoneły całą uwagę braci Monet.

Wkrótce wszyscy kończyli już swoje dania, a ja nadal niemrawo skubałam ravioli. Wzięłam parę kęsów i więcej już nie mogłam, myślałam jednak, że moja sztuczka z rozgrzebywaniem jedzenia idzie mi całkiem nieźle, dopóki w pewnym momencie nie uświadomiłam sobie, że Vince wpatruje się we mnie uważnie. Tak samo jak wcześniej w garażu.

Szybko odwróciłam wzrok, ale na nic się to zdało.

– Jak długo jeszcze będziesz bawić się tym jedzeniem? – zapytał mój najstarszy brat, ściągając uwagę wszystkich przy stole najpierw na siebie, a zaraz potem na mnie.

Zrobiłam wielkie oczy.

– Przecież jem... – pisnęłam, na dowód nadziewając na widelec jeden z pierożków. Drżał razem z moją dłonią.

– Pokaż, proszę. – Vince upił łyk wina, nie odrywając ode mnie oczu.

Czułam na sobie spojrzenia każdego z braci i miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

Moje ravioli wyglądało niezbyt zachęcająco. Zostało podane może i ładnie, ale ja widziałam w nim raczej dekorację, a nie posiłek. Poza tym swoim grzebaniem w talerzu zniszczyłam kompozycję kucharza i w tej chwili nawet zapach nie zachęcał mnie do jedzenia. Żołądek aż mi się ścisnął na samą myśl o tym, że mam wziąć do ust kolejnego pierożka. Przełknęłam nerwowo ślinę.

– O co ci chodzi? – spytał Dylan, marszcząc brwi.

– No weź po prostu gryza – dodał Shane, równie zdezorientowany.

Zaczęły mi drżeć wargi. Patrzyłam na swoje zapewne przepyszne i przygotowane z wielką starannością danie, czując, że równie dobrze mogłoby mnie właśnie zachęcać do zjedzenia kawałka tektury.

– Nie chcę. – Starłam się zabrzmieć stanowczo. Czasami człowiekowi brakuje apetytu, i to był dla mnie akurat taki dzień. Chyba miałam do tego prawo, prawda?

Cóż, Vincent tak nie uważał.

– Nie pytam, czy chcesz.

– Hailie, co się dzieje? – zapytał łagodnie Will po chwili ciszy.

Wymówka, potrzebowałam szybko jakiejś wymówki.

– Boli mnie brzuch.

Mój ulubiony brat patrzył na mnie ze zmartwieniem i już otwierał usta, by dopytać o moje samopoczucie, ale Vince go uprzedził.

– Chcę zobaczyć, jak jesz – powtórzył surowo.

Jeszcze przed chwilą śmialiśmy się wszyscy z żartu Tony’ego; jak to możliwe, że teraz nagle znalazłam się w takiej sytuacji? Skupiona właśnie na mnie uwaga to było dla mnie za wiele. Bezsilność, jaką czułam, dobijała mnie, a im natarczywiej chłopcy popędzali mnie spojrzeniami do wykonania polecenia Vincenta, tym bardziej miałam ochotę zniknąć. Przełknęłam ślinę raz jeszcze, a do oczu napłynęły mi łzy i nawet nie próbowałam nad nimi zapanować. W końcu szepnęłam tylko:

– Nie mogę.

– Czekaj, co znaczy, że nie możesz? – zirytował się Dylan.

Nie miałam na to odpowiedzi.

– Dziecko drogie, powiedz mi, dlaczego miałabyś się głodzić? – zapytał Vince, upiwszy kolejny łyk wina.

– Nie głodzę się.

Westchnął ze znużeniem.

– Kiedy ostatnio któryś z was widział, jak Hailie rzeczywiście coś je? – To pytanie skierowane było do naszych braci, więc nie pozostało mi nic innego jak siedzieć cicho i obserwować ich twarze, które wyrażały najpierw konsternację, a potem ogłupienie, gdy uświadomili sobie, że nie potrafią odpowiedzieć. Oznaczało to, że sama muszę się bronić.

– To nie znaczy, że się głodzę! Po prostu rzadko jadamy razem.

– Mhm. Dlatego straciłaś na wadze?

Mimo łez zmrużyłam oczy.

– Wcale nie straciłam na wadze.

On odchylił się na swoim krześle, unosząc nieco podbródek, i mi się przyglądał, palcami prawej ręki wodząc po nóżce kieliszka. Miałam wrażenie, że im śmielej mu odpowiadałam, tym mniej pobłażliwie się ze mną obchodził.

– To dlaczego dopasowana dawniej sukienka, którą jak pamiętam, założyłaś na nasze pierwsze wyjście, dzisiaj wisi na tobie jak worek?

Zatkało mnie.

Spuściłam wzrok na swoją kreację. Sukienka w rzeczy samej była luźnawa, ale czy naprawdę wcześniej mnie opinała? Może i kiedyś faktycznie była trochę bardziej obcisła w talii? Czy to mogło oznaczać, że faktycznie schudłam?

Nie planowałam przecież żadnej diety, ale podświadomie poczułam, jakbym właśnie osiągnęła jakiś cel, o którego istnieniu nawet nie wiedziałam, i dlatego na moich ustach pojawił się szeroki uśmiech. Podekscytowana podniosłam głowę tylko po to, by napotkać chłodne

spojrzenie Vince'a, który zdecydowanie nie zamierzał gratulować mi sukcesu.

– No i z czego ty się tak cieszysz? – zapytał Shane, unosząc brwi.

– Czy to prawda...? Odchudzasz się? – Willowi aż zadrżał głos.

– Ja tylko...

– Jaja sobie robisz?! – huknął Dylan.

Kilka osób z sąsiednich stolików zerknęło w naszą stronę, ale moi bracia nie mogliby się tym mniej przejąć.

– Przecież jesteś taka szczupła... – Shane kręcił głową i marszczył czoło.

– Dlaczego miałabyś się głodzić?

Spuściłam wzrok na dźwięk tych wszystkich głosów, których słyszeć wcale nie chciałam.

– Nie no, masz w tej chwili zjeść to cholerne ravioli, już – warknął na mnie Dylan. Napiął mięśnie, jakby szykował się do bójki, a brwi ścigał tak mocno, że z każdą sekundą przerażał mnie coraz bardziej. Był wściekły.

– Nie mogę – jęknęłam.

Moje błagalne spojrzenie nie zrobiło na nim wrażenia, bo podniósł się raptownie ze swojego krzesła i patrzył na mnie z góry, gotowy, żeby do mnie podejść.

– Mam cię nakarmić?

Gapiałam się na niego przerażona, niezdolna do odpowiedzi.

– Siadaj, Dylan – odezwał się spokojnie, acz lodowato Vincent.

Trochę mi ulżyło, gdy Dylan po chwili odetchnął głęboko i zajął z powrotem swoje miejsce. Wciąż jednak świdrował mnie wzrokiem. Zadrżałam na samą myśl o tym, że wmusza we mnie jedzenie. Widziałam po nim, że był gotów to zrobić.

– Bo co to ma znaczyć, że nie może? – burknął pod nosem.

– To znaczy, że właśnie to wbiła sobie do swojej małej głowy i teraz odczuwa wstręt na sam widok jedzenia. Mam rację, Hailie? – wyjaśnił Vincent.

– No to świetnie, w takim razie zaraz jej to wybijemy...

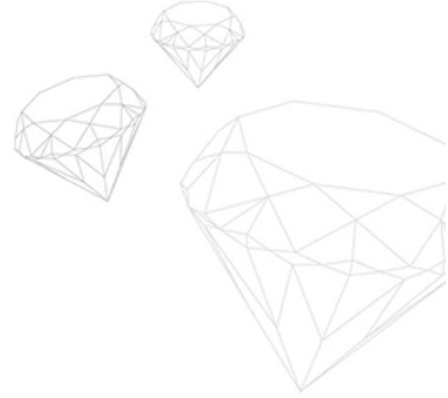
– Jak zaczniesz je w nią wmuszać, to prawdopodobnie je zaraz zwróci.

– Co, do chuja? – wypalił Shane. Patrzył to na mnie, to na Vincenta. Nawet Tony wgapił się w nas ze zdumieniem.

Bawiłam się swoimi rękoma pod stołem. Vince miał rację, bo na samą myśl o przełknięciu choćby kęsa tego nieszczęsnego ravioli dostawałam odruchu wymiotnego.

Ku mojej uldze on w końcu rozkazał zostawić mnie w spokoju. Chłopcy powoli wrócili do żartów i luźnych rozmów, choć w powietrzu dało się wyczuć drobne napięcie, którego wcześniej nie było. Serwetką dyskretnie osuszyłam łzy, a Dylan rzucał mi co jakiś czas podminowane spojrzenia. Will natomiast gapił się na mnie z troską. Ja się już więcej nie odzywałam i tylko nieśmiało pokręciłam głową na propozycję deseru.

Czułam się jak dziwadło i miałam wrażenie, że dokładnie takie zdanie mają o mnie bracia. Nie potrafiłam się delektować dzisiejszą ucztą jak oni, a na dodatek został zdemaskowany mój brak pewności siebie, co – im dłużej o tym myślałam – było niezwykle upokarzające.



23

Piękna i inteligentna

Bracia nie zagadywali mnie ani w drodze powrotnej, ani nawet już w domu. Byłam pewna, że gdy tylko wysiądę z auta w garażu Monetów, Vincent zaprosi mnie na jedną z tych okropnych rozmów, podczas której narzuci mi jeszcze więcej zasad, ale tak się nie stało, przynajmniej nie od razu.

Udało mi się czmychnąć do swojej sypialni, gdzie zaczęłam nieśmiało obracać się przed lustrem, szukając zmian, które zaobserwował we mnie Vince. Gdy zaś kładłam się do spania, aż zakręciło mi się w głowie od nadmiaru problemów, które się w niej piętrzyły. Byłam prawie pewna, że Jerry, wymachując mi przed nosem tym swoim pistoletem, zafundował mi nie lada traumę. Obawiałam się też jutrzejszego dnia w szkole, gdzie miałam stawić czoła Monie i Audrey. Zaczęłam zastanawiać się, do kogo mogłabym się dosiąść podczas lunchu, jeśli one nie dopuszczą mnie do swojego stolika. A na dokładkę moi bracia teraz na pewno widzieli we mnie popsutą lalkę, która tonie po uszy w kompleksach.

Nic dziwnego, że nie mogłam zasnąć. Choć położyłam się stosunkowo wcześnie, nie zmrużyłam oka aż do drugiej. Znowu też słyszałam mrozące krew w żyłach ujadanie tych przeklętych psów na posesji. Frustrowałam się,

że rano będę niewyspana, i w pewnym momencie nawet jęknęłam głośno w poduszkę, drugą okładając pięścią.

W moim starym życiu problemy ograniczały się do przedegzaminowych stresów. Dziś byłam w miejscu tak innym, że czasami nie wierzyłam, że wciąż jestem tą samą osobą.

Około drugiej trzydzieści podniosłam się z łóżka, bose stopy wsunęłam w kapcie i zaczęłam chodzić po pokoju. Podeszłam do okna balkonowego, ale gdy je rozchyliłam, poczułam, jak do środka wkrada się chłodny wiatr, więc zadrżałam i szybko je zamknęłam. To nie ta pora roku, by przesiadywać na balkonie po nocach. Poszłam więc do łazienki, ochlapałam sobie twarz zimną wodą, a potem zapragnęłam się jej napić, więc zdecydowałam się pójść do kuchni.

Zapaliłam światło na korytarzu i od razu poczułam się bezpieczniej, gdy przestały pożerać go ciemności. Cichutko mijałam drzwi do pokoi moich braci, a potem zeszałam sobie po schodach, gdzie na dole, jak zawsze, paliły się lampy. Mijając wielki obraz mężczyzny, z jakiegoś powodu przystanęłam na dłużej, by mu się przyjrzeć. Był piękny, wręcz może nawet dziwnie perfekcyjny. Choć nie przypominał raczej żadnego z braci Monet, to miał z nimi coś wspólnego, może to intensywne spojrzenie, a może ten sam rodzaj godności w dumnej postawie. Tym bardziej przerażało mnie straszycło za jego plecami. Kłęb kolorowych, acz wyblakłych barw, który formował się w dziwną zmorę. Wyciągała coś na kształt rąk ku mężczyźnie, jakby chciała złapać go za gardło, ale on chyba tego nie widział.

Nagle do moich uszu doleciały dźwięki pianina i w pierwszej chwili pomyślałam, że oszalałam. Obraz pochłonął mnie tak bardzo, że znalazłam się w nim, stojąc naprzeciwko tego człowieka. Aż zapragnęłam krzyknąć do niego, ostrzec go przed tym czyhającym na niego potworem. Otworzyłam nawet usta i wyciągnęłam ku niemu rękę, ale wtedy moje palce dotknęły płótna i uświadomiłam sobie, że wcale nie znalazłam się w obrazie, że to tylko moja głupia wyobraźnia ze mnie drwi.

Otrząsnęłam się i prędko oddaliłam od malowidła, odwracając od niego wzrok. Wciąż jednak słyszałam pianino i zanim zdążyłam ponownie zwątpić w swoją poczytalność, zrozumiałam, że to naprawdę ktoś gra. Przytłumione odgłosy dochodziły z biblioteki i zamiast do kuchni skierowałam się tam.

Stawiałam powolne kroki, wciąż do końca nie ufając swoim zmysłom, niepewna, jakie jeszcze tajemnice skrywa Rezydencja Monetów. Otwartą dłonią dotknęłam drzwi biblioteki, po czym przyłożyłam do nich ucho. Muzyka była bardzo delikatna, ale od czasu do czasu przecinał ją niższy, groźniejszy ton, który odbierał granemu utworowi całą jego łagodność i niewinność.

Wiedziona niepowstrzymaną ciekawością nacisnęłam leciutko na klamkę, uchyliłam drzwi i wsunęłam głowę do środka. Pograżone w półmroku pomieszczenie robiło jeszcze przytulniejsze wrażenie niż zwykle. Do znajdujących się tutaj książek żaden dźwięk nie mógłby pasować bardziej niż ta melodia. Zerknęłam w kąt, w którym instrument miał swoje stałe miejsce, i ze zdumieniem zobaczyłam, że siedzi przy nim Vincent. Był odwrócony do mnie plecami, ale bez trudu rozpoznałam jego szczupłą, wyprostowaną sylwetkę. Nawet teraz, w środku nocy, miał na sobie koszulę, a jego włosy pozostawały w idealnym ładzie, wciąż posłusznie zaczesane do tyłu.

Muzyka, którą grał, teraz uderzyła we mnie jeszcze mocniej, gdy na własne oczy widziałam, że to on ją tworzył. Poczułam gęsią skórkę i raz jeszcze omiotłam pomieszczenie wzrokiem. Za wielkim niezastłoniętym oknem widać było niepokojącą czerń, a słabe oświetlenie biblioteki dawało wrażenie bezpieczeństwa, niestety chyba trochę złudnego.

– Mogę ci w czymś pomóc, Hailie?

Z powrotem przeniosłam spojrzenie na brata. Nie usłyszałam, w którym momencie przestał grać. Odwracał się teraz w moją stronę, przechylając lekko głowę. Nie był chyba zły, więc mi ulżyło. Wyglądał na zrelaksowanego, przynajmniej jak na siebie.

– Przyszłam po wodę – odparłam, otwierając szerzej drzwi.

– Do biblioteki?

– Usłyszałam, jak grasz.

Vincent mi się przyglądał, a ja miałam głupie wrażenie, że chyba znowu analizuje moją sylwetkę, i pożałowałam, że nie narzuciłam na siebie szlafroka.

– Myślałam, że stoi tutaj tylko do ozdoby – powiedziałam, brodą wskazując na pianino.

– Należało do naszej matki.

– Och.

– Mhm, teraz faktycznie tylko ja na nim gram. – Vince musnął klawisze palcami.

– Często tu przychodzisz tak w nocy? – zapytałam.

– Gdy mam potrzebę się odprężyć.

Spuściłam głowę.

– Przepraszam, jeśli popsulałam ci urodziny – wymamrotałam, a Vince zmrużył powieki.

– Podejdź do mnie.

Niechętnie przymknęłam za sobą drzwi i zbliżyłam się do brata. On odwrócił się tak, że nie siedział już przodem do pianina, tylko bokiem, i spojrzał na mnie, gdy nieśmiało stanęłam tuż przed nim. Drgnęłam, gdy jego dłoń złapała lekko za mój nadgarstek.

– Hailie, dziecko drogie, powiedz mi, czy ty rozumiesz, co ty sobie robisz?

Zamrugałam. Jego zimny wzrok sprawiał, że nawet gdy nasze oczy znajdowały się na podobnym poziomie, czułam się, jakby nade mną górował. Niemal nieświadomie pokręciłam głowę.

– Tak też myślałam.

Milczałam, a on mówił dalej:

– Zaburzenia odżywiania to nie zabawa, Hailie. Chciałabyś wylądować w szpitalu?

Nienawidziłam szpitali. Ostatnio moja babcia do jednego pojechała i już nie wróciła.

– Nie – szepnęłam.

– Tam się z nikim nie cackają. Jeśli pacjent odmawia jedzenia w tradycyjny sposób, to karmi się go przez sondę. Wiesz, na czym to polega?

– Jego głos robił się coraz mroczniejszy.

Nie odpowiadałam, tylko gapiłam się w podłogę.

– Do przelyku wprowadza się długą rurkę, przez nos. Bardzo, bardzo nieprzyjemne uczucie. Popatrz na mnie, Hailie... Jeśli nie weźmiesz się w garść, nie będę miał żadnych oporów, żeby wysłać cię na takie leczenie. Chcesz tego?

Teraz drżały mi też broda i wargi, a w oczach pojawiły się łzy.

– Nie chcę, Vince.

Palce oplatające mój nadgarstek wzmocniły uścisk.

– W takim razie chcę widzieć, że o siebie dbasz. Rozumiem, że zachorowałaś, i miałaś do tego prawo, zwłaszcza biorąc pod uwagę, przez co w tak młodym wieku przeszłaś, ale nie zamierzam się przyglądać, jak wyniszczasz swój organizm. Dlatego chcę widzieć twoją determinację. Chcę widzieć, że zasiadasz do stołu, i chcę widzieć, że robisz, co w twojej mocy, żeby zjeść to, co dostaniesz na talerzu. Czy potrafisz mi obiecać, że tak będzie?

Kiwałam głową, a wolną ręką przetrąłam wilgotne policzki.

– Użyj słów.

– Tak, będę się starać.

Vincent puścił moją dłoń, a ja uniosłam ją od razu i teraz ścierałam ciągle spływające mi po twarzy łzy obiema rękami.

– Umówiłem cię na spotkanie z psychologiem.

– Co? – Zmarszczyłam brwi.

– Jutro po szkole. Shane cię zawiezie. Will odbierze.

– Chwila, ja nie potrzebuję psychologa. Naprawdę, ja niczego nie zrobiłam.

– Wiem, że niczego nie zrobiłaś. Wysyłam cię do psychologa, nie do więzienia.

– Nie potrzebuję psychologa – powtórzyłam.

– W porządku. Będiesz mogła mu to powiedzieć jutro po szkole.

Odwróciłam wzrok.

– Jeśli masz wątpliwości co do jakości jedzenia, jakie podaje Eugenie, to proszę bardzo, podziel się z nią swoimi wskazówkami lub propozycjami

zmian w naszym menu. Jestem pewien, że weźmie je pod uwagę.

– Tu nie chodzi o Eugenie, ona gotuje wspaniale...

– Jeśli zaś martwisz się kaloriami, to zapraszam na siłownię. W takiej sytuacji to nie głodzenie się jest wyjściem, a ćwiczenia. W granicach rozsądku. Masz aktywnych fizycznie braci, wykorzystaj to. Na pewno z chęcią poprowadzą twoje treningi, jeśli tego zechcesz.

Na pewno.

– Hailie?

– Hm?

– Jesteś piękna i inteligentna. I nie mówię tego tylko dlatego, że jesteś moją siostrą. Chcę, żebyś pamiętała, że jeśli jeszcze raz usłyszę, że się krzywdzisz, to obiecuję ci, że podejmę bardziej radykalne kroki, by położyć temu kres. Czy mnie rozumiesz?

Jego spojrzenie było surowe i ostre, podobnie jego głos, a mimo to w obydwu udało mi się wyróżnić nutkę uczucia. Dobrze ukryta, była tam i tym razem miałam co do tego pewność. Zagryzłam wargę, żeby nie rozpłakać się jeszcze bardziej.

– Tak – szepnęłam miękko.

– I jeszcze jedno – dodał chłodno. – Nie popsulaś mi urodzin. Musisz przestać przejmować się takimi głupotami. To było udane wyjście. Następnym razem liczę tylko, że swoje danie będziesz jadła z przyjemnością, a nie skubała z przymusu.

Uśmiechnęłam się blado i nastąpiła chwila ciszy. Zastanawiałam się, czy już się nie wycofać, bo chyba powoli właśnie dopadała mnie tak długo wyczekiwana fala senności, ale zanim podjęłam tę decyzję, nieśmiało przestąpiłam z nogi na nogę, zerkając na Vince'a spod rzęs.

– A czy... będziesz jeszcze grał?

On odchrząknął i zerknął na zegarek.

– Właściwie to planowałem iść poćwiczyć. Dlaczego pytasz?

– Chciałam posłuchać. – Wzruszyłam ramionami.

– Dochodzi trzecia, powinnaś być w łóżku. Jutro będziesz nieprzytomna.

– Dochodzi trzecia, a ty chcesz ćwiczyć?

Vince uniósł kącik ust.

– To jedyna pora, gdy mam pewność, że w siłowni nie natknę się na Dylana.

Roześmiałam się, a Vincent uśmiechnął się trochę szerzej. Odrobinę.

– Grasz na pianinie po nocach, ćwiczysz po nocach... – wyliczyłam, po czym zapytałam teatralnie dramatycznym szeptem: – Vince, czy ty jesteś wampirem?

– Idź spać, Hailie. – Wywrócił oczami.

– Czyli... nie będziesz już grał?

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem westchnął.

– Jeden utwór.

Tym razem w uśmiechu pokazałam nawet zęby i planowałam wskoczyć na swój ulubiony fotel, ale Vince niespodziewanie przesunął się i zrobił dla mnie miejsce na podłużnym stołku, który sam zajmował. Przycupnęłam obok niego, a moje wahanie szybko zmieniło się w fascynację, gdy patrzyłam, jak jego palce zawisły nad klawiaturą, a potem zaczęły zwinnie po niej biegać. Co chwilę migał mi przed oczami jego wielki sygnet. Rękawy koszuli miał podwinięte, zegarek zapięty na nadgarstku, a paznokcie równo obcięte i zadbane.

Melodia, którą grał, była spokojniejsza niż ta wcześniejsza. Brzmiała łagodniej, a świadomość, że to Vincent ją tworzył (no i sama jego bliskość) sprawiały, że aż przyjemnie łaskotało mnie w klatce piersiowej. Nie mogłam przestać podejrzewać jednak, że on specjalnie wybrał taki utwór, żebym poczuła się senna, a tym samym, żeby skłonić mnie do powrotu do łóżka. Ostatecznie mu się to udało, choć gdy jego dłonie się zatrzymały, a muzyka ucichła, pierwsze, co poczułam, to rozczarowanie.

– Do spania – rozkazał, ostrożnie zamykając klapę pianina.

Podniosłam się, ziewając, a wtedy mój wzrok padł na zdjęcie dwóch kobiet, które zainteresowało mnie już na samym początku mojego pobytu u Monetów.

– Vince, kto to? – zapytałam bezmyślnie, a potem mój zaspany mózg dodał dwa do dwóch i szybko dorzuciłam: – Czy to wasza mama?

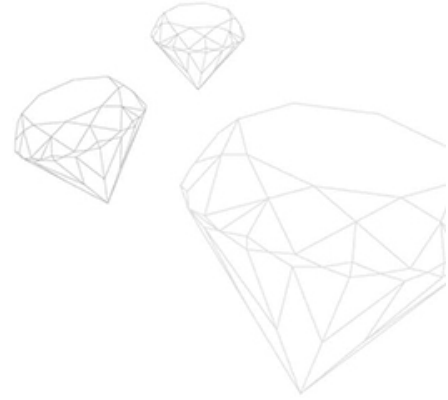
Mój brat rzucił przelotne spojrzenie na fotografię i skinął głową.

– Ta po lewej – mruknął. – Pozuje ze swoją siostrą.

– Ładna.

Vince zapatrzył się na zdjęcie, a potem nagle odwrócił od niego spojrzenie, jakby wyrwał się z chwilowego transu.

– Dobranoc, Hailie.



24

Gest

No co za pustak.

Shane wzdychał tak cały poranek. Najwyraźniej Marge, dziewczyna ze szkoły, z którą łączyła go skomplikowana relacja, wysłała mu szereg dramatycznych wiadomości jeszcze przed śniadaniem.

- Co znowu? – zagadnął Dylan, popijając koktajl proteinowy z bidonu.
- Płacze, że mi na niej nie zależy.
- No a zależy?
- No nie. W sensie nie tak, jak ona by chciała.
- To napisz jej, że ma rację, i po sprawie.
- Z Marge to nie takie proste. Zrobiła sobie za dużo nadziei.
- Może to ty zrobiłeś jej za dużo nadziei – wtrąciłam, ziewając.

Shane spojrzał na mnie znad telefonu i zmarszczył brwi.

- Jak? Od początku stawiałem sprawę jasno.
- Co ty w ogóle tak leżysz na tym stole? – burknął na mnie Dylan. Z jakiegoś powodu wciąż złościł się na mnie za to, co wyszło wczoraj w restauracji. – Wstawaj i jedz śniadanie.

Chciałabym powiedzieć mu, żeby spadał, ale po pierwsze, to był Dylan i jeśli komuś życie było miłe, to nie warto mówić mu takich rzeczy, a po drugie, obiecałam coś Vincentowi i wiedziałam, że powinnam dotrzymać słowa. Podniosłam się i zamrugałam, bo po prawie nieprzespanej nocy powieki wciąż mi się kleiły. Zasnęłam dopiero po rozmowie z najstarszym bratem. Pamiętam, że w uszach dźwięczały mi jego słowa: „piękna i inteligentna”. Uważałam to za ogromny komplement, zwłaszcza w ustach kogoś takiego jak Vince.

Staralam się nie mieszać za długo łyżką w misce płatków, bo czułam na sobie uważne spojrzenie Dylana i wiedziałam, że taka gra na zwłokę tylko jeszcze bardziej go zdenerwuje. Mnie samą też przerażało to, że jedzenie tak po prostu straciło dla mnie smak. Kiedyś lubiłam takie płatki, najbardziej miodowe i gdy chrupały. Dlatego zawsze najpierw wlewałam do miski mleko. Dziś takie rzeczy nie mogłyby być mi bardziej obojętne. Wcisnęłam w siebie tyle, ile mogłam, a gdy Dylan zaczął warczeć, że to za mało, na ratunek przybył mi Will.

– Niech zje tyle, ile może. Hej, ważne, że próbuje – powiedział mi, a potem usiadł przy mnie, pogłaskał mnie po głowie i dodał: – Jeśli nie czujesz się dziś na siłach, by iść do szkoły, zostań w domu, hm?

– Dzięki, Will – mruknęłam i uśmiechnęłam się do niego lekko. – Ale chcę jak najszybciej porozmawiać z Audrey.

– Jak sobie życzysz, malutka. Shane, pamiętaj, gdzie jedzicie po lekcjach.

– Pamiętam – odburknął bliźniak, stukając zawzięcie w ekran telefonu.

Wciąż nieszczególnie podekscytowana wizją rozpoczęcia terapii spuściłam wzrok. Może naprawdę lepiej by dla mnie było, gdybym skorzystała z propozycji Willa i nie poszła do szkoły, ale wiedziałam, że wtedy dręczyłabym się wciąż niewyjaśnioną zadrą między mną a dziewczynami. Musiałam jak najszybciej z nimi porozmawiać. Jeśli mnie znieawidziły, to chciałam o tym wiedzieć.

Stworzyłam sobie w głowie mnóstwo scenariuszy naszej rozmowy, ostatecznie jednak żaden z nich się nie sprawdził, bo Audrey po prostu nie chciała mnie widzieć, a co dopiero ze mną dyskutować. Nie odpisała mi na wiadomości, a gdy z samego rana dostrzegłam ją pod szkołą i do niej

zamachałam, ostentacyjnie odwróciła wzrok i przyśpieszyła kroku. Gdy tak stałam i gapiłam się, jak znika w tłumie, zastanawiając się, czy powinnam za nią pobiec, poczułam nagle czyjaś dłoń na ramieniu.

– Powiedziała, że nie zamierza z tobą rozmawiać – oznajmiła Mona, kurczowo obejmując pasek swojej torby na ramię, i kontynuowała z wahaniem: – Że nie macie o czym. I że ja też nie powinnam.

– Ale... jest tyle rzeczy, które trzeba wyjaśnić – zaprotestowałam. Patrzyłam teraz w jej zmartwioną twarz. – Rozumiem, że jest zła, ale sprawy naprawdę wyglądają inaczej, niż ona myśli.

– Jak niby? – Mona przekrzywiła głowę. – Powiedziała mi o przybyciu twoich braci. Widziałam twarz Jerry’ego. Sam by się tak nie urządził.

– Zgadza się, Dylan go pobił. Zaraz po tym, jak się dowiedział, że Jerry próbował mnie skrzywdzić.

Mona zmarszczyła brwi, rozejrzała się, a potem zmarszczyła je jeszcze bardziej. Złapała mnie też lekko za łokieć i pociągnęła do ustronnego kąta, gdzie istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś nas usłyszy.

– Jerry próbował cię skrzywdzić?

– Celował do mnie z broni!

– Audrey mówi, że to ty do niego celowałaś z broni. I nie chciałaś jej opuścić.

– Jerry przy niej udawał! Chciał, żebym mu ten pistolet oddała. Oczywiście, że nie chciałam go opuścić!

– Audrey mówiła, że był z wami jakiś facet, który groził Jerry’emu, i że musiała... rąbnąć go kijem baseballowym.

– Ten facet to był mój ochroniarz, który przyszedł sprawdzić, czy jestem bezpieczna. I po prostu zareagował, gdy zobaczył, że nie jestem.

Mona zaczęła trzeć sobie skroń i kręcić głową, drugą ręką podpierając się pobliskiego parapetu.

– Chwila, chwila, czyli co, Jerry zaatakował cię tak bez powodu?

– Mona, on miał jakiś plan. Odurzył nas szampanem.

Dziewczyna wybałuszyła oczy.

– Co zrobił?!

– Wrzucił nam tam jakieś prochy, przyznał się do tego przy moich braciach. Audrey obudziła się wcześniej, bo dostała mniejszą dawkę. Ja swój...

– ...wylałaś...

– Hm?

– Wylałaś zawartość swojej lampki, kiedy staliśmy na dworze. Widziałam, jak to robisz, ale nic nie mówiłam.

– Tak – potwierdziłam. – Tylko ty wypijałaś wszystko. O której się obudziłaś?

– Następnego dnia o... czternastej? – Mona pobladła. – O Boże, to dlatego tak bolała mnie głowa! Piłam już wcześniej szampana, moja siostra zawsze częstuje mnie bąbelkami i nigdy w życiu nie miałam po nich takiego kaca. Jezu, teraz to ma sens!

– Gdy Jerry odkrył, że jestem przytomna, zaczął się ze mną szarpać i grozić mi bronią. Gdyby nie zjawili się moi bracia, kto wie, co by się stało.

Dłoń, którą Mona przykrywała sobie usta, teraz od nich oderwała i ścisnęła mnie nią za nadgarstek.

– Jezu, Hailie, tak mi przykro. Wszystko z tobą w porządku?

Wzruszyłam ramionami z westchnięciem.

– Bywało lepiej. Audrey mnie nienawidzi, co?

– Monetowie dali Jerry’emu dwanaście godzin na opuszczenie Pensylwanii. Widziałam, jak się pakuje. Był tak roztrzęsiony, że chyba by się rozpłakał, gdyby nie to, że za bardzo bolała go cała twarz. Dzwonił do rodziców po pieniądze, oni się na niego darli przez słuchawkę, Audrey biegała w tę i w tę podminowana... Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłam, gdy tato wreszcie po mnie przyjechał i mogłam wrócić do domu...

– Wiem, jak to wygląda, i bardzo mi przykro, że moi bracia tak załatwili Jerry’ego, ale oni naprawdę nie zrobili tego bez powodu. – Rozłożyłam ręce, wzdychając głośno. – Nie wiem, rozumiem, że Audrey postawiła na mnie kreskę. Ta cała historia w ogóle nie powinna była się zdarzyć. Dzięki, że chociaż ty zgodziłaś się mnie wysłuchać.

Mona milczała, wpatrując się w podłogę i bijąc się z myślami. Trwało to chwilę, aż w końcu zacisnęła powieki i szarpnęła głową do tyłu, kładąc obie ręce na twarzy.

– Nie mogę!

Obserwowałam ją zdezorientowana. Dyskretnie rozejrzałam się po korytarzu. Niektórzy wyciągali szyję, by coś dostrzec lub dosłyszeć, ale stałyśmy w sporym oddaleniu i nikt nie miał wystarczająco dobrej wymówki, by się tu zbliżyć.

– Wierzę ci, Hailie – powiedziała Mona.

Zaskakując samą siebie, poczułam, jak twarz nieco mi się rozjaśnia.

– To wiele dla mnie znaczy...

– Nie rozumiesz – westchnęła. – Audrey kazała mi wybrać.

– Co...?

– Postawiła ultimatum. Powiedziała, że nie zamierza więcej zadawać się z żadnym z Monetów, z tobą na czele, i że jeśli ja wciąż będę się z tobą trzymać, to nasza przyjaźń też nie będzie miała sensu. Bo mam z tobą... wiesz, zbyt bliską relację...

Zerkała na mnie nieśmiało, a ja kiwałam głową, starając się zachować neutralny wyraz twarzy.

– No tak – odchrząknęłam. – To ma sens. To znaczy... ma sens z jej perspektywy.

– Hailie, nie jestem zachwycona tym, że każe mi wybierać. Na dodatek wierzę w twoją wersję, nie tę Jerry’ego. Wiesz, co to oznacza? – Mona spojrzała w bok i zacisnęła usta, po czym sama sobie odpowiedziała: – To, że właśnie straciłam długoletnią przyjaciółkę.

– Mona...

– Znam ją od przedszkola. Nie mogę w to uwierzyć!

– Mona, w porządku, nie musisz wybierać mnie... – Kręciłam głową. – Nie znamy się tak dobrze. Jeśli pójdziesz za Audrey, ja to zrozumiem, przysięgam...

– Właśnie o to chodzi, do cholery, że *muszę* cię wybrać! Bo pomijając już wszystko inne, ja po prostu nie wybiorę osoby, która każe mi wybierać.

Mona znowu zacisnęła wargi, a w jej oczach stanęły łzy i spojrzała w górę, żeby nie spłynęły. Zaczęła się nawet wachlować dłonią, jakby tym sposobem miała je osuszyć, i wtedy powoli się do niej zbliżyłam, wyciągnęłam ramiona i zamknęłam ją w uścisku. Od razu poczułam, jak jej dłonie mnie oplotły, i uśmiechnęłam się do siebie smutno.

Ponownie miałyśmy okazję porozmawiać podczas lunchu. Bardzo to było dziwne, bo najwyraźniej Mona już zdążyła przekazać Audrey swoją decyzję i po raz pierwszy zasiadłyśmy przy stoliku tylko we dwie. Mimo iż doceniałam gest Mony i że nadal chciała się ze mną kolegować, to czułam się z tego powodu dziwnie niezręcznie. Jakbym właśnie zniszczyła czyjąś długoletnią przyjaźń. Nie pisałam się na takie rzeczy i nienawidziłam tego, że musiałam znaleźć się w takiej sytuacji.

Sądziłam, że ten lunch nie mógł być gorszy. Mona niewiele mówiła, a Audrey mignęła mi gdzieś w kolejce, znowu demonstracyjnie odwracając ode mnie wzrok. Okazało się, że to nie koniec niezręczności. Gdy rozwinęłam papier swojej kanapki z kurczakiem, ktoś opadł na krzesło obok mnie i nie musiałam nawet zerkać w bok, żeby wiedzieć, że to Dylan.

Postawił puszkę napoju na blacie przed sobą i zaczął dobierać się do swojej własnej kanapki, dwa razy większej od mojej. Wpatrywał się w nią, ignorując mnie, jakbyśmy od zawsze razem spędzali przerwę na lunch.

– Co robisz? – zapytałam, zezując ostrożnie na Monę. Nie chciałam wprawiać jej w jeszcze większy dyskomfort. Kłękcie Dylana wciąż były lekko pokiereszowane po laniu, jakie spuścił Jerry’emu, co wyjątkowo rzucało się w oczy, gdy oburącz trzymał swoje jedzenie.

– Pilnuję cię – odparł po prostu, z pełnymi ustami.

– Ale że po co...?

– Żebyś grzecznie zjadła swoje papu.

Zapadłabym się pod ziemię, gdybym tylko mogła.

– Dylan – jęknęłam. – Idź sobie.

Mój brat uniósł palec i postukał nim o moją tacę.

– Migusiem.

Ręka mi drgnęła, żeby trzepnąć go w głowę albo chociaż w rękę, i może nawet bym to zrobiła, nie zważając na konsekwencje, gdyby w tym

momencie nie pojawił się przy nas poblady Shane i nie dźgnął Dylana w ramię.

– Mam problem.

Dylan spojrział na niego i kiwnął głową, czekając, aż rozwinię temat. Shane zaczął szeptać, ale tak gorączkowo, że słyszałam prawie wszystko, co mówił.

– Marge mi nie odpisuje.

– To chyba dobrze?

– Wcale niedobrze, ostatnią wiadomość wysłała mi pół godziny temu, to dziwne.

– Czemu dziwne?

– Nie wiem, stary, ona się chyba czegoś nałykała. – W głosie Shane wyraźnie pobrzmiwała panika.

Dylan przymknął na chwilę oczy i przestał brać nowe gryzy swojej kanapki.

– Czemu tak uważasz?

– Bo wcześniej napisała, że się czegoś nałykała.

– Ja pierdolę, Shane – warknął Dylan. – Czego jej nie ugłaskałeś?

– Próbowałem, ale zaczęła dramatyzować jak jeszcze nigdy... Myślałem, że kłamie z tymi tabletkami, ona zawsze kłamie, ale no... teraz mi nie odpisuje, a to do niej niepodobne. Ona nigdy nie odpuszcza, gdy się kłócimy. Zawsze chce mieć ostatnie słowo.

– Gdzie ona jest?

– W domu, nie przyszła dziś do szkoły.

– Ja pierdolę – powtórzył wściekle Dylan, zrywając się z miejsca. – Ty i te twoje dziunie!

Shane cofnął się, patrząc z nadzieją na naszego starszego brata.

– Co myślisz, żeby zrobić? – zapytał.

– No jechać do niej, nie? Sprawdzić, czy się nie zabiła, idiotka.

Shane pokiwał energicznie głową.

– Okej... okej, jedźmy do niej.

– E! – Dylan gwizdnął na Tony’ego, który siedział z kumplami przy stałym stoliku Monetów. Zamachał na niego, żeby podszedł, co najmłodszy z braci Monet niechętnie zrobił. Zbliżył się z puszką coli w wydziaranej dłoni i obrzucił braci pytającym spojrzeniem. Dylan wskazał na mnie podbródkiem. – Przypilnuj ją.

– Co? – jęknął Tony. – Co jest? Czemu ja?

– Bo twój bliźniak to głąb.

– Jedziemy sprawdzić, czy z Marge wszystko w porządku – poinformował go Shane.

– Z Marge? – skrzywił się Tony.

– Jak nie wrócimy do popołudnia, to zabierz Hailie... – Dylan przerwał i rozejrzał się, po czym dokończył: – ...wiesz gdzie.

Tony zmarszczył brwi i rozłożył ręce, gotów zadać setki pytań, ale nasi bracia opuścili w pośpiechu stołówkę bez dalszych wyjaśnień. Odwróciłam się do Mony, która szeroko otwarte oczy przenosiła właśnie na Tony’ego. Dużo bym oddała za to, żeby jednak dzisiejszy lunch przebiegł spokojnie, bez dramy w wykonaniu braci Monet, ze względu chociażby właśnie na moją koleżankę. Niestety, nie mogłam jej tego zapewnić.

– Nie musisz tak nade mną stać – rzuciłam do Tony’ego, który upił właśnie łyk swojej coli.

– Jedz – mruknął tylko.

– Jem przecież. Możesz wrócić do swojego stolika.

– Okej, jedz.

Mona marszczyła brwi. Nie wiedziała o moich problemach z odżywianiem.

– Nie musisz...

Tony stracił cierpliwość i otwartą dłonią, w której nie trzymał puszki, łupnął w stół tak, że lunch mój i Mony aż podskoczył. My dwie zresztą razem z nim. Pobladła Mona gapiała się na mojego brata, a ja aż skuliłam się w sobie.

– Możesz się przymknąć i po prostu zacząć jeść?!

Spuściłam wzrok na wytatuowaną na jego dłoni czaszkę, która zdawała się szczerzyć zęby w drwiącym uśmiechu. Całą siłą woli próbowałam powstrzymać łzy. Jak on może taki dla mnie być, i to w obecności mojej koleżanki?

Przez niego jeszcze bardziej cofało mi się podczas konsumowania tej okropnej kanapki i jadłam ją wyłącznie po to, żeby pozbyć się go ze swojego otoczenia. Byłam tak skupiona na tej misji, że nie zauważyłam nawet, gdy faktycznie zniknął, dopóki Mona mi tego nie uświadomiła. Wstydziłam się patrzeć jej w twarz po tym, jak mnie potraktował, a ona też milczała, nie będąc chyba nawet w nastroju, żeby zagadać, o co chodzi.

Byłam ciekawa, jak szybko zacznie otwarcie żałować, że zostawiła dla mnie swoją przyjaciółkę. Miałam wrażenie, że nie minął nawet jeden dzień, a to już się powoli działo.

Koniec zajęć nie napawał mnie optymizmem, bo wiedziałam, że nie jadę prosto do domu, a do psychologa, na co, delikatnie mówiąc, nie miałam większej ochoty. Powłócząc nogami, przybita i niezwykle zmęczona szłam na parking, aż zatrzymałam się przy miejscach parkingowych Monetów i rozejrzałam się za niebieskim lamborghini. Auto to rzucało się zawsze w oczy tak bardzo, że od razu dostrzegłam, że dziś go tutaj nie ma. Za to dojrzałam Tony'ego, który stał przy swoim motocyklu. Skierowałam się w jego stronę, wolno, bo zmiękły mi kolana.

Gdy mnie zauważył, bez słowa podał mi kask.

– Nie wsiądę na to – zapowiedziałam natychmiast. Zaprotestowałam trochę mu na przekór, a trochę dlatego, że miałam okazję przyglądać się stylowi jazdy Tony'ego i naprawdę bałam się podróżować z nim autem, a co dopiero motocyklem.

Spodziewałam się, że mój brat znowu zacznie warczeć, a może nawet na mnie nakrzyczy, ale on tylko wywrócił oczami.

- Nie masz wyboru.
- Nie wsiądę na motor, poczekam na Shane'a.
- To motocykl, nie motor, i nie poczekasz na Shane'a, bo on tu dziś nie wróci.
- Dlaczego nie zostawił nam samochodu?

- Bo jest debilem i nie myśli? Nie wiem, wsiadaj. Nie mam całego dnia.
- To ja wolę iść na piechotę.
- Hailie, nie wkurwiał mnie.

Nie wiem, czy zadziałał ostrzegawczy ton Tony'ego, czy moje zmęczenie, które w rzeczywistości wykluczało długi spacer, ale w końcu się poddałam i niechętnie wzięłam od niego kask, upewniwszy się, że całą sobą daję mu do zrozumienia, jak wielką łaskę mu robię. Tony sprawdził tylko, czy kask dobrze leży na mojej głowie, i założył swój, a następnie usiadł okrakiem na maszynie i skinął na mnie, bym zrobiła to samo.

Najpierw zmierzyłam pojazd nieufnym spojrzeniem, a dopiero potem wgramoliłam się na miejsce za nim. Wiedziałam, że na bank znajdował się na parkingu ktoś, kto nas właśnie obserwował, dlatego tym bardziej uważałam, by każdy mój ruch był przemyślany. Podwinęłam spódniczkę od mundurka, żeby nikt nie zobaczył mojej bielizny, i skupiłam się na tym, żeby nie stracić równowagi. Ależ ten motocykl był niestabilny.

Pierwszy raz siedziałam na czymś takim i tak naprawdę byłam trochę podekscytowana. Gdy tylko zobaczyłam tę maszynę po raz pierwszy, zaczęłam się zastanawiać, jak to jest czuć ten słynny wiatr we włosach. Jednak nikt nigdy nie zaproponował mi przejażdżki. A poza tym, jak wspomniałam wcześniej, Tony nie wydawał się najbardziej godnym zaufania kierowcą, więc bynajmniej się nie garnęłam, by mu towarzyszyć podczas jazdy.

Nie wiedziałam, czego się złapać, ale Tony pomógł mi rozwiązać ten problem. Nie odwracając się, sięgnął do tyłu i złapał mnie za nadgarstki, a potem objął się moimi rękami w pasie. Gdy tylko usłyszałam ryk silnika i wibracje, zadrżałam i automatycznie, niczym pijawka, przylgnęłam do jego pleców. Wyczuwałam dłońmi jego twardego brzuch i cieszyłam się, że jest taki umięśniony, bo inaczej siłą swojego uścisku chyba bym go przepołowiała.

– Trzymaj się mocno – polecił mi podniesionym głosem, przekrzykując odgłos silnika i tłumiący jego słowa kask.

Mocniej już się nie dało.

Gdy ruszył, miałam ochotę piszczeć, jak na kolejce górskiej. Jeszcze nigdy nie przytulałam się do żadnego ze swoich braci tak jak do Tony'ego

w tym momencie. Wiatru we włosach nie było dane mi poczuć przez kask, ale nie szkodzi. Powieki miałam na początku zaciśnięte, potem starałam się trochę podejrzeć, gdzie jesteśmy, ale gdy zobaczyłam, jak szybko śmigają drzewa po bokach, stwierdziłam, że jednak wolę mieć zamknięte oczy.

Takiej adrenaliny nie czułam nawet wtedy, gdy zakradłam się do zakazanego korytarza w naszym domu. Może ewentualnie była porównywalna z tą towarzyszącą mi w momencie, gdy nawiązywałam kontakt wzrokowy z lufą, którą Jerry machał mi przed twarzą.

Po pewnym czasie zaczęłam się przyzwyczajać do prędkości i do szumu. Przestałam się też zastanawiać, czy spódniczka oby za bardzo mi nie powiewa, a dzięki ekscytacji nie odczuwałam aż tak bardzo zimna, które było jedynym znaczącym minusem tej jazdy. Był przecież styczeń. W końcu jednak udało mi się nieco wyluzować, a nawet zaczęłam odczuwać przyjemność.

Do czasu.

W którymś momencie Tony zaczął przyśpieszać. Bardzo. Miałam wrażenie, że jedziemy już szybko i ja naprawdę nie chciałam szybciej. Na powrót cała się spięłam i miałam ochotę wykrzyknąć do niego, by zwolnił, ale nie było szansy, żeby mnie usłyszał. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko telepatycznie go o to błagać.

Mniej więcej wtedy zaczęłam się poważnie bać.

A zaraz potem pojawił kolejny powód do strachu, bo usłyszałam huk. Szybko rozbrzmiał też następny i poczułam gwałtowne szarpnięcie. Teraz motocykl zaczął trochę podskakiwać. Otworzyłam oczy na ułamek sekundy, by zanotować, że prawdopodobnie skręciliśmy w jakąś leśną drogę. Co ten Tony wyprawia? Chce mnie przestraszyć? Zabiję go.

Kolejny huk. Z moich ust chyba wyrwał się krzyk, nie byłam nawet pewna. Serce waliło mi jak oszalałe. Chciałam się zatrzymać.

Chcę się zatrzymać!

Próbowałam to wykrzyknąć, ale nie potrafiłam. Coś mnie blokowało. Działo się coś złego.

Kolejne szarpnięcie, kolejny huk. I jeszcze jeden.

Chciałam przytulić się policzkiem do pleców brata, szukając stabilności w tym szalonym wirze wydarzeń, ale mój kask mi to uniemożliwił. Zamiast tego przywarłam więc do Tony'ego, na ile mogłam, i starałam się nie odrywać od jego kurtki za żadne skarby. Z całych sił zaciskałam powieki. Palce splotłam na jego brzuchu, jak gdyby od tego zależało moje życie.

Kolejny huk, który się rozległ, był najgłośniejszy. Tak głośny, że aż mi zadzwoniło w uszach. Towarzyszył mu też jakiś inny bardzo nieprzyjemny dźwięk. I wtedy jakaś ogromna siła wręcz zerwała mnie z motocykla.

Nie, muszę się trzymać Tony'ego, trzymać Tony'ego!

Wrzeszczałam tak do siebie w myślach, ale na głos nie byłam w stanie wydobyć z siebie żadnych sensownych słów. Potrafiłam tylko krzyczeć niekontrolowanie. A może darłam się tylko w swojej głowie? Leciałam. Już nie obejmowałam nikogo. Leciałam, aż poczułam uderzenie. Możliwie, że otarłam się o ziemię. Dziwne, nawet nie bolało. Ale nie mogłam zaczerpnąć powietrza do płuc, jakby nagle przestały działać. Z jakiegoś powodu mi to nie przeszkadzało. Działo się coś dziwnego, nie rozumiałam tylko co. Chwila, czy ja się turlałam?

Zamknęłam oczy.

Otworzyłam.

Zamknęłam.

Otworzyłam znowu, sekundę, minutę lub godzinę później... Leżałam na zimnej ściółce. Cała zeszywniała, nie mogłam się podnieść. Obróciłam głowę – ciążył mi na niej kask. Wszystko wokół widziałam jakby przewrócone na bok. Przez przymrużone z wysiłku oczy obserwowałam, jak niedaleko mnie zatrzymuje się motocykl. Widziałam koła i nogi mężczyzny, który właśnie stawał na ziemi. To musiało być jakieś kilka metrów od miejsca, w którym leżałam. Och, to na pewno Tony. Chyba się go po prostu puściłam i musiałam spaść. Nieważne, on mi zaraz pomoże.

Prawie załkałam, gdy mężczyzna zdjął kask i zobaczyłam jego łysą głowę. Załała mnie fala paniki. To nie był Tony. To jakiś inny facet na innym motocyklu. Kim on jest i gdzie w takim razie podział się mój brat?

Teraz już było cicho, za cicho. Ptaki ćwierkały niewinnie, a między bezlistnymi drzewami przebijało się słońce. Wciąż nie mogłam się ruszyć,

więc tylko patrzyłam przed siebie. Mężczyzna nieśpiesznym ruchem odłożył kask na siedzenie swojego pojazdu. Teraz widziałam, że był to motocykl zupełnie inny niż ten Tony'ego. Miał wstawki w kolorze żółtym i był jakiś taki obłocony. A Tony przecież dbał o swoją maszynę nie mniej niż o siebie samego.

Nie widziałam dobrze twarzy mężczyzny, ale gdy się odwrócił, zobaczyłam, że to dorosły facet, na oko przed czterdziestką. Tak skupiłam się na analizowaniu jego kaprawej twarzy, że sapnęłam cicho, gdy zobaczyłam, że znikąd w jego dłoni pojawił się srebrny pistolet.

Nie, proszę, nie.

Tylko nie to. Znowu.

Patrząc w jeden punkt na ziemi (przy okazji znajdujący się całkiem niedaleko mnie) zrobił kilka kroków w tamtą stronę.

– Monet.

Brzmiał, jakby mówił przez nos, ale nie w taki zabawny sposób. Wręcz przeciwnie, na dźwięk jego głosu aż zadrżałam. Pragnęłam wybudzić się z tego snu jak najszybciej.

Mężczyzna zrobił jeszcze jeden krok i wtedy zrozumiałam, dlaczego się tak czai.

O Boże, czy to Tony? Czy to Tony tam leżał?

– Mam cię, chłopcze.

Czy Tony potrzebował pomocy?

Zmusiłam swoje ciało do współpracy. Nie mogłam tak beczynn timer leżeć. Przecież nic mi się nie stało, musiałam więc się podnieść, zrobić coś pożytecznego. Ruszyłam najpierw palcem, potem ręką, a następnie lewą nogą. *Dobrze, właśnie tak* – powtarzałam sobie w myślach.

Leżałam na boku i z wielkim wysiłkiem podciągnęłam się na rękach. Nie zdołałam nawet usiąść, ale przynajmniej moja widoczność się poprawiła. Zamrugałam, bo zakręciło mi się w głowie i dopiero po chwili zobaczyłam Tony'ego. Też się akurat podnosił, wyglądał przy tym na nieco oszołomionego. Twarz miał zarumienioną, a wilgotne od potu włosy posklejane na czole. Sekundy wcześniej musiał zerwać sobie z głowy kask

i odrzucić go na bok, bo ten turlał się w tle, aż uderzył o konar pobliskiego drzewa. To wtedy przypomniałam sobie, że ja swój nadal mam na sobie.

Zerknęłam w bok, na swoje nogi, i zalała mnie fala paniki. Moje białe zakolanówki rozdarły się na wysokości łydki. Formowała się tam teraz spora plama krwi. Ten widok mnie przeraził, aż wydałam zduszony okrzyk, poruszając się gwałtownie. Na dodatek poczułam też nagłą potrzebę zdjęcia tego cholernego kasku. Zaczął mnie krępować, ciążyć mi i zawadzać. Tą szamotaniną tylko narobiłam hałasu i ściągnęłam na siebie uwagę mężczyzny, który do tej pory sterczał nad Tonym.

– Och – westchnął, gdy w końcu pozbyłam się kasku z głowy i mogłam zobaczyć moją twarz w całej okazałości. Jego wąskie, ale i szerokie usta rozciągnęły się w złowieszczym uśmiechu, gdy taksował mnie swoimi świńskimi oczkami. – Kto by się spodziewał.

Tony spróbował zmienić pozycję. Fakt, że tak długo nie stawał na nogi, oznaczał, że mój brat musiał być w nie najlepszej kondycji, co dodatkowo mnie zaniepokoiło. Wyciągałam szyję, żeby dostrzec jego wyraz twarzy czy cokolwiek, co mogłoby pomóc mi w ocenie jego stanu, ale ze swojej pozycji niewiele potrafiłam dostrzec. Co więcej, mężczyzna nagle dźgnął go leniwie, acz mocno stopą w kostkę. Tony sapnął, a facet uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– A ja myślałem, że wiesz ze sobą jakąś swoją dupę... Nawet się zawiodłem, bo miałem raczej nadzieję, że złapię cię z którymś z braciszków. – Mężczyzna zamilkł na chwilę, patrząc na mnie z rosnącym zadowoleniem. – Ale teraz już widzę, że to przecież mała Hailie Monet.

Patrzyłam na tego człowieka z rosnącym lękiem. Chciało mi się wymiotować, ale wciąż nie mogłam znaleźć sił, by się unieść.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

– Los mi dzisiaj sprzyja.

– O co ci, kurwa, chodzi? – warknął Tony.

Jego głos był słaby, przytłumiony, bo udało mu się oprzeć o pobliskie drzewo i podciągnąć się przy nim do półprzysiadu, co najwyraźniej kosztowało go mnóstwo energii. Widok mojego brata, który zawsze zgrywał twardziela i który w moim wyobrażeniu był właściwie niezniszczalny,

w takiej sytuacji jak teraz przerażał mnie bardziej niż moja zakrwawiona noga czy pistolet błyszczący w ręce naszego łysego prześladowcy.

– Mam wiadomość dla Vincenta Moneta – odparł. – A jej treścią będą... martwe ciała dwójki jego najmłodszego rodzeństwa.

Tony spróbował dźwignąć się na równe nogi, kurczowo łapiąc się spróchniałego pnia.

– Idioto, przecież on cię zamorduje!

– Może, o ile się dowie, że to ja. – Mężczyzna wzruszył ramionami, przyglądając się obojętnie wysiłkom Tony'ego. – Ale jeśli twój duch nie nawiedzi go we śnie i mu tego nie wypaple, to twój drogi braciszek tylko oszaleje z bezsilności.

Nigdy w życiu się tak nie bałam, a mimo to miałam wrażenie, że powaga sytuacji jeszcze do mnie nie dotarła.

– Nic się nie martw, nie jestem potworem. Najpierw zabiję twoją małą siostrę, żeby nie musiała widzieć, jak umiera jej brat. – Znieruchomiałam, gdy wskazał na mnie bronią. – Mam nadzieję, że docenisz mój gest.

Cała się trzęsłam. Mówił o mnie. O Boże, ten człowiek chce mnie zabić. *Umrę.*

– Ona ma piętnaście lat! O niczym nie wie, nie ma nic wspólnego z Organizacją! – ryknął Tony wściekle, nareszcie popisując się mocą swojego głosu.

– Przykro mi, skarbie – zawrócił się do mnie niemal ze współczuciem, choć na pewno fałszywym. – Wiem, że nie wybrałaś sobie nazwiska. To nie twoja wina, ale cóż, tak to już jest w tym świecie.

Z rozchylonymi wargami gapiłam się w jego ciemne oczy, niezdolna, żeby się ruszyć lub chociaż coś powiedzieć. Z zaciśniętym gardłem i ciarkami na plecach patrzyłam, jak mężczyzna unosi w końcu pistolet i celuje nim prosto we mnie. W ciągu ostatnich kilku dni to był już drugi raz, gdy ktoś trzymał mnie na muszce.

Tym razem jednak wyglądało na to, że naprawdę umrę.

Umrę.

A potem nagle świat przyśpieszył tak, że wciąż nie jestem pewna, czy mój mózg zdołał zarejestrować wszystkie wydarzenia, a jeśli nawet, to czy ich kolejność na pewno się zgadza. Wiem, że usłyszałam huk, którym był wystrzał z pistoletu, i jeszcze jeden, i następny, poczułam ból, gdy coś ciężkiego przygniotło mnie do ziemi. Na powrót nie mogłam oddychać. Tego było za wiele.

Straciłam przytomność, ale chyba tylko na kilka sekund, bo gdy znowu otworzyłam oczy, zobaczyłam, że Tony słańia się na nogach tuż przede mną, odwrócony do mnie tyłem. Jedną rękę wyciągał przed siebie. Trzymał w niej swój czarny pistolet.

Do moich uszu dobiegły głośne przekleństwa.

I znowu straciłam przytomność.



25

Trzymaj się, młody

Jeszcze raz.

Patrzyłam na lufę pistoletu wycelowaną w moim kierunku. Towarzyszącego mi wtedy uczucia nie da się opisać. Było inaczej niż z Jerry. Koniec końców Jerry mi tylko groził, a mężczyzna przede mną właśnie w skupieniu uniósł broń, żeby z zimną krwią mnie zabić.

Chciałam spojrzeć na Tony'ego. Wiedziałam, że mimo naszej burzliwej relacji on wciąż jest moim bratem, moją rodziną, i widok jego twarzy, choć przeważnie tak obojętnej, przyniósłby mi w tych ostatnich chwilach ukojenie.

Ale nie mogłam oderwać wzroku od broni. Była jak pułapka, w którą wpadło moje spojrzenie. Uwierzyłam, że już za chwilę umrę. Nie chciałam tego. Dotychczas tylko raz myślałam o własnej śmierci i było to zaraz po tym, jak zostałam poinformowana o wypadku, w którym zginęły moja mama i babcia. Moją pierwszą myślą było wtedy, że co ja zrobię na tym świecie bez mamy. Rozważałam, żeby pójść w jej ślady, ale tylko przez jedną naprawdę ciężką noc, kiedy nie mogłam spać i wylałam morze łez. Następnego dnia dowiedziałam się, że mam braci.

Choć wciąż bardzo tęskniłam za swoją ukochaną mamą, nie byłam gotowa na to, żeby umrzeć.

Łysy mężczyzna jednak wcale nie pytał mnie o zdanie. Rozległ się dźwięk odbezpieczenia pistoletu, dobrze znany mi z filmów, i ze strachu zacisnęłam powieki. Serce waliło mi jak oszalałe.

Strzał.

Mój krzyk zagłuszyło kilka kolejnych szybkich huków. Potem rozległa się masa przekleństw.

Leżałam przyciśnięta do ziemi. Potrzebowałam chwili, żeby się otrząsnąć i zrozumieć, co się dzieje. Przede mną, tyłem do mnie, klęczał Tony. To on na mnie napierał. Jedną ręką podtrzymywał się ziemi, a drugą, w której trzymał pistolet, właśnie celował przed siebie.

Równie szybko, jak straciłam przytomność, ją odzyskałam.

Strzelił znowu chyba ze dwa razy. Ciągłe słychać było przekleństwa.

Plecy Tony'ego trochę zasłaniały mi widoczność, ale zdążyłam zauważyć, jak łysy mężczyzna ucieka przed kulami mojego brata. Kuśtykał, i to mocno. Rzucił się na motocykl, którym tu przyjechał, i niezdarnie na niego wsiadł. Widziałam, jak jego brzydka twarz krzywi się z bólu, a następnie rozbrzmiał kolejny huk, ostatni już, i jego twarz zamarła.

Po chwili jego ciało opadło na motocykl, a potem niezgrabnie się z niego zsunęło i gruchnęło o ziemię. Pod ciężarem dorosłego mężczyzny pojazd najpierw zakołysał się niebezpiecznie, po czym runął w bok, przygniatając nieruchome ciało. Odgłos upadającej maszyny odbił się echem po lesie, aż w końcu nastąpiła cisza.

Względna cisza, bo dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że tuż przede mną Tony dyszy głośno z bólu i wysiłku. Przestałam patrzeć na motocykl, a skupiłam się na swoim bracie, który właśnie odwracał się w moją stronę. Jego twarz była zbieleła, napięta i wykrzywiona. Wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty, ale co przeraziło mnie jeszcze bardziej, to ogromna czerwona plama, która formowała się na jego wystającej spod rozpiętej kurtki koszuli.

– Tony!

Chciałam mu powiedzieć, żeby spojrzał w dół, żeby coś zrobił, zatamował to krwawienie, cokolwiek. Ale on odwrócił się po to, by popatrzeć na mnie.

– Dostałaś?! – zapytał, a w jego głosie pobrzmiwała panika.

Nie mogłam się ruszyć ani zmusić do odpowiedzi. Gapiłam się na niego wielkimi oczami. Zmarszczyłam też brwi, zastanawiając się, co ja niby mogłabym dostać.

Drgnęłam, gdy pstryknął palcami tuż przy mojej skroni.

– Hej, powiedz mi!

Zamrugłam, ale nie udało mu się tym wybić mnie z szoku. Patrzyłam tępo na jego dłoń. On natomiast nie marnował czasu. Gdy nie doczekał się żadnej reakcji, sam zajął się poszukiwaniem odpowiedzi na swoje pytanie.

Jego ręce odgarnęły moje włosy, a następnie powędrowały do zamka mojej kurtki i rozpięły ją szybkim szarpnięciem. Wszystkie jego ruchy były gwałtowne i mało delikatne. O mały włos zdarłby ze mnie mundurkową koszulę, gdy podwinął ją do góry kolejnym silnym pociągnięciem. Poczułam, jak zimne powietrze wchodzi w kontakt z moją nagą skórą. W normalnych okolicznościach wyrwałabym się Tony'emu i oskarżyła go o naruszenie prywatności, ale on w mig skończył swoje oględziny, niedbale opuścił z powrotem materiał i odchylił głowę do tyłu, wypuszczając powietrze z płuc.

– Nic ci nie jest.

– Tony... – odezwałam się. Mój głos był jednak ledwo słyszalny, więc odchrząknęłam i spróbowałam znowu. – Tony!

On jednak mnie zignorował i skupił się teraz na kolejnej czynności. Z kieszeni swojej kurtki wyciągnął telefon.

– Tony, ty krwawisz...

– Kurwa – mruknął do siebie, po czym syknął głośno przez zaciśnięte zęby, spróbował się podnieść. Wtedy uniósł wzrok znad ekranu swojej komórki.

– Możesz wstać?

Spojrzałam nieprzytomnie na swoje nogi. Przecież leżałam. Zaraz, o co on pytał?

– Hailie! – krzyknął ostro i ścisnął moje ramię, żeby ściągnąć na siebie moją uwagę. – Słuchaj mnie. Musisz wstać i pochodzić dookoła, żeby złapać

zasięg. Musisz zadzwonić do Vince'a i powiedzieć mu, co się stało. Rozumiesz?

Nie rozumiałam. Nie mogłam się w ogóle skoncentrować, ale mimo to pokiwałam głową, bo wiedziałam, że to ważne.

– Popatrz na mnie – powiedział Tony, tym razem spokojniej, choć palce na moim ramieniu zacisnął jeszcze mocniej. Och, jak dobrze, że przestał krzyczeć. Napotkałam jego oczy. Nigdy jeszcze nie były tak przejęte. – Jeśli nie weźmiesz się w garść, będzie ze mną źle. Potrzebuję cię, Haille. Potrzebuję twojej pomocy.

Dopiero te słowa dotarły do mojego ociążonego umysłu. Tony potrzebuje pomocy. Właśnie prawie umarłam, a Tony mnie uratował i teraz potrzebuje pomocy. Mojej pomocy.

Nagle zalała mnie fala dreszczy, gdy świadomość sytuacji, w której się znalazłam, we mnie uderzyła. To było jak wybuch bomby, który spowodował, że po chwilowym ogłuszeniu zaczęłam czuć wszystko. Najpierw do mojego mózgu dotarł ból nogi, tak okropny, że aż jęknęłam. Cały lewy bok palił mnie żywym ogniem i aż szarpnęłam głową, by spojrzeć w tamtą stronę i upewnić się, że nie widać nigdzie płomieni. Moją głowę rozrywał ból i jakieś okropne dudnienie, czułam, jakby za chwilę miała mi pęknąć. Oddychałam spazmatycznie. Twarz miałam mokrą od łez. Ledwo mogłam się ruszyć, a co dopiero wstać.

Ale zrobiłam to. Powoli dźwignęłam się na nogi, powstrzymując kolejne łzy. Boże, jak bardzo mnie wszystko bolało, jak okropnie się czułam! *Ty jesteś głupia, to Tony leży z raną postrzałową* – powiedziałam do siebie w myślach i trochę mi to pomogło. Zakręciło mi się w głowie, przytrzymałam się drzewa, żeby nie upaść. Wyjątkowo szorstka kora obtarła mi palce. Wolną dłonią zaczęłam niezdarnie macać się po kieszeniach.

– Nie wiem, gdzie mój telefon – wychrypiałam.

– Weź mój. Znajdź zasięg. Tylko się za bardzo nie oddalaj – poinstruował mnie Tony. Mówił przez zaciśnięte zęby. Wyciągnął w moją stronę rękę ze swoją komórką. Przejęłam ją od niego i zaczęłam kręcić się wkoło, czekając, aż w rogu ekranu pojawią się upragnione kreski.

– Tony, nie powinnam zadzwonić najpierw na pogotowie? – zapytałam, pociągając nosem i próbując zmusić się do trzeźwego myślenia.

– Najpierw do Vince’a.

Chodziłam wokół, utykając i próbując nie wpaść na żadne drzewo. Trzymałam telefon kurczowo w obu dłoniach, z utęsknieniem wypatrując informacji o zasięgu. Gdy tak krążyłam wpatrzona w ekran komórki, nagle prawie nadepnęłam na coś leżącego na ziemi. To była ludzka ręka. Stanęłam jak wryta, jakby poraził mnie prąd. Potem zobaczyłam skórzaną kurtkę i jasne jeansy. Nie chciałam patrzeć na jego twarz, ale mój wzrok mimowolnie ku niej powędrował.

Wrzasnęłam i prawie wypuściłam telefon Tony’ego z dłoni.

Skupiona na szukaniu sygnału nie zauważyłam, że zbliżyłam się do miejsca, w którym przygnieciony motocyklem leżał nasz dręczyciel. Trudno mi było teraz oderwać wzrok od jego białej jak kreda twarzy. W jego policzku ziała dziura po kuli, a oczy były szeroko rozwarte. Już nie miały tego bestialskiego wyrazu co wcześniej, tylko pusto wpatrywały się w dal. To była najbardziej przerażająca rzecz, jaką widziałam w życiu.

– Odsuń się i nie patrz na niego. Omiń go. On nie żyje. Nic ci nie zrobi – powiedział do mnie Tony. Mówił z tak wielkim trudem, że zrozumiałam, iż muszę naprawdę wziąć się w garść i zachować zimną krew.

Powłócząc lewą nogą, pokuśtykałam dalej, jak najdalej od trupa. Odgłosy zimowych ptaków i łagodny szum wiatru w koronach drzew wydały mi się zupełnie nie na miejscu. Jakby natura sobie ze mnie kpiła. Kręciło mi się w głowie. Wszystkie drzewa były identyczne, tak samo ponure i obojętne. Czy to zawroty głowy, czy ja sama się obracałam?

Nagle na ekranie wyskoczyły trzy kreski.

Zatrzymałam się, trzęsąc się cała z przejęcia.

– M-mam!

– Brawo, to teraz dzwoń do Vince’a i powiedz mu w skrócie, co się stało...

Tony urwał i zaklął cicho, ale ja to usłyszałam i zagryzłam wargi. To nie żarty, z nim było naprawdę źle. Gorączkowo przeszukiwałam listę jego kontaktów, uderzając opuszkami palców w ekran mocniej, niż było to konieczne. Wybrałam numer naszego najstarszego brata, po czym przytknęłam telefon do ucha, modląc się, by ten odebrał jak najszybciej.

Sygnał połączenia.

Moje serce waliło jak oszalałe.

– Tak?

Nigdy, powtarzam, nigdy nie poczułam tak wielkiej ulgi na dźwięk tego zimnego głosu.

– Vince? – załkałam, a w moich oczach wezbrały się łzy.

– Hailie? – zapytał. W jego głosie usłyszałam zaskoczenie. Natychmiast zadał kolejne pytanie: – Gdzie jest Tony?

Wzięłam głęboki, drżący wdech i zaczęłam opowiadać mu, co się wydarzyło. Mówiłam bez ładu i składu, ale Vince, gdy tylko uświadomił sobie powagę sytuacji, przejął całkowitą kontrolę nad rozmową i zaczął zadawać mi konkretne pytania. W ten sposób było mi łatwiej przekazać mu, co się stało, a on otrzymywał potrzebne informacje.

– Jesteś ranna?

– Nie.

Słyszałam, że ostrym jak brzytwa głosem rzuca jakieś instrukcje Willowi. Mówił o pogotowiu i żeby biegł po apteczkę, a także że spotkają się w garażu. Następnie zwrócił się z powrotem do mnie:

– Hailie, zostaw telefon tam, gdzie stoisz, gdzie jest zasięg, i wróć do Tony’ego. Rób to, co każe. Zaraz tam będziemy. Powiedz, czy zrozumiałaś.

– Zrozumiałam – wyszeptałam.

– Powtórz, co teraz zrobisz.

– W-wrócę do Tony’ego...

– A telefon?

– Zostawię. Zostawię tu, gdzie jest zasięg.

Rozłączył się, a ja z westchnieniem ulgi zacisnęłam powieki. Vince się wszystkim zajmie. On wie, co robić. Stałam tak przez kilka sekund dumna z wykonanego zadania, aż znowu przeszły mnie nieprzyjemne dreszcze. Powoli zaczynałam odczuwać styczny chłód.

Potrząsnęłam głową. Nie było czasu, by przejmować się takimi niedogodnościami. To jeszcze nie koniec. Postanowiłam wrócić do

Tony'ego, a gdy go zobaczyłam, od razu poczułam ukłucie paniki, bo zastałam go leżącego i dyszącego ciężko, oczy miał półprzymknięte. W miejscu rany przytrzymał teraz kurtkę, zapewne by zatamować krwawienie.

– Vince zaraz tu będzie – oznajmiłam.

Miałam nadzieję, że te słowa go uspokoją. Tony pokiwał lekko głową, przyjmując informację do wiadomości. Patrzyłam na jego długie rzęsy, zmarszczone z wysiłku brwi i wystające spod ubrań tatuaże na szyi. Wyciągnęłam do niego drżące ręce, chcąc coś zrobić, by mu ulżyć, ale nie wiedziałam co. Brakowało mi umiejętności, by na coś się przydać. Nienawidziłam samej siebie za brak wiedzy z zakresu pierwszej pomocy. Ze szkoły wiedziałam, jak zatrzymać krwotok z nosa albo zrobić masaż serca, ale nie potrafiłam poradzić nic na ranę postrzałową.

– Tony, jak mogę ci pomóc?

– Nie możesz – mruknął cicho, jakby już na wpół nieobecny.

A mnie przypomniały się te wszystkie filmy, w których ranne osoby powoli odpływały, a ich towarzysze zawsze wtedy krzyczeli spanikowani: „Nie zasypiaj!”, bo sen oznaczał śmierć. Czy miałam rozumieć, że to samo działo się teraz z moim bratem? Czy Tony umierał?

Okrutnie nieprzyjemny dreszcz przeszedł moje ciało, gdy wyobraziłam sobie, że Tony mógłby teraz przy mnie zasnąć i już się nie obudzić. W jednej chwili padłam przy nim na kolana, ignorując bolesne szarpnięcie w nodze i boku. Złapałam Tony'ego za ramię i potrząsnęłam nim mocno, jak na swoje możliwości.

– Co? – warknął.

– Nie możesz zasnąć.

– Nie śpię przecież – mlasnął z niezadowoleniem.

– To otwórz oczy.

Nie odpowiedział. I dalej miał opuszczone powieki. Potrząsnęłam nim znowu, nawet jeszcze nachalniej.

– Odwał się.

– Otwórz oczy!

Otworzył. I popatrzył na mnie z niechęcią.

– Ale ty jesteś wkurw...

– Tak, tak, jestem wkurwiająca, już to słyszałam – przerwałam mu zniecierpliwiona i zmęczona jego wiecznymi obelgami.

Tony klepnął mnie po dłoni. Nie mocno, ale też nie tak lekko, jak bym się spodziewała, biorąc pod uwagę jego stan. Dłoń mnie zapiekła i syknęłam, natychmiast ją od niego odsuwając.

– Nie przeklinaj – warknął.

W ciągu ostatnich chwil Tony wypowiedział w sumie chyba więcej przekleństw niż normalnych słów, ale w swoim pokręconym umyśle uznał, że to mnie należało zwrócić uwagę. Nie odpyskowałam mu jednak, bo osiągnęłam swój cel; Tony znowu wyglądał na w miarę przytomnego.

– Kim był ten człowiek? – zapytałam po chwili milczenia.

– Nie wiem.

Znowu cisza. Nie wiedziałam, co mówić, a Tony widocznie nie miał ochoty na podłapywanie żadnych tematów. W pewnym momencie znowu zamknął oczy, a gdy dostrzegłam, że jego oddech zaczął zwalniać, spanikowałam po raz kolejny.

– Tony! Tony! – krzyknęłam, poruszając jego ręką, ale on tylko skrzywił się lekko.

Zrób coś, Hailie.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – wyrecytowałam drżącym, ale wyraźnym głosem.

Przysięgam, nigdy wcześniej nie powiedziałam nic, co brzmiałoby tak wulgarnie. Trudno było mi nawet uwierzyć, że te słowa wyszły z moich ust. Ale Tony znowu otworzył oczy, więc dopięłam swego. Zmierzył mnie też mrozącym krew w żyłach spojrzeniem. Nawet w sytuacji takiej jak ta wciąż potrafił mnie onieśmielić.

– Co z tobą?

Wtedy coś usłyszałam, coś innego niż irytująco wesoły świergot ptaków. To był silnik. Odwróciłam głowę, każdą komórką swojego ciała błagając, żeby to nadjeżdżał ktoś z pomocą.

– Ktoś tu jedzie – szepnęłam do Tony’ego, nie odwracając wzroku od wyłaniającego się z oddali samochodu.

Po parunastu sekundach byłam już prawie pewna, że to jeep Willa. Za nim jechało jeszcze jedno auto. Oba znacznie przekraczały dozwoloną prędkość, dlatego już po chwili zatrzymywały się nieopodal. Czarny jeep jeszcze całkiem nie wyhamował, gdy wyskoczył z niego Vince i szybkim krokiem ruszył w naszą stronę.

Na jego widok ledwo powstrzymałam okrzyk radości. Jawił mi się niczym superbohater, brakowało mu tylko peleryny. Musiał opuścić dom w wielkim pośpiechu; na koszulę nie zarzucił nawet kurtki. Twarz miał pobladłą, a oczy skupione. Miał zadanie do wykonania i nie zamierzał ponieść porażki. Minął ciało motocyklisty kompletnie niewzruszony, rzucając na nie tylko przelotne spojrzenie.

Tuż za nim podążał Will. Z drugiego samochodu, też czarnego i dużego, wysiedli jacyś dwaj postawni mężczyźni. Gdy tym razem to Will minął ciało nieboszczyka, pstryknął palcami i odwrócił się do nich, wskazując na nie i coś do nich krzycząc. Nie zarejestrowałam co, bo skupiałam się na Vincencie, który właśnie ukucnął przy mnie i Tonym.

Jego bystry wzrok w mig prześlizgnął się od mojej zakrwawionej nogi, przez zapuchnięte od płaczu oczy, aż do skrzywionej z wysiłku twarzy Tony’ego, który wciąż przytrzymywał kurtkę przy swojej ranie. Najwyraźniej tracił siły, bo przyciskał ją coraz lżej.

Vincent natychmiast uporządkował sobie priorytety i ruszył na pomoc bratu. Siedziałam obok i patrzyłam tępo, jak wyciąga mu z rąk zwiniętą i przesiąkniętą krwią kurtkę, a potem odkłada ją na bok i ze stoickim spokojem przygląda się brzydkiej ranie na wyrzeźbionym brzuchu Tony’ego. Prawie zebrało mi się na wymioty na widok takich ilości krwi, ale nie miałam odwagi nawet pisnąć.

– Przeszła na wylot? – zapytał Will, kucając nagle obok nas, po drugiej stronie rannego brata.

– Nie i nie widzę jej – mruknął Vince, z uwagą badając wzrokiem ranę, a gdy jej dotknął, biedny Tony aż się wzdrygnął, ale zdusił krzyk.

Will położył mu jedną rękę na ramieniu, a drugą pogłaskał go po głowie.

– Już, trzymaj się, młody. Zaraz będzie tu pogotowie – powiedział do niego łagodnie.

Ależ mi ulżyło na te słowa! Rozejrzałam się po lesie, nasłuchując wycia syren, zła, że karetka tak się wlecze. Powinna być tutaj pierwsza, tymczasem Will z Vince’em zdążyli pojawić się przed nią. Mój wzrok padł na mężczyzn, którzy kręcili się przy nieżywym motocykliście. Pracowali niemal bezgłośnie. Na dłoniach mieli gumowe rękawiczki. Jeden z nich pochylał się nad zmarłym, a drugi zasuwiał przezroczystą saszetkę, do której właśnie coś schował. Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, co właściwie robią. Nie wyglądało na to, żeby próbowali pozbyć się ciała czy choćby broni.

Znowu popatrzyłam na Tony’ego, a potem na ściółkę wokół, na której siedziałam. No właśnie, broń... Szukałam wzrokiem pistoletu, którego użył mój brat. Wiedziałam, że gdzieś tu musi leżeć, i nie musiałam nawet dobrze szukać, by odnaleźć go tuż obok swojej stopy.

Wyciągnęłam rękę, by go chwycić i oddać braciom.

– Zostaw – nakazał mi Will.

Zerknęłam na niego przestraszona. Jego głos brzmiał tak surowo, że momentalnie zrobiło mi się przykro. Zabrałam dłoń i przycisnęłam ją do klatki piersiowej.

– Nie wolno ci dotykać broni, pamiętasz? – przypomniał mi trochę łagodniej.

Spuściłam głowę. Miałam ochotę mu powiedzieć, że owszem, pamiętam o tym bardzo dobrze, ale sytuacja jest przecież kryzysowa i chyba moglibyśmy na chwilę zapomnieć o zasadach, prawda?

Tony jęknął i natychmiast skupiłam na nim swoją uwagę. Po jego bladej twarzy widziałam, że jest z nim coraz gorzej. Vincent obejrzał jego ranę, ale przecież nie był chirurgiem i nie potrafił go uratować. Zaczynałam panikować. Jedyne, co mogło mnie w tej chwili uspokoić, to dźwięk sygnału karetki i prawie się rozplakałam, kiedy wreszcie wybrzmiał, powoli stając się coraz wyraźniejszy.

– Macie wszystko? – zapytał Will dwóch mężczyzn, którzy wciąż kręcili się wśród okolicznych drzew, jakby czegoś szukali. Pokiwali głowami i usłuchali, gdy Will dorzucił: – To na was już czas, zbierajcie się.

– Jeszcze chwila, Tony – obiecał Vince, klepiąc brata twardo po policzku. Rękę miał wybrudzoną jego krwią i zostawił jej też trochę na jego twarzy. Tony znowu miał zamknięte oczy, ale na gest Vince’a zatrzepotał powiekami.

Siedziałam cichutko i nie walczyłam już więcej ze łzami. Pozwoliłam im płynąć ciurkiem po policzkach, a to dlatego, że dostrzegłam coś niezwykle niepokojącego w oczach moich dwóch najstarszych braci. Coś, co bardzo dobrze ukrywali. Strach.

A jeśli Vince się bał, to musiało być naprawdę źle.

Chwilę po tym, jak dwóch tajemniczych mężczyzn odjechało, na polanie pojawiły się dwie karetki, a kilka minut później również radiowozy. W pierwszej kolejności udzielono pomocy Tony’emu. Vincent rozmawiał z jednym z ratowników. Policjanci kręcili się przy zwłokach, któryś z nich podszedł też do Willa i zaczął zadawać mu jakieś pytania.

Przyglądałam się temu wszystkiemu jak zza kurtyny, gdy nagle ktoś pomachał mi przed oczami ręką. Skupiłam rozbiegane i przerażone spojrzenie na twarzy, która pojawiła się naprzeciwko mnie. Jakaś młoda kobieta w związanych w kitkę włosach i odblaskowym stroju ratowniczkim patrzyła na mnie łagodnie.

– Halo, słyszysz mnie? – zapytała.

Chyba powtórzyła to pytanie któryś raz z kolei, ale dopiero teraz do mnie dotarło na tyle, że zdołałam pokiwać słabo głową. Wtedy zaczęła mi zadawać pytania o moje samopoczucie i o to, co mnie boli. Zapytała też, czy może obejrzeć moją nogę.

– Wygląda na rozciętą, ale nie złamaną – mruknęła do drugiego ratownika, który właśnie do nas podszedł. – Możesz chodzić?

Znowu pokiwałam głową, trochę nieobecna. Za dużo działało się wkoło. Widziałam, jak inni ratownicy w pośpiechu pakują Tony’ego na noszach do karetki. Vince szedł obok, trzymając dłoń z sygnetem na jego klatce piersiowej, i coś do niego szybko mówił. Tony miał zamknięte oczy, więc nie wiadomo nawet, czy cokolwiek słyszał. Will też się tam zbliżył, ale po chwili ruszył biegiem do swojego jeepa i gdy karetka odjechała na sygnale, pojechał w ślad za nią.

– Jak się nazywasz?

To ratowniczką. Próbowwała mnie zagadywać, podczas gdy jej współpracownik pochylał się nad moją nogą. Zamrugałam, wpatrując się w jej ładną twarz, i nagle wybuchłam płaczem. To już nie było zwykłe skomlenie, teraz wyłam jak małe dziecko.

Ratownicy natychmiast zaczęli mnie uspokajać, a ja poczułam się przez nich osaczona. Delikatny głos kobiety zaczął mnie drażnić. Ktoś nachylał się nad moją nogą, ktoś inny uniósł moją bluzkę i zimnymi palcami dotknął mojego napiętego brzucha. Nagle poczułam potrzebę wyrwania się z tej niewidzialnej sieci, którą na mnie narzucili.

– Spokojnie, kochanie, musisz dać sobie pomóc – mówiła do mnie kojąco kobieta, ale ja nie chciałam jej słuchać. Kopnęłam coś albo kogoś swoją ranną nogą i wrzasnęłam, gdy moje ciało przeszył bolesny prąd.

Poczułam, jak czyjaś silna ręka obejmuje moje ramiona.

– Hailie, przestań – mruknął do mojego ucha Vince. Jego chłodny ton, którego zwykle się bałam, teraz zadziałał na mnie dziwnie uspokajająco. Nadal płakałam i oddychałam stanowczo za szybko, ale przestałam się szamotać.

– Ma atak paniki – rzucił mężczyzna zajmujący się moją nogą.

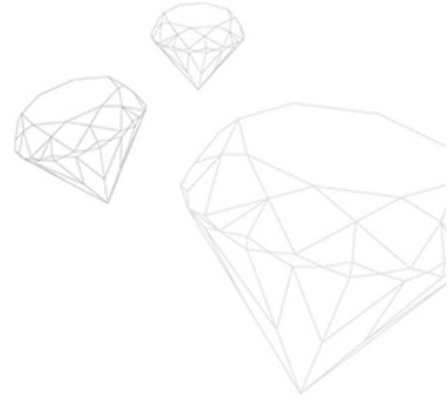
Nie wiem, co się dokładnie wydarzyło po chwili, ale słyszałam, że ratowniczką i Vincent przyciszonymi głosami wymienili kilka zdań. Niedługo potem poczułam ukłucie, na które aż się wzdrygnęłam, i powieki zaczęły mi ciężać.

– Vince... – jęknęłam.

Złapałam się kurczowo jego koszuli. Nie wiedziałam, co się dzieje, i tak bardzo się bałam. Nie byłam pewna, czy mogę poddać się temu uczuciu, ale spodziewałam się, że nie będę w stanie zbyt długo walczyć z nagłą sennością.

– Odpocznij, Hailie. Zamknij oczy – wymruczał do mojego ucha Vince.

Ufałam mu ze wszystkich sił, dlatego, uspokojona, pozwoliłam się porwać fali snu i w końcu odpłynęłam.



26

Zły sen

Obudziłam się obolała. Rana na nodze nieprzyjemnie piekła, a cały lewy bok wręcz pulsował. To jednak pękająca z bólu głowa była winna mojej chwilowej dezorientacji. Zatrzepotałam powiekami i rozejrzałam się po jasnym pomieszczeniu. Prawie natychmiast zauważyłam Willa stojącego w drzwiach. Ubrany w szarą bluzę opierał się o futrynę i rozmawiał przez telefon, przeczesując nieukożone włosy. Patrzył w podłogę, marszcząc lekko brwi. Oprócz niego nikogo więcej tu nie było.

Chciałam zapytać go o to, co się dzieje, ale on nie podnosił przez chwilę wzroku, a mnie głos uwiązał w gardle. Skupiłam się więc na przewertowaniu pamięci i wtedy wróciły wydarzenia z lasu, a ja prawie jęknęłam od ich nagłego ciężaru. Motocykl, strzelanina, ranny Tony, martwy mężczyzna... Aż przeszły mnie ciarki od tych wszystkich obrazów, które przewinęły się w mojej głowie.

Ranny Tony.

Zalała mnie fala zimnych dreszczy. Tony.

– Hailie się obudziła. – Usłyszałam słowa Willa. Patrzył teraz na mnie, zbliżając się do mojego łóżka. Rzucił mi delikatny uśmiech, który jednak nie sięgnął jego podkrążonych oczu. – Tak, jesteśmy w kontakcie.

Rozłączył się i wsunął telefon do kieszeni swoich ciemnych spodni.

– Hej – przywitał się i pogłaskał mnie po policzku. Jego dotyk był tak kojący, że miałam ochotę złapać jego rękę i przytrzymać przy swojej twarzy.
– Jak się czujesz?

W odpowiedzi chciałam wzruszyć ramionami, ale bałam się bólu, więc tylko wygięłam usta w podkówkę.

– Trochę się poobijałaś i musisz oszczędzać nogę, ale nic ci nie będzie – powiedział, przysiadając na stołku obok.

Otworzyłam usta i dopiero po chwili zdołałam wydobyć z siebie jakiś dźwięk.

– Co z Tonym?

Will odwrócił wzrok. Dopiero teraz zauważyłam, jak spięte były jego ramiona.

– Był operowany. Jeszcze się nie obudził.

– Ale niedługo się obudzi, tak?

Will z powrotem popatrzył w moje oczy.

– Na pewno – szepnął i zacisnął swoją dużą dłoń na mojej drobnej pięści.

– Czyli może się nie obudzić? – pisnęłam spanikowana. W jednej chwili bicie mojego serca przyśpieszyło, a oczy otworzyły się szeroko. Głowa też niebezpiecznie zapulsowała, zapowiadając kolejną falę bólu.

Will natychmiast zaczął mnie uspokajać i znowu głaskać moją twarz.

– Obudzi się. Organizm Tony’ego jest młody, silny i zdrowy. Trzeba mu tylko dać chwilę, żeby doszedł do siebie. To wszystko – wyjaśnił cierpliwie, a gdy moja dolna warga nie przestawała drżeć, dodał: – Spokojnie, malutka, wylize się.

Starałam się uwierzyć w te zapewnienia. Cóż innego mi pozostało? Nie mogłam przecież dopuścić do siebie innej myśli niż ta, że Tony wydobrzeje.

– Hailie... – zaczął Will zmienionym głosem. Jeszcze poważniejszym. Jego ton sprawił, że ponownie skupiłam na nim całą uwagę. – Przepraszam. To nie powinno było się wydarzyć.

Zmarszczyłam brwi.

– Przecież to nie twoja wina.

Will tylko westchnął i znowu odwrócił wzrok.

Zaraz potem przysła pielęgniarka, którą – jak się okazało – w pewnym momencie podczas naszej rozmowy Will przywołał przyciskiem wiszącym na ścianie nad moją głową, co kompletnie przeoczyłam. Była to starsza kobieta, trochę przy kości, o bardzo sympatycznej twarzy. Chwilę po niej pojawił się też lekarz, mężczyzna, również starszy i sympatyczny, ale dużo bardziej formalny w obejściu. Zbadał mnie, zadał parę pytań i w końcu padł werdykt: mogłam iść do domu.

Kamień spadł mi z serca. W domu będę się czuć dużo bezpieczniej niż w tym wielkim szpitalu. Tutaj bałam się, że gdy zasnę, a Will gdzieś sobie pójdzie, do mnie dorwie się ktoś pokroju tego łysego mężczyzny, żeby dokończyć jego robotę.

Gdy mnie wypisano, była godzina dziewiąta rano. Pielęgniarka pomogła mi się przebrać w dres, przywieziony przez któregoś z moich braci nocą z domu. Uczuliła mnie, bym dbała o nogę i nie przeciążała jej. Ubierając się, wydałam zduszony okrzyk na widok ogromnego fioletowego siniaka, który ciągnął się po całym moim lewym boku – od piersi aż do uda. Miałam też sporo zadrapań. Zauważyłam, jak Will, który na moją prośbę został przy mnie i mimo polecenia pielęgniarki nie opuścił sali, na sam widok mojego poobijanego ciała zacisnął dłonie w pięści.

– Chciałabym odwiedzić Tony’ego – powiedziałam, gdy już przebrana wstawałam z łóżka. Mój brat otoczył mnie swoim silnym ramieniem, a ja oparłam się na nim tak, by jak najbardziej odciążyć nogę. Will zaproponował, że zanieś mnie do samochodu, ale nie zgodziłam się. Nie chciałam robić przedstawienia.

– Nie teraz.

– Teraz.

– Nie teraz, Hailie – powtórzył stanowczo.

– Ale Will... Tony uratował mi życie – szepnęłam. Zatrzymałam się, próbując wymusić na nim to samo. Popatrzyłam mu błagalnie w oczy, a on natychmiast złagodniał.

Nie zdążyłam jeszcze tego dogłębnie przemyśleć, ale wiedziałam jedno – Tony naprawdę uratował mi życie. Mój brat, ten, do którego miałam najbardziej ambiwalentny stosunek, uratował mnie. Przyjął kulę, która miała zabić mnie. Tak by się pewnie stało, zabiłaby mnie. Nie byłam nawet w połowie tak silna jak on. Nie przeżyłabym tego postrzału. Nie wiadomo, czy on sam go przetrwa...

– Tony zachował się bardzo odważnie. Ty też byłaś dzielna, malutka. Obiecuję ci, że niedługo będziesz mogła go odwiedzić.

– Dlaczego nie teraz?

– Ledwo się obudziłaś, sama najpierw musisz do siebie dojść. Nic się nie martw, Tony nie jest sam. U jego boku ciągle czuwa Shane, nie zostawi go. Niech tak na razie zostanie, dobrze?

Niechętnie spuściłam wzrok i pokiwałam głową.

– Chodź do samochodu, malutka.

Pamiętałam, że wczorajszy dzień był całkiem ciepły – dlatego Tony zdecydował się wsiąść na motocykl. No więc dzisiaj było na odwrót. Zadrżałam, gdy tylko wyszliśmy na zewnątrz. Ktokolwiek przyniósł moje ubrania na zmianę, zapomniał o cieplejszej kurtce. Okazało się, że to nie problem, bo Will przystanął i po chwili moje ramiona otulił jego płaszcz. Auto zaparkowane było bardzo blisko, więc nie musiałabym długo marznąć, ale i tak doceniłam ten gest. Podniósł mnie też, żebym mogła wsiąść do jego wysokiego jeepa bez przeciążania nogi. Skrzywiłam się trochę, gdy mimo największej ostrożności dotknął mojego siniaka. W zamian dostałam od niego czułego buziaka w czoło.

Na początku jazdy do domu milczałam i tylko gapiłam się na drogę, choć wspomnienia ostatnich wydarzeń utworzyły w mojej głowie mieszaną wybuchową. Pilnie potrzebowałam wyjaśnień. Trochę się ociagałam z zadawaniem pytań Willowi, bo wyczułam, że na większość z nich odpowiadał mi jak zwykle niechętnie, ale w końcu uznałam, że przez wzgląd na ostatnie wydarzenia jakieś tłumaczenia po prostu mi się należą.

– Kim... – Odchrząknęłam, bo mój głos był bardzo zachrypnięty. – Kim był tamten mężczyzna?

Will patrzył na drogę i przez chwilę nie odpowiadał, a wyraz jego twarzy się nie zmienił, jakby mnie nie usłyszał, ale w końcu się odezwał.

– Nie wiemy.

Westchnęłam głęboko i odchyliłam głowę, patrząc w górę na sufit samochodu. Mój brat zerknął na mnie przelotnie. Zamknęłam na chwilę oczy, a gdy je otworzyłam, popatrzyłam na niego, z powrotem skupionego na jeździe.

– Will... co się wczoraj wydarzyło? – zapytałam zmęczonym, przegranym i błagalnym tonem.

On oderwał jedną rękę od kierownicy i potarł sobie nią skroń. Też był zmęczony.

– Mężczyzna, który was zaatakował, prawdopodobnie pracuje dla tej samej osoby, z którą Jerry wszedł w układ. To jednak na razie są tylko spekulacje.

– Dlaczego...

– Hailie, porozmawiamy w domu, dobrze? Będziemy musieli zapytać cię o kilka rzeczy, ale Vince też chce przy tym być.

– Ten mężczyzna mówił coś o jakiejś Organizacji, wie...

– Nie teraz. – Will zacisnął usta.

– Okej... Ale na moje pytania możesz odpowiedzieć już teraz.

– Później.

– Dlaczego...

– Później, Hailie.

– Po tym wszystkim mam chyba prawo znać szczegóły, co?

– Nie interesuje mnie, do czego wydaje ci się, że masz prawo. Powiem ci tyle, ile uznam za słuszne, i wtedy, kiedy uznam za słuszne.

Ostry ton jego głosu rozjuszył mnie tylko jeszcze bardziej.

– Jakiś facet prawie mnie zastrzelił i chcę wiedzieć, o co chodzi!

– Nie tym tonem. – Will też podniósł trochę głos i robił tym o wiele większe wrażenie niż ja.

Wtedy też zorientowałam się, że właśnie zaparkowaliśmy w garażu. Prawie drżałam ze złości i natychmiast zaczęłam odpinać pas, burcząc przy tym:

– Gównu mnie obchodzi mój ton.

– I takim oto sposobem nie dowiesz się niczego więcej – warknął mój ulubiony brat.

– Trudno, i tak nic byś mi nie powiedział.

Po tych słowach otworzyłam drzwi i wyskoczyłam z samochodu, krzywiąc się i dusząc okrzyk, gdy poczułam ból w nodze.

– Hailie!

Usłyszałam, jak Will ze złością trzaska drzwiami ze swojej strony i zbliża się do mnie, podczas gdy ja próbowałam jak najszybciej dojść do domu, do wejścia. Staralam się nie utykać, ale nie było to łatwe. Will w mig mnie dogonił i szarpnął za ramię, żebym się zatrzymała. Popatrzyłam na niego z poirytowaniem, ale jego rozłoszczona mina trochę postawiła mnie do pionu.

– Komu ty robisz teraz na złość? Pytam się, komu?

– Nikomu, puść mnie, chcę wreszcie odpocząć! – Próbowałam się uwolnić z jego uścisku. Bez skutku.

– Trzymaj tak dalej, to nim się obejrzysz, wrócisz do szpitala.

Zamilkłam wzburzona. Will pokiwał głową, a w jego błękitnych oczach błyskała irytacja.

– Tak, sam cię tam z powrotem zabiorę.

– Dobrze, odpuść już – westchnęłam i tak bezczelnie, jak jeszcze nigdy, wywróciłam oczami. Chciałam, żeby moja postawa odzwierciedlała to, jak bardzo byłam zła i zniecierpliwiona. Will zupełnie nie docenił tego popisu, bo zacisnął usta niezadowolony.

Chyba nigdy jeszcze nie był mną tak poirytowany.

– Jak sobie życzysz.

Znienacka mnie objął i bacząc na moją nogę, pociągnął z powrotem do auta. Próbowałam się opierać, ale niewiele zdziałalam. Złość na mojej

twarzy zastąpił strach, gdy Will otworzył drzwi do samochodu i odwrócił się do mnie, by mnie podnieść.

Otworzyłam usta ze zdziwienia.

– Nie! – pisnęłam, gdy mnie podsadził. Chciał z powrotem usadowić mnie na siedzeniu pasażera, ale ja przyłgnęłam do niego niczym koala, zarzucając mu ręce na szyję i ciasno je splatając. – Nie, nie, nie, Will!

On znieruchomiał, przez chwilę chyba zaskoczony moją reakcją.

– Będziesz się zachowywać? – zapytał cicho.

Przycisnęłam czoło do jego ramienia, tak żeby nie musieć patrzeć w jego oczy. Pokiwałam głową. Moja złość została zagłuszona przez strach i zmęczenie, a może tymi właśnie emocjami została też wcześniej wywołana? Wiedziałam jedno – moi bracia rzadko rzucali słowa na wiatr i nie chciałam ryzykować tego, że Will zabierze mnie z powrotem do szpitala. Nawet jeśli była to tylko pusta groźba.

Poczułam ulgę, gdy usłyszałam, że Will zamknął z powrotem drzwi auta, i nie oponowałam, kiedy ruszył do domu, wciąż trzymając mnie na rękach. Czuję się jak małe dziecko, ale ten jeden raz mi to nie przeszkadzało. Byłam tak przytłoczona ostatnimi wydarzeniami, że potrzebowałam kogoś, kto się trochę ze mną pocacka.

A potem zaraz przyleciała do nas Eugenie i błyskawicznie pościeliła mi wygodne posłanie na kanapie w salonie, gdzie przeleżałam resztę dnia. Will się na mnie wcale nie gniewał i nadskakiwał mi nie mniej niż nasza gosposia. W pewnym momencie nawet zdobył się na to, by stanąć nade mną i z wyrazem wstydu na twarzy powiedzieć:

– Przepraszam, malutka, za to, że podniosłem na ciebie głos.

Uniosłam na niego spojrzenie i uśmiechnęłam się delikatnie, poruszona tym, że ktoś tu się przejął moimi uczuciami.

– Nie szkodzi.

– Szkodzi, Hailie – westchnął. – Jestem po prostu zestresowany i wyładowałem się na tobie, a nie miałem do tego prawa. – Pogłaskał mnie po głowie. – Rozumiem, że chcesz dowiedzieć się więcej, i miej świadomość, że nie próżnujemy. Staramy się wyjaśnić oba te przykre

incydenty, które cię ostatnio spotkały. Potrzebujemy tylko więcej czasu, to skomplikowane sprawy.

Zamyśliłam się. Jego tłumaczenia usatysfakcjonowały mnie tylko w minimalnym stopniu, dlatego zachęcona jego dobroliwością i z poczuciem, że naprawdę należą mi się porządne wyjaśnienia, po chwili znowu zaczęłam go zagadywać.

– Czy to normalne, że Tony nosi do szkoły pistolet? – zapytałam szeptem, gdy Eugenie zniknęła, by przyrządzić dla mnie posiłek, a Will właśnie zbliżył się do okien, by zaciągnąć zasłony, żeby słońce nie odbijało się w telewizorze.

Odwrócił głowę i posłał mi spojrzenie spode łba. Nie był zachwycony faktem, że kontynuowałam swój wywiad, ale odpowiedział.

– Zwykle nie nosił, Vince mu zabraniał. Po wydarzeniach w sylwestra zmienił zdanie. Jak się okazuje, dobrze zrobił.

– I to Tony zastrzelił tego mężczyznę, prawda?

Przeszły mnie ciarki na wspomnienie tej bladej twarzy, pustych wytrzeszczonych oczu oraz krwawej dziury w policzku. Byłam tam i wiedziałam, że to robota Tony'ego, ale mimo wszystko musiałam zadać to pytanie.

Will podszedł do mnie i usiadł obok, patrząc na mnie teraz z poważnym wyrazem twarzy.

– Rozumiesz, dlaczego to zrobił?

Pokręciłam głową. Nie obwinałam Tony'ego, ale chciałam wyjaśnić, jakichkolwiek.

– Znaleźliście się w niebezpieczeństwie.

– Czy Tony nie będzie miał teraz kłopotów z prawem?

– Zadbamy o to, żeby ich nie miał.

Podniosłam się do pozycji pólśiedzącej, podekscytowana tym, że wreszcie zaczął mi coś mówić.

– Kim byli ci mężczyźni, którzy przyjechali z wami do lasu?

Will nie podzielał tej ekscytacji. Starał się ostrożnie dobierać słowa, tak żeby nie powiedzieć o parę zdań za dużo.

– To nasi ludzie, którzy ułatwią nam zrobienie własnego dochodzenia. Ale nie masz się już czym przejmować, Hailie, wszystko będzie dobrze. Tony lada moment się obudzi i wszystko wróci do normalności.

– Na pewno wróci? Jeśli dobrze rozumiem, osoba, która weszła w układ z Jerrym i tym drugim mężczyzną, nie chce tylko mojej śmierci? – zapytałam, wpatrując się w dal nieobecny wzrokiem. – Przez Jerry’ego chciała dopaść mnie, ale wczoraj ten mężczyzna spodziewał się dorwać tylko Tony’ego i może jeszcze liczył na Dylana lub Shane’a... To oznacza, że chłopcy też są w niebezpieczeństwie, prawda?

– Nie wiemy jeszcze, co to dokładnie oznacza.

– A ta Organizacja? Co to takiego?

Will zmarszczył brwi i otworzył usta, ale to Vincent, który właśnie dołączył do nas w salonie, mi odpowiedział:

– Organizacja nie jest twoim zmartwieniem.

Vince miał wilgotne włosy i manewrował palcami przy nadgarstku, zapinając na nim zegarek. Jedynie podkrążone lekko oczy zdradzały jego zmęczenie. Pachniał świeżością oraz swoją mocną wodą toaletową i włożył też już białą jak śnieg koszulę, która była niczym znak, że jest gotów na nowy dzień i radzenie sobie ze związanymi z nim trudnościami.

Najpierw przesłuchał mnie jak zawodowy agent. Obiecał mi też, że postara się użyć swoich imponujących wpływów, by zwolnić mnie od obowiązku stawienia się na prawdziwe przesłuchanie, na które policjanci na pewno mnie wezwą. W końcu umarł człowiek.

Swoje pytania natomiast zadawał tak trafnie, że nie wiedzieć kiedy wyśpiewałam mu wszystko. Po jego wykutej w kamieniu twarzy nie dało się poznać, czy którakolwiek z przekazanych przeze mnie informacji zrobiła na nim specjalne wrażenie. Nie wyjaśnił mi też nic więcej ponad to, co powiedział mi Will, nie zaskoczyło mnie to jednak. Gdy dostał to, czego chciał, zostawił mnie, przypominając mi tylko, bym uważała na nogę.

Oczywiście, wydarzyło się zbyt wiele, żeby moja psychika na tym nie ucierpiała. Całą resztę dnia spędziłam na kanapie i wtedy jeszcze czułam się w miarę w porządku, bo Eugenie co chwilę sprawdzała, jak się mam, no i parę razy zajrzał do mnie też Will, który większość czasu przesiedział

w gabinecie Vince'a, robiąc tam Bóg wie co. Nie przeszkadzało mi nawet szalejące za oknami wietrzysko, tak długo, jak mogłam wtulić się wygodnie w ciepłą pościel.

Ale gdy wieczorem z jego pomocą przetransportowałam się do swojej sypialni, nagle okazało się, że nie mogę zasnąć. Raczej nie dlatego, że dużo spałam w ciągu dnia, ani nie przez gwizdzącą na zewnątrz wicherę. Po prostu kiedy tak leżałam w ciemnościach, zaczęłam widzieć rzeczy, których oglądać nie chciałam.

Moja wyobraźnia najwyraźniej ignorowała fakt, że łysy mężczyzna nie żył, bo facet przechadzał się teraz po moim ciemnym pokoju z błyszczącym pistoletem w ręce, powtarzając, że los mu dzisiaj sprzyja. A kiedy już zniknął, to tylko po to, żeby za chwilę pojawić się znowu. Tym razem z wybałuszonymi oczami leżał w kącie mojego pokoju, a gdy tylko go dostrzegłam, zaczął się wolno podnosić i wtedy zobaczyłam też jego dziurawy policzek. Zaczął iść w moją stronę, trzaskając kośćmi i trochę pojękując...

To wtedy nie wytrzymałam i zerwałam się z łóżka. Miałam ochotę wydrzeć się na całe gardło, ale głos mi w nim uwiązł, więc tylko łzy trysnęły mi spod powiek. Wypadłam przez drzwi, nie oglądając się za siebie. Na moje nieszczęście korytarz też był ciemny.

Ruszyłam w stronę sypialni Willa, nie patrząc za siebie na pozostawione na oścież drzwi do mojego pokoju. Wodziłam po omacku dłońmi po ścianie w poszukiwaniu włącznika. Pamiętałam, że gdzieś tu był, ale gdy wyczułam go pod palcami, nie zadziałał. Klikałam nim desperacko, czując, jak zaczyna oblewać mnie zimny pot. W pewnym momencie dałam sobie spokój z walką o światło i rzuciłam się biegiem do drzwi Willa. Nie obchodziło mnie, co on sobie o mnie pomyśli, bo naprawdę potrzebowałam pomocy. Trzęsącą się ręką zapukałam do niego kilka razy, za każdym razem coraz bardziej niecierpliwie. Bałam się i nie śmiałam nawet odwrócić. Prawie czułam, jak ktoś chucha mi na kark. W końcu, kiedy coś załaskotało mnie w ramię, po prostu złapałam za klamkę i z impetem wpadłam do pokoju brata...

...tylko po to, by zobaczyć, że go tu nie było. Jego wielkie łóżko stało schludnie zaścielone, a tym, co smyrało mnie po ręce, były kosmyki moich włosów. Serce wciąż mi jednak waliło. Dalej wkoło było ciemno i teraz

bałam się wyjść z powrotem do holu, a szumy wichury z zewnątrz dodawały całej scenie klimatu jak z horroru.

Gdzie jest Will? Czyżby dalej w zakazanym korytarzu? To ostatnie miejsce, w którym chciałabym go szukać, zwłaszcza w tej chwili. A co jeśli nawet tam go nie ma? Co, jeśli jestem sama? Czy chłopcy zostawiliby mnie na noc samą w tym wielkim domu?

W końcu przerażona, zalana potem i zapłakana zebrałam się na odwagę, by wyściubić nos z sypialni Willa i rozejrzeć się po korytarzu. Wciąż było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zauważyć, ale moje oczy przyzwyczały się do tej czerni wkoło na tyle, że mogłam teraz rozróżniać kształty. Wyglądało na to, że korytarz jest pusty. Może powinnam zejść na dół? Tam mogłabym pozapalać światła i jakoś przeczekać tę okropną noc. O ile tam działały. Dlaczego tutaj nie działały?

Małymi kroczkami zbliżałam się do tych schodów, uważnie obserwując i nasłuchując wszystkiego dookoła. W połowie drogi serce mi stanęło, bo chyba znowu coś zobaczyłam. Przed sobą, daleko, za moimi drzwiami, prawie na samym końcu korytarza. Natychmiast przyśpieszyłam, uważnie wpatrując się w to, co wydawało mi się, że widziałam. Była to tylko lampa, ale ja, przewrażliwiona, w białym kloszu zobaczyłam bladą twarz łysego mężczyzny.

W tym momencie coś złapało mnie za ramię i tym razem na pewno nie były to moje włosy. Wydarłam się najgłośniejszym, jak potrafiłam, i prawie dostałam zawału.

– Chryste, co z tobą? – zapytał Dylan.

Zaczął pocierać moje ramiona i patrzył na mnie zszokowany, podczas gdy ja wyłam i krztusiłam się płaczem. Poczułam ulgę na jego widok, tak ogromną, że nie potrafiłam sobie z nią poradzić.

Dylan schylił się i złapał mnie jedną ręką pod brodę, żebym na niego patrzyła, a drugą ścisnął mój nadgarstek.

– Spójrz na mnie i weź głęboki wdech. Razem ze mną. No dalej – mówił do mnie spokojnym, pewnym głosem, który przekonał mnie do podążania za jego instrukcjami.

Na początku kontrolowanie oddechu szło mi nieudolnie, ale wkrótce zaczął zwalniać i tylko od czasu do czasu się zapowietrzałam.

– No i brawo, a teraz powiedz mi, dziewczynko, co się stało. Czemu szwendasz się po ciemku, zamiast grzecznie spać?

Nie byłam w nastroju do wyjaśnień, ale Dylan oczekiwał odpowiedzi i ponaglał mnie spojrzeniem, więc zmotywowałam się do udzielenia mu jej.

– Miałam zły sen... – wyjąkałam.

Dylan patrzył na mnie jeszcze przez chwilę.

– Chodź, zaprowadzę cię z powrotem do łóżka – zaoferował i otoczył mnie ramieniem, wymuszając, bym się ruszyła, ale ja zrobiłam, co w mojej mocy, by się zaprzeć.

– Nie!

Spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami.

– Jest środek nocy. Musisz iść spać.

– Proszę, nie chcę... – zapłakałam. Złapałam się też kurczowo jego bluzy, gdy znowu próbował pociągnąć mnie w stronę mojego pokoju.

On obserwował przez chwilę mój żaloszny stan, po czym odetchnął głęboko i wzniosł oczy do sufitu.

– Chodź – mruknął, a kiedy zobaczył, jak otwieram usta, by zaprotestować, dodał: – No nie zostawię cię samej, chodź.

Zaufałam mu, a on zaprowadził mnie z powrotem w głąb korytarza. Jemu nie przeszkadzało przemieszczanie się w ciemnościach. Zdziwiłam się, gdy wprowadził mnie do swojej sypialni. Nigdy tu nie byłam. Tyle czasu mieszkałam już ze swoimi braćmi i nigdy nie byłam w pokoju prawie żadnego z nich.

Dylan zapalił latarkę w telefonie i pomieszczenie rozświetliła przyćmiona łuna.

– Wywaliło korki – oznajmił, a szalejący za oknami wiatr zawył jakby z dumą, że to on stał za awarią. – Nie ma prądu.

Puścił mnie i od razu ruszył do swojej garderoby, zrzucając z siebie ubrania, aż został w bokserkach i narzucił na siebie luźną koszulkę. Nie szokował mnie widok mojego brata w samej bieliźnie, choć jeszcze pół roku

temu zaczerwieniłabym się jak pomidor. Dylan i bliźniacy często chodzili po domu roznegliżowani, czasami myślałam sobie, że gdyby nie to, że mieszkam z nimi też ja, to już w ogóle łaziliby nago.

– Kładź się – rzucił i skinął głową w stronę łóżka.

Gapiłam się na niego zaskoczona.

– Albo położysz się tutaj, albo wracasz do siebie. Szybko, zanim zmienię zdanie.

To podziałało i natychmiast wdrapałam się na materac, zsuwając z niego ciemną narzutę po mojej stronie.

– Jak twoja noga? – zapytał, patrząc, jak ostrożnie wciągam ją za sobą pod kołdrę.

Wzruszyłam ramionami. Bolała. Trochę ją nadwyreżyłam, latając po domu i uciekając przed duchami.

Dylan zniknął w swojej łazience, a ja odprężyłam się w jego łóżku. Wiedziałam, że jest blisko, słyszałam go, więc nie bałam się już tak bardzo. W końcu poczułam spokój i nie minęło wiele czasu, gdy zaczęłam odpływać. Już zasypiałam, gdy mój brat wrócił i położył się obok. Czułam na sobie jego spojrzenie, więc rozchyliłam powieki i półprzytomnie je odwzajemniłam.

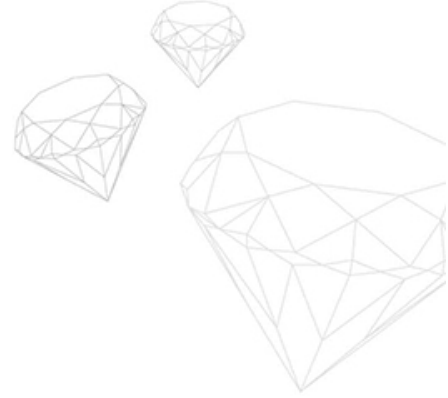
– Will mówił, że się posiniaczyłaś.

– Mhm – szepnęłam i zamknęłam z powrotem oczy, ale odgarnęłam też po omacku kołdrę i podwinęłam do góry swoją piżamę. Nie musiałam nawet patrzeć na tego siniaka. Wiedziałam dobrze, że dalej tam jest i straszy, wielki i brzydki.

Usłyszałam, jak Dylan wciąga powietrze na jego widok, a potem wolno je wypuszcza. Wtedy zsunęłam z powrotem bluzkę i wcisnęłam rękę pod policzek, szykując się wreszcie na błogi sen. Poczułam tylko, jak mój brat przykrywa mnie z powrotem kołdrą, a potem ciemność pod moimi powiekami się pogłębiła, gdy wyłączył latorkę.

Było mi ciepło i wygodnie, a co najważniejsze, już się nie bałam, nie z Dylanem obok. On prawdopodobnie miał gdzieś tam pod ręką jakiś pistolet. Po raz pierwszy taka myśl zadziałała na mnie uspokajająco.

Zasypiając obok niego, czułam się bezpiecznie. I już nic złego mi się tej nocy nie przyśniło.



27

Nie ma za co

Po przebudzeniu przeszłam minizawał. Nie od razu poznałam pokój, w którym się znajdowałam. Dopiero gdy po chwili usłyszałam przy uchu smaczne chrapnięcie, przypomniało mi się, że ostatniej nocy Dylan przygarnął mnie do siebie.

Obserwowałam go przez jakiś czas. Teraz, spokojna i wyspana, jeszcze bardziej potrafiłam docenić jego wczorajszy gest. Choć na co dzień mnie irytował, musiałam przyznać, że miał swoje momenty i po raz kolejny to udowodnił.

Pogrążony we śnie wyglądał dość niewinny. Bez tego złośliwego uśmiechu czy poirytowanego spojrzenia. Mogłabym się teraz po cichutku wymknąć z jego sypialni, ale postanowiłam spróbować zasnąć jeszcze raz. Potrzebowałam bliskości, a że nie dostawałam jej za wiele, chciałam wykorzystać tę okazję do cna.

Trzy godziny później obudziłam się po raz drugi tego poranka. Wtedy już byłam w łóżku sama. Leżałam skulona na zdrowym boku, przykryta kołdrą pod brodę. Najpierw odezwała się moja noga. Bolała bardziej niż wczoraj. Chyba o nią należycie nie zadbałam. Potem obudził się siniak. Przelotnie na niego spojrzałam i skrzywiłam się, bo robił się coraz okropniejszy.

Zesztywniała zeszałam na dół. Chciałam iść do salonu pooglądać telewizję jak wczoraj, ale usłyszałam rozmowy dolatujące z kuchni i westchnęłam cicho. Nie byłam głodna, ale wiedziałam, że jeśli nie pojawię się, żeby zjeść śniadanie, to mi się oberwie.

Vince, Dylan i Shane siedzieli przy stole z kubkami kawy i omawiali coś ściszonimi głosami. Na ich widok, a w szczególności na widok Vince'a, zadrżałam. Nawet w scenerii tak niewinnej jak kuchnia, pijąc tak przyziemny napój jak kawa, i to z kubka z motywem *Gwiezdnych wojen*, wydawał mi się jakiś taki groźny. Omijałam również wzrokiem Dylana, żeby uniknąć jego ewentualnych drwin na temat zeszłej nocy. Najbardziej zainteresowała mnie obecność Shane'a, który z bardzo podkrążonymi oczami raczył się kawą pitą ogromnymi łykami.

– Tony się obudził – oznajmił mi na przywitanie Vincent, przerywając swoją rozmowę z chłopakami.

Właśnie otwierałam usta, by o niego zapytać, i teraz prawie rozsypałam płatki.

W oczach znowu poczułam łzy. Boże, co za ulga.

– Będzie z nim dobrze? – zapytałam przejęta.

– Będzie dobrze – potwierdził Vince. – Razem z Willem i Shane'em spędziliśmy w szpitalu noc. Obudził się jakieś dwie godziny temu. Już z nim rozmawialiśmy. Jest słaby, ale dojdzie do siebie.

Shane uniósł na mnie swoje zmęczone oczy. Ostatni raz widziałam go na szkolnej stołówce, którą opuścił w pośpiechu tuż przed tym, jak zostaliśmy z Tonym zaatakowani. Od tego czasu nie ruszył się ze szpitala, gdzie czuwał przy swoim bracie bliźniaku. Myśląc o tym, poczułam do niego sympatię pomieszaną z szacunkiem. Wiedziałam, że moich braci łączy silna więź, ale to właśnie tego typu sytuacje pokazują, jak niezwykle trwała ona naprawdę jest.

Muszę jednak przyznać, że w głębi duszy bałam się spotkania właśnie z Shane'em. Obawiałam się, że będzie mnie obwiniał o to, co przytrafiło się Tony'emu. Dla przypomnienia: ta kula była przecież przeznaczona dla mnie.

On jednak niespodziewanie parsknął.

– Ta, obudził się i od razu zaczął się zachowywać jak mała pierdolona księżniczka, więc powiedziałbym, że jest z nim całkiem nieźle – powiedział.

Na koniec swojej wypowiedzi uśmiechnął się z rozbawieniem i to był ten uśmiech, który widywałam u Shane’a zawsze, gdy sobie żartował. Po raz kolejny poczułam ulgę. Och, i to jak olbrzymią!

Nawet zachichotałam.

– Jak ty się czujesz? – zapytał, poważniejąc.

– Dobrze – odparłam i zerknęłam na Vince’a. – Kiedy będę mogła odwiedzić Tony’ego?

– Pojedziemy do niego po śniadaniu. Jak twoja noga?

Moja noga nie mogła mi się teraz wydawać mniej ważna, więc machnęłam ręką.

– Może być.

– Może lepiej, żebyś została w domu – zasugerował Dylan, marszcząc brwi.

Wiem, że nieudolnie ukrywałam grymasy bólu.

– Nic mi nie jest.

– Ledwo chodzisz.

– Chcę zobaczyć Tony’ego.

Dylan, mistrz dyskusji, gotów był się ze mną kłócić, ale Vincent mu to uniemożliwił, bo zgodził się, żebym pojechała z nimi. Jego słów zaś nikt nie śmiał podważać.

Gdy zaparkowaliśmy pod szpitalem, wóz Shane’a, który jechał osobno, już tu stał. Grzecznie wysiadłam z samochodu i weszłam do budynku szpitala ramię w ramię z Vincentem i Dylanem. Oni wiedzieli, gdzie iść. Po drodze zamienili ze sobą parę słów, ale ja się nie odzywałam.

W windzie serce zaczęło mi bić mocniej, a gdy szliśmy długim korytarzem, myślałam już, że wyskoczy mi z piersi. Od początku bardzo chciałam Tony’ego odwiedzić, a teraz, gdy uświadomiłam sobie, że zaraz go zobaczę, i to przytomnego, zaczęłam się stresować. Nie zdziwiłabym się, gdyby moi bracia słyszeli, jak przyśpieszył mi oddech.

Bo co, jeśli Tony nie będzie chciał mnie widzieć?

Za każdym razem, gdy wyobrażałam sobie, że złożę mu wizytę, myślałam tylko o tym, jak okazać mu wdzięczność za to, że mnie uratował. Teraz jednak przyszła mi do głowy myśl, że może Tony'ego wcale to nie obchodzi. Tyle przeszedł i to – jak by nie patrzeć – przeze mnie. Nagle nieznacznie zwolniłam kroku. Może to nie jest dobry pomysł, żebym tam szła?

Ale nie miałam już wyboru. Przełknęłam ślinę, starając się nie przykuwać do siebie uwagi żadnego ze swoich braci, i uniosłam wysoko głowę. Najwyżej Tony mnie zwyzywa. Trudno. Jakoś to zniosę.

Bez pukania Vince nacisnął klamkę niepozornych białych drzwi, których w tym korytarzu mijaliśmy całe rzędy. Wszedł pierwszy, a ja za nim. Moim oczom ukazała się salka niewiele większa od tej, w której wcześniej leżałam ja. Było tutaj okno wychodzące na dziedziniec szpitala, przez które wpadało teraz całkiem sporo światła. Łóżko, na którym leżał mój brat, było trochę większe i otaczało je więcej skomplikowanych urządzeń niż to, na którym obudziłam się w szpitalu ja, ale połowa aparatury wydawała się wyłączona. Za to hałasował tu mały telewizor, wiszący na białej ścianie naprzeciwko.

Shane siedział już rozwalony na krześle, z nogami wyłożonymi na łóżku szpitalnym Tony'ego, a Will stał przed ekranem telewizora i próbował zmienić kanał pilotem, w którym najwyraźniej szwankowały baterie. On też miał sińce pod oczami.

A potem mój wzrok powędrował do twarzy Tony'ego.

On przenosił właśnie swój z Vince'a na mnie.

I nasze spojrzenia się spotkały.

Walczyłam ze sobą naprawdę zacięcie, byle tylko się nie rozbeczeć. Ostatnie, na co miałam ochotę, to znowu mazać się w obecności wszystkich swoich braci.

Tony był blady. Włosy zaczesał sobie niechlujnie do tyłu i wyglądał jakoś tak doroślej, jakby spędził w szpitalu dużo więcej niż dwa dni. Mimo że leżał na szpitalnym łóżku tylko na wpół okryty wymiętoszoną kołdrą, nie wydawał się słaby, jak sobie wyobrażałam. Niewątpliwie był wycieńczony, ale jednocześnie sprawiał wrażenie, jakby miał w sobie jeszcze dość siły, by w razie czego wstać i złać kogoś dla zabawy. Może to tylko złudzenie, ale miałam nadzieję, że faktycznie tak szybko wracał do formy, jak wszyscy mówili.

Nie wiedziałam, co powiedzieć ani co zrobić. Chciałam się uśmiechnąć, ale w tym momencie Tony odwrócił wzrok i poczułam się trochę rozczarowana.

Cała spięta zbliżyłam się do niego wraz z Dylanem i Vincentem.

– Wszystko okej? – zagadał Dylan, przybijając z nim żółwika.

– Zajebicie. Wszystkie pielęgniarki tu na mnie lecą – odparł Tony zachrypniętym głosem i odchylił głowę, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Te same, które zakładały ci cewnik?

– One najbardziej, bo wiedzą już, jaki jestem duży.

Dylan i Shane wybuchnęli śmiechem, doceniając żart brata. Nawet Will i Vince parsknęli z dezaprobatą, ale i rozbawieniem. Tony chyba naprawdę czuł się nie najgorzej.

Zagryzłam wargę. Te wszystkie zboczone rzeczy, o których oni potrafili mówić tak otwarcie, mnie zawsze zawstydzają. Nigdy nie byłam pewna, czy dobrze je rozumiem.

Potem zaczęły się opowieści. Tony pytał o łysego faceta i dostał tylko zdawkową odpowiedź, z której jednak zdołał wywnioskować zdecydowanie więcej niż ja. Nikt nie opowiadał o szczegółach, zapewne ze względu na mnie, ale moi bracia zdawali się posługiwać jakimś kodem, który rozumieli tylko oni. Dla mnie ich rozmowa brzmiała jak okrojona wersja tego, co się stało. Gdzieś w połowie Will zmusił mnie, bym usiadła na stołku, tłumacząc, że muszę oszczędzać nogę. Gdy chłopcy opowiadali o moim urazie, kilka razy przyłapałam Tony'ego, jak rzucał mi przelotne spojrzenia.

Zapytał nawet o Marge, o której ja kompletnie zapomniałam. Na szczęście z nią też wszystko było w porządku. Podobno rzeczywiście połknęła kilka tabletek, ale nie dość dużo, by sobie poważnie zaszkodzić – jedynie nabawiła się potwornego bólu brzucha.

W szpitalu spędziliśmy razem całkiem sporo czasu. Ja nie odzywałam się praktycznie w ogóle, ale w pewnym momencie Shane wyszedł do toalety, Dylan i Will wybrali się po kawę dla wszystkich i po gorącą czekoladę dla mnie, a Vince musiał odebrać ważny telefon i nagle w jednej zaskakującej chwili zostałam z Tonym sam na sam.

Mój brat zamrugał, widocznie tak samo jak i ja zdumiony faktem, że tak niespodziewanie wszyscy rozplętnęli się w powietrzu. Nie skomentował tego, tylko sięgnął z wysiłkiem na szafkę przy łóżku i podniósł pozostawiony tam przez Willa pilot do telewizora. Następnie skupił się na walce z nim i pewnie tradycyjnie nie zamienilibyśmy ani słowa aż do powrotu moich braci, gdyby nie mój ruch.

Zdecydowałam bowiem, że to przecież ja chciałam odwiedzić Tony'ego. Uratował mnie i chciałam mu podziękować. Pałeczka była więc po mojej stronie. Nieważne, czy zaakceptuje moją wdzięczność, czy nie, ja musiałam mu ją jakoś okazać.

Dlatego kiedy Tony zajęty był stukaniem w tego przekłętego pilota, ja wstałam i zbliżyłam się do niego. Dopiero gdy miał mnie na wyciągnięcie ręki, podniósł wzrok. W jego oczach nie było negatywnych emocji, ale nie patrzył też na mnie ze specjalną przychylnością. Jakby się po prostu zastanawiał, co ja, u licha, robię.

Nie musiał długo nad tym dumać, bo wyciągnęłam w jego stronę ręce i ostrożnie, by nie dotknąć jego rany na brzuchu, przylgnęłam do niego w uścisku. Poczułam, jak ciało Tony'ego sztywnieje, ale nie dałam się zniechęcić. Serce waliło mi jak oszalałe i nic nie mogłam poradzić na to, że tym razem w moich oczach faktycznie pojawiły się łzy. Czułam pod sobą twarde mięśnie Tony'ego, a także jego zapach.

– Dziękuję – wyszeptałam mu do ucha.

Chciałam powiedzieć dużo więcej, ale byłam tak rozemocjonowana, że nie potrafiłam wydusić z siebie żadnych więcej słów wdzięczności, poza tym jednym, najprostszym, za którym kryło się najwięcej. On chyba rozumiał, bo nagle, ku mojej nieskończonej radości, jego ramiona oplotły moje plecy. Wtedy wzięłam głęboki, drżący oddech. Tony mnie przytulił!

Być uwięzioną w uścisku Tony'ego było jednym z najlepszych uczuć na świecie. Nie myliłam się, jego ręce wciąż były silne. A jego postawa wobec mnie wciąż była dla mnie zagadką. Ale przytulił mnie. Nigdy jeszcze nie byliśmy wobec siebie tak wylewni. Nigdy nie zdobył się na tak serdeczny gest, który teraz dosłownie rozpuszczał moje serce.

– Nie masz za co.

Jego głos nadal brzmiał obojętnie, ale nie obchodziło mnie to, no bo przecież mnie przytulił. Chciałam się z nim kłócić, że właśnie mam za co, ale dałam sobie spokój. Nie warto było niszczyć tej pięknej chwili bezsensownymi przepychankami.

I nagle ciężar wszystkich tych rzeczy, które mi się przytrafiły, a które nie powinny się przytrafić nigdy i nikomu, zelżał. Nie tylko agresywny atak i śmierć łysego, ale też napaść Jerry'ego, złość Audrey, zdrada Jasona... Na moment zapomniałam o tym wszystkim. Wszystko zeszło na drugi plan. Najważniejsze było to, że Tony był żywy i przytomny oraz że się na mnie nie gniewał.

– Ja też mogę się przytulić? – zapytał Dylan drwiąco. Wszedł właśnie do pokoju razem z Willem, niosąc w rękach papierowe kubki z napojami na wynos. Wtedy oderwałam się od Tony'ego, rumieniąc się lekko.

– Spierdalaj – odpowiedział mu, poprawiając się na łóżku.

Usiadłam z powrotem na swoim stołku i przyjęłam od Willa gorącą czekoladę, na którą i tak zupełnie przeszła mi ochota. Byłam tak rozanielona, że nie potrzebowałam więcej słodyczy.

– Co to, kurwa, ma być? – warknął Tony na widok zawartości kubka, który podał mu Dylan.

– A na co ci to wygląda? Woda, jełopie.

– Wody mam tu od cholery, miałeś mi przynieść kawę.

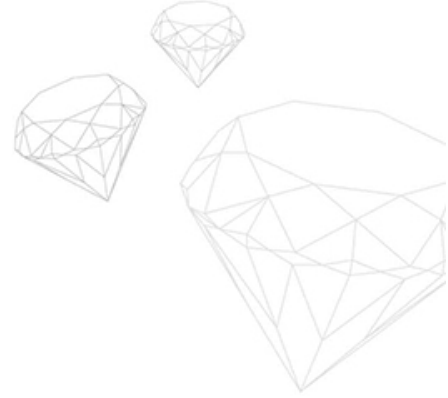
– Kawa jest dla dorosłych, a ty masz dietkę. – Prześmiewczy głos Dylan poskutkował tym, że Tony dużym haustem opróżnił papierowy kubek, po czym zgniół go jedną ręką i rzucił nim w brata. Papierowa kula uderzyła go w policzek, ale nie zdążyła upaść na ziemię, bo ten ją złapał i odrzucił w stronę Tony'ego, który pilotem odbił ją jak piłkę baseballową. Zmiętolony kubek przeleciał tuż przed moim nosem i trafiłby w ramię Vince'a, ale ten zdążył go złapać sprawnym ruchem i zanim ktokolwiek choćby mrugnął, wrzucił go do śmieci.

Znowu zrobiło się śmiesznie i tym razem nie bałam się śmiać razem z nimi. Przede wszystkim miałam na to ochotę.

Patrzyłam na rozbawione twarze swoich braci. Każdy coś mówił. Wyśmiewali się z siebie nawzajem, czasem nawet obrażali, ale były to

pieszczotliwe obelgi, takie, które zrozumie tylko rodzeństwo. Pomyślałam sobie wtedy, że co by się nie działo, oni zawsze tu będą. Mogą być na tym świecie ludzie, którzy życzą mi źle, ale tych pięciu chłopaków tutaj – nieważne, jak bardzo czasem irytujących, niesprawiedliwych lub zaborczych – zawsze będzie stało za sobą murem.

I za mną też.



28

Parodia mężczyzny

Przesiedziałam w domu aż dwa tygodnie, a gdyby nie moje marudzenie i błagania, żeby puszczone mnie wreszcie do szkoły, Vincent kazałby mi zostać na kolejne dwa. Ja jednak potrzebowałam wyjść do ludzi. Rezydencja Monetów była co prawda idealnym miejscem do regeneracji: były tu wygodne kanapy, wielki telewizor i usłużna gosposia na każde zawołanie, ale na dłuższą metę zaczynałam się już nudzić. Zwłaszcza że niedawno Tony został wypisany ze szpitala i teraz siedziałam w domu razem z nim. A on był absolutnie nieznośny.

W dniu powrotu do szkoły zrobiłam coś, co było dla mnie wielkim wydarzeniem, takim godnym nawet wpisania do kalendarza. Po zapleceniu ciasnego warkocza i włożeniu mundurka (z największą uwagą, by nie podrażnić jeszcze nie do końca zagojonego siniaka), obserwowałam swoją twarz przez chwilę w lustrze. Przekrzywiałam głowę, bo czegoś mi w niej brakowało. Jakiegoś koloru, akcentu. Wtedy, wiedzioną dziwnym, niejasnym impulsem, automatycznie wręcz sięgnęłam do ukrytego w garderobie pudełka ze złotymi kolczykami od mamy. Dotychczas wzbraniałam się przed ich założeniem, ale dziś poczułam, że nadszedł czas, by wyjąć je z szafy.

Ostrożnie wsunęłam je w uszy i zapięłam, a następnie poczułam siłę, jakiej nie zaznałam jeszcze nigdy. Siłę, której potrzebowałam, bo z moim powrotem do szkoły wiązały się pewne obawy. Wiedziałam, że ludzie o mnie plotkowali, że nasz wypadek był gorącym tematem. Martwiłam się też, że Mona znudziła się czekaniem na mnie i jednak przeprosiła się z Audrey. Mimo że wymieniałam z nią kilka wiadomości, wciąż czułam między nami pewien dystans. Nie byliśmy tak blisko, jak byśmy tego chciały, i wiedziałyśmy o tym obie.

Czułam też coraz większe wyrzuty sumienia z powodu sytuacji rodzinnej Audrey. Robiło mi się przykro za każdym razem, gdy mijałam ją na korytarzu. Wyobrażałam sobie, jak wielką tragedią musiało być dla niej i jej rodziców tak nagłe rozstanie z Jerrym. Im więcej czasu minęło od jego występku, tym bardziej skłonna byłam puścić go w niepamięć. Czasami myślałam sobie, że może jeszcze dałoby radę naprawić naszą relację, może kiedyś udałoby mi się przekonać braci, by ulitowali się nad Jerrym? A wtedy znowu Audrey zaczęłaby się odzywać do mnie i Mony.

Naprawdę coraz bardziej lubiłam Monę. Już z samego rana przywitała mnie z szerokim uśmiechem, wyściskała i pochwaliła mój wygląd. Zwłaszcza ten komplement mnie rozczulił, bo przez ostatnie dni czułam się mało atrakcyjna, zmęczona przewalaniem się na kanapie i wiecznie ubrana w dresy. Trzymałyśmy się razem, przegadałyśmy kilka przerw na temat tego, co się wydarzyło, a potem, przed samym lunchem, Mona zaciągnęła mnie jeszcze do toalety za potrzebą, gdzie już od wejścia przywitał nas szloch.

Wymieniłyśmy zdezorientowane spojrzenia.

– Halo? Hej, wszystko okej? – zapytała z wahaniem moja towarzyszka.

Stała bliżej kabiny, z której dochodziły odgłosy płaczu. Po jej słowach najpierw trochę ucichły, ale zaraz rozpoczęły się na nowo, z jeszcze większą, zdawało się, siłą.

– Potrzebujesz pomocy? – spróbowała jeszcze raz Mona.

Ja się nie odzywałam. Nie dlatego, że nie chciałam pomóc, ale miałam jakieś dziwne przeczucie.

– Mona? – wybełkotał głos z kabiny.

Wymieniłyśmy z Moną kolejne spojrzenia.

– Tak, to ja.

Płacz znowu się nasilił i zagłuszył kliknięcie zamka, ale drzwi do kabiny otworzyły się i ukazały siedzącą na klapie toalety skuloną Lavinie. Aż nabrałam powietrza na jej widok. Jej proste blond włosy były rozczochrane, twarz zaczerwieniona, a po policzkach wraz ze łzami spływała czarna maskara.

Na mój widok pokręciła głową w geście zrozumiałym tylko dla niej, a z jej oczu trysnęła kolejna fontanna łez. Patrzyłam na nią przez chwilę bez emocji. Powinnam czuć satysfakcję na widok jej cierpienia, w końcu ona po części odpowiadała za moje. Ale nie potrafiłam jej nie współczuć. Nie potrafiłam być tak obojętna.

Ukucnęłam przed nią, krzywiąc się na lekki ból w nodze – było już z nią lepiej, ale jeszcze nie całkiem dobrze. Mona zaś stanęła obok i otoczyła ją ramieniem.

– Co się stało? – zapytałam.

Lavinia potrzebowała chwili, żeby odpowiedzieć. Wyciągnęłam z torby paczkę chusteczek i podałam jej jedną. W pierwszym momencie popatrzyła na mnie trochę nieufnie, ale w końcu przyjęła mój podarunek i zaczęła smarkać nos, próbując się przy tym wysłować.

– Jason...

No tak.

Starałam się być miłą, porządną i uczynną, tak jak zostałam wychowana, ale nie mogłam nic poradzić na to, że w pierwszej chwili poczułam minimalne zadowolenie. Kłopoty w raju?

– Co z Jasonem? – spytała Mona.

Spodziewałam się, jaka będzie odpowiedź.

– Rzucił mnie! – zawyła Lavinia.

Kolejne spojrzenie, które wymieniłam z Moną, było znaczące. Po tym, jak potraktował mnie, wyrobiłyśmy sobie o nim opinię, która teraz tylko się potwierdziła.

Lavinia zaczęła opowiadać, co się wydarzyło. Nic nie zwiastowało ich nagłego rozstania. Przyjechała dziś do szkoły jak zwykle i zamiast pocałunku

na dzień dobry dostała chłodne spojrzenie, obojętne wzruszenie ramion i chyba nawet drwiący uśmiech.

– Czy coś się wydarzyło wczoraj? – zapytała Mona.

Lavinia pokręciła przecząco głową.

– Wczoraj się nie widzieliśmy, Jason był zajęty. Ale dwa dni temu... – przerwała, bo znowu zebrало jej się na płacz.

– Co się wydarzyło dwa dni temu? – zapytałam łagodnie, współczując jej coraz bardziej.

– Przespaliśmy się ze sobą – wydusiła, po czym ukryła twarz w dłoniach. Zagryzłam wargę i spojrzałam w bok, a Mona westchnęła cicho. – Pierwszy raz...

Nie udało się nam z niej wyciągnąć wiele więcej. Sprawa była jednak boleśnie prosta. Jason namówił Lavinie na seks, a po wszystkim kompletnie stracił nią zainteresowanie. Co to za stereotypowy dupek! Aż nie mogłam w to uwierzyć, nie wierzyłam, że takie rzeczy dzieją się w prawdziwym życiu. Do tej pory byłam przekonana, że mają miejsce tylko w przekoloryzowanych dramatach dla nastolatków. Ten chłopak, w którego byłam tak wpatrzona, z którym spędziłam tyle czasu, którego tak broniłam przed swoimi braćmi, potraktował w ten sposób swoją dziewczynę.

A to mogłam być ja.

– Powiedział, że w sumie to wcale nie było mu ze mną tak dobrze – wyznała na koniec Lavinia. Cała aż się trzęsła. Trudno jej było o tym mówić, zwłaszcza przy mnie.

Mona szeptała słowa wsparcia do jej ucha, przeklinając co chwila Jasona, ale ja nie byłam w nastroju, by odgrywać rolę pocieszycielki. Wszystko we mnie wrzało. Przez całe te długie tygodnie Jason udawał, że jest zakochany po uszy w Lavinii, tylko po to, żeby dobrać się do jej majątek. Co za bydlak! Nawet ja mu uwierzyłam, że czuje do niej coś prawdziwego, a tymczasem on udawał przez cały czas. A więc to jeden z tych chłopaków, tych idiotów, co myślą tylko dolną częścią ciała.

Ze mną też pewnie tylko udawał. Dlatego tak szybko się ze mnie wyleczył.

Podniosłam się do pozycji stojącej i popatrzyłam z góry na zapłakaną Lavinie.

To naprawdę mogłam być ja, teraz, na jej miejscu. Rycząca w szkolnej toalecie, wykorzystana i porzucona.

Biedna Lavinia.

– Co za świnią! – wykrzyknęłam zbulwersowana, a obie dziewczyny zerknęły na mnie zaskoczone.

Zalała mnie fala złości, przeogromnej złości. Na Jasona. Cały żal, który czułam do niego po tym, jak przestał się do mnie odzywać, cały smutek, na który mnie naraził, paradując bezwstydnie na moich oczach z inną dziewczyną. Cała wściekłość, którą odczułam teraz, uświadomiwszy sobie, jakim typem osoby był i jak bardzo się myliłam co do niego. Wszystkie te emocje się połączyły, tworząc mieszankę wybuchową.

Ignorując wołającą za mną Monę, wybiegłam z łazienki i kierowana furią wpadłam prosto na stołówkę. Prędko odszukałam wzrokiem stolik, przy którym siedział Jason. Wiedziałam dobrze, który to jest. Często patrzyłam w tamtą stronę.

Jason zorientował się, że idę do niego, dopiero gdy dzieliło nas już tylko kilka metrów. Nie zdążył nawet wstać. Jego głupkowaci koledzy zamilkli na mój widok.

– Hai... – zaczął, ale nie dokończył, bo moje rozcapierzone palce zatopiły się w jego koszulce. Ostatnio zaczęłam zapuszczać paznokcie, więc miałam nadzieję, że zadałam mu przy okazji trochę bólu.

– Jesteś nikiem, Jason – warknęłam, szarpiąc go. Patrzyłam prosto w jego błękitne oczy, za którymi kiedyś tak bardzo tęskniłam. Teraz z zadowoleniem odnotowałam, że robiły na mnie niewielkie wrażenie.

– Co ty wyprawiasz?! – sapnął, po czym spróbował mi się wyrwać, podnosząc się ze swojego krzesła.

– Brzydzę się tobą!

Udało mu się oswobodzić i cofnąć ode mnie, ale ja natychmiast napałam na niego znowu, tak że się zachwiał.

– Ona jest nienormalna – zawołał Jason, zerkając na boki, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że musieliśmy mieć niezłą widownię. Ja

jednak skupiałam się w tej chwili tylko na nim.

– Jesteś nic niewart!

Mówiłam głośno i wyraźnie, z nadzieją, że każda dziewczyna, która nas obserwowała, dobrze mnie słyszy.

Nagle na jego twarzy zaczął pojawiać się głupkawy uśmiech. Jego dołeczki już nie były słodkie.

– Tak się wściekasz, bo cię rzuciłem? – zaśmiał się głośno.

Co on wygaduje?

Z naszego starcia zrobiło się przedstawienie na całą stołówkę i widocznie zaczął czuć się jak gwiazdor. No cóż, jak chce być celebrytą, to proszę bardzo.

Z całej siły, której nie byłam dotąd świadoma, zamachnęłam się i moja otwarta dłoń zetknęła się z jego twarzą. Uderzyłam go trochę wyżej niż w policzek, w który celowałam, ale nie szkodzi, bo najważniejsze było to, że go zabolalo. Aż się zatoczył i syknął, momentalnie przytulając palce do czerwonego śladu, który mu zostawiłam.

Moja ręka też mnie zapiekła, ale zacisnęłam ją w pięść, ignorując ból. W tej chwili pozwoliłam sobie tylko na jedno uczucie i był to triumf, bo oto zrobiłam coś, o czym skrycie marzyłam od momentu, gdy zobaczyłam go z Lavinia.

Prawa ręka Jasona drgnęła, jakby przez ułamek sekundy rozważał, czy mi nie oddać, ale się powstrzymał. Wciąż oszołomiona swoim czynem zauważyłam, jak o chwilę za długo wpatrywał się w coś za moimi plecami, więc z ciekawości się odwróciłam.

Wtedy przypomniałam sobie, że mam braci. To na nich Jason zawiesił na chwilę swój wzrok. Moje serce zamarło, gdy uświadomiłam sobie, że dwóch z nich było świadkami mojego wybuchu.

Dylan siedział rozwalony na na wpół odsuniętym krześle i z pozoru jego poza wyglądała niedbale, ale coś mi mówiło, że w każdej chwili gotów jest poderwać się na równe nogi. Minę miał poważną i groźną. Obserwował całe wydarzenie z uniesionym wysoko podbródkiem, lekko nadstawiając ku nam prawe ucho, tak żeby żadne z naszych słów mu nie umknęło.

Shane natomiast zdawał się bardziej wyluzowany. Z największym zainteresowaniem oglądał moje starcie z Jasonem. Brakowało mu jeszcze tylko popcornu. Ledwo hamował też śmiech w reakcji na mój akt agresji.

Odwróciłam się z powrotem do swojego przeciwnika. O dziwo, poczułam kolejny, nagły przypływ siły i odwagi. Zrobiłam mały krok w jego stronę i złapałam go za środek koszulki, znowu nie szczędząc mu swoich paznokci.

– Jesteś parodią mężczyzny, lepiej zejź mi z oczu – wyszeptałam do niego zjadliwie, a moje spojrzenie chyba nigdy jeszcze nie było tak wrogie i nienawistne.

Jason jeszcze jeden raz rzucił okiem za moje plecy, przełknął ślinę, po czym wyszarpnął się z mojego uścisku i zwilżył sobie usta językiem. Potem popatrzył na swoich osłupiałych kumpli i ruchem głowy wskazał na wyjście.

– Idę na fajkę – rzucił do nich, zrywając z oparcia siedzenia swoją skórzaną kurtkę, po czym oddalił się szybkim krokiem, mrużąc coś w stylu: „To jakaś komedia”.

Gdy tylko zniknął na korytarzu, otrząsnęłam się z tego dziwnego transu, w który wpadłam, i znowu byłam dawną Hailie, panną idealną kujonką. Rozejrzałam się po stołówce, coraz bardziej panikując na widok wszystkich spojrzeń, które mnie przeszywały. Celowo unikałam patrzenia w stronę stolika Monetów.

W końcu nie pozostało mi nic innego jak opuścić salę. Nie mogłam tam zostać po tym, co się wydarzyło. Nie znosiłam dobrze bycia w centrum uwagi, na pewno nie takiej. Wymaszerowałam więc na korytarz i oparłam się o szafki. Co to, do cholery, było? Czy to byłam ja? Czy ja właśnie spoliczkowałam Jasona?

Zamknęłam oczy, przywołując jego czerwoną ze złości i zażenowania twarz. Otworzyłam je dopiero, gdy usłyszałam, jak ktoś powoli bije brawo. Klap, klap, klap.

– Niezłe show, mała siostrzyczko – powiedział Dylan, idąc nieśpiesznie w moją stronę. Odetchnęłam głęboko, szykując się na wykład. – Jedno pytanie. Dlaczego akurat dzisiaj się tak na niego wściekłaś?

Domyślałam się, że tak naprawdę Dylan chciał wiedzieć, czy czasem nie utrzymywałam kontaktu z Jasonem po tym, jak go zrzucił ze schodów i wyraźnie mi tego zabronił. Powiedziałam mu więc prawdę o natknięciu się na zapłakaną Lavinie.

Pokiwał głową.

– Okej, niech będzie. Ale tak na przyszłość... z takimi sprawami masz przychodzić do nas. Nie chcesz sobie chyba popsuć reputacji, prawda?

– Nie – przyznałam.

Dylan zdawał się próbować zachować poważną minę, choć gdy mnie wymijał, widziałam, że na ustach błądzi mu kpiarski uśmiech. Odszedł też i wcale się więcej nie czepiał, a do mnie wciąż w powolnym tempie docierało to, co zrobiłam. Na forum całej szkoły uderzyłam i zwyzywałam Jasona. Mój brat miał rację, mogłam wpakować się w prawdziwe kłopoty, gdyby jakiś nauczyciel akurat to zobaczył. Aż dziw, że żaden nie widział...

Na Jasona nie napatoczyłam się już do końca dnia, więc on naprawdę wziął sobie do serca moje polecenie i rzeczywiście zszedł mi z oczu. Podczas przerw podchodziły do mnie różne dziewczyny i gratulowały mi mojej postawy, chwając moją odwagę i waleczność. Mona rozpaczła na głos, że przegapiła taki emocjonujący występ. Niestety, okazało się też, że wcale nie miałam tyle szczęścia i świadkiem mojego aktu przemocy wobec innego ucznia na stołówce była pani Roberts. Uciekłam, zanim wyszła z szoku i zdążyła mnie upomnieć, ale zaczepiła mnie po lekcji i ostrzegła, że w tej szkole takie zachowania karane są bardzo surowo. Wiem, że zważając też na naszą rozmowę z przeszłości, ona po prostu się martwiła, ale doceniłabym, gdyby sobie darowała i nie informowała o tym zajściu Vincenta.

Stało się jednak inaczej, a pani Roberts chwilowo straciła miano mojej ulubionej nauczycielki.

– Pamiętasz, gdy mówiłem, że nie życzę sobie, byś wdawała się w bójki? – zapytał mnie Vincent, gdy wróciłam do domu. Dorwał mnie zaraz przy schodach, jeszcze zanim weszłam do kuchni. Ton jego wydawał się lekki, ale jak zwykle pobrzmiwała w nim nuta surowości.

Nieśmiało na niego zerknęłam. Jego jasne oczy patrzyły na mnie z mocą, ale coś mi podpowiadało, że nie jest na mnie wcale tak bardzo zły.

– Technicznie rzecz biorąc, to nie była bójka... – zaczęłam, ale mi przerwał.

– Pamiętasz?

Westchnęłam. Nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym zapomnieć chyba żadnej rozmowy, którą kiedykolwiek z nim przeprowadziłam.

– Pamiętam.

Mój brat skinął głową.

– Dlaczego nie wolno ci używać przemocy?

Po schodach zszedł Will i mijając nas, rzucił mi tylko szybkie „cześć”. Na pewno słyszał, co Vince do mnie mówił, i pewnie wiedział, o co mniej więcej chodziło. Postanowił się jednak nie wtrącać, bo zniknął natychmiast w kuchni i znowu zostałam sama z naszym najstarszym bratem. Słyszałam tylko głosy chłopaków dobiegające z pomieszczenia obok.

– Bo to niebezpieczne?

– Mało się wydarzyło ostatnio w twoim życiu? Potrzebujesz więcej wrażeń?

– Vince. To nawet nie była bójka – zaproponowałam, odważnie odwzajemniając jego spojrzenie.

– Pytam się ciebie, Hailie, czy potrzebujesz więcej wrażeń?

Zacisnęłam ręce w pięści z bezsilności i zagapiłam się na swoje buty. Dlaczego rozmowy z nim zawsze są takie trudne?

– Nie.

Nic przez chwilę nie mówił, ale się też nie poruszył, więc w końcu podniosłam znowu na niego wzrok, chcąc wiedzieć, co dalej. Zdziwiłam się, bo patrzył w dół, na mnie, z widocznym rozbawieniem. Bawił się ze mną. Trochę mnie tym zirytował, ale przede wszystkim mi ulżyło.

– Spoliczkowałam Jasona. Tego chłopaka, z którym zabroniłeś mi się widywać. Naprawdę okazał się frajerem... – wyznałam ośmielona jego postawą.

Teraz nawet kąciki jego ust zadrżały.

– Wiem, że to akurat jego spoliczkowałaś, Hailie, inaczej byśmy sobie nie żartowali, tylko miałybyś kłopoty.

Przełknęłam ślinę. Mimo że niby sobie żartowaliśmy, to w jego wypowiedzi wyraźnie dało się słyszeć ostrzeżenie. Zrozumiałam jednak, że tym razem nie zamierza się na mnie gniewać. Pokazał mi tylko, że wie o moim występku i żebym pilnowała się na przyszłość. Co za człowiek... Nie mogłam się mu nadziwić. Nie wiedziałam, czy bardziej mi imponuje, zdumiewa mnie, czy przeraża.

I wtedy ośmielił mnie na tyle, że sama postanowiłam zagadać do niego z pewną sprawą. Zastanawiałam się tylko, jak ją ugryźć...

– Audrey nie chce mnie znać – rzuciłam znienacka.

Rzadko kiedy wspominałam Vincentowi o swoich znajomych czy o szkolnych perypetiach w ogóle, dlatego uniósł brwi, jakby niespecjalnie wiedział, co mi odpowiedzieć.

– Jerry naopowiadał jej kłamstw i mu uwierzyła. Teraz nie chce ze mną rozmawiać ani nawet mnie znać.

Mój brat patrzył na mnie i jakoś chyba niespecjalnie go to obeszło. Nie był typem pocieszyciela, dlatego postanowiłam przejść do sedna.

– Czy wygnanie Jerry’ego było konieczne? – zapytałam cicho.

Twarz Vincenta stężała. Już nie wydawał się rozbawiony. Uniósł brodę. To ta straszliwsza maska, którą zakładał, gdy poruszałam niewygodne dla niego tematy.

– Dobrze wiesz, dlaczego musiał się wyprowadzić – odpowiedział beznamiętnie, krzyżując ręce na piersi.

– Popełnił błąd, zgadza się, ale w końcu to nie on za tym wszystkim stał, prawda?

– Nieistotne – uciął Vince. – Chłopak ci groził, dlatego za to zapłacił. I tak dość łagodną cenę.

Patrzył na mnie złowrogo i trochę wyzywająco.

– Audrey to moja koleżanka, a przeze mnie właśnie straciła brata... Nie możesz... to znaczy nie mógłbyś mu darować? Myślę, że on wie, że popełnił błąd. Myślę, że tym razem powinieneś mu odpuścić...

Nie wiem, skąd brałam odwagę, bo oto stałam przed nim, mała jak mrówka. Sporo kosztowało mnie to, by się nie cofnąć, gdy pochylił się

w moją stronę. Spuściłam wzrok, nagle czując ogromny dyskomfort spowodowany jego bliskością.

– Droga Hailie, chcesz mi mówić, co mam robić, podczas gdy nie potrafisz nawet spojrzeć mi w oczy? – zapytał niskim głosem wpadającym w szept.

Spróbowałam odwzajemnić jego spojrzenie, by udowodnić mu, że potrafię, ale trwało to tylko parę sekund i znowu zagapiłam się na swoje buty. Wtedy jego palce musnęły moją brodę, unosząc ją i tym razem zmuszając mnie do nawiązania z nim kontaktu wzrokowego.

– Uważasz, że jesteś odpowiednią osobą, żeby mówić mi, co mam robić?

Chciałam przerwać tę rozmowę. Kiedy myślałam, że już po tych wszystkich miesiącach zaczynam się do niego przyzwyczajać, on udowodnił mi, jak bardzo wciąż się go obawiam.

– Nie – wymamrotałam.

Prawdę mówiąc, to powiedziałabym mu teraz, cokolwiek by zechciał, byle tylko zakończyć tę interakcję.

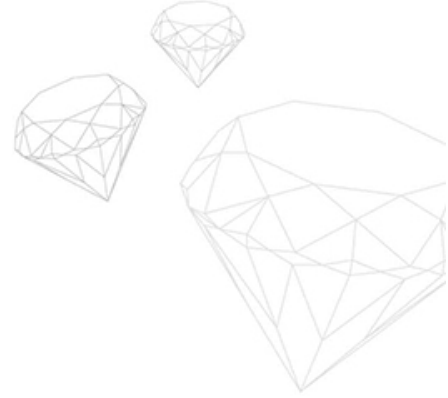
– Tak myślałem.

Czułam się tak wystawiona na jego zimne, badawcze i uważne spojrzenie, że nie zdziwiłabym się, gdybym zaczęła się czerwienić.

– Prosiłbym cię, Hailie, żebyś nie podważała moich decyzji. Zwłaszcza że Jerry już i tak został potraktowany ulgowo. – Zamilkł na chwilę, ale zaraz zdecydował się dodać oschle coś jeszcze: – I pamiętaj, niektóre marne szkolne znajomości nie mogą się równać z więziami rodzinnymi. Twoja koleżanka, Audrey, o tym wie i zawsze weźmie stronę swojego brata. Z kolei twoją stronę wezmę ja. Nie zawsze gram fair, ale dzięki temu wygrywam. Czas, żebyś to zrozumiała. Czy to jest jasne?

Gapiłam się na niego i aż odjęło mi mowę. Ledwo zauważalnie pokiwałam głową i wyjąkałam też ciche „tak”. Wtedy on się ode mnie odsunął i wyprostował. Przyjrzał mi się uważnie raz jeszcze i otwartą ręką wskazał na kuchnię, jakby zapraszając mnie do środka. Jasny komunikat, że rozmowa się skończyła i czas na obiad.

Nie trzeba było mi tego dwa razy powtarzać i z ulgą uciekłam przed uwagą Vincenta.



29

Wszystko

Gdy wchodziłam do kuchni, Vincent deptał mi po piętach. Co się rzadko zdarza, całe moje rodzeństwo było obecne przy stole. Od razu skierowałam się ku wolnemu miejscu obok Willa, szukając pociechy u boku ulubionego brata, bo wciąż czułam w ustach gorzki posmak rozmowy z Vince'em. Głowę miałam spuszczoną i byłam zażenowana samą myślą, że chłopcy mogli dosłyszeć jakieś jej strzępki.

Chwilę mi zajęło uświadomienie sobie, że tak naprawdę zażenowana byłam wyłącznie samą sobą. Poczułam przyływ złości. Na Vincenta, rzecz jasna, ale przede wszystkim na siebie.

Nie rzuciłam się na hamburgery tak jak pozostali, ale skubałam swoją porcję, żeby nikt się nie przyczepił, że znowu migam się od jedzenia. Śmiesznie było też widzieć mojego najstarszego, zawsze eleganckiego brata z wielką bułą w rękach. Fast foody do niego nie pasowały. Moi bracia rozmawiali między sobą, ale nie wiedziałam o czym, bo ich nie słuchałam. Skupiłam się na kontrolowaniu rosnącej wściekłości, która tak nagle się we mnie obudziła.

Poprosiłam Vincenta o to, żeby rozważył raz jeszcze wyrok wydany na Jerry'ego. Czy naprawdę musi to być dla niego taki problem? Czy Will nie

mógł zatrzymać się, gdy nas mijał, położyć ręki na ramieniu starszego brata i mruknąć mu do ucha, żeby wyluzował?

A Tony? Potrafił przyjąć za mnie kulę, ale nie może odezwać się do mnie słowem, które nie byłoby zabarwione irytacją, znudzeniem albo złościwością? Czy to musiało być dla niego takie trudne, żeby odwzajemnić mój uścisk, wtedy w szpitalu?

Dylan. Pamiętałam jego miłe słowa wtedy, gdy przyszedł do mojej sypialni, żeby mnie przeprosić. I to, jak dał mi się wypłakać. Nazwał mnie nawet skarbem! Dlaczego nie może robić tego częściej? Dlaczego nie może uśmiechnąć się do mnie od czasu do czasu uśmiechem innym niż ten ironiczny, ten, który tak dobrze znałam i którego tak nie lubiłam?

Najmniej z moich braci zalażł mi za skórę Shane, ale to nie znaczy, że zachowywał się w porządku. Nigdy nie wziął mojej strony. Był zabawny i zwykle miły, ale absolutnie nigdy nie stanął w mojej obronie. Raz mi powiedział, że im wszystkim zależy na moim bezpieczeństwie i że bym spróbowała ich zrozumieć. Czy nie mógłby wysilić się choć raz, by zrozumieć mnie?

Moja dolna warga trzęsła się tak, że nie mogłam nad nią zapanować. W tamtej chwili czułam się, jakbym dryfowała po morzu żalu i nienawiści. Kompletnie się w tych uczuciach zatraciłam. Nagle mój hamburger zmienił się w wielką żółtą plamę, bo łzy, które napłynęły mi do oczu, wszystko rozmazały. Zaczęły chyba nawet skapywać na mój talerz.

Dylan opowiadał coś, ale przerwał w pół słowa, gdy jego wzrok spoczął na mojej twarzy. Zagapił się na mnie z uniesioną brwią, jakby próbował zrozumieć, co – u licha – się ze mną dzieje. Za jego spojrzeniem podążyła wkrótce reszta chłopców.

– Hailie? Hej, co jest? – Przy moim uchu zabrzmiał łagodny głos Willa. Jego ręka oplotła moje ramiona, a ja z trudem nabrałam powietrza. Po raz pierwszy chyba jego delikatny dotyk nie przyniósł mi ukojenia, tylko rozdrażnił mnie jeszcze bardziej.

Podniosłam wzrok i zamrugałam, próbując pozbyć się łez, ale było ich tak dużo, że w końcu po prostu starłam je rękawem marynarki. Zawstydziłam się, gdy zobaczyłam, że rzeczywiście wszyscy przy stole się we mnie wpatrują. Uczucie to nie trwało jednak długo, ponieważ wciąż byłam zła

i usłyszałam mądry głos w swojej głowie, który powiedział mi, że przecież mam prawo płakać. Mam prawo czuć się źle i nie muszę się tego wstydić. Byłam wrażliwa i często ryczałam, może trochę za często, ale tym razem miałam do tego prawo.

Na moment moje spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Vincenta. Siedział naprzeciwko mnie i wpatrywał się we mnie niewzruszenie.

– Co z nią znowu? – burknął Dylan.

Dziękowałam niebiosom, że burgery mieliśmy jeść rękoma, bo przysięgam, że gdybym trzymała teraz widelec, to bez zastanowienia wbiłabym go w jego dłoń. Zamiast tego odgarnęłam z twarzy zawadzający mi kosmyk włosów i wtedy, przez tak niedbały ruch, palcami zahaczyłam o płatek ucha. Przypadkowo wyczułam na nim metalowe serduszko i zastygłam na ułamek sekundy.

A potem, jak za dotykem czarodziejskiej różdżki, poczułam odwagę. Rzuciłam Dylanowi ostre spojrzenie i dałam sobą zawładnąć furii, która nagle wybuchła we mnie jak wulkan i paliła mnie teraz w środku, pchając do kłótni.

– „Co z nią?” Niech się zastanowię, może jest jej przykro? – zawołałam piskliwie, podrywając się na równe nogi. Ręka Willa ześlizgnęła się z moich ramion.

Nastąpiło kilka sekund ciszy.

– Ale co... dlaczego niby? – Shane zmarszczył brwi.

– Bo moi bracia to kretyni?!

– Nie powiedziałaś tego – sapnął z niedowierzaniem Dylan. Widziałam, jak jego oczy ciemnieją.

– Och, Dylan... – zaśmiałam się gorzko, kompletnie się już nie kontrolując. – Gdybyś tylko wiedział, ile jest jeszcze rzeczy, które chciałabym powiedzieć.

Widziałam, jak na twarzach większości chłopców maluje się złość. Tylko Vince patrzył na mnie tym samym, wypranym z emocji spojrzeniem.

– Hailie, co się z tobą dzieje? – zapytał Will surowo.

– Rozpieszczona dziewczynka – mruknął Dylan.

– Tak, Dylan – syknęłam. Łatwiej było mi naskakiwać na niego niż na Willa. – To ja jestem rozpieszczona. Spójrz, proszę, na siebie.

On zerwał się ze swojego krzesła i teraz też stał. Normalnie cieszyłabym się, że dzieli nas stół, i to, że nade mną górował, nie było tak widoczne, ale szczerze mogłam powiedzieć, że w tej chwili, tak czy siak, miałam to gdzieś.

– Masz tu wszystko na wyciągnięcie ręki, a mimo to śmiesz odzywać się do nas w taki sposób?!

Uniosłam brwi, tym razem to ja nie mogłam uwierzyć w jego słowa.

– Wszystko? Przepraszam bardzo, ale czym jest to twoje wszystko? Chodzi ci o drogie ubrania? – prychnęłam, szarpiąc się za kołnierz mundurkowej koszuli. – Najnowszy telefon? – Wyjęłam z kieszeni urządzenie i z większą, niż zamierzałam, siłą trzasnęłam nim o stół. – Prywatna szkoła? – Pokręciłam głową, gapiąc się na niego, jakby oszalał. – Nie rozumiesz, że to są fajne dodatki, które nic nie znaczą, kiedy czujesz się niekochany, kiedy twoja mama umarła i zostawiła cię samą, kiedy nie masz nikogo poza braćmi, którzy przez większość czasu traktują cię jak intruza albo problem? Do cholery, o każde miłe słowo, jakie od was usłyszałam, musiałam walczyć i się prosić. Cieszę się jak idiotka za każdym razem, gdy któryś z was łaskawie mnie przytuli albo się do mnie uśmiechnie. Ciągłe tylko słyszę o zasadach i co mi wolno, a czego nie. – Wbiłam wzrok w Vincenta, który z całą pewnością mnie słuchał, ale na którego twarzy nie mogłam dojrzeć żadnej reakcji. – Ty interesujesz się mną tylko wtedy, gdy zrobię coś, co ci się nie spodoba. A czy ja naprawdę jestem taka okropna? Mam drugą najlepszą średnią w całej szkole! Nigdy nic nie powiedziałaś. A na pewno o tym wiesz. Ty wiesz wszystko. Nie chciałam nawet wypić jednego głupiego kieliszka szampana ze swoimi znajomymi, bo bałam się, że się dowiecie i będziecie źli. – Teraz spojrzałam na Willa, a potem wzięłam głęboki wdech i z powrotem przeniosłam wzrok na Dylana. Ciągnęłam dalej już spokojniej, ale bardziej gorzko: – Nie spotykałam się z Jasonem, żeby zrobić wam na złość. Był po prostu kimś, kto chciał ze mną rozmawiać, kto sprawiał wrażenie, że mu na mnie zależy, i kto, miałam nadzieję, da mi trochę miłości. A wyście go pobili. I mnie znienawidził. – Teraz rzuciłam spojrzenie Tony’emu, który zastygł i wpatrywał się we mnie zadziwiony, z uniesionymi brwiami, jakby zobaczył krasnoludka. – Nie wygadałam się Vincentowi o twoim pistolecie, żeby cię wpakować w kłopoty. Ja po prostu

nigdy wcześniej nie widziałam broni na oczy, a nagle zobaczyłam ją w twoim pokoju. A ty byłeś dla mnie taki podły. Przestraszyłam się, nie masz nawet pojęcia, jak bardzo... – Dla odmiany zerknęłam w dół, na swoje ręce, oddychając szybko i znowu starając się zapanować nad głosem, żeby nie krzyżeć. – Nie wiedziałam, co się dzieje, mogłam polegać tylko na idiotycznych plotkach, jakie krążą na wasz temat po szkole. Chciałam odkryć coś więcej, chciałam wiedzieć, kim są ludzie, z którymi mieszkam pod jednym dachem. Nie czułam się bezpiecznie. A potem dowiedziałam się, że mam ochroniarza, że są osoby, które chcą mnie porwać, a nawet zabić. Co to w ogóle ma znaczyć? – Znowu patrzyłam na Vincenta. – Powiedziałeś, że jak ktoś mnie porwie, to go zabijesz. Wyrzuciłeś Jerry'ego ze stanu. Kazałeś pobić Jasona. I ty się dziwisz, że nie mogę ci spojrzeć w oczy?! Moja mama nie potrafiła pacnąć nawet muchy, a ja nagle trafiam pod opiekę osoby, która tak swobodnie mówi o krzywdzeniu innych?! Ja... ja nie mogę... To jest... Ja... Nie wiem...

Wzięłam głęboki, rozhisteryzowany wdech, który okazał się niespodziewanym zakończeniem mojego długiego wywodu. Miałam do powiedzenia dużo, dużo więcej, ale energia, która mnie napędzała, już się wyczerpała. Tak jakbym wcześniej wzięła narkotyk, który przestawał działać.

Czułam, jak moje ciało powoli zalewa fala gorąca. Najbardziej parzyły mnie policzki i byłam pewna, że zaczynam się czerwienić. Od czubka mojej głowy do samych stóp przebiegły mnie też złowrogie ciarki.

Czy... czy ja śnię?

Czy ja właśnie powiedziałam to wszystko na głos? Rozejrzałam się oszołomiona. Zapomniałam już, że stoję. Dylan też stał. Patrzył na mnie, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy w życiu. Nie, nawet wtedy, gdy zobaczył mnie pierwszy raz, był bardziej obojętny. Teraz był zdumiony. Wszyscy byli. Wargi Willa się rozchyłały, oczy otwierały szeroko. Shane mrugał, jakby sam się zastanawiał, czy to nie sen. Tylko Vince miał kamienną twarz. Nie drgnął mu na niej nawet mięsień.

Cisza była tak gęsta, że czułam, jak zaczyna mnie dusić. Przełknęłam nerwowo ślinę. Zrobiłam krok do tyłu. Wpadłam na swoje krzesło. Narobiłam hałasu. Złapałam się oparcia, by się nie wywrócić. Puściłam je

natychmiast, gdy odzyskałam równowagę. I znowu zrobiłam krok do tyłu. A potem obróciłam się na pięcie i rzuciłam się biegiem do wyjścia z kuchni, zostawiając swoich braci przy stole, zastygłych jak rzeźby.

W korytarzu przemknęłam obok Eugenie, która stała zszokowana; zapewne słyszała mój wybuch i nie miała odwagi wejść do pomieszczenia, w którym rozgrywał się taki dramat.

Z dziwną desperacją wpadłam do swojego pokoju, po czym starannie zamknęłam za sobą drzwi i przytuliłam się do nich. Mój oddech był szybki, cała się trzęsłam i wreszcie zapłakałam na głos, osuwając się na podłogę. Leżałam skulona, powolutku się uspokajając.

Co ja właśnie zrobiłam? Czy to byłam ja?

Przez pierwsze minuty nasłuchiwałam nerwowo, czy czasem nikt nie ruszył moim śladem. Wyobrażałam sobie, jak ktoś, może Dylan, bez pukania otwiera drzwi na oścież i wkracza do mojej sypialni, żeby na mnie nakrzyczeć. Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Po jakimś czasie dowlokłam się na czworakach do łóżka i wdrapałam się na nie, by przeleżeć na nim resztę popołudnia. Bolała mnie głowa. Na przemian zasypiałam i się budziłam. Raz jak przez mgłę widziałam, że drzwi się uchylają i do mojego pokoju zagląda Vincent, ale nie byłam pewna, czy to się wydarzyło naprawdę, bo miałam mnóstwo dziwnych snów.

Obudziłam się zrana potem, gdy Tony właśnie wepchnął mnie do przerażającego, ponurego budynku, który był moim wyobrażeniem sierocińca jak z horroru. Przeklął coś do mnie, a potem czyjaś ręka złapała moje ramię i zaczęła wciągać mnie do środka, Tony zaś odpalił sobie papierosa i zaczął mi machać na do widzenia z podłym uśmiechem. Za nim majaczyła sylwetka Vincenta. Patrzył obojętnie na moją spanikowaną twarz.

Przerażona czułam, jak mocno bije mi serce. Mrugałam, próbując przyzwyczać oczy do ciemności, w której teraz już pogrążony był mój pokój. Po ostatnim okresie koszmarów zadbałam, żeby nauczyć się robić użytek z nocnej lampki przy łóżku i teraz chętnie z niej skorzystałam. Aż jęknęłam, gdy oderwałam głowę od poduszki. Ależ mnie bolała! Było mi też zimno. Albo gorąco. Nie mogłam się zdecydować. Jęknęłam przeciągle.

Byłam przekonana, że mam gorączkę. Moja głowa miała zaraz eksplodować. Przykryłam się kołdrą po sam jej czubek, by następnie jednak

skopać okrycie na bok, gdy zrobiło mi się za ciepło. Koszula, w której spałam, była dosłownie mokra. Chyba zachorowałam. Potrzebowałam jakichś leków, jakiejś tabletki, która zbije gorączkę i sprawi, że okropny ból głowy odejdzie. Problem był taki, że nie mogłam nawet podnieść się z łóżka. Nie wiedziałam, która jest godzina. Czy Eugenie jeszcze pracuje? Nie miałam przy sobie nawet telefonu. Został w kuchni na stole.

Nie chciałam oglądać swoich braci, a tym bardziej błagać ich o pomoc, ale czułam się tak potwornie, że gdybym tylko miała siłę, żeby zwlec się z łóżka, tobym to zrobiła. Wiedziałam, że na pewno mnie nienawidzą. Są na mnie źli.

Leżałam i męczyłam się przez dłuższy czas. Nie było mowy, żebym zasnęła. W pewnym momencie zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, żeby umrzeć z powodu tak okropnej gorączki. Kiedyś takie z pozoru banalne dolegliwości zabijały ludzi, prawda?

Nagle drzwi do mojego pokoju się uchyliły i do środka zajrzał Will. Nasze spojrzenia się spotkały. Nie podszedł jednak do mnie, tylko zaczął się wycofywać i zrozumiałam, że najwidoczniej nie zamierzał wchodzić. Spanikowałam na samą myśl, że znowu zostanę sama.

– Will! – zaskomlałam najgłośniejszym, jak potrafiłam, co wciąż było niczym więcej jak tylko żalosnym jękiem, ale on mnie usłyszał i się zatrzymał.

– Tak? – zapytał cicho i albo to sobie wmawiałam, albo nie brzmiał tak sympatycznie jak zwykle, gdy się do mnie zwracał.

– Źle się czuję... – załkałam niewyraźnie, zaciskając z wysiłku pięści na kołdrze.

Muszę przyznać, że Will zareagował natychmiast. Ze zmarszczonymi brwiami zbliżył się do mojego łóżka. Schylił się, by dotknąć mojego czoła. Gdy tylko znalazł się obok mnie, na jego twarzy pojawiła się troska. Jakby w ogóle nie był na mnie zły.

– Cholera jasna, Hailie, cała jesteś rozpalona – powiedział głośno, ale bardziej do siebie, a potem wymruczał jeszcze: – Coś ty sobie zrobiła?

Nie odzywałam się, bo nie miałam na to siły, ale poczułam się od razu odrobinę lepiej, ufając, że Will mi pomoże. Wyglądał, jakby się przejął. Nawet jeśli mnie teraz nienawidził, to nie był przecież potworem.

– Poczekaj.

I tak nigdzie się nie wybierałam. Leżałam nieruchomo i patrzyłam, jak w pośpiechu opuszcza mój pokój. Nie chciałam, żeby mnie zostawiał, ale nie miałam siły oponować.

Wrócił dość szybko z butelką i szklanką wody oraz jakimiś lekami. Gdy stawiał to wszystko na mojej szafce nocnej, udało mi się dojrzeć godzinę na jego zegarku, który zawsze nosił na ręce. Była druga w nocy.

Pomógł mi się podnieść i przeklął pod nosem, gdy wyczuł, jak mokra jest moja koszula. Uczepiłam się jego ramienia, bo inaczej nie miałabym siły zmusić się do przybrania pozycji choćby zbliżonej do siedzącej. Will podał mi dwie tabletki. Bez żadnych oporów połknęłam je i popiłam.

Wtedy do mojego pokoju wszedł Vince, a ja spięłam się cała na jego widok. Podczas gdy wierzyłam, że Will, nawet rozgniewany, zawsze mi pomoże, nie wiedziałam do końca, czego spodziewać się po swoim najstarszym bracie.

– Za niedługo poczujesz się lepiej, malutka. Musisz się przebrać w jakieś wygodne i przede wszystkim suche ubrania – szepnął do mnie Will i delikatnie odczepił od siebie moje dłonie, kładąc mnie na łóżku z taką ostrożnością, jakbym była zrobiona z wyjątkowo kruchej porcelany.

Jęknęłam z protestem, żalością, zgodą, sama już nie wiem z czym. Gorączka sprawiała, że zaczynałam majaczyć. Vince zatrzymał się przy moim łóżku i patrzył na mnie z założonymi rękoma, a Will zniknął w mojej garderobie. Cieszyłam się, że jestem chora, bo przynajmniej miałam dobrą wymówkę, żeby bezkarnie unikać wzroku tego pierwszego.

Will rzucił na pościel obok mnie coś, co wyglądało jak spodnie dresowe, i mruknął coś o kocu, a Vince skinął głową i opuścił pokój jak na rozkaz, które przecież sam zwykł raczej wydawać, a nie wypełniać. Will odkrył mnie, a ja zatrzęślam się z zimna. Pomógł mi się przebrać, odpinając guziki mojej koszuli, i taktownie odwrócił wzrok, gdy pozbywałam się stanika. Ledwo miałam się ruszyć, ale faktycznie, gdy wylądowałam w miękkich, wygodnych dresach, poczułam się dużo lepiej. Zaraz potem wrócił Vince, trzymając w rękach wielki puszysty koc, którym opatulili mnie razem z Willem.

Wciąż miałam ciarki i bolała mnie głowa. Tabletki jeszcze nie zaczęły działać, ale już było mi trochę lepiej. Wystarczyło, że był przy mnie ktoś, na kim mogłam polegać. Nawet jeśli w tej chwili stosunki między nami były napięte.

Zrobiło mi się głupio. Głupio, bo na nich nawrzeszczałam, a oni i tak się mną teraz zajmowali. Mogliby uznać, że mam to, na co zasłużyłam, i może tylko rzucić mi jakieś leki na stolik nocny, ale oni naprawdę się o mnie troszczyli. Cichy głos w mojej głowie przekonywał mnie, że wcale nie musi mi być głupio, ale byłam typem osoby, która ten mądry głos zwykle ignorowała i w rezultacie za bardzo się wszystkim zawsze przejmowała.

Kiedy przeszedł mnie okropny dreszcz i aż mną zatrzęsło, mocniej wtuliłam się w koc. Miałam zamknięte oczy. Poczułam, jak czyjaś dłoń głaszcząc mnie po policzku. Will.

– Odpoczywaj, Hailie, wszystko jest w porządku.

Jest? Czy naprawdę jest? Nie są na mnie źli? Nie oddadzą mnie do rodziny zastępczej czy sierocińca jak w moim śnie?

– Przepraszam... – wymamrotałam, a tamten głos w mojej głowie wrzasnął na mnie, że nie mam za co.

– Ciii... – mruknął Will. – Vince, uspokój ją.

Vincent mruknął mi coś w odpowiedzi, ale nie zrozumiałam co.

– Ona boi się ciebie, nie mnie. Uspokój ją – powtórzył Will.

Usłyszałam, jak mój najstarszy brat wzdycha. Will zabrał dłoń z mojej twarzy. Poczułam też, jak się odsuwa i robi miejsce dla Vincenta. Rozchyliłam powieki, choć wcale nie chciałam widzieć jego zimnych oczu.

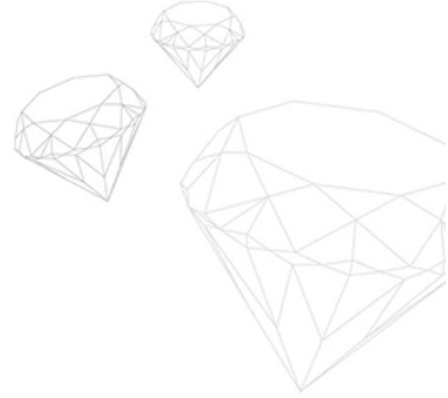
– Jeśli jeszcze raz doprowadzisz się do takiego stanu...

– Och, daj spokój – przerwał mi Will z dezaprobatą.

Vincent zamilkł i wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, a ja jednak odwzajemniałam jego spojrzenie. Tylko trawiona gorączką, gdy było mi już wszystko jedno, śmiałam to zrobić. Piękne miał te oczy i naprawdę dużo by zyskały, gdyby tylko były odrobinę cieplejsze. Zdawało mi się, że jakby dobrze się przypatrzeć, dało się w nich dostrzec góry lodowe.

– Nie jesteś sama, Hailie. Nie jesteś problemem. I jesteś kochana. A teraz się uspokój i odpocznij – powiedział. Założył mi wilgotny kosmyk za ucho, a na koniec musnął przelotnie palcem mój podbródek, po czym podniósł się i wyszedł.

Will coś do mnie jeszcze mówił, ale nie pamiętam co. Tabletki zaczęły działać i głowa przestawała mnie boleć. A gdy tylko mój organizm zrozumiał, że nadszedł nareszcie czas na odprężenie, zasnęłam niemal natychmiast.



30

Jak uważasz, Hailie?

W ślimaczym tempie pokonywałam stopień za stopniem w drodze na dół, gdy następnego dnia musiałam stawić czoła swojemu najstarszemu bratu. Resztę nocy przespałam w spokoju i czułam się już dużo lepiej. Leki pomogły. Co prawda głowa wciąż mnie ćmiła, ale był to tylko cień tej mordęgi, przez którą przeszłam.

Eugenie, która odwiedziła mnie z samego rana, podała mi jeszcze jakąś pastylkę do połknięcia i przekazała, że Vince polecił mi zostać dziś w domu, co niechętnie zaakceptowałam. Chciałam iść do szkoły. Za dużo zajęć opuściłam, a nawet nie miałam telefonu, żeby skontaktować się z Moną. Wyrzucałam sobie, że niewystarczająco pielęgnuję naszą i tak kruchą znajomość. Nie chciałam kreować wokół siebie kolejnych dziwnych i zmuszających do snucia domysłów sytuacji.

Poza tym pozostanie w domu oznaczało nieuchronną konfrontację z Willem, Tonym lub Vince'em, albo w ogóle z nimi wszystkimi naraz, co nie nastrojało mnie pozytywnie.

Eugenie już na wejściu przekazała mi, że Vincent chce mnie widzieć i że jak tylko poczuje się na siłach, by doprowadzić się do porządku, powinnam

dać jej znać, żeby mogła go zawiadomić. Na tę informację poczułam gulę rosnącą w gardle, ale uśmiechnęłam się do niej blado i pokiwałam głową.

Dlatego właśnie, zgodnie z instrukcjami, jakie dostałam, szłam do naszej domowej biblioteki. Po drodze słyszałam dobiegające z kuchni odgłosy sokowirówki i byłam przekonana, że to Will robi sobie jeden ze swoich słynnych koktajli po porannym biegu. W salonie zaś rozbrzmiewały odgłosy gry wideo i to z kolei musiał być znak, że Tony okupuje kanapę. Przemknęłam korytarzem niezauważenie, nie mając ochoty wpaść na kóregoś z nich.

Weszłam do pomieszczenia, które lubiłam najbardziej z całego domu, ale i jednocześnie nienawidziłam za wszystkie te stresujące rozmowy z Vincentem. Tej, która czekała mnie teraz, obawiałam się szczególnie. W końcu nigdy wcześniej nie zrobiłam nic, co w jego oczach mogło zostać odebrane jako tak wielki brak szacunku. Trochę drżałam przed konsekwencjami swojego wybuchu, ale w głębi ducha wiedziałam, że gdybym mogła cofnąć czas, nie zmieniłabym ani jednego słowa, które padło wtedy z moich ust.

– Jak się czujesz? – zapytał nagle dobrze mi znany chłodny i formalny głos, na którego dźwięk tradycyjnie zeszywniałam. Siedziałam wciśnięta w róg kanapy z kolanami pod brodą i czekałam na Vincenta dobre piętnaście minut, zdążyłam więc odpłynąć w myślach do innego świata i nie zauważyłam, kiedy w końcu do mnie dołączył.

– Lepiej, dziękuję.

Vince miał na sobie koszulę i ciemne spodnie, włosy jak zwykle zaczesane do tyłu, zegarek na nadgarstku, a na palcu sygnet. Wbił we mnie swoje bystre spojrzenie. Tym razem unikałam go nie tylko ze strachu, ale też ze wstydu. Nie mogłam uwierzyć, że nawrzeszczałam na kogoś takiego jak on.

Mój brat usiadł w fotelu, tym, którego z jakiegoś powodu ja zdecydowałam się dziś nie zajmować. Milczał, co było z jego strony okrutne, biorąc pod uwagę, jak bardzo zdenerwowana i tak już byłam. W końcu nie wytrzymałam, odetchnęłam głęboko i sama się odezwałam.

– Przepraszam, Vince. Nie powinnam była tak krzyczeć.

Staralam się spojrzeć mu oczy, by zaakcentować tym szczerość swojej wypowiedzi.

Pamiętałam nauki mamy, która zawsze powtarzała, że nie wolno podnosić głosu na innych ludzi. Zwłaszcza na opiekunów prawnych. Zwłaszcza na opiekunów prawnych, którzy byli Vince'em. Dobra, te dwa ostatnie zdania sama sobie dodałam, ale sens jest oczywisty. Moja mama prawie nigdy na mnie nie krzyczała. Jak by się zastanowić, to Vince też nie.

– Nie powinnaś była – zgodził się mój brat, co tylko podsycało mój niepokój.

– Ale nie żałuję tego, co powiedziałam.

Vince uniósł brodę i zmrużył oczy, nie odrywając ich ode mnie. Nie odpowiedział mi, więc postanowiłam kontynuować.

– Wiem, że może powinnam była powiedzieć wam wcześniej o swoich uczuciach, ale to jest takie trudne... Na początku nie miałam odwagi, a potem wszystko się zaczęło nawarstwiać i w końcu... w końcu poczułam, że... już nie mogę.

On patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, zanim się wreszcie odezwał. Był poważny i całkowicie skupiony na mnie. Mówił spokojnym, wyważonym głosem. Jak lekarz, który cierpliwie wyjaśnia pacjentowi wyniki badań.

– Hailie, wiem, że utrata matki jest bolesna. Ja swoją też straciłem w młodym wieku. Przykro mi, że musiałaś tego doświadczyć. Oczywiście jest to, że nawet będąc twoim opiekunem prawnym, ja ci jej nie zastąpię. Zgodziłem się tobą zająć, bo jesteśmy rodzeństwem, rodziną, i nigdy nie pozwoliłbym, żebyś wylądowała w rodzinie zastępczej. Niezależnie od twojej woli. Jednakże powtórzę to: nie zastąpię ci mamy. Nie jestem nią. Nie jestem uczuciowy, nie będę zawsze głaskał cię po głowie, ścisnął na dzień dobry i całował w czoło na do widzenia. To nie oznacza, że mi na tobie nie zależy, nie oznacza to, że jesteś mi obojętna. Ja też wychowałem się w domu pełnym miłości, ale okazywanej w sposób inny niż ten, do którego ty jesteś przyzwyczajona. Ojciec zawsze nas uczył, mnie i resztę twoich braci, że rodzina jest najważniejsza, że mamy siebie i zawsze musimy o siebie nawzajem dbać. Nie przytulał nas, nie chwalił za piątkę ze sprawdzianu. Ale nas kochał. W domu były jasne zasady, które musiały być przestrzegane. Były też kary, odczuwalne dużo bardziej niż szlaban na weekend albo brak

telefonu. – Vince uniósł znacząco brew, a ja zagryzłam wargę. Słuchałam go jak zahipnotyzowana. – Nie byłem gotowy, żeby zajmować się nastolatką. Nie masz pojęcia, jak wdzięczny jestem twojej matce za to, że tak porządnie cię wychowała. Jednocześnie wiem, że nasz ojciec zrobiłby to zupełnie inaczej. Właściwie to bardzo trudno mi wyobrazić sobie, jak zachowywałby się w stosunku do córki. Najprawdopodobniej zamknąłby cię w domu i próbował uchronić przed każdym możliwym niebezpieczeństwem. Na randki mogłabyś zacząć chodzić po trzydziestce. – Kąciki jego ust uniosły się trochę w uśmiechu. – A gdyby dowiedział się, że masz problemy z jedzeniem... – przerwał, wymownie kręcąc głową.

Milczałam, przetwarzając to, co powiedział, ale okazało się, że jeszcze nie skończył, więc na powrót zamieniłam się w słuch.

– To samo dotyczy reszty twoich braci. Zwłaszcza Dylana i bliźniaków. Są młodzi. Młodszy ode mnie. Z naszą matką mieli okazję spędzić o wiele mniej czasu niż ty ze swoją. Są przyzwyczajeni do życia w męskim gronie, a jedyne kobiety, z którymi mają do czynienia, lądują po imprezach w ich łózkach. – Przez jego twarz przebiegł cień dezaprobaty. – Nagle się dowiedzieli, że mają młodszą siostrę. Dopiero uczą się, jak z tobą postępować. Rozumiem, że to może być dla ciebie przytłaczające, jako że tobie samej trudno jest się im postawić. Wiem, że mogą być uciążliwi. Ale nie zamierzam wtrącać się w wasze relacje. W końcu sama też nauczysz się, jak sobie z nimi radzić. Jedno jest pewne: wszyscy jesteśmy wychowani tak samo i mamy takie same wartości, dlatego wiem, że oni też cię kochają i chcą dla ciebie jak najlepiej. Tylko okazują to po swojemu.

Wzruszyłam się, bo tak szczerze jak dziś Vince nie przemawiał do mnie chyba jeszcze nigdy wcześniej. Przede wszystkim pierwszy raz spojrzałam na tę całą sytuację z perspektywy swoich braci. Poczułam, że otworzył mi oczy. Popełniali mnóstwo błędów, w naszych relacjach miałam im wiele za złe, ale po raz pierwszy zaczęłam patrzeć na nich nie tylko jak na złośliwych dupków. No i jakże samolubne z mojej strony było to, że ciągle zapominałam o tym, że oni też kiedyś stracili swoją mamę. Nie znałam szczegółów, jak zwykle, ale utrata matki to utrata matki. Boli tak samo. Jeśli umarła, gdy Vince był, powiedzmy, w nastoletnim wieku, to Dylan i bliźniacy zapewne ledwo ją pamiętają...

Korciło mnie też, żeby zadać parę pytań na temat ojca, jako że zaintrygowały mnie wspomnienia o nim, które przywołał Vincent, ale jakoś czułam, że to nie jest odpowiedni moment. Może stchórzyłam.

– Dziękuję, że mi to powiedziałeś – szepnęłam.

– Proszę. Jeśli kiedykolwiek poczujesz, że coś jest nie tak, i będziesz chciała porozmawiać, to zanim wybuchniesz, przyjdź do mnie, a ja ci wyjaśnię, czemu sprawy mają się tak, a nie inaczej.

Kiwnęłam głową, rumieniąc się na wspomnienie swojego wczorajszego zachowania.

Vince poruszył się i wyjął z kieszeni mój telefon. Podał mi go, a ja, zaskoczona, natychmiast wyciągnęłam po niego rękę. Nie spodziewałam się, że tak szybko go odzyskam. Gdy jednak na niego spojrzałam, zamarłam. Ekran był pęknięty w kilku miejscach.

Przełknęłam ślinę i podniosłam zmartwione spojrzenie na brata. On obserwował mnie i moją reakcję.

– Przepraszam – wyjąkałam cicho, czując nieskończony wstyd. Vince kupił mi ten okropnie drogi telefon, bo niechcący zniszczyłam swój stary, a ja miałam czelność w przyływie złości tak go potłuc. Jestem najgorsza.

Wzruszył ramionami.

– Twoja sprawa. Wizualnie ucierpiał, ale wciąż działa, dlatego tym razem nie zamierzam płacić za naprawę.

Pokiwałam głową, pokazując, że zgadzam się z nim w stu procentach. Nie zasługiwałam na to, żeby pokrywał szkody wywołane moim dziecinnym zachowaniem. O Boże, gdybym mogła, tobym się zapadła pod ziemię.

– Czy jest coś jeszcze, co chciałabyś powiedzieć?

Podniosłam na niego wzrok i znowu zagryzłam wargę. Słowa, którymi zamierzałam się z nim podzielić, nie miały mi łatwo przejść przez gardło.

– Dziękuję, że wzięłeś mnie pod swój dach.

Vince skinął głową, ale ja miałam jeszcze coś do dodania. Musiałam pozbyć się tej ciężkiej mi na sercu wątpliwości.

– Miałam sen, że byłeś na mnie taki zły, że się mnie pozbyłeś.

Mój brat zaśmiał się pod nosem – cicho i krótko, ale z rozbawieniem. Następnie jednak westchnął i popatrzył na mnie odrobinę łagodniej, pobłażliwiej.

– Nie pozbędę się ciebie, Hailie, nieważne, jak zły na ciebie będę.

Teraz to ja skinęłam głową. Wiem, że w przeszłości miałam różne myśli na temat mieszkania i życia ze swoimi braćmi, ale dziś już wiedziałam, że mimo wszystko ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała, była trwała rozłąka z nimi. I wyładowanie w rodzinie zastępczej.

Na koniec Vince wstał, a ja poszłam za jego przykładem. Miałam ochotę go przytulić, ale pohamowałam się, przypomniawszy sobie, jakie jest jego stanowisko w sprawie uścisków. On jednak mnie przejrzał, bo znowu westchnął cicho.

– No, podejdz tu – mruknął. Ośmielona zbliżyłam się do niego i z przyjemnością wpasowałam się w jego otwarte ramiona. On ścisnął mnie mocno, a potem pogłaskał moje plecy, co przyniosło mi miły dreszczyk. Puścił mnie za chwilę i spojrzał mi w oczy. – A przy okazji... – Uniósł brew. – Korzystając z tego, że nie ma tu Willa, który by cię obronił... Jeszcze raz doprowadzisz się do takiego stanu jak wczoraj, to wyślę cię do szpitala i każę cię tam zatrzymać na co najmniej tydzień. Zrozumiano?

– Zrozumiano – zaśmiałam się cicho. Wiedziałam, że mówił serio, i dostałam gęsiej skórki na samo wspomnienie szpitala, ale jakoś nie mogłam się powstrzymać od chichotu. To był po prostu typowy Vincent. Nie mógł być miły zbyt długo. Musiał na koniec rzucić jakąś groźbę, inaczej nie byłby sobą.

On udawał, że jest poważny, ale ostatnie spojrzenie, jakie mi rzucił, było ponownie rozbawione.

Po tej rozmowie zaczęłam gratulować sobie swojego wczorajszego występu. Miałam rację, że go nie żałowałam. Co prawda czekało mnie jeszcze spotkanie z moimi pozostałymi braćmi, ale – jak wiadomo – reakcja Vince'a była najistotniejsza.

Resztę chłopaków zobaczyłam dopiero na obiedzie. Podejrzewałam, że nieprzypadkowo znowu udało im się zasiąść do posiłku w komplecie, co przecież do tej pory działo się niezwykle rzadko. Może wiedzieli, że ich unikam. W końcu całą pierwszą połowę dnia odpoczywałam w pokoju

i opuściłam go dopiero, gdy nie miałam innego wyjścia. Pojawiłam się w kuchni ostatnia i od razu poczułam się niekomfortowo. Po cichutku zajęłam miejsce obok Willa. To samo co wczoraj. Czułam na sobie przynajmniej cztery pary oczu, gdy zbierałam myśli, gapiąc się w podłogę. Coś ugniatało moją klatkę piersiową i bardzo chciałam się tego pozbyć, dlatego wreszcie wzięłam głęboki wdech i podniosłam wzrok na otaczające mnie osoby.

– Hej, przepraszam za wczoraj. Chyba... chyba miałam zły dzień – wymamrotałam, a mój wzrok przemykał po twarzach chłopców, na żadnej się nie zatrzymując. Nie chciałam nawiązywać z nimi kontaktu wzrokowego na dłużej niż ułamek sekundy.

– W porządku, Hailie. Nic się nie stało. Chciałabyś o tym porozmawiać? – zapytał z troską Will.

Pokręciłam głową.

Ktoś prychnął i tym kimś był oczywiście Dylan. Zacisnęłam usta w prostą linię, patrząc na niego ponuro. Ten chłop mnie wykończy.

– O co ci chodzi? – zwrócił się do niego Will podniesionym głosem.

– Jeszcze ją pogłaszcz po główce za ten wczorajszy pokaz hysterii.

– Przeszła ostatnio przez dużo przykrych sytuacji. Powiedz mi, dlaczego nie miałbym chociaż spróbować jej uspokoić?

– Bo jak nie przestaniemy się z nią cackać, to nigdy nie dorośnie – odpowiedział mu Tony.

Spuściłam wzrok na kolana.

– A dlaczego tak wam zależy, żeby dorosła?

– Bo na świecie jest więcej takich zębów jak Jerry czy łysy psychol, którzy będą chcieli ją skrzywdzić? Musi być twarda.

Zadrzałam i poczułam, że Will kładzie rękę na moim ramieniu. Pomogło. Gdy podniosłam na niego wzrok, wpatrywał się z irytacją w Tony'ego.

– Przestań ją bez sensu straszyć. Sytuacja z Jerry'ym się nie powtórzy.

– Dobrze wiesz, że tego nie możesz być pewien. Zwłaszcza w naszym świecie.

Ponownie przeszły mnie ciarki.

– To co proponujesz, hm? Lepiej, żeby się bała wyjść z domu? – spytał ze złością Will.

– Dokładnie tak – syknął Dylan.

– Nie, lepiej, żeby wiedziała, jak się zachować, gdy znowu znajdzie się w niebezpiecznej sytuacji – wtrącił Shane.

Halo, ja jestem tutaj i wszystko słyszę!!! Chciałam powiedzieć to na głos, ale zdecydowałam, że na razie lepiej będzie nie ściągać na siebie ich uwagi. Oni wszyscy wyglądali na coraz bardziej zdenerwowanych i chyba rozsądniej było pozostać w cieniu.

– Co, chcesz jej dać broń? – prychnął Dylan.

– No a właściwie czemu nie? – mruknął Tony, wzruszając ramionami.

– Mówisz poważnie? Chcesz jej wrzucić do szkolnej torby pistolet? Razem z książkami, piórnikiem i pudełkiem na lunch? – zawołał z niedowierzaniem Will, a rękę, którą trzymał na moim ramieniu, zacisnął w pięść.

– Nie dawać jej broni, ale nauczyć ją z niej korzystać – zasugerował Shane, spokojnie nawijając makaron na swój widelec.

– A po cholereę jej ta umiejętność?! – krzyknął Dylan i puknął się w czoło.

– Ja pierdołę, no nie wiem, Dylan, może po to, żeby w razie niebezpieczeństwa potrafiła się obronić bez obawy, że kogoś niechcący zabije? – warknął Tony, wywracając oczami.

– Chcesz trenować na zabójczynię naszą piętnastoletnią siostrę?

– Jaką zabójczynię, co ty pierdolisz?

– Nauka posługiwania się bronią to jedno i to samo. Możesz sobie wmawiać, że uczysz ją samoobrony, a ostatecznie nauczysz ją zabijania – zauważył Will. Już mnie nie dotykał. Teraz unosił dłoń i celował palcem w bliźniaków, podkreślając w ten sposób moc swoich słów.

Nie wiedziałam, co się dzieje. Jak to możliwe, że nagle wszyscy tak się obruszyli? Czułam się coraz dziwniej. Zorientowałam się też, że Vince, jako jedyny z moich braci, jeszcze nie wtrącił się do rozmowy. Zerknęłam na niego. Obserwował resztę i wyglądało na to, że aktywnie wysłuchiwał argumentów, na razie zachowując swoje myśli dla siebie.

– Moim zdaniem powinna nauczyć się samoobrony. Nie tylko używania broni palnej, ale też paru prostych sztuczek. Podstawowy trening. Dla jej własnego dobra. – Shane wzruszył ramionami.

– Popieram – mruknął Tony, na kilka sekund podnosząc dłoń do góry, niczym uczeń w klasie.

– Absolutnie nie – uciął Will.

– Pojebało was – zgodził się z nim Dylan, świdrując wzrokiem bliźniaków.

Na moment zapadła cisza, gdy do wszystkich obecnych, włączając w to mnie, dotarło, że ostateczna decyzja przecież i tak należy do Vince'a. Ostateczna decyzja zawsze należała do niego, ale argumenty moich braci wydawały się pomagać mu w jej podjęciu. W każdym razie w jednej chwili wszystkie twarze zwróciły się ku naszemu najstarszemu bratu. Ja też się na niego zagapiłam. To, co powie, miało mieć bezpośredni wpływ na mnie, dlatego czekałam w napięciu.

On z kolei spojrzał mi w oczy. Było to bardzo intensywne spojrzenie, ale nie odwracałam wzroku. W końcu poruszył ustami.

– Jak uważasz, Hailie?

Oczy miałam jak spodki, gdy zrozumiałam, że pyta mnie o zdanie.

Jasne, że pyta mnie o zdanie, tak powinno być. To powinna być moja decyzja. Moi bracia kłócili się o coś, co nawet ich nie dotyczyło. Nie byłam jednak przyzwyczajona do tego, że Vince pozwalał mi za siebie decydować.

– Poważnie? – szczechnął Dylan, patrząc ze zdumieniem i złością na Vincenta, który rzucił mu poirytowane spojrzenie.

– Nie ciebie pytałem, czyż nie? – warknął na niego ostro, na co Dylan prychnął ze złością, po czym niechętnie odwrócił wzrok i zamilkł. Vincent, gdy tylko się upewnił, że jego młodszy brat nie ma nic więcej do dodania, zwrócił się z powrotem do mnie: – Chcesz się nauczyć samoobrony?

Zamyślona oblizałam spierzchnięte wargi. Czy tego chciałam? Przypomniałam sobie ten strach, który towarzyszył mi, gdy zobaczyłam broń u Tony'ego. I potem tamtą w szufladzie, w bibliotece. To, jak celowałam w Jerry'ego. Jak ogłuszyły mnie strzały w lesie. Nigdy, absolutnie nigdy więcej nie chciałam znowu znaleźć się w takiej sytuacji, ale jeśli istniała na

to choćby najmniejsza szansa, to z całą pewnością powinnam wiedzieć, jak się zachować.

Powoli, z coraz większym przekonaniem zaczęłam kiwać głową.

– Tak.

Vince skinął, akceptując moją odpowiedź.

– Dobrze więc, niech będzie. Zacznesz naukę po feriach zimowych.

Dylan zaklął z niedowierzaniem. Tony odchylił się do tyłu i zaśmiał głośno, zacierając ręce, jakby szykował się na dobrą zabawę. Shane znowu wzruszył ramionami, a Will zacisnął usta w prostą linię i wpatrywał się w Vincenta, demonstrując swoją dezaprobatę dla jego pomysłu.

A ja objęłam się ramionami i oparłam się na krześle, czując, jak ekscytacja powoli ogarnia całe moje ciało...



Ostatnie tygodnie szkoły przed lutowymi feriami spędziłam skupiona głównie na nauce i terapii. Robiłam, co w mojej mocy, by do końca semestru utrzymać swoją średnią, jednocześnie walcząc o apetyt z ogromnym wsparciem chłopców (niektórzy z nich byli bardziej wyrozumiali, inni, czytaj: Dylan, mniej, ale na pewno wszyscy na swój sposób chcieli mi pomóc).

Najbardziej zapamiętałam gest Shane'a. Pewnego dnia oglądałam film, ze znużeniem opierając brodę o poduszkę. Powoli zaczynałam czuć się dużo bardziej komfortowo w pomieszczeniach wspólnych w Rezydencji Monetów. Rzadziej podskakiwałam ze strachem, gdy któryś z braci wpadał na mnie w salonie, czy kuchni.

Shane zastał mnie tak podczas leniuchowania i z największą ochotą do mnie dołączył, wcześniej przytargawszy z lodówki dwa kubeczki lodów czekoladowych. Usadowił się tuż obok mnie i wyciągnął rękę w moją stronę, oferując mi jeden z nich.

Nie miałam serca mu odmówić, więc przyjąłam deser. Cieszyłam się towarzystwem dość lubianego przeze mnie brata, jednocześnie odczuwając

dobrze znaną mi presję związaną z jedzeniem. Uczyłam się, jak sobie z nią poradzić, ale nie było to łatwe, zwłaszcza gdy Shane zerkał na mnie co jakiś czas. Musiał być pewien, że robi to ukradkowo, ale ja wiedziałam, że mnie sprawdza i w pewnym momencie westchnęłam głęboko, odkładając łyżkę i odsuwając kubeczek w jego stronę.

– Nie mogę.

Shane zmarszczył brwi ze zmartwieniem. Sam już prawie skończył swoją porcję.

– Nie szkodzi, zjedz, ile możesz.

– Nie mogę nic... – jęknęłam płaczliwie.

– Hej, hej, ale nic się nie martw. Nie śpieszy nam się, nie musisz skończyć wszystkiego od razu, zobacz, to dopiero połowa filmu. Jedz sobie powoli. Ja z tobą poczekam, okej? Jestem tu z tobą, okej? – Lekko odepchnął lody z powrotem w moim kierunku.

– Ale... one się roztopią – załkałam.

Z jakiegoś powodu ta myśl bardzo mnie smuciła.

Shane uniósł brwi i przysunął się do mnie bliżej, a na ramieniu położył mi dłoń.

– Hailie? – szepnął. – No i co z tego?

Nikt nie zastopował filmu, ale żadne z nas nie zwracało też na niego uwagi. Patrzyliśmy sobie w oczy, a mnie drżała dolna warga. Nie odezwałam się, więc sam sobie odpowiedział, a łagodny, wesoły uśmiech zaczął rozświetlać jego twarz.

– Powiem ci co. Będziesz miała zajebistego szejka, dziewczynko.

Zamrugałam, wpatrując się w niego wielkimi oczami. On potargał mi włosy i szepnął:

– Przyniosę ci słomkę.

I wstał, a ja zostałam na kanapie, ściskając w ręce chłodny i wilgotny kubek lodów, które później faktycznie długo sączyłam przez słomkę z oczami wpatrzonymi w ekran telewizora i z głową opartą na ramieniu Shane'a.

Taki, wydawać by się mogło, mały gest, a znaczył dla mnie tyle co złoto i diamenty.



Audrey za to unikała mnie jak ognia, a kiedy czasami przypadkowo nasze drogi się krzyżowały, jej zachowanie utwierdzało mnie w przekonaniu, że nie tylko straciłam koleżankę, ale też zyskałam wroga. Nigdy wcześniej nie sądziłam, że ta raczej spokojna i rozsądna dziewczyna potrafi być tak nieprzyjemna. Jason zaś już nie tylko mnie ignorował, ale wręcz uciekał przede mną, jakby się mnie bał, co troszkę, muszę przyznać, mnie satysfakcjonowało.

Wydawało mi się, że przynajmniej moja więź z Moną stała się silniejsza, co bardzo mnie cieszyło. Nawet zrobiło mi się smutno, gdy zbliżały się ferie i dowiedziałam się, że wyjeżdża na cały czas ich trwania do swojej rodziny do Kanady. Oznaczało to, że miałam nie zobaczyć jej przez następne dwa tygodnie. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że moja własna przerwa zimowa nie będzie tak nudna i zwyczajna, jak się spodziewałam.

Niedługo przed końcem semestru Vince oznajmił mi, że zaplanowany został dla mnie wyjazd wraz z Dylanem i bliźniakami. Do Tajlandii. Parę dni po tym, jak mnie o tym poinformował, wciąż zbierałam szczękę z podłogi. Miałam lecieć na inny kontynent z trójką swoich braci!

Abstrakcyjność tego pomysłu nie mieściła mi się w głowie. Każde moje pytanie na ten temat było zbywane krótkim „zobaczysz”. Nie wiedziałam nic. Czemu Tajlandia, czemu akurat z Dylanem i bliźniakami, skąd ten pomysł. Jednak w pewnym momencie znużona domysłami postanowiłam zaakceptować ten plan i się nim cieszyć. Zwłaszcza gdy wygooglowałam sobie zdjęcia tego kraju i zobaczyłam, że wygląda jak raj na ziemi.

Leciałam do Tajlandii i zamierzałam wyciągnąć z tego wyjazdu, ile się da. Po ciężkich miesiącach pełnych smutku, żałoby i niepewności należał mi się wypoczynek. Po adaptacji do nowego życia z moimi braćmi i ich tajemnicami, po całym tym stresie, natłoku szkolnych obowiązków. Czas na relaks.

Gdy przyszła pora się spakować, rozłożyłam w garderobie walizkę. Wrzuciłam do niej chyba wszystkie letnie ubrania, jakie miałam, a na koniec,

po chwili wahania, wsadziłam do niej starannie złożoną sukienkę w żółtą kratkę. Wyobraziłam sobie reakcję braci, gdy ją znowu założę, i nie mogłam powstrzymać uśmiechu, w którym rozciągnęły się moje usta.

Spojrzałam na swoje odbicie w garderobianym lustrze, zupełnie zszokowana. Takie zachowanie było do mnie niepodobne.

Ten uśmiech jednak nie schodził mi z twarzy, a był on tak samo psotny jak błysk złotych serduszek, które tkwiły w moich uszach i których obiecałam sobie już nigdy nie ściągać.

I nie mogłam wtedy jeszcze nawet przeczuwać, kogo już niedługo poznam.

You&YA

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz